



JAMES CONROYD MARTIN



**NIE PONAGLAJ
RZEKI**

Prolog

Dokądkolwiek się udasz, nie uciekniesz przed sobą.
Przysłowie polskie

Sochaczew, rok 1779

Anna zatrzepotała powiekami w ostrym świetle poranka, po czym uniosła je na dobre. Poczowała przyspieszone bicie serca. Dzień, na który tak wyczekiwała, wreszcie nadszedł. Dwudziesty szósty lipca. Jej imieniny. Czym prędzej usiadła i spojrzała na stół pod oknem. Paczka, owinięta w czerwony papier, była na swoim miejscu. Dziewczynka westchnęła cicho, z ulgą.

Wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po szlafrok. Szybko umyła się i ubrała, przywdziewając niebieską sukienkę zdobioną koronką i błyszczące pantofelki z białej skóry, przeznaczone na szczególne okazje. Zaczęła energicznie szczotkować swe brązowe włosy. Gdy niecierpliwym ruchem wbiła szczotkę w splątany lok, lustro ukazało odbicie jej skrzywionej twarzyczki. Widoczny na niej grymas był nad wyraz dorosły, podobny do tego, jaki często pojawiał się na twarzy matki Anny.

Szczotkowała i szczotkowała. Wiedziała, że gdyby nie poświęciła temu dosyć uwagi, zostałaby delikatnie złajana przez Luizę, kiedy ta przyjdzie zapleść jej warkocz. Myśli dziewczynki zajęte były jednak czymś innym. Co chwila spojrzenie jej zielonych, nakrapianych bursztynowo oczu przesuwawało się po tafli lustra, szukając odbicia zawiniętej w czerwony papier paczki. Wieczorem, mimo zmęczenia, starała się powstrzymać sen, jak długo się dało, w obawie, że gdy zaśnie, prezent zniknie. Nic takiego się jednak nie stało. Był tutaj i należał do niej. By się o tym upewnić, wystarczyło na niego spojrzeć. Leżał, czerwony jak dojrzałe jabłko, lecz o wiele bardziej kuszący.

Dokończywszy wyjątkowo szybko porannej toalety, ściągnęła paczkę ze stołu i przycisnęła obiema rękami do piersi. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi sypialni i ruszyła korytarzem ku klatce schodowej. Chociaż dzisiejszy dzień różnił się od innych, z dołu dobiegał znajomy zapach kawy i kiełbasek. Sięgnęła ręką do wysokiej balustrady i zaczęła schodzić, ostrożnie niczym staruszka, stawiając obie stopy na jednym stopniu i zatrzymując się, nim pokonała kolejny. Wreszcie znalazła się na parterze ziemiańskiego dworu.

Weszła do jadalni i zastała matkę przy śniadaniu. Obok krzesła stała pokojówka i nalewała swej pani kawę do chińskiej filiżanki. Z naczyń ustawionych na stojącym z boku kredensie unosiła się para.

Ciemnowłosa hrabina Teresa Berezowska spojrzała na córkę i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Anno. Wszystkiego najlepszego z okazji imienin.

- Miłego święta - dodała Luiza radośnie. - Ileż to latek liczy sobie moja mała dama?

Anna uśmiechnęła się, zadowolona, że jest obiektem takiego zainteresowania.

- Pięć! - odparła. Już miała unieść dłoń z rozłożonymi palcami, by pokazać tę liczbę, lecz w mgnieniu oka uświadomiła sobie, że jeśli to zrobi, upuści paczkę. Serce zabiło jej mocniej na myśl o takim nieszczęściu.

- Najpierw talerz kaszy z mlekiem i jajko w koszulce - mówiła tymczasem Luiza - a kiedy to zjesz, dostaniesz kawałek puszystej babki. To twoje święto.

Dziewczynka podeszła drobnymi kroczkami do matki, żeby, jak zwykle, ucałować ją w policzek. Hrabina pochyliła się, aby córka mogła dosięgnąć jej twarzy, którą Anna uważała za najpiękniejszą na świecie. Krzesło, zajmowane zwykle przez ojca, było puste, więc wróciła od razu na swoje miejsce.

Ostrożnie położyła paczkę tuż obok talerza. Uwolniona od skarbu, wdrapała się na krzesło.

Luiza postawiła przed dziewczynką śniadanie, nucąc melodyjnie pod nosem. Anna postanowiła, że zje wszystko, do ostatniego kęsa, czuła bowiem dobiegający nie wiadomo skąd smakowity zapach oblanej lukrem babki. Gdzie ona jest? - zastanawiała się. Lekkie, słodkie ciasto z rodzynkami było ulubionym przysmakiem dziewczynki.

Podnosząc do ust pierwszą łyżeczkę jajka, dziewczynka zauważyła, że spojrzenie szarofiołkowych oczu matki skierowane jest na czerwoną paczkę. Kobieta nie uśmiechała się już.

W głowie Anny zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Odłożyła łyżeczkę, myśląc o tym, by poszukać wsparcia u ojca.

- Gdzie tatuś?

- Wyjechał w sprawach związanych z majątkiem - odparła hrabina. - Wciąż te interesy.

Ton głosu matki przeraził dziecko. Hrabina spoglądała to na paczkę, to na córkę.

- I co my tu mamy, Anno Mario Berezowska? Czy to nowa lalka?

- Nie, mamó.

- Tak myślałam. Paczka nie ma właściwego kształtu ani rozmiaru. Zatem, co to takiego?

Annie zaschło w ustach.

- Ja... nie chciałam lalki. Hrabina zacisnęła wargi.

- Lecz ojciec zabrał cię wczoraj taki kawał drogi do stolicy specjalnie po to, by kupić ci lalkę z kolorkami na buzi, szklanymi oczami i prawdziwymi włosami. Czy w całej Warszawie nie udało się takiej znaleźć?

- Och, nie, było tam mnóstwo lalek, mamusiu, ale...

- Ale co?

- Ale ja wołałam to.

- Wołałaś to? I świadomie sprzeciwiłaś się mojej woli? Miałaś wybrać sobie lalkę.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Matka nie podniosła na nią głosu. Nigdy tego nie robiła. Lecz Anna rozpoznała poważny ton w jej głosie i upór w spojrzeniu. Zadrżała, postanawiając, że się nie rozpłacze.

- Czy mogłabyś zostawić nas na chwilę, Luizo? - poprosiła hrabina z uśmiechem.

Anna poczuła, że serce w niej zamiera. Znała ten uśmiech, który tak naprawdę nie był wcale uśmiechem. Wołałaby, by stara Luiza została w pokoju, ale wiedziała, że lepiej o to nie prosić.

Służąca dygnęła, po czym ruszyła ku drzwiom prowadzącym do kuchni. Wychodząc, uśmiechnęła się do Anny serdecznie, chcąc dodać jej otuchy. Ale jej uśmiech nie działał zbyt wiele.

- Otwórz to! - poleciła hrabina, gdy tylko pokojówka zniknęła za wahadłowymi drzwiami. - Zobaczmy, co też mogło wydać się małej dziewczynce bardziej godne pożądania niż nowa lalka.

- Nie powinniśmy poczekać na tatusia?

- Otwórz to, Anno Mario. - Hrabina nie zamierzała pozwolić, by pięcioletnia spryciarka próbowała zmienić jej postanowienie.

Prezent sprawił Annę w taki zachwyt, że nie pomyślała o tym, jak zareaguje matka. Zaczęła niezdarnie rozdzierać papier spoconymi rączkami.

To była jej pierwsza wyprawa do stolicy. Siedziała na kolanach ojca, spoglądając na wszystko szeroko otwartymi oczami, a powóz podskakiwał na wyboistej drodze. Trwało to całe godziny, lecz wreszcie dotarli do przedmieść Warszawy, potem przekroczyli drewniany most na Wiśle i koła pojazdu zaturkotały na brukowanych ulicach stolicy. Miasto było doprawdy zadziwiające, jakby żywcem wyjęte z jednej z jej książeczek.

- Och, tato! - zawołała, kiedy mijali Zamek Królewski. - Czy tu mieszka król? Naprawdę?

Ojciec uśmiechnął się.

- Tak, naprawdę.

Przejechali obok katedry pod wezwaniem Świętego Jana, mijając rezydencje bogatej szlachty. Bardzo bogatej. Ojciec nazywał tych ludzi magnatami.

- Dlaczego ty nie jesteś magnatem? - spytała.

- Mam tyle, ile mi trzeba - roześmiał się, przytulając ją. Na dziedzińcu przed Zamkiem zadarli głowy, by spojrzeć na kolumnę Zygmunta. Król, odlany z brązu, dzierżył w jednej dłoni krzyż, a w drugiej miecz - niczym jakiś święty wojownik. Ojciec powiedział jej, że to właśnie ów król przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy. Po latach będzie pamiętała Zamek jako wielką i onieśmiałającą budowlę, natomiast wspomnieniem zachowanym w sercu pozostanie uścisk ojca - bijąca od niego siła, ciepło i lekki zapach mydła do golenia.

Wjechali na Rynek, utkany sklepami i straganami niczym połyskujący plaster miodu. Było tam pełno lalek wszelkiego rodzaju, pięknych i ubranych podług najnowszej mody. Podobały się Annie, lecz kiedy jej spojrzenie padło na iskrzący się przedmiot, który teraz rozpakowywała, wszystko inne przestało dla niej istnieć.

- Czy właśnie to chciałybyś dostać, Aniu? - spytał ojciec. Spojrzała na niego, uświadamiając sobie, że właśnie zamierza spełnić jej życzenie.

- Och, tak! - zawołała.

Tego dnia w zaczarowanym mieście królów wyobrażenia święta, życzeń i magii zlały się w jej umyśle w jedno. Zdawałoby się, na zawsze.

Czerwony papier pękł na rogu, potem na drugim. Ukryty pod nim przedmiot zabłysnął i zamigotał.

Hrabina, zniecierpliwiona, pośpieszyła córce z pomocą i po chwili został odsłonięty. Przed hrabiną stał przepięknie cięty kryształ, pulsując życiem i ciepłem. Wyłaniające się z kryształowej podstawy delikatnie rzeźbione nóżki unosiły postać ptaka. Skrzydła miał rozłożone, a dziób uniesiony, jakby podrywał się do lotu.

- Co to takiego!?!- krzyknęła hrabina.

Anna nie potrafiła rozpoznać, czy matka jest zachwycona, zaskoczona, czy rozgniewana. Mimo to jej strach ulotnił się na widok cudu, jaki miała przed sobą.

- Och, to ptak, mamo. Kryształowa gołębicą! Czyż nie jest piękna?

- Widzę, że to ptak, Anno Mario. Lecz dlaczego ty czy jakakolwiek inna dziewczynka miałyby pragnąć czegoś takiego? I to zamiast lalki!

- Bo to jest takie ładne, mamusiu. Wiesz, że uwielbiam ptaki. Zawsze chciałam mieć choć jednego, ale tatuś powiedział, że ptaki powinny być wolne. A tego mogłabym zatrzymać. Spójrz tylko, jak błyszczy i rzuca iskry. Poza tym... jest zaczarowany!

- Zaczarowany?

- Och, tak.

- Dlaczego miałyby być zaczarowany?

- Widzisz, jak światło przenika przez kryształ? Widać wszystkie kolory, jak w tęczy.

- Raczej jak w pryzmacie - stwierdziła hrabina.

- Jak w czym?

- Mniejsza z tym, mów dalej.

- No więc sprzedawca powiedział, że ptak jest zaczarowany. I że zanieś mnie tam, gdzie będę chciała. Nawet do garnca ze złotem na końcu tęczy!

- Co za stek pompatycznych bzdur! To nie ptak jest zaczarowany, tylko język tego sprzedawcy. Założę się, że nieźle sobie policzył za ten nonsens!

Serce Anny zabiło gwałtownie. Spojrzała na matkę. Twarz hrabiny poróżowiła.

- Ale tatuś... - dziewczynka umilkła, gdy matka uniosła ostrzegawczo palec.

- Anno Mario, kochanie, to twoja matka zaproponowała, abyś dostała na imieniny lalkę, czyż nie? Nie sądzisz, że matka wie lepiej niż ty, czym powinnaś się bawić?

Anna z trudem powstrzymywała łzy. Gdyby tylko potrafiła wytłumaczyć, że pokochała tego ptaka! Próbowała z całych sił, lecz matka i tak nie zrozumiała.

- Miewasz dziwne pomysły, skarbie - mówiła tymczasem hrabina - i upierasz się przy nich. Tak, możesz patrzeć na ptaka, lecz lalką mogłabyś się bawić.

Czyżby w jej głosie pojawiły się łagodniejsze nutki? Anna ośmieliła się mieć nadzieję.

Hrabina wzięła ptaka do rąk, przeniosła go przez pokój i postawiła na najwyższej półce serwantki z porcelaną, poza zasięgiem rąk Anny.

- Zostanie tutaj, dopóki nie postanowię, co z tym zrobić. Jeśli nie chcesz lalki...

- Ale mam już Buttons!

- Starą szmacianą kukłę! - powiedziała hrabina, odwracając się do córki.

- Nie potrzebuję innej...

- I nie dostaniesz. Być może w tym roku będziesz musiała obyć się bez prezentu. Czy masz pojęcie, jak bardzo zdenerwowałaś mamę?

Anna patrzyła na matkę zaciskającą wargi tak, że zmieniły się w cienką linię, a potem zupełnie znikły.

- Masz pojęcie?

Anna nie odważyła się odezwać.

- Widzę, że nie. Idę na górę się położyć. Dokończ śniadanie - powiedziała hrabina i wyszła z jadalni.

Dziewczynka powoli kończyła jeść zimny już posiłek, nie odrywając spojrzenia szeroko otwartych oczu od szafki z uwięzioną w niej gołębicą.

- Ach, Anno - zawołała śpiewnie Luiza, podchodząc do kredensu. - Widzę, że jesteś gotowa na kawałek babki, moja mała solenizantko!

Jednakże dziewczynka ześliznęła się z krzesła i wyszła, nim pokojówka zdążyła się odwrócić. Była już w połowie schodów, gdy usłyszała wołanie Luizy.

Nie odwróciła się.

- O co chodzi, moje zielone oczęta? - zapytał ojciec. Zsiadł z konia i stał, górując nad córką. - Płakałaś? Dlaczego?

Anna czekała na niego w stajni od ponad godziny. Ukradkiem wyszła z pokoju, zeszła na parter klatką schodową dla służby, przebiegła przez kuchnię i wyniknęła się tylnymi drzwiami. Minęła dziedziniec i weszła do stajni. Z niepokojem czekała na ojca. Gdy była smutna lub zdenerwowana, zwykła wsuwać w swoje długie brązowe włosy rozprostowane palce i przesuwając nimi kojącymi ruchami jak miękką szczotką, tak jak robiła to pokojówka podczas czesania. Jednak dzisiaj stary nawyk miast uspokajać zdawał się powiększać niepokój. Nawet obecność cudownie majestatycznych koni nie rozproszyła jej smutku.

- Aniu - dopytywał się ojciec, unosząc ją i sadzając na siodle. - Znowu ciągnęłaś się za włosy... Powiedz mi, co się stało.

Nagle uświadomiła sobie, że patrzy na ojca z góry. Siedziała na koniu po raz pierwszy w życiu i serce biło jej jak szalone. Zwierzę poruszyło się pod nią i było to tak, jakby góra zbudziła się do życia. To ekscytujące zdarzenie nie odwróciło jednak na długo jej uwagi od dręczącej myśli o utraconym ptaku. Z trudem powstrzymując łzy, opowiedziała, co się wydarzyło. Napłakała się już

dość w swoim pokoju i nie zamierzała dopuścić, by ktokolwiek widział ją płaczącą. Nawet ojciec.

- To poważna sprawa - powiedział hrabia, kiedy skończyła relację.

- Naprawdę muszę z niego zrezygnować, ojcze? Nie mogę zatrzymać ptaka?

- Czy matka powiedziała, że nie pozwala ci go zatrzymać?

- Nie, nie powiedziała tego.

- Lecz sądzisz, że właśnie to miała na myśli?

Anna skinęła głową. Przygryzła dolną wargę i uniosła bezwiednie dłoń ku włosom.

- No dobrze - powiedział ojciec, delikatnie powstrzymując dłoń córki - nie wolno nam tracić nadziei. Zobaczę, co da się zrobić.

- Porozmawiasz z nią?

- Och, podejrzewam, że to ona będzie chciała mówić ze mną - odparł, śmiejąc się. - Ale tak, porozmawiam z nią.

- Dziękuję, tatusiu!

- Chodźmy zatem.

Zdjął córkę z konia, a kiedy jego usta znalazły się tuż przy jej uchu, powiedział:

- Czasami trzeba po prostu zdać się na los.

Anna objęła ojca mocno za szyję. Pachniał polem i wiatrem. Jeszcze jeden zapach, który zachowa na zawsze w pamięci.

- Nie obiecuję, że mi się uda. A nawet jeśli, może to oznaczać, że będziesz musiała sprawić mamie przyjemność w inny sposób. Lub zrezygnować z czegoś.

- Och, zrobię wszystko, absolutnie wszystko.

- Zobaczę, co uda mi się wskórać.

Widocznie rozmowa zakończyła się pomyślnie, bo kiedy Anna obudziła się następnego ranka, na stole obok łóżka stała mieniąca się w świetle gołębica. Dziewczynka podniosła ją delikatnie, jakby ptak był żywy, zafascynowana zaklętą w nim tęczą. Miną lata, nim dowie się, co zostało poświęcone, by mogła zatrzymać ptaka, i kolejne, nim zrozumie sens filozoficznego stwierdzenia ojca: „Czasami trzeba po prostu zdać się na los”.

Część pierwsza

Trzech rzeczy nie sposób ukryć: ognia, chłodu i miłości.
Przysłowie polskie.

Rozdział pierwszy.

Halicz, rok 1791.

Zastygła w bezruchu, niczym postać z obrazu, pośród kwiatów i traw, samotna, z daleka od domu. To ostatnie wydarzenia, a nie lata dorastania sprawiły, że Anna straciła zrodzoną w dzieciństwie zdolność do przenoszenia się w świat wyobraźni. Prawdę mówiąc, ta młoda dziewczyna, stojąca u progu kobiecości, straciła również więź z całym otaczającym ją światem realnym.

Popołudnie było wręcz sielankowe, a łąka mieniła się barwami, emanując ciepłem. Na sąsiednim polu wietrzyk poruszał kłosami pszenicy i jęczmienia, wprawiając łany w pełne wdzięku falowanie. Po jakimś czasie Anna skupiła wzrok na świeżo opadłych liściach, niesionych wiatrem. Uderzały o pień potężnego dębu, odlatywały, wirując, by po chwili znów zbliżyć się do drzewa. W ich niespokojnych wzlotach, w ich bezradności wobec porywów wiatru odnajdywała coś w rodzaju braterstwa. Ona także unosiła się bezwolnie na falach życia. A gdzieś w głębi jej istoty wzrastała kolczasta róża, kłująca i boleśnie przeszywająca niczym żałobny głos syren dochodzący zza horyzontu.

Jak mogło do tego dojść? Zaledwie przed kilkoma miesiącami, gdy uchwalano Konstytucję 3 maja, świat Anny był uporządkowany i szczęśliwy. Jej ojciec cieszył się z wprowadzanych reform. Nie widział w nich zagrożenia, jak niektórzy spośród szlachty. Hrabia Samuel Berezowski nie był magnatem ani arystokratą, lecz średnio zamożnym szlachcicem. Jego prapradziadek otrzymał tytuł hrabiego, kiedy w 1683 pomógł legendarnemu królowi Janowi Sobieskiemu i wojskom chrześcijańskiej Europy zatrzymać Turków z dala od Wiednia. Hrabia osobiście zarządzał niewielkim majątkiem i już wcześniej dał chłopom z należącej do majątku wioski, liczącej dwanaście rodzin, swobodę myślenia i działania. Stało się zwyczajem, że chłopci zwracali się do niego: Panie Berezowski.

Dla matki Anny także nastały szczęśliwe dni, była bowiem w ósmym miesiącu ciąży. W młodości hrabina Teresa przeciwstawiła się krewnym, odrzucając związek z magnatem, by pójść za głosem serca. Nie osłabiło to jednak jej ambicji, aby dzieci, dzięki odpowiednim małżeństwom, podniosły

status rodziny. Choć wolałaby, by pierwszy urodził się syn, cieszyła się razem z Samuelem, gdy na świat przyszła zdrowa, zielonooka dziewczynka, Anna Maria. Wierzyła, że wszystko jeszcze przed nią i w następnych latach wyda na świat zastępy chłopców. Tymczasem kilka następujących po sobie poronień osłabiło jej zdrowie i nadwerężyło urodę. Mimo to, wbrew radom lekarzy, upierała się, by wciąż na nowo zachodzić w ciążę. Jednak dopiero teraz, po siedemnastu latach od urodzenia Anny, wydawało się pewne, że zdoła donosić kolejne dziecko.

Stosunki Anny z matką poprawiły się po incydencie z gołębicą, choć nigdy nie stały się tak naprawdę bliskie. Z czasem dziewczynka uświadomiła sobie, że choć kocha oboje rodziców, musi pogodzić się z tym, że główną troską matki było sprowadzenie na świat chłopców. Podczas gdy ojciec obdarowywał Annę miłością hojnie i bez ograniczeń, matka zaszczerpiła w niej - zarówno poprzez słowa, jak i zachowanie - poczucie, że nie jest w pełni wartościowa. Dziewczyna zamknęła się w sobie, uciekając do królestwa wyobraźni.

Zatopiona we własnym świecie, pośród baśniowych postaci i miejsc, marzyła o bracie lub siostrze, którzy mogliby stanowić kotwicę, łączącą ją z realnym światem.

Jednak nie dane jej było mieć rodzeństwa.

Feliks Paduch, chłop z majątku, sprawiał kłopoty od zawsze. Gdy tylko podrośł, zaczął kraść i wdawać się w bijatyki.

W wieku trzydziestu lat był leniwym, zapijaczonym, zgorzkniałym i mściwym człowiekiem, kwestionującym swą pozycję społeczną i nienawidzącym świata. Chłopi szeptali, że był zamieszany w zabójstwo podróżującego po okolicy Francuza, lecz żaden nie ośmielił się otwarcie go oskarżyć.

Hrabina Berezowska namawiała męża, aby wyeksmitował Paducha z majątku, i hrabia dwukrotnie omal tego nie zrobił. W kilka dni po uchwaleniu konstytucji wybrał się do chaty Paducha, gdyż jeden z sąsiadów, szlachcic, oskarżył go o kradzież kilku worków ziarna. Hrabina próbowała powstrzymać męża, przekonując, że starosta sam poradzi sobie ze sprawą, lecz hrabia, czując się odpowiedzialny za swoich chłopów, nie chciał pozostawić jej w rękach magistrackich urzędników.

Tego właśnie dnia życie szczęśliwej dotąd rodziny zmieniło się na zawsze. Anna siedziała właśnie przy oknie położonej na drugim piętrze sypialni, czytając francuskie tłumaczenie *Snu nocy letniej*, gdy usłyszała, że na dole coś się dzieje. Wyjrzała przez okno i zobaczyła gromadkę ośmiu czy dziesięciu

chłopów otaczających dwukołową furmankę. Na niej zaś, ułożone na słomianej macie, leżało ciało jej ojca.

Ponieważ chłopów łączyły z panem więzy oparte na wzajemnym szacunku, tym razem nie zawahali się przed oskarżeniem Paducha o morderstwo. To Anna musiała powiadomić o wszystkim matkę, a potem - sama pogrążona w smutku - wysłuchiwać, jak hrabina oplakuje męża, oskarżając go jednocześnie o to, iż zaangażował się w sprawę niegodną jego statusu, jaką było dociekanie winy Feliksa Paducha.

Hrabina popadła w rozpacz. Zdaniem Anny szok spowodowany utratą męża przyśpieszył poród. Chłopiec żył tylko dwa dni. Hrabina nie doszła już do siebie po śmierci hrabiego i trudach trwającego trzynastu godzin porodu. Gdy dziecko zmarło, przestała jeść i w tydzień później, nieprzytomna z bólu, gniewu i rozpacz, również zmarła.

Tak oto w ciągu kilku zaledwie dni Anna straciła rodzinę. Nić jej spokojnego życia w Sochaczewie została zerwana.

Tego dnia, w dniu śmierci matki, stała w ogrodzie, niezdolna płakać. Jakże jej matka kochała kwiaty, które tu rosły! Prawdę mówiąc, Anna zainteresowała się ogrodnictwem, by przypodobać się matce, która uwielbiała świeże kwiaty w domu. Wiosną tamtego roku, kiedy przyniosła do domu kryształową gołębicę, ojciec pomógł jej założyć własny ogród. Uprawiała go i starała się sprawić matce przyjemność, dostarczając wciąż nowe bukiety.

Całe to ogrodnicze przedsięwzięcie sprawiło, że Anna pokochała rośliny. Ojciec dał jej cebulki sprowadzone z Holandii. Posłusznie zasadziła je na jesieni, dziwiąc się, jak coś tak śmiesznego może stać się zaczątkiem delikatnego, wysublimowanego piękna. Lecz wiosną zielone pędy przebiły brunatną ziemię i dzięki obfitym deszczom wysunęły ku niebu dzielne, potężniejące z każdym dniem ramiona. Anna zasadziła cebulki w równych rzędach niczym żołnierzy, toteż kiedy pąki otwarły się nagle, wybuchając feerią barw - czerwieni, fioletu, pomarańczu i żółci - ledwie mogła powściągnąć radość. To było jak cud. Chwila, kiedy wręczyła zaskoczonyj matce pierwszy bukiet, do tej pory napawała ją dumą. Z czasem doszła do wniosku, że kwiaty w symboliczny sposób odzwierciedlają różnice pomiędzy jej rodzicami: podczas gdy ojciec uwielbiał żyjące, rosące na grządkach rośliny, matka wolała podziwiać kwiaty cięte, zanurzone w chłodnej wodzie i ustawione w zacienionych pokojach.

Sposób, w jaki matka potraktowała ją, kiedy przyniosła do domu gołębicę, był dla Anny nauczka i wpłynął na charakter ich wzajemnych stosunków. Anna

uparcie kochała matkę, lecz podstawy tej miłości były na tyle chwiejne, że choć nigdy całkiem się nie załamały, zawsze istniała taka groźba. Choć trudno jej było się z tym pogodzić, Anna wątpiła, czy matka naprawdę ją kocha. Hrabina pozostała chłodna uczuciowo, a jedynym wyrazem jej miłości bywało przytaknięcie lub lekkie poklepanie po głowie. Była to miłość dozowana oszczędnie, jak ładnie opakowane świąteczne cukierki, i okazywana tak rzadko, że Anna przechowywała w pamięci każdy jej przejaw jak bezcenny skarb. Dorastała pewna jedynie bezwarunkowej miłości ojca, miłości, która promieniowała ciepłem niczym słońce.

Polegała na nim w pełni, toteż kiedy zginął, zdała sobie sprawę, że nie ma już komu zaufać. Nawet on ją zawiódł, umierając. Jeśli bowiem w swoim postępowaniu zdał się na los, nie wynikło z tego nic dobrego.

Starsza siostra matki, hrabina Stella Grońska, przybyła wraz z mężem i córką Zofią na jeden pogrzeb, a przyszło jej uczestniczyć w trzech. Gdy opuszczali Sochaczew, by wrócić do swego majątku pod Haliczem na południu Polski, nalegali, by Anna wyjechała wraz z nimi. Hrabia i hrabina zostali jej prawnymi opiekunami do czasu, aż ukończy osiemnaście lat.

Z początku Anna była im wdzięczna. Jej dotychczasowy świat przestał istnieć, cieszyła się więc, że jest ktoś, kto za nią myśli i decyduje. A ciotka i wuj byli ludźmi kochającymi i serdecznymi. Zofia też traktowała ją życzliwie, choć bardzo się od siebie różniły. Kuzynka była bowiem kobietą światową i z natury towarzyską.

Państwo Grońscy starali się, jak tylko mogli, by Anna dobrze się u nich czuła. Jednakże z czasem tęsknota za domem i znajomym otoczeniem stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Jej sny były mroczne, przepełnione poczuciem odrzucenia i osamotnienia. Czasami w nocy budziła się na dźwięk własnego głosu, wołając ojca. Ciotka i wuj bardzo przejmowali się tymi atakami melancholii, lecz Anna tylko udawała, że ich starania przynoszą ukojenie. Tęskniła za bezpiecznym schronieniem w ojcowskiej bibliotece, gdzie spędziła w dzieciństwie tyle godzin, przenosząc się do innych miejsc i w inne czasy dzięki książkom, stojącym na pokrytych politurą półkach. Przede wszystkim zaś pragnęła oplakiwać rodzinę u grobu, dotykać ziemi, która tuliła jej bliskich, czego ona nie mogła już robić.

Często zastanawiała się, dlaczego dane jej było przetrwać. Czy uczyniła coś, co spowodowało, że utraciła swój świat? Czasami łapała się na tym, iż żałuje, że nie leży obok rodziny na wzgórkach, gdzie cztery pokolenia Berezowskich spoczywały pośród stokrotek, bławatków i maków. Co jeszcze

życie mogło jej zaoferować? Nastąpił w nim tragiczny zwrot, który przywodził na myśl opowieści i legendy z dzieciństwa. One też często kończyły się tragicznie. Dlaczego?

Kiedy podrosła, wyrobiła w sobie nawyk czytania tylko do momentu, gdy historia zaczynała przybierać zły obrót. Wtedy odkładała książkę i wymyślała własne szczęśliwe zakończenie. Jej ulubioną historią była opowieść o Juracie, królowej Bałtyku. Choć Anna nie potrafiła w pełni identyfikować się z tą legendarną pięknoscią, cieszyła się, że miały przynajmniej coś wspólnego: zielone oczy. Tym, co najbardziej podziwiała w bogini, była zdolność poddania się namiętności. Och, jak bardzo pragnęła, by i jej przydarzyło się coś takiego!

Jurata mieszkała w bursztynowym pałacu na dnie morza. Pewnego dnia młody rybak złamał jedno z ustanowionych przez nią praw, ale życzliwa bogini przebaczyła mu. Zakochała się w rybaku i, odważnie sprzeciwiając się prawom i obyczajom, co wieczór podpływała do brzegu, by się z nim spotkać. Anna uważała, że legenda jest bardzo romantyczna. I właśnie w tym miejscu zwykle wносиła do historii istotne poprawki. Nie podobało jej się tragiczne zakończenie, w którym bóg błyskawic i piorunów, Perkun - zakochany w Juracie - wpadł w gniew, ponieważ złamała ona prawo mówiące, że istoty z innego świata mogły łączyć się tylko pomiędzy sobą. Perkun zniszczył pałac uderzeniami pioruna i od tej pory nikt już nie widział Juraty. Fragmenty zburzonego pałacu wypływały czasem na bałtyckie plaże, a ludzie zbierali je i cenili jak skarby.

W zakończeniu wymyślonym przez Annę Jurata zamknęła się w swym bursztynowym pałacu, burząc go kawałek po kawałku - wyczyn godny herosa. Potem zaś podstępnie rozbudziła wśród bogów i bogiń namiętność do żółtego kamienia. W końcu złagodziła gniew Perkuna, zdradzając mu miejsce, gdzie ukryła największe na świecie zasoby bursztynu, czyniąc go tym samym jeszcze potężniejszym i bardziej poważanym.

Namiętność Juraty była tak wielka, że bogini przybrała ludzką postać, odrzucając nieśmiertelność z miłości do rybaka.

Do Anny stojącej nieruchomo pośród łąki tylko częściowo docierał świat, który ją otaczał. Była niczym intruz na francuskim obrazie, przedstawiającym wiejską sielankę. Czy roztaczający się przed nią widok jest aby prawdziwy? Być może jej życie to już tylko sen... Czy mogłaby śnić życie? Myśl ta, choć dziwna, pobudzała wyobraźnię. Czy coś takiego było w ogóle możliwe? W

tej chwili jej przypuszczenia nie wydawały się wcale bezsensowne. Gdyby tylko to, co się wydarzyło, było iluzją, pomyślała... Gdyby tylko...

Nagle z zadumy wyrwał ją głęboki męski głos:

- Hrabina Anna, jak sędzę?

Zbyt raptownie przywołano ją do rzeczywistości, toteż nim umysł Anny zdążył zareagować, z jej ust dobył się instynktowny, cichy okrzyk. Odwróciła się pospiesznie, kierując twarz ku zachodzącemu słońcu, i osłoniła oczy dłonią, by spojrzeć na dosiadającego wierzchowca mężczyznę.

Czuła na skórze żar popołudniowego słońca. Z początku widziała jedynie sylwetkę, rysującą się na tle nieba niczym wycinanka. Mimo to zorientowała się, że ma przed sobą kogoś, kto nie mieszka w majątku Grońskich.

- Piękny dziś dzień, prawda?

Uśmiechał się do niej w sposób, którego nie potrafiła zinterpretować.

- Kim pan jest? - Ledwie poznawała swój głos. Wydawał się taki obojętny i słaby. Czuła gwałtowne bicie serca i przez głowę przemknęła jej myśl o ucieczce.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem. - Nieznajomy przestał się uśmiechać. - Myślałem, że słyszy pani stąpanie mego konia.

- Owszem, przestraszył mnie pan. Niczego nie słyszałam. - Starła się odzyskać nad sobą kontrolę. Nie będzie uciekała. - Mógł pan zawołać do mnie, zbliżając się.

- Naprawdę, bardzo mi przykro, hrabino Anno - bo jest pani nią, prawda?

Przypomniała sobie o formach towarzyskich.

- Pani Anna Maria. Rodzice nie używali tytułu.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, okrążając ją. - Tutaj wielu spośród szlachty to robi.

- Często podkrada się pan do ludzi?

Uniosła głowę, udając śmielszą. Zorientowała się, że mimo woli ona też się obraca, aż wreszcie nie musiała już osłaniać oczu dłonią. Była pewna, że przybysz zainicjował ten mały taniec specjalnie w tym celu.

- Sądziłem, że udało mi się przezwyciężyć ów brzydki nawyk, pani Anno Mario.

Jego niefrasobliwość była doprawdy denerwująca. Anna postanowiła nie odpowiadać.

- I co takiego sprowadza panią tutaj? - dopytywał się. Anna wykrzywiła wargi w uśmiechu, którego nauczyła się od matki, a który tak naprawdę nie był wcale uśmiechem.

- Mogłabym o to samo zapytać pana.

- To prawda.

Teraz to on musiał osłaniać oczy dłonią, mimo to wyciągnął ją, wskazując przed siebie.

- Ziemia pani wuja kończy się tam, na zachód, na tym polu pszenicy. Łąka należy do mnie.

- Och - Anna poczuła, że pewność siebie wypływa z niej niczym zimny górski strumyk. Jak zgrabnie ją usadził.

- Zatem jestem tu intruzem? Już sobie idę.

- Nie musi pani tego robić, Anno - powiedział z uśmiechem. - Lasów i pól nie zamyka się na klucz.

Było to powiedzenie, którym często posługiwał się jej ojciec, i kiedyś sądziła nawet, że sam je wymyślił. Spoglądając na nieznanego, powiedziała:

- Przyszłam tu dlatego, że łąka wydała mi się tak spokojna, tak sprzyjająca rozmyślaniom.

- No proszę, ładna dziewczyna - i na dodatek myśląca!

- Czy te cechy tak rzadko chodzą ze sobą w parze?

Ten człowiek jest niemożliwy, pomyślała, prostując dumnie plecy.

- Nie, oczywiście, że nie. Palnąłem głupstwo. Kobaltowo-błękitne oczy zabłyśły, gdy na nią spojrział. Uśmiechnęła się, unosząc głowę, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy. Roześmiał się.

Anna natychmiast uznała swe małe zwycięstwo za nic nie-znaczące. Czyżby naśmiewał się z niej? Odwróciła się.

- Dawno powinnam być w domu, więc jeśli pan wybaczy... Jednym szybkim ruchem zsunął się z czarnego ogiera. Strach natychmiast powrócił i Anna bezwiednie cofnęła się o krok.

- Och, nawet się sobie nie przedstawiliśmy - powiedział mężczyzna. - Proszę pozwolić, bym jeszcze przez chwilę panią zatrzymał. Jestem Jan Stelnicki z majątku Uście Zielone.

Wyprostował się i skłonił głowę, spoglądając na Annę. Ciemnoszare spodnie wetknięte w wysokie czarne buty, biała jedwabna koszula i czerwony pas w talii sprawiały, że prezentował się znakomicie. Strój młodego człowieka stanowił mieszankę wpływów polskich i zachodnich, lecz to, że nie miał nakrycia głowy, nie przystawało ani do polskich, ani do zachodnich obyczajów.

Anna skinęła głową, unosząc wzrok, by objąć spojrzeniem jego wysoką postać.

- Cóż, jak widać, wie pan, kim ja jestem, nie mam więc wiele do dodania.

Starła się mówić poirytowanym tonem, chociaż nie czuła się rozdrażniona. Pomimo braku kapelusza i nazbyt familiarnego zachowania w całej jego postawie i mowie znać było szlachectwo. Gdy stanął w cieniu wielkiego dębu, objęła wreszcie spojrzeniem arystokratyczne, męskie rysy pod grzywą falujących złotych włosów, roześmiane usta, brodę z dołeczkiem i te niezwykle ciemnoniebieskie oczy. Coś poruszyło się w głębi jej istoty: coś pierwotnego i nieznanego. Mężczyzna nie ma prawa być taki piękny.

- Pani Anno - powiedział tonem niemalże intymnym - czy pozwoli pani, że złożę jej wyrazy najgłębszego współczucia? Wiadomość o śmierci rodziców pani bardzo mnie zasmuciła.

- Dziękuję, panie Stelnicki.

Żal i rozpacz, które od miesięcy trawiły życie Anny, nagle jakby się odsunęły. Jej zniecierpliwienie w stosunku do nieznanego nieoczekiwanie utorowało drogę fascynacji, nie - wolnej jednak od ostrożności. Przyglądała się ruchom jego warg, porcelanowej bieli zębów. Nie miał wąsów, wbrew polskiej modzie i tradycji. Było w nim coś niezwykle pociągającego, a także siła, nie fizyczna - choć i tej mu najwyraźniej nie brakowało - lecz moc emanująca z wnętrza, wyczuwalna w spojrzeniu, w głosie.

- Czy długo zostanie pani u Grońskich? - zapytał.

Już miała odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, lecz zbyt długo zwlekała i nagle opuściło ją rozdrażnienie. Usłyszała, jak mówi, że owszem, pozostanie tu przez jakiś czas i że Grońscy traktują ją bardzo dobrze. Stelnicki odwrócił się, aby przywiązać konia do gałęzi. Zapytał, dlaczego do tej pory nie mieli okazji się spotkać. Przyglądając się, jak wiąże lejce, odparła, że przedtem była u wujostwa zaledwie dwa razy, i to przed laty. Stelnicki zapewne był wtedy na uniwersytecie. Kiedy odwrócił się do niej, Anna przezornie spuściła wzrok, pytając grzecznie, gdzie odbywał studia. W Krakowie, odparł, a potem przez dwa lata w Paryżu.

Anna udała, że nie zrobiło to na niej wrażenia. Nigdy nie była w Krakowie, ale bywała w Warszawie - niezbyt często, zważywszy, że jej dom rodzinny znajdował się tak blisko stolicy. Paryż jednak wydawał się jej nieskończenie daleki. Był Miastem Światła, kwintesencją europejskiej kultury. Bardzo chciałaby go zobaczyć. Choć trwające tam teraz rozruchy uczyniły stolicę

Francji dosyć niebezpieczną... Ile on może mieć lat, zastanawiała się, rozmawiając. Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy?

- Cieszę się, że nie zamierza pani wkrótce wyjechać - powiedział w pewnej chwili. - Ufam, że będzie mi wolno pokazać pani okolicę. Dożynki obchodzimy tu bardzo uroczyście...

Oszołomiona, przysłuchiwała się, jak młodzieniec opowiada o miejscowych zwyczajach, związanych z jesienią. Co sprawiało, że rozmawiał z nią tak, jakby znali się przez całe życie? Bezwiednie uniosła dłoń ku czarnej koronce pod szyją. Jego głos był taki ciepły, taki muzykalny, a spojrzenie niebieskich oczu kuszące jak wody jeziora w sierpniu. Mimo to zastanawiała się, czy jest szczery. Czy szczerłość i zbytnia śmiałość mogą iść ze sobą w parze?

- Panie Stelnicki - wtrąciła wreszcie, kiedy na chwilę umilkł, by nabrać tchu - obawiam się, że takie rozrywki jeszcze przez jakiś czas będą dla mnie niedostępne.

- Oczywiście. Proszę mi wybaczyć. - Skłonił się w pas. - Lecz i w zimie, kiedy już zrzuci pani żalobę, nie zabraknie tu atrakcji - przyjęcia, kuligi, a także...

Przerwała mu, uśmiechając się pobłaźliwie:

- Och, obawiam się, że za kilka tygodni ciotka i wuj zamkną dom. Zimę spędzimy w Warszawie.

- Oczywiście. Zapomniałem, że Grońscy mają taki zwyczaj. No cóż, dopóki pani tu jest, osobiście zorganizuję kulig. Nasze przejażdżki są w okolicy szeroko znane, a żaden dwór w Haliczu nie odmówi wzięcia udziału w takiej zabawie!

- I nie zaniknie drzwi przed uczestnikami, dopóki w piwniczce gospodarza zostanie choć trochę wódki - zaśmiała się Anna.

- No właśnie - zgodził się Stelnicki, wtórując Annie. Ale już po chwili westchnął ciężko i zrobił przesadnie rozczarowaną minę.

- Ach, ta zima nie będzie dla mnie zbyt przyjemna.

Ależ on ma tupet, pomyślała Anna. To, co powiedział przed chwilą, z pewnością nie było szczere.

Jednak sztuczny grymas znikł z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił i Stelnicki poweselał. Wbił w Annę spojrzenie niebieskich oczu.

- Czas jest panem świata i może być sprzymierzeńcem lub wrogiem. Niech będzie dla nas przyjacielem, pani Anno Mario.

Anna nie słyszała dotąd tego powiedzenia, lecz odczytała jego przesłanie i twarz jej zapłonęła rumieńcem. Śmiałość Stelnickiego wytrącała ją z

równowagi. Żaden mężczyzna, a już z pewnością nikt obcy, nie traktował jej tak bezceremonialnie. Gardło Anny, i tak już wyschnięte, zacisnęło się jeszcze bardziej, kiedy zastanawiała się, jak zmienić ten swobodny ton rozmowy.

- Nie spędza pan zimy w mieście, panie Stelnicki?

- Musi pani zwracać się do mnie po imieniu. Proszę. Miała wielką ochotę zgasić wyczekujący uśmiezek Jana.

Czy ten mężczyzna nigdy nie napotyka oporu? Lecz w tej samej chwili, kiedy to pomyślała, bezwiednie skinęła głową, w duchu obiecując sobie, że zignoruje prośbę.

Jej zgoda usatysfakcjonowała Jana i zaczął jej opowiadać, jak to przed laty zwykł spędzać grudzień i styczeń w Krakowie - gdzie mieszkał teraz jego ojciec - lecz doszedł do wniosku, że woli wieś. Tak, nawet w zimie, podkreślał, jakby przyznawał się do swego rodzaju dziwactwa. Wyglądało na to, że jego matka zmarła przed kilkoma laty. Zapewnił Annę, że wie, co ona czuje, i że czas pomoże uleczyć rany.

Mimo że był bezczelny, a ona zakłopotana, ku zaskoczeniu Anny coś w niej pragnęło przedłużyć rozmowę. Lecz kiedy wspomniała na swą żalobę, obowiązek skłonił ją, by powiedziała, że musi wracać.

- Doskonale - usłyszała w odpowiedzi - skieruję konia do domu Grońskich, jeśli zechce pani pojechać.

- Och, nie!

- Jeździ pani konno?

- Oczywiście, ale rozumie pan, wyszłam, aby się przejść. Inaczej wzięłabym wierzchowca. Chętnie przejdę się z powrotem. - Czuła, że mówi zbyt szybko, lecz Jan wydawał się usatysfakcjonowany wymówką.

- Cóż, pani Anno Mario - powiedział, kłaniając się. - Witam panią w Haliczu i będę niecierpliwie wyczekiwał następnego spotkania. Mam nadzieję, że pewnego dnia razem wybierzemy się na przejażdżkę. Widoki są tu niezwykle malownicze. Kiedy skończy się dla pani okres żaloby?

- Za trzy tygodnie.

Jego głęboki głos już nie wydawał się obcy ani przerażający. Brzmiał lirycznie, jak głos, o którym wiedziała, że gdzieś tam istnieje, i chowała go w głębi serca. Był jak pieśń przodków, pierwotna, a jednak kojąca. Czy on naprawdę aż tak się mną interesuje, pomyślała, czy też żaloba uczyniła mnie podatną na wzruszenia? A może wyobraźnia płata mi figle? Cóż to był za ptak, głupiutki i łatwy do schwytania, do którego Poloniusz przyrównał Ofelię? Słonka, tak, to była słonka. Czy tym właśnie jestem? A jednak serce Anny było

przyśpieszonym rytmem. Chciał zobaczyć się z nią znowu. Ta myśl była zarówno niepokojąca, jak ekscytująca.

- Proszę wybaczyć, że pani dziś przeszkodziłem - mówił tymczasem Stelnicki. - Po prostu z daleka wziąłem panią za Zofię, więc podjechałem. Z pewnością wpadnę do Grońskich za trzy tygodnie. Ale cóż ja tu widzę? Rumieniec?

Anna przeklęła go w duchu za to, że wytknął jej zmieszanie. Zmusiła się, by parsknąć krótkim śmiechem.

- To z pewnością zabawne. Nikt dotąd nie pomylił mnie z moją piękną kuzynką, zapewniam pana. Mogłabym sobie jedynie życzyć, aby wyglądać jak ona.

- Ależ, Anno - w tej sytuacji musi pani pozwolić, że będę tak się do niej zwracał - nie ma, doprawdy, powodu, by miała pani życzyć sobie tego.

Dosiadł swego czarnego wierzchowca. Skóra zatrzęszczała, kiedy poprawiał się w siodle ze swobodą i wdziękiem kogoś, kto jeździ konno przez całe życie.

Anna znów przyłapała się na tym, że się w niego wpatruje.

- Popatrz! - powiedział, wskazując coś szerokim gestem. - Widzisz te dwa polne kwiaty, żółty i fiołkowy? Różnią się od siebie jak dzień od nocy. Lecz kto mógłby powiedzieć, który z nich jest piękniejszy? Och, głupiec mógłby. Lecz tylko on.

Siodło zatrzęszczało znowu, kiedy pochylił się ku niej, jakby miał zdradzić wielki sekret.

- Ale czy wiesz, co mogłoby sprawić, że jeden zostałby uznany za bardziej godny pożądania niż drugi? - zapytał.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że Anna mogła jedynie w milczeniu potrząsnąć głową.

- Jego zapach!

Szeroki, łobuzerski uśmiech, widoczny na ogorzalej od słońca twarzy, odsłonił rząd białych równych zębów. Nagle ściągnął wodze, a kiedy koń stanął na tylnych nogach, pomachał Annie dłonią, zawrócił wierzchowca i pognął z wiatrem w zawody. Anna stała tak blisko, że ziemia zadrżała jej pod stopami, gdy olbrzymie zwierzę opuściło kopyta. Cofnęła się niepewnie, czując na twarzy powiew, wywołany gwałtownym machnięciem końskiego ogona.

Z oddali dobiegły ją słowa pożegnania.

Rozchyliła wargi, jakby zamierzała odpowiedzieć, i stała tak, spoglądając za nim, dopóki nie zniknął za szczytem wzgórza.

Nogi pod nią drżały. Czuła się jak ktoś porzucony przez wroga na polu bitwy. Młodzieniec był niepoprawny: nieznośnie pewny siebie, dumny, wyniosły. Sprawiał, że instynktownie próbowała się bronić, jakby podnosiła zwodzone mosty. No i żartował sobie z niej. Żółte i fiołkowe kwiatki, też mi coś. Jest pan szelmą i hultajem, panie Stelnicki!

Mimo to fascynował ją. Przez krótką chwilę w jej życiu zagościło coś poza śmiercią, ciemnością i żalobą. Opadła na ziemię, a sztywna satynowa spódnica wydeła się wokół niej jak wielka czarna poduszka.

Świat był taki sam jak przedtem, zanim pojawił się Stelnicki. Liście tańczyły na wietrze. Motyl trzepotał skrzydełkami pośród polnego kwiecia. Na pobliskiej gałęzi przycupnął niepewnie mały wróbel.

Anna siedziała, odtwarzając w myślach spotkanie. Próbowała uporządkować swoje odczucia. Oczywiście Stelnicki jest uderzająco przystojny, przyznała. Lecz poza urodą było w nim coś jeszcze, jakiś szczególny wdzięk lub rodzaj energii, przyciągający niczym magnes. Jedno zwykłe spotkanie, a już czuła, że w jej życiu zaszła zmiana. Może czekał ją wysniony romans, o jakich czytała, marzyła, wymyślała je?

Nagle ogarnęło ją zwątpienie. Uśmiechnęła się kpiąco. Nie będę jak ta niemądra słonka. Nie dam się złapać tak łatwo. Jestem zbyt dojrzała, żeby zadurzyć się jak pensjonarka i wyobrażać sobie nie wiadomo co. Mimo to nie potrafiła uwolnić się od jednej myśli, jednego wspomnienia.

Matka często powtarzała Annie, iż wiedziała, że wyjdzie za jej ojca już w chwili, gdy pierwszy raz go ujrzała. I zrobiła to, pomimo zastrzeżeń ze strony rodziców i ofert ze strony zamożniejszych i mających wyższą pozycję społeczną konkurentów.

Wiedziała! A zatem to możliwe. Na samą myśl o tym coś ścisnęło ją w piersi. Czy ze mną dzieje się podobnie?

Jednak umysł nie przestawał dręczyć jej wątpliwościami, odgrywając rolę adwokata diabła. Może Stelnicki nie był z nią szczery, myślała. Może wykorzystywał po prostu swój urok. Tylko po co miałyby to robić? Może od dawna ćwiczy się w sztuce uwodzenia. Może robi to z próżności...

Lecz było też coś głębszego - jakieś tajemnicze ogniwo - przyciągało ono Annę i przydawało znaczenia temu, co zdawało się jedynie przypadkowym spotkaniem. To ogniwo mógł wykuć jedynie kowal bogów, Hefajstos.

Siedziała, patrząc na łąkę, która nagle wydała jej się niezwykle barwna, pełna ruchu, pulsująca ciepłem i życiem. Po raz pierwszy mężczyzna wywarł na niej tak piorunujące wrażenie. Upajała się tym uczuciem jak francuskim

winem. Wypełniało jej ciało i umysł, przenosząc je w dziwną, nieziemską przestrzeń.

Chmury, które nie niosły deszczu, nadpłynęły nad łąkę, a potem odeszły. Słońce z wolna chyliło się ku zachodowi. Wreszcie wstała, płosząc wróbla, i zdecydowanym krokiem ruszyła ku domowi. Być może ma jednak przed sobą przyszłość. Jeśli można zmienić zakończenie legendy, dlaczego z historią jej życia miałyby być inaczej?

Wiatr się wzmógł i wydymając fałdy jej czarnej spódnicy, pchał ją do przodu niczym żagiel.

Roześmiała się i pobiegła. Biegając, myślała o tym, co powiedział Stelnicki, że czas jest panem świata. Już ona postara się, by był jej przyjacielem, nie wrogiem.

- W końcu - powiedziała na głos - potrzeba czasu, by nauczyć się jeździć konno!

RS

Rozdział drugi.

Pod Głogami, w rodzinnym dworze Grońskich, nikt nie zabroni jej jeździć. Nie tak, jak w Sochaczewie. Anna udała się prosto do swej sypialni na drugim piętrze. Umyła się i przebrała do kolacji, a potem podeszła do masywnej starej serwantki i wysunęła dolną szufladę. Wyjęła z niej drewniane, inkrustowane pudełko, dzieło tatrzańskich artystów. Ostrożnie postawiła szkatułkę na serwantce i uniosła wieczko.

Nawet tu, z dala od okna, kryształ lśnił jasno na tle czerwonej aksamitnej wyściółki. Anna wyjęła figurkę z pudełka i postawiła na czarnym marmurze. Obracała ją to w tę, to w tamtą stronę, nie mogąc się zdecydować. Dopiero tuż przed śmiercią matki poznała, jaką kryje tajemnicę. Czy to nie dziwne, że właśnie ów piękny, lecz martwy przedmiot przyczynił się do tego, że nie potrafi jeździć konno? Widok gołębicy jak zwykle sprawił jej przyjemność, lecz znajome uczucie spokoju, które ogarniało ją, kiedy patrzyła na rzeźbę, tym razem nie chciało się pojawić.

Powiedziała Stelnickiemu, że jeździ konno. Nigdy przedtem nie skłamała i fakt, że to zrobiła, mocno ją zaniepokoił. Nie wyniknie z tego nic dobrego, pomyślała.

Nie ma sprawy, uznała po chwili, Zofia mnie nauczy. I pewnego dnia wybiorę się z Janem na przejażdżkę.

Po raz pierwszy pomyślała o nieznanym, nazywając go po imieniu. Spojrzała w lustro i przekonała się, że jej twarz wyraża niepewność, ale i zadowolenie, jakby mimo nieobecności Jana rodziła się pomiędzy nimi pewna zażyłość.

Zostawiła gołębicę na serwantce, pewna, że służąca nie ośmieli się jej tknąć, i zeszła na parter, aby poszukać Zofii.

Znalazła kuzynkę i jej matkę w małym saloniku, z którego wchodziło się do pomieszczeń zajmowanych przez pana i panią domu: przedpokoju oraz sypialni. Była tak podekscytowana, że nawet nie usiadła, lecz bez namysłu, z dziecięcą beztroską opowiedziała o tym, jak poznała Jana Stelnickiego. Zofia okazała żywe zainteresowanie i Anna na chwilę zapomniała, że w salonie jest również ciotka. Lecz kiedy umilkła, spostrzegła, że hrabina mocno pobladła, a jej brązowe, pełne wyrazu oczy wpatrują się w siostrzenicę z wyrazem prawdziwej grozy.

- Chcesz powiedzieć, że spotkałaś się ze Stelnickim gdzieś na polu? I byłaś sama? - spytała.

- Nie, nie sama - zażartowała Zofia, nim Anna zdążyła się odezwać. - Przecież słyszałaś: Jan tam był. I cóż, kuzynko, co o nim sądzisz? Czy nie jest przystojny?

- O tak - odparła Anna cicho. - I czarujący.

- Pewnego dnia - mówiła dalej Zofia - zostanie hrabią Stelnickim.

- Hrabia czy nie - zaprotestowała ciotka - zachowuje się w sposób niedopuszczalny. Co za śmiałość! Nie został przedstawiony, a Anna była sama, bez przyzwoitki. I nie miał nawet na tyle dobrych manier, by włożyć kapelusz!

- Och, mamó, nie ekscytuj się tak - powiedziała Zofia. - Dostaniesz palpacji. Jutro też jest dzień.

- Tak, powinnam go doczekać!

Weszła służąca i powiedziała, że kolacja gotowa.

Anna nie miała apetytu. Była niespokojna jak wierzba na wietrze. W głębi serca ona też uważała spotkanie za niewłaściwe. Dlaczego nie pomyślała o tym, jak zareaguje ciotka? Co za głupi impuls kazał jej wszystko wypaplać? Ależ jestem niemądra. Muszę uważać, żeby najpierw pomyśleć, zanim coś powiem.

Podeszła do krzesła, na którym siedziała hrabina, przyklękła i ujęła dłoń ciotki.

- Och, nie oskarżaj go o zbytnią śmiałość, ciociu. Zbliżył się do mnie tylko dlatego, że z daleka wziął mnie za Zofię.

- I gdzie ja wtedy byłam? - spytała Zofia śpiewnie. - Gdybym tylko wiedziała, że na polach dojrzewają mężczyźni!

- Zofio!

Zofia zrobiła zabawną minę.

- Jesteś zbyt poważna, mamó.

- Nie tak poważna, jak byłby twój ojciec, gdyby usłyszał, co wygadujesz!

Hrabina ujęła dłoń Anny i powiedziała zdecydowanie łagodniej:

- Być może nie zdajesz sobie sprawy z niestosowności takiego postępowania, moje dziecko. Tak czy inaczej twoi rodzice nie zaakceptowałyby tej znajomości. Jan Stelnicki, choć dobry sąsiad i przyjaciel, nie jest katolikiem, lecz zwolennikiem ariańskiej herezji.

- To jego ojciec jest arianinem, mamó - wtrąciła Zofia. - Jan niezbyt przejmuje się religią.

Hrabina zacisnęła wargi tak, że jej usta przypominały sakiewkę o zaciągniętych troczkach.

- Różnica pomiędzy heretykiem a poganinem jest bardzo cienka, Zofio, i nie zamierzam o tym dyskutować.

Wstała nagle, pociągając Annę za sobą.

- Przejdziemy teraz do jadalni.

Uniosła twarz, by spojrzeć Annie w oczy, a w jej głosie dźwięczała stanowczość:

- Anno Mario, jestem zmuszona zabronić ci, byś oddalała się samotnie od dworu. Postaraj się także, by ani słowo na temat tego... tego spotkania nie dotarło do uszu wuja. Wyzywał mężczyzn na pojedynki, mając po temu mniej ważny powód. I żebyśmy dobrze się rozumiały: pod żadnym pozorem nie wolno ci spotykać się ze Stelnickim.

Na pozór kolacja przebiegła w serdecznej atmosferze. Anna rozmawiała z ciotką, wujem, kuzynką, odpowiadając na pytania, uśmiechając się, a nawet trochę śmiejąc. Jednak jej myśli i emocje nie brały w tym udziału. Przypomniała sobie pisklę ze złamanym skrzydłem, które kiedyś znalazła. Ojciec zrobił dla niego łubki, a Anna pielęgnowała ptaszka z oddaniem, wyczekując chwili, gdy po raz pierwszy wzniesie się w powietrze. Jednak pewnego ranka odkryła, że pomimo jej wysiłków i tłacej się w malutkiej piersi woli życia pisklę umarło w nocy.

Nim kolacja dobiegła końca, Annę znów, jak przed laty, ogarnęło przygnębienie.

Rozdział trzeci.

Zofia siedziała przy białej francuskiej toaletce, z nieobecną miną przesuując szczotką po lśniących ciemnych włosach. Zmyła już makijaż, a na jej twarzy malował się upór i powaga. Westchnęła głęboko do swego odbicia w lustrze. Nie pozostało jej nic innego jak tylko stawić czoło Annie i położyć kres jej dziecinnemu zadurzeniu.

Lecz jak to zrobić? Nie przestawała szczotkować włosów, wpatrując się jak zauroczona w swoje odbicie. Były dwie możliwości: Mogła stłumić zainteresowanie Anny, popierając matkę w kwestii stosunku Jana do religii. Kuzynka była zbyt nieskomplikowana i potulna, by sprzeciwić się całej rodzinie. Mogła też powiedzieć jej prawdę, że ma wobec Stelnickiego pewne zamiary. Lecz jeśli tak postąpi, może sprowokować kłopoty. Zastanawiała się, czy Anna mogłaby zawieść jej zaufanie. Gdyby rodzice dowiedzieli się, co zamierza ich córka, byliby wściekli, nie mówiąc o tym, że jej zamysły zostałyby unicestwione w zarodku.

Czarne oczy w kształcie migdałów wpatrywały się w zwierciadło, szukając tam odpowiedzi. Nie ucieknie od tego pytania. Czy kochała Jana? Przechyliła na bok głowę, zastanawiając się nad tym. Był niewiarygodnie przystojny i promieniował czarem. To, że odczuwali do siebie pociąg, nie ulegało kwestii. W ciągu tych kilku miesięcy, jakie minęły od jego powrotu z Paryża, kilka razy spotkali się potajemnie. Lecz dwa tygodnie temu - tuż przed tym, jak pojechała z rodzicami, by zabrać Annę z Sochaczewa - popełniła błąd, który postawił pod znakiem zapytania przyszłość ich romansu. Jednakże, nawet gdyby nie miała innych atutów, jej uroda i wyrafinowanie mogłyby - i z pewnością tak właśnie się stanie - skłonić go, by do niej wrócił.

Wpatrywała się w lustro niczym w głąb własnej duszy. Czy ja go kocham? Zadawała sobie to pytanie, gdyż wiedziała, że bez względu na to, jak jest naprawdę, może zostać zmuszona, by powiedzieć Annie, że kocha Jana. I nawet jeśli miałyby to być kłamstwo... cóż, lepiej być przygotowaną. Jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w swoje odbicie, aż wreszcie mogła uczciwie stwierdzić: nie kochała go. Po prostu pasował do jej planu. Czy tego chce, czy nie, odda jej nieocenioną przysługę. Jego wygląd i urok zaś były dodatkowymi atutami.

Nie miała zamiaru rezygnować z niego dla Anny. Cóż, trudno, będzie musiała kłamać, by zdusić w zarodku nadzieje kuzynki. Zaczęła się intensywnie zastanawiać. Wiedziała z doświadczenia, że kłamstwo, jeśli ma

być skuteczne, powinno być przemyślane i dopracowane do ostatniego szczegółu. Będzie ostrożna. Nie popełni błędu.

Mimo to czuła presję czasu. W Boże Narodzenie miała poślubić mężczyznę, którego dotąd nie widziała, a któremu została przyrzeczona przez rodziców, gdy była jeszcze niemowlęciem. Na samą myśl o tym krew gotowała się jej w żyłach.

Świat się zmieniał - lecz nie dla rodziców Zofii, zwłaszcza dla ojca. Nie ustąpią, chyba że zmuszą ich do tego okoliczności. Lecz ona także potrafi być uparta. I sprytna. Nie poświęci młodości i radości życia, wiążąc się z obowiązkiem z jakimś nudziarzem. Nic z tego.

Jan stanowił dla niej bilet do życia wolnego od ciasnych konwenansów. Jej plan przewidywał, że powie rodzicom o związku z Janem, kiedy ten zostanie skonsumowany. Jeśli nie zgodzą się zerwać wieloletniego narzeczeństwa, sama powie o tym narzeczonemu. Ale co będzie, jeśli narzeczony okaże się człowiekiem bez charakteru, niedbającym o to, czy panna młoda wejdzie do małżeńskiej łóżnicy nietknięta? Co wtedy? Jeśli zajdzie potrzeba, posunie się do tego, by oświadczyć, że jest przy nadziei. Co zaś się tyczy Jana, być może za kilka lat zgodzi się nawet za niego wyjść. Wątpiła, by trafił jej się lepszy konkurent. Tak, pewnego dnia może nawet go pokocha. Teraz jednak tęskniła za wolnością, nie za małżeństwem. Bardzo poważnie traktowała żartobliwe powiedzonko, że człowiek powinien przez trzy lata się wyszumieć, nim wstąpi w związek małżeński. Nie chciała odgrywać postarzającej roli żony, matki, babki - przynajmniej dopóki nie posmakuje życia. Najbliższe lata będą niczym złote dukaty, wydane na przyjemności.

Rodzice spiskowali, by ograbić ją z młodości. Na myśl o tym, że miałyby żyć jedynie dla obowiązków, zimny dreszcz przebiegał jej po plecach. Równie dobrze mogłaby umrzeć.

Wróciła myślami do kuzynki. Było jej naprawdę przykro, że Anna stała się częścią tej intrygi. Lubiła ją. Szkoda, że dziewczyna stanęła pomiędzy siłami, którym nie była w stanie stawić czoła. Bez wątpienia Jan był jak zwykle grzeczny i ujmujący, lecz przecież nie mógł naprawdę interesować się kuzynką. To byłoby śmieszne. Anna, naiwna i nieznająca mężczyzn, musiała źle ocenić jego intencje.

Och, kuzyneczka, o szeroko otwartych oczach i zaplecionych w warkocze włosach, była na swój dziecinny sposób ładna, lecz ciemnowłosa Zofia od dawna zdawała sobie sprawę, że jej uroda nie musi obawiać się współzawodnictwa. Podczas zebrań towarzyskich, zarówno tu, na wsi, jak i w

mieście, zawsze wzbudzała zainteresowanie, przyciągając mężczyzn tak, jak płomień przyciąga owady. Kobietom o wiele piękniejszym niż Anna nie udawało się przyćmić blasku Zofii. Nie, miała pewność, że dziewczyna nie stanowiła zagrożenia.

Była przekonana, że ze strony Anny to nic innego jak tylko niemądre zauroczenie, bez wątpienia pierwsze. Zdradzi swą zaściankową kuzyneczkę, lecz robi to najdelikatniej, jak będzie mogła. Anna jakoś przeżyje ten zawód, pomyślała. W końcu nie będzie miała wyboru.

Ktoś zapukał do drzwi. Zofia otworzyła je i zobaczyła córkę służącej. Dziewczyna była blada i ledwie mogła mówić.

- O co chodzi? - spytała Zofia ostro. - Napisał? Dał ci liścik? Mów!

Trzynastoletnia Marcelina wyglądała jak mysz schwymana w pułapkę. Zofia chwyciła ją za rękę i wciągnęła do pokoju, zatraskując drzwi.

- A teraz powiedz mi, co się wydarzyło!

Szare oczy dziewczyny rozszerzyły się ze strachu.

- On... zwrócił pani list. - Sięgnęła do kieszeni fartucha.

- Nie przeczytał go? Potrząsnęła głową.

Zofia uderzyła ją mocno w twarz.

- Odpowiedz!

- Nie, nie przeczytał - załkała Marcelina, podając Zofii kopertę. Z kącika jej ust sączyła się krew.

- Poprosił... poprosił, by pani... z łaski swojej...

- Tak? - dopytywała się Zofia. Miała ochotę uderzyć dziewczynę znowu, lecz powstrzymała się. - O co poprosił?

- By pani więcej do niego nie pisała - wyrzuciła z siebie Marcelina, zdobywając się na odwagę.

Zofia chwyciła list i przez chwilę wpatrywała się w niego, próbując otrząsnąć się z szoku.

Marcelina, spodziewając się, że za chwilę znowu oberwie, zaczęła szlochać i trząść się.

Po chwili Zofia odzyskała jasność umysłu.

- Dobrze już, dobrze, Marcelino. Przestań, powiedziałam! Weź tę chusteczkę, wytrzyj oczy i twarz. Możesz odejść.

Dziewczyna odwróciła się, by wyjść. Zofia chwyciła ją za nadgarstek.

- Wiesz, że nie wolno ci nikomu o tym wspominać, prawda? Przysięgam, Marcelino, jeśli się wygadasz, mój ojciec wypędzi stąd całą twoją rodzinę, i to z dnia na dzień. Zrozumiałas?

Dziewczyna patrzyła na nią w niemej rozpaczy. Zofia chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

- Zrozumiałaś? - spytała ponownie, wbijając jej w ciało długie paznokcie.

Marcelina zdołała jedynie skinąć głową i szepnąć:

- Oui, mademoiselle.

- To dobrze.

Zofia opanowała się już, a nawet zdołała uśmiechnąć.

- Twój akcent się poprawia. Zaczekaj, dam ci jedną z moich wstążek. Wiem, jak je lubisz.

Zaczęła przeszukiwać szufladę, lecz kiedy odwróciła się, trzymając w dłoni wstążkę, dziewczyny już nie było.

Zofia opadła na krzesło. Czy to możliwe, żeby odesłał jej list, nawet go nie czytając? Jan Stelnicki ją odrzucił.

Odrzucenie. Nie знаła dotąd tego uczucia i bardzo jej się nie spodobało. Jak to możliwe, zastanawiała się. Jej plany obracały się wniwecz, nim zdążyła wprowadzić je w czyn.

Co teraz? Gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji.

Minęło kilka minut. W końcu zacisnęła dłoń o długich, wypolerowanych paznokciach, zgniatając list. Nie wywiesi białej flagi z powodu jednego niepowodzenia. Zrobi coś. Tylko co? Potrzebowała czasu, by obmyślić następny ruch. Z początku wszystko szło dobrze. Podczas kolejnych spotkań w lesie ona i Jan stawali się sobie coraz bliżsi. Chociaż udawał dżentelmena, trzymając namiętność na wodzy, wiedziała, że ją kocha.

Wróciła myślami do ostatniego spotkania. Okazało się absolutną katastrofą. Jego niekończąca się rezerwa sprawiła, że straciła wreszcie cierpliwość. Teraz uświadomiła sobie w końcu, że zbyt się spieszyła, dążąc do zbliżenia. A wszystko przez to, że czas zamążpójścia nadchodził nieubłaganie, rodzice naciskali, a kodeks postępowania Jana nie był ani trochę bardziej nowoczesny niż ten, który wyznawali rycerze ze starych francuskich legend. Mówił, że troszczy się o jej honor.

Gdyby tylko wiedział.

To właśnie wtedy Zofia przejęła inicjatywę, pragnąc, by niewinne pieścizoty zmieniły się wreszcie w coś więcej. Oddała pocałunek z nieskrepowaną namiętnością, a potem zaczęła odpinać mu pas. Jej agresywność zaszokowała Jana. Zaszokowała i rozgniewała. Pokłócili się. Oczywiście popełniła błąd, i to poważny. Jej bezpośredniość zgasiła pożądanie, które, jak dobrze wiedziała, w nim płonęło. Ich rozstanie, tuż przed tym, jak

Grońscy wyjechali do Sochaczewa, było bolesne, a kłótnia pozostała nierozstrzygnięta. Była jednak pewna, że reakcja Jana stanowi jedynie przejaw urażonej męskiej dumy i że po kilku tygodniach chłopak złagodnieje.

Cóż, myliła się. Najwidoczniej źle go oceniła. Powróciła myślami do terażniejszości i spojrzała na zapieczętowaną kopertę. Dlaczego nie przeczytał listu? Rozgniewana, podarła go na drobne kawałeczki.

Siedziała, kipiąc z wściekłości. Czy były jeszcze inne powody jego zachowania? Czy zniechęciło go to, że miała wkrótce wyjść za mąż? Wiedział o długim narzeczeństwie Zofii, ale powiedziała mu, że zamierza sprzeciwić się rodzicom, kiedy nadejdzie czas. Czy obawiał się jej ojca? Narzeczonego? Czy to możliwe, by nie zależało mu na niej tak, jak sądziła? Natychmiast odrzuciła tę ostatnią możliwość. Naprawdę ją kochał - kobiecy instynkt podpowiadał jej, że podbiła jego serce.

A zatem o co mu chodzi? I jak mogłaby się z nim zobaczyć? Nauczyła się już, że nie powinna być zbyt przedsiębiorcza. Jak mogłaby zrobić cokolwiek, nie zdradzając się, że przejęła inicjatywę?

Poza tym musi jeszcze raz zastanowić się, co powie Annie.

Anna! Zofia wyprostowała się na krześle. Oczywiście! Spojrzała na swe odbicie szeroko otwartymi oczami. Dlaczego nie wpadła na to od razu? Przecież, gdyby była na jego miejscu, postąpiłaby dokładnie tak samo. To takie oczywiste!

Jan posługiwał się Anną, by wzbudzić w niej zazdrość!

Co mogłoby zainteresować go w prostej, wiejskiej dziewczynie? Anna, z jej zielonymi oczami, zaplecionymi w warkocz włosami, jej entuzjazmem i naiwnością! To jedynie niemądry fortel i nic poza tym.

Uśmiechnęła się do swego odbicia. Cóż, pozwoli mu realizować ten plan - mimo wszystko jednak go nie doceniła. A potem... Nauczka dobrze mu zrobi, pomyślała.

Postanowiła, że nie będzie pisała więcej listów ani przejawiała zainteresowania. Brak inicjatywy z jej strony z pewnością skłoni go, by do niej wrócił. Pewność siebie, jej nieodstępna towarzyszka, wróciła. Jan przyczołga się do niej na klęczkach. A ona pozwoli mu błagać i będzie rozkoszowała się każdą chwilą.

Nie, nie powie Annie, co łączy ją ze Stelnickim. Wręcz przeciwnie, będzie ją zachęcać, ot tak, dla zabawy. Naiwność i prostota dziewczyny obrócą się przeciwko niej; gdy zdejmie wreszcie żalobę, zapewne przywdzieje znów strój

wieśniaczki. Jan znudzi się nią błyskawicznie i wróci. Roześmiała się, spoglądając na swe odbicie, które wtórowało jej wesołości.

Do grudnia zostało jeszcze sporo czasu. W Boże Narodzenie rodzice nieodwołalnie zechcą wyegzekwować od córki posłuszeństwo i wydać ją za mąż. Jeśli im się uda, będzie to dla niej jak egzekucja, pomyślała z wisielczym humorem. Nie! Zwycięzę w rozgrywce z rodzicami i ze Stelnickim, a jeśli Anna wejdzie mi w drogę, cóż, niech Bóg mają w opiece!

Zofia zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do pokoju kuzynki.

- Witaj, kochanie.

- Dzień dobry.

Anna siedziała przy małym francuskim biurku.

- Pisziesz wiersze?

- Nie - roześmiała się. - Prowadzę dziennik i od czasu do czasu coś w nim zapisuję.

- Dziennik? Co za wspaniały pomysł! Ja też powinnam to robić. - Zofia uśmiechnęła się figlarnie. - Domyślam się, że piszesz o Janie Stelnickim?

Twarz Anny spłonęła rumieńcem.

- Tak myślałam!

Zofia wsparła dłonie na biodrach.

- Co takiego myślałaś?

- Och, nie bądź taka bojaźliwa. A może przemawia przez ciebie nieśmiałość? Cóż, to cię do niczego nie doprowadzi. Spodobał ci się, prawda? Spróbuj tylko zaprzeczyć.

- Potrafisz być okrutna, Zofio - powiedziała Anna, udając brak zainteresowania. - A jeśli nawet tak, co za różnica? Nie wolno mi się z nim spotykać.

- Bo mama ci zabroniła? - Zofia ruszyła drobnym kroczeniem w głąb pokoju. - Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tym za bardzo.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, że sprytna dziewczyna, taka jak ty, z pewnością potrafi uciąć sobie dyskretnie mały flirt.

- Nie powinnam sprzeciwiać się twojej matce.

- Nie musi o tym wiedzieć. Anno, kochanie, za rok będziesz stanowiła o sobie i zarządzała własnym majątkiem. Czy będzie to miało wtedy znaczenie? Młodą jest się tylko raz.

- Ile lat ma Jan?

- Jest dla ciebie za stary!

- Naprawdę? Tak uważasz?

- Naprawdę? - powtórzyła Zofia, wykrzywiając twarz w przesadnym grymasie zdumienia. - Tak uważasz?

- Zofio, proszę!

- Dwadzieścia pięć. - Skrzywiła lekko wargi, a potem rozciągnęła je w szerokim, domyślnym uśmiechu. - Boże, ty rzeczywiście się w nim zadurzyłaś! Prawda? Musiał być wyjątkowo czarujący. Gdy zechce, doprawdy trudno mu się oprzeć. Bądź ostrożna, moja droga. Jego nastroje bywają zmienne jak pogoda. Lecz widzę, że dzisiaj okazał się prawdziwym Don Juanem!

Z podniecenia Annie poróżnowiały policzki.

- Przypuszczam, że każda dziewczyna byłaby nim oczarowana. Ty nie jesteś, Zofio?

- Ja? Nie!

- Czy to dlatego, że jest starszy?

- Raczej nie. Żartowałam, jeśli chodzi o różnicę wieku, gąsko. Cóż, miewałam wielbicieli starszych od Jana. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Och, przyznaję, to najprzystojniejszy z mężczyzn, lecz moje upodobania sięgają, że tak powiem, szerzej.

Roześmiała się ostro, dwuznacznie. Szokowanie kuzynki sprawiało jej przyjemność.

- Po co zadowalać się różą, kiedy w ogrodzie rośnie tyle kwiatów, które tylko czekają, by je zerwać?

- Jesteś taka piękna, Zofio. Musisz mieć wielu adoratorów.

- Tu, na wsi, z pewnością jest ich zbyt mało. Za to w Warszawie! Zdziwiłabyś się. Podobnie jak moi rodzice. Ach, oni stanowią problem!

Zofia zaczęła przemierzać pokój.

- Na wsi niczego nie da się utrzymać w tajemnicy, lecz w mieście... cóż, są sposoby. Jednak wcześniej czy później będę musiała sprzeciwić się rodzicom. Och, Anno, oczekują po mnie, że wyjdę za mężczyznę, którego nie widziałam dotąd na oczy! To syn jakiegoś barona. Nasze rodziny zaplanowały, że się połączą, gdy byłam dzieckiem. Możesz sobie to wyobrazić? W dodatku mój narzeczony nie otrzyma tytułu ani majątku, dopóki stary baron nie spocznie w grobie. - Zofia odwróciła się do Anny i ciężko westchnęła. - Teraz już się tak nie postępuje, ale czy moi rodzice o tym wiedzą?

- Może zdołasz go pokochać, jeśli okaże się przystojny i szlachetny.

- Jak twój Don Juan? - zakpiła. - Jesteś niepoprawną optymistką, Anno. Nie wiem, czy zdołamy kiedykolwiek się dogadać.

Zofia spostrzegła szklanego ptaka i natychmiast do niego podeszła.

- Och, co to za figurka? Gołębica! Jest z kryształu?

- Tak. Dostałam ją na piąte urodziny. - Anna wstała, obawiając się o bezpieczeństwo swego skarbu. - Tatuś zabrał mnie do Warszawy, abym wybrała sobie lalkę ze szklanymi oczami i prawdziwymi włosami, ale ja zakochałam się w kryształowym ptaku. Mama dostała ataku złości, kiedy go zobaczyła.

Zofia porwała figurkę z blatu i pospieszyła z nią ku światłu, obracając kryształ na wszystkie strony.

- Ależ dlaczego, przecież jest śliczna. Spójrz tylko, jak przenikają światło.

Uświadomiła sobie, że Anna stoi tuż za nią.

- Nie obawiaj się, kochanie, nie upuszczę jej.

- Dopiero ostatnio domyśliłam się, że mama zmusiła tatę, aby obiecał, że nie będzie mnie uczył konnej jazdy. Tylko pod takim warunkiem pozwoliła mi zatrzymać gołębicę.

- Dlaczego to zrobiła? - spytała Zofia, odwracając się do kuzynki.

- Byłam jedynaczką i stale martwiła się o moje zdrowie. Gdyby udało jej się donosić choć jeszcze jedną ciążę, pewnie nie byłaby tak opiekuńcza.

- Ośmielę się powiedzieć, że wkrótce rozwiniesz skrzydła. A Jan będzie dobry na początek.

- Zofio! - zawołała Anna, zaszokowana.

- Och, nie odgrywaj mdłej heroiny z jednej ze swych książek.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że powinnam sprzeciwić się woli twoich rodziców?

- Oczywiście, tyle że po kryjomu. Ostrożnie odstawiła gołębicę na blat serwantki.

- Pójdę już się położyć, kochanie.

- Zofio?

- Tak? - Zofia odwróciła się do Anny. Anna postąpiła ku niej.

- Nauczysz mnie jeździć konno?

Zofia zmrużyła oczy, uśmiechając się z aprobatą.

- Och, Aniu, jesteś przejrzysta jak twoja szklana gołębica! Chcesz jeździć z Janem, to oczywiście. Nie denerwuj się, nauczę cię. - Objęła kuzynkę. - Uwielbiam to. Pomyśleć tylko, twój pierwszy romans.

- Ja... nie jestem pewna, czy dam sobie radę.

Zofia odsunęła Annę na odległość ramion.

- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie próbowałaś przechytryć rodziców? Nigdy nie dosiadłaś konia?

- Och, myślałam, żeby to zrobić. Gdy nie udało mi się ich przekonać, głównie mamy... zaczęłam wymyślać setki planów. Przekupiłam nawet wieśniaka, by mnie uczył.

- I co?

Anna spuściła wzrok.

- Nie mogłam tego zrobić.

- Och, Anno! Ze strachu czy z ucziwości?

- Nie wiem. Prawdopodobnie w grę wchodziło jedno i drugie.

Zofia puściła kuzynkę.

- Może i dorastałaś pod kloszem, Anno Mario Berezowska, ale dziś to ja ci zazdroszczę. Masz już tytuł, a za niecały rok będziesz mogła w pełni sobą rozporządzać. A ja? Prawdopodobnie będę wtedy starą zameźną kobietą, która najlepszą część życia ma już za sobą.

- Przesadzasz, Zofio. Jestem niemal pewna, że jeśli o to chodzi, zdołasz w końcu postawić na swoim.

Szczerść, widoczna w zielonych oczach Anny, na chwilę chwyciła Zofię za serce. Odrzuciła jednak głowę i roześmiała się.

- Cóż, droga kuzynko, wcale by mnie to nie zdziwiło.

Rozdział czwarty.

Anna nie potrafiła usunąć Jana ze swoich myśli. Beztroski śmiech i przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu nawiedzały ją niczym anielska zjawa. Słowa zachęty, wypowiedziane przez Zofię, dźwięczały jej w uszach, dodając odwagi do tego stopnia, że ośmielała się myśleć, iż powinna zobaczyć się z nim znowu. Czyż bogini Jurata nie sprzeniewierzyła się obyczajom i prawu, aby spotykać się z rybakiem?

Dziewczyna zdawała sobie jednak sprawą, że zakaz ciotki Stelli stanowi problem, którego nie należy lekceważyć. Postawiła sprawę jasno, a jeszcze przez jakiś czas miała być jej prawną opiekunką.

Na razie Anna czuła się podniesiona na duchu, gdyż Zofia zapewniła ją, że nie interesuje jej Stelnicki. Poradzi sobie jakoś z ciotką, lecz gdyby Zofia wyraziła zainteresowanie Janem, byłaby zdruzgotana. Usunęłaby się bez słowa protestu, nie tylko z uwagi na honor, lecz także dlatego, iż była przekonana, że Zofia zdobędzie każdego mężczyznę, którego zapragnie.

Gdy kilka tygodni temu Grońscy przyjechali po nią do Sochaczewa, Annę zaskoczyło, jak bardzo zmieniła się jej kuzynka. Pamiętała Zofię jako niezdarną, chłopakowatą dziewczynkę, nieustannie skarżącą się, że starszy brat nie włącza jej do swych podwórkowych zabaw. Już wtedy była rozpieszczona, a od Waltera oczekiwano, że będzie opiekował się siostrą i zapewniał jej rozrywkę. Zofia posiadała niedającą się wytłumaczyć umiejętność radzenia sobie z rodzicami, za co Anna bardzo ją podziwiała. Przekonawszy się, że napady złego humoru nic jej nie dadzą, rozwinęła do perfekcji umiejętności dyplomatyczne, które rzadko ją zawodziły.

Od tego czasu minęło zaledwie pięć lat i oto kuzynka stała się kruczowłosa, ciemnooką kobietą o niezwyklej urodzie i wyrafinowanym zachowaniu. Nie pozwalała, by zwracano się do niej zdrobniale „Zosiu”. Gdy powóz, kołysząc, toczył się drogą prowadzącą do Halicza, Anna wpatrywała się w kuzynkę, nie mogąc oderwać od niej oczu. Podziwiała rozkwitającą urodę Zofii i nieco jej zazdrościła. Czy to możliwe, że Zofia miała zaledwie osiemnaście lat i była tylko o rok starsza od niej?

Anna nie uważała się za piękną, a już z pewnością nie mogła równać się urodą z tak uderzająco pięknym stworzeniem, jakim stała się Zofia. Miała jednak nadzieję, że w sprzyjających okolicznościach może wydawać się atrakcyjna. Matka mówiła jej, że piękno to światło, które promienieje z wnętrza.

trza. I ona starała się w to wierzyć, chociaż czasami trudno jej było nie dostrzec w tym ironii, gdyż matka była bardzo urodziwa.

Kiedy Anna dorosła, okazało się, że wzrostem dorównuje większości mężczyzn, sylwetkę zaś miała smukłą, choć mocną.

- Twoja figura dopiero się kształtuje - powiedziała matka, gdy dziewczynka zwierzyła się jej, że martwi ją brak kobiecych kształtów. - Bądź cierpliwa. Jesteś teraz na wpół dzieckiem, na wpół kobietą, Anno Mario. Niedługo otoczy cię rój wielbicieli.

Według Anny jej największym atutem były włosy. Z wiekiem ściemniały nieco i miały teraz kasztanową barwę, rozświetloną rdzawymi pasemkami. W domu nosiła je podług wiejskiej mody - splecione w dwa grube warkocze, które sięgały jej do pasa. Jednak w okresie żałoby zaczęła splatać je w pojedynczy warkocz, który owijała wokół głowy jak koronę. Większość ludzi zwracała jednak uwagę przede wszystkim na jej szmaragdowe oczy, głęboko osadzone i nakrapiane bursztynem.

U Zofii Anna rozpoznała ten sam typ mrocznej urody, jakim szczyliła się jej matka. Zofia była chyba nawet od niej ładniejsza. Gdyby zagieła parol na Stelnickiego, wszystko byłoby stracone.

Przez kilka dni Anna nie wychodziła poza zabudowania dworu, zaznajamiając się z tym, co służba zwykła nazywać „dużym domem”, rozlokowanym majestatycznie na skraju urwiska nad rzeką Dniestr. Podobnie jak dom w Sochaczewie, a także wiele innych dworów drobnej szlachty, stanowiącej rdzeń polskiego społeczeństwa tamtych czasów, również ten dwór miał z frontu ganek podparty dwiema mocnymi bielonymi kolumnami - nieme świadectwo staropolskiej gościnności. Zbudowany z wapienia dom miał wiele pokojów i udogodnień służących wygodzie, co imponowało Annie, ale największy podziw i przekonanie, iż dwór elegancją nie ustępuje miejskiej rezydencji, wzbudzała w niej mansarda z krytymi daszkiem oknami, wystającymi z pokrytego zielonym gontem dachu. Spacerowała krętymi ścieżkami, poznając kwietne ogrody, sady, staw, domek zarządcy i niezliczone inne budynki.

Większa część posiadanej przez hrabiego Leo Grońskiego ziemi - a było tego niemało - została oddana w dzierżawę chłopom, z którymi Anna nie miała okazji się zetknąć, poznała jednak rodzinę zarządcy gospodarstwa Grońskich. Pewnego razu natknęła się podczas spaceru na Katarzynę i Marcelinę, córki zarządcy. Pracowały ciężko w ogródku warzywnym. Pozdrowiła je, a one

dygnęły grzecznie, lecz przyglądały jej się zaskoczone, kiedy przedzierała się przez rzędy buraków, marchwi, kapusty i cebuli.

W domu Anna bardzo lubiła uprawiać swój splotek ziemi, dlatego zainteresował ją duży ogród Grońskich. Gdy zatrzymała się na chwilę, aby podziwiać różne rodzaje cebuli, wywołała ogromne zdumienie dziewcząt. To nie do pomyślenia, aby dama, hrabina, wiedziała coś o takich sprawach lub interesowała się nimi.

Mogła wyczytać to w ich twarzach: noga panny Zofii z pewnością nie powstała dotąd w warzywniku.

Rozbawiła ją reakcja służących, nie czuła się wszakże zawstydzona tym, że została wychowana jak wieśniaczka. Ojciec nauczył ją cenić zapach i dotyk ziemi, kochać pracę na roli. Dopóki Polak ma przynajmniej kawałek własnej ziemi, mawiał, zawsze będzie człowiekiem bogatym. Mimo to Anna zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie wywoła komentarze, a nie chcąc denerwować ciotki, postanowiła, że porozmawia z dziewczętami przy innej okazji. Jeśli dopisze jej szczęście, ciotka wcale się o tym nie dowie.

Pod koniec tygodnia zarówno dom, jak i ogród nie miały już dla niej tajemnic. Chociaż tłumaczyła sobie, że ta aktywność pomoże jej stłumić ból po stracie rodziców, w głębi duszy wiedziała, że przede wszystkim próbuje zapanować w ten sposób nad dziwną i przemożną siłą, która płynęła w niej niczym rwąca rzeka. Jej myśli krążyły wokół nieokreślonych, a jednak poważnych rozterek dziewczęcego serca - i wokół Jana Stelnickiego.

Sprzeciwiając się poleceniu ciotki, poszła na łąkę, gdzie wówczas go spotkała. Wędrowała bez celu pośród kwiatów i wysokiej trawy, pogrążona w rozmyślaniach.

Oczywiście Jana tam nie było. Nie, żeby naprawdę spodziewała się go spotkać. A jednak miejsce to przyciągało ją niczym północ igłę kompasu.

Straciła rachubę czasu. Nie słuchała śpiewu ptaków, inaczej zwróciłyby uwagę, że nagle zamilkły. Zbierało się na burzę.

Grzmot wyrwał ją z zadumy. Niebo pociemniało od deszczowych chmur. Anna uniosła spódnice i pobiegła przez łąkę, a krople deszczu, wielkie i lodowato zimne, sprawiły, że uznała swoje zachowanie za przejaw głupiutkich dziewczęcych marzeń i nadziei.

Biegła pod wiatr. To strata rodziców i mój niespokojny umysł przywiodły mnie do tego, pomyślała. Zachowuję się jak idiotka, wykradam z domu za plecami ciotki, pozwalam, by jedno spotkanie z mężczyzną miało na mnie aż

taki wpływ. Dziś podczas kolacji zapytam, czy mogłabym wrócić do Sochaczewa, postanowiła.

Gdy wreszcie wśliznęła się do domu, przemoknięta do bielizny i zmartwiała ze strachu, iż może zostać przyłapana, usłyszała ostry głos kuzynki:

- Gdzie byłaś?

Stała, milcząc i drżąc z zimna.

- Przedstawiasz sobą żaloszny widok, Anno!

- Ja... spacerowałam. - Pociągnęła nosem. - A potem złapała mnie burza.

- Właśnie widzę. Matka cię szukała.

- Ale nie wyszła z domu, żeby mnie znaleźć, prawda? - spytała Anna, próbując ukryć panikę w głosie.

- Nie, wyszła w tym celu mnie i muszę powiedzieć, że przeszukałam każdą piędź ziemi.

- Och - Anna uznała, że trzeba pogodzić się z upokorzeniem. - Cóż, mogę zatem wyznać ci, że byłam...

- Powiedziałam jej, droga kuzynko - wtrąciła Zofia - że odpoczywasz w swoim pokoju, gdyż chwycił cię lekki ból głowy. - Spojrzała znacząco śmiejącymi się oczami, co świadczyło, że domyśliła się prawdy. - A teraz idź się wysuszyć, bo jeśli ten ból głowy skończy się zapaleniem płuc, trudno to będzie wytłumaczyć.

Anna wróciła do pokoju i opadła, wyczerpana, na łóżko. Czuła się tak, jakby właśnie odroczone egzekucję, i z ulgą postanowiła, że będzie trzymać się z dala od łąki.

Podczas kolacji tym razem to ciotka Stella brutalnie wyrwała ją z zamyślenia.

- Jesteś dziś bardzo milcząca, moja droga - powiedziała, spoglądając z troską znad deseru. - To przez ten ból głowy?

Anna poczuła, że ściska ją w gardle. Co miała powiedzieć? Została przyłapana na kłamstwie i mogła jedynie żałować swego nieposłuszeństwa.

- Anna jest zmęczona, mamó - wtrąciła natychmiast Zofia, przychodząc jej z pomocą. - I nadal bardzo smutna - dodała, po czym uniosła do ust kęs śliwkowego knedla i uśmiechnęła się dyskretnie do kuzynki.

Anna przez chwilę wpatrywała się w nią, podziwiając niewinną minę oraz figlarne spojrzenie ciemnych oczu, a potem zerknęła nerwowo na deser, którego nawet nie tknęła.

- Bardzo przeżyłaś stratę rodziny, dziecko - powiedziała hrabina. - To okropne, że śmierć wywiera taki wpływ na młodych. Cóż, okres żałoby

wkrótce się skończy. A ty już teraz powinnaś skupić umysł na czymś innym. Jesteś młoda i musisz zajmować się tym, co przystoi młodym. Moja siostra bardzo lubiła pewne stoickie powiedzonko, dotyczące się przeszłości. Pamiętasz je, Anno Mario?

- Tak, ciociu - odpowiedziała, przypominając sobie melodyjny głos matki. - Mama powiedziała, że nie da się zmienić przeszłości, więc każde spojrzenie wstecz ograbia nas z części teraźniejszości.

- Tak! - zawołała hrabina. - Dokładnie tak!

Anna nie mogła się jednak powstrzymać, aby nie zauważyć, że to powiedzenie okazało się dla matki pustymi słowami. Nie potrafiła zapobiec temu, by przeszłość dopadła ją i zniszczyła. Choć rada matki była dla niej zgodna z tym, co powiedział ojciec: „Czasami trzeba po prostu zdać się na los”.

RS

Rozdział piąty.

Spacer po łące stał się dla Anny codziennym nawykiem. Przez kilka dni odbywała go w samotności. I kiedy zaczęła już sądzić, że więcej go tu nie spotka, iż jego obecność była jedynie wytworem wyobraźni, Jan się pojawił. Tym razem dostrzegła go w oddali, a kiedy zawrócił konia i pogalopował ku niej, serce mimo woli zaczęło jej szybciej bić.

- Dzień dobry, pani Anno - powiedział, wstrzymując konia.

- Dzień dobry, panie Stelnicki - odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu równie szczerego jak ten, którym ją obdarzył.

- Jan - pamiętasz?

- Tak.

- Nadal pogrążona w rozmyślaniach?

- Nie tak bardzo.

- To dobrze!

Zeskoczył zgrabnie z konia.

- Sądziłam, że żniwa są u was jeszcze w pełni - powiedziała, próbując ukryć rosnące z każdą chwilą podniecenie.

- Bo tak jest.

- Mimo to masz czas na przejażdżki?

- Moi ludzie ciężko pracują i są godni zaufania. Przywiązał konia do rosnącej nisko gałęzi.

- To twoja pszenica?

- Tak.

- A co jeszcze uprawiasz... Janie? Uśmiechnął się.

- Jęczmień i owies.

- A zatem stosujesz płodozmian.

Oczy Jana rozszerzyły się pod brwiami tak jasnymi, że niemal niewidocznymi.

- O co chodzi? - spytała, dostrzegłszy jego zdumienie.

- Zaskoczyłaś mnie.

- Tym, że orientuję się w takich sprawach? - Anna roześmiała się, przechylając na bok głowę. - Cóż, pewnie zdziwisz się jeszcze bardziej, lecz muszę ci powiedzieć, że wiem, jak siać, sadzić i uprawiać rośliny, a także zbierać owoce i warzywa, a nawet tytoń.

- Doprawdy! - zawołał, w widoczny sposób zainteresowany. - Zwykle pozostawiamy uprawę warzyw i owoców naszym chłopom, ci zaś ograniczają

się do ziemniaków i buraków, więc moja wiedza na ten temat jest dość ograniczona. Co zaś się tyczy tytoniu, nie mam pojęcia, jak go uprawiać! Gdzie się tego nauczyłaś?

- Uczyłam się od ojca. Miałam też mały ogródek. Wspomnienia zaatakowały ją z taką siłą, że z trudem powstrzymała łzy.

- Za jakiś czas wrócę do Sochaczewa, by zarządzać swoim majątkiem.

- To gdzieś blisko Warszawy, prawda? - zapytał Jan miękko, współczująco.

- O kilka godzin jazdy na zachód.

- Anno, nie zechciałabyś usiąść na chwilę w cieniu tego dębu? Choć masz na głowie kapelusz z budką, słońce i tak opali ci twarz.

- Nie powinnam pozostawać zbyt długo poza domem.

- To nie będzie trwało długo. Z pewnością możesz zmarnować trochę czasu, by porozmawiać z takim nicponiem jak ja. - Jego oczy, błękitne niczym jeziora, zdawały się ją błagać.

Anna roześmiała się.

- No dobrze, ale tylko kilka minut.

To, że nazwał siebie nicponiem, tak jak sama go określiła, kiedy poprzednio się spotkali, przydało jej śmiechowi głębi.

Jan rozpostarł surdut na wyschniętej, przerośniętej trawie i pomógł Annie usiąść. Przyglądała się, jak siada naprzeciw niej ze skrzyżowanymi nogami. Zrobił to bez najmniejszego wysiłku. Znowu, wbrew temu, co nakazywał obyczaj, nie nosił nakrycia głowy. Jego koszula z cienko tkanego płótna miała luźne rękawy i krezę pod szyją. Spodnie miał brązowe, o ton jaśniejsze niż surdut. Sięgające do połowy łydki rdzawo-czerwone buty zrobione były z dobrej skóry, miękkiej i błyszczącej.

- Jak brzmi twoje nazwisko, Anno? Kiedy zwróciłem się do ciebie poprzednim razem, uznałaś zapewne, że brak mi manier, lecz widzisz, wiem tylko, jak masz na imię. Nie nazywasz się Grońska, prawda?

- Nie. Moja mama i ciotka Stella były siostrami, choć mama była od ciotki dużo młodsza. Ojciec nazywał się Berezowski - Samuel Berezowski.

Jan zaczął opowiadać o drzewie, od którego wzięło się to nazwisko - wychwalał brzozę, mówiąc, jak pięknym jest drzewem, wysokim i białym, wdzięcznym, silnym i zdrowym. To odpowiednie nazwisko dla kogoś takiego jak ona, stwierdził w końcu.

Anna oblała się rumieńcem.

- Mój ojciec powiedziałby, że jest odpowiednie, ponieważ zawsze znalazłby się powód, by przyłożyć mi brzozową witką.

Jan roześmiał się szczerze.

- Ale z pewnością nigdy tego nie zrobił!

- Nie! - teraz Anna także się śmiała. - Chociaż nieraz go kusiło.

- Pani Anna Maria Berezowska - brzmi bardzo ładnie.

- Dziękuję - uśmiechnęła się, pochyliła i skinęła głową w kpiącej parodii ukłonu.

Jan zmarszczył brwi i spoważniał. Widziała go takim po raz pierwszy, a już zupełnie nie była przygotowana na to, że zapyta:

- Jak to się stało, że twoi rodzice zmarli tak szybko po sobie, Anno?

Przez chwilę wpatrywała się w niego, a potem odwróciła wzrok.

- Wybacz, proszę - powiedział. - Nie powinienem był poruszać tego tematu.

Anna machnęła lekko dłonią.

- Nie ma powodu przeproszać.

- Przeciwnie, jest. Ależ ze mnie idiota.

- Nic podobnego. Jestem niemądra, wiem, ale coś nie pozwala mi o tym mówić... tak jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Nie mogła się zmusić, aby na niego spojrzeć.

- Czasami wydaje mi się, że jestem tu po prostu na wakacjach, a w końcu września wrócę do Sochaczewa, do domu i rodziców. A potem sobie przypominam i wtedy pytam samą siebie: Czy jestem po dziewczęcemu niemądra, czy cierpię na zaburzenia umysłu?

- Ani jedno, ani drugie. To ludzka rzecz wypierać z serca ból.

Pochylił się ku niej, ujął ją pod brodę i odwrócił głowę tak, by nie mogła uciec spojrzeniem. Jego głos, choć równie lekki jak dotyk, był jednak stanowczy i kojący.

- Ale nie wolno ci się oszukiwać. Mówienie o śmierci oznacza pogodzenie się z nią. A dopiero wtedy może zacząć się proces zdrowienia.

Anna nie słyszała dotąd, by jakiś mężczyzna - poza jej ojcem - przemawiał w sposób tak łagodny. Poczowała, że gdzieś w niej pęka tama. Zalała ją fala uczucia, daleko wykraczająca poza zwykle zadurzenie.

- Mój ojciec został zamordowany, Janie - powiedziała, z trudem opanowując emocje.

Jan zamrugnął, zdumiony.

- Zamordowany? Anna skinęła głową.

- Dopiero co skończył czterdzieści lat. - W jej oczach zabłyśły łzy.

- Dobrze już, Anno, nie musisz o tym mówić.

Jakoś udało jej się powstrzymać łzy.

- Nic mi nie jest. Masz rację. Być może powinnam o tym z kimś porozmawiać.

- Bardzo go kochałaś.

- Jego nie dało się nie kochać. Lepiej czuł się, przemierzając pola na swoim białym ogierze niż prowadząc ciche rozmowy w pałacach magnatów. Traktował chłopów z szacunkiem, pewnie dlatego, że czuł się tak bardzo związany z ziemią. Uważał, że przynależą bardziej do ziemi niż do niego. Często powtarzał, że to jedynie przypadek i odrobina odwagi skłoniły jego przodka, aby pojechał walczyć z Turkami u boku Jana Sobieskiego. To wtedy, sto lat temu, nasza rodzina uzyskała szlachectwo i ziemię nad Wisłą.

Umilkła, zbierając siły, by mówić dalej.

- Chłopi kochali ojca... wszyscy z wyjątkiem Feliksa Pa-ducha, pijaka i lenia, który potrafił ukraść w sekundę wszystko, co tylko pozostawało bez opieki.

Poczuła w sercu gorycz.

- Gdyby tata wygnał go z majątku, czym od czasu do czasu groził, nadal by żył.

- To Paduch go zabił?

- Tak. Został schwytany, lecz uciekł, nim go skazano, zmyliwszy czujność magistrackich urzędników. A przedtem poprzysiągł, że ród mego ojca skończy się na mnie.

Jan otworzył ze zdumienia usta.

- Czy to dlatego hrabia Groński nalegał, abyś mieszkała przez ten rok z nimi?

- Częściowo zapewne tak.

- A twoja matka?

- Bardzo kochała ojca, mimo to do końca pozostał dla niej zagadką.

Anna opowiedziała o okolicznościach poprzedzających śmierć matki i nowo narodzonego braciszka.

- Och, jakże mi przykro, Anno. Boże, straciłaś całą rodzinę.

- Tak.

Niezręczna cisza przedłużała się. Żadne z nich nie miało ochoty pierwsze się odezwać. Anna przyglądała się parze ptaków, które zerwały się z gałęzi i krążyły teraz nad łąką. To Jan przełamał w końcu milczenie.

- Coraz więcej ludzi w rodzaju Paducha podejmuje takie działania, buntując się przeciwko swojej pozycji. Sądzę, że to bunt chłopstwa we Francji spowodował, że i u nas narasta niezadowolenie.

- Naprawdę? - Anna wykorzystała tę chwilę, by dyskretnie otrzeć z policzka łzę. - Nie przypuszczasz jednak, by coś takiego mogło zdarzyć się i u nas?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nasi chłopci mają się lepiej niż ci biedacy we Francji. Oczywiście nie brak im trosk, lecz nowo uchwalona konstytucja jest dla nich bardzo korzystna, podobnie jak dla klasy średniej.

Zmarszczył, tym razem z troską, jasne brwi.

- Jednakże, jeśli Polska pograży się w anarchii, będzie to wina szlachty.

- Szlachty?

- Tak, wielu spośród szlachty, jak również kilku magnatów - choć skądinąd nie są to źli ludzie - wzdryga się na myśl, że mieliby przyznać chłopom jakiegokolwiek prawa. Przysięgli, że dopilnują, by Konstytucja 3 maja została uchylona.

- Lecz uchwalono ją dopiero w tym roku - powiedziała Anna. W jej szeroko otwartych oczach widać było zdumienie.

- Tak, i jeśli ją odrzucimy, zasłużymy sobie na to, co lud serwuje teraz francuskim arystokratom. Na gilotynę.

Anna siedziała spokojnie, zaskoczona zarówno tym, co mówił, jak i siłą jego politycznych przekonań. Niepoprawny szłaawiła, którego spotkała poprzednio, ujawniał oto inne cechy charakteru. Postanowiła zaryzykować i spytać go o rodzinę.

- Co sądzi o tym twój ojciec?

- Jest zdecydowanie za konstytucją - w melodyjnym głosie Jana dźwięczała teraz дума. - Dużo nad nią pracował, choć poza sceną. Nie jest całkiem zdrowy. Martwię się o niego. - Umilkł na chwilę. - Tak czy inaczej przed tobą nowe życie, Anno. Na pewno będzie szczęśliwe.

- Mam nadzieję.

- Ty... nie przejmujesz się tym, co powiedział Paduch?

- Nie... nie bardzo. To tylko pijackie przechwałki.

- Jestem pewien, że tak właśnie było. Cóż, musimy wkrótce wybrać się na przejażdżkę - oczywiście, kiedy już zdejmiesz żałobę. Bardzo chciałbym pokazać ci okolicę.

Choć jego entuzjazm sprawił Annie radość, poczuła, że się rumieni. Przez całe życie żałowała, że nie potrafi zapanować nad tą zdradziecką reakcją organizmu.

- O co chodzi? - spytał, zatroskany. Zrezygnowana, zaczerpnęła powietrza, a potem wyrzuciła z siebie:

- Panie Stelnicki, nie umiem jeździć konno!

Chwilę trwało, nim to, co powiedziała, w pełni do niego dotarło, lecz kiedy tak się stało, Jan roześmiał się z ulgą.

Anna nie wiedziała, jak zareagować. Z jednej strony miała ochotę podzielić jego wesołość, z drugiej odczuwała potrzebę wytłumaczenia się.

- Tata zgodził się mnie uczyć, ale mama stanowczo się temu sprzeciwiła. Bała się o moje bezpieczeństwo. Lecz Zofia już zaczęła odbywać ze mną lekcje! Wyjeżdżamy rankami. Co za niewiarygodne uczucie - szybować w powietrzu niczym ptak! Chyba nie jestem w tym zbyt dobra. Za to mocno obo-
lała.

- Wyobrażam sobie! - Jan próbował opanować wesołość, lecz nie udało mu się. - Przepraszam, że się śmieję. Wybacz mi. Nieźle mnie przestraszyłaś, kiedy zrobiłaś się taka poważna. Przez chwilę sądziłem, iż zamierzasz powiedzieć mi, że jesteś... zaręczona.

- Co takiego? Och nie, nie.

- To dobrze. Nie martw się. Poradzisz sobie z koniem, tak jak poradziłaś sobie z kuzynką... mam na myśli to, że skłoniłaś ją, by wyszła z domu rankiem.

Najwidoczniej dobrze zna Zofię, pomyślała Anna.

- Och, bardzo późnym rankiem - wyjaśniła.

Oboje zaczęli się śmiać. Tym razem Anna czuła się szczerze rozbawiona. I ani trochę winna, że dzieje się to kosztem kuzynki.

- Zostaniesz ekspertem, nim się obejrzysz. - Jan położył dłoń na dłoni Anny. - A wtedy czeka nas mnóstwo długich, bardzo długich przejażdżek. - Ton jego głosu obniżył się. Pochylił ku niej głowę.

Nagle otrzeźwiała i cofnęła dłoń.

- O co chodzi? Co się stało, Anno?

- Chodzi o to... - Umilkła, po czym z bijącym mocno sercem dodała: - Obawiam się, że wujostwo nie pozwoli ci mnie odwiedzać.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Oczywiście, że pozwolą. Jesteśmy sąsiadami, bardzo ze sobą zaprzyjaźnionymi.

- Lecz widzisz... nie jesteś katolikiem.

- Czy tylko o to chodzi? - roześmiał się. Jego reakcja zaskoczyła Annę.

- Nie rozumiesz chyba, jaką to czyni różnicę... to, że nie jesteś katolikiem.

- Och, to prawda, przyznaję. Moi rodzice byli arianami, choć ojciec ostatnio znacznie większą wagę przywiązuje do polityki niż do religii. A ja nie wyznaję żadnej wiary.

- Panie Stelnicki - powiedziała Anna, bardzo dokładnie wymawiając słowa
- ten fakt jeszcze powiększa przepaść pomiędzy nami.

- Nie zrozum mnie źle. Wierzę w Boga. Rozejrzyj się dookoła. Jak ktokolwiek obdarzony wzrokiem mógłby w niego nie wierzyć? Chodzi jedynie o to, że mój Bóg jest w moim sercu i we wszystkim, co nas otacza - w trawie na łące, w polu pełnym zboża, w kwiatach, w tym starym dębie i w błękicie nieba. Mój Bóg jest osobisty. Nie praktykuję żadnej z kościelnych religii, chociaż nie mogę powiedzieć, że nie wierzę w ich doktryny. Rozumiesz?

- Chyba... chyba tak - odpowiedziała, choć, prawdę mówiąc, wszystko to było dla niej zagadką, w dodatku mocno niepokojącą.

- Porozmawiam z twoim wujem - mówił dalej Jan. - A jeśli nie zgodzi się, bym cię widywał, zostanę katolikiem.

Anna otworzyła ze zdumienia usta.

- Janie, proszę, nie traktuj tego tak lekko.

- Och, lubię sobie pożartować, jak każdy, lecz kiedy mówię serio, musisz mi wierzyć.

- Nie możesz mówić poważnie! Religii nie wkłada się jak płaszcz czy kapelusza.

- To, że nie mam teraz na głowie kapelusza, nie oznacza, że nie mogę go założyć!

Wpatrywała się w niego, jakby nagle zaczął mówić po serbsku.

- Pozwól mi skończyć, Anno. To nie byłoby tak, że po prostu przyjąłbym zasady twojej religii. Ale jestem pewien, że mogę odnaleźć mego Boga także w twoim kościele. Widzisz, uważam, że można go znaleźć w każdej świątyni.

Jan z każdą chwilą stawał się bardziej zagadkowy. Czy mówił serio? Czy naprawdę zostałby katolikiem ze względu na nią? I dlaczego ona nie potrafi powstrzymać się, by powątpiewać w jego szczerłość?

- Jeśli wuj i ciotka wyrażą zgodę - mówił dalej - czy mógłbym któregoś dnia wpaść z wizytą?

- Och, tak! - Słowa uleciały z jej ust, szybsze niż myśl. A potem przypomniała sobie, że musi zachować dyskrecję. - Powinnam już wrócić do domu, Janie.

- Wybierzesz się jutro na spacer, Anno? Uśmiechnęła się.

- Mogłabym.

- Doskonale! Wiesz, że kiedy uśmiechasz się figlarnie, tak jak teraz, w twoich policzkach pojawiają się dołeczki?

Pomógł jej wstać, a potem dosiadł konia.

- Zatem do zobaczenia tutaj... chyba że chciałabyś poćwiczyć teraz jazdę konną?

- Nie, dziękuję bardzo. Chętnie się przejdę. I jeszcze coś, Janie - powiedziała żartobliwie - postaraj się, by następnym razem nie pomylić mnie z Zofią.

Wargi Jana rozciągnęły się w szatańskim uśmiechu.

- Teraz ja muszę ci coś wyznać, Anno. Nie widziałem dotąd Zofii ubranej na czarno - jestem pewien, że gdyby musiała nosić żałobę, jakoś obeszlaby tradycję i pojawiła się w olśniewającej różowej kreacji. A zatem, jak widzisz, doskonale wiedziałem, kim jesteś - Zofia poinformowała mnie bowiem o twoim rychłym przyjeździe.

Spiął konia ostrogami i odjechał.

Anna stała, spoglądając w ślad za oddalającą się sylwetką, zastanawiając się, co też ma w sobie ten młodzieniec, że w jego obecności krew zaczyna szybciej krążyć jej w żyłach. Lecz wszelkie wątpliwości co do tego, że oto spotkała mężczyznę, którego będzie kochała i którego poślubi, rozwiały się niczym mgła w południe.

Zofia, ukryta na niewysokim wzgórzu ponad łąką, widziała dostatecznie dużo. Choć nie słyszała, o czym Anna i Jan rozmawiają, dostrzegła odbijające się na ich twarzach uczucia tak wyraźnie, jakby mieli na sobie maski z greckiego teatru.

Stała jak sparaliżowana, choć targały nią fale gwałtownych emocji. Zobaczyć to uwierzyć, mimo to ledwie była w stanie przyjąć do świadomości, że czuła sceną, jakiej była świadkiem, naprawdę się wydarzyła.

Co ten Jan knuje? Anna miała rację: rzeczywiście zachowywał się tak, jakby był nią zainteresowany. I okazywał to bardzo wyraźnie. Dlaczego? Czyżby naprawdę interesował się kuzynką? W jakim stopniu? A może próbował, jak podejrzewała, wzbudzić w niej zazdrość?

W przypiływie gniewu uderzyła szpicrutą o fałdy spódnicy. Wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego jak pozwolić, by ten mały flirt sam się wypalił. Nic z tego nie wyjdzie, była o tym przekonana. Mimo to czuła się dziwnie bezradna, jakby tonęła. Nie podobało jej się to uczucie.

I nagle uświadomiła sobie, że jest po prostu zazdrosna. A to podobało się jej jeszcze mniej. Czyżby kochała Steinickiego? Być może. A może reaguje w ten sposób, ponieważ nie może znieść myśli o przegranej, i to na rzecz naiwnej wieśniaczki. Przeklęła w myślach kuzynkę.

Dosiadła konia. Dla czystej zabawy podsycala w Annie uczucia do Jana. Cóż, gra okazała się niebezpieczna, a sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót. Mimo to postanowiła, że to nie ona poniesie w końcu porażkę.

- Anno Mario Berezowska - wyszeptala przez zaciśnięte zęby. - Będiesz przeklinać dzień, w którym przybyłaś do Halicza.

RS

Rozdział szósty.

Anna przywykła do trybu życia, jaki prowadzili Grońscy. Jadąc tu, nie wiedziała, czego się spodziewać, gdyż po pierwszym rozbiórce Polski w 1772 roku miasto i obwód Halicz dostały się we władanie Austrii. Na miejscu okazało się jednak, że Halicz nie różni się zbytnio od Sochaczewa, a życie jego obywateli od tego, jakie wiodli jej krajanie. Stara kultura przetrwała i rozkwitała pod rządami Leopolda II Austriackiego.

Tryb życia samej Anny bardzo się jednak zmienił. W domu pomagała matce i służącej Luizie w prowadzeniu gospodarstwa, a tutaj, Pod Głogami, kobiety wyszywały, czytały i oddawały się rozrywkom, nie troszcząc się o to, by dom funkcjonował jak należy. Tym bowiem zajmowały się cztery służące, które gotowały i wykonywały wszelkie prace domowe. Dla hrabiny, jej córki i siostrzenicy nie zostawało już nic do zrobienia.

Rankami czytała, a kiedy Zofia wstała - zwykle tuż przed południem - odbywały lekcje konnej jazdy. Popołudnia spędzała z Janem. Hrabina Stella nie dopytywała się zbytnio, gdzie też podziewa się siostrzenica. Anna podejrzewała, że Zofia tłumaczy przed matką jej nieobecność. Martwiła się, że w końcu wszystko się wyda i wujostwo położy kres randkom.

Jak długo coś takiego da się utrzymać w tajemnicy? Poza tym Jan co dzień prosił ją, by zgodziła się na całodniową przejażdżkę.

Czas spędzony z Janem był najlepszą porą dnia. Spacerowali po łące lub siadywali pod wielkim dębem i nigdy nie brakło im tematu do rozmowy. Anna opowiadała o życiu w Sochaczewie i któregoś dnia uświadomiła sobie, że zaczyna godzić się z tym, co ją spotkało. Przysłuchiwała się, jak Jan opowiada o swoich przemyśleniach i dzieli się z nią doświadczeniami. Podziwiała jego elokwencję, bystrość oraz poczucie humoru.

Nocą, kiedy leżała w łóżku, jej myśli i serce przepełniały wspomnienia o Janie. Rodziła się w niej nadzieja, że chłopak ją kocha, choć czasami zakłócana wątpliwościami. Była pewna, że charakteryzujący go sposób bycia - ta pewność siebie zwycięzcy - rzuciłby mu do stóp każdą kobietę: najbogatszą, najbardziej wyrafinowaną, najpiękniejszą. Czy to w ogóle do pomyslenia, aby pewnego razu oświadczył się jej?

Od czasu do czasu ogarniał ją niepokonany lęk; później przypisywała złe przecucia temu, że straciła wszystkich, których kochała. Starła się nad nimi zapanować. Czy nie zasłużyła na trochę szczęścia? Gdy w sercu po raz

pierwszy rozkwitnie miłość, niszczące myśli nie powinny mieć do niego dostępu. A Anna była bardzo zakochana.

Pewnego dnia Zofia czekała na nią na ganku.

- Walter przyjeżdża do domu, Anno!

- Jak cudownie! Minęło już tyle czasu, że wątpię, bym go poznała. Ile on ma teraz lat?

- Zaledwie dwadzieścia dwa.

- I jest żołnierzem! Musicie być bardzo dumni i szczęśliwi.

- Ależ z ciebie romantyczna dusza, kochanie. Walter jest najemnym żołnierzem w militarnej machinie Katarzyny - oficerem, to prawda - ale jednak najemnikiem. Z pewnością pozostał nieznośny i zuchwały. Nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko. Och, nie rób tak zaskoczonej miny! - Przytuliła Annę.

- Gdybym mogła mieć siostrę, taką jak ty, Aniu. Mimo wszystko przyjazd Waltera wniesie nieco życia do tego ponurego domostwa, trochę rozrywki. Może urządzi się ze dwa przyjęcia, aby odpędzić nudę ostatnich dni na wsi. Och, a jesienią pokażę ci Warszawę!

- Zofio, bywałam już w Warszawie. Zapomniałaś, jak blisko stolicy leży Sochaczew?

- Och! A bywałaś w teatrze? Na koncertach? W operze? Na dworskich przyjęciach?

Annie nie pozostało nic innego jak tylko potrząsnąć przecząco głową.

- Cóż - zauważyła Zofia ze śmiechem - to znaczy, że właściwie nie znasz Warszawy!

- To, co mówisz, brzmi bardzo ekscytująco.

- Och, moja droga, tam wszystko odbywa się podług francuskiej mody. Tak jest na całym kontynencie.

- Naprawdę? Cóż, na razie zadowolę się tym, że zobaczę znów swego kuzyna. I ty też pewnie się cieszysz, choć wolisz się do tego nie przyznawać. Kiedy możemy się go spodziewać?

- W środę. A teraz prawdziwa niespodzianka!

- Co takiego? Jaka niespodzianka?

Ciemne oczy Zofii zabłysły. Trzymanie kuzynki w niepewności sprawiało jej przyjemność.

- Och, Zofio, powiedz mi!

- Mama zgodziła się, byś tego dnia zdjęła żałobę - powiedziała powoli, aby wzmóc efekt.

- Naprawdę? - spytała Anna bez tchu. - Tak wcześniej?

- Wiem, i możesz być pewna, że musiałam nieźle się wysilić, by ją do tego namówić.

- Ale czy uważasz... że to właściwe?

- Tak samo właściwe jak to, w jaki sposób spędzasz popołudnia.

Anna umilkła. Jej twarz okryła się rumieńcem zażenowania.

- Dobrze już, dobrze. Chciałam tylko powiedzieć, że to cudowne, głuptasie. Przyjazd Waltera dostarczył mi doskonałego pretekstu. Och, nie patrz tak na mnie! Posłuchaj, osobiście dopilnuję, byś wyglądała jak najlepiej. Chodźmy od razu na górę, wybierzemy dla ciebie suknię! Anna zawahała się.

- Zofio?

- Naprawdę nie musisz czuć się winna.

- Nie o to chodzi.

- A zatem, o co?

- Dziś Jan skłonił mnie, bym mu obiecała, że pojedziemy razem na konną wycieczkę następnego dnia po tym, jak zdejmę żałobę. Jak ukryję to przed twoimi rodzicami? Nie jestem gotowa, by stawić im czoło w związku z Janem... jeszcze nie.

- Wycieczka z Janem? W dzień po tym, jak zdejmiesz żałobę?

Zofia namyślała się przez chwilę, a jej migdałowe oczy zwięzły się tak, że przypominały szparki. Nagle otworzyła je szeroko.

- Wiem! A gdybym tak powiedziała, że zorganizowałam wycieczkę z piknikiem i że oboje z Walterem weźmiemy w niej udział?

- Och, byłoby cudownie! Prawdę mówiąc, wolałabym mieć was przy sobie.

- Na pewno będziemy świetnie się bawić. Lutisza zapakuje prowiant. Umówmy się na czwartek rano.

- Ale czy myślisz, że uda ci się przekonać rodziców, aby i Jan mógł z nami pojechać?

Zofia wzruszyła ramionami.

- A co to szkodzi, jeśli przyłączy się do nas podczas pikniku? To niewinna rozrywka, kochanie.

- Mam nadzieję, że rodzice się zgodzą. I tak czuję się paskudnie, okazując nieposłuszeństwo twojej matce.

- Jeszcze jedno, Anno.

- Co takiego?

- Uważam, iż nie powinnaś wspominać Janowi, że Walter i ja zamierzamy z wami pojechać. Przynajmniej nie wcześniej jak w czwartek rano.

- Ale dlaczego...

- Zaufaj mi, Aniu. No, chodź i przestań wreszcie się martwić. Powiedziałam, że wszystkim się zajmę, tak czy nie?

Hrabina Stella Grońska przeprowadzała inspekcję kuchni, gdzie na różnie skwierczało pieczone.

- Obracacie je wystarczająco często?

Stara Lutisza przewróciła oczami, lecz odpowiedziała zgodnie z francuską modą, tak jak została, wraz z resztą domowej służby, przyuczona:

- Tak, madame Grońska.

- I polewacie tłuszczem?

- Tak, madame.

- Dobrze. Dziś wieczorem wszystko musi być jak należy.

Podeszła do stołu, ustawionego w pobliżu wielkiego, białego ceramicznego pieca, używanego jedynie do pieczenia chleba.

- Marto, czy chleb jest aby na pewno świeży? Ten, który jedliśmy rankiem, absolutnie nie będzie się nadawał.

Córka Lutiszy uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Jest jeszcze gorący, madame Grońska.

- Rzeczywiście. - Hrabina odłamała z żytniego chleba kawałek skórki i włożyła go sobie do ust. - Wyborny! Bez chleba nawet mięso nie ma smaku.

- Wiadomo - przytaknęła Lutisza i roześmiała się. Hrabina zakończyła obchód kuchni.

- Widzę, że wszystko w porządku, tak jak się spodziewałam. Wiem, że wam tu przeszkadzam i opóźniam robotę, ale minął już rok, od kiedy mój syn był w domu.

- To bardzo długo - powiedziała Lutisza. - Miło nam będzie znowu zobaczyć panicza.

Hrabina po raz trzeci sprawdziła, czy i w jadalni przygotowania idą pełną parą, po czym udała się do zachodniego skrzydła domu.

Walter przyjechał w dobrym humorze. Wydawał się szczęśliwy. Dumny z tego, co robi dla Rosji. Hrabina miała na ten temat własne zdanie, ale przede wszystkim martwiła się, jak syn zareaguje na to, co ona i Leo postanowili o jego przyszłości. Walter był w gorącej wodzie kąpany, podobnie jak Leo. Znow, jak dawniej, przyjdzie jej łagodzić spory.

Zastała męża ubierającego się do kolacji. Zakładał właśnie swą najlepszą koszulę.

- Ależ jesteś przystojny, Leo!

- To znaczy, jak na staruszka? To chciałaś powiedzieć?

- Nic podobnego!

- Do licha, nie mogę sobie poradzić z tymi guziczkami. Nie mogą robić większych?

Hrabina podeszła do męża i, jak setki razy przedtem, zapięła mu koszulę.

- Musisz poskarżyć się ostrygom - roześmiała się. - Powiedz im, aby rodziły większe perły. Nasze dzieci, być może, dorosły, Leo, ale my nie staliśmy się przez to starzy.

Hrabia chrząknął.

- To, że są już duże, nie oznacza, że dorosły, Stello.

- Nie zaczniesz rozmawiać przy stole o tym, dlaczego Walter musiał wrócić do domu, prawda? Nie przy kolacji, w obecności Anny.

- Nie zacznę.

- I nie będziesz zbyt dużo pił?

- Nie.

- Ani zachęcał do picia Waltera?

- Walter nie potrzebuje żadnej zachęty - zaśmiał się hrabia. - Gderasz, moja droga.

- Przepraszam. Co zrobisz, jeśli Walter nie zgodzi się wrócić do Halicza?

- Mówiliśmy już o tym, Stello.

- Naprawdę zagroźisz mu, że go wydziedziczysz?

- Mam szczerą nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Lecz jeśli to zrobisz, będziesz musiał zdradzić mu... wiesz... to, co trzymaliśmy przed nim w sekrecie.

- Nie jestem pewien, czy postąpiliśmy mądrze, zatajając to. Pewnego dnia będzie musiał się dowiedzieć.

- W tym stanie rzeczy boję się mu powiedzieć. Obawiam się, jak to przyjmie.

Hrabina namyślała się przez chwilę.

- Poza tym jest jeszcze Zofia, ona także... No, zrobione! Hrabia odwrócił się, by spojrzeć w lustro.

- Dziękuję ci, moja droga.

- Sam mógłbyś to zrobić, gdybyś tylko wykazał odrobinę cierpliwości.

Spojrzała zza pleców męża na jego odbicie w lustrze.

- Wiesz, Leo, czasami wydaje mi się, że Zofia zna nasz sekret.

- Zofia? Nonsens, jak mogłaby się dowiedzieć? Skoro już tu jesteś, mogłabyś pomóc mi założyć pas?

- Ona potrafi być bardzo sprytna - stwierdziła hrabina, biorąc do rąk brązowofioletowy jedwab w turecki wzór. - Choć to moja córka, ma w sobie coś szatańskiego.

Hrabina owinęła pas wokół talii męża i zawiązała go.

- Nigdy nie wiem, o czym ona myśli. A matka powinna to wiedzieć.

- Czy to możliwe, by dowiedziała się o Walterze?

- Cóż, być może. Pewnego dnia weszłam do pokoju i odkryłam, że sekretarzyk nie jest zamknięty na klucz. Nigdy nie zostawiam otwartego. A stare papiery i listy leżały inaczej niż przedtem. Nie przywiązywałam do tego wagi. Nie chciałam wierzyć, że byłaby zdolna szperać w moich rzeczach.

- Cóż, zostawmy to - powiedział hrabia, odwracając się do żony. - Chyba że sama zacznie o tym mówić. Zofia zawsze była nieokiełznana, Stello, i nadal taka jest. Ośmielam się sądzić, że małżeństwo nauczy ją pokory.

- Nie sądzisz, że powinniśmy jej powiedzieć, iż lada dzień spodziewamy się Grawlińskich?

- Nie! To akurat zamierzam utrzymać przed nią w sekrecie. Nie mam ochoty się kłócić. A tak, przyjadą niespodziewanie, ślub się odbędzie i po wszystkim. Gotowa?

Wyszli z sypialni. Kiedy znaleźli się w przedpokoju, hrabia zapytał:

- Powiedz mi, Stello, jak to możliwe, że wychowaliśmy dwójkę dzieci, które tak zdecydowanie odrzucają nasz system wartości? Człowiek powinien pozostawić po sobie coś więcej niż tylko ziemię i pieniądze.

- Są jeszcze młodzi, Leo. Młode piwo zawsze się burzy. Sam tak mówiłeś.

Wydawało się, że jej odpowiedź uspokoiła męża, mimo to, kiedy szli ramię w ramię do jadalni, hrabina nie potrafiła wyzbyć się złych przeczuc. Leo nie należał bowiem do ludzi cierpliwych.

A i zachowanie Waltera trudno było przewidzieć.

Anna wstrzymała oddech, by Zofia mogła zapiąć jej suknię, którą dla niej wybrała.

- Czerń dobra jest dla rzeczy martwych - syknęła jej do ucha. - Kiedy kwiat więdnie, czernieje i rozkłada się, podobnie ma się rzecz z ludźmi i zwierzętami. Kto powiedział, że istota, która jeszcze oddycha, powinna okrywać się czymś tak pozbawionym koloru? Precz z twoją żałobą! No, skończone. Możesz się odwrócić. Ależ, Anno, wyglądasz cudownie! Żółty to nie mój kolor, ale na tobie wygląda bosko.

- Naprawdę, Zofio?

- Naprawdę, Zofio? - przedrzeźniała ją ze śmiechem. - Uwierz mi, cieszę się, że na dole nie czeka żaden wielbiciel, którego mogłabyś mi odbić. Choć przed sobotnim przyjęciem chyba zamknę cię w pokoju.

Anna spojrzała w wysokie lustro, odbijające jej sylwetkę. Rzeczywiście, suknia Zofii zdawała się ją odmieniać.

- Widziałas się już z Walterem? - spytała kuzynkę.

- Tak - odparła Zofia obojętnie. - Popatrzmy. Prawie nie potrzebujesz różu. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Te spacery po łąkach najwidoczniej bardzo ci służą.

Anna zaniemówiła z zażenowania. Czowała, że krew uderza jej do głowy.

- Wystarczy odrobina czerwieni na wargi i trochę pudru.

- Och, nigdy nie malowałam twarzy.

Zofia uciszyła jej wątpliwości niecierpliwym machnięciem dłoni.

- Na wszystko przychodzi czas, Anno. Czy Biblia nie wspomina czegoś na ten temat? To nasz czas, kuzynko.

Anna ustąpiła i rezultat mile ją zaskoczył. Gdy były już gotowe zejść na dół, położyła dłoń na ramieniu kuzynki, zatrzymując ją.

- Zofio, wspomniałaś o naszej wycieczce rodzicom?

- Nie, kochanie - odparła, wpatrując się w Annę nieprzeniknionym spojrzeniem. A potem odwróciła się i zaczęła schodzić.

Anna pobiegła za nią.

- Ale ja już powiedziałam Janowi. Będzie tu o siódmej rano.

- Poruszę temat wycieczki wieczorem, spontanicznie, jakbym właśnie wpadła na pomysł urzędującej. Pozostaw to mnie.

Nie pora była się tym martwić. Walter czekał na nie u stóp schodów.

- Ach, czas potrafi dokonać cudu! Czy to naprawdę ty, Anno? - zapytał, całując ją na francuską modłę w oba policzki.

- Tak, to ja.

- Ten sam mały urwis, który spadł z wierzby?

- Och, jak zawodna bywa pamięć i jak łatwo nią manipulować - zaśmiała się. - Z tego, co ja pamiętam, zostałam z niej zepchnięta.

- Bo zostałaś - powiedziała Zofia, przeciągając samogłoski. - Jako chłopiec Walter nie był szczególnie rycerski. O ile w ogóle kiedykolwiek był. A może powinnam powiedzieć: jest?

Walter skłonił się przesadnie.

- Wszyscy się zmieniamy, Zosiu. Mam nadzieję, że nasza droga kuzynka nie żywi już urazy.

- Możesz być pewien, że ja będę żywiła do ciebie urazę, jeśli nie przestaniesz nazywać mnie Zosią. Mam na imię Zofia.

- Wspomnienia! - zawołała Anna w nadziei, że uda jej się zapobiec kłótni. - Pamiętasz ten wieczór, gdy Walter wystraszył nas na śmierć krwawymi opowieściami?

- Pamiętam.

- A zatem mam dla was dobre nowiny - powiedział Walter. - Otóż doświadczenia ze służby znacznie zwiększyły mój repertuar krwawych opowieści. Tylko że te ostatnie oparte są na faktach, drogie panie.

- Jestem tego pewna - powiedziała Anna ze śmiechem. Walter i Anna pogawędzili jeszcze przez kilka minut, po czym ruszyli, śmiejąc się, do jadalni. Tylko Zofia nie była dziś, jak zwykle, ożywiona.

Kuzynki siedziały naprzeciw Waltera. Hrabia i hrabina, zajmujący miejsca po przeciwnych krańcach wielkiego stołu, wydawali się zadowoleni, że ich mała rodzina jest znowu razem.

Anna uznała, że Walter wygląda całkiem nieźle w szamerowanym złotem czerwonym mundurze porucznika. Nietrudno było namówić go, by zaczął opowiadać o swych przygodach w służbie Katarzyny. Wyjaśnił, że z racji polskiego pochodzenia przydzielono go do służby w dyplomacji pomiędzy carycą a królem Stanisławem. Anna była pod wrażeniem. Rodzice przysłuchiwali się opowieściom syna, lecz Zofia sączyła spokojnie wino, niezbyt zainteresowana rozmową.

Lutisza zaczęła podawać pieczoną kaczkę z sosem i grzybami, danie iście niebiańskie. Anna spojrzała przez stół na Waltera i podchwyciła jego spojrzenie. Przyglądał się kuzynce otwarcie. Uznała, że jego kwadratowa twarz o ciężkich rysach pasuje do żołnierza. W czerwonawobrazowych oczach kuzyna, osadzonych głęboko pod czarnymi niczym bezgwiezdna noc włosami było jednak coś, co sprawiało, że ciarki przechodziły jej po kręgosłupie. Zapewne to trudne żołnierskie doświadczenia nadają jego spojrzeniu ten mroczny wyraz, pomyślała.

Podczas kolacji, w miarę jak w karafce ubywało wina, jego twarz o uderzających, nawet okrutnych rysach coraz częściej zwracała się w jej stronę, zwłaszcza gdy nikt nie patrzył.

Ona jednak, nim opróżniła do połowy swój kieliszek, była już całkiem pogrążona w rozmyślaniach o jutrzejszej wycieczce i o Janie Stelnickim...

Nagła zmiana tonu zwróciła jej uwagę.

- Nie mogę uwierzyć, że popierasz Konstytucję 3 maja - powiedział Walter ostro, zwracając się do ojca.

- To wielka i ważna reforma. - Hrabia Groński, niewysoki i przysadzisty, poruszył się na krześle.

- Dla kogo ważna?

- Dla wszystkich.

Wino zdążyło już zaszumieć im w głowach, toteż z każdą chwilą dyskusja stawała się bardziej gorąca.

- Och, z pewnością każdy znajdzie tam coś dla siebie - stwierdził sarkastycznie Walter. - Chłopom przyznano prawa, służba może kupić sobie wolność, klasa średnia brać udział w polityce, a wszystkim gwarantuje się swobody religijne. A teraz powiedz mi, co my na tym zyskamy?

- Co masz na myśli? - zapytał hrabia.

- Wydaje się, że konstytucja przynosi korzyść wszystkim prócz szlachty.

- Ja powiem ci, co na tym zyskaliśmy - powiedziała nagle Zofia i wszystkie oczy zwróciły się na nią. Siedziała, bardzo z siebie zadowolona, w sukni o barwie cynamonu, i wyglądała tak, jakby nagle wróciła do życia. Anna zauważyła, że kieliszek kuzynki, który został niedawno ponownie napełniony, znów stoi pusty.

- Słyszałeś może mazurka, napisanego dla uczczenia konstytucji? - spytała.

- To wspaniała melodia, przeznaczona w dodatku do tańca! Nauczę cię kroków, bracie.

Pięść hrabiego wylądowała na stole z taką siłą, że naczynia i srebra zabrzęczały donośnie, płomień zaś osadzonych w kandelabrach świec zamigotały, rzucając wokół tańczące cienie.

- Nie pochwalam tego, że traktujesz tę sprawę tak nonszalancko, młoda damo! - zawołał.

Zofia, ani trochę nieprzejęta, mrugnęła rozweselona do Anny.

- Polska szlachta - mówił dalej hrabia - zyska sobie zasłużone miejsce w historii dzięki temu, że przyznała prawa wszystkim stanom. Jeśli dopiero co utworzone państwo, takie jak Stany Zjednoczone Ameryki, mogło odnieść sukces w podobnym przedsięwzięciu, to na Boga, Polska, ze swoją wspaniałą przeszłością, też może tego spróbować.

Walter potrząsnął głową.

- Te ustępstwa to dopraszanie się o kłopoty. Motłoch zacznie domagać się wciąż więcej i więcej, gdyż uzna, że siła arystokracji słabnie, i będzie miał dobry powód, by tak sądzić.

Hrabina Grońska wyprostowała się na krześle, a w jej dużych oczach widać było troskę. Obawiała się, że starannie zaplanowany przez nią posiłek może ulec zakłóceniu.

- Leo, czy nie moglibyście podyskutować o tym po kolacji?

Lecz hrabia zdawał się jej nie słyszeć.

- Nie rozumiesz, Walterze - argumentował - że jeśli chłopstwu i klasom średnim nie przyzna się pewnych praw i przywilejów, może wydarzyć się to, co we Francji?

- Nie stanie się tak, jeśli arystokracja zachowa silną pozycję. Uważam, że sejm, który uchwalił tę tak zwaną konstytucję, musiał składać się z głupców. Jeśli zaś chodzi o króla, to fakt, że ją podpisał, tylko potwierdza moją o nim opinię. Uważam go za cymbała i słabeusza.

Hrabia poczerwieniał z gniewu.

- Śmiesz mówić w ten sposób o swoim królu? Swojej ojczyźnie? Gdzie twoja lojalność, Walterze? Gdzie?

Walter wzruszył ramionami.

- Proszę, nie ekscytuj się tak, mój drogi - powiedziała błagalnie hrabina. - Nie będzie więcej rozmów o polityce przy tym stole. Porozmawiacie o tym później, na osobności. Co sobie pomyśli Anna?

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Hrabia podporządkował się życzeniu małżonki i po chwili jego twarz odzyskała normalną barwę.

Walter znów spojrzał na Annę. W jego brązowych oczach czaiło się coś zimnego i podstępного. Czy tak zachowują się żołnierze?

Chrząknęła odruchowo, aby oczyścić gardło, i zapytała:

- Jak długo zostaniesz w domu, Walterze?

- Obawiam się, że będę musiał wyjechać przed upływem tygodnia. Kampania przeciwko Turkom przybiera na sile. Pojadę prosto na front.

- Och, Walterze! - zawołała hrabina, unosząc dłonie ku twarzy.

- Nie martw się, mamó. Spodziewamy się rychłego zwycięstwa.

- Obiecujesz, że będziesz o siebie dbał?

- Obiecuję, manio. Ojczyźnie, musisz zgodzić się ze mną przynajmniej w tej kwestii: nasz kontynent stanie się znacznie bardziej bezpieczny, kiedy na dobre rozgromimy Turków.

- Znowu ta polityka - westchnęła Zofia. - Chyba zacznę krzyczeć.

- Przyznaję - odparł hrabia - że barbarzyńcy na to zasługują. Jednak waleczność generałów Katarzyny nie sprawi, że ją polubię, ani nie wpłynie na

mój brak zaufania do niej. Być może caryca uchroni nas przed przyszłym zagrożeniem ze strony Turków, lecz kto, na miłość boską, uchroni nas przed nią?

- Wiesz - Szeptęła Zofia do Anny - że Katarzyna była kiedyś kochanką króla Stanisława? Powiadają, że nie tylko jego. Podobno miała nie mniej mężczyzn niż...

- Zofio! - przerwała jej gniewnie hrabina. - Nie jestem tak głucha na twoje wulgarne uwagi, jak ci się wydaje. Ten temat nie nadaje się do omawiania przy stole, i to przez młodą damę. Zrozumiałaś!

- Tak, mamu. Przepraszam.

Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie zachichotać i nie szepnąć cicho do Anny:

- Ale to ciekawsze od wszystkiego, co tu usłyszałyśmy.

- Walterze - mówił tymczasem hrabia - kiedy turecka kampania się skończy, życzyłbym sobie, byś złożył rezygnację.

Walter, zaskoczony, zaproponował z urazą:

- Ależ, ojczu, pisałem ci o tym.

- Walterze, mój drogi - powiedziała błagalnie hrabina. - Nie stajemy się młodsi, twój ojciec i ja. Jest naszym życzeniem... i doprawdy już pora... byś podjął tu swe obowiązki.

Walter wolał nie czekać, aż łzy, które błyszczały już w oczach jego matki, spłyną po policzkach.

- Ach, patrzcie tylko! - zawołał. - Lutisza przyniosła nam deser!

- Auuu! - pisnęła pulchna służąca.

Walter uszczypnął ją i jedno z ciast na miodzie zsunęło się z patery. Napięcie na chwilę zelzało i wszyscy parsknęli śmiechem, nawet skonfundowana, bezzębna służąca, która umknęła do kuchni, zakrywając poczerwieniałą twarz fartuchem.

Anna uniosła wzrok znad książki i z roztargnieniem wpatrywała się w niewielki ogień, płonący w salonie. Hrabina kazała rozpalić w kominku, aby odegnąć chłód wrześniowego wieczoru, i teraz z nieobecna miną robiła coś na drutach. Zofia trzymała w dłoniach książkę, lecz nawet nie próbowała udawać, że czyta. Wszystkie trzy przysłuchiwały się z przejęciem, jak hrabia i Walter pokrzykują na siebie w bibliotece.

Hrabina westchnęła smutno.

- Nie potrafią zgodzić się w żadnej sprawie, Anno. Lecz są ulepieni z tej samej gliny. Uparci, samowolni i porywcy.

Zofia odrzuciła książkę na podłogę i zerwała się z krzesła.

- Słuchajcie! - zawołała z nietajoną radością w głosie. - Ojciec zabiera Waltera do piwnicy!

Anna wpatrywała się w kuzynkę, po raz pierwszy dostrzegając mroczną stronę jej natury.

- Och, nie patrz tak na mnie, Anno - powiedziała Zofia. - Ojciec często karał nas, zamykając w piwnicy na wino, nieraz na całą noc. Do czasu, aż pewnego dnia oboje upiliśmy się do nieprzytomności - roześmiała się na wspomnienie tego wydarzenia. - Mnie udało się uniknąć wtedy lania. Walter nie miał tyle szczęścia. Oczywiście teraz już się to nie zdarza.

Musiał powiedzieć coś naprawdę okropnego, że aż tak rozgniewał ojca.

Hrabina wydawała się zaniepokojona radością córki.

- Podejrzewam, że ojciec po prostu chce zaoszczędzić Annie rodzinnej sceny. Co zaś się tyczy ciebie, Zofio, być może nie jesteś aż tak dorosła, by nie można było cię ukarać. Zajmij się swoimi sprawami.

- Gdybym tylko miała jakąś sprawę, którą mogłabym się zająć - powiedziała Zofia do Anny.

- Co takiego powiedziałaś? - dopytywała się hrabina.

- Powiedziałam - skłamała Zofia - że mam już osiemnaście lat. Nie sądzisz, Anno, że rodzina i społeczeństwo narzucają młodym ludziom zbyt wiele ograniczeń, zwłaszcza jeśli chodzi o naszą płęć? Kobieta musi mieć czterdziestkę, by mogła cieszyć się wolnością, a wtedy to już i tak nie ma znaczenia - zachichotała, rozbawiona.

Anna nie zamierzała dać się wciągnąć w rodzinną kłótnię. Czowała się jak intruz.

- Dobranoc, ciociu - powiedziała, zażenowana. Wstała i pocałowała hrabinę. - Zrobiło się późno i jestem zmęczona.

Spojrzała wymownie na Zofię.

- Chciałabym wczesnym rankiem wybrać się na przejażdżkę - dodała.

Zofia zdawała się nie pojmować aluzji.

- Obie powinnyśmy odpocząć, Zofio - naciskała Anna.

- Do łóżka! Nic, tylko do łóżka! Jak ja nie znoszę tej okropnej wsi. Żadnych wesel, bankietów, opery, bali - tylko zabójczo świeże powietrze. A muzyka, jakże brakuje mi muzyki!

Zofia wyciągnęła wymownym gestem ręce i zaczęła tańczyć przed kominkiem mazura, podśpiewując wesoło do taktu.

Anna ruszyła ku drzwiom, rozmyślając o tym, że kuzynka z pewnością zapomniała powiedzieć rodzicom o wycieczce.

- Posłuchaj! - szepnęła Zofia ostro, powściągając rozbawienie. - Czy to możliwe, by ojciec użył bata?

- Nie bądź niemądra - powiedziała hrabina. Mimo to

Anna spostrzegła, że ciotka jest zatroskana. Uznała, że nie ma co dłużej zostawać w salonie. Cmoknęła kuzynkę niedbale w policzek i poszła prosto do swego pokoju.

Tej nocy długo leżała, nie mogąc zasnąć, niezdolna ode-gnać mrocznych i nieokreślonych przeczuć. Wydarzenia wieczoru wytrąciły ją z równowagi. Poza tym czuła się niezręcznie, będąc świadkiem rodzinnej sprzeczki. Walter nie wywarł na niej zbyt dobrego wrażenia i w głębi duszy cieszyła się, że jego pobyt będzie krótki. Także Zofia odnosiła się do brata w sposób co najmniej dziwny, czego oznaki spostrzegła już przedtem. Brat i siostra musieli darzyć się miłością, lecz coś najwidoczniej nie pozwalało ujawnić się uczuciu.

I dlaczego Zofia nie wspomniała o wycieczce? Anna nie mogła uwierzyć, że jej tak bystra zazwyczaj kuzynka nie pojęła aluzji. A skoro tak, zawiodła ją celowo. Dlaczego?

Może i dobrze się stało, zważywszy, w jakim humorze byli tego wieczoru hrabia i hrabina.

Co się teraz stanie? Pewnie będzie musiała odesłać Jana z niczym. Czy on to zrozumie? Co sobie myśli Zofia? Anna leżała, nasłuchując kroków kuzynki za drzwiami. Postanowiła, że ją zawoła, jednak obfita kolacja i wino sprawiły, że w końcu zapadła w drzemkę. A po chwili, z taktami mazurka pobrzmiwającymi w głowie, oddała się we władanie snu.

Rozdział siódmy.

Obudziła się tuż przed siódmą, pełna napięcia i oczekiwania. Drżąc w zimnym pokoju, szybko umyła się, ubrała i pośpieszyła do pokoju kuzynki.

- Obudź się, Zofio - szepnęła, delikatnie potrząsając dziewczyną. - Jan lada chwila pojawi się przy stajniach. Być może już tam jest. Co zrobimy?

Zofia jęknęła i głębiej wtuliła twarz w poduszkę.

- Zofio, proszę!

- Czy to naprawdę już rano? - spytała sennym głosem.

- Naprawdę. Co z naszą wyprawą? Z pewnością musimy ją odwołać.

- Ależ dlaczego?

- Twoi rodzice...

- Poradzę sobie z nimi - powiedziała Zofia, siadając na łóżku.

- Och, sądzisz, że ci się uda? Rozmawiałaś z Walterem o tym, by się do nas przyłączył?

- Tak. Gdy wszyscy poszli do łóżek, zeszłam do piwnicy, by go zapytać. Niepotrzebnie, gdyż wszystko, co zdołałam uzyskać, to ten ból głowy.

- Zofio, ty piłaś!

- Och, trochę wina - zawołała śpiwnie, trąc oczy. - Wspominaliśmy nasze dzieciństwo i śmialiśmy się. Wiesz, może i masz rację. Chyba rzeczywiście żywię wobec Waltera cieplejsze uczucia.

- Oczywiście, że tak. I co, nie chciał się z nami wybrać? Zofia potrząsnęła głową.

- Wykazał absolutny brak zainteresowania. Przypuszczam, że ma dość konnej jazdy. Ale możemy jechać we trójkę.

- Jeśli jesteś pewna...

- Jestem. Po co psuć ci ten dzień?

- Więc wyskakuj z łóżka i pośpiesz się.

- Muszę mieć trochę czasu, żeby się przygotować, Anno. Wiesz, jaką wagę przykładam do wyglądu.

- Zaczekamy na ciebie przy stajniach. Ale obiecaj, że się pośpieszysz.

- Co ty masz na sobie?

- Jedwabną bluzkę i zieloną spódnicę.

- Ta spódnica się nie nadaje, skarbie. Jest taka... wiejska. Teraz, kiedy wyzwoliłaś się już od tej okropnej czerni, musimy z tobą coś zrobić. W szafie znajdziesz rdzawą spódnicę do konnej jazdy i pasujący do niej żakiet.

Anna uznała, że lepiej się nie sprzeczać, i szybko znalazła amazonkę.

- Zofio, ona jest po prostu boska!

- Możesz ją zatrzymać. Bluzka jest dobra, kremowy kolor będzie pasował do rdzawego. No, szybko, przebieraj się!

Siedziała nieruchomo, czekając, aż Anna się przebierze.

- No! O wiele lepiej. Anna podeszła do łóżka.

- Proszę, Zofio, czy mogłabyś wstać?

- Właśnie coś przyszło mi do głowy - oznajmiła Zofia jak gdyby nigdy nic.

- Jedźcie do tego sekretnego stawu w lesie. Ja zabiorę stajennego i pojedziemy skrótem. Może nawet znajdziemy się tam przed wami. Będę miała czas, żeby się wyszykować, a Lutisza będzie mogła przygotować kosz z prowiantem. Obawiam się, że zapomniałam wspomnieć jej o tym wczoraj.

- Och, nie! Zaczekam na ciebie i jedzenie. Wyślę kogoś ze służby, aby uprzedził Jana, że się spóźnimy.

- Nie, Anno, to postanowione. Nalegam, byś pojechała z Janem.

- Lecz ciotka Stella... - westchnęła dziewczyna, przerażona - i twój ojciec... jeśli się dowiedzą...

- Lubisz martwić się na zapas. Przysięgam, zajmę się nimi, kochanie.

Zofia ujęła dłonie Anny i przyciągnęła ją do siebie, szacując spojrzeniem ciemnych oczu.

- Janek jest nieszkodliwy, Aniu. To oswojony niedźwiedź. Znam go. Miewa zmienne nastroje, ale z pewnością nie ma się czym martwić. A teraz biegnij. Och, i niech moje pojawienie się przy stawie będzie niespodzianką, dobrze?

- Ach, Zofio - szepnęła Anna, uświadamiając sobie, że drży. - Nie mogłabym...

- Ależ tak, mogłabyś. I zrobisz to! Nie bądź dziecinna, Anno. Jak możesz mieć nadzieję, że kiedykolwiek staniesz się kobietą światową, skoro nie potrafisz wyzbyć się wiejskiej wstydlivosti? Czy sądzisz, że Francuzka wzdrygałaby się przed spotkaniem z przystojnym mężczyzną? Nigdy!

Z bijącym mocno sercem Anna zbiegła schodami dla służby, modląc się, by nikt jej nie dostrzegł. Coś nie dawało jej spokoju. Zofia, mówiąc o Stelnickim, posłużyła się zdrobnieniem jego imienia. Czy była z nim aż tak zaprzyjaźniona? Nagle uświadomiła sobie, że kuzynka i Jan znają się od dziecka, więc taka familiarność jest w ich przypadku zupełnie naturalna.

Wydostawszy się z domu, przypięła do włosów jeździecki kapelusz i pośpieszyła ku stajniom, czując rześkie powietrze poranka.

W głowie miała zamęt. Zdawała sobie sprawę, że wyprawa do lasu z Janem, bez przyzwoitki, zostałaby przez wielu uznana za skandaliczną, lecz

serce biło jej mocniej na samą myśl o tym, że będzie z nim sam na sam po raz pierwszy, od kiedy zdjęła żałobę. Była zarazem szczęśliwa i przestraszona.

Zofia miała rację: zanim Anna poznała Jana, nie miała żadnych doświadczeń z mężczyznami. A podczas spotkań na łące jej żałoba stanowiła swego rodzaju tarczę - bez niej czuła się zagubiona. Nie wiedziała, co mówić, jak się zachować. Żałowała, że światowa kuzynka nie dała jej kilku dobrych rad. Kiedy impulsywna Zofia znajdowała się w pobliżu, rozmowa nigdy nie kulała. Jak zachowa się teraz Jan? Co powie? Czy to możliwe, by powiedział, że ją kocha?

Jan stał tuż przy wejściu do stajni. Uśmiechał się. Niebieski kolor jego stroju uwydatniał jeszcze błękit oczu. Koszula, rozpięta pod szyją i ukazująca gęstwinę rudawoblond włosów, zdawała się bardzo biała na tle opalonej skóry. Trzymał wodze swego czarnego wierzchowca, a także drugiego konia, nieco mniejszego.

- Ta jest dla ciebie, Anno - powiedział, skinieniem głowy wskazując śnieżnobiałą klacz - jeśli ją zechcesz.

- Nie miałeś chyba na myśli...

- Owszem, jak najbardziej. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Anna stała, starając się powstrzymać fontannę łez. Wychowanie i wpojone zasady podpowiadały jej, że musi odrzucić tak wspaniały prezent, ale nie mogła się zmusić, by to zrobić. Może później, kiedy poradzi się kuzynki. Nie chciała zaczynać dnia, sprawiając przykrość Janowi lub nawet obrażając go.

Do stajni wszedł starszy stajenny.

- Spójrzcie tylko, Stanisławie! Pan Stelnicki podarował mi klacz. Czyż nie jest śliczna?

- Prawdziwa piękność, panienko.

- Myślicie, że znajdzie się tu dla niej miejsce, Stanisławie? - zapytał Jan.

- Jeden koń więcej nie sprawi różnicy, proszę pana.

- Dziękuję, Janie - powiedziała Anna. - Chociaż to prezent zdecydowanie zbyt wspaniały.

- Nonsens. - Popatrzył na nią przenikliwie.

Gdy wyszli ze stajni, pomógł jej dosiąść klaczy, a potem pożartował chwilę ze stajennym, wsuwając mu w sękatą dłoń kilka monet.

Anna poddała się impulsowi, korzystając z okazji, aby popisać się nowymi umiejętnościami. Nie czekając, aż Jan dosiądzie konia, trzepnęła mleczny bok klaczy szpicrutą. Ta zaś pomknęła niczym błyskawica, uderzając donośnie kopytami o twardą ziemię.

Zaledwie od kilku dni jazda zaczęła sprawiać Annie prawdziwą przyjemność. W miarę czynionych postępów, gdy przeszła od umiarkowanego kłusa do szybkiego galopu, ogarniały ją wesołość i poczucie siły. Radość życia pulsowała we krwi.

Jakże inaczej czuła się dzisiaj! Wierzchowiec pogalopował tak szybko, że z trudem oddychała i ledwie utrzymywała się w siodle. Była zbyt przerażona, aby zawołać o pomoc.

Z tyłu dobiegł ją tętent kopyt. Miała nadzieję - modliła się, by to był Jan. Wydawało jej się też, że ją woła.

Starannie zaorane bruzdy ziemi migwały w szaleńczym pędzie, a wiatr siekł twarz. Krajobraz wokół stanowił oślepiającą mieszaninę zlewających się kolorów.

Anna uczyła się jeździć na mniejszym i o wiele spokojniejszym wierzchowcu, dlatego jej wysiłki powstrzymania klaczy nic nie dały. Bała się, że koń potknie się i zrzuci ją na twardą ziemię, a nie była w stanie zaczerpnąć naraz tyle powietrza, by krzyknąć.

W końcu Jan zrównał się z nią, a potężny bok jego wierzchowca naparł na klacz. Jan sięgnął po wodze klaczy i kiedy już niemal zbliżali się do lasu, zdołał ją zatrzymać.

Dziewczyna chwyciła gwałtownie powietrze. Bała się, że zemdleje.

- Nic ci się nie stało? - W jego głosie wyczuwała troskę, ale i rozbawienie.

- Chyba nic. Tylko zabrakło mi tchu. Czuję się też nieco upokorzona. Ośmielam się twierdzić, że Anioł to zdecydowanie spokojniejsze stworzenie.

- Powinienem był ostrzec cię, że klacz ma w sobie bojowego ducha. Konie są jak ludzie, miewają różne temperamenty. I tak jak ludzi, trzeba najpierw je poznać, a dopiero potem poddawać próbie.

- Dzięki za radę, choć nieco spóźnioną - Annie udało się roześmiać, mimo iż śmiała się z samej siebie. - Powiedz, czy ten koń ma imię?

- Nazywamy ją Pegaz.

- Bardzo stosownie! Myślę, że ona naprawdę ma skrzydła! Jan roześmiał się. Anna dostrzegła w jego oczach iskierkę, która mogła świadczyć o zapalczywości.

Przed nimi rozciągał się dębowy bór okryty barwami, które były zapowiedzią orgii kolorów nadchodzącej jesieni.

- Czyż nie jest tu pięknie? - spytała, starając się sprawiać wrażenie opanowanej.

- Pozwól, że pomogę ci zsiąść. - Jego głos był jak pieszczota. - Odpocznijmy chwilę.

- Nie - odparła Anna. - Nic mi nie jest. Jedźmy dalej.

- Musisz mocniej trzymać wodze - ostrzegł, podając je Annie. - Klacz musi wiedzieć, kto jest tu panem - lub panią. - Jego dłoń dotknęła dłoni Anny i pozostała tak przez chwilę.

Konie ruszyły stępa i po chwili ogarnął ich cień wielkich drzew. W głowie Anny myśli wirowały niczym liście na wietrze. Dlaczego posłuchała Zofii? Dlaczego naraża na szwank swoją reputację? I czy może narazić ją jeszcze bardziej? Nie ma doświadczenia w umizgach. Jak mogła sądzić, że potrafi ocenić charakter człowieka, skoro nie jest w stanie zrobić tego nawet z koniem?

Zagłębiwszy się w las, musieli starannie wybierać drogę, gdyż stary trakt zarośnięty był gęsto dziką różą i orlicą. Tu i tam ukośne promienie przebijały się przez korony drzew, rzucając na leśne poszycie snopy światła. Unosząca się mgła czyniła ranne powietrze niemal widocznym. Młode dęby wyrastały z ukrytych pod ziemią korzeni, walcząc o odrobinę światła, którego zawsze tu brakowało. W lesie panował przyjemny chłód, jazda sprawiała Annie przyjemność, wkrótce poczuła więc, że się odprężyła.

- Masz jakieś monety, Anno?

- Monety?

Jej zdziwienie trwało tylko chwilę, gdyż niemal natychmiast usłyszała niesamowity odgłos. Gdzieś w głębi lasu kukułka zaintonowała swój dziwaczny lament.

- Nie, nie mam.

- Ani ja. Lecz jakie nieszczęście mogłoby spotkać nas w tak piękny dzień?

Szacunek, jaki żywiła dla legend i wierzeń, sprawił, iż pożałowała, że Jan dał swoje monety Stanisławowi.

Babcia opowiedziała kiedyś Annie taką oto starą ludową baśń: śliczna dziewczyna zażartowała sobie ze świętej Anny, zbierając w lesie jagody. Obrażona święta zmieniła ją w kukułkę, aby bez końca nawiedzała okolicę, żaląc się na swój los i wieszcząc nieszczęście. Jeśli jednak ktoś, słysząc jej zawodzenie, zabrzęczy monetami, uchroni się od złego.

Anna uważała zawsze, iż taka chorobliwa chęć zemsty nie przystoi świętej. Wątpiła też, by uleganie przesądom mogło zapewnić bezpieczeństwo. Mimo to, kiedy uświadomiła sobie, że żadne z nich nie ma monet, poczuła pewien

niepokój. Oczywiście, Jan ma rację. Co złego mogłoby przydarzyć się im w tak piękny dzień? Próbowała odsunąć od siebie lęk.

Jan zatrzymał się i zsiadł z konia. Anna patrzyła, jak pochyła się nad zwalonym pniem. Wyprostował się i, roześmiany, pokazał jej ogromny grzyb.

- Spójrz tylko na to, Anno!

Grzyb, wielki niczym pięść, wyglądał jak nakrapiany beżowy kwiat.

- Może być trujący - powiedziała Anna.

- Nie, nie jest, ale masz rację, należy zachować ostrożność. Las może być niebezpieczny, ale i hojny.

Jan wyjął nóż i naciął trzon grzyba.

- Widzisz? Różowy jak pupa niemowlęcia. Gdyby był biały i ociekał wilgocią, mielibyśmy powód do zmartwienia. Te grzyby nie są zbyt dobre do jedzenia, ale nadają się do zup i gulaszu. Dla Lutiszy będzie miłym prezentem.

Podzielił grzyb na części i schował do torby przy siodle. Znów się pochylił.

- Jeśli wszystkie są tak duże - powiedziała Anna - nie trzeba nam wielu.

Jan wyprostował się, a potem podszedł do niej, uśmiechając się lekko i kryjąc dłoń za plecami.

- Nie mam teraz szczególnej ochoty na grzyby - zazartowała.

- Wyciągnij rękę.

Anna z wolna wyciągnęła dłoń, a on położył na niej mały czerwony kwiatek.

- Dziękuję, Janie.

Pochylił się w przesadnym ukłonie.

- Powiedz mi, czy ktoś mówi do ciebie Janek? - spytała.

- Nie, nikt. Ale ty możesz, jeśli masz ochotę.

Anna poczuła, że jej twarz oblewa rumieniec. Nie wiedziała, jak zareagować.

Jan wpatrywał się w nią, mrużąc oczy i uśmiechając się coraz szerzej. Czowała, jakby przewiercał ją tym spojrzeniem na wylot. W jakiś dziwny sposób była pewna, że Jan wie, co ona czuje, i ośmielała się nawet sądzić, że ona również zna jego myśli. Dzisiaj mi się oświadczy.

Nie zsiadła z konia, choć była pewna, że Jan chciałby, by to zrobiła. Ukryta w chłodnym cieniu z aprobatą obserwowała, jak jej towarzysz dosiada wierzchowca. Wydawał się taki przystojny. Męski, a zarazem wrażliwy na innych i kruche piękno natury. Słodka woń lasu przeniknęła ją od stóp do głów, oszołamiając i przepełniając falą miłości do tego mężczyzny.

Jechali z wolna lasem przez niemal dwie godziny. Lęki Anny - intuicyjne i nieokreślone - uderzały w nią od czasu do czasu niczym powiew stęchłego powietrza, lecz szybko mijały.

Dotarli do niewielkiego strumyka i pozwolili koniom się napić. Jan podprowadził wierzchowca bardzo blisko klaczy.

- Anno - powiedział, pochylając się ku niej. Objął ramieniem jej talię i przyciągnął dziewczynę bliżej siebie.

Pocałował ją, z początku bardzo delikatnie. Anna nie odwzajemniła pocałunku, ale i nie cofnęła się. Jego wargi wydały jej się dziwnie miękkie, a ich dotyk cudowny. Z jej ust dobyło się ciche, uległe westchnienie. Jan zacieśnił uścisk i piersi Anny przywarły do rozpiętego surduta, kiedy całował jej usta, a potem szyję. Trzymał ją tak mocno, że powinna odczuwać ból, lecz była jak odrętwiała. Konie poruszały się pod nimi niespokojnie, być może zdenerwowane wzajemną bliskością. Jan szeptał coś tak cicho, że nie potrafiła zrozumieć słów. Lecz kiedy przybliżył usta do jej ucha, usłyszała, że bezustannie powtarza jej imię.

- Pomogę ci zsiąść - wymamrotał.

Anna udała, że nie słyszy. Bliskość mężczyzny, pocałunki, wszystko to sprawiło, że w jej głowie zadźwięczał alarm, głośny niczym dzwony opactwa. Nie pozwoli - nie może pozwolić - by sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Kiedy powtórzył propozycję na tyle głośno, że nie można było tego zignorować, odsunęła się od niego.

- Janie, przed nami długa droga, jeśli mamy dotrzeć do stawu, o którym ci mówiłam.

Ścisnęła piętami boki wierzchowca i klacz weszła posłusznie do strumienia, rozchlapując wodę. Skłamała. Staw znajdował się całkiem blisko.

Teraz bała się już nie na żarty. Nie powinna była zagłębiać się w las tylko z Janem. Co ją opętało? Matka powtarzała jej, by unikała pokusy i ryzyka. Obawiała się także siebie, gdyż pocałunki i bliskość Jana obudziły w niej dziwne, nieznanne dotąd uczucia. Czy popełniła ten sam błąd, co Ikar? Wzniosła się zbyt wysoko, leciała zbyt blisko słońca? Teraz mogła się tylko modlić, by Zofia czekała na nich przy stawie.

Przez jakiś czas w milczeniu jechali wzdłuż strumienia. Anna prowadziła, a Jan podążał za nią, brzdąkając słodko na drumli. Od czasu do czasu przerywał, by naśladować śpiewającego w pobliżu ptaka. Anna chętnie roześmiałaby się i odwróciła głowę, by na niego popatrzeć, ale twarz Jana pozostawała nieprzenikniona. Czyżby go rozgniewała?

Uwagę Anny przyciągnęły połyskujące na płytkim dnie strumyka kamienie. Mieniły się barwami i było ich tysiące. Te mniejsze przypominały błyszczące nieszlifowane granaty, szmaragdy i bursztyny. A może to tylko gra światła na wodzie sprawiała, że wyglądały jak klejnoty? Anna miała chęć zapytać, czy to możliwe, by niektóre z nich naprawdę były kamieniami szlachetnymi, lecz nie zrobiła tego. Nie chciała wydać się naiwna.

Strumień opadał teraz gwałtownie, prowadząc ich w głąb lasu, gdzie drzewa rosły jeszcze gęściej.

Nagle Anna zobaczyła pod wodą coś dziwnego. Było białe, o zakrzywionym kształcie, zaostrzonym na końcu. Wstrzymała konia.

- Spójrz, Janie! - zawołała. - Tam, blisko brzegu!

- Co takiego, Anno?

- Wygląda jak ząb. Tak, jak olbrzymi ząb!

Zbliżyli się do tajemniczego przedmiotu. Jan podjechał do brzegu, zsiadł, zanurzył w wodzie obie dłonie i podniósł go.

- Jak myślisz, co to takiego? - spytała.

- To rzeczywiście ząb, chociaż olbrzymi i bardzo ciężki!

Przez chwilę przyglądał się znalezisku, obracając je w dłoniach.

- Wyobrażam sobie, że to kieł mastodonta, zwierzęcia wielkiego jak to drzewo.

Anna poczuła ukłucie lęku, mimo to roześmiała się.

- Rzeczywiście, wyobrażasz sobie. Masz na myśli smoka? Jan uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mastodonty to zwierzęta, które wędrowały kiedyś po tych terenach. Ludzie wierzą, że nasi praprzodkowie je wybili.

- Mamy zatem szczęście - zauważyła Anna ze śmiechem. - Gdybyśmy tylko mogli zabrać go ze sobą. Chciałabym pokazać Zofii kieł prawdziwego smoka.

Jan nagle przestał się uśmiechać.

- Mówię poważnie, Anno. Ten kieł nie pochodzi od smoka, ale od wielkiej bestii, która niegdyś przemierzała te tereny. Moi chłopcy wykopali nawet cały jej szkielet!

Anna nadal spoglądała na niego z niedowierzaniem.

- To prawda! - zawołał.

- O takich stworach czyta się tylko w bajkach - powiedziała. - Żartujesz sobie ze mnie.

Jan, rozgniewany, zamachnął się i rzucił kieł w najgłębszą wodę. W milczeniu dosiadł konia.

Anna była zdumiona. Naprawdę się na nią rozgniewał. Ale dlaczego? Zofia miała rację: jego usposobienie było zmienne.

Oddalili się od strumienia i zaczęli przedzierać się przez kolczaste zarośla i krzaki, kierując się ku sercu lasu.

- Prowadzisz mnie przez labirynt zarośli! - zawołał z tyłu. - Ufam, że wiesz, gdzie znajduje się ten ukryty staw?

- Och, tak! - zawołała śpiewnie Anna, lecz nagle ogarnęły ją wątpliwości. Zofia zabrała ją do tego sekretnego miejsca kilka razy. Anna wierzyła, że tylko one dwie wiedzą, gdzie się znajduje. Można tam było pływać i kąpać się w bezpiecznym odosobnieniu, choć Annę zniechęcała obecność owadów i ryb oraz gęstwina wodnych roślin. Zofia nie miała takich uprzedzeń i chlapała się beztrudno w chłodnej wodzie, podczas gdy Anna siedziała na brzegu, zazdroszcząc kuzynce odwagi.

W końcu konie przeprowadziły ich pod zwieszającymi się nisko gałęziami wierzby i zobaczyli staw.

- Spójrz tam! - powiedziała, wskazując na oczko wodne otoczone kręgiem powalonych dębów i wierzb. Martwy dąb stał nad samą wodą niczym potężny starzec, a jego olbrzymie poskręcane korzenie sterczały z urwistego brzegu.

Serce Anny zaczęło bić szybciej. Spojrzała przed siebie, a potem rozejrzała się dookoła. Jechali tak wolno, iż była pewna, że Zofia zdążyła już tu dotrzeć. Jednakże nigdzie nie było ani śladu kuzynki. Ach, Zofio, co za sprytna sztuczka, zostawić mnie sam na sam z Janem, pomyślała.

Zacisnęła dłonie na wodzach, aż zbieleły jej knykcie. Klacz stanęła i Anna pochyliła się do przodu.

- Czego tak wypatrujesz? - zapytał Jan, zsiadając.

- Niczego - odparła.

Jeśli nawet był na nią wściekły, najwidoczniej gniew minął.

- Anno, pozwól, że ci pomogę - powiedział cicho, lecz nagłoco.

Delikatnie ujął ją w tali i bez wysiłku zszedł z konia. Jest taki silny, pomyślała. Gdy tylko jej stopy dotknęły ziemi, otoczył ją ramionami i zaczął całować, tym razem znacznie mocniej, przyciskając wargi do jej ust i rozdzielając je swoimi.

Ciepło jego warg i moc promieniująca z silnego ciała sprawiły, że czuła się tak, jakby stała jedynie dzięki niemu. Jeśli ją puści, upadnie.

Nagle poczuła w ustach jego język i zaskoczyło ją, że ta nieznana i nieoczekiwana pieśczość może dostarczyć tak słodkich przeżyć.

Próbowała go odepchnąć, lecz trzymał ją mocno i po chwili osunęła się wraz z nim na miękkie, suche liście.

Mogła myśleć jedynie o tym, że nie wolno jej dopuścić, by to się stało. Walczyła z Janem i z sobą, gdyż coś w niej wcale nie chciało, by przestał. Kiedy siedziała na koniu, czuła się stosunkowo bezpieczna, gdyż mogła w każdej chwili uciec. Na ziemi była zdana na jego łaskę.

- Przestań... proszę...

W powietrzu tuż nad ziemią unosiła się ciepła woń wędnących w słońcu liści i kwiatów. Annie zdawało się, iż jakiś ciężar ciągnie w dół jej powieki, zmuszając, by je przymknęła, podczas gdy Jan nie przestawał jej całować.

Nagle poczuła pod brodą jedwabiste włosy, a na szyi dotyk ciepłych ust. Zmusiła się, by otworzyć oczy. Nie zapięła górnego guzika bluzki i jego wargi wędrowały bez przeszkód coraz niżej, składając lekkie, pieszczotliwe pocałunki. Uczucia, jakich doświadczała, były dla niej zupełnie nowe i absolutnie rozkoszne. Zdawała sobie jednak sprawę, że mogą też być niebezpieczne.

- Janie - szepnęła. - Proszę, przestań.

Spojrzał na nią i w jego oczach dostrzegła jedynie pożądanie. Przestraszyła się. Przyglądał się jej uważnie. Powoli w jego błękitnych oczach czułość zastąpiła namiętność. Anna uświadomiła sobie od razu, że tam, gdzie dostrzegła zagrożenie, było jedynie bezpieczeństwo, jedynie siła.

- Wyjdź za mnie, Anno. Przysięgam na orła białego, że będę kochał cię zawsze.

Anna westchnęła cicho, ale nie była w stanie się odezwać. Jej marzenia właśnie się urzeczywistniały i odtąd nic już nie będzie takie samo. Koniec z samotnością. Znów będzie częścią rodziny. Jak jej rodzice, doświadczy miłości i małżeństwa.

W końcu udało jej się zaczerpnąć tchu.

- Janie, ja... to zbyt szybko po... - powiedziała z trudem.

- Wcale nie! Było nam przeznaczone, byśmy spotkali się akurat teraz. Na pewno to czujesz, tak samo jak ja.

- Chodzi jedynie o to...

- Będiesz ze mną szczęśliwa, obiecuję! Jeśli musimy trochę poczekać, trudno. Jakoś wytrzymamy. Tylko powiedz, że za mnie wyjdiesz. Kocham cię, Anno.

- Och, Janie, ja...

- Anno! Janie! - dobiegł ich radosny głos Zofii.

Jan zerwał się na równe nogi, po czym pomógł wstać Annie.

- A ona co tu robi? - szepnęła, zdenerwowany. Od razu rozpoznał, do kogo należy głos.

- Przywiozła lunch. To miała być niespodzianka.

- Och, i jest, bez wątplenia.

- Tutaj! - zawołała Anna słabo. Twarz jej płonęła. Co Zofia zdążyła zobaczyć?

- Tu jesteście! - krzyknęła Zofia, wyłaniając się zza drzewa. - Dzień dobry, Anno... Janie.

Jej głos rozbrzmiewał radością życia i niewinnością. Miała na sobie różowy strój do konnej jazdy i białą koronkową bluzkę. Jej czarne wijące się włosy opadały falą na plecy.

- Dzień dobry, Zofio - odpowiedział Jan, udając, że jest bardzo zajęty przywiązywaniem koni do krzaka, choć zrobił to przed paroma minutami.

- Zaczęłam już myśleć, że nie przyjdiesz - powiedziała Anna, świadoma, że jej głos i wygląd świadczą o tym, jak bardzo jest zażenowana. Nie mogła okazać, że miała nadzieję, iż kuzynka w ogóle się nie pojawi.

- Och, przepraszam za spóźnienie. - Zofia uścisnęła Annę, która uznała, że przeprosiny zakończyły temat, i zrezygnowała z dalszych wyjaśnień.

Zofia pomogła Annie rozłożyć na ziemi koc. Jej perfumy konkurowały z wonią lasu. Pochyliła się i szepnęła:

- Ale zrobiłam to dla ciebie, skarbie! A potem dodała, już głośno:

- Przywiozłam same pyszności. Ach, cóż może być przyjemniejszego niż wycieczka do lasu z moją kuzynką i... moim przyjacielem Jankiem?

Anna spojrzała na Jana, zajętego czyszczeniem koni. Było oczywiste, że pojawienie się Zofii zdenerwowało go. Czy zaniepokoił go też fakt, że wymówiła zdrobniale jego imię? A może wcale tego nie zauważył?

- Potem możemy się wykąpać - mówiła tymczasem Zofia. - To znaczy, jeśli Jan okaże się tak wyrozumiały i zostawi nas na chwilę.

- Ja wolałabym nie - powiedziała Anna. - Wiesz, że boję się wody.

Zofia westchnęła demonstracyjnie.

- Lubisz sprawiać wrażenie delikatnej i bezradnej, Anno. Przypuszczam, że niektórym mężczyznom może się to wydawać atrakcyjne. - Spojrzała przelotnie na Jana, który sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego swym zajęciem. - Jednakże taka poza wymaga zbyt wiele cierpliwości, a przyznaję, że jest to cecha, której nie posiadam w nadmiarze.

Przez chwilę Annie zdawało się, że ta ostatnia uwaga przeznaczona była dla Jana, nie rozumiała jednak jej znaczenia. Przytyki Zofii irytowały ją, mimo to postanowiła je zignorować.

- Mam pomysł - powiedziała. - Nazbierajmy malin, zjemy je do posiłku. Nie jadłam śniadania i jestem głodna jak wilk. Poza tym uwielbiam maliny!

- Cóż, nie wydaje mi się to szczególnie zabawnym zajęciem - powiedziała Zofia - ale niech ci będzie.

Odwróciła się, przyłożyła do ust złożone dłonie, jak czynią to chłopki, i zawołała:

- Stanisław!

Po kilku minutach pojawił się służący, prowadząc dwa konie. Pozostawili mu rozpakowanie tobołków z jedzeniem, a sami ruszyli w zarośla, aby poszukać malin.

- Czy mógłbyś pójść przodem, Janie - poprosiła Zofia - i sprawdzić, czy da się tędy przejść?

Jan wysunął się nieco do przodu i zaczął usuwać ze ścieżki nieliczne przeszkody. Anna pomyślała, że robi to niechętnie.

Zofia paplała beztrosko, powstrzymując Annę, by nie szła zbyt szybko. Kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu Jana, szepnęła niecierpliwie:

- I co? Co się wydarzyło?

- Co masz na myśli?

Mijały właśnie wąskie przejście i Anna udała, że próbuje ochronić spódnice przed podarciem. W ten sposób nie musiała podnosić wzroku.

- Nie bądź taka nieśmiała! - syknęła Zofia. - Powiedz mi. Miał czelność cię pocałować?

Anna spojrzała na Zofię i skinęła głową.

- Doprawdy, Anno! Muszę wszystko z ciebie wyciągać? Anna zaczerpnęła oddechu i wyrzuciła z siebie:

- Poprosił mnie o rękę.

- Co takiego? - Zofia otwarła bezwiednie usta. Wydawała się szczerze zdumiona. - Żartujesz sobie?

- Nie.

Zofia westchnęła cicho.

- I co... co mu odpowiedziałas?

- Odrzuciłam go.

Zofia otrząsnęła się z oszołomienia i powiedziała, poruszona:

- Och, Anno, przykro mi, że cię na to naraziłam. Nie masz do mnie pretensji, prawda? Myślałam, że po tym, co przeszłaś, mały flirt z Janem dobrze ci zrobi. To dlatego celowo się spóźniłam. Chciałam dać wam czas. Kto mógłby przypuścić, że on się oświadczy? Mówił poważnie?

- Och, tak.

- Nie martw się, skarbie. Zaraz wszystko naprawię.

- Nie bądź niemądra, Zofio. Ja... - Anna umilkła, uświadamiając sobie, że Jan czeka, by się do niego przyłączyły.

- Tędy - powiedział. - Znalazłem całkiem przyzwoite miejsce.

Kiedy zbierali maliny, Zofia paplała nieustannie. Anna nie mogła zrozumieć zachowania kuzynki. Czyżby Zofia sądziła, że jej zainteresowanie Janem to tylko przelotny kaprys? Jeśli tak, trzeba uzbroić się w cierpliwość. W stosownej chwili poinformuje ją, że jest inaczej.

Jan, znudzony i prawdopodobnie zirytowany kpinkami Zofii, co i rusz rzucał Annie zniecierpliwione spojrzenia.

W końcu nie mogła już dłużej tego znieść.

- Dokończcie sami - powiedziała. - Pójdę przygotować jedzenie. - Po czym szybko oddaliła się w kierunku, z którego przyszli.

- Ale to ty chciałaś zbierać maliny! - krzyknęła za nią Zofia.

Anna nie wiedziała, czego właściwie chce. Myśli kłębiły się jej w głowie niczym pędy jeżyn, przez które musiała się przedzierać. Jej uczucia w stosunku do Jana, choć silne i pozytywne, naznaczone były przecuciem nieokreślonego zagrożenia, a może niestosowności. Zachowanie kuzynki zaś stanowiło absolutną zagadkę. Nim dotarła do stawu, postanowiła, że czas zakończyć wycieczkę. Poleciała Stanisławowi, by spakował z powrotem wiktuały.

Podeszła bliżej wody i spacerowała tam, czekając na Jana i Zofię. Chciała, aby ten dzień już się skończył. Potrzebowała czasu, by zebrać myśli. A także jasnego umysłu. Nie była pewna, czy chce wyjść za Jana, chociaż wiedziała, że go kocha, i to pomimo zmiennego usposobienia.

Jego zaloty i oświadczenia były niewczesne i zbyt impulsywne. W jej stronach wyglądało to inaczej. Tradycja wymagała, by starający się przyszedł do domu wybranki z butelką wina przystrojoną kwiatami. Młoda dama przynosiła specjalne, małe kieliszki, napełniała je i podawała trunek najpierw kawalerowi, a potem rodzicom. Wszyscy sączyli wino, a jeśli panna także podniosła do ust kieliszek, młody człowiek mógł być pewny, że jego starania spotkały się z przychylnością.

Annę dręczyło też poczucie winy. Zważywszy, iż ukrywała przed swymi opiekunami znajomość z Janem, w przyszłości mogła spodziewać się z ich strony jedynie sprzeciwu.

Przyglądała się, jak Stanisław wkłada do toreb przy siodle ostatnie pakunki z jedzeniem. Spakowawszy wszystko, wsiadł na konia i przemawiał do niego żartobliwie, czekając.

Przez polankę przesunął się cień. Anna spojrzała w górę i zobaczyła wielkiego orła. Szybował majestatycznie po nieboskłonie. Przypomniała sobie, iż Jan przysiągł na białego orła, że będzie kochał ją wiecznie.

Ptaka zatoczył koło i runął w dół, znikając za wierzchołkami drzew.

- Pewnie wypatrzył tam obiad! - zawołał Stanisław.

- Zapewne - zgodziła się Anna, myśląc o czymś innym. Wspomniała ojca i jego słowa, które tak często powtarzał.

Widziała go znów przy zastawionym do kolacji stole. Trzymał w dłoni nóż i widelec, lecz zapominał o jedzeniu, zajęty rozprawianiem. Jakie to dziwne, mówił, że symbolem Polski stał się właśnie orzeł, ptak drapieżny. Polska nie ma stałej armii i nie frymarczy ani nie odgraża się nikomu w salach tronowych Europy. Polacy to ludzie miłujący pokój, mimo to w przeszłości kraje graniczące z Polską - Prusy, Austria i Rosja - zachowywały się wobec niej jak drapieżcy i w końcu, przed dwudziestoma laty, ich łupem padła trzecia część polskich ziem, zamieszkała przez połowę ludności kraju.

To dziwne, lecz nie przywiązywała wtedy do słów ojca szczególnej wagi. Zdawało się, że było to tak dawno. Jaka młoda była wówczas... nim wszystko zaczęło się rozpadać. Jak bardzo zajęta błahostkami młodości. Teraz słowa ojca rozbrzmiewały echem w tunelu jej pamięci, dźwięcząc prawdą i przecuciem nieszczęścia.

Z zamyślenia wyrwał ją krzyk Zofii.

- Wracaj do domu, Stanisławie! - krzyczała. - Wracaj natychmiast!

Anna podniosła wzrok. Zofia stała zwrócona do niej tyłem.

- Co się stało, Zofio? O co chodzi?

Zofia powtórzyła polecenie. Oszołomiony stajenny popędził konia i zniknął w lesie.

Dziewczyna odwróciła się i zbiegła po zboczu do Anny.

- Jan mi to zrobił! - zawołała.

Anna wpatrywała się w kuzynkę z niedowierzaniem. Koronkowa bluzka, okrywająca bujne wdzięki Zofii, była rozdarta z góry na dół.

Jan nie dał na siebie długo czekać. Podbiegł do miejsca, gdzie stały dziewczęta, chwycił Zofię za ramiona i brutalnie odwrócił. Pod strzechą blond włosów jego twarz była czerwona z gniewu.

- Co powiedziałaś Annie? - zapytał, mocno trzymając Zofię za ramię. - No mów!

Zofia nie odpowiedziała, prychnęła tylko, oburzona, że potraktowano ją tak obcesowo.

Jan odwrócił głowę i spojrzał na Annę.

- Co ta kłamliwa kreatura ci powiedziała?

Scena rozgrywająca się na polanie nagle zaczęła wydawać się Annie dziwnie nierealna. Niedowierzanie zmieniło się w pomieszanie i lęk, gdy Jan, nie puszczać ramienia Zofii, coraz usilniej domagał się wyjaśnień, ta zaś wrywała się, nie przestając łajać go podniesionym głosem. Anna czuła się tak, jakby wszystko to przytrafiło się komuś innemu.

Wreszcie Jan odepchnął histeryzującą Zofię i ruszył ku Annie.

- Powinnaś poznać prawdę o swojej kuzynce... - zaczął.

Anna, ogarnięta paniką, odwróciła się i zaczęła uciekać.

Ruszył natychmiast za nią, wykrzykując usprawiedliwienia, których jej umysł nie potrafił w tej chwili przyswoić ani zrozumieć.

Słyszała tupot swych stóp na wyschniętym, spękany brzegu stawu. Wzburzenie nie pozwalało jej logicznie myśleć.

Dokąd tak biegnie? Ledwie mogła zaczerpnąć tchu, mimo to przyśpieszyła.

Tuż za sobą słyszała ciężki oddech Jana.

Wbiegła na szczyt niewielkiego wzgórza i zobaczyła - zbyt późno, by się zatrzymać - że z drugiej strony zbocze gwałtownie opada.

Stoczyła się na łeb na szyję prosto do wypełnionego wodą zagłębienia poniżej, lądując w niewygodnej siedzącej pozycji. Kapelusz spadł jej z głowy, a warkocz, upięty przedtem w koronę, opadł na ramiona.

Spojrzała w górę i zobaczyła Jana na szczycie zbocza.

- Nic ci się nie stało, Anno?

- Zostaw mnie! - zawołała. Stopa paliła ją żywym ogniem, lecz nie wspomniała o tym.

Jan zeskoczył ze skarpy i podszedł do niej. Ukląkł na suchej ziemi i niezgrabnie wyciągnął ku niej dłoń.

Odwróciła wzrok, a potem ukryła twarz w dłoniach.

- Proszę, zostaw mnie samą, Janie. Proszę!

Po chwili, która zdawała się wiecznością, spojrzała znowu. Jan zniknął. Siedziała bez ruchu, odrętwiała.

Czy powinna go przywołać? Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie chce, by odszedł. Lecz słysząc oddalający się stukot końskich kopyt, pomyślała, że już za późno. Gorące łzy za-kłuły ją pod powiekami. Co ona zrobiła?

Próbowała wstać, ale nie mogła.

- Och, Anno, jesteś zraniona! - Na szczycie skarpy stała Zofia, spoglądając w dół.

Anna powstrzymała łzy.

- Okropnie piecze mnie w kostce - przyznała. - Ale nie sędzę, by była złamana.

- Och, twoja lewa kostka! Będziemy potrzebowały pomocy Jana, by wsadzić cię na siodło. Nie próbuj się poruszać, Anno. Zaraz go dogonię.

- Bądź ostrożna, Zofio - zawołała, ale kuzynka zdążyła już zniknąć jej z oczu.

Podpierając się łokciami, wdrapała się na niewielki wzgórek, skąd mogła zobaczyć, jak Zofia dosiada konia. Gdy odjechała galopem, Pegaz, nadal przywiązana do krzewu, zarżała płochliwie, bezskutecznie próbując się uwolnić.

Anna wiedziała, że będą potrzebowały pomocy mężczyzny. Modliła się, by Zofia zdołała dogonić Jana i namówić go do powrotu. I, co ważniejsze, chciała dać Janowi szansę, by się wytłumaczył. Przypomniała sobie, że w jego spojrzeniu dostrzegła jedynie szczerą troskę. Jak mógłby zrobić to, o co oskarżała go Zofia, jeśli Anna podbiła jego serce?

Uniosła się na dłoniach i kolanach, po czym przeczołgała na płaskie, ocienione miejsce na brzegu stawu. Osunęła się na ziemię, nabrała wody w stulone dłonie i podniosła je do spragnionych ust.

Opadła, wyczerpana, na plecy, wpatrując się w bezchmurne niebo. Spotkanie z Janem Stelnickim było najbardziej ekscytującym wydarzeniem w całym jej życiu. Być może to wszystko stało się zbyt wcześnie. Miała zaledwie siedemnaście lat. Oczywiście marzyła o małżeństwie, domu, dzieciach -jednak życie, odkąd zamieszkała z Grońskimi, zdawało się nieść tyle wspaniałych obietnic, zwłaszcza w porównaniu z jej dotychczasową, spokojną egzystencją. Pragnęła strząsnąć z siebie dziecięcą naiwność i nabrać ogłady oraz poluru. Pragnęła doświadczyć przyjemności życia towarzyskiego w Warszawie, o jakich nieustannie opowiadała jej Zofia. Za rok lub dwa zapewne znużyłaby ją

bezczytność i swoboda, lecz nie była pewna, czy chce rezygnować z nich już teraz.

Poza tym zmienne usposobienie Jana napawało ją lękiem. Był tak niecierpliwy i gwałtowny. Czy naprawdę zaatakował Zofię? Wydawało się to niepojęte.

Ale czy Zofia skłamałaby w tak bardzo ważnej sprawie? Po co?

Anna martwiła się o Zofię. Kuzynka dobrze jeździła konno, jednakże leśne ścieżki pełne były czepiających się pnączy, zwalonych pni, nisko wiszących konarów. Rozejrzała się dookoła, próbując skupić uwagę na opadających, niesionych wiatrem jesiennych liściach.

Czuła się osamotniona i bezradna. Czas mijał i czuwanie sprawiało jej coraz większą trudność.

Obudził ją głos wykrzykujący jej imię. Natychmiast poczuła ból. Gdy spała, słońce przesunęło się i teraz świeciło prosto na nią. Czuła, jakby zamiast skóry miała na twarzy suchą, naciągniętą nadmiernie maskę.

- Och, Anno - zawołała Zofia. - Jan był wściekły! Zsunęła się ostrożnie ze stoku i podeszła do niej.

- Kochanie, ależ cię spaliło! Twarz masz czerwoną jak dojrzała truskawka!

- Nie wróci tu?

- Nie, skarbie. Anna posmutniała.

- Dogoniłam go spory kawałek stąd. Ledwie mnie wysłuchał, tak był wściekły. Jest doprawdy niemożliwy!

- A Stanisław?

- Próbowałam dogonić i jego, dlatego tak długo mnie nie było. Jednak zbyt mnie wyprzedził.

- Więc co zrobimy?

- Jak myślisz, czy przy mojej pomocy dałabyś radę wsiąść na konia?

- Być może. Spróbujmy.

Próbowały, ale po półgodzinie ich wysiłki skończyły się na tym, że obie wylądowały na ziemi.

- Jest tylko jedno wyjście - stwierdziła Zofia. - Muszę pojechać do domu po pomoc.

- Musisz? Nie mogłybyśmy po prostu zaczekać? Z pewnością stajenny...

- Nie. Przyprowadziłam tu Stanisława - powiedziała Zofia, wstając - i przypuszczam, że stary głupiec trafi jakoś do domu, ale nie sądzę, by zdołał sam odnaleźć staw. A nim ktoś zacznie nas szukać, zrobi się ciemno. Mogą w

ogóle tu nie trafić. Ja i Walter odkryliśmy to miejsce, kiedy byliśmy dziećmi, i nie powiedzieliśmy o tym nikomu.

Anna musiała przyznać, że to jedyny rozsądny plan.

- Nie denerwuj się - zapewniła ją Zofia. - Postaram się wrócić szybko. Czy Stanisław zostawił coś do jedzenia?

- Nie, kazałam mu wszystko z powrotem zapakować. Zofia spojrzała na Annę z namysłem, lecz o nic nie zapytała. Wstała.

- Szybko sprowadzę pomoc.

- Zofio?

- Tak, skarbie?

- Czy to prawda?

- Co mianowicie?

- Czy Jan naprawdę cię zaatakował?

- Przecież powiedziałam. Podajesz w wątpliwość moje słowa, Anno?

- Ale ja nie rozumiem. Dopiero co powiedział, że mnie kocha. Oświadczył mi się.

- A ty mu uwierzyłaś? Och, Anno, musisz jeszcze wiele się nauczyć o świecie i o mężczyznach! W szale namiętności mężczyzna powie wszystko, byle tylko osiągnąć cel. Po prostu chciał zrobić z tobą to, na co miał ochotę, nie chodziło mu o nic więcej.

- Nie wierzę! Jan nie jest taki!

- Muszę przyznać, że i mnie zaskoczył. Gdybym podejrzewała, co zamierza, nie puściłabym cię z nim samą. Dobrze, że do was dołączyłam.

- Spójrz na mnie, Zofio. Czy to prawda? Wpatrywała się w twarz kuzynki, szukając w niej śladu

nieszczerości. Modliła się, by oskarżenie Zofii było kłamstwem. Nie mogła przecież aż tak pomylić się co do Jana.

- Nie udawałaś?- naciskała dalej. Nagle Zofia poczerwieniała z gniewu.

- Ty mały głuptasie! - wysyczała. - Ośmielasz się twierdzić, że kłamię? Co sprawiło, że uwierzyłaś, iż mężczyzna taki jak Jan zechciałby poślubić wiejską gąskę, gdy może wybierać pomiędzy najlepszymi pannami z Warszawy? Uznał cię za łatwą zdobycz, to wszystko! - Odwróciła się i odeszła.

Anna, oszołomiona, spoglądała w ślad za kuzynką, z rozchyłonymi wargami, z których nie dobył się żaden dźwięk. Po kilku minutach spostrzegła, że Zofia zabrała nie tylko swego konia, ale i klacz.

Zdjęła buty, najpierw ze zwichniętej, spuchniętej stopy, potem ze zdrowej.

Po dłuższym czasie sen pozwolił jej wreszcie uciec od rzeczywistości.

Zofia przystanąła na skraju lasu i niewidzącymi oczami zapatrzyła się na drugą stronę polanki. Szła piechotą, prowadząc za sobą konie.

Nadal wrzała gniewem. Wszystko poszło zdecydowanie źle. Kolejny raz fałszywie oceniła sytuację. Miała nadzieję, że wycieczka da Janowi sposobność, by przyjrzał się im obu, i że Anna, prosta wieśniaczka, przegra w konfrontacji z nią, wyrafinowaną uwodzicielką.

A przecież zaplanowała wszystko tak starannie. Od kiedy

Jan wrócił ze szkoły, miesiącami dyskretnie, metodycznie go uwodziła. Była pewna, że zażyłość z Janem pozwoli jej uciec przed zaaranżowanym małżeństwem z Antonim Grawlińskim. Lecz jeśli będzie zmuszona go poślubić, stanie się tak z winy bezmyślnej kuzynki. To Anna zniweczyła jej plany i nadzieje na przyszłość. Do licha z nią!

Zofia winiła też siebie. Przeklinała dzień, w którym powiedziała Annie, że nie interesuje się Stelnickim. Skąd mogła jednak wiedzieć, co z tego wyniknie? A dzisiaj, w malinowym chruśniaku, gdy odsunęła na bok dumę i wyjawiała Janowi prawdę o swoich uczuciach, miał czelność spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że zależy mu tylko na Annie.

I pomyśleć, że straciła Jana dla małej Anny Marii z Sochaczewa! Co on w niej widzi? Czy to możliwe, by Anna jedynie udawała naiwną i niewinną? Nie mogła pojawić się w Haliczu w gorszym dla Zofii momencie - albo dla siebie. Zofia nigdy nie wybaczy kuzynce, że pokrzyżowała jej plany.

Zastanawiała się, co mogłaby jeszcze zrobić. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie w stanie sprawić, by Jan na powrót się nią zainteresował, przynajmniej nie teraz. Och, była przekonana, że nadejdzie czas, gdy znowu podejmie to wyzwanie. Jednak na razie będzie musiała znaleźć inną drogę ucieczki od małżeństwa, które dla niej było jak egzekucja.

Jakimś sposobem odwróci koleje losu. W tej chwili najważniejsze to zniszczyć romans Jana i Anny. Kuzynka nie dostanie Jana. Nigdy. Prędzej zobaczy ich oboje martwych.

Nie dosiadła konia, jak planowała. Po co się śpieszyć? Wróci do domu na piechotę i spokojnie wszystko przemyśli. Ruszy głową i znajdzie jakieś wyjście. W końcu Grawlińscy nie pojawią się w Haliczu przed Bożym Narodzeniem.

Albo i wcale, jeśli dobrze wszystko rozegra.

Ruszyła powoli w kierunku domu, prowadząc za sobą wierzchowce. Koło fortuny znów się odwróci, a za następnym jego obrotem, lub może za jeszcze następnym, postawię wreszcie na swoim.

Rozdział ósmy.

Anna obudziła się na posłaniu z liści. Chociaż nie miała apetytu, w brzuchu burczało jej z głodu. Kostka pulsowała tęnym bólem.

Zapadła noc, a wraz z nią śmiertelna cisza. Wąski rogalik księżycy i rozsiane po niebie gwiazdy spowijały okolicę niebieskawym światłem. Każda zmarszczka wody na stawie promieniowała dziwnym, rozproszonym blaskiem. Sprawiało to wrażenie, jakby przyglądało się jej tysiące przejrzystych oczu. Pajęczyna korzeni martwego dębu zdawała się wykonywać powolne, groteskowe ruchy. Niepokój ścisnął Annę za serce. Minęło już tyle godzin. Dlaczego Zofia nie wróciła z pomocą? Co ją zatrzymało?

Wtulona w wydzielający cierpki zapach dywan z liści, wydawała się sobie jedyną ludzką istotą na ziemi. Zadrżała, tknięta złym przecuciem. Oddychanie zimnymi oparami nocy było jak wdychanie czystego strachu. Nie wpadnę w panikę, przyrzekła sobie. Nagle, nie wiadomo dlaczego, przyszedł jej na myśl bożek Pan, i to, że miał zwyczaj straszyć podróżujących przez jego lasy, wyskakując niespodziewanie zza drzewa.

Nagle ciszę zakłócił odgłos deptanych liści. Anna skupiła wzrok, jej ciało stężało w oczekiwaniu. Wstrzymując oddech, odwróciła głowę, bojąc się tego, co może zobaczyć. Na skraju stawu, zaledwie o metr od wody, stała łania z jelonkiem.

Westchnęła cichutko, z ulgą. Na oświetlonym księżycowym blaskiem żywym obrazie zwierzęta niespiesznie zaspokajały pragnienie, a w panującej dookoła ciszy Anna słyszała ich chłeptanie. Obecność jeleni sprawiła, że poczuła się pewniej.

Położyła się na plecach i zapatrzyła w gwiazdy, doznając bardzo szczególnego uczucia. Wydawało się jej, że opuściła ciało i teraz szybuje wysoko nad ziemią i drzewami. Hen, w dole, widziała staw, łanię z jelonkiem i siebie leżącą na posłaniu z liści. Zupełnie, jakby jej duch stał się zbyt lekki, by ciało mogło go zatrzymać.

Po jakimś czasie dziwaczne uczucie minęło i znowu poczuła się śpiąca. Walczyła z sennością przekonana, że wkrótce ktoś się pojawi, by ją stąd zabrać. Jednak zmęczenie okazało się silniejsze.

Obudził ją ostry dźwięk. Co to? Próbowwała otrząsnąć się ze snu. Dziękując w duszy Bogu, że pomoc wreszcie nadeszła, usiadła, przetarła oczy i rozejrzała się wokół siebie. Nie zobaczyła jednak nikogo. Gęsta mgła spowiła las niczym całun, skrywając księżyc i gwiazdy. Nasłuchiwała, sądząc, że to wiatr ją

obudził, lecz w nieruchomym powietrzu nie drgnęła nawet gałązka. Była też pewna, że jelenie dawno zniknęły. Pomyślała o wilkach i chłód przeniknął ją do kości. Wieść niosła, że drapieżniki polują w tych lasach stadami.

Czas mijał.

W końcu uznała, że hałas stanowił jedynie wytwór jej wyobraźni. Ułożyła się na powrót w gniazdku z ogrzanej ziemi i liści.

Znowu! Następny odgłos.

Natychmiast usiadła i potrząsnęła głową, próbując rozproszyć sen.

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. Nie mogło być co do tego wątpliwości.

Stąpnięcie. Potem kolejne. I jeszcze jedno.

- Tutaj! - zawołała. - Nad wodą!

Odgłosy, które słyszała, nie brzmiały tak, jakby zbliżał się człowiek czy koń. Z gęstwiny pobliskich krzaków dobiegało ciężkie człapanie i dziwne pochrząkiwania. W otumanionym snem umyśle Anny pojawił się obraz bestii, o jakiej opowiadał Jan.

Co robić? Zastanawiała się gorączkowo, z bijącym mocno sercem.

Zza krzewów wytoczyła się jakaś postać. Sądząc z rozmiarów, mógł to być niedźwiedź, wielki i groźny. Strach przeszył ciało Anny niczym błyskawica. Z wysiłkiem dźwignęła się na nogi i kuśtykając, zaczęła się oddalać. W panice zdołała przedrzeć się przez gąszcz otaczający staw. Za sobą słyszała niepewne stąpnięcia. Lęk znieczulał jej kostkę, gdy biegła, wciąż szybciej i szybciej, wymachując przed sobą w ciemności ramionami.

Potknęła się o korzeń i runęła jak długa na ziemię, uderzając twarzą o zbity grunt. Oślepiający ból eksplodował jej w głowie i rozlał się falą po całym ciele.

Nagle coś chwyciło ją mocno od tyłu, rozdzierając bluzkę i obnażając plecy. Stwór zajęczał niezrozumiale i rzucił się na Annę. Owionął ją zastarzały smród alkoholu i już wiedziała, że napastnik na pewno nie jest zwierzęciem.

Odwróciła się i spojrzała w górę. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę. Wyciągał ramiona, by ją pochwycić.

Kim on jest?

Coś ciepłego spływało jej na oko. Podniosła rękę, aby je otrzeć. To była krew, jej własna.

Napastnik pochwycił ją i z ust Anny dobył się zduszony krzyk.

Odpowiedział mu głęboki rechot.

Muszę uciekać, pomyślała. Muszę biec! Z trudem dźwignęła się na klęczki, a potem wstała i uwolniła się z uścisku pijaka.

Pobiegła na oślep w ciemność, nieświadoma, że kolczaste pędy ciągną ją za spódnicę, a wierzbowe witki tną twarz. Biegła, potykała się, padała, po czym wstawiała i znów biegła.

Wreszcie nie mogła już dłużej biec. Zatrzymała się na chwilę, oddychając ciężko. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Musiała znajdować się w pobliżu stawu, ponieważ jej nozdrzy dobiegał charakterystyczny, ostry, a zarazem słodki zapach wodnych lilii, wyraźnie wyczuwalny w nocnym powietrzu. Spostrzegła, że stoi na niewysokiej skarpie. Wstrzymała oddech - jeszcze krok i wylądowałyby w wodzie.

Obejrzała się. Nie dalej jak o kilkanaście metrów od niej biała koszula poruszała się niczym nocna zjawa.

Serce w niej zamarło. Czuła, że jest zgubiona.

Nagle mężczyzna się zatrzymał. Wiedziała, że nadśluchuje.

Stała bez ruchu, nie śmiejąc nawet oddychać.

Zdjęta obawą, że jasny kolor podartej bluzki zdradzi miejsce, gdzie się ukryła, zaczęła powoli przesuwać się w kierunku najbliższego drzewa. Przywarłszy do pnia, okrążała go centymetr po centymetrze, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z majaczącej w ciemności bieli. Jednak przemieszczając się, musiała poruszyć kamienie czy też grudki ziemi. Usłyszała, jak ześlizgują się ze skarpy i wpadają z cichym pluskiem do wody.

Do licha! Przygryzła mocno dolną wargę. Poczuła na języku smak krwi.

A potem biała koszula ruszyła prosto ku niej.

Anna zdawała sobie sprawę, że znajduje się w pułapce. Kręciło jej się w głowie. Nagle coś przyszło jej na myśl. Zdecydowana wepchnąć napastnika do stawu, oderwała się od pnia i stanęła mu na drodze.

Zbliżył się i wyciągnął ramiona, by pochwycić zdobycz. Lecz kiedy znalazł się zaledwie o krok od niej, odstąpiła na bok, zacisnęła oczy i z całych sił, jakie jej zostały, pchnęła twarde jak skała ciało.

Napastnik krzyknął, zaskoczony, i zaczął zsuwać się z urwiska. Poczuła ulgę. Zdumiała ją własna siła. Jednak mężczyzna zdążył zacisnąć palce wokół nadgarstka Anny i teraz ciągnął ją za sobą.

Wpadli razem do stawu. Zimna woda natychmiast wypełniła jej uszy, nos, usta. Siła upadku sprawiła, że napastnik rozluźnił uchwyt.

Anna wynurzyła się i spojrzała ponad wzburzoną wodę. Przekonała się, że ma grunt pod nogami, i natychmiast zaczęła oddalać się od mężczyzny, zmierzając ku przeciwległemu brzegowi. Mokre ubranie i błotniste dno nie pozwalały jej poruszać się zbyt szybko.

Nie poświęciła ani jednej myśli napastnikowi, który miotał się w wodzie niedaleko niej. Nie dbała o to, czy się utopi. Miała nadzieję, że tak! Myślała tylko o tym, by przetrwać.

Po kilku minutach poczuła znów gęsty, odurzający zapach lilii, rosnących w pobliżu starego dębu - brzeg wznosił się tu łagodnie, łudząc poczuciem bezpieczeństwa.

Powodowana impulsem, rzuciła się na brzuch i zaczęła rozgarniać wodę energicznymi ruchami ramion, podpatrzonymi u Zofii. Choć poruszała się niezdarnie, sunęła po powierzchni wody, a świadomość własnej mocy oraz nadzieja dodawały jej sił.

W końcu wyczołgała się z bagnistego zbiornika i opadła na ziemię. Suchy brzeg wydawał się ciepły w zetknięciu z jej przemarzniętym ciałem. Leżała twarzą w dół, niezdolna się poruszyć, przywarłszy czołem do kamienistej ziemi. Nie potrafiła zebrać myśli. Plecy, nogi, ramiona - każda część jej ciała, wystawiona na działanie nocnego powietrza, zdawała się wchłaniać w siebie chłód.

Nagle poczuła na plecach ciężar napastnika. Pociągnął ją gwałtownie ku sobie. Zionąc jej w twarz odorem przetrawionego alkoholu, wymamrotał:

- Przyszedłem po ciebie, Anno. A może tak jej się tylko zdawało.

- Ty pijana świnió! - krzyknęła. Lecz słowa nie dobieły się z jej pociętych, zranionych ust.

Napastnik brutalnie podciągnął ją wyżej, po czym, rozdarłszy bluzkę, przywarł wargami do ust, szyi, piersi Anny.

Jego dotyk w połączeniu z kolejnym przypiływem paniki dodały jej sił i przywróciły głos. Zaczęła się wyrywać, krzycząc. Lecz on szybko zakrył jej usta dłonią.

Zduszony krzyk nienawiści i strachu przeszedł w jęk wywołany rozdzierającym bólem, gdy bestia przygniotła ją swoim ciałem.

Rozdział dziewiąty.

Hrabina Stella Grońska niepokoiła się o męża i syna, a zarazem była na nich zła. W trakcie obiadu Leo otwarcie zażądał, by Walter złożył rezygnację i wrócił do domu pomagać w zarządzaniu majątkiem. Walter po raz kolejny dał do zrozumienia, że nie zamierza podporządkować się woli rodziców.

Dobrze przynajmniej, że Zofia i Anna nie były obecne przy gwałtownej wymianie zdań; sądziła, że nie stawily się na posiłek, gdyż ich codzienna lekcja konnej jazdy zaczęła się dziś później niż zazwyczaj.

Ojciec i syn krzyczeli na siebie, ignorując protesty hrabiny. A potem sprawa, którą tak długo trzymali przed Walterem w sekrecie, wyszła na jaw, i Leo oświadczył, że zamierza go wydziedziczyć.

Walter był, oczywiście, oszołomiony i głęboko zraniony. Hrabina dostrzegła miotające nim uczucia, ukryte pod pozorami wściekłości i gniewu. Po chwili wypadł z domu i dotąd nie wrócił.

Dzień był już i tak wystarczająco okropny, a tu na dodatek ani córka, ani siostrzenica nie pojawiły się na kolacji. Atmosfera pogorszyła się jeszcze, gdy Leo wyciągnął od Stanisława, że zorganizowano wycieczkę. Hrabina obawiała się, że Zofia i Anna Maria, która dopiero uczyła się konnej jazdy, mogły zapuścić się za daleko - i to w towarzystwie Jana Stelnickiego. Na dodatek stajenny przedstawił pokrętną historyjkę o tym, jak został odesłany do domu razem z nieruszoną prowiantem.

Hrabinie bardzo się to nie spodobało. Dręczyły ją przeczucia: wiedziała, że stało się coś złego, bardzo złego.

W końcu o zmierzchu pojawiła się Zofia z opowieścią o zwichniętej kostce Anny. Hrabina uparła się, że będzie towarzyszyła w poszukiwaniach mężowi, Zofii i zarządcy.

Jazda na furmance była długa i męcząca. Kiedy mało widoczna ścieżka stała się zbyt wąska dla furmanki, hrabinę pozostawiono na wozie, podczas gdy Zofia poprowadziła Walka i Leo nad staw na piechotę.

Kiedy zobaczyła, jak wracają, niosąc Annę na prymitywnych noszach, zrobionych z koca, wiedziała już, że jej najgorsze obawy się potwierdziły. Ciało siostrzenicy leżące pod przykryciem było nagie, posiniaczone i zakrwawione.

- Czy ona żyje? - spytała, ledwie mogąc oddychać.

Anna ocknęła się, gdy furmanka, wioząca ją ku bezpiecznemu schronieniu, podskoczyła na wyboistej drodze. Leżała na plecach, owinięta w ciężki,

pikowany pled. Nad jej głową przesuwaly się słabo widoczne kontury wierzchołków drzew. Słyszała, jak ciotka modli się głośno, błagając Czarną Madonnę, by zatrzymała Annę z dala od wrót śmierci. Gdzieś obok popłakiwała Zofia, lecz Anna nie miała siły, by choć unieść powieki.

Czyja umrę? - pomyślała, wzdrygając się na myśl o robakach w ziemi. Dlaczego dawni Polacy żywili dla nich szacunek? Być może dlatego, że bez względu na to, jak usilnie próbowali tępić te stworzenia, one się nie poddawały. Ich nieugięta wola życia okazywała się silniejsza.

Przesunęła powoli dłońmi po obolałym ciele i uświadomiła sobie, że jest naga. Wiedziała, że nie rozebrali jej ci, którzy teraz wieźli ją ku bezpiecznemu schronieniu. Jej dłonie powędrowały niżej, ku miejscu, gdzie ból był najbardziej dotkliwy, a krew nadal wypływała z ciała. Próbowwała ogarnąć myślami to, co jej się przydarzyło.

Oczami wyobraźni zobaczyła siebie biegnącą z innymi dziewczynkami z Sochaczewa. Uciekała od strony rzeki i wspinała się na porośnięte chwastami wzgórze, zdążając ku drodze. Dziewczęta za nią śmiały się i pokrzykiwały z udawanym przerażeniem:

- Uciekaj, Anno, uciekaj! Nie wolno ci się potknąć! Nie wolno ci upaść! Biegnij żwawo, albo pochwyci cię Marzanna!

Anna uniosła wysoko spódnicę, przebijając z całych sił nogami i biegnąc tak, że serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Skończyła tego roku dziewięć lat i ojciec pozwolił jej uczestniczyć w wielkopostnym obrzędzie topienia Marzanny. Miejscowe dziewczęta wrzuciły właśnie wykonaną ze słomy kukłę prastarej bogini śmierci do rzeki, a teraz podskakiwały z żywiołową radością, pomieszaną z lękiem i zadziwieniem.

Obrzęd miał na celu utrzymanie Marzanny z dala przez następny rok; wierzono, że dziewczyna, która upadnie, wracając po obrzędzie do domu, nie dożyje Bożego Narodzenia.

Dotarwszy do miasta, dziewczęta zwalniały, zmęczone, ale szczęśliwe, gotowe odbierać gratulacje. Podśpiewywały wciąż od nowa:

Śmierć się wije u płotu Szukajmy kłopotu.

Anna czuła, że znów biegnie, ucieka przed podążającą jej śladem nienazwaną siłą. Pole, przez które biegła, zajęło się ogniem, ze wszystkich stron otaczały ją płomienie. Nawet mityczny Dedal nie mógłby wymyślić labiryntu, którego ściany groziłyby jej spalaniem, obróceniem w popiół. Biegła szybko poprzez syczący żar. Tańczące płomienie dosięgły jej sukni, wspinając się po fałdach i parząc skórę.

Zmusiła się, by otworzyć oczy.

Ogień skurczył się do pojedynczego płomienia stojącej na nocnym stoliku świecy. Żar jednak nie zniknął. Spojrzała wzdłuż łóżka. W nogach stała nieruchomo, przyglądając się jej, Lutisza.

- Ja płonę - szepnęła Anna. Zaniknęła oczy, starając się zebrać dość sił, by poprosić kobietę o otwarcie okna. Poranione wargi rozchyliły się, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk.

- Płoniesz z gorączki, panienko Anno - powiedziała starsza kobieta. - Lutisza pomoże ci wyzdrowieć.

Łóżko było niczym piec, buchający żarem nie do zniesienia, a ciężkie przykrycie więziło ból w jej ciele i podsycalo go.

- Proszę - powiedziała. - Zdejmijcie ze mnie to przykrycie.

- Nie! - odparła Lutisza ostro. - Nocne powietrze zabije panienkę. Musi panienka pozostać w cieple.

- Odejdźcie! Pozwólcie mi wstać! - chwyciła przykrycie, próbując je odrzucić, lecz służąca przytrzymała ją za ramiona, a Anna nie miała dość sił, by odepchnąć jej dłonie.

W nocy zaczęło padać. Miarowy stukot kropel o szyby dawał Annie złudzenie upragnionego chłodu. Przed świtem przejaśniło jej się w głowie. Uświadomiła sobie, że ktoś modli się tuż obok. Potem ten ktoś ujął jej dłoń i przytrzymał ją.

Usłyszała cichy szepc i rozpoznała głos hrabiny.

- Jeśli zrobił to Stelnicki, jak powiedziałaś, drogo zapłaci za swój czyn.

Zanim znaczenie i ciężar tych słów dotarły wreszcie do Anny, ciotkę zastąpiła już Lutisza.

- Gorączka ustąpiła - powiedziała. - Bogu niech będą dzięki! Marta zaraz przyniesie śniadanie. Chce się panience pić?

Nie mogła w to uwierzyć. Czy naprawdę oskarżyła Jana?

- Niczego mi nie trzeba.

Lutisza zmieniła wilgotną pościel, po czym uniosła Annę i posadziła, oparłszy o świeżo wstrząśnięte poduszki. Ruch spowodował bolesny skurcz, lecz Anna nie miała sił się opierać.

Lutisza umieszczała właśnie na twarzy i szyi podopiecznej wilgotny, chłodny ręcznik, gdy drzwi sypialni się otwały. Anna uniosła ciężkie powieki i zobaczyła, że do pokoju weszła Marta z tacą. Postawiła ją na stoliku przy łóżku, odwróciła się, spojrzała ze zgrozą na Annę, po czym dygnęła i pośpiesznie wyszła.

W spojrzeniu kobiety było coś, co zmroziło Annie krew w żyłach. Jak też muszę wyglądać, pomyślała. Postanowiła, że przy pierwszej okazji przejrzy się w wysokim lustrze, lecz nagle uświadomiła sobie, że lustro nie ma już w pokoju. Ktoś musiał je usunąć.

Poczuła zapach jedzenia i natychmiast zrobiło się jej niedobrze.

- Nie mogę jeść! - zawołała.

Lutisza zdjęła pokrywkę z parującego półmiska.

- Siekane kacze wątróbki - powiedziała.

- Och, Lutiszo, proszę, zabierz to.

- Jeśli nie będzie panienka jadła, umrze panienka. Jeśli zjem coś takiego, pomyślała Anna, umrę na pewno.

- Nie mogę. Może później.

Lutisza palcem rozchyliła jej wargi i zmusiła do jedzenia. Po tuzinie łyżeczek duszonego mięsa i kilku łykach mleka Anna poczuła, że skręcają w żołądku. Zacisnęła zęby i odmówiła zjedzenia jeszcze choćby kęsa.

- Dobrze, w takim razie wystarczy. Czy mademoiselle chciałaby może trochę wody? Straciła panienka mnóstwo płynu przez tę gorączkę.

Anna wypiła pełną szklankę i opadła z powrotem na puchowe poduszki.

Deszcz nadal padał. Pomimo uspokajającego stukotu kropel o szyby nie mogła zasnąć. Zbyt dobrze pamiętała okropne szczegóły napaści. Ciemność, zimny staw, ból, odór ciała napastnika... Strach nadchodził falami, wywołując mdłości. Ledwie udało jej się utrzymać w żołądku skromny posiłek.

Czy naprawdę obwiniła Jana? Co ją do tego skłoniło? Było zbyt ciemno, a ona tak strasznie się bała. Nie rozpoznała twarzy mężczyzny ani jego głosu.

Kto ją zaatakował?

Pomyślała o Feliksie Paduchu, mordercy jej ojca, człowieku, który przysiągł, że na niej skończy się ród Berezowskich. Dotąd nie traktowała poważnie jego gróźb, lecz teraz musiała się zastanowić. Czy Paduch byłby na tyle zdeterminowany, by pojechać aż do Halicza i skradać się za swą ofiarą jak zwierzę?

Ciało Anny zeszywniało z bólu i strachu. Zimny pot wystąpił jej na czoło. Może to zrobił i zostawił ją, by umarła. Coś ścisnęło ją za gardło. Sięgnęła po szklankę i upiła łyk wody.

Pomyślała znowu o Janie. Był niewinny. Musiał być. Przysiągł, że ją kocha. I wtedy mu wierzyła. Zresztą teraz także. Nie potrafiła też uznać za prawdziwy zarzutu, że zaatakował jej kuzynkę. Jednak w chwili gdy rozhisteryzowana Zofia rzuciła na niego oskarżenie, na moment zwątpiła w niewinność

ukochanego. Dlaczego jej uwierzyła? Z drugiej strony, kto spodziewałby się takiego podstępu ze strony własnej kuzynki? Jakikolwiek Zofia miała po temu powód, z pewnością kłamała, utrzymując, że to Jan porwał na niej bluzkę.

Pomijając kwestię winy, jej życie zmieniło się nieodwracalnie. Została zgwałcona. Zakręciło jej się w głowie, a żołądek jakby nagle opadł.

Jakie konsekwencje pociągnie za sobą ten fakt? Czy Jan nadal będzie ją kochał? Szanował? A ona? Czy będzie zdolna odwzajemnić miłość? Czy małżeństwo z nim, lub kimkolwiek innym, będzie w ogóle możliwe?

A dzieci, pomyślała i szok przeszył jej wnętrzności niczym pocisk.

- Dzieci - szepnęła głośno. - A jeśli poczęłam dziecko? Stłumiła łzy.

Przypomniała sobie, jak po śmierci rodziców ciotka wzięła ją na stronę i powiedziała, że jako młoda szlachcianka nie musi się o nic martwić, wszelkie decyzje podejmą za nią starsi, ona zaś ma jedynie umacniać w sobie cnoty, właściwe damie. Gdyby mogła teraz postąpić wedle słów ciotki, złagodziłoby to jej ból i wstyd. Jednak część jej serca zamknęła się przed tą radą, jakby ktoś zatrzasnął nagle drzwi.

Przez dwadzieścia cztery godziny Anna nie reagowała na obecność odwiedzających, którzy przychodzili i odchodzili. Oczy miała przez cały czas zamknięte i udawała, że śpi. Depresja nie opuszczała jej ani na chwilę.

Popołudnie następnego dnia było zadziwiająco spokojne, jeśli nie liczyć ciągłego uderzania deszczu o szyby i parapety.

W końcu Anna zwlokła się z łóżka. Nie mogła spać ani walczyć dłużej z czarnymi myślami. Owijając się bawełnianym szlafrokiem, zauważyła, jak jest posiniaczona. Każda część jej ciała wydawała się potłuczona i obolała. Ignorując dotkliwy ból w kostce i stopie, dotarła do drzwi i wyszła na korytarz.

Stanąła, nad słuchując i w pełni zdając sobie sprawę, że zachowuje się dziwnie. Mimo to szła dalej, kierując się ku tylnej klatce schodowej, przeznaczonej dla służby. Ciepłe, nasycone kuchennymi zapachami powietrze wędrowało tędy niczym przez komin.

Zeszła ostrożnie po ciemnych schodach. Wiedziała, że przed służbą niewiele da się zachować w sekrecie. Zatem, podsłuchując ich rozmowę, będzie mogła czegoś się dowiedzieć.

- Dobrze wiesz, że jeśli ktoś z rodziny jest tak bardzo chory, jak panienka Anna, każdemu przybywa obowiązków. Także tobie!

Szorstki głos należał bez wątpienia do Marty.

- Tak, mammo.

Anna uchyliła bezszelestnie drzwi i zerknęła do kuchni. Po drugiej stronie pomieszczenia jasnowłosa i pulchna Marta nalewała supę swemu synkowi Tomaszowi.

Drzwi prowadzące na zewnątrz otwały się i do kuchni wszedł mąż Marty. Zdjął przemoczony kożuch oraz czapkę i zajął miejsce przy stole. Ich dwie córki dopełniały zapewne popołudniowych obowiązków.

Walek pociągnął za swą ciemną brodę, smakując jedzenie. Był krępy męczyzną z wielkim czarnym wąsem i o zgodnym usposobieniu. Marta naląła sobie i mężowi zbożowej kawy. Ta prawdziwa, kosztowna, bo pochodząca z importu, przeznaczona była jedynie dla państwa.

Marta usiadła.

- Wiesz, Walek, dziś rano mama zobaczyła dwie sroki. Siedziały na płocie tuż koło zagrody dla kurcząt. - Wyciągnęła rękę i z troską dotknęła dłoni męża. - Ptaki siedziały tyłem do domu. Wiesz, co to oznacza.

W ciemnych oczach Walek także pojawił się niepokój.

- A co to oznacza? - dopytywał się piskliwie ośmioletni Tomasz.

- Nic - odparła matka. - Skończyłeś?

- Tak.

- Więc zajmij się kurczętami.

Chłopiec zsunął się z krzesła i przebiegł przez kuchnię. Przy drzwiach odwrócił się i zawołał:

- Mogę nakarmić też sroki?

- Zmiataj! - krzyknął za nim ojciec. Trzasnęły drzwi.

Chłopi, choć katolicy, pozostawali pod wpływem dawnych wierzeń i przesądów w o wiele większym stopniu niż szlachta. Wierzyli na przykład, że sroka, siedząca przodem do domu, wróży przybycie mile widzianych gości. Jeśli jednak ptak usiadł zwrócony w przeciwną stronę, traktowali to jak ostrzeżenie przed niepożądaną wizytą.

- Co zamierza pan? - spytała Marta.

- Na razie nic. Czeka, aż przestanie padać. Myślę, że wróci nad staw, żeby poszukać tam dowodów.

- Dowodów? Jakich znowu dowodów? Przeciwno komu? Walek wzruszył ramionami.

- Walek, ty coś wiesz. Natychmiast mi powiedz!

- Bo jeśli nie, poszczujesz mnie psami - odpowiedział i westchnął. - Wygląda na to, że szaleńcem znad stawu był młody Stelnicki.

- Nie! - krzyknęła gwałtownie Marta.

Anna przycisnęła dłoń do ust, by stłumić protest. Nawet służba wiedziała już o fałszywym oskarżeniu!

- Skąd wiesz, że to on? - spytała Marta.

- Wiem, ponieważ, droga żono, prowadziłem furmankę, na której Grońscy przywieźli panienkę Annę. Powiedziała, kto ją zaatakował.

- Słyszałeś, jak mówi, że to Stelnicki?

- Cóż, nie, ale panienka Zofia słyszała.

Zofia! Anna poczuła, że znów kręci się jej w głowie. To niemożliwe - to musi być jakieś nieporozumienie.

- Jak myślisz, Walek - mówiła tymczasem Marta - czy pan może okazać się na tyle niemądry, by samemu poszukać zemsty na Stelnickim? W jego wieku?

- Nie! - powiedział Walek z przyganą w głosie. - Przekaze sprawę staroście i urzędnikom sądowym, jeśli tylko panienka rozpozna w Stelnickim napastnika.

- Pozwalając, by wszyscy dowiedzieli się, co zaszło? Jakoś w to wątpię.

- Kiedy sprawa dotyczy szlachty, można ją wyciszyć. Walek umilkł i jakby się namyślał.

- Z drugiej strony hrabia to człowiek twardy i uparty.

- Raczej starszy pan o usposobieniu bardziej gwałtownym, niż pozwalają mu na to siły! Jak możesz podchodzić do tego tak spokojnie?

- Nie irytuj się, kobieto. To sprawa mężczyzn.

- To paskudna sprawa. I to nie mężczyzna leży tam na górze, półżywy.

Drzwi prowadzące do jadalni otworzyły się z rozmachem i do kuchni weszła Lutisza, balansując stosem brudnych naczyń.

- Skończyli kluski z syropem - oświadczyła. - Gotuj, usługuj, troszcz się o chorą. A teraz lady Grońska przebąkuje coś o tym, że mamy spodziewać się gości. Mówię wam, ani chwili odpoczynku.

Marta i Walek spojrzeli na siebie znacząco.

Annie zrobiło się jeszcze bardziej słabo. Oparła się o kamienną ścianę, podczas gdy służący nadal rozprawiali. To, co usłyszała na temat wuja Leo, przejęło ją chłodem do szpiku kości.

Rozmyślała gorączkowo. Czy wuj otwarcie oskarży Jana? Z jakim skutkiem? Być może po tym, jak Feliks Paduch wymknął się sprawiedliwości, hrabia nie wierzy już sądom.

I dlaczego obwiniano akurat Jana? Ponieważ na wpół przytomna ofiara oskarżyła właśnie jego. Lecz Walek nie słyszał Anny: to Zofia rzuciła oskarżenie!

Nagle Anna uświadomiła sobie, że Lutisza idzie w jej stronę i jest już bardzo blisko.

Wstrzymała oddech.

Ośmieliła się zerknąć do kuchni i zobaczyła, że starsza kobieta podnosi tacę.

- Zaniosę to do pokoju hrabiny.

Zanim zdążyła wykonać tych parę kroków, dzielących ją od klatki schodowej, Anna otuliła się ciasniej szlafrokiem i utykając, zaczęła z zadziwiającą prędkością wspinać się po schodach.

RS

Rozdział dziesiąty.

Ledwie zdążyła zjeść południowy posiłek, złożony z rosółu i chleba z masłem, gdy do pokoju weszła podekscytowana Zofia.

- Och, kuzynko, jak dobrze, że wreszcie się obudziłaś! Myśleliśmy, że zamierzasz przespać resztę życia. Nasze modlitwy musiały zostać wysłuchane.

Pochyliła się i pocałowała Annę lekko w policzek.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Trochę lepiej.

- Z pewnością wyglądasz na znacznie zdrowszą.

- Naprawdę? Nie mam się jak o tym przekonać.

- Co takiego? - spytała Zofia, lecz nagle zrozumiała. - Ach, lustro?

Głos zadrżał jej tylko na chwilę, a potem skłamała bez wahania.

- Widzisz, musiałam przymierzyć nową suknię i potrzebowałam wysokiego lustra. Dopilnuję, by ci je przyniesiono.

Anna nie podjęła tematu.

Zofia przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku. Był to trudny moment i przez dłuższą chwilę żadna z nich się nie odzywała. Anna nie była jeszcze pewna, jakie uczucia żywi wobec kuzynki.

Powód, dla którego Zofia nie śpieszyła się z rozpoczęciem rozmowy, wkrótce stał się oczywisty.

- Kiedy przestanie padać, ojciec wybierze się nad staw, aby poszukać dowodów.

Zofia ujęła dłoń Anny. Jej zwykle błyszczące oczy wydawały się tego dnia dziwnie matowe.

- Nie wiem, co spodziewa się tam znaleźć. Lecz cokolwiek znajdzie i bez względu na to, czy w ogóle znajdzie, potem i tak uda się do magistratu.

- Do magistratu?

- Tak, skarbie. Gdy dojdiesz nieco do siebie, będziesz musiała odpowiedzieć na kilka pytań i podpisać dokument.

- Jaki dokument?

- Oskarżenie.

Anna wpatrywała się w nią bez słowa.

- Przeciwno Stelnickiemu, oczywiście. Och, Anno, kto mógłby pomyśleć - dodała, wpatrując się w kuzynkę zwięzonymi oczami.

- Ale ja nie pamiętam...

- To Stelnicki wyrządził ci tę... tę okropną krzywdę.

- Nie, to nie był Jan.

- Anno, kiedy znaleźliśmy cię nad stawem, wyraźnie oskarżyłaś Stelnickiego.

- Nie pamiętam tego, Zofio. Nie wierzę, że mogłam powiedzieć coś takiego.

- A zatem kto to był? - spytała Zofia stanowczo.

Anna opadła na poduszki i spoglądając w sufit, powiedziała:

- Było zbyt ciemno. Nie rozpoznałam jego twarzy. Ani głosu. Wymamrotał tylko kilka słów głosem zniekształconym przez alkohol, a mój strach... To mógł być Feliks Paduch.

- Człowiek, który zabił twego ojca? Śmieszne. To był Stelnicki. - Zofia bezwiednie ścisnęła dłoń Anny. - Wiesz, że to był on. Z pewnością nie chciałabyś chronić go... po czymś takim?

Anna nie odpowiedziała. Musi być coś, co mogłaby sobie przypomnieć, a co oczyściłoby Jana. Dlaczego tego nie pamięta?

- Być może starasz się wyrzucić z pamięci wszelkie wspomnienie o tym, ponieważ kiedyś ci na nim zależało - powiedziała Zofia znacznie łagodniej.

- Zofio, ja go kocham. Zofia zeszywniała na krześle.

- Powiadają, że miłemu słowu musi towarzyszyć nieprzyjemne. Nie możesz nadal go kochać! To, co zrobił, jest niewybaczalne. Musi zostać ukarany jak zwykły przestępca!

Anna chciała dalej bronić Jana, ale zabrakło jej sił, by mówić, czy choćby się poruszyć. Od dobrej chwili spazm nieopisanego bólu przeszywał jej posiniaczone nogi, żołądek i łono. Gdyby była w stanie, jęknęłaby głośno.

- Anno! Co się stało? - spytała Zofia, przestraszona. - Jesteś blada jak Marzanna. To wszystko moja wina! Tylko moja. Powiedziałam ci takie straszne rzeczy tam, przy stawie. Wiesz, że nie mówiłam tego poważnie... naprawdę, uwierz mi! - Głos jej się załamał, a z oczu popłynęły łzy.

W końcu spazm zaczął ustępować.

Zofia pochyliła się i pocałowała ją. Anna poczuła dotyk mokrego policzka kuzynki i jej długich rzęs.

- Proszę, Aniu, kochanie, musisz wyzdrowieć. Musisz. A potem wyśliznęła się z pokoju.

Zofia pośpieszyła do siebie, bardzo poruszona. Jej łzy były szczere. Sprawy zaszły zbyt daleko. Pragnęła utrzymać Annę z dala od Jana, ale nie chciała, by kuzynka umarła. Anna miała przed sobą życie. Poznałaby innych mężczyzn. Co zaś się tyczy Jana, zapłaciłby za swoją niestałość. Jeśli to nie on przyczyni

się do tego, bym wywineła się od małżeństwa, które zaplanowali dla mnie rodzice, znajdę inny sposób, postanowiła. W końcu nie brakuje mi wyobraźni.

Podeszła do okna. Na zewnątrz deszcz chłostał nieustająco ziemię, odgradzając dom od otoczenia szarą ścianą wody. Wątpiła, by ojciec poszedł dziś nad staw.

Odwróciła się i spojrzała na półkę nad kominkiem, gdzie spoczywał list do Anny, który odebrała Katarzynie następnego ranka po incydencie nad stawem. Wychodziła właśnie z pokoju kuzynki, kiedy natknęła się na służącą, wylaniającą się ze służbowej klatki schodowej z listem w dłoni. Zagroziła głupiej dziewczusze śmiercią, jeśli wspomni choć słowem o jego istnieniu. Katarzyna przysięgła, że nikt poza nią nie widział posłańca, który zapukał do kuchennych drzwi, i że nie piśnie o tym ani słowa.

List pozostał nieotwarty. Zofia bała się go przeczytać, bała się tego, co Jan czuł do Anny, bała się zobaczyć to na piśmie.

Podsyciła ogień, rozpalony z powodu wilgotnego powietrza.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w list, myśląc o tym, że powinna przekazać go Annie i że z pewnością przyśpieszyłoby to powrót do zdrowia kuzynki. Tak właśnie należało postąpić. Ulżyłoby to jej sumieniu. Mogłaby ponieść tę ofiarę.

Wzięła list i skierowała się ku drzwiom. Lecz kiedy sięgała do klamki, przypomniała sobie chwilę, kiedy zobaczyła Annę i Jana, spoczywających obok siebie nad stawem. Krew znowu zagotowała się jej w żyłach. Co za zły los sprowadził Annę do Halicza?

Zawróciła i podeszła do kominka. Kiedy rozjarzył się tam niewielki pomarańczowy płomień, rzuciła list na palenisko i z satysfakcją przyglądała się, jak ogień pożera chciwie papier, topiąc czerwony wosk pieczęci Stelnickich.

Westchnęła, rozmyślając o tym, że przypadkowe przejęcie listu przyczyni się, być może, do tego, iż uda jej się wspiąć wyżej na drabinie fortuny. Nie zamierzała dopuścić, by Anna pokrzyżowała jej plany.

Po kilku minutach turkot kół na zwirowym podjeździe wyrwał ją z zamyślenia.

Ciekawe, kto też to może być. Podeszła do okna. Do domu zbliżał się najelegantszy powóz, jaki kiedykolwiek widziała. Czarna skóra połyskiwała wilgocią. Pojazd ciągnięty był przez czwórkę pięknych białych koni, a poza woźnicą na koźle siedziało dwóch lokai. Kto to może być?

Zapukano do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała. Odwróciła się i zobaczyła matkę.

Hrabina Grońska niemal bojaźliwie wsunęła się do sypialni córki. Coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że Zofii zabrakło nagle słów.

- Zofio - powiedziała hrabina. - Będziemy mieli dziś gości.

- Tak? - serce Zofii zaczęło opadać niczym kamień w toczącym się w zwolnionym tempie śnie. Wiedziała już, co zamierza powiedzieć matka. Poczuli się tak, jakby u jej stóp otworzyła się otchłań, z której lada chwila wychyną Furie, by zabrać ją ze sobą w ciemność.

Hrabina westchnęła przeciągle, a potem powiedziała:

- To Grawlińscy.

Przez całe popołudnie do uszu Anny dobiegały odgłosy krzątania. Kiedy Lutisza przyniosła jej kolację, powiedziała też, że przybyli do nich z krótką wizytą Grawlińscy.

Gdy nieco później zjawiała się Zofia, Anna po wyrazie twarzy kuzynki od razu odgadła jej myśli. Zdenerwowana Zofia opadła na krzesło przy łóżku Anny.

- Co się stało? - spytała Anna.

- Och, Anno, czuję się jak mucha zaplątana w pajęczą sieć. - Chwyła dłoń kuzynki i przycisnęła ją do piersi. - Nie widzę żadnej drogi ucieczki od pajaka, który zamierza rzucić się na mnie.

- O co chodzi, Zofio? Mówisz zagadkami.

Anna podejrzewała, że Zofia znowu odgrywa dramat. Kuzynka zaczerpnęła głęboko tchu.

- Baron Grawliński i jego tłusta żona przywieźli tu swego syna, pana Antoniego. Wracają z majątku pod Opolem, a są w drodze do Sankt Petersburga. Przyjechali, aby nas związać węzłem małżeńskim. Fakt, że widzę go po raz pierwszy w życiu, nic nie znaczy. Nasi rodzice zaplanowali to, kiedy byliśmy małymi dziećmi.

- Nie wiedziałam, że spodziewamy się gości.

- Ani ja! Matka i ojciec sprytnie ukryli to przede mną. Wiedząc, że jestem przeciwna temu małżeństwu, postanowili mnie zaskoczyć i wpędzić w pułapkę. Och, wiedziałam, że będę musiała jakoś odwieść ich od tego pomysłu. Ale teraz... co mam zrobić, Anno?

Zatkała, chociaż jej oczy pozostały suche.

- Co jeszcze mogłabym zrobić?

- Poznałaś go?

- Tak, właśnie zjedliśmy razem kolację.

- I?

- Och, nie wygląda źle. Jest nawet dość przystojny. Ale okropnie zarozumiały, sztywny i zasadniczy. Spędzę życie w nudzie, nieustannej, nieprzerwanej nudzie!

- Być może formalny charakter pierwszego spotkania wypacza nieco twój osąd.

- Och, nie. On ma takie staroświeckie poglądy. Nietrudno go przejrzeć. W swym ciasnym umyśle uważa żonę za stojącą niewiele wyżej od służby. Wyglądało to tak, jakby targowali się o jakąś wazę, która ma ozdobić kominek w ich domu. Stanę się jego własnością! Nie wątpię, że będzie się ode mnie oczekiwało, iż zacznę produkować dzieci, jak Lutisza produkuje knedle. Och, powinnam go nienawidzić. I nienawidzę!

- Ciii, Zofio, jeszcze cię usłyszą.

- Nie dbam o to. Wszystko tak fatalnie się złożyło. Mogłabym skłonić tatusia, by zmienił pogląd, lecz teraz, gdy Walter zbuntował się przeciwko „rodzinie i ojczyźnie”, tatuś na pewno nie dopuści, bym postawiła na swoim.

- Ależ, Zofio, skoro Walter odziedziczy wszystko, zrobisz dobrze, wychodząc za męża. Będziesz miała męża, majątki w Polsce i Rosji. Wiesz, że mężczyźni palą się do żeniaczki, gdy mogą coś na tym zyskać, lecz rzadko, kiedy kobieta...

- Być może Walter nie odziedziczy niczego, Anno.

- Co takiego?

- Mniejsza z tym. I możesz być pewna, że ojciec obiecał im suty posag.

Zofia zadarła brodę.

- Baronowa Zofia Grawlińska - i jak to brzmi? Dla mnie wieje od tego nudą, małżeńskimi obowiązkami, zakurzonymi pokojami i straconymi szansami. Tak, baron jest stary i majątki pewnie niedługo przejdą na własność jego syna, lecz baronowa dopiero skończyła pięćdziesiątkę i jest silna jak koń pociagowy - ma nawet stosowną figurę. Dożyje dziewięć-dziesiątki albo i lepiej. Z pewnością nie zechce zrezygnować z przyjemności, jakich może dostarczyć jej komenderowanie synową, która nie jest dość dobra dla jej potomka. Umilkła, aby zaczerpnąć tchu.

- Nie, jestem pewna, że mogłabym trafić lepiej. A jeśli nigdy nie wyjdę za męża, co z tego? W zupełności wystarczy mi, gdy będę mogła żyć tak, jak chcę.

Anna przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kuzynkę. Wreszcie spytała:

- Czy pan Antoni wie o twojej niechęci?

- Jeśli nie, znaczyłoby to, że jest głupszy, niż sobie wyobrażałam. Zrobiłam wszystko, poza ogłoszeniem tego na rogatkach, aby się o tym dowiedział.

- I to mu nie przeszkadza?

- On to ignoruje. Powiedziałam ci, że zachowują się tak, jakby przyjechali odebrać inwestycję. Moje uczucia nic dla nich nie znaczą. Ojciec musiał obiecać im nie lada posag.

- Nie sądzisz, że dopatrujesz się ducha za każdą poruszającą się zasłoną? W wielu zaaranżowanych małżeństwach z czasem pomiędzy małżonkami rodzi się zażyłość. Zofio, tak było przecież z twoimi rodzicami.

- Ty też, Anno? Dlaczego wszyscy z taką ochotą kopiecie leżącego? Zaprzeczysz, że wolałabyś związek oparty na miłości, taki jak małżeństwo twoich rodziców?

Anna zacisnęła wargi. Nie mogła zaprzeczyć czemuś takiemu. Nie mogła też nie postawić sobie pytania, czyjej szansa na miłość bezpowrotnie przepadła. Jan został niesłusznie oskarżony. To było takie niesprawiedliwe. Jednak nie pojawił się ani nie napisał. Co mogła zrobić?

- Mówiłam ci też, jaki jest jego stosunek do kobiet - perorowała dalej Zofia.

- Nie mogłabym być jego żoną. Nie zniosłabym tego. Za żadne skarby!

Jej ciemne oczy zwięzły się. Spojrzała na Annę podejrzliwie.

- Cóż, Anno, sądzę, że odgrywasz rolę adwokata diabła! Wierz mi, prędzej znajdę się w klasztorze, niż poślubię Grawlińskiego!

- Ty, Zofio? - Anna roześmiała się. - W klasztorze?

- Cóż, w ostateczności mogłabym uciec do Francji.

- Zofio, jesteś córką hrabiego. We Francji klimat chyba by ci nie służył. Oczywiście, jeśli chcesz zachować głowę.

- Gilotyna byłaby bardziej litościwą formą egzekucji niż to, co zaplanowali dla mnie rodzice. Droga Anno, widzę, że czujesz się lepiej, skoro jesteś w stanie przekomarzać się w ten sposób. Twoje śliczne zielone oczy śmieją się ze mnie. Och, wiem. Zbyt się nad sobą lituję. Z pewnością małżeństwo ma także zalety, a kto powiedział, że nie mogłabym od czasu do czasu uciąć sobie romansu na boku? Tego rodzaju rozkoszne występki są w mieście bardzo rozpowszechnione.

Umilkła na chwilę, a kiedy się odezwała, jej głos znów brzmiał ponuro.

- Ach, z każdą godziną czuję się bardziej przyciśnięta do muru. Jeśli szybko czegoś nie wymyślę... - Na w pół wypowiedziane zdanie zawisło w powietrzu. Czarne oczy Zofii przybrały nieobecny wyraz.

Anna zastanawiała się, czy kuzynce nie wpadł do głowy jakiś pomysł.

- Ale co możesz zrobić, Zofio?

Zofia otrząsnęła się z zamyślenia, ścisnęła dłoń Anny i roześmiała się sztucznie:

- Och, nic, kochanie... pozostało mi tylko wpaść do pułapki, którą zastawiono na mnie dawno temu. Pułapki, z której nigdy nie uda mi się wydostać.

- Gdybyś tylko słyszała samą siebie, Zofio.

- Och, wiem, jak to brzmi. Jestem jak Medea, nic tylko tragedia i lęk. Sądzisz, że mnie znasz, ale tak nie jest. Nie będę już dziś zawracać ci głowy.

Wstała i dotknęła ustami policzka Anny.

- Twoim zadaniem jest wyzdrowieć, Anno. Dobranoc. Anna patrzyła, jak kuzynka wychodzi. Czuła, że Zofia coś zamyśla. W ruchach kuzynki dawało się bowiem wyczuć zdecydowanie i determinację. Nie wiedzieć czemu, przyszło jej na myśl powiedzenie, którego matka użyła kiedyś, mówiąc o Feliksie Paduchu: „Kłamca może obejść świat dookoła, ale i tak nie wróci w to samo miejsce”.

RS

Rozdział jedenasty.

W nocy przestało wreszcie padać i hrabia o brzasku wyprawił się nad staw.

W południe nerwy hrabiny były już w takim stanie, iż obawiała się, że może dostać palpacji, które napawały ją takim lękiem. Zastanawiała się, co też jej mąż mógł tam znaleźć, o ile znajdzie cokolwiek. I co zrobi, jeśli natknie się na coś obciążającego? Albo jeżeli niczego takiego nie znajdzie?

Anna upierała się, że napastnikiem nie był Stelnicki. Zofia jednak niemal przekonała ojca, że to Jan był winowajcą. A Leo był uparty jak Litwin.

A jeśli zrobił to ten Paduch? Co wtedy? Czy którejś nocy nie wymorduje ich wszystkich we śnie? Takie rzeczy zdarzały się ostatnio we Francji. Czy Polskę czeka podobny los?

Hrabina nienawidziła konfliktów, a teraz otaczały ją ze wszystkich stron. Znała siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby wybór należał do niej, poszłaby po linii najmniejszego oporu albo całkowitego zaprzeczenia. Jak wtedy gdy przymykała oczy na pijaństwo i kłótnie pomiędzy mężem a synem. Jednak w obecnej sytuacji było to niemożliwe.

Od kiedy Walter dowiedział się prawdy, zdawał się nie dbać o to, czy zostanie wydziedziczony. Najwidoczniej zdecydował, że pozostanie częścią maszyny wojennej carycy Katarzyny. Czy kiedy tym razem wyjedzie, martwiła się hrabina, jeszcze kiedykolwiek go zobaczą?

I Zofia. Skąd u niej ta skłonność do zuchwalstwa i impertynencji? Hrabina była wstrząśnięta brakiem uprzejmości córki wobec rodziny Grawlińskich. To byłby cud, gdyby ten ślub rzeczywiście doszedł do skutku. Zofia wydawała się absolutnie zdecydowana, że nie poślubi pana Antoniego. Bóg jeden wie, rozmyślała dalej hrabina, jakiego wyboru dokonałaby, gdyby pozostawiono jej decyzję w tej sprawie.

Hrabina uśmiechała się, próbując samotnie bawić gości przy obiedzie. Wyglądało na to, że opuściły ją własne dzieci, i w środku aż gotowała się z gniewu. To, że pieczeń była zbyt wysuszona, a pudding zimny, nie poprawiło sytuacji. Już ona z nimi porozmawia, zarówno z dziećmi jak i ze służbą.

Jednakże po południu potrafiła już tylko martwić się o męża. Zofia i Walter pojawili się w końcu. Przepyta ich i złąje później - a jeszcze lepiej, gdy robi to Leo. Na razie dała im świeże konie i wysłała na poszukiwanie ojca.

Kolacja okazała się zdecydowanie smaczniejsza od obiadu, lecz atmosfera przy stole była pełna napięcia. Hrabina nie potrafiła dłużej ukrywać niepokoju.

Zamieniła z gośćmi zaledwie kilka słów i poczuła ulgę, kiedy posiłek dobiegł końca.

Anna dopiero co skończyła się posilać, gdy ciotka przysła ją odwiedzić. Przyniosła nowinki na temat rodziny, otwarcie mówiąc o swoich troskach.

Dziewczyna również nie kryła tego, co ją dręczy.

- Czy jesteś pewna, ciociu, że Jan nie pisał?

- Absolutnie.

- Ale powiedziałaś mi, gdyby było inaczej, nawet jeśli nie apróbujesz jego stosunku do religii lub podejrzewasz, że popełnił ten straszny czyn?

- Nie odmówiłabym mu prawa do tego, by bronił swej niewinności, Anno.

- Czy mogę do niego napisać?

- Z pewnością nie!

Anna szukała ucieczki w milczeniu. Dlaczego Jan nie napisał? Jakie nowiny przyniesie wuj Leo? Brak wiedzy, myślała, może być trudniejszy do zniesienia niż najgorsza prawda.

Z dołu, od podwórka, dobiegł stukot kopyt i krzyki służących. Hrabina, drżąc niczym ważka, krzyknęła cicho, a potem przeprosiła i pobiegła prosto do klatki schodowej dla służby.

Anna wstała - ostatnio przychodziło jej to coraz łatwiej - i założyła szlafrok. W głosach służby dał się słyszeć naglący ton i to skłoniło ją, by podejść do okna.

Zmierzch przechodził powoli w noc, mimo to rozpoznała Zofię i Waltera, spowitych fioletowym cieniem. Zsiadali właśnie z koni.

Na trzecim wierzchowcu leżało, dość bezceremonialnie przerzucone przez siodło, czyjeś ciało.

Anna przycisnęła dłoń do ust, by stłumić krzyk. W jednej chwili znalazła się znów w Sochaczewie, patrząc, jak przynoszą ciało jej ojca. Ogarnęła ją niemożliwa do przewyciężenia słabość. Zamknęła na chwilę oczy, jakby chciała odegnąć zły sen. To nie mogło przydarzyć się wujkowi Leo, pomyślała, nie znowu, nie wujkowi. Nie mogło.

Po chwili okropne, urywane krzyki hrabiny Stelli Grońskiej przecięły nocną ciszę.

Hrabia Leo Groński opłakiwany był w salonie dworu Pod Głogami przepisowe trzy dni i trzy noce. Czuwano przy zwłokach. Zamówiono sosnową trumnę bez sęków - niezgodnie z tradycją, jak zauważyła hrabina - gdyż niektórzy chłopci nadal wierzyli, że liczba sęków w trumnie wróży, ile dzieci umrze w danym roku, a jeśli któryś z sęków wypadłby podczas ceremonii,

zmarły mógłby przez ten otwór zabrać kogoś z sobą do wieczności. Żałobnicy czuwali na zmianę przez całą dobę, snując opowieści, lamentując, śpiewając, modląc się i wznosząc toasty wódką, by uczcić spoczywającego w otwartej trumnie zmarłego.

Anna czuwała przy zwłokach długo w noc, lecz hrabina zabroniła jej pójścia na cmentarz. W dniu pogrzebu pozostała zatem na górze, siedząc wyprostowana w wiklinowym fotelu i przysłuchując się, jak zabijają trumnę drewnianymi kołkami. Wzdrygała się przy każdym uderzeniu młotka.

W końcu klekotanie ustało i dał się słyszeć odgłos przesuwania czegoś ciężkiego. Niosący trumnę mężczyźni z rozmysłem uderzyli nią trzy razy o framugę drzwi, gdyż w ten sposób zmarły na zawsze żegnał się z domem. Wszystko, co tylko dało się otworzyć - drzwi, okna, szuflady, szafki i skrzynie - zostało otwarte, aby dusza zmarłego nie błąkała się po domu, ale znalazła drogę na zewnątrz.

Anna została sama. Lutisza zaproponowała, że z nią zostanie, lecz Anna zapewniła ją, że czuje się już dobrze, i nakłoniła, aby uczestniczyła w ceremonii. Zdawała sobie bowiem sprawę, że chłopci bardzo szanowali wuja. Zresztą rzeczywiście czuła się lepiej. Skurcze, które tak dawały się jej we znaki, stawały się coraz rzadsze i mniej bolesne.

Teraz prześladowało ją poczucie winy. Gdyby nie jej nieposłuszeństwo, nic by się nie wydarzyło i wuj nie wpadłby w trzęsawisko po drodze nad staw. Nie utopiłby się w nim.

Wzdrygnęła się. Ciotka Stella była fatalistką i przekonywała Annę, że nie odegrała ona żadnej roli w tym, co się stało. Kuzyni też jej nie obwiniali. Przynajmniej Zofia z pewnością nie miała do Anny żalu. Co do Waltera, nie było go w salonie, ilekroć Anna przyłączała się do żałobników, musiała więc polegać na słowie Zofii, która zapewniała ją, że brat też nie obwinia jej o śmierć ojca. Sama zawsze szybko przebaczała innym, pomna na słowa ojca: „Przebaczaj łatwo innym, ale nie sobie”. Jeśli chodzi o śmierć wuja, jego słowa okazały się nader prawdziwe.

Gdy wszyscy wrócili z pogrzebu, hrabina weszła na górę, by odwiedzić siostrzenicę. Anna nie mogła nie zauważyć, jak bardzo śmierć męża odbiła się na ciotce. Jej szczupła sylwetka zdawała się jeszcze bardziej krucha, a pocięta zmarszczkami twarz wymizerowana. Była nie tylko przygnębiona, lecz wydawała się nieobecna duchem, dziwna.

Wraz z ciotką pojawił się Antoni Grawliński, którego przedstawiono jej, kiedy czuwała przy zmarłym. Do tej pory nie mieli jednak okazji porozmawiać.

- Cieszę się, że mogę wreszcie z panią pogawędzić, pani

Anno - powiedział - i zapomnieć na chwilę o smutnych okolicznościach.

Pochylił się, by ucałować jej dłoń.

- Muszę powiedzieć, że zarówno pani Stella, jak i Zofia zawsze wyrażały się o pani z wielkim uznaniem.

Co za bałamut, pomyślała Anna. Czy poinformowano go, jakiego rodzaju „choroba” zatrzymuje ją na górze? Oczywiście, że tak. Czowała, że tak się stało. Z pewnością wspomniano o tym w niezwykle taktowny sposób, lecz on wiedział.

- Dziękuję, panie Grawliński. Miło mi pana poznać. -Trochę dyplomacji nie zaszkodzi, pomyślała. - Ja również słyszałam o panu wiele dobrego.

- Bardzo się cieszę, że stan pani zdrowia ulega poprawie - powiedział z uśmiechem. - I ufam, że będziemy dla siebie kimś więcej niż tylko znajomymi.

O co mu chodzi? Zastanawiała się, czy Zofia jednak nie wyraziła zgody na ślub. Czy Antoni zostanie jej kuzynem? Teraz, kiedy kobiety z rodziny Grońskich zostały bez męskiej opieki - Walter zamierzał jeszcze tego samego dnia wrócić do regimentu - być może ciotce udało się zmusić córkę, by zgodziła się na oficjalne zaręczyny i szybki ślub.

Pogawędzili chwilę, lecz atmosfera pozostała napięta. Anna przyglądała się Antoniemu. Był bardzo szczupły, lecz wysoki wzrost, czarne włosy i szlachetne rysy twarzy zadawały kłam opisowi Zofii. Antoni nie miał wąsów, a jego szare oczy wydawały się nieco szkliste i jakby mętne, lecz Anna przypisała to smutnym okolicznościom ich spotkania. Usposobienie zaś miał zdecydowanie miłe.

W końcu hrabina powiedziała:

- Musimy dać Annie odpocząć, Antoni.

- Oczywiście. - Antoni wstał i ucałował znowu dłoń Anny. - Musi się pani czuć okropnie samotna tu na górze, pani Anno. Czy mógłbym jutro też złożyć pani wizytę?

Anna uśmiechnęła się grzecznie:

- Tak, oczywiście.

Później Lutisza przyniosła jej kolację.

- Czy pogrzeb był ładny, Lutiszo? - spytała.

- Och, tak, mademoiselle. Halicz musiał opustoszeć, gdyż wszyscy pojawili się na cmentarzu. Cała parafia. A nikt nie płakał bardziej niż jego chłopci!

- A Walter? Spodziewam się, że wpadnie po kolacji pożegnać się ze mną. A może postanowił zostać jeszcze jeden dzień w domu?

- Walter, mademoiselle? - W oczach Lutiszy błysnął gniew. - Och, panienko, panicz Walter wyjechał wczesnym popołudniem, i to niemal bez słowa!

Pan Antoni Grawliński odwiedzał Annę codziennie, a czasami nawet dwa razy dziennie, przez cały następny tydzień, wykazując wielkie zainteresowanie stanem jej zdrowia. Z uwagi na przyzwoitość Lutisza lub Marta zostawały podczas tych wizyt w pokoju. Anna czuła się coraz lepiej i dopóki była w stanie wypierać z pamięci śmierć wuja i myśli o Janie, humor jej dopisywał.

Antoni nie był z natury rozmowny, lecz nabrał zwyczaju czytania Annie, a ona lubiła spędzać w ten sposób czas. Zwykle czytywał jej Marlowe'a i Szekspira. Jednak to Wolter stał się ulubionym pisarzem Anny.

Zofia zaś stała się nieuchwytna niczym motyl. Stawała od czasu do czasu w progu, pytając Annę, jak się czuje, ale zdawała się nie mieć czasu na dłuższe rozmowy. Anna zastanawiała się, czy w głębi duszy Zofia nie obwinia jej jednak o śmierć ojca. Interesowało ją także, czy w końcu zgodzi się wyjść za Grawlińskiego. To, że Grawlińscy nie wyjechali, rokowało nadzieje. Być może obie rodziny postanowiły odczekać nieco z uwagi na żałobę po hrabim.

Anna nie śmiała zapytać o to Antoniego. Co się tyczy ciotki Stelli, wciąż pozostawała nieobecna duchem i przygnębiona.

Był czwartkowy wieczór. Od płonącego na kominku ognia rozchodziło się miłe ciepło. Anna nadal nie opuszczała sypialni. Choć większość czasu spędzała teraz w wygodnym wiklinowym fotelu, była już w łóżku, gdy ciotka i kuzynka pojawiły się na progu jej pokoju.

- Nie śpisz, Anno Mario?

- Nie, ciociu. Wejdz, proszę.

- Pomyślałyśmy, że może zechciałabyś odmówić z nami różaniec... za wujka Leo.

- Tak, oczywiście.

Zofia weszła za matką do pokoju, ledwie się odzywając. Kobiety przysunęły sobie krzesła do łóżka i usiadły.

Tego wieczoru hrabina odmawiała modlitwę wyraźnie i z mocą, chociaż od śmierci męża wydawała się ogarnięta jakąś dziwną słabością.

Zofia była silniejsza. Nigdy nie wykazywała się szczególną religijnością i teraz też odmawiała modlitwę mechanicznie. Od czasu do czasu Anna przyłapywała kuzynkę na tym, że przygląda się jej uważnie i jakby szacujące. Gdy Anna spoglądała jej w oczy, Zofia natychmiast odwracała wzrok.

To nie jest Zofia, którą znam, pomyślała.

Po modlitwie przez jakieś pół godziny wspominały hrabiego, opowiadając o nim wzruszające albo zabawne historyjki. Szok najwyraźniej mijał i na jego miejscu pojawiał się spokój, wynikający z pogodzenia się z losem.

Po jakimś czasie hrabina spoważniała, wyprostowała się i pochyliła ku Annie, jakby chciała powierzyć jej sekret.

- Cóż, Anno Mario, chyba powinniśmy o czymś z tobą porozmawiać...

Zofia zerwała się z krzesła.

Jan mylił się, utrzymując, że Zofia nie nosiłaby żałoby. Kuzynka miała na sobie czarny strój - i wyglądała w nim olśniewająco.

- Wybaczcie mi, mamó, Anno, ale muszę coś załatwić.

- Co mianowicie? - syknęła jej matka z roztargnieniem. Zofia ucałowała matkę oraz Annę i pośpieszyła do drzwi.

- Zofio! - zawołała hrabina z gniewem. - Żądam, byś została!

Zofia, ignorując matkę, odwróciła się w drzwiach i powiedziała:

- Wpadnę później powiedzieć ci dobranoc, Anno. Drzwi się zamknęły.

Hrabina pokręciła głową z dezaprobatą.

- Jest równie niepoprawna jak jej brat. Och, gdzie popełniliśmy błąd? Co za ironia. Zawsze sądziłam, że to siostra postąpiła nierozsądnie, idąc za głosem serca i poślubiając twego ojca. Ale wystarczy, że na ciebie spojrzę, bym uświadomiła sobie, jak bardzo się myliłam.

Westchnęła.

- Ach, pan Antoni ma szczęście, że nie bierze na siebie odpowiedzialności, jaka łączyłaby się z poślubieniem kogoś takiego jak moja Zofia.

- Ależ sądziłam... skoro Grawlińscy nie wyjechali...

- Anno, moja droga, doświadczyłaś tylu tragedii w tak krótkim czasie. Musisz zostawić to wreszcie za sobą. Musisz wyzdrowieć i rozpocząć nowe życie, pełne nadziei i obietnic.

Szczupłe ręce hrabiny drżały, kiedy ujęła dłonie siostrzenicy.

Anna wpatrywała się w twarz ciotki, w najwyższym stopniu zdumiona. Poczula, jak ogarnia ją ponure, ledwie uświadomione przeczucie.

- Anno Mario, jestem od ciebie starsza i jestem twoją opiekunką, więc moim obowiązkiem jest spełnić rolę pośredniczki.

O czym ona mówi? Lodowate szpony strachu ścisnęły Annę za serce.

- Co masz na myśli, ciociu? - spytała, ledwie rozpoznając swój głos.

Hrabina ścisnęła bezwiednie jej dłonie, i to tak mocno, że zaboląo.

- Anno Mario Berezowska - szepnęła uroczyście - pan Antoni Grawliński poprosił o twoją rękę.

Hrabina mówiła dalej, lecz umysł Anny został na jakiś czas wyzuty z wszelkich myśli oraz zdolności pojmowania.

Powoli niewiarygodna świadomość tego, że Grawliński chciał poślubić ją, nie Zofię, zaczęła do niej docierać. Ależ byłam głupia, pomyślała. Tylko zupełna idiotka nie domyśliłaby się, co kryje się za nieobecnością Zofii i awansami Grawlińskiego! Tak, w jakimś sensie wiedziała, co się święci, pojmowała to. Lecz nie pozwoliła, aby ta myśl zakorzeniła się w jej umyśle.

- Rodzina Grawlińskich - mówiła dalej ciotka - nie jest w żaden sposób spokrewniona z Grońskimi ani Berezowskimi, za to ma za sobą długą i chlubną historię.

Opanowanym głosem zaczęła wyliczać szczegóły, które miały zaświadczać, jak doskonałym kandydatem na męża jest młody Grawliński.

Kiedy litania zalet wreszcie się skończyła, Anna uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

- Ale ja nie chcę wychodzić za mąż, ciociu.

- Lecz, Anno, właśnie małżeństwo może nadać twemu życiu właściwy bieg. Powinnaś wyjść za mąż - i to możliwie szybko! Ten... wypadek przy stawie... może uniemożliwić ci zawarcie odpowiedniego związku. Poza tym nadal istnieje możliwość, że... - Umilkła, zażenowana.

Powstrzymanie się przed stwierdzeniem na głos, że Anna może urodzić dziecko, czyniło tę możliwość jeszcze bardziej złowieszczą i okropną. A także prawdopodobną. Anna zadrżała na myśl o tym.

- Droga siostrzenico, to, że oficjalne zaręczyny z Zofią nie doszły do skutku i że młody Antoni poczuł do ciebie słabość, może w końcu okazać się błogosławieństwem.

- A dlaczegoż to powziął do mnie tę słabość, ciociu?

- Cóż, przekonał się, że jesteś piękna i czarująca - nadzwyczaj czarująca, jak się wyraził.

- Czy on wie? Ciotka odwróciła wzrok.

- Tak, kochanie, wie. I nie przeszkadza mu to. - Spojrzała znowu na Annę dużymi, brązowymi oczami. - Czy nie mówi nam to czegoś o charakterze tego człowieka?

- Jego charakter mógł ulec znacznej poprawie, kiedy dowiedział się, jak duży jest majątek mego ojca... to znaczy, mój.

- Och, Anno, jak możesz tak mówić? To miły młodzieniec, w dodatku przystojny. Wiele dziewcząt uważałoby za szczęście, gdyby udało im się go zdobyć.

- Więc niech go sobie biorą! Ten człowiek przygotował klatkę dla Zofii, a skoro ona mu się wymknęła, poszukał sobie innego, bardziej oswojonego ptaka.

- Anno, kochanie, trudno mi o tym mówić, ale nie możesz być zbyt wybredna po tym...

- Wiem - wtrąciła Anna, by ciotka nie musiała ubierać myśli w słowa.

Hrabina odwróciła się na krześle i zapatrzyła na ciemniejące za oknem niebo.

Cisza w pokoju przedłużała się.

W końcu hrabina westchnęła ciężko i powiedziała:

- Jestem taka samotna. Mój Leo! Ludzie powiadali, że jesteśmy sobie oddani jak para bocianów. Nie leżałby teraz w grobie, gdyby nie brak rozwagi. Zwykle brał na siebie zbyt wiele, nie zastanawiając się zbytnio. Kiedyś zapędził się głęboko w las za dzikiem i nie wracał przez dwa dni. Och, gdyby tym razem poszedł po prostu do starosty! Co za niemądry, uparty człowiek!

Anna patrzyła na wstrząsane szlochem plecy ciotki.

- Zostałam z dwojgiem dzieci, z których żadne nie przejawia śladu poczucia odpowiedzialności. Zofia odrzuca możliwość małżeństwa, które planowaliśmy dla niej od tak dawna, a Walter służy jedynie sobie i tej paskudnej carycy Katarzynie. Leo błagał go, by został i pomógł w zarządzaniu majątkami, naszym i twoim. A on zdecydowanie odmówił. Zastanawiam się, czy jeszcze go zobaczę. Poniosłam klęskę, wychowując dzieci; oboje odrzucili dawne wartości.

Otarła żalonym ruchem oczy.

- Nie mamy mężczyzny, który by się nami zaopiekował, Anno. Trzy kobiety, samotne w zmieniającym się, wrogim świecie. To niesłychane! Co się z nami stanie? Cóż mi pozostało, jak tylko prosić cię, moje dziecko, byś zgodziła się na to małżeństwo? Ze względu na nas wszystkie.

Anna czuła, że ciotka znów na nią spogląda, mimo to nie otwierała oczu.

- Anno?

Lecz Anna nie mogła zmusić się, by odpowiedzieć. Wsłuchiwała się w odgłos kropel na szybach: znowu padał deszcz.

Hrabina siedziała spokojnie, poruszając bezgłośnie ustami, pogrążona w modlitwie czy rozmyślaniach.

Po jakimś czasie wstała, przytknęła mokry policzek do policzka siostrzenicy i bez słowa wyszła.

Anna nie zdziwiła się, że kuzynka nie zajrzała, by powiedzieć jej „dobranoc”. Leżała samotnie w pokoju, wpatrzona w ciemny prostokąt okna. Zastanawiała się, co też Zofia może mieć z tym wspólnego?

RS

Rozdział dwunasty.

Zanim Jan Stelnicki dotarł do rodzinnej rezydencji w Krakowie, jego ojciec zmarł na gwałtownie rozwijającego się raka.

- Bardzo się starał dotrzeć do twego przyjazdu - zapewnił go wuj Teodor. - Chciał jeszcze choć raz cię zobaczyć.

Jan był zdruzgotany. Przejechał całą drogę z Halicza do Krakowa bez snu. Wiedział, że ojciec nie domaga, nie miał jednak pojęcia, że choroba jest tak poważna.

- Powiedział coś?

- Wyraził jedynie życzenie, byś kontynuował jego walkę - odparła ciotka Kasia.

- W Stronnictwie Patriotycznym?

- Tak - powiedział wuj Teodor. - Dla niego to było jak religia.

- To była jego religia - zauważył Jan.

Czuwanie przy zwłokach i uroczystości pogrzebowe potrwały zwyczajowe cztery dni, lecz zajęcia, związane z zamknięciem domu w mieście, zajęły mu ponad trzy tygodnie.

Jan sądził, że orientuje się w polityce, jednak dopiero teraz, podczas pobytu w Krakowie, dowiedział się, i to z pierwszej ręki, mnóstwa rzeczy o problemach wewnętrznych i zewnętrznych, trapiących ojczyznę. Dowiadywał się tego od ludzi, którzy mieli bezpośredni wpływ na przyszłość jego kraju.

Podczas niezliczonych wizyt kondolencyjnych odwiedzające go osoby opowiadały mu wiele na temat pasji jego ojca: było nią utworzenie nowej zreformowanej Polski. Poznał Stanisława Staszica, księdza zajmującego się polityką, który w swych Przystrogach dla Polski błagał o wprowadzenie w Rzeczpospolitej reform, które pozwoliłyby narodowi przetrwać.

Poznał Hugona Kołłątaja, który odegrał tak ważną rolę podczas Sejmu Czteroletniego - ojciec Jana także w nim uczestniczył - i jego wizję reform, gwarantujących prawa wszystkim obywatelom.

W pogrzebie wzięli też udział Ignacy Potocki i Stanisław Małachowski, którzy razem z Kołłątajem opracowali Konstytucję 3 maja.

Sam król Stanisław August przysłał osobistego emisariusza z pisemnymi kondolencjami i słowami najwyższego uznania dla ojca Jana.

Jednakże największe wrażenie wywarło na młodym Stelnickim spotkanie ze szkolnym kolegą ojca. Uczęszczali razem do Szkoły Rycerskiej, państwowej uczelni kształcącej kadry dla potrzeb wojska i administracji. Tadeusz

Kościuszko, wówczas czterdziestopięcioletni, zyskał już sobie sławę, służąc pod rozkazami George'a Waszyngtona, a także pracą przy obwarowywaniu West Point podczas amerykańskiej wojny o niepodległość. Był znów w Polsce, wielce zatroskany o przyszłość swego kraju i pełen zapału w walce o jego zreformowanie i uniezależnienie od wrogów, którzy chcieli rozszarpać go na strzępy.

- Próbowałem ściągnąć twego ojca do Ameryki - powiedział Kościuszko do Jana - lecz nie chciał zostawić rodziny. Piotr był porządnym człowiekiem, patriotą i wspaniałym przyjacielem. Prawdopodobnie zrobił dla Polski wszystko, co można było tu zrobić. Nadejdą gorsze czasy, synu, wspomnisz moje słowa. Sprawa straciła dobrego orędownika. Powinieneś być z niego dumny.

Jan był zbudowany tym, że najbardziej szanowani i wpływowi ludzie w państwie okazują jego zmarłemu ojcu taki szacunek i przywiązanie. Uświadomił też sobie, że jedynie po części rozumiał ojca, i podczas pogrzebu bez wstydu płakał z żalu i poczucia straty.

Zaczął podzielać zaangażowanie rodzica i, co bardziej znaczące, uświadamiać sobie, jak ważną i znaczącą rzeczą jest Sprawa.

Konstytucja 3 maja, pierwszy tego rodzaj akt prawny w Europie, musi zostać za wszelką cenę utrzymana. Był to dokument określający prawa zarówno szlachty, jak i chłopstwa. Zmiany, które wprowadzał, miały fundamentalne znaczenie. Odtąd to sejm miał stanowić prawa i pilnować przestrzegania ich, a żeby je uchwalić, potrzebna była jedynie nieznaczna większość. Liberum veto - dawne prawo, które pozwalało, by pojedynczy członek sejmu blokował głosowanie, mówiąc po prostu: „Nie pozwalam”, zostało zniesione. Sejm, pospołu z królem i radą królewską, zwaną Strażą Praw, miał odtąd skutecznie rządzić Polską. Wszędzie słyhać było hasło: Król z narodem, naród z królem. Wkrótce Jan też zaczął go powtarzać.

Dowiedział się o istnieniu opozycji, złożonej z części szlachty i magnaterii, która nie chciała przyznać ludowi żadnych praw, i ubolewała nad pozbawieniem jej „złotej wolności”, jaką zapewniało liberum veto. Modlił się, by jej członkowie, doznawszy oświecenia, opowiedzieli się po stronie zwolenników demokracji.

Pewnego razu ciotka zagadnęła go o plany małżeńskie.

- Masz dwadzieścia pięć lat i jesteś taki przystojny - naciskała. - Czas się ożenić.

Jan roześmiał się.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem u szczytu i odtąd będę już tylko staczał się ku starości?

Ciotka oblała się rumieńcem.

- Nic podobnego, zastanawiałam się tylko, czy nie potrzebujesz pomocy. Mogłabym przedstawić ci kilka odpowiednich panien.

- Jak zawsze zajmujesz się swataniem, ciotko Kasiu? Nic z tego, nie wciągniesz mnie na listę wolnych kawalerów. Na pewno się ucieszysz, kiedy ci powiem, że znalazłem już przyszłą żonę.

Ciotka otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Czy ona się zgodziła? - spytała.

- Cóż, jeszcze nie... Ale się zgodzi.

- Któż mógłby oprzeć się Stelnickiemu, tak? Gdzie ona jest? - Okrągła twarz ciotki zablęskła niczym tarcza słoneczna. - Kim jest?

- Mieszka chwilowo w Haliczu. Na imię ma Anna. Anna Maria.

- Śliczne imię... i takie katolickie.

- Tak, ciotko, ona jest katoliczką. Ciotka uśmiechnęła się szatańsko.

- Cóż, miło będzie mieć waszą gałąź rodziny znowu w owczarni.

Jan też się uśmiechnął.

- Uważasz, że się nawrócę?

- O tak, bez wątpienia! Jeśli jest tego warta, nawrócisz się. Jan zmienił temat. Nie wspomniał ciotce o tragicznej i smutnej przeszłości Anny. Ani o tym, iż miał nadzieję, że małżeństwo pozwoli jej rozpocząć nowe życie. Żar, który rozpałał mu policzki, brał się z poczucia winy. Jan obwinał się o to, że tamtego dnia nad stawem zachował się nieodpowiednio. Zareagował zbyt impulsywnie. Jak zwykle zresztą. Będzie musiał to w sobie zmienić. Był zbyt niecierpliwy. Co za ironia: to właśnie niewinność dziewczyny tak go w niej pociągała. Ta sama niewinność, która wystawiła jego cierpliwość na ciężką próbę. Kłamstwa Zofii i jej wtrącanie się pogorszyły sytuację. Lecz jak mógł przypuszczać, że Anna rozszyfruje charakter Zofii zaledwie w kilka tygodni, skoro jemu zajęło to o wiele więcej czasu?

Jak mógł ją zostawić? Była piękna i krucha niczym ptak. Wróciłby tego dnia nad staw, ale w domu czekał na niego posłaniec z wieścią o tym, że ojciec jest umierający.

Miał nadzieję, że dostatecznie wyjaśnił swoje zachowanie w liście. Był pewien, że Anna zrozumie i przebaczy mu. Za kilka dni będzie miał dość czasu, by wytłumaczyć się jej osobiście.

Tak, ożeni się z Anną. Jakże za nią tęsknił! Pokochał tę dziewczynę od pierwszego wejrzenia.

RS

Część druga

Wstaw się za złą dziewczyną;
o dobrej możesz mówić, co ci się podoba.
Przysłowie polskie

Rozdział trzynasty.

W tydzień po pamiętnej rozmowie z ciotką Anna została poślubiona Antoniemu Grawlińskiemu przez księdza z miejscowej parafii. Ślub odbył się, jak nakazywała tradycja, w niedzielę.

Pan Antoni wyglądał bardzo elegancko w galowym stroju, kiedy stał wyprostowany, wsparłszy prawą dłoń na fioletowym pasie w turecki wzór.

Podczas ceremonii, odprawianej w salonie, Anna ledwie trzymała się na nogach. By nie upaść, uczepliła się kurczowo oparcia fotela. Miała na sobie jasną jedwabną suknię i proste nakrycie głowy. Jak nakazywał obyczaj, rozpuszczone włosy opadały jej luźno na plecy, symbolizując przeobrażenie się dziewczęcia w kobietę. Jednak zważywszy na to, co stało się nad stawem, zaślubin nie poprzedziła radosna uroczystość rozplatania warkocza, jaka zazwyczaj odbywała się na dzień przed ślubem. Zresztą wydarzenia prowadzące do wesela i sama ceremonia zostały znacząco skrócone.

Przynajmniej miano podać chleb weselny. Ciotka Stella osobiście dopilnowała, by kołacz był upieczony z najlepszej mąki, a ciasto starannie wyrobione, wierzono bowiem, że jeśli spleciony na kształt warkocza wierzch ciasta pęknie, małżeństwo okaże się nieszczęśliwe.

W miarę jak ceremonia się przeciągała, Anna zaciskała pobielające knykcie coraz mocniej na oparciu fotela, ledwie słuchając zawodzącego głosu księdza. Własny ślub stawał się dla niej torturą, mniemającą nic wspólnego ze wspaniałą ceremonią z dziewczęcych snów.

Spojrzała na barona Grawlińskiego, który stał obok okna, nieco oddalony od kobiet. Jej teść był naprawdę bardzo stary. O tym, że jeszcze oddycha, świadczyło jedynie lekkie unoszenie się koronek poniżej szyi, pokrytej obwisłą skórą. Baronowa, kobieta duża i nieatrakcyjna, stała nieruchomo niczym skała, z aprobatą spoglądając na syna spod opuszczonych powiek.

Zofia, radosna, w różowej sukni, udawała wzruszenie, lecz tylko ciotka płakała naprawdę.

Anna nie była w stanie płakać. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy właściwie zdecydowała, że przyjmie oświadczyzny. Została pokonana: przez ciotkę, przez Zofię, przez własną słabość. Brak wiadomości od Jana pozbawił ją złudzeń. Dlaczego nie napisał? Czy przestała mu się podobać? Czy był tak zmienny, jak twierdziła Zofia? Czy to coś w niej sprawiło, że nagle stracił zainteresowanie? A może nie było ono niczym więcej, jak tylko tym, co Zofia określiła jako umizgi? Żałowała, że zareagowała tak gwałtownie, gdy Zofia oskarżyła go nad stawem. Skonsternowana i oszołomiona, odwróciła się od Jana, jakby wierzyła jej, nie jemu. Czuła jednak, że jeśli gniewał się na nią z tego powodu, jego gniew złagodniałby z czasem - gdyby mu na niej zależało.

A jeśli usłyszał o napaści? Czy to mogłoby go odstraszyć? Wiedziała, iż wielu mężczyzn pragnie pojąć za żonę jedynie dziewicę. A może fakt, że Grońscy oskarżyli go o to, iż jest sprawcą gwałtu, nie pozwalał mu się zbliżyć? Anna była jednak przekonana, że to nie on jest winowajcą. Zatem dlaczego zniknął?

Gdy ceremonia dobiegła wreszcie końca, spróbowała znaleźć pociechę w rezygnacji, wmawiając sobie, że to los ich rozdzielił i że nie mogli nic na to poradzić.

Zaledwie poprzedniej nocy wyglądała przez okno, obserwując, jak deszcz zalewa podjazd, ścieżki i rowy. Ojciec opowiedział jej kiedyś o tym, jak wielkim szacunkiem darzą wodę Chińczycy. Ten spokojny, pokorny byt, woda, zawsze znajdował sobie najniższe miejsce, omijając skały na swojej drodze. Zawsze cierpliwy. I niezniszczalny.

Spojrzała na męża, zastanawiając się, czy postąpiła słusznie. Przez chwilę była równie potulna i uległa jak woda. Jaki okaże się ten związek? Poślubiając Antoniego, nie poszła ani za głosem serca, ani intuicji.

Na zewnątrz deszcz padał nieprzerwanie. Kiedy ksiądz obwołał ich mężem i żoną, Anna spojrzała na małżonka i uśmiechnęła się. Hrabina powiedziała jej bowiem: „Żaden mężczyzna nie życzy sobie niechętnej panny młodej”.

Później, gdy otrzymała swój kawałek kołacza, uniosła nieco ozdabiającą go gałązkę, symbol płodności, i zobaczyła, że pomimo wszelkich starań chleb i tak pękł podczas pieczenia.

Dwa dni po ślubie Anna zajęta była przygotowaniem do wyjazdu do Warszawy. Mieli spędzić tam zimę wraz z hrabiną i Zofią. Właśnie owijała starannie w koc szkatułkę, w której schowana była kryształowa gołębicą. Nagle, pod wpływem impulsu, odwinęła pudełko, otworzyła je i wyjęła figurkę. Podeszła z nią do okna, by słońce ożywiło kryształ światłem.

Kiedyś uważała ptaka za omen, wieszczący szczęśliwą przyszłość, a kupca, który jej go sprzedał, za proroka z greckiego dramatu. Powiedział, że ptak zanieś ją, dokąd tylko zechce, nawet do jej snów. Powinna tylko trzymać go pod światło, jak teraz, i wyobrazić sobie, że Iris, bogini tęczy, unosi ją naprzód, wciąż naprzód, ku przyszłości.

Teraz jednak w zimnym kryształ, oświetlonym bladym październikowym słońcem, nie było ani śladu Iris. Ptak zdawał się jedynie reliktem przeszłości. Należał do dziecka, które wybrało sobie dziwaczny prezent i pozostało odosobnione w swej chęci zatrzymania go na zawsze. Co stało się z tym dzieckiem, z tymi marzeniami?

Ruch na zewnątrz, pod oknem pokoju, oderwał ją od rozmyślenia o gołębiczy. Rozsunęła koronkowe firanki, a kiedy zerknęła w dół, ledwie mogła uwierzyć własnym oczom. Jan Stelnicki właśnie zsiadał z konia.

Wyglądał tak jak w jej wspomnieniach, charyzmatyczny nawet w ruchach. I piękny. Mężczyzna nie ma prawa być tak piękny, pomyślała w dniu, gdy go poznała.

Kiedy usłyszała stukanie do drzwi, była już u szczytu klatki schodowej, lecz zatrzymała się. Zofia najwidoczniej także dostrzegła Jana, gdyż popędziła do wejścia niczym błyskawica i otworzyła ciężkie dębowe drzwi.

Z miejsca, w którym stała, Anna mogła widzieć jedynie plecy kuzynki, lecz bez trudu wyobraziła sobie twarz Jana i malującą się na niej powagę. Zeszła na środkowy podest, by lepiej słyszeć rozmowę.

- Dzień dobry, Zofio - przywitał się Jan. - Przyszedłem złożyć kondolencje. Byłem w Krakowie i wróciłem dopiero wczoraj. Powiedziano mi, że twój ojciec nie żyje.

- Nie jesteś tu mile widziany, Janie Stelnicki.

- Ach, jak zwykle nie owijasz w bawełnę, Zofio. Cóż, nie przyszedłem rozmawiać z tobą, lecz z Anną, choć pozwól, że pogratuluję ci z okazji zamążpójścia.

- Och! - zawołała triumfująco Zofia - służba źle cię poinformowała. To nie ja wysłałam za pana Grawlińskiego.

Umilkła, by spotęgować efekt.

Anna dostrzegła zdumienie malujące się na twarzy Jana i nagły ból przeszył jej serce.

- To Annie powinienesz złożyć gratulacje! - mówiła tymczasem Zofia.

Cisza.

Choć znała go krótko, Anna nie widziała dotąd, by Janowi zabrakło słów. Teraz jednak zająknął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a jego twarz wyrażała jawne niedowierzenie.

Przywarła do balustrady. Bała się, że za chwilę zemdleje.

Zofia mówiła tymczasem, starannie wymawiając słowa, jak miała w zwyczaju:

- Oczywiście, życysz mojej kuzynce wszystkiego najlepszego. Przekażę jej to. A teraz opuść ten dom. - Starannie modulowany głos wzniósł się na wyższe rejestry. - I nigdy więcej nie próbuj zobaczyć się z Anną!

Trzasnęły dębowe drzwi.

Znów dało się słyszeć kołatanie.

Hrabina Grońska odesłała Zofię ruchem dłoni, po czym otworzyła drzwi i wyszła na ganek, by porozmawiać z Janem.

Zofia odwróciła się i zobaczyła Annę. Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę.

Anna wpatrywała się w kuzynkę z niemą rozpaczą i gniewem. W oczach Zofii widać było triumf, lecz także przeblysk... czego właściwie? Żalu? Skruchy? Nie potrafiła dociec.

A potem Zofia odwróciła wzrok i bez słowa zajęła się przygotowaniami do wyjazdu. Zdawała się nucić pod nosem.

Anna wróciła do pokoju. Upokorzenie nie pozwoliło jej zejść i porozmawiać z Janem. Upokorzenie i wstyd, że nie zaczekała. Nie wierzyła w jego miłość. Czuła bowiem, że tylko ważny powód mógł powstrzymać Jana przed pojawieniem się w domu ciotki. A ona nie zaczekała. Popełniła błąd, za który zapłaci całym swoim życiem - nie było już odwrotu.

Mimo to modliła się w duchu, by Jan jednak zechciał się z nią zobaczyć. Hrabina nie zdołałaby go powstrzymać, gdyby naprawdę tego chciał.

Jednakże po kilku minutach usłyszała tętent kopyt i już wiedziała, że Jan odjechał. Nie mogła zmusić się, by podejść do okna. Może tak było najlepiej, myślała. Co mogłaby mu powiedzieć? Co się stało, to się nie odstanie. Ksiądz połączył ją z mężczyzną, którego nie kochała, chociaż przysięgła mu miłość przed Bogiem.

Uroczyście podniosła kryształową gołębicę i trzymając ją tak, jak trzyma się coś, co jest martwe, ułożyła na aksamitnej wyściółce.

Później, gdy powóz unosił ją w kierunku Warszawy, coraz dalej od Halicza, coraz dalej od Jana, przypomniała sobie wspaniałą wazę, należącą kiedyś do ojca. Waza, wysoka na około trzydzieści centymetrów, liczyła sobie więcej lat

niż kilkadziesiąt pokoleń ludzkich. Na lazurowym tle widniał biały wzór, przedstawiający liście winorośli, ptaki i postać Egipcjanki. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał jej ojciec.

Pewnego zimowego dnia niechcący strącił ją z podestu, na którym stała. Anna patrzyła, jak bezcenny skarb rozpadał się na kawałeczki zbyt małe, by można je było posklejać. Wtedy jedyny raz w całym swoim życiu widziała, jak ojciec płakał. Myślała, że pęknie jej serce; jednak dopiero teraz poznała, czym jest ból złamanego serca. I, jak jej ojciec, za swe cierpienie mogła winić jedynie siebie.

RS

Rozdział czternasty.

Hrabina Grońska pozostawała milcząca przez większą część podróży. Czasami, po tym jak Anna została napadnięta, jej syn zbuntował się otwarcie przeciwko rodzicom, a mąż nagle zmarł, czuła się tak, jakby wstępowała w gęstą, ciemną mgłę i traciła kontakt z rzeczywistością. Surowe, sztywne zasady, według których ją wychowano, tytuł oraz pozycja zobowiązywały ją, by szła naprzód, stawiała czoło wyzwaniom, bez oglądania się na przeszkody. Próbowwała zatem ukryć smutki w oddzielnej szufladce umysłu, zamkniętej na głucho, do której nie zamierzała zaglądać bez koniecznej potrzeby. Musiała zachować trzeźwość myślenia, była bowiem przekonana, że już niedługo jej rozsądek i autorytet moralny będą potrzebne siostrzenicy, a przede wszystkim córce.

Modliła się, by w Warszawie ich życie wróciło do normalności. Jej uszczuplona rodzina musiała zapomnieć o przeszłości. Nic już nie mogło zmienić faktu, że była wdową.

Jednakże w mieście też wszystko było inne niż dawniej. Gdy tylko zamknięty powóz zaturkotał na brukowanych ulicach Pragi - przedmieścia stolicy położonego na wschodnim brzegu Wisły - hrabina wyjrzała przez otwarte okno, zaszokowana tym, jak bardzo pogorszyła się sytuacja biedoty.

Bezdomni wieśniacy w różnym wieku, nędznie odziani włóczyli się po wąskich ulicach. Niektórzy zebrali, inni wałęsali się po prostu bez celu. Ujrzała puste twarze, białe maski, wyrażające jedynie brak nadziei.

Gdy ruch uliczny spowolnił powóz, kilkoro obszarpanych uliczników zaczęło biec równolegle z nim, piskliwym głosem dopraszając się jałmużny albo jedzenia.

Hrabina siedziała obok Zofii, naprzeciw Antoniego i Anny Marii. Nagły ruch, wykonany przez siostrzenicę, przyciągnął jej uwagę.

- Co robisz, Anno? - spytała.

W gospodzie, gdzie zatrzymali się na nocleg, kupili kosz z jedzeniem i teraz Anna przetrząsała go w poszukiwaniu resztek.

- Zamierzam dać to, co nam zostało, tym biednym dzieciom.

- Oszalałaś? - zawołał Antoni. - To potomstwo najgorszej miejskiej hałastry.

- To tylko dzieci, i są głodne.

- Nie ulega kwestii, że to banda hałaśliwych łobuzów - dodała Zofia.

- Gębę chłopca można zawsze zatkać chlebem - odparła Anna, wyrzucając przez okno chleb, kilka kiełbasek i owoce.

- Ci sami mali żebracy z rozkoszą poderznąliby ci gardło, gdyby tylko mieli po temu okazję. - Antoni uśmiechnął się z przymusem. - Czy nie mam racji, hrabino Grońska?

- Zachowałaś się niezbyt rozsądnie, Anno Mario - hrabina była pewna, że gdyby Antoni był sam z żoną, na pewno by ją powstrzymał.

Anna zjeżyła się.

- Nie świadczy to dobrze o Warszawie. Co to za miasto? Zofio, czy masz jakieś drobne? Ja mam tylko trzy czy cztery monety.

- Żeby wyrzucić je przez okno? Nie!

- Zofio, proszę! Daj mi to, co masz.

Hrabina ze zdziwieniem przyglądała się, jak kuzynki przez chwilę mierzą się wzrokiem. A potem Zofia, jakby nagle doszła do wniosku, że może ustąpić w tak nieistotnej sprawie, zajrzała do sakiewki.

- Masz. Ojciec i tak zawsze powtarzał, że nie mam głowy do pieniędzy.

Jej śmiech zadźwięczał niczym monety, rzucone niedbale na chodnik.

Ciotka Stella nie zaprotestowała, gdy siostrzenica wysunęła rękę i rzuciła drobniaki powiększającej się z każdą chwilą gromadzie małych żebraków. Wyglądało na to, że czasami Anna potrafi jednak postawić na swoim. Hrabina poczuła przypływ poczucia winy, gdyż przypomniała sobie, jak wbrew protestom siostrzenicy nakłoniła ją do małżeństwa. Teraz mogła tylko modlić się do Czarnej Madonny, by okazało się, że postąpiła właściwie.

- Woźnica! - zawołał Antoni. - Przyspiesz trochę!

Właśnie w tym momencie hrabina zauważyła chłopca, małego blondynka, najdrobniejszego spośród dzieciaków. Przykucnął, by podnieść monetę, a za chwilę wstał i triumfalnie pomachał zaciśniętą w piąstkę dłońią. Spojrzała w przelocie na wymizerowaną twarzyczkę, rozświetloną szerokim dziecięcym uśmiechem, i pożałowała, że nie sięgnęła do sakiewki.

Hrabina Grońska zdawała sobie sprawę z istnienia biedy, lecz w ostatnich latach przepaść pomiędzy biednym chłopstwem a bogatą szlachtą zdawała się gwałtownie powiększać. Tuż obok rozpadających się lepianek biedoty wznosiły się wspaniałe rezydencje arystokracji i duchowieństwa. Domostwa klasy średniej - kupców, rzemieślników i handlarzy - stanowiły zdecydowaną mniejszość.

Życie szlachetnie urodzonych warszawian było jak gęsty gulasz, sporządzony z bogactwa i przepychu, przyprawiany bez umiaru dogadzaniem

sobie. Trudno było już odróżnić ludzi ze starych, zamożnych rodzin od nuworyszy. Tej nowej warstwie bogaczy stolica oferowała wszelkie rozrywki, styl życia zgodny z paryską modą i obyczajami. Jeździli wytwornymi powozami, ciągniętymi przez konie czystej rasy, ubierali się z przepychem i zarówno kobiety, jak i mężczyźni nosili wielkie, modne peruki. Jedli wyborne potrawy i popijali je najprzedniejszymi winami, a delikatesy takie jak rosyjski kawior były na ich stołach równie powszechne jak sól. Codziennością biedoty, odzianej w wytarte łachmany i byle jakie trepy, był brud, głód i beznadzieja.

Hrabina próbowała wyjaśnić Annie, że w każdym mieście sytuacja wygląda podobnie. Jednakże później, kiedy Antoni zaciągnął zasłony w oknach i w zaległej ciszy słycać było jedynie stukot końskich podków na bruku, mimo woli zaczęła zastanawiać się, czy tak być powinno.

Biała drewniana rezydencja Grońskich mieściła się w najbogatszej części warszawskiego przedmieścia, Pragi. Wąska, czterokondygnacyjna kamieniczka stała w szeregu budynków usytuowanych na skarpie, a z jej okien roztaczał się wspaniały widok na Wisłę, mury miejskie i Zamek Królewski. Choć mniejszy niż dwór w Haliczu, dom w Warszawie wydał się Annie jeszcze ładniejszy i lepiej urządony.

Zgodziła się z Antonim i hrabiną, że powinna dokończyć rekonwalescencji właśnie tutaj. Zajęła wraz z Antonim sześć pokoi na pierwszym piętrze, podczas gdy ciotka i kuzynka rozlokowały się na parterze. Obie rodziny miały jadać posiłki wspólnie.

Anna miała nadzieję na spokojny związek, taki, który - choć pozbawiony miłości - z czasem zaowocowałby wzajemnym szacunkiem i troską. Nadzieje te zniweczyło pojawienie się w Haliczu Jana. Jak mogłaby kiedykolwiek znaleźć szczęście przy Antonim, mając świadomość, że utraciła mężczyznę, którego naprawdę kochała?

Antoni nie starał się skonsumować ich związku w noc poślubną ani podczas następnych nocy, które spędzili Pod Głogami. Wyglądało na to, iż zawarli milczące porozumienie i młody baron zgodził się z tym, że jego żona potrzebuje więcej czasu.

W kilka tygodni po przyjeździe do Warszawy przyszedł jednak do pokoju Anny. Następnego dnia miał wyjechać do

Petersburga. Matka napisała, że ojciec jest ciężko chory. Anna siedziała na łóżku, czytając. Natychmiast uświadomiła sobie, że szare oczy męża błyszczą oczekiwaniem, i to odkrycie przestraszyło ją. Wiedziała, że ten moment kiedyś nadejdzie, mimo to poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka.

Antoni usiadł na łóżku, wyjął jej książkę z dłoni, spojrzał w oczy i pocałował delikatnie.

Anna zadrżała na całym ciele.

Był delikatny. Romantyczny. I był jej mężem.

Lecz ona nie pragnęła zbliżenia. Gdy tylko ją dotknął, poczuła nudności. Próbowwała odwrócić głowę, gdy jego usta poszukały jej warg. Mruknęła coś, prosząc go, by przestał.

Chwycił ją za ramiona i przycisnąwszy do poduszek, pocałował znowu.

- Nie! - krzyknęła, odpychając go. Usiadł z powrotem na łóżku i spojrzał na nią.

- O co chodzi?

- Ja... Nie wiem. Nie jestem jeszcze gotowa, Antoni.

- Minęło kilka tygodni, Anno.

- Wiem.

- Kiedy będziesz gotowa, byśmy mogli stać się mężem i żoną?

- Nie wiem.

Wstał gwałtownie. Twarz poczerwieniła mu z gniewu i stanowczym tonem rzekł:

- Sugeruję, byś znalazła odpowiedź na to pytanie, i to możliwie szybko, Anno Mario Grawlińska. Jestem cierpliwy, ale moja cierpliwość ma granice. Wrócę z Petersburga z należnym mi tytułem. A ty będziesz moją baronową. I to małżeństwo będzie małżeństwem nie tylko z nazwy. Zrozumiałaś?

Odwróciła twarz, aby na niego nie patrzeć. Wzdrygnęła się, słysząc swoje nowe nazwisko.

Po chwili usłyszała, że drzwi się zamknęły. „Z należnym mi tytułem”. Z jakim spokojem wyczekiwał śmierci ojca. Tymczasem ona oddałaby wszystko, byle tylko spędzić chwilę, choćby najkrótszą, ze swoim.

Uświadomiła sobie ironią sytuacji. Pamiętała, jakich rad udzielała Zofii, gdy ta skarżyła się, że rodzice zmuszają ją do małżeństwa. Powiedziała wówczas, że Antoni może okazać się przystojnym kawalerem o szlachetnym charakterze i że z czasem Zofia mogłaby go pokochać i być szczęśliwa.

Nie wiedziała wtedy, że wkrótce znajdzie się na miejscu Zofii. Nie miała też pojęcia, co będzie wtedy czuła. Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak była głupia. Żadna kobieta nie powinna wychodzić za mąż wbrew swojej woli.

Nudności powróciły i ciało Anny pokryło się zimnym potem. Zeszła czym prędzej z łóżka, podbiegła do nocnika i zaczęła wymiotować tak gwałtownie,

jakby chciała wyrzucić z siebie wszystkie fizyczne i duchowe dolegliwości, które ją prześladowały.

Leżała potem bezsennie, wpatrując się w drobne pęknięcia na suficie. Antoni wyznaczył jej termin. Będzie musiała ulec albo... albo co?

Wreszcie ośmieliła się pomyśleć o tym, co czaiło się w zakamarkach jej umysłu: czy małżeństwo dałoby się anulować? Dlaczego nie? Nie zostało przecież skonsumowane. I jeśli pozostanie jej choć trochę sił, nie zostanie skonsumowane nigdy, poprzysięgła sobie. Antoni zdążył się już co do niej rozczarować, nawet był na nią zły - więc może nie miałyby nic przeciwko temu, by odzyskać wolność?

Tak, to mogłoby się udać. Naprawdę mogłoby. Nie wiedziała, jak załatwić się unieważnienie małżeństwa, lecz w tych okolicznościach z pewnością byłoby to możliwe.

Jednak czy starczy jej siły woli, by pójść tą drogą bez względu na wszystko? Czy będzie zdolna samodzielnie pokierować swoim życiem? Przez jedną błogą chwilę łudziła się, że tak, starczy jej odwagi, a kiedy nad ranem zasnęła, śniła o tym, że sam kardynał Warszawy wręcza jej akt unieważnienia. Po raz pierwszy od tygodni była zadowolona.

Ulga nie trwała jednak długo: rankiem nudności wróciły.

Lutisza zajęła się Anną i musiała widocznie rozmawiać z hrabiną po tym, jak opuściła sypialnię podopiecznej, gdyż wkrótce do pokoju Anny zawitała hrabina, a wraz z nią Zofia. Ciotka Stella wybadała pobladałą Annę, zadając jej jedno pytanie po drugim.

- Co mi jest, ciociu? - spytała Anna, kiedy litania pytań wreszcie ustała. Poważna mina i zachowanie ciotki zaczęły napawać ją lękiem. - Jestem ciężko chora? To poważne?

- Nie, nie jesteś chora. Ale tak, sprawa jest poważna.

- Co chcesz przez to powiedzieć, ciociu?

- Chcę powiedzieć, że spodziewasz się dziecka, Anno. Serce Anny zamarło. Nowina ogłuszyła ją, choć w głębi duszy właśnie tego się spodziewała. Zofia westchnęła głośno.

- To dziecko, Anno. Czy jest Antoniego?

- Nie.

Ciotka zbladła jak ściana.

- Jak możesz być tak pewna?

- Jestem pewna.

Zofia natychmiast pojęła, o co chodzi.

- Chcesz powiedzieć, że małżeństwo nie zostało dotąd skonsumowane?
- Zofio! - krzyknęła hrabina, zgorszona.
- Dobrze już, ciociu. Mogę o tym mówić. Nie - odparła, potrząsając głową.
- Nie zostało.

W tych pierwszych chwilach, nim inne troski związane z przyszłym macierzyństwem stały się udziałem Anny, jedna myśl natychmiast dotarła do jej świadomości: unieważnienie małżeństwa nie było już możliwe.

RS

Rozdział piętnasty.

Antoni wrócił z Petersburga w tak posępnym nastroju, że w pierwszej chwili Anna pomyślała, że jej teść zmarł i mąż został baronem.

Jednakże zaprzeczył oschle jej przypuszczeniom, twierdząc, że ojciec, zaskoczywszy wszystkich, wrócił nagle do zdrowia. Po czym, nie mówiąc więcej ani słowa, udał się do swej sypialni.

Następnego dnia ciotka Stella zebrała wszystkich po kolacji w salonie i przemówiła:

- Anno Mario, powiedziałałam Antoniemu o twoim... stanie. On rozumie, kochanie.

Anna spojrzała na męża, który uśmiechnął się słabo.

- I przyjmiesz je, Antoni? - spytała.

- Przyjmę...?

- Czy to, co mówi ciotka, oznacza, że zgodzisz się przyjąć moje dziecko?

Chrząknął, zaskoczony.

- To znaczy, uznam je za własne? Teraz odezwała się Zofia:

- Dziecko nie jest Antoniego, Anno, i jako takie zawsze będzie w waszym związku zawadą.

- Lecz ciocia powiedziała, że Antoni rozumie. Naprawdę rozumiesz, Antoni?

- Tak, Anno, ale nie mogę uznać dziecka za swoje.

- Miałam na myśli to, że mąż będzie wspierał cię do czasu rozwiązania - powiedziała hrabina. - Doprawdy trudno byłoby mu je adoptować, jeśli o tym właśnie myślałaś. Gdyby urodził się chłopiec... nie możesz wymagać, by uznał go za dziedzica.

Anna poczuła, że sztywnieje.

- Dziedzica majątku mojego ojca?

- I majątku Grawlińskich, kochanie.

- Matka ma rację, Anno. Oczywiście, nikt nie musi wiedzieć, że dziecko nie jest Antoniego, lecz z prawnego punktu widzenia, a z jego punktu widzenia także, dziecko nie może dziedziczyć tytułu ani majątku. Posłuchaj, kochanie, zatrzymanie go przyczyniłoby tylko zmartwień nam wszystkim... i wcale nie byłoby dobre dla samego dziecka. Pomyśl o tym.

- Już o tym myślałam - powiedziała Anna, spoglądając kolejno w oczy kuzynce, ciotce i mężowi. - Wtedy, w pierwszych dniach po napaści. Potem jednak odsunęłam od siebie tę myśl albo przynajmniej tak mi się zdawało. Bóg

do tego nie dopuści, myślałam. Lecz teraz... to dziwne, lecz odkąd wiem, że rośnie we mnie nowe życie, moje uczucia uległy zmianie. Być może to życie, jak każde inne, jest darem od Boga. Chcę zatrzymać dziecko.

- Nie zamierzam dręczyć cię przypominaniem, przez co przeszłaś - powiedziała hrabina - lecz pomyśl tylko: a gdybyś nie była mężatką? Drogie dziecko! Twoja reputacja została ocalona. I czy nie powinnaś dziękować losowi, że udało ci się zawrzeć odpowiednie małżeństwo?

Antoni prawie się nie odzywał, lecz ciotka i Zofia uparcie próbowały skruszyć wątpliwy opór Anny. Dziecko należy oddać.

- Ale co się z nim stanie? - spytała w końcu Anna.

- Znajdziemy mu dobry dom w innej parafii lub mieście - rzekła hrabina. - A ludziom powiemy, że straciliście pierwsze dziecko.

- Wszystko zostanie utrzymane w głębokiej tajemnicy - dodała Zofia. - Mama wie, jak załatwiać takie sprawy, prawda, mamó?

W brązowych oczach hrabiny zabłysło zdziwienie i gniew. Anna zauważyła, że pomiędzy matką a córką rodzi się napięcie, lecz zbytnio martwiła się o los dziecka, by poświęcić temu więcej uwagi.

Szanowała ciotkę i kochała ją. I choć hrabina ostatnio wydawała się dziwnie nieobecna duchem i roztargniona, jej zdanie było dla Anny ważne. Tylko że teraz nie była już tą samą dziewczyną, która przyjechała zamieszkać z Grońskimi przed kilkoma zaledwie miesiącami. Pokochała i straciła swą miłość. Uwikłała się w małżeństwo bez miłości, choć była przekonana, że jej związek z Antonim nie ma przyszłości. Dlatego przysięgła sobie, że teraz pójdzie za głosem serca i intuicji. Nie będzie wodą, która omija głaz na swojej drodze, lecz zmusi głaz, by jej ustąpił.

Wyprostowała się na krześle. Już zdecydowała. Wiedziała jednak, że niełatwo będzie przeciwstawić się rodzinie.

- Postanowiłam zatrzymać moje dziecko, ciociu. Tylko ono trzyma mnie przy życiu.

Antoni uderzył pięścią w stół.

- Dość! Dość się już nasłuchałem. Wstał.

- Zostawiam to pani, hrabino. Liczę, że przemówi pani swej siostrzenicy do rozumu. Dobranoc.

Po wyjściu Antoniego kobiety siedziały przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Cóż - powiedziała w końcu Zofia. - Uważam, że decyzja Anny jest godna podziwu, mamó. Pamiętaj jednak, że ma jeszcze czas, by się zastanowić. Całe miesiące.

Zofia odgrywa zatroskaną dyplomatkę, pomyślała Anna. I jest taka pewna, że w końcu zdoła mnie przekonać...

- Czy mogłabyś zostawić mnie samą z kuzynką, mamó?

Hrabina wydawała się zmęczona i niezbyt skora przeciwstawiać się córce, pozostawiła więc sprawę w jej rękach. Ucałowała dziewczęta na dobranoc i poszła do swego pokoju.

Zofia spojrzała szacująco na kuzynkę czarnymi oczami.

- Cóż, Aniu - powiedziała - musisz być realistką.

- Chcę zatrzymać dziecko, Zofio.

- Co spodziewasz się przez to uzyskać?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Myślę, że wiesz.

- Nie mam ukrytego motywu.

- Chyba wiem, co knujesz - powiedziała Zofia, uśmiechając się sztucznie.

Anna spojrzała na kuzynkę.

- Myślisz, że jeśli uprzesz się zatrzymać dziecko, Antoni zgodzi się unieważnić małżeństwo. O to ci chodzi, czyż nie? Nadal sądzisz, że w końcu uda ci się zdobyć Jana!

- Nie mam na to nadziei.

- W rzeczywistości uważasz... Nie, ty to wiesz!... że dziecko jest jego, prawda?

- Zofio, ja wiem, że ono nie jest Jana. Sądzisz, że jest jego?

Zofia skrzywiła się.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała z rosnącym gniewem w głosie.

Anna wstała i skierowała się ku drzwiom.

- Posłuchaj mnie, Anno. Jeśli Antoni cię opuści, ty, szlachcianka, nie będziesz mogła wychowywać nieślubnego dziecka!

- Zofio, to zupełnie do ciebie niepodobne, żeby aż tak przejmować się konwenansami.

- Nie żartuj sobie ze mnie! Im szybciej uświadomisz sobie, że nie możesz mieć Jana i że on nie jest wart zachodu, tym szybciej ułożysz sobie życie.

Przy drzwiach Anna odwróciła się i spojrzała na kuzynkę.

- Zatrzymam dziecko, Zofio.

- Więc nie spodziewaj się ode mnie pomocy - wysyczała Zofia. - I nie oczekuj, że Antoni będzie zachowywał się jak święty Józef wobec Dziewicy Maryi!

Rozdział szesnasty.

Kilka dni minęło bez szczególnych incydentów. Antoni zaczął jadać poza domem. Anna, Zofia i hrabina unikały drażliwych tematów.

Anna nie myślała dotąd zbyt wiele o macierzyństwie; już jako dziecko wolała kryształową gołębicę niż lalkę. Jednak nie mogła dłużej odsuwać od siebie tej myśli. Czowała, że zaszły w niej pewne zmiany. To dziwne uczucie, wiedzieć, że rośnie w tobie nowa istota, myślała. Już teraz rodziła się w jej sercu opiekuńczość. Ani przez chwilę nie chciała pozbyć się dziecka, chociaż tak bardzo komplikowało jej życie. Urodzi je i obdarzy taką miłością, jakby pochodziło ze związku z mężczyzną, którego kocha. Dziecko nie wybiera sobie przecież rodziców ani okoliczności przyjścia na świat, rozmyślała.

Tymczasem pojawił się pilniejszy problem. Zanim teść zachorował, spodziewała się, że wiosną zamieszkają wraz z mężem w Sochaczewie. Teraz jednak obawiała się, że Antoni będzie wolał pozostać bliżej rodziców na wypadek, gdyby stan zdrowia jego ojca się pogorszył. Ona natomiast nie chciała znaleźć się ani w rodowym majątku Grawlińskich pod Opolem, ani tym bardziej w Petersburgu. Pragnęła zamieszkać we własnym domu i nie nazbyt daleko od ciotki, od której mogła spodziewać się ciepła i miłości. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia pośród Grawlińskich. Antoni był człowiekiem chłodnym uczuciowo, podobnie jak jego rodzice. Właściwie zimnym jak barszcz.

Pewnego popołudnia Anna miała zjeść obiad samotnie. Lutisza powiedziała, że hrabina i Zofia udały się na umówione spotkanie. Ciekawe, jakie też wspólne sprawy mogą mieć ciotka i kuzynka, zastanawiała się.

Siedząc przy wielkim dębowym stole, zwrócona plecami do wysokiej, zdobionej ciemnym wzorem chińskiej serwantki, pełnej sreber i cynowych naczyń, czuła się mała i nic nie-znacząca. Poza tym była zażenowana, gdyż trzy służące krążyły wokół niej niczym kolibry wokół kwiatu. Podały zupę grzybową i udziec jeleni, przyrządzony po litewsku. Mięso było nieco suche, co wskazywało na to, że Lutisza naszpikowała je słoniną. Nakłuwanie mięsa szpikulcem powodowało wyciekanie z niego soku, dlatego matka Anny pilnowała zawsze, by kucharki owijały mięso przed pieczeniem cienkimi plasterkami słoniny. Gdy pieczeń była już niemal gotowa, słoninę usuwano, a mięso posypywano drobnym białym cukrem, który pod wpływem wysokiej temperatury karmelizował się, tworząc na powierzchni chrupiącą skórkę. Tak przyrządzone mięso wydzielало apetyczny sok, stanowiący podstawę pysznego sosu. Od czasu do czasu pozwalano małej Annie uczestniczyć w jego

przygotowaniu. Dodawała wtedy ostrożnie gęstą śmietaną i wyciskała sok z cytryny. Na samo wspomnienie o tym ślinka napłynęła jej do ust. Przepis był o wiele lepszy niż ten, który stosowała Lutisza. Jakże tęskniła za matką i dawnym życiem w rodzinnym Sochaczewie!

Skończyła jeść i właśnie miała wrócić do swych pokoi, gdy niebo rozdarła błyskawica. Zagrzmiało donośnie, a potem rozszalała się ulewa.

Dzień, choć jesienny, wstał ciepły i pogodny, toteż w całym domu pootwierano okna, aby wywietrzyć go przed zimą. Anna podbiegła do okien w jadalni i zaczęła je kolejno zamykać.

Z głębi domu nadbiegła zaaferowana Lutisza.

- Lutiszo, pobiegnij na górę i pozamykaj tam okna, ja powinnam dać sobie radę tu, na dole.

- Tak, madame - odparła służąca, śpiesząc ku schodom.

Anna pozamykała okna w bibliotece, szwalni, salonie i sypialni hrabiny. Pokój Zofii był ostatni w korytarzu. Wbiegła do środka i dopiero wtedy odkryła, że okna są tu zamknięte, a powietrze nieświeże i przesycone zapachem perfum.

Już miała odwrócić się i wyjść, kiedy spostrzegła na wielkim puchowym łożu dziwnie wyglądającą książeczkę. Przeszła przez pokój, podniosła ją i zaczęła obracać w dłoniach. Obramowane złotem strony przytrzymywała okładka, zdobiona czerwoną emalią.

- Jakie to piękne - szepnęła.

Otworzyła książeczkę, zerknęła na pierwszą stronę i aż westchnęła. Trzymała w dłoniach pamiętnik. Pamiętnik Zofii!

Rozległ się kolejny huk, tak silny, że niemal wstrząsnął domem w posadach.

Anna rzuciła książeczkę i wybiegła z pokoju. Korytarz rozjaśnił się światłem i zawibrował od uderzenia pioruna. Pobiegnęła sprawdzić, czy nie przeoczyła któregoś okna.

- Wszystko pozamykane, madame - poinformowała ją Lutisza, kiedy spotkały się we frontowym holu. - Sprawdziłam też drugie piętro i poddasze. W samą porę. Leje coraz mocniej.

- Dziękuję, Lutiszo.

Otyła służąca dygnęła bez przekonania. Wyglądało to bardzo zabawnie i Anna skryła śmiech.

Ruszyła ku schodom, lecz zatrzymała się i odczekała, aż służąca odejdzie z powrotem do kuchni. Gdy Lutisza znikła, odwróciła się i pobiegła w przeciwnym kierunku, poruszając się szybko niczym ptak w locie.

Po chwili była z powrotem w pokoju Zofii. Zamknęła za sobą drzwi. Działała tak szybko, że nawet nie miała czasu odczuć wyrzutów sumienia. Przeczytam go, pomyślała.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że narusza prywatność Zofii, była zdecydowana przeniknąć pozory ogłady, pod którymi kryły się myśli kuzynki, i choćby zerknąć w głąb jej duszy. Wiedziała, że to Zofia zaaranżowała małżeństwo z Antonim. Ten związek załatwiał bowiem wiele spraw: chronił Annę przed plotkami, prawdopodobnym staropanieństwem i, jak się okazało, hańbą pozamałżeńskiego macierzyństwa. Ocalał też Grońskich przed plotkami, zdejmował z nich odpowiedzialność za Annę, a przede wszystkim uchronił Zofię przed losem, który uważała za gorszy od śmierci.

Poza tym bardzo pragnęła dowiedzieć się, co też Zofia napisała o Janie. Otworzyła pamiętnik.

Kuzynka nadała mu tytuł: „Moje przyjemności”. Anna zaczęła czytać, ślubując sobie, że przeczyta tylko te fragmenty, w których napotka swoje imię. Ku swemu zdziwieniu ujrzała je niemal od razu, w pierwszym wierszu:

Kilka razy natknęłam się na kuzynkę Annę, piszącą coś w pamiętniku. Ponieważ dostałam tę śliczną książeczkę z pustymi kartkami, postanowiłam poczynić kilka zapisków. Anna pisze zapewne o sprawach ponurych i przygnębiających. Ja zamierzam pisać tylko o tym, co sprawia mi przyjemność.

Biedna Anna! Poślubiona mężczyźnie takiemu jak przyszły baron Antoni. W przeciwieństwie do mojej kuzynki związałam się swego czasu z prawdziwym baronem i podejrzewam, że ten związek dostarczył mi o wiele więcej przyjemności.

Zdarzyło się to w zeszłym roku. Byliśmy na hucznym przyjęciu, sporo wypiliśmy, a krótko po północy przenieśliśmy się do wynajętego przez niego apartamentu, gdzie baron padł na łóżko i natychmiast zasnął.

Rozbierając się, nie mogłam poradzić sobie z koszulą. Chichocząc, z pijacką niecierpliwością rozdarłam ją od góry do dołu i pozwoliłam, aby opadła na podłogę.

Spojrzałam na barona, który leżał, chrapiąc, na boku. Wytrzeźwiałam, gdy tylko zobaczyłam jego umięśnione ciało, widoczne przez obcisłe bryczesy. Ależ był męski!

Kilka pocałunków przywróciło memu kawalerowi siły. Rozebrał się szybko.

To było po prostu rozkoszne, kiedy baron Driedruski legł na mnie i na wielkim, puchowym łożu nasze ciała złączyły się w powolnej, nieustającej przyjemności. Baron był niezmordowany. Noc mijała z wolna, jakby we śnie.

Był już bliski spełnienia, gdy pocąc się obficie, powiedział nagle: „Musisz za mnie wyjść, Zofio. Nie chcę zostawiać cię, wypełniwszy nasieniem, gdyż możesz urodzić moje dziecko”.

Miałam ochotę się roześmiać! Nikt dotąd nie oświadczył mi się w tak nieodpowiedniej chwili. Czyżby baron sądził, że dzięki dziecku będę należała do niego w większym stopniu?

Powstrzymałam niewczesną wesołość i grzecznie odmówiłam poślubienia go. Zgodziłam się jednak urodzić dziecko. Wkrótce będzie musiał powrócić do swego zamku na stokach Karpat. Jestem pewna, że zostawi mi sporą sumkę na pensję dla niani, a jeśli będę wystarczająco sprytna, być może zdołam go namówić, by płacił na utrzymanie dziecka.

Wiedziałam, że to mało prawdopodobne, bym poczęła akurat wtedy. Zarówno niania, jak dziecko to tylko sprytny fortel. Jeden wieczór wypełniony przyjemnościami i będę mogła głaskać gronostajowe futro najpiękniejszej peleryny w mieście.

Żałosny baron mi nie odpowiada. Jak na mężczyznę starszego ode mnie o piętnaście lat, nie męczy się co prawda szybko, lecz jest zbyt ciężki. Nim z nim skończyłam, było mi niemiłe gorąco. Lecz zniosłabym jeszcze dziesięć równie nieprzyjemnych doświadczeń dla dziesięciorga dzieci takich jak to, które jest teraz ozdobą mojej szafy.

Nagle uszu Anny dobiegły odgłosy towarzyszące zatrzymywaniu się powozu. Rzuciła pamiętnik na łóżko Zofii i pospiesznie opuściła jej sypialnię. Zdażyła wejść do frontowego holu, gdy otworzyły się wejściowe drzwi.

- Witaj, Anno - powiedziała Zofia. - Czy coś się stało? Anna uśmiechnęła się z trudem, próbując ukryć, jak bardzo jest zaszokowana.

- Ależ nie.

Spojrzała na hrabinę. Choć ciotka ostatnio stale wydawała się roztargniona i niezdrowa, dzisiaj jej twarz była szara jak popiół, a duże brązowe oczy nabrały dziwnie szalonego wyrazu. Jej twarz była mokra - od deszczu czy łez, Anna nie była w stanie rozstrzygnąć. Hrabina zwykle witała siostrzenicę serdecznie, tym razem jednak przemknęła obok niej bez słowa.

Gdy Anna usłyszała, że za ciotką zamykają się drzwi, spojrzała pytająco na Zofię.

- Och, jest zdenerwowana, Anno! - powiedziała kuzynka. - Przeżyła dzisiaj niezły szok.

Za to ty promieniejesz, pomyślała Anna.

- O co chodzi, Zofio? Gdzie byliście? Ty nie wydajesz się ani trochę wzburzona.

- Och, ależ jestem, kochanie. Tylko że dla mnie zaskoczenie okazało się najprzyjemniejsze z możliwych.

- Mów.

Zofia wprowadziła Annę do salonu i zamknęła drzwi.

- Nie uwierzysz. Wracamy właśnie od adwokata.

- Zofio, powiedz mi, o co chodzi.

- Anno... od jakiegoś czasu wiedziałam, że Walter nie jest moim rodzonym bratem.

Anna otworzyła ze zdziwienia usta.

- Gdy mama i tata sądzili, że nie będą mogli mieć własnych dzieci, adoptowali Waltera. A potem, po kilku latach, urodziła im się córka. Cała ja! Rozpoczęłam życie, zaskakując innych. I przypuszczam, że tak też je zakończę.

- Walter wiedział? - spytała Anna, opadając na fotel.

- Dowiedział się dopiero podczas ostatniej wizyty w Haliczu. Ojciec wykrzyczał mu to w gniewie, kiedy nie zgodził się zrezygnować ze służby u Katarzyny i zostać w domu.

Zofia stała przed kafłowym piecem, gestykulując z ożywieniem.

- Ojciec zagroził, że wydziedziczy go, jeśli nie podejmie rodzinnych obowiązków. Oczywiście nie zdażył tego zrobić, gdyż umarł nagle. Jednak prawo stanowi, że adoptowane dziecko nie może dziedziczyć tytułu. Ja go odziedziczyłam. I, kochanie, zgłosiłam też prawa do całego majątku.

- Jak to możliwe?

- Przypadkiem natknęłam się na ostami testament ojca. Ależ miałam szczęście. Matka nie miała pojęcia, że istnieje, i dowiedziała się o tym dopiero u adwokata. Spodziewała się, że zostanie odczytany dokument, który ojciec sporządził wiele lat temu. Och, powinnaś była widzieć jej minę!

- Co z Walterem?

- A co miałoby być? Ma biedak pecha. Nie zamierzał podporządkować się życzeniu ojca. Założył, że staruszek jednak go nie wydziedziczy.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Następne słowa kuzynki potwierdziły jej najgorsze obawy.

- Teraz już wiesz, dlaczego matka jest taka zdenerwowana, kochanie. Od dziś ja sprawuję całkowitą kontrolę nad majątkiem, pieniędzmi, służbą. Nad wszystkim!

Anna spojrzała na Zofię, starając się przybrać miły wyraz twarzy. Lecz w głębi jej serca czaił się lęk o przyszłość ciotki i kuzyna. Wymamrotała słowa gratulacji.

- Chyba wpadnę teraz do hrabiny - powiedziała po chwili, przerywając pełną samozadowolenia tyradę Zofii. - Zobaczę, jak się czuje.

- Poprawka, skarbie. Do hrabiny wdowy. Patrzysz na hrabinę Zofię Grońską. Teraz mam już nie tylko posag. Być może nigdy nie wyjdę za mąż! Ta polska obsesja na tle wczesnego wychodzenia za mąż i płodności to absurd. Poza tym, jeśli caryca Katarzyna może w pojedynkę władać Rosją, ja dam chyba radę zawiadywać majątkiem Grońskich. W końcu żadni z nas magnaci. Choć kiedyś, być może, wżenię się w magnacką rodzinę.

Pochyliła się i pocałowała Annę.

- Idź, zobacz się z matką. Ja muszę znaleźć Lutiszę i dopilnować, by do kolacji podano to musujące francuskie wino, które ojciec chował w piwnicze. Będziemy świętować, nawet bez matki.

- Zofio?

- Tak?

- Dlaczego ojciec miałby pominąć w ten sposób żonę? Zofia przez chwilę wpatrywała się w Annę, a potem wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Może sądził, że będzie współczuła Walterowi i jednak przekaże mu to, czego ojciec pragnął go pozbawić.

Obróciła się na pięcie i wyszła.

Anna siedziała oszołomiona. Choć obawiała się, że nowina ostatecznie załamie ciotkę, nie mogła się zmusić, by do niej pójść. Zamiast tego spróbowała uporządkować własne odczucia. Nie współczuła zbyt wiele Walterowi. Rozmyślała natomiast o wuju, który żyłby teraz, gdyby nie ona. I o ciotce, która utraciła męża, a prawdopodobnie także syna. Co więcej, ciotka Stella była teraz zależna od córki, tę bowiem nie sposób było kontrolować.

Och, Zofia.! Zawiadująca majątkiem Grońskich i triumfująca z powodu utracenia przez brata majątku. Anna podejrzewała, że za tą nagłą odmianą losu kryją się nie lada machinacje. Przez twarz kuzynki przemknął delikatny, a jednak wymowny cień, kiedy spytała ją, dlaczego ojciec miałby w ten sposób

rozporządzić majątkiem. Poza tym Anna przypomniała sobie rozmowę z Zofią, kiedy ta skarżyła się, że według oceny hrabiego jego córka nie zna wartości pieniądza. Powiadano, że ostatnia wola zmarłego stanowi odzwierciedlenie jego życia. Nie wierzyła, że testament wuja mógłby być tego potwierdzeniem. To niepodobne do niego, by pozostawić uwielbianą żonę na łasce córki, zależną od niej pod każdym względem. Co zrobi Zofia, mając taką władzę i pieniądze?

I wolność - ileż wolności zyskała! Anna poczuła ukłucie zazdrości. I ona była kiedyś wolna, lecz pozwoliła uwikłać się w małżeństwo bez miłości, do tego takie, w którym mąż spodziewał się podejmować decyzje. Czy tak miała wyglądać jej przyszłość, czy może był sposób, by odzyskać niezależność?

Zofia, podobnie jak caryca, zdawała się owładnięta obsesją prestiżu, bogactwa i wolności. A teraz zyskała jeszcze władzę! No i te erotyczne wynurzenia, zapisane w pamiętniku. Dopiero teraz Anna w pełni uświadomiła sobie, że są prawdziwe. Zadrżała, jakby w nagrzanym pokoju owionął ją nagle przeciąg. Gdzie leży źródło mojej siły, rozmyślała, jak mam odnaleźć ją w sobie i czy wystarczy jej, by przeciwstawić się przeciwnościom, które los postawi na mojej drodze?

Ciotka zjadła kolację w swoim pokoju. Anna pomyślała, że jej nieobecność przy stole wygląda tak, jakby hrabina abdykowała na rzecz córki.

Zauważyła, że Zofia dopilnowała, by stół zastawiony był szczególnie uroczyście. Na środku ustawiono zdjęte z najwyższych półek chińskiej serwantki srebrne półmiski i naczynia. Kolację podano na najlepszej miśnieńskiej porcelanie ciotki. Jej delikatny, różowy, błękitny i fioletowy deseń przyciągał wzrok Anny. Piękno tych naczyń mogłoby działać kojąco, gdyby nie to, co wydarzyło się wcześniej tego dnia. Anna wątpiła, czy porcelanę wyjęto z zamkniętego kredensu za zgodą hrabiny. Wszystkiego, co znajdowało się dziś na stole, używano dotąd jedynie przy szczególnych okazjach. Karafka do wina oraz kieliszki były co prawda z czeskiego szkła, lecz srebrne sztuce, zdobione wyobrażeniem białego orła, wyprodukowano w manufakturze polskiej. Wszystko połyskiwało i skrzyło się w blasku setki świec.

Anna ze zdumieniem odkryła, że głównym daniem miało być pieczone prosię, podawane zazwyczaj na Wielkanoc.

Antoni, podobnie jak jego żona, nie mówił wiele. Co kryło się za tymi szklistymi szarymi oczami? Pogodziła się z faktem, iż ożenił się z nią dla majątku i pieniędzy, prawdopodobnie za namową Zofii. Dla Anny jedyna

korzyść, wynikająca z małżeństwa, sprowadzała się do tego, że wychodząc za Antoniego, mogła zapewnić swemu dziecku nazwisko.

Przyglądała się mężowi, siedzącemu po przeciwnej stronie stołu. Czy teraz, po ujawnieniu testamentu, jego myśli podążały w kierunku, jaki podejrzewała? Gdyby dawno zaplanowane małżeństwo doszło jednak do skutku, zyskałby większą fortunę - dom w Warszawie, majątek pod Haliczem - i piękną Zofię.

Co za ironia. Zamiast tego związał się z biedniejszą i mniej piękną kobietą, która w dodatku spodziewała się dziecka innego mężczyzny. Transakcja, która kiedyś wydawała mu się tak korzystna, z każdym dniem traciła na wartości.

Anna nie potrzebowała mądrych przepowiedni, by wiedzieć, że jej małżeństwo skazane jest na porażkę. Zastanawiała się jednak, w jaki sposób dobiegnie ono kresu. I jak będzie wyglądało jej życie, nim to się stanie?

Jeśli Zofia zauważyła, że tylko ona naprawdę świętuje, nie dała tego po sobie poznać. Zawołała Lutiszę, kazała napełnić swój kieliszek po raz trzeci i uniosła go do uśmiechniętych, czerwonych warg. Tryskała radością, musującą niczym wino w kieliszku.

RS

Rozdział siedemnasty.

W listopadzie Jan Stelnicki wynajął w Warszawie niewielką kamieniczkę. Dom rodzinny w Krakowie, byłej stolicy Polski, miał pozostać zamknięty. Wybrał Warszawę, ponieważ po śmierci ojca przyłączył się do Stronnictwa Patriotycznego, a Warszawa była teraz centrum politycznym kraju.

Ci spośród szlachty i magnaterii, którzy czuli się rozczarowani zmianami, jakie przyniosła konstytucja, coraz głośniejsze dowodzili swych racji. I byli niebezpieczni. Krążyły plotki, że powołano ruch mający na celu obalenie konstytucji, a jego uczestnicy zamierzali poprosić carycę Katarzynę, by udzieliła im poparcia.

Takie działanie mogło wywołać zamieszki na wielką skalę, rodzaj wojny domowej, połączonej z walką o niepodległość: szlachta występowałaby przeciwko szlachcie, Polacy przeciwko Rosjanom. W konsekwencji Warszawa stała się ośrodkiem wielu intryg, rozgrywanych na różnych poziomach, od zaplecza gospody po salę tronową w Zaniku Królewskim.

Bywały jednak dni, gdy Jan zdobywał się na to, by przyznać sam przed sobą, że zamieszkał w Warszawie także z innego powodu. Wędrował wtedy ulicami do gospody zwanej Pod Głową Królowej, położonej nad brzegiem rzeki i mającej bardzo specyficzną klientelę. Nadeszły chłody, siadywał więc we wnętrzu, sącząc kawę. Czasami docierały do niego ironiczne uwagi klientów, którzy sądzili, że jest całkowicie pogrążony w rozmyślaniach lub może odrobinę głupkowaty. Lecz on nie patrzył bezmyślnie przed siebie, jak przypuszczali. Gdyby podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem, przekonaliby się, że spogląda przez brudne okno ku białemu szalowanemu domowi na przeciwnym, urwistym brzegu zamarzającej Wisły.

Raz odważył się przejechać obok tego domu w zamkniętej dorożce. W oknie mignęła mu przez chwilę Zofia, lecz nie zobaczył Anny.

Zastanawiał się nad przyczynami swej obsesji, pokpiwając z własnej słabości. Dlaczego torturował się marzeniami o zamężnej kobiecie? Dlaczego Anna w ogóle wyszła za mąż? Był tak pewny, że go kocha.

Modlił się, by mógł choć raz na nią spojrzeć. Lecz za ścianami białego domu była dlań niedostępna, niczym uwięziony ptak.

Pewnego dnia natknął się na Rynku na Zofię, robiącą zakupy. Zachowywała się zarazem chłodno i kokieteryjnie. Nie potrafił jej rozszyfrować.

Skrepowani, wymienili pozdrowienia i nowiny. Zapytał o hrabinę Grońską, lecz nie mógł się przemóc, aby zapytać o Annę. Zofia z zapałem opowiadała o tym, jak to odziedziczyła wszystko, a Walter pozostał z niczym. Nie interesowało go to, toteż nie starał się nadażyć za nagłymi zwrotami opowiadanej historii. Myślał jedynie o Annie. Gdy Zofia zmęczyła się opowiadaniem, powiedzieli sobie: „Do widzenia”, po czym Jan odwrócił się i odszedł.

- Och, Janie! - zawołała za nim. Odwrócił się.

- Anna jest całkiem szczęśliwa. Wiesz, że spodziewa się dziecka?

Jan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Zofia uśmiechnęła się tajemniczo.

Wymamrotał cokolwiek, a potem uciekł.

To położy kres obsesji, pomyślał. Od tego czasu unikał rzeki i całkowicie pogrążył się w pracy dla Sprawy.

Nie minął jednak miesiąc, a on znów siedział w gospodzie, przyglądając się, jak kurtyna śniegu opada do Wisły, nie przysłaniając jednak całkowicie białego domu na skarpie.

RS

Rozdział osiemnasty.

W Wigilię Anna nie czuła się na tyle dobrze, by uczestniczyć w mszy.

Poszła do pokoju męża, by życzyć mu wesołych świąt. Z przyjemnością zauważyła, że Antoni ma na sobie elegancki niebieski szlafrok, który niedawno mu podarowała. Stał przed lustrem, przycinając cienki czarny wąsik.

- Dzień dobry, Antoni - powiedziała. - Przyszłam, by złożyć ci...

Kątem oka dostrzegła, że coś się porusza. Spojrzała w stronę łóżka. A tam, rozciągnięta na satynowej kapie, leżała, przewracając kartki niewielkiej książeczki ze sztychami, Minka, młoda kobieta, którą Antoni wynajął, by sprzątała ich apartamenty.

Przez chwilę Anna wpatrywała się w dziewczynę z niedowierzaniem.

Minka odwzajemniła spojrzenie, spoglądając na Annę malutkimi oczkami, ledwie widocznymi w okrągłej, pyzatej twarzy.

- Witam, madame.

Taka bezczelność wprost nie mieściła się w głowie. Anna odwróciła się do męża, ten zaś jedynie uśmiechnął się pod wąsem.

Jego to bawi, pomyślała. Stała nieruchomo, nie mogąc dobyć słów i płonąc z zażenowania.

Nagle do pokoju weszła hrabina Grońska. Drzwi stały otworem, uznała więc, że może wejść, zapukawszy jedynie lekko dla formalności.

Serce Anny niemal przestało bić, gdy ciotka witała się serdecznie z nią i z Antonim. Miała nadzieję, że roztargnienie, z jakim hrabina traktowała od jakiegoś czasu wszystko i wszystkich dookoła, sprawi, iż nie dostrzeże służącej.

- Msza była piękna! - zawołała. - Przyniosłam ci trochę wody święconej, kochanie...

Umilkła w pół słowa i z niedowierzaniem zapatrzyła się na Minke, która wróciła do przeglądania książki.

Gdyby dano jej wybór, Anna wolałaby umrzeć niż doznać takiego upokorzenia, zwłaszcza w obecności ciotki.

Tymczasem hrabina, z oczami wielkimi jak spodki, wypadła z pokoju.

Anna została. Musiała jakoś zareagować na ten afront. Antoni uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby to hrabina zachowała się niestosownie. Życzyła mu więc dobrej nocy i odwróciła się, by wyjść. Nic więcej nie mogła zrobić. Jeśli on czerpie sadystyczną przyjemność z poniżania mnie, pomyślała, nie zamierzam dostarczyć mu jej więcej, niż to się już stało.

Do pokoju wpadła nagle ciotka, niemal zbijając Annę z nóg. Poruszała się szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Jej brązowe oczy błyszczały dziko. Hrabina dzierżyła miotłę, używaną do czyszczenia pokojowego sedesu!

- Ty bezczelna, zepsuta kreaturo! - wrzasnęła, rzucając się w stronę zmartwiałej Minki.

Przysadzista dziewczyna nie była w stanie poruszać się dostatecznie szybko. Hrabina zdzieliła ją więc miotłą po okolonej starannie zaplecionymi złotymi włosami głowie, a potem uderzała raz po raz, wykrzykując:

- Ty tłusta, zuchwała więdźmo!

Minka wpadła w histerię, wykrzykując przekleństwa w dialekcie, który ledwie dawał się zrozumieć. W końcu, wrzeszcząc i płacząc, wybiegła z pokoju, a hrabina za nią. W połowie schodów służąca potknęła się o własne spódnice i runęła w dół. Podczas upadku ucierpiała widać wyłącznie jej duma, gdyż pozbierała się błyskawicznie i wybiegła w noc.

Lutisza, która usłyszała hałasy, otwierała przed nią drzwi.

Ciotka Stella nie zamierzała jednak na tym poprzestać i pognała za służącą.

Antoni, wściekły, przeszedł obok Anny i pomaszerował do innej części domu.

Na zewnątrz wrzaski Minki przerwały ciszę opustoszałych z powodu świąt ulic.

Anna wróciła do swego pokoju. Kiedy mijała lustro, zatrzymała się, zdumiona tym, że się uśmiecha. Przez chwilę wpatrywała się w swoje odbicie, a potem zaczęła się śmiać. Z początku dyskretnie, cichutko, a potem z całej duszy. Ileż to czasu minęło, od kiedy ostatni raz tak się śmiała!

- Wesółych świąt, Minka! - powiedziała na głos. - Wesółych świąt, Antoni!

Córka Jakuba Szrabera, zarządcy majątku w Sochaczewie, wychodziła za mąż i Anna wybrała się na ślub. Zrobiła to wbrew woli męża. Sprzeciwienie się mu w tej sprawie stanowiło niewielkie zwycięstwo, mimo to rozkoszowała się nim.

Antoni odmówił pojawienia się na ślubie osoby z gminu -do tego Żydówki. Hrabina Grońska martwiła się, że siostrzenica udaje się tam sama, lecz Anna była jeszcze w stanie ukryć, że jest w ciąży. Poza tym wiedziała, że jej obecność sprawi przyjemność staremu przyjacielowi ojca. Dobrze знаła też matką panny młodej. Emma Szraber była przez kilka lat jej guwernantką.

Nie musiała jechać daleko, ponieważ ślub odbywał się na Pradze, gdzie ostatnio osiedliło się wiele żydowskich rodzin.

Anna uznała ceremonię za czarującą: pan młody w czarnym kapeluszu z szerokim rondem i czarnym stroju wydał jej się nader przystojny, panna młoda zaś, odziana w białą perkalową suknię, wręcz promieniała radością. Obserwując, jak spoglądają na siebie pod ślubnym baldachimem, od razu zorientowała się, że jest to związek dwóch serc. Z niesmakiem pomyślała o własnym, pozbawionym uczucia małżeństwie.

Wszyscy wokół szczerze gratulowali młodej parze, życząc im szczęścia. Anna czuła w synagodze obecność Boga i przypomniała sobie, co powiedział kiedyś Jan, że Boga, jego Boga, można znaleźć w każdym kościele. Teraz zrozumiała wreszcie, co miał na myśli. Bóg był w ludziach i w miłości, którą się darzyli.

Kobiety, stojące po jednej stronie świątyni, popłakiwały z cicha i Anna czuła się trochę winna, gdyż nie wszystkie jej łzy były łzami wzruszenia. Płakała, wspominając swój ślub, który się odbył, i ten upragniony, który już nigdy się nie odbędzie.

Pójdzie do grobu, kochając tylko Jana. Zastanawiała się, czy o niej myśli i czy przyjechał choć raz do Warszawy. Nie, doszła do wniosku, po co miałyby to robić? Jego dom rodzinny jest w Krakowie. Przypomniała sobie stare powiedzonko głoszące, że najlepsze w Polsce są: wódka z Gdańska, pierniki z Torunia i dziewczęta z Krakowa. Smutek ścisnął ją za serce. Czy krakowianki rzeczywiście są aż tak piękne? Czy Jan poznał już którąś z nich? Zapewne tak właśnie się stało. Niemal każda kobieta uznałaby go za bardzo atrakcyjnego. Anna powinna pogodzić się wreszcie z faktem, że prędzej czy później Jan kogoś spotka. I że się ożeni.

Poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw. Sąsiadka zaoferowała jej chusteczkę. Anna odmówiła, przetykając łzy i gorzkie myśli, jakie stały się ich powodem.

Przyjęcie odbywało się w domu rodzinnym pana młodego, niewielkim ceglany budynek, elegancko urządzone i pełnym światła, ciepła oraz przybyłych tłumnie gości. Dzieciom pozwolono uczestniczyć w ceremonii i było ich tu wiele. Biegały dokoła, ubrane w najlepsze stroje. Tak powinno być, pomyślała Anna. Rodzina to przede wszystkim dzieci.

Odsunęła na bok myśli o Janie i po chwili zrobiło się jej lżej na duszy. Po wielu tygodniach choroby i miesiącach odosobnienia zapomniała już niemal, jak dobrze jest się bawić.

- Pani Anno Mario! - zawołał Jakub. - Jakże się cieszę, że zaszczyliła nas pani swoją obecnością. Doskonale pani wygląda!

- Dziękuję, Jakubie - odparła. Gdyby wiedział, co wydarzyło się podczas ostatnich kilku miesięcy, pomyślała. - Twoja Judyta jest piękną panną młodą. Gratulacje!

Jakub z dumą przedstawił Annę nowożeńcom oraz tłumowi krewnych i przyjaciół. A potem wymówił się, przepraszając:

- Muszę dopatrzeć wielu spraw, lecz chciałbym z panią pomówić, nim pani odjedzie. A teraz powinna pani koniecznie przywitać się ze swoją starą nauczycielką. Gdzie też podziewa się moja żona?

Roześmiał się.

- Tylko proszę nie mówić, że nazwałem ją starą. Ach, tam jest. Musi też pani koniecznie poczęstować się zakąskami i napełnić swój talerz. Udziec jeleni jest doskonały i nie mówię tak wyłącznie dlatego, że sam upolowałem to zwierzę. Emma dopilnuje, by miała pani pełny talerz. Emmo! Szczupak w szarym sosie też jest wyborny.

- Czy jego też osobiście złowiłeś?

- Cóż, tak - roześmiał się Jakub, a jego ciemne oczy zabłyśły. - Emmo!

- Anna! - wykrzyknęła Emma Szraber, podbiegając i obejmując dawną podopieczną.

- Powiedz mi - spytała, gdy już się przywitały. - Czy nadal grasz na pianinie?

Anna poczuła, że się czerwieni. Jakub znikł.

- Nie, raczej nie, pani Szraber. Och, grywam od czasu do czasu, lecz musi pani przyznać, że nie mam do tego talentu.

- Założę się, że czytasz zbyt wiele książek, aby zawracać sobie głowę graniem. O ile pamiętam, na tym polegał cały problem. Być może przydałoby ci się też więcej wiary w siebie.

Odnawiając znajomość z kobietą, której zawdzięczała wiedzę na temat literatury i sztuki, a także znajomość języków obcych, nie mogła przestać się zastanawiać, o co też może chodzić Jakubowi. Była pewna, że w jego błyszczących oczach dostrzegła cień niepokoju.

Gdy Anna uświadomiła sobie, że jest pośród obecnych jedyną szlachcianką, zaczęła zwracać baczniejszą uwagę na to, jak się zachowuje. Po jakimś czasie jednak, dostrzegając wokół jedynie miłość i ciepło, rozluźniła się i zaczęła się dobrze bawić.

Wkrótce okazało się, że jednak nie jest tu jedyną przedstawicielką klasy wyższej. Stała w drzwiach biblioteki, z której usunięto meble, by zmienić ją w

salę do tańca, i przyglądała się gościom, podskakującym zwawo w takt mazura, gdy usłyszała obok siebie obcy głos:

- Wygląda na to, że zdradziła panią przytupująca do taktu stopa, pani Grawlińska. Zatańczy pani ze mną?

- Och nie, naprawdę.

Odwróciła się szybko i spojrzała na mężczyznę. Nie rozpoznała jego twarzy.

- Czy my się znamy?

- Nie. Muszę wyznać, że Emma Szraber powiedziała mi, kim pani jest, i wysłała, bym z panią zatańczył.

- Och, doprawdy?

- Podejrzewam, że skoro jesteśmy ich najwyższymi postawionymi gośćmi, uznali, że powinniśmy zabawić się nawzajem.

Roześmiał się.

- Czasami wydaje mi się, iż ludzie z gminu sądzą, że wszyscy spośród szlachty znają się nawzajem i nie trzeba ich sobie przedstawiać.

Anna także się roześmiała.

- Jestem Michał Kolbi. Odważę się jedynie szepnąć, że posiadam tytuł barona, gdyż republikanie nie lubią, gdy nadużywa się tytułów.

Wydał się Annie równie rozmowny, jak atrakcyjny. A także nieco zbyt śmiały, choć w niepoważny, frywolny sposób.

Miał około trzydziestu lat, był wysoki i dobrze zbudowany. Rysy miał regularne, a jego wijące się brązowe włosy i łagodne brązowe oczy sprawiały, że wydawał się uderzająco przystojny.

Odrzuciła zaproszenie do tańca pod pretekstem, że jest mężatką.

- Jakub mi powiedział. Czy kobiety przestają tańczyć, kiedy wychodzą za mąż? Nawet jeśli mąż jest tak niemądry, by spuścić je z oka?

Anna poczuła, że oblewa się rumieńcem. Nie mogła zdobyć się, by powiedzieć nieznajomemu o swoim odmiennym stanie, zwłaszcza że nikt tutaj o tym nie wiedział.

- Panie Kolbi, proszę przyjąć grzeczną odmowę. Innym razem.

Zrezygnował na jakiś czas z tańca, ale nie dał się zniechęcić do ożywionej rozmowy. Anna uświadomiła sobie, że cieszy ją towarzystwo tego mężczyzny, i dała się w końcu zaprosić do walca. Była pewna, że nie zaszkodzi w ten sposób dziecku. Spostrzegła, że źle oceniła swego partnera: był gadatliwy i bezpośredni, ale nie płytki.

Kiedy orkiestra umilkła, podniosła do ust kieliszek likieru i powiedziała:

- Za szczęśliwy rok 1792! Jak miło widzieć tyle zadowolonych polskich twarzy!

- Gdybyż tak mogło być zawsze.

- A sądzi pan, że nie będzie? Jest pan pesymistą, panie Kolbi? Nigdy bym tego o panu nie pomyślała.

- Jestem realistą, droga pani. Ten rok będzie przełomowy. Przez lata sąsiedzi obdzierali nasz kraj jak kapustę, liść po liściu. Jestem baronem, ale to tylko pusty tytuł. Widzi pani, nasza rodzina straciła ziemię na rzecz Rosjan po rozbiórce w 1772.

- Och, jakże mi przykro!

- Dawno do tego przywykłem. Byłem wtedy dzieckiem. I tak mam szczęście, posiadam bowiem dom w Warszawie oraz dość środków, bym mógł się utrzymać. Wiem jednak, że Katarzyna nie spocznie, dopóki Polska nie zostanie w całości zagrabiona, a ona nie zajmie Warszawy.

Anna poczuła przyływ lęku. Choć ziarno jej politycznych zainteresowań zostało posiane przez ojca, rozkwitło podczas jesiennych popołudni, spędzanych na łące z Janem. On także obawiał się przyszłości.

- Proszę mi powiedzieć, czy nadal są wśród szlachty tacy, którzy wspierają interesy Katarzyny?

- Owszem.

- A nasz sojusz z Prusami? Ich król przyrzekł, że będzie bronił nas przed wszelką agresją.

- Jest pani dobrze poinformowana, panie Grawlińska, ale zbyt ufna.

- Uczę się, panie Kolbi. Cały czas się uczę.

- Więc proszę nie pokładać ufności w Prusach. Fryderykowi nie wolno ufać. Odrzuci nasze interesy narodowe niczym gorący kartofel, gdy tylko dostrzeże możliwość wzbogacenia swego skarbcza lub zagarnięcia nowych ziem.

- Gdyby tylko część szlachty, która tak sprzyja Katarzynie, dostrzegła, do czego to może prowadzić!

- Do czego prowadzi, droga pani. Prosto w pajęczą sieć czarnej wdowy. Oni zaś, w przeciwieństwie do pani, nie myślą o kraju, a jedynie o swych dzieciennych żalach, swej cennej, tak zwanej złotej wolności, zagrożonej przez konstytucję.

- Jak mogą być tak krótkowzroczni?

- Pani zainteresowanie zrobiło na mnie wrażenie. Mam krąg przyjaciół, którzy podzielają moje poglądy. Być może zechciałyby pani spotkać się z nimi?

- Tak, z pewnością!

- I może nawet przyłączyłaby się pani do nas?

- Och, panie Kolbi, cóż byłby ze mnie za pożytek!

- Dostrzegam w pani rozum, siłę i hart ducha. No i, w przeciwieństwie do wielu moich przyjaciół, pochodzi pani ze szlachty. Nigdy nie wiadomo, pewnego dnia może być pani dla nas niezwykle użyteczna.

- I dla Polski? - zaśmiała się Anna.

- Zapewne. Proszę się nie śmiać. Nie wolno pani nie doceniać siebie, Anno. Mogę tak się do pani zwracać, prawda?

Skinęła głową.

- Cóż, chyba powinnam poznać pańskich przyjaciół.

- Doskonale!

Jakub wziął Annę na stronę, nim opuściła dom weselny.

- Pani Anno Mario - powiedział, jaskając się - czy ma pani odnośnie majątku plany, o których... zapomniała mi pani powiedzieć?

- Nie, nic podobnego. Skąd taki pomysł, Jakubie?

- Być może mąż pani planuje wprowadzić tam jakieś zmiany?

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Jestem pewien, że to nie moja sprawa...

- Mąż był ostatnio w majątku, tak?

- Tak.

- I co miał ci do powiedzenia?

- Niewiele. Ale zadawał wiele pytań na temat zbiorów. I było z nim kilku mężczyzn.

- Szlachciców?

- Nie. Wyglądało na to, że pani mąż ich zatrudnia... Rozmawiali o zorganizowaniu jakiegoś przedsięwzięcia.

- Co usłyszałeś?

- Och, ściszał głos, gdy byłem w zasięgu słuchu.

- Rozumiem. Nie martw się. Wypytam męża. Jestem pewna, że istnieje rozsądne wytłumaczenie. Czy poza tym w majątku wszystko idzie swoim trybem?

- Tak.

Anna przełknęła z trudem.

- Trafiliście może na ślad Feliksa Paducha?

Twarz Jakuba pociemniała na wspomnienie zabójcy. Potrząsnął głową.

- Nie, pani Anno.

- Rozumiem. Cóż, Jakubie, muszę już iść. Doskonale się bawiłam. Skontaktuję się z tobą wkrótce.

Szraberowie odprowadzili ją do powozu.

- Szczęśliwej drogi! - zawołali, gdy pojazd ruszył. Anna pomachała i krzyknęła coś w odpowiedzi. Usiłowała się uśmiechnąć, mimo że wzbierał w niej niepokój.

Gdy powóz toczył się brukowanymi ulicami w kierunku rezydencji Grońskich, martwiła się, co też zamyśla Antoni.

Kiedy znalazła się w domu, weszła do szwalni, gdzie hrabina, odziana jak zwykle w czerń, siedziała zamyślona, wpatrując się w płonący na kominku ogień. Płomienie rzucały na jej nieruchomą postać tańczące cienie. Siwe włosy miała nieuczesane.

Na podłodze leżało kilka numerów czasopisma dostarczającego nowin na temat tego, co działo się w Królestwie. W tych dniach pisano głównie o polityce.

Anna zastanawiała się, czy ciotka kiedykolwiek dojdzie do siebie po wstrząsie, jakim było ujawnienie sekretnego testamentu jej męża. Do tej pory nie odezwała się do córki nawet słowem.

Siostrzenica próbowała wyrwać ją z melancholii, opowiadając barwnie o ślubie i przyjęciu. Opisywała żydowskie obyczaje weselne, jedzenie, muzykę, tańce, wszechobecną wesołość.

Hrabina przytakiwała, najwyraźniej niezainteresowana. Dopiero wzmianka o tym, że Anna poznała tam czarującego mężczyznę, pełnego złych przeczuć, wyrwała ciotkę z odrętwienia.

- Och? A czego dotyczą te przeczucia?

- On uważa, że Polska, a nawet Warszawa, są zagrożone. Była zmęczona i dopiero poniewczasie uświadomiła sobie, że nie powinna poruszać tak ponurego tematu. Ku jej zdumieniu jednak właśnie ów temat sprawił, że ciotka wyraźnie się ożywiła.

- Wszystkie cywilizowane kraje są dziś zagrożone, Anno Mario! Spójrz tylko, w jakich czasach żyjemy. Dziewka władająca Rosją romansuje z prostymi żołnierzami. I czy ma z tego powodu wyrzuty sumienia? „Jeśli złoto zacznie rdzewieć, czego możemy spodziewać się po żelazie?”

Anna rozpoznała biblijną aluzję. W Opowieściach kanterberyjskich Chaucer bardzo się nad tym rozwodził, odnosząc tę przypowieść do Parsona, jednej z nielicznych postaci pośród hipokrytów, która mogła stanowić przykład dla innych. Ciotka od jakiegoś czasu zachowywała się, co prawda, jak nawiedzona, lecz teraz mówiła z sensem.

- Tak wielkie imperium jak Francja padło pod ciosami skrwawionych wideł pospólstwa, a władający nim do niedawna królowa i król drżą w więzieniu, podczas gdy buntujące się świny ostrzą gilotynę. Francuskie księżniczki, którym uda się przetrwać, zostaną wyrzucone na ulicę, by poślubiły szewców albo handlarzy ryb. Arystokracja tego świata przestanie istnieć.

Zaniepokojona Anna wpatrywała się w ciotkę bez słowa.

- Polska - mówiła dalej hrabina - musi ochronić swą szlachtę, nawet jeśli wszystkie państwa wokoło rozpadną się jak domek z kart!

Anna przysięgła sobie, że w przyszłości będzie unikać poruszania przy ciotce politycznych kwestii.

Głos hrabiny złagodniał i brzmiał teraz niczym monotonne zaklęcie:

- Przyszli władcy będą jedynie kiepską imitacją prawdziwej arystokracji, Anno Mario, przyciętą na kształt diamentu jak iskrzące się pruskie szkło.

Westchnęła i dokończyła niewyraźnie:

- Żałosna imitacja, nic więcej.

Anna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Obawiała się, by niewłaściwie dobrane słowa nie sprawiły, że ciotka znowu ulegnie wzburzeniu. Pożegnała się więc po prostu, całując hrabinę w pocięte zmarszczkami czoło.

W korytarzu niespodziewanie natknęła się na Zofię, która wieczór spędziła poza domem, a teraz najwyraźniej podsłuchiwała. Przycisnąwszy palec do ust, wciągnęła Annę do kuchni.

- Mama nie czuje się dobrze, prawda? - spytała.

- Nie jest ostatnio sobą.

- Och, Anno, zachowuje się tak dziwnie! Te osobliwe aluzje do polityki. Myślę, że w ten sposób próbuje poradzić sobie z rzeczywistością. Och, jakoś to przeżyje. Uwierz mi, tak naprawdę jest równie zdrowa na umyśle jak ty czy ja. A teraz powiedz mi o weselu.

Z niewiadomego powodu Zofia usiłowała od jakiegoś czasu zacieśnić ich przyjaźń. Choć Anna wątpiła w jej szczerłość, nie miała nikogo, przyjaciela ani krewnego, komu mogłaby się zwierzyć. Czasami przyłapywała się więc na tym, że powierza kuzynce coś w zaufaniu.

Po raz drugi tego wieczoru zrelacjonowała przebieg uroczystości i swoje spotkanie z baronem Kolbim.

Zofia, udając zainteresowanie, wzięła ze stołu miskę z gęstym jogurtem, dołąła do niej trochę wody i wymieszała starannie.

- Cóż, cieszę się, że przyjemnie spędziłaś popołudnie, kochanie. Od dawna nie wychodziłaś z domu.

Anna przyglądała się, zafascynowana, jak kuzynka nakłada na twarz jogurt, przeglądając się w lustrze.

- Doskonale wpływa na cerę, Anno.

Ich spojrzenia, odbite w lustrze, spotkały się.

- Może byś też spróbowała. Pół godziny potrafi zdziałać cuda.

Odmówiła jednak. Przyglądając się, jak Zofia siada na kuchennym stole z twarzą podobną do białej maski, pomyślała, że jej kuzynka jest tak piękna i obdarzona taką witalnością, że Bóg z pewnością przeznaczył jej długie życie, z jogurtem na twarzy czy bez.

Ciekawe, gdzie też spędziła dzisiejszy wieczór, zastanawiała się Anna mimo woli.

RS

Rozdział dziewiętnasty.

W tydzień po tym, jak hrabina przegnała Minkę miotłą, dziewczyna wróciła do domu, by zabrać swoje rzeczy.

Anna natknęła się na nią na podeście schodów. Z rozbawieniem spostrzegła, że Minka spogląda nerwowo małymi oczkami to tu, to tam, jakby obawiała się, że lada chwila wyskoczy na nią rozgniewana hrabina, podobna do Marzanny, bogini śmierci, o której mawiano, że pojawia się znikąd, odziana w przejrzystą białą szatę i z kosą w dłoni, by odprowadzić duszę na sąd ostateczny.

Anna wcisnęła jej w dłoń kilka monet jako wynagrodzenie za sprzątanie i pomoc przy układaniu fryzury, ale jednocześnie ostrzegła:

- Uważaj, Minko. Jeśli choć jeszcze raz się tu pokażesz, to nie ciotka spuści ci lanie.

Spojrzenie dziewczyny odzwierciedlało ociężałość jej umysłu. Dopiero po chwili słowa Anny w pełni do niej dotarły i na twarzy służącej pojawił się wyraz zaskoczenia pomieszanego z czymś w rodzaju szacunku.

- Zrozumiałaś, co chciałam ci powiedzieć?

- Tak, madame - szepnęła.

Po tym, jak hrabina przepędziła Minkę, nastawienie Antoniego do żony zdecydowanie się zmieniło. Zaczął znów okazywać jej troskę, kupować drobne prezenty i spędzać w domu większość wieczorów. Anna zastanawiała się, co też mogło wywołać zmianę, lecz była z niej zadowolona.

Następnego ranka po weselu córki Szrabera poszła do gabinetu męża. Nie wiedziała, jak poruszyć temat jego wizyty w majątku. Nie była nawet pewna, czy starczy jej odwagi, by to zrobić.

- Dzień dobry, Anno! - powitał ją radośnie Antoni. - Dobrze się wczoraj bawiłaś?

- Tak, bardzo miło spędziłam czas - odparła, zdumiona, gdyż Antoni zdawał się nie pamiętać, że zabronił jej się tam pokazywać.

- To dobrze! Powinnaś częściej wychodzić. Właśnie miałem do ciebie pójść. Mam tu kilka dokumentów, które trzeba podpisać, sprawy prawne od księcia Lubickiego. To zajmie tylko chwilę. Usiądź, proszę, kochanie.

Usiadła przy biurku Antoniego, na którym zawsze panował wzorowy porządek.

- Oto dokumenty. Podpisz się obok mnie, tu, w tych trzech miejscach - powiedział, wskazując je żonie, i stanął za biurkiem, górując nad nią.

Anna zauważyła pieczęć Lubickich, poważanej bankierskiej rodziny. Jej ojciec od lat powierzał im sprawy majątku i rodziny. Przypomniała sobie, jakie wrażenie zrobiło to na Antonim, że jej majątek wart był zainteresowania tak poważnych bankierów. Strony, które miała podpisać, pełne były cyfr i prawniczych formułek.

Nie sięgnęła po pióro. Zamiast tego spytała:

- Co jest w tych dokumentach, Antoni?

- Och, to tylko zwykłe formalności. - Antoni zanurzył pióro w kałamarzu i wsunął je w dłoń żony. - Potwierdzają, że wyrażasz wolę, bym stał się współwłaścicielem majątku twego ojca.

- Ale podpisałam już odpowiednią ugode przed ślubem. Antoni, muszę przeczytać dokumenty, zanim je podpiszę.

- Anno, proszę, nie ma powodu...

- Zatem powiedz mi, o co dokładnie chodzi.

- Doskonale - westchnął. - Te dokumenty pozwolą mi wycofać część pieniędzy, które Lubicki ma w funduszu powierniczym.

- Ale chyba masz prawo to uczynić? Czym to się różni od umowy małżeńskiej?

- W testamencie twego ojca znajduje się klauzula, która zastrzega, że mąż może bez twojej zgody czerpać dochody z zysku, lecz by naruszyć kapitał, potrzebny jest twój podpis.

- Rozumiem.

Najwidoczniej ojciec, choć tak beztroski, jeśli chodzi o własne bezpieczeństwo, okazał się zdumiewająco przezorny tam, gdzie chodziło o zabezpieczenie córki.

- Oznacza to, że potrzebujesz bardzo dużej sumy.

- Tak, rzeczywiście... muszę poczynić pewne wydatki, a mój spadek... jak wiesz, nie mogę być pewny, kiedy...

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, na co dokładnie zamierzasz przeznaczyć te pieniądze?

- Nie. - Antoni zjeżył się z powodu żoninej impertynencji. Anna odłożyła pióro.

- Chciałem tylko powiedzieć, że chodzi o interesy, o których nie wolno mi mówić - dodał już o wiele łagodniejszym tonem.

Spojrzała na męża i zapytała:

- Czy zamierzasz poczynić jakieś zmiany w moim majątku?

- Co takiego? - wyraził zdziwienie pomieszane z zaskoczeniem, przy czym lekko opadła mu szczęka.

- Majątek w Sochaczewie - zamierzasz wprowadzić tam jakieś zmiany? Czy to dlatego potrzebujesz pieniędzy?

Twarz Antoniego poczerwieniała z gniewu.

- Ten wścibski Żyd! Co ci powiedział?

- Prawdę mówiąc, niewiele. Anna spojrzała znowu na biurko.

- Tylko tyle, że coś planujesz.

Za wszelką cenę starała się, by jej głos nie drżał. Stawienie czoła mężowi wymagało silnych nerwów.

- Ach! To prawda - stwierdził z widoczną ulgą Antoni. - Planuję odnowić dom i kilka budynków gospodarskich, a także postawić większą i bardziej użyteczną stodołę. Trzeba na to sporo pieniędzy.

Uśmiechnął się fałszywie pod starannie przystrzyżonym wąsem i położył jej dłoń na ramieniu.

- Miałem nadzieję, że zrobię ci niespodziankę, Anno, lecz teraz... cóż, Jakub wszystko zepsuł.

- Rozumiem - odparła. Zdawała sobie sprawę, że znaleźli się w impasie. A także z tego, że Antoni kłamie.

Wstała i stanęła z nim twarzą w twarz. Modliła się, by wystarczyło jej sił i determinacji. To, co Jakub powiedział o Antonim i jego knowaniach, podtrzymało ją w postanowieniu. Rozmowa o majątku nieuchronnie przypomniawszy jej ojca i uświadomiła, że przekazał jej miłość do rodzinnej ziemi. Co naprawdę zamierzał jej mąż? Wesele u Szraberów wpłynęło na nią jeszcze w inny sposób; zmieniło nieco jej nastawienie do małżeństwa. Zobaczyła, na czym powinno polegać prawdziwe małżeństwo. Czas przekonać się, czy związek z Antonim ma szansę przetrwać. Jeśli okaże się, że tak, dostosuje się i postara znaleźć w nim zadowolenie. Jeśli nie... cóż, w takim przypadku otworzy się przed nią przepaść, o której lepiej na razie nie myśleć.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś innym, Antoni. O dziecku.

- Tak? - Antoni natychmiast przestał się uśmiechać.

- Nie zmieniłam zdania - powiedziała, spoglądając mu stanowczo w oczy. - Chcę je zatrzymać.

- Rozumiem. Jeśli okaże się, że to dziewczynka, nie będę się sprzeciwiał.

- A jeśli urodzi się chłopiec?

- Nie będziesz mogła go zatrzymać. To wykluczone!

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała z bijącym mocno sercem. Nie mogła już się wycofać. - Można byłoby tak to rozwiązać, by dziecko, jeśli okaże się chłopcem, odziedziczyło majątek mego ojca. Drugi syn, nasz syn, odziedziczyłby twój.

- Oszalałaś? - zapytał, wpatrując się w nią z gniewem i zdumieniem. - To nie do pomyślenia! Dzielić majątek, który nasz ślub dopiero co połączył? Należy wzmacniać dobrobyt i siłę rodu, nie osłabiać. Prawne korowody trwałyby w nieskończoność. I co powiedzieliby ludzie?

- Nie obchodzi mnie, co powiedzą ludzie.

- Lecz zacznie cię obchodzić, kiedy nie uznam dziecka za swoje i wszyscy dowiedzą się, że jest bękartem. - Uśmiechnął się. - Dziecko bez ojca zostanie uznane za pochodzące z gminu i jako takie nie będzie mogło dziedziczyć ziemi.

Anna poczuła, że ogarnia ją gniew. Jak szybko rozegrał swą najważniejszą kartę. Gniew wyostrzył jej umysł i nagle wiedziała już, co powiedzieć.

- Ten mały podstęp obróci się przeciwko tobie, Antoni. Jesteś zbyt dumny, by dopuścić do plotek. W końcu, co ludzie powiedzą o tobie, panie Antoni Grawliński?

Uśmiechnęła się w szczególny sposób, którego nauczyła się od matki.

- Nazwą cię rogaczem! To właściwe określenie, czyż nie? Antoniemu zabrakło słów. Spoglądał na żonę, purpurowy z gniewu. Nie spodziewał się tego po niej.

Annę też zaskoczyło własne zachowanie. Na początku rozmowy była zdenerwowana i pełna obaw, teraz zaś konfrontacja z mężem zdawała się dodawać jej sił.

- Antoni, poślubiłeś mnie z uwagi na korzyści majątkowe, jakie nasz związek może przynieść tobie i twojej rodzinie. Sądziłeś, że o tym nie wiem? Wiedziałeś także, co to za szczególna choroba przykuła mnie do łóżka, i że istnieje możliwość, iż urodzę dziecko.

- Wiedziałem, ale nie spodziewałem się...

- Czego? Że odważę się przeciwstawić radom hrabiny i twojej woli? Powtarzam ci: postanowiłam zatrzymać dziecko bez względu na wszystko. Być może zechcesz unieważnić małżeństwo. Można to będzie łatwo przeprowadzić. W końcu, nasz związek nie został...

- Przestań opowiadać głupstwa, Anno! - zawołał Antoni. - Nie będzie żadnego unieważnienia. Majątki zostały połączone i tylko nasz syn będzie

mógł je dziedziczyć. Odtąd będziesz mi posłuszna, a zaczniesz od podpisania tych papierów!

- Nie zrobię tego! - krzyknęła Anna. Jej bunt zaczynał wymykać się spod kontroli.

Antoni zamachnął się i grzbietem dłoni uderzył ją w twarz.

Otarła usta, spoglądając z niedowierzaniem na zakrwawioną dłoń. Poza incydem przy stawie jeszcze nikt nigdy jej nie uderzył.

Podeszła do drzwi.

- Będziesz mi posłuszna, Anno Mario - wycodził Antoni przez zaciśnięte zęby. Drzwi były teraz otwarte i nie chciał, by ktoś go usłyszał. - Bo jeśli nie...

Anna odwróciła się i zmierzyła go spojrzeniem.

- To co zrobisz, Antoni? - spytała, uśmiechając się do męża. - Zabijesz mnie?

Nie odpowiedział. Coś w jego ciemnoszarych oczach podpowiedziało jej, iż trafnie odgadła, co miał na myśli.

Wróciła do swej sypialni. Oto skutek tego, że zbyt wcześnie odkrył karty, pomyślała. Kiedy przycisnie się go do muru, potrafi jedynie uciec się do głupiego blefu.

Rozdział dwudziesty.

W połowie stycznia Zofia zatrudniła dwie francuskie pokojówki, Clarice i Babette. Miały usługiwać tylko jej. Jeśli chodzi o Babette, Anna uważała, że jest śliczna, ale cokolwiek lekkomyślna. Dziewczyna miała dwoje najpiękniejszych dzieci, jakie Anna kiedykolwiek widziała: chłopca i dziewczynkę o jasnej cerze i włosach. Dzieci pomagały od czasu do czasu w domu, wykonując drobne prace albo biegając na posyłki. O ich ojcu nigdy nie wspomiano.

Dzieci zdawały się mieć dość zabawek i przysmaków, o co troszczyła się głównie hrabina i Lutisza. Matka jednak nie interesowała się nimi zbyt, podobnie jak reszta domowników. Podarki i łakocie to kiepski ekwiwalent miłości, pomyślała Anna. Dostrzegając u malców potrzebę ukierunkowania i szczerego zainteresowania, więc starała się im to dać. Cięża i zbliżające się macierzyństwo uczyniły ją szczególnie wrażliwą na potrzeby dzieci. Czytywała im od czasu do czasu, a jeszcze częściej opowiadała bajki, czerpiąc z nieskończonego zasobu legend i mitów, jakie znała. Jej opowieści zawsze kończyły się szczęśliwie. Dzieciaki i tak aż nazbyt szybko przekonują się, że szczęśliwe zakończenia o wiele częściej zdarzają się w literaturze niż w życiu.

Chociaż Babette nie była najlepszą matką, inne obowiązki wykonywała znakomicie. Skrupulatnie dbała o stroje i peruki Zofii. To właśnie dzięki oddaniu i pomocy obu pokojówek wsiadająca do powozu przed domem Zofia wyglądała niemal zjawiskowo. Anna aż westchnęła, zaszokowana, spostrzegłszy, że nowa, niezwykle śmiała toaleta odsłania niemal zupełnie bujny biust kuzynki.

Hrabina nadal ignorowała córkę. Działo się tak nie tylko z powodu testamentu. Anna zaczęła podejrzewać, że Zofia zadaje się z wieloma mężczyznami. Mimo że zazwyczaj do późna w nocy leżała w łóżku, czytając lub rozmyślając, rzadko udawało jej się doczekać chwili powrotu Zofii do domu. Zdarzały się też noce, kiedy kuzynka nie wracała w ogóle.

Nim Zofia wyszła, by spędzić poza domem kolejny wieczór, Clarice przygotowywała dla niej specjalny strudel z rodzynkami, tonący w gęstym różanym syropie. Za każdym razem, kiedy kuszący zapach ciasta wypełniał dom, Anna wiedziała, że kuzynka wkrótce go opuści.

Kilka razy po tym, jak Zofia wyszła, Anna zakradała się do jej pokoju, aby przy świetle ogarka czytać pamiętnik. Gardziła sobą, że robi coś tak

niegodnego, lecz mroczna, ukryta strona jej natury czasem okazywała się silniejsza.

Jeśli chodzi o rodzynekowy strudel, Zofia napisała:

Różany syrop sprawia, że mężczyźni pragną moich ust! Ledwie zjem strudel, a już mogłabym pobiec na piechotę do pałacu, tyle dodaje mi energii. Jednak gromadzę tę energię i przechowuję do czasu, aż będę mogła wykorzystać ją w sposób możliwie najprzyjemniejszy.

Nie znoszę rodzynek! Lecz kiedy sfermentują w wywarze z jęczmienia, nabierają istic magicznej mocy. Strudel roznieca we mnie żar, gdy jestem z mężczyzną. Wszelkie odczucia wznoszą się na niebotyczne wyżyny. Dzięki strudlowi mężczyźni pożądamy mnie, a ja nie muszę odmawiać żadnemu, który mi się podoba.

To takie zabawne, że król Stanisław przypomina mi rodzynek! Gdy jestem na dworze, stary król rzadko mijam mnie, nie wsunawszy mi wpięć w usta śmiałego języka, jak stary, wyliniaty koliber.

Król jest pomarszczony jak rodzynek, choć jeszcze nie tak wysuszony. Sprawia mi przyjemność doprowadzanie do tego, że jego sflaczałe i wysuszone ciało poddaje się tej części rodzynek, która nie jest jeszcze całkiem wyschnięta. Podczas gdy inne nie zadowolają go i nawet nie śmieją spojrzeć mu w oczy, ja zdołałam poruszyć naznaczoną wiekiem, lecz jeszcze nie całkiem obumarłą część Jego Wysokości.

Doświadczam najwyższego triumfu, gdy patrzę, jak drży z zażenowania z powodu swego wieku, a potem jak zostaje pokonany przez rozkosz!

Czy Zofia naprawdę sypiała z królem, zastanawiała się Anna, przypominając sobie, co wieśniacy w Sochaczewie mówili o jęczmieniu, ziele o wąskich listkach, przypominających język węża. Twierdzili, że tylko bardzo odważna dziewczyna potrafi znaleźć je w lesie - królestwie Szatana - lecz kiedy już je znajdzie, zaparzy i wypije napar, nie oprze jej się żaden kawaler. Młodsze dziewczęta śpiewały zaś, bawiąc się:

Jęczmieniu, jęczmieniu, zrywam cię śmiało Pięć palców, szósta dłoń Niech mężczyźni się za mną uganiają Duzi, mali, niech wszyscy za mną biegają.

Atmosfera w domu była napięta. Zofia i jej matka, coraz bardziej roztargniona i nieobecna duchem, rzadko dostrzegały jedna drugą. Anna i Antoni zachowywali się wobec siebie z chłodną rezerwą, lecz kwestia dziecka w każdej chwili znów mogła wypłynąć.

Zima była tego roku wyjątkowo ostra. W domu hulały przeciągi. Choć Anna zaczęła się już zaokrąglać, jej stan nie był jeszcze oczywisty dla kogoś,

kto nie wiedziałby, że jest przy nadziei. Była w ciąży od czterech miesięcy i niecierpliwie czekała, by maleństwo zaczęło się poruszać. Pragnęła tego dziecka, jej dziecka. Uważała, że życie to cud.

Kuzyn Walter miał rację, gdy kilka miesięcy temu - dzisiaj zdawało się jej, że od tej chwili minęły już lata - przewidywał, iż kampania turecka potrwa krótko. Właśnie odniesiono decydujące zwycięstwo i Warszawa świętowała.

Od dnia wesela w rodzinie Szraberów Anna korespondowała z baronem Michałem Kolbim. Ulegając jego prośbie, postanowiła wydać przyjęcie dla uczczenia zwycięstwa Rosjan nad Turkami, a także, by pozyskać jak najszersze poparcie dla głosowania, które miało zdecydować o ostatecznym przyjęciu bądź odrzuceniu konstytucji, zatwierdzonej przez sejm w maju poprzedniego roku.

Zaproszono kilkoro Rosjan, znajomych barona, a także przyjaciół, których pragnął jej przedstawić. Byli to członkowie politycznej grupy nacisku, do której ewentualnie miałyby się przyłączyć. Polityczne poglądy Anny, ukształtowane przez ojca, wuja, Michała i Jana zdążyły już okrzepnąć i skryształizować się. Zaczęła nawet czytywać czasopismo prenumerowane przez ciotkę. Polska znalazła się na rozdrożu, jakiego nie znała dotąd historia, pomimo groźnych kryzysów, które gnębiły ją często na przestrzeni wieków.

Hrabina i Zofia zgodziły się udostępnić salon i przylegający pokój muzyczny. Antoni wyjechał na tydzień do Opoła, nie powiedziawszy, w jakiej sprawie ani kiedy dokładnie wróci. Żałoba ciotki zwolniła Annę z konieczności zaproszenia jej. Odetchnęła z ulgą, była bowiem pewna, że zaniepokoiłby ją fakt, iż większość gości pochodziła z gminu lub klasy średniej. Zofię zaprosiła jedynie z grzeczności - kuzynka wychodziła ostatnio prawie co wieczór i nie należało oczekiwać, że się pokaże.

Stojąc teraz w salonie, Anna przyglądała się obecnym. Byli wśród nich bankierzy, ludzie interesu, ksiądz, kupcy, a nawet kilka osób ze wsi. Nie, ani ciotka, ani kuzynka nie pasowałyby do tej grupy patriotów.

- Przyjęcie jest udane - powiedział baron Kolbi. - A ty wyglądasz dzisiaj olśniewająco, Anno Mario.

Anna czuła się podekscytowana. Oto pierwsze przyjęcie, jakie urządziła samodzielnie, okazało się sukcesem. Miała na sobie suknię ze srebrnoszarej satyny, przyozdobionej na ramionach koronką. Babette zebrała jej rudawobrazowe włosy i upięła wysoko na głowie, przytrzymując splety bursztynowymi spinkami, gdyż upierała się, że bursztyn roznieca w zielonych oczach Anny złotawe iskierki.

Przyjaciele barona świętowali zwycięstwo Rosjan. Patrząc na weselących się gości, pomyślała, jak są różni. Trudno byłoby się domyślić, że łączą ich wspólne poglądy.

Lutisza i Marta, ubrane w najlepsze suknie, podawały nowym znajomym Anny grzane wino, paszteciki z mięsem, sery i cały asortyment smakowitych francuskich deserów, przygotowanych według przepisów Babette i Clarice.

Anna gawędziła właśnie z bankierem i jego żoną, kiedy uświadomiła sobie, że trzydziestka jej gości wydaje się dziwnie poruszona. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem bankiera i odwróciła się.

Po przeciwnej stronie salonu, w drzwiach o łukowym sklepieniu stała Zofia, mierząc gości spojrzeniem ciemnych oczu.

Anna stłumiła westchnienie podziwu.

Kuzynka, w jaskrawoczerwonej aksamitnej sukni z ryzykownie głębokim dekoltem, jaśniała niczym płomień. Wysoko upiętą fryzurę przyozdobiono jej czarnymi dopinanymi loczkami, wąskimi czerwonymi wstążeczkami i diamentowymi spinkami. Dostrzegła Annę i uśmiechnęła się olśniewająco:

- Anno, kochanie!

Kiedy szła ku niej przez pokój, Anna wstrzymała oddech z obawy, że wątlą skrawek materiału, podtrzymujący biust kuzynki, może w każdej chwili opaść.

Zofia szła wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, pewna siebie i w pełni świadoma, że przyciąga wszystkie spojrzenia.

Przez tłum gości przebiegł szept. Nietrudno było się domyślić, co sądzą zebrani. Jedni uważali Zofię za niewiarygodnie piękną, inni, że wygląda skandalicznie, a jeszcze inni, że jest zarazem piękna i wyzywająco ubrana.

Gospodyni postąpiła naprzód, by ją powitać.

- Anno! - zawołała Zofia. - Nie mogłam wyjść, nie rzuciwszy przedtem okiem na to małe zgromadzenie. Obiecałam księżnej Charlotte już wieki temu, że pomogę jej bawić gości podczas jednego z przyjęć, które urządza. Będzie około dwustu osób, a ona jest taka bezradna. Wybaczysz mi, prawda?

Anna uśmiechnęła się, wiedząc, że pytanie jest retoryczne. Jej nozdrzy dobiegł zapach róż.

Zofia bacznie przyglądała się zebrany.

- Och, chyba przesadnie się ubrałam. Kuzynka roześmiała się.

- Nie powiedziałałabym, Zofio. Strojnisia zignorowała przyganę.

- Cóż, nie znam tu nikogo, skarbie - zręcznie zmieniła temat. - Kim są ci ludzie? Czy nie ma wśród nich nikogo ze szlachty?

Słyszając to niefrasobliwie rzucone pytanie, Anna skuliła się wewnątrz.

- Jest ich tu kilkoro - szepnęła. - Lecz głównie to prości ludzie, przyjaciele pana Kolbiego... Pamiętasz, kiedy opowiadałam ci o weselu, wspomniałam o baronie i jego grupce patriotów.

- Nie - och, tak, rzeczywiście, mówiłaś coś takiego. Lecz miałam wtedy za sobą długi, męczący wieczór i chyba nie byłam w stanie się skupić.

- Cóż, tych dobrych ludzi jednoczy patriotyzm i chęć obrony Konstytucji 3 maja. Są wśród nich artyści, ludzie interesu, ksiądz, a nawet kilku Rosjan.

- Wygląda mi to na niezłą mieszaninę! - oznajmiła Zofia, nie starając się zniżyć głosu.

Anna zaczerwieniła się.

- Chociaż ten tutaj wydaje się interesujący - powiedziała śpiewnie Zofia, a jej czarne oczy zabłyśły. - Przedstaw mi go, kuzynko.

Odwróciwszy się Anna spostrzegła, że zmierza ku nim baron. Przedstawiła go Zofii.

- Ach, pan Kolbi - zawołała Zofia przeciągle - to o panu Anna tyle mówi! Bardzo mi miło pana poznać. Kuzynka właśnie opowiadała ze szczegółami o pańskiej małej grupce. Uważam, że to fascynujące.

Anna wpatrywała się w nią ze zdumieniem pomieszanym z podziwem.

Baron uśmiechnął się.

- Zatem podziela pani poglądy swojej kuzynki?

- Poglądy?

- Tak. Rozumiem, że popiera pani naszą Sprawę.

- Waszą Sprawę... tak, oczywiście. - Zofia zmieszana się, ale natychmiast odzyskała kontenans. - Cóż, panie Kolbi, moim zdaniem kobiety nie są stworzone do polityki.

- Czyżby?

- Tak. Co więcej, uważam, że polityka to jedynie eufemizm, określający interes wojenny.

- Interesująca teoria, pani Grońska, i do pewnego stopnia prawdziwa.

- Ależ jest absolutnie prawdziwa! - stwierdziła Zofia śmiało. - Kobiety są stworzone do innych rzeczy, o wiele ciekawszych niż polityka.

- Rozumiem.

Baron najwidoczniej postanowił nie wdawać się we flirt.

Jego rozmówczyni uśmiechnęła się, chociaż nie była już tak pewna siebie. Anna zdawała sobie sprawę, że kuzynka pożąda uwagi każdego mężczyzny.

- Gdybym miała czas, panie Kolbi - powiedziała - z pewnością potrafiłabym unaocznic panu różnicę pomiędzy Aresem a Afrodytą.

Uśmiechnął się z dezaprobatą.

Spojrzenie oczu Zofii natychmiast stało się lodowato zimne. Nie przywykła, by ktoś się jej opierał. Uśmiechnęła się z przymusem, spoglądając to na kuzynkę, to na Kolbiego.

Anna natychmiast uświadomiła sobie, że w przekonaniu Zofii baron zainteresowany jest nią, Anną.

- Ależ z ciebie szelma, Anno - powiedziała, dając upust frustracji. - Jak pan zapewne wie, baronie Kolbi, moja kuzynka jest kobietą zamężną. I niedługo spodziewa się dziecka. Mam nadzieję, ze względu na pana, że nie trzymała tego w sekrecie.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, że jest mężatką. Nie, nie utrzymywała niczego w sekrecie.

Odpowiedź barona zdumiała Annę, czego starała się nie dać po sobie poznać. Nie wyjawiała Kolbiemu, iż jest w odmiennym stanie, mimo to nawet nie mrugnął.

- Cóż - powiedziała Zofia - powinnam chyba zostać i przekonać się, o jakiej to „polityce” będzie tu dzisiaj mowa. Może dałabym się nawrócić. Lecz jeśli zaraz nie wyjdę, spóźnię się na przyjęcie u księżnej. Muszę lecieć, Anno. Dobranoc, panie Kolbi. Ufam, że jeszcze się spotkamy.

- Do widzenia, pani Grońska.

Baron skłonił się, lecz nie ucałował dłoni Zofii, czego ta najwyraźniej się spodziewała.

Zrobiła kwaśną minę, po czym obróciła się na pięcie i przemknęła jak burza przez tłum gości, z których wielu jeszcze nie otrząsnęło się z osłupienia, w jakie popadli na widok zjawiska w czerwieni.

Anna czuła się w najwyższym stopniu zawstydzona. Nie mogąc znaleźć niczego na usprawiedliwienie zachowania Zofii, wspomniała, że kuzynka wybiera się na przyjęcie u Charlotte Sic, francuskiej księżnej.

Dostrzegłszy w oczach barona błysk zrozumienia, spytała:

- Znasz ją, Michale?

- Ze słyszenia.

Jego łagodne z natury, brązowe oczy przybrały wyraz ponury i zamyślony.

- Choroba, która przyniosła zgubę francuskiej arystokracji, szerzy się teraz w naszej stolicy. A księżna Charlotte jest jej nosicielką.

- Ja... nie rozumiem.

- Och, nieważne. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała zrozumieć. Ciesz się przyjęciem, Anno. - Poweselał. - Poza tym już i tak uważasz mnie za okropnego pesymistę.

Dwójka przyjaciół parsknęła śmiechem. Mimo to Anna nie zapomniała o dziwnym stwierdzeniu, jakie wygłosił. Była pewna, że baron specjalnie zrezygnował z wyjaśnień, aby oszczędzić jej przykrości, zważywszy, że Zofia była z księżną blisko zaprzyjaźniona.

Gdy mała grupka Rosjan opuściła przyjęcie, w salonie zapanowała atmosfera niepewności.

- Jeszcze jeden toast za zdrowie Katarzyny? - zapytał ktoś z sarkazmem w głosie.

- Nie będę pił za tę nierządnicę!

- Ani ja!

Starszy mężczyzna z posiwiałą brodą przemówił:

- To bardzo pięknie, że odsunęła od nas groźbę ataku barbarzyńców, lecz gdzie skieruje swoje armie teraz? Jej kosynierzy nie będą czekali długo, nim znajdą sobie nowe pole do skoszenia.

- Wilhelm ma rację!

- Ale czy naprawdę mamy powód się martwić? - spytała żona bankiera. - Król Stanisław obiecał...

Zebrani zachichotali gromadnie, uciszając kobietę.

- Proszę nie być naiwną - powiedział ksiądz. - Z całym należnym królowi szacunkiem...

- Ach! - zawołał właściciel sklepu z dywanami. - Dlaczego ilekroć ktoś zaczyna od słów „z całym należnym królowi szacunkiem”, od razu wiadomo, że staruszkowi natychmiast dostaną się słowne cięgi?

Goście parsknęli zgodnym śmiechem.

- To dlatego, że staruszek jest doprawdy beznadziejny - odparła jakaś kobieta. - Czyż nie był jednym z niezliczonych kochanków Katarzyny? I tylko jej machinacjom zawdzięcza, że w ogóle został królem. Dobrze się zastanowi, zanim nadeptnie jej na odcisk.

- To byłby nie odcisk, lecz cały guz - powiedział baron. - Tak czy inaczej potrzebujemy króla, a on potrzebuje nas. My i tysiące takich jak my zapewnią Stanisławowi siłę, jakiej mu bez wątpienia brak.

Nim przyjęcie dobiegło końca, wszyscy recytowali już zgodnie: „Król z narodem, naród z królem!”. Baron wychodził jako ostatni.

- Przyjęcie było niezwykle udane - zapewnił gospodynię. - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Widzisz, już okazałaś się dla nas użyteczna.

- Nie zrobiłam doprawdy nic wielkiego.

- Anno, Sprawa to właśnie zwykli ludzie i proste uczynki. W ten sposób rodzą się rzeczy wielkie. Mam nadzieję, że nadal będziesz się z nami spotykać.

- Będę... Powiedz mi, Michale, czy wszystkie te opowieści o... hmmm, gorącym temperamentem Katarzyny są prawdziwe?

Baron się uśmiechnął. Anna oblała się rumieńcem.

- Co cię tak rozbawiło?

- Och, nie ma powodu się zawstydząć. Kobiety wykazują naturalną ciekawość, jeśli chodzi o carycę. Niektóre z tych opowieści są przesadzone, lecz prawdą jest, że miewała liczne romanse.

- Zdajesz się sądzić, że tylko kobiety wykazują w takich sprawach ciekawość. Tymczasem nawet w czasie dzisiejszego przyjęcia zaobserwowałam, że wielu mężczyzn z ochotą o tym plotkuje.

Baron Kolbi się roześmiał.

- Z pewnością masz rację. Nagle spoważniał.

- Bardziej martwi mnie to, że namiętności Katarzyny wobec mężczyzn dorównuje jej żądza zdobywania nowych ziem i posiadłości.

- Ale skąd się to bierze, Michale? Rosja jest przecież taka wielka.

- Chodzi o władzę, Anno. Władzę i potęgę.

- A rozwiąłość daje jej władzę nad mężczyznami?

- Tak, a przynajmniej złudzenie władzy. Odprowadziła gościa do drzwi.

- Michale - zwróciła się do niego. - Skąd wiedziałeś, że jestem przy nadziei?

- Nie wiedziałem.

Spojrzeli na siebie, a potem jednocześnie parsknęli śmiechem. Rozstali się w dobrych humorach.

Anna odwróciła się i popatrzyła na marmurową podłogę holu, pokrytą pięknymi dywanami, na migoczące w kinkietach świece, eleganckie schody, bezcenne gobeliny, które setki francuskich zakonnic tkwały przez całe lata. A wszystko to stanowiło zaledwie niewielką część tego, co należało teraz do Zofii. I stanowiło instrument jej władzy.

Pomyślała, że zaczyna rozumieć, o co chodziło kuzynce. Właśnie o to wszystko - ale nie zamierzała na tym poprzestać.

Rozdział dwudziesty pierwszy.

Pewnego dnia po południu Anna siedziała w salonie, gdzie wiele okien zapewniało najlepsze światło. Hrabina przebywała jak zwykle w odosobnieniu, za zamkniętymi drzwiami swego pokoju, a Zofia udała się dokądś powozem.

W pewnej chwili ktoś ostro zapukał do drzwi wejściowych, a po kilku minutach do pokoju weszła zmieszana Lutisza.

- Madame... przy drzwiach stoi trzech członków Gwardii Królewskiej. Domagają się, żeby ich wpuścić.

- Gwardii Królewskiej? - Serce Anny zaczęło szybciej bić.

- Tak, madame.

- Z kim chcą się zobaczyć?

- Z panią Zofią, madame. - Służąca przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę.

- Czy mam zawiadomić starszą panią?

- Nie, Lutiszo. Sama się tym zajmę. Wprowadź ich.

Po chwili do salonu wszedł brodaty oficer w towarzystwie dwóch żołnierzy. Skłonili się formalnie.

- Dzień dobry pani - przemówił oficer. Był ciemnowłosy i mocno zbudowany. Dwaj młodsi, starannie ogoleni towarzysze, nie odezwali się.

Anna zaczęła podnosić się z krzesła.

- Witam panów. Co mogę dla panów zrobić?

- Nie musi pani wstawać - odpowiedział oficer radośnie. - Przynieśliśmy podarki od króla. Mamy umieścić je w sypialni hrabiny.

Anna zaczerpnęła oddechu z wrażenia. Czyżby sam król posyłał Zofii prezenty?

- Rozumiem - powiedziała. Na nic więcej nie potrafiła się zdobyć.

Nagle przypomniała sobie o pamiętniku, w którym Zofia spisywała uwagi na temat króla, i natychmiast otrząsnęła się z osłupienia, wywołanego wizytą. Mój Boże! Pamiętnik leżał prawie na widoku! Zofia nie trudziła się chowaniem go, ponieważ służące nie umiały czytać, a nie spodziewała się, by matka czy Anna mogły naruszyć jej prywatność.

Pomyślała, że jeśli oficer znajdzie pamiętnik, może go skonfiskować i przekazać królowi - bądź to z poczucia obowiązku, bądź spodziewając się nagrody. Uwagi Zofii zostaną wówczas uznane za zdradę. A jeśli prawdziwym powodem odwiedzin gwardzistów było właśnie przeszukanie sypialni? W jakim celu? Już sam pomysł, by przedstawiciele Gwardii Królewskiej domagali się dostępu do pokoju kuzynki, wydawał się nedorzeczny. Mimo to Anna

wiedziała, że nie może odmówić. Instynktownie czuła jednak, iż nie wolno dopuścić, aby pamiętnik wpadł im w ręce.

Uśmiechnęła się, próbując zapanować nad niepokojem. Musi coś wymyślić.

- Czy mogliby panowie usiąść? - zaproponowała.

- Nie, dziękujemy, proszę pani - powiedział oficer. - Mamy zadanie do wykonania.

- Lecz nie ma powodu aż tak się śpieszyć. Nalegam, aby napili się panowie ze mną wina - powiedziała, uśmiechając się, jak miała nadzieję, kokieteryjnie.

- Czułabym się obrażona, gdyby panowie odmówili. Nie co dzień gościmy tu przedstawicieli Gwardii Królewskiej.

Kąćki ust oficera uniosły się leciutko, ale powstrzymał uśmiech.

Nie dano mu jednak szansy na odpowiedź. Anna zwróciła się do Lutiszy, czekającej w gotowości przy drzwiach.

- Podaj naszym wyjątkowym gościom najlepsze wino.

Lutisza zamrugła, zdumiona, a potem zniknęła za drzwiami. Anna starała się zachować spokój. Gorączkowo rozmyślała nad tym, jakby tu wydostać pamiętnik i ukryć go.

- Jak wam na imię? - spytała. Wiedziała, że przekracza granice wyznaczone przez konwenanse, ale musiała zyskać na czasie.

- Mam na imię Aleksy, proszę pani - powiedział oficer, jakby był tu sam, jakby tylko on się liczył.

Anna wdała się z nim w pogawędkę na temat rosyjskiej kampanii przeciwko Turkom. Oficer zdawał się nie mieć na ten temat żadnych poglądów. Pod jego czarnym wąsem pojawił się uśmiech, z początku niepewny, a potem szeroki i bezczelny. Aleksy przysunął się bliżej miejsca, gdzie siedziała, i stał, spoglądając na nią tak poufale, że na ramionach Anny pojawiła się gęsia skórka.

W końcu nie wiedziała już, co powiedzieć. Było jej słabo. Pochyliła się na krzesło i przytknęła dłoń do czoła.

- Hrabina jest chora? Czy mogę jakoś pomóc?

Oficer ukląkł i spojrzał z bliska w twarz Anny. Wąsy opadały mu lekko na końcach, lecz w jego posępnych czarnych oczach pojawił się błysk, który mógł świadczyć o ukrytym poczuciu humoru.

- Trochę mi słabo.

- Proszę pochylić się nieco bardziej. Położył Annie dłoń na plecach i lekko nacisnął.

- A teraz proszę głęboko oddychać.

Ku zdumieniu Anny rozkazał swoim ludziom, by poczekać na niego w holu. Uniosła głowę w samą porę, by zobaczyć, jak młodzi strażnicy wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- A teraz proszę usiąść wygodnie i odchylić się do tyłu - powiedział, kiedy młodzieńcy wyszli.

Postawił stopy Anny na stołeczku, ale nie cofnął dłoni. Klęcząc, masował delikatnie palcami jej kostki, a potem przesunął dłonie niebezpiecznie wysoko wzdłuż łydek. Ty świnię, przeklęła go w myślach.

- Uważam - mówił tymczasem oficer - że stopy i nogi to klucz do tego, by właściwie się odprężyć.

Znów się uśmiechał, jeszcze bardziej bezczelnie niż przed chwilą. Anna uświadomiła sobie, że oficer traktuje jej zachowanie jako zachętę. Kusilo ją, by mu powiedzieć, że jest zuchwałym, głupim osłem, lecz powstrzymała się, wiedząc, że w ten sposób pośle go wprost do pokoju Zofii. Zastanawiała się, gdzie też podziewa się Lutisza.

Żałowała teraz, że suknia nie pozwala domyślić się jej stanu. Przyszło jej do głowy, żeby wspomnieć mu o tym. Co zrobiłaby Zofia?

Nagle ją olśniło: oficer myśli, że jest Zofią! Zaskoczona i przerażona możliwością odkrycia pamiętnika, zapomniała się przedstawić. To wyjaśniało, dlaczego zachowuje się tak zuchwale, pewny, że jego umizgi będą mile widziane. Anna wstrzymała oddech. Czy reputację Zofii znali już nawet młodszy oficerowie Gwardii Królewskiej?

Twarz Aleksego była już bardzo blisko jej twarzy.

- Czuje się pani lepiej? - zapytał, owiewając ją kwaśnym oddechem.

Anna zerwała się z krzesła.

- Zobaczmy, co też wstrzymuje pokojówkę. Proszę, niech pan tu zaczeka, Aleksy.

Wypadła z pokoju, modląc się, by nie podążył za nią. Skinęła głową strażnikom w holu, uświadamiając sobie, że nie będzie mogła wejść do sypialni Zofii tak, by jej nie zauważono. Zamiast tego ruszyła więc ku wahadłowemu drzwiom, prowadzącym do kuchni i niemal wpadła na Lutiszę, niosącą tacę z czterema kryształowymi kieliszkami do wina. Natychmiast spostrzegła, że służąca nie aprobuje jej postępowania.

- Wiem, co sobie myślisz, Lutiszo, ale uwierz mi, to konieczne. Daj, wezmę wino. Mam dla ciebie o wiele poważniejsze zadanie.

- Ale, madame...

- Posłuchaj - syknęła - i zrób dokładnie to, co ci powiem. Życie nas wszystkich może zależeć od tego, jak się sprawisz. Zrozumiałaś?

Lutisza gapiła się na nią, osłupiała. Nie знаła dotąd Anny od tej strony.

- Tak, madame.

- Doskonale! Widzisz, gdzieś w pokoju Zofii znajduje się czerwona książeczka, zapisana w środku. Jeśli nie będzie jej na widoku, musisz jej poszukać. Znajdź ją i ukryj przy sobie. A potem wróć do salonu i nie odstępuj mnie ani na chwilę, dopóki panowie nie wyjdą. Czy to jasne?

Lutisza skinęła głową. Powaga w głosie pani nie uniknęła jej uwagi. Zmrużyła z determinacją oczy.

Anna podała wino dwóm młodym strażnikom, a potem weszła do salonu, by rozegrać do końca scenę z nadmiernie pewnym siebie oficerem. Modliła się, by służąca wróciła jak najprędzej.

Nie usiadła, ale stanęła obok kaflowego pieca. Ledwie zdążyli umoczyć wargi w winie, Lutisza wróciła i zajęła stanowisko obok swej pani.

Anna poczuła, że ogarnia ją uczucie triumfu. Teraz mogła zakończyć grę tak, jak zaplanowała.

- Och, proszę spojrzeć, która to już godzina! - zawołała, spoglądając na stojący zegar. - Nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu. Mąż wkrótce będzie w domu.

- Pani... mąż? - Pewność siebie oficera nagle zniknęła. Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Tak... Owszem.

- Żartuje sobie pani ze mnie.

- Dlaczego miałabym to robić, Aleksy? - spytała. Odgrywanie tej komedii zaczęło sprawiać jej perwersyjną przyjemność.

- Cóż... sądziłem, że hrabina Grońska nie jest zameżna.

- Och! Rzeczywiście, nie jest. Oficer wpatrywał się w nią bez słowa. Anna stłumiła chęć, by się roześmiać.

- Jestem Anna Maria Grawlińska, hrabina sochaczewska, przyszła baronowa opolska. Hrabina Grońska jest moją kuzynką - dodała z uśmiechem.

- Kuzynką?

- Cóż, tak. Och! Wziął mnie pan za Zofię? Jakie to zabawne. Nie jesteśmy do siebie ani trochę podobne!

Oficer ze wszystkich sił starał się ukryć zaskoczenie oraz wściekłość, lecz zdradzał go opadający ponuro wąs. W końcu Anna się roześmiała.

- Och, podobno dobrze jest się śmiać. Powiadają, że kobieta przy nadziei powinna śpiewać i weselić się, by dziecko było żwawe i miało miły charakter.

Oficer nadal się w nią wpatrywał, a sens słów Anny z wolna do niego docierał. Gdy to się stało, odstawił kieliszek, po czym wyprostował się i przybrał oficjalną minę.

- Czy byłaby pani tak łaskawa i poleciała pokojówce, aby bez dalszej zwłoki zaprowadziła nas do pokoju hrabiny Grońskiej?

Annie bardzo odpowiadał ten powrót do formalności.

- Oczywiście, panie oficerze.

Chciał mnie wykorzystać, pomyślała, a ja odwróciłam role i posłużyłam się nim.

Po chwili Lutisza wróciła. Gdy Anna spojrzała na nią pytająco, uśmiechnęła się i poklepała po kieszeni.

- Dobrze - szepnęła Anna. - A teraz zostań ze mną. Możesz usiąść.

- Och, pani Stella za nic nie pozwoliłaby...

- Lutiszo, ja ci pozwalam. Siadaj.

Zaryzykowała i wyszła cicho do holu. Podeszła pod drzwi sypialni kuzynki i przyłożyła do nich ucho. Dobiegające zza nich pełne frustracji pomruki, a także odgłosy towarzyszące otwieraniu szuflad i szafek, a nawet przesuwaniu mebli upewniły ją, że strażnicy naprawdę przeszukują pokój.

Zastanawiała się, czy jakiś wróg Zofii nie powiadomił króla o istnieniu pamiętnika. Westchnęła z ulgą na myśl, że jest bezpiecznie ukryty. Wiedziała jednak, że napięcie nie opadnie, dopóki strażnicy nie pójda.

Nasłuchiwała jeszcze przez kilka minut, a kiedy wyczuła, że rewizja zaraz się skończy, pospieszyła z powrotem do salonu, gdzie siedziała Lutisza. Służąca uniosła z trudem swą imponującą postać i stanęła w pozie oczekiwania.

Kiedy oficer wrócił do pokoju, Anna siedziała, opanowana, na krześle. Dwaj pozostali czekali na niego w przedpokoju, gotowi do odejścia. Już prawie po wszystkim, pomyślała. Zaraz sobie pójda, a dom będzie wolny od ich wścibskich oczu.

- Zostawiliśmy podarki od króla w sypialni pani Grońskiej - oznajmił oficer.

- Jak miło! - powiedziała z fałszywym entuzjazmem. Oficer zmrużył oczy i przyjrzał się jej.

- Proszę mi powiedzieć, czy kuzynka pani ma jakiś inny pokój, gdzie zwykła pisywać listy lub wiersze?

Anna ledwie mogła w to uwierzyć. Oni naprawdę szukali pamiętnika.

- Nie sądzę, by Zofia w ogóle posługiwała się piórem. Jest na to zbyt zajęta.

- O tak, z pewnością - oficer uśmiechnął się kpiąco.

- Coś jeszcze, oficerze? - spytała, powstrzymując gniew.

- Nie, będziemy się zbierać.

Annie ulżyło, gdyż obawiała się, że mogą chcieć przeszukać cały dom. Lecz kiedy odwróciła się na krześle, gotowa powiedzieć Lutiszy, żeby odprowadziła żołnierzy do drzwi, spostrzegła, że z kieszeni służącej wystaje zdradziecko czerwona książeczka. Boże, dopomóż! Pamiętnik musiał się wysunąć, kiedy Lutisza siadała, i wyglądało na to, że wypadnie, gdy tylko korpulentna służąca się poruszy.

Anna modliła się w duchu, by strach nie odbił się na jej twarzy. Oficer właśnie pochylał głowę w ukłonie.

Uśmiechnęła się, lecz dotychczasową pewność siebie zastąpiły złe przeczucia. Bała się, że były zgubione. Już sobie wyobrażała, jak intruz ucieszyłby się, gdyby znalazł pamiętnik. Na razie jednak zbierał się do wyjścia. Wstrzymała oddech. Była jeszcze nadzieja.

Lutisza zebrała spódnice, gotowa odprowadzić oficera do drzwi.

Serce Anny zabiło mocniej, gdy zobaczyła, że pamiętnik wysuwa się jeszcze bardziej.

- Lutiszo! - zawołała, zrywając się z krzesła.

Służąca, przestraszona tonem jej głosu, zatrzymała się i odwróciła - podobnie jak oficer, najwidoczniej zaciekawiony.

Anna udała, że właśnie coś przyszło jej do głowy.

- Sama odprowadzę miłego oficera, Lutiszo - zawołała radośnie, wpatrując się z uporem w zakłopotaną służącą. - Proszę, zaczekaj tu na mnie.

- To nie będzie konieczne, hrabino - powiedział zimno oficer. - Nie powinna się pani przemęczać.

- Och, to żaden wysiłek - upierała się Anna. - Zwłaszcza kiedy chodzi o królewską straż!

Oficer wpatrywał się w nią, szacując spojrzeniem. Podejrzewał coś albo uważał ją za zupełnie szaloną. Czym prędzej ujęła go pod ramię i wyprowadziła z salonu.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, Aleksy.

Jeśli nawet on nie uważa jej za szaloną, pomyślała, spoglądając na stojącą z otwartymi ustami służącą, to Lutisza z pewnością tak.

Kiedy zegnała się z żołnierzami, twarz oficera nadal wyrażała podejrzliwość. Zamknęła drzwi i z ulgą oparła się o nie, żywiąc gorącą nadzieję, że więcej nie spotka Aleksego.

Weszła do salonu akurat w chwili, kiedy służąca pochylała swą krępa postać, by podnieść z podłogi pamiętnik.

RS

Rozdział dwudziesty drugi.

Gospoda Pod Głową Królowej, jak na późne wtorkowe popołudnie, była wyjątkowo zatłoczona. Jan siedział samotnie na swym zwykłym miejscu przy oknie. Nie wyglądał na zewnątrz ani też nie śledził, co dzieje się wokół niego. Wypił już dwie szklaneczki, by uspokoić nerwy.

Miał spotkać się z królem Stanisławem.

Tygodniami współpracował ściśle z przyjacielem ojca, Hugonem Kołłątajem, który traktował go jak syna. W pełni zaangażował się w ruch patriotyczny. Konstytucja, uchwalona w poprzednim roku, stanowiła jedynie podwaliny przyszłych reform. Wiele pozostawało jeszcze do zrobienia.

Kołłątaj podjął się próby przekonania króla, że pańszczyzna chłopów powinna zostać zamieniona na czynsze. Jan miał mu towarzyszyć i zostać królowi przedstawiony. Przekonanie monarchy o potrzebie tak rewolucyjnych zmian było zadaniem nie lada, lecz Jan pokładał wielką ufność w przyjacielem. Widział już nieraz, jak werbował dla Sprawy ludzi dotąd beztroskich i spragnionych jedynie zabawy i uciech. Kołłątaj potrafił przedstawiać swoje racje, argumentować, dyskutować, odierać zarzuty, by w końcu przekonać każdego, nawet króla.

Tego ranka Jana wezwano do domu Kołłątaja. Gospodarz leżał w łóżku, osłabiony i śmiertelnie blady. Powiedział Janowi, że zapadł na influencję, lecz przezwycięży chorobę.

- Jak wiesz - mówił - jutro mamy spotkać się z królem.
- Mam odwołać spotkanie? Przełożyć na przyszły tydzień?
- Nie - odparł stanowczo Kołłątaj. - Reformy nie można dłużej odkładać.
- Co zatem zrobimy, proszę pana?
- Spotkasz się z królem, Janie.
- Ja? - serce zaciążyło Janowi w piersi. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. - Sam?

Kołłątaj skinął głową.

- Ale czy król mnie wysłucha?
- Dlaczego nie? Jesteś mądry jak na swoje dwadzieścia pięć lat. Szybko się uczysz. I nie brak ci wiary. Ufam, że sobie poradzisz.

- Ale... z samym królem?

- Tak, z królem. To tylko człowiek, do tego o niezbyt stanowczym charakterze. Współpracowałeś ze mną bliżej niż ktokolwiek inny. Wiesz, na

czym polega propozycja reformy, znasz przewidywane liczby, ewentualne korzyści. Po prostu przedstaw to jasno królowi, Janie.

- Takie przeszukanie ze strony Gwardii Królewskiej to nic nadzwyczajnego - zapewniała Zofia Annę. - Król nie jest pewny lojalności swych poddanych. Chyba tak to już bywa z monarchami. Gdyby mieli powód sądzić, że naprawdę coś ukrywam, wierz mi, nie ograniczyliby się do mojej sypialni.

Kuzynki stały w pokoju Zofii, która wróciła w pół godziny po tym, jak odjechała straż. Anna poleciła Lutiszy, aby to ona zwróciła pamiętnik. W ten sposób Zofia nie miała powodu sądzić, że Anna choćby do niego zajrzała.

- Postąpiłaś bardzo sprytnie, kuzynko - powiedziała teraz, wymachując pamiętnikiem. - To tylko taka niemądra pisanina i parę gryzmołów. Wpadłam na ten pomysł, gdy zobaczyłam, jak zapisujesz coś w swoim diariuszu. Z drugiej strony, umarłabym, gdyby przeczytano to na dworze!

Rzuciła pamiętnik na toaletkę i ujęła dłonie Anny. Jej czarne oczy choć raz spoglądały poważnie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Anno. Ocaliłaś mi dziś życie. Nie zapomnę o tym.

Anna zmusiła się do uśmiechu. Choć była dumna, że tak doskonale poradziła sobie w trudnej sytuacji, odczuwała też wyrzuty sumienia z powodu swego wścibstwa.

- Spójrz tylko! - zawołała Zofia, ciągnąc ją w kierunku szafy. - Mam tutaj skrytkę.

Nacisnęła ukrytą za przednią nóżką sprężynę i z mebla wysunęła się szufladka. Włożyła do niej pamiętnik.

- Od tej chwili będę przechowywała go tutaj. Poczucie winy Anny jeszcze wzrosło. Kuzynka miała do

niej zaufanie. Wołałaby, by Zofia nie pokazała jej ukrytej szuflady. Teraz, wiedząc, gdzie jest pamiętnik, nadal będzie narażona na pokusę.

- Czym tak się martwisz, Anno? Niebezpieczeństwo minęło, i to dzięki tobie. - Zofia objęła ją. - Chodź, zobaczymy, jakie podarki zostawili dla mnie żołnierze.

Anna uśmiechnęła się, próbując rozproszyć ponury nastrój i przysięgając sobie w duchu, że więcej nie zajrzy do pamiętnika.

Przeszukały pokój i znalazły ukryte prezenty. W każdej szufladzie, słoju i wazonie znajdowały pierścienie, kolczyki i brosze. W jedną z peruk Zofii wpięto perłowe spinki. A na toalecie, pod szkatułką z biżuterią, leżała koperta opatrzona królewskimi insygniami.

- A to ci dopiero - oznajmiła Zofia. - Zaproszenie do Zamku.

Jan z niepokojem wpatrywał się w twarz króla Stanisława Augusta. Przedstawił już to, z czym przyszedł, i teraz czekał, niepewny reakcji monarchy.

Pudrowana peruka okalała zwyczajną twarz. Małe, bezbarwne oczy spoglądały spod ciężkich powiek. Nos króla był wąski, szczeka ledwie zaznaczona. Męska uroda, która przyciągnęła kiedyś do niego Katarzynę, bezpowrotnie minęła. Jan pomyślał, że w czasach romansu z carycą król musiał mieć około dwudziestu pięciu lat, czyli był w tym samym wieku, co on. Teraz dobiegał sześćdziesiątki.

Cóż takiego dostrzegła w nim Katarzyna, że wysłała do Polski armię, zmuszając magnatów, aby wybrali go na króla? Wydawał się mało pociągający.

Jan zajął już ponad godzinę królewskiego czasu. Przedstawił królowi sprawę, starając się mówić możliwie jasno, przekonująco, a zarazem taktownie. Choć przed rozmową drżał z niepokoju, to kiedy już spotkał się z królem i zaczął przedstawiać swoje argumenty, obawy zniknęły i ogarnęło go niespodziewane poczucie mocy i słuszności sprawy, napelniając energią, swadą i ufnością we własne siły.

Gdy król zaczął zadawać pytania, dyskusja doprowadziła w logiczny sposób do rozważań o konieczności powołania banku państwowego oraz emisji papierowej waluty. W tych kwestiach Jan czuł się nieco mniej pewnie, jednak na szczęście król nie analizował sprawy zbyt szczegółowo. Po jakimś czasie, skończywszy dyskusję, pograżył się w rozmyślaniach. Minuty płynęły niespiesznie.

Pospolity czy nie, z pewnością nie podejmuje decyzji zbyt pochopnie, pomyślał Jan. Przedłużająca się cisza wydała mu się wymowna i niezbyt obiecująca. Nie mogąc już dłużej znieść milczenia, zaskoczył sam siebie, przemawiając pierwszy:

- Wszystko sprowadza się do tego, panie, by każdy z naszych obywateli miał prawo otrzymywać zapłatę w narodowej walucie i prowadzić swobodny handel.

- Drogi młodzieńcze - powiedział król. - Wszystko sprowadza się do tego, że uchwaliliśmy konstytucję równie dobrą jak ta w Stanach Zjednoczonych i pierwszą w Europie.

Jan skinął potakująco głową.

Król mówił dalej, kiwając ostrzegawczo palcem.

- Lecz kiedy zburzono Bastylię, reformy, które podjęliśmy, przstraszyły koronowane głowy Prus, Austrii i Rosji. Nie chcą mieć obok swych granic Polski, która przemawia głosem całego narodu, gdyż widzą w tym zagrożenie dla swojej władzy. Te państwa nie będą beczynnie przypatrywały się reformom.

Młody orędownik reform zastanawiał się, do czego prowadzi ta przemowa. Czy król zamierza odmówić?

- Jednakże - stwierdził monarcha, wzdychając - w zeszłym roku wybraliśmy drogę reform i teraz nie możemy się wycofać. Sprawa czynszów to tylko mały krok na tej drodze. Czas zmusza ludzi, by szli z postępem. Pamiętaj o tym, Janie. Może być tak, że postawimy dwa kroki w przód, a jeden do tyłu, ale i tak będziemy posuwać się do przodu. To nieuniknione.

Jan poczuł, jak ogarnia go podniecenie.

- Zatem mogę powiedzieć Kołłątajowi...

- Powiedz mu, że ma wyzdrowieć. To królewski rozkaz. Och, i powiedz mu też, by zajął się sprawą, o której tu dziś rozmawialiśmy.

Miał ochotę krzyknąć z radości. Serce biło mu jak szalone, starał się jednak powstrzymać entuzjazm. Na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad uśmiechu. Nie chciał, by król uznał go za nowicjusza.

- Przekażę mu to, panie - powiedział tylko, jednak w środku odczuwał głęboką satysfakcję. Jakże dumny byłby z niego ojciec!

- Pochodzisz z Halicza, prawda, Janie?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Och, zaledwie wczoraj poznałem innego młodzieńca z Halicza, przekłętego rosyjskiego najemnika. Towarzyszył Rosjaninowi Fiodorowi Kuprinowi, który przywiózł śmiałe groźby ze strony Katarzyny. Choć ledwie mówię po rosyjsku, polszczyzna Kuprina była jeszcze gorsza. Ten młody człowiek służył więc za tłumacza.

- Jak brzmiało jego nazwisko?

- Nazwisko? Oczywiście, nazwisko, chyba... Groński.

- Walter Groński?

- Tak, właśnie.

Rozdział dwudziesty trzeci.

Anna nie potrafiła opanować podniecenia. Miała być gościem na Zamku, po raz pierwszy w życiu.

Clarice i Babette cały ranek przygotowywały ją i Zofię do uczestnictwa w królewskiej kolacji i koncercie. Zofia chciała kupić Annie na tę okazję nową suknię, lecz ta odmówiła, zgadzając się jedynie pożyczyć jedną z toalet kuzynki. Woląла nie mieć wobec niej długu. Zofia uparła się natomiast co do peruki, twierdząc, że bez niej kobieta czułaby się na dworze, jakby była całkiem naga. Anna ustąpiła wreszcie, dając się przekonać.

Louis i mała Babette także dali się ponieść emocjom. Kręcili się pod nogami przez cały dzień, kipiąc entuzjazmem.

- Możemy pójść zobaczyć króla? - spytała Babette.

Francuskie pokojówki i Zofię rozbawiło to dziecięce pytanie i szczerze się uśmieły. Louis jednak wydawał się tym bardzo dotknięty. Choć nic nie powiedział, Anna zdawała sobie sprawę, że bardzo chciałby pójść. Jednak całkiem dorosła duma, która zdążyła już w nim zakiełkować, nie pozwalała się napraszać. Po jakimś czasie, gdy pokojówki były zajęte w pokoju Zofii, Anna spróbowała wytłumaczyć dzieciom, że przyjęcie jest dla dorosłych. Pomyślała, że mają jeszcze czas, by dowiedzieć się wszystkiego o różnicach klasowych, na razie opowiedziała im o swej pierwszej podróży do Warszawy i o tym, w jaki podziw wprawił ją wówczas majestatyczny Zamek. Obiecała także, że pewnego dnia zabierze je na przejażdżkę, by mogły bliżej przyjrzeć się królewskiej rezydencji po drugiej stronie Wisły.

Zofia weszła do pokoju Anny przygotowana już do wyjścia. Miała na sobie jedwabną suknię o podniesionej talii, ozdobioną przejrzystymi falbankami, wstążkami i jedwabnymi kwiatami. Uderzająco piękny komplet biżuterii, jaką wybrała na tę okazję, składał się z szafirowego wisiorka i pasujących do niego kolczyków.

Spostrzegłszy strój, który Anna wybrała dla siebie, przez chwilę wpatrywała się w niego z rozdziawionymi ustami.

- Nie możesz tego włożyć, kuzynko!

- Naprawdę? Nie chcesz mi pożyczyć tej sukni?

- Nie o to chodzi. Kochanie, wybieramy się na królewski dwór, nie na targ rybny. Ta suknia jest zbyt prosta, zbyt skromna i bezbarwna!

- Piękno polega na prostocie, Zofio, i dotyczy to także sukni. Och, bardzo chciałabym założyć właśnie tę! Poza tym suknia nie jest tak zupełnie

bezbarwna - przekonywała kuzynkę - wskazując pastelowy kwietny wzór na kremowym tle przejrzystego materiału.

Tym razem poddała się Zofia.

Suknia wymagała niewielkich poprawek - dopasowania bufiastych rękawów i poszerzenia w talii. Białe skórzane pantofelki Anny dopełniły stroju, podobnie jak zawiązana wokół szyi biało-niebieska kamea jej matki. Ciekawe, co mama powiedziałyby na to, że znajdę się dziś na Zamku, pomyślała.

Gdy była już ubrana, włożono jej na głowę pudrowaną francuską perukę. Spojrzała w lustro i oniemiała, zaskoczona tym, jak bardzo zmienił się jej wygląd.

- Anno! - zawołała Zofia. - Wyglądasz absolutnie bosko! I wcale nie widać, że jesteś przy nadziei!

Rzeczywiście, na widok swego odbicia Anna poczuła, że jej pewność siebie wzrasta. Cieszyła się też, że nie widać było po niej ciąży. Oczywiście wiedziała, że niektórzy wzięliby jej za złe, iż będąc w odmiennym stanie, waży się choćby wychylić nos z domu.

- Podaj mi prawą rękę, Anno. Przyniosłam ci pierścionek. Masz pełne prawo skorzystać z tego, co przysłał mi król.

Zofia wsunęła kuzynce na trzeci palec srebrny pierścień w kształcie lwiej łapy, ściskającej wielki kamień. Anna westchnęła z zachwyty.

- Co to za kamień, Zofio? Nie potrafię określić, jakiego jest koloru.

- Na tym polega jego urok, Anno. Zmienia barwę w zależności od otoczenia i światła. Czasami wydaje się niebieski albo zielony, czasami fioletowy czy nawet krwistoczerwony - istna tęcza barw. To opal.

- Jest wspaniały.

- Ludzie, którzy potrafią zmieniać się w ten sposób, zawsze odnoszą sukces. Należy przystosowywać się do otoczenia i sytuacji. Potraktuj to jako lekcję ze strony swej światowej kuzynki. Zajrzę jeszcze do mamy i pożegnam się z nią.

Zofia nie zaprosiła matki. Ciekawe dlaczego. Czyżby powodem była depresja hrabiny?

Antoni został zaproszony, lecz musiał jeszcze coś załatwić. Miał przyłączyć się do nich później. Ich wzajemne stosunki nie uległy poprawie; Antoni nie starał się już do niej zbliżyć. Było to błogosławieństwo, choć wiedziała, że wszystko ulegnie zmianie, kiedy urodzi się dziecko. Na razie wyglądało na to, że się stara. Spędzał ostatnio w domu znacznie więcej czasu i był wobec niej uprzedzająco grzeczny. Anna jednak wiedziała, że coś knuje. Coś związanego

z jej majątkiem. Bała się, czym to się skończy. Gdyby tylko mogła uzyskać unieważnienie! Czuła się jak zwierzę w pułapce. Nie potrafiła pójść za radą Zofii i zmienić barw.

Pokojówki skorzystały z okazji, że Zofia wyszła na chwilę z pokoju, i zaczęły komplementować Annę.

- Ach, vous êtes très belle! - zawołała Clarice. - Będzie pani crème de la crème wszystkich kobiet w pałacu!

- Vous êtes magnifique! - zawtórowała jej Babette. A potem dodała, zniżając konfidencyjnie głos: - Proszę uważać, gdyż pani rozkwitła nagle uroda może sprawić, że inni wydadzą się przy pani bezbarwni. Nie może pani dopuścić, by tak się stało, gdyż wtedy pani kuzynka każe nam pakować manatki.

Pokojówki zachichotały nieprzyzwoicie.

Anna potraktowała to jak impertynencki żart, lecz jej pewność siebie znacznie wzrosła.

Kiedy zajechał po nie powóz, padał lekki śnieg. Karzeł pomógł im wsiąść do powozu księżnej Charlotte Sic, którą Anna miała właśnie poznać.

Księżna uciekła z Francji przed motłochem i groźbą gilotyny. Była kobietą w średnim wieku, atrakcyjną, choć nieco zbyt pulchną. Wysoka biała peruka, zaczesana prosto nad czołem i zakręcona po bokach i z tyłu głowy, nadawałaby księżnej wygląd cherubina, gdyby nie wielka muszka, przyklejona na pulchnym policzku. Miała na sobie pelerynę z czarnego jedwabiu, zdobioną białym futrem. Lecz to biżuteria księżnej zrobiła na Annie największe wrażenie. Ponad głębokim dekoltem sukni ze złotego brokatu lśniły trzy sznury diamentowego naszyjnika, zapiętego ciasno wokół szyi i opadającego kaskadą ku obnażonej, jakże bujnej piersi.

- Pani naszyjnik jest bardzo piękny.

- Dziękuję, Anno Mario. Jest w naszej rodzinie od pokoleń. Należał kiedyś do Eleonory Akwitańskiej. Ach! Te diamenty! Są wieczne, moja droga.

- W przeciwieństwie do ciebie - powiedziała Zofia. Charlotte pokraśniała i wydeła policzki.

- Ależ Zofio, mam dopiero trzydzieści dwa lata. Zofia uśmiechnęła się, że bardzo ją to rozśmieszyło.

Księżna przyglądała się jej przez chwilę nieprzyjaźnie, a potem powiedziała do Anny:

- Zofia potrafi być czasami bardzo nieprzyjemna. Nie wiem, doprawdy, dlaczego tak się z nią zaprzyjaźniłam.

- Ależ wiesz doskonale - roześmiała się Zofia. Charlotte zignorowała ten komentarz.

- Twoja kuzynka nie powiedziała mi, że jesteś taka śliczna. Nic dziwnego, że trzyma cię w ukryciu. Byłabyś dla niej nie lada konkurencją.

Śmiech Zofii ucichł jak ucięty nożem.

- Mówisz po francusku, moja droga? - spytała Charlotte.

- Tylko trochę - przyznała Anna. - Zwykle rozmowa toczy się zbyt szybko, bym mogła wziąć w niej udział.

- Powinnaś nad tym popracować, skarbie. W Europie znajomość francuskiego jest absolutnie niezbędna.

Pogawędziwszy jeszcze chwilę o błahostkach, przeszły na francuski i zaczęły chichotać po dziewczęcemu, przekonane, iż Anna nie nadaży za konwersacją.

Ich towarzyszka siedziała zahipnotyzowana blaskiem wspaniałych diamentów. Chociaż rodzice zaszczepili w niej przekonanie, że pochodzi z klasy uprzywilejowanej, zaczynała uświadamiać sobie, że niektórzy spośród szlachty są od niej znacznie bogatsi. „Jest bogactwo i bogactwo”, stwierdziła pewnego razu Zofia. Nie mogła oderwać wzroku od diamentów, rzucających błyski w rytm ruchów powozu. To musi być cudowne, rozmyślała, być aż tak bogatą.

Po jakimś czasie zaczęła przysłuchiwać się rozmowie, udając zatopioną w myślach. Zofia i księżna plotkowały właśnie na temat osławionego Włocha, który przed kilkoma dekadami wywołał na polskim dworze skandal. Mówiły o tym, że ów Giacomo Casanova posiadał wdzięk i urok, któremu nie potrafiły oprzeć się kobiety w żadnym wieku, a także o tym, jak próbował zorganizować loterię i nie powiodło mu się; jak wyzwał na pojedynek któregoś z Branickich i wygrał; jak został wygnany z Polski, ale dopiero po tym, jak ogołocił ze złota sakiewki bogatych hazardzistów, a szkatułki kobiet z klejnotów.

- Czy to prawda - spytała Zofia - że zostawiał za sobą zastępy wściekłych mężów i urażonych niewiast? Jesteś chyba dość stara, by go pamiętać?

Charlotte zacisnęła wargi, udając gniew.

- Ty mała dziwko!

- Powiadają - mówiła tymczasem Zofia - że był cudownie wyposażony tam, gdzie ma to największe znaczenie.

- Jesteś niepoprawna - powiedziała Charlotte i roześmiała się.

- Wiem, wiem.

Chociaż do Zamku nie było daleko, zewnętrzny podwórzec i Wielki Dziedziniec były tak zatłoczone pojazdami, że nim dotarły do bramy, minęła godzina.

Karzeł księżnej, odziany w sięgające kolan bryczesy i surdut ze złotego brokatu, pomógł paniom wysiąść, a potem poprowadził je obok wartowników w czerwono-żółtych mundurach. Na parterze służba odebrała od nich okrycia, a potem poszły za małym człowieczkiem kręconymi marmurowymi schodami i znalazły się w przedpokoju przed Wielką Salą.

Bogato zdobione pomieszczenie pełne było rozmawiających z ożywieniem i śmiejących się ludzi. Zofia i Charlotte zatrzymywały się co chwila, by wymienić powitalne ukłony i pogawędzić ze znajomymi. Rozbrzmiewające gwarem pomieszczenie oszołomiło Annę swą wspaniałością: choć bez okien, oświetlone było złotymi kinkietami i wielkimi kryształowymi żyrandolami, z których każdy mieścił tuziny świec.

Anna cieszyła się, iż tu przyszła, że nie widać po niej ciąży i że nie towarzyszy im Antoni. Dziś będzie po prostu dobrze się bawiła, jak wszystkie samotne i niezależne kobiety, które się tu znalazły. Chciała choć przez jeden wieczór poczuć się tak, jakby nic nie przydarzyło się jej we wrześniu.

Przez chwilę żałowała, że nie wybrała bardziej wyrafinowanej sukni. Inne kobiety wystrojone były w toalety z egzotycznych materiałów i o jaskrawych barwach. Kilka sukien, uszytych podług francuskiej mody, miało coś w rodzaju rusztowania, krytego materiałem. Większość kobiet nosiła peruki, a wiele miało twarze pokryte grubą warstwą pudru i mocno uróżowane policzki oraz usta. Wydawało się, że im starsza kobieta, tym mocniejszy makijaż. Otaczała je chmura perfum, a niemal zupełnie obnażone biusty wyglądały niczym wystawy sklepów jubilerskich.

Mężczyźni nie ustępowali kobietom barwnością stroju. Wielu nadal nosiło tradycyjny polski strój, taki jak zwykli nosić mężczyźni z Sochaczewa: długie surduty ponad wąskimi spodniami, kolorowe pasy - często w turecki wzór - i krawatka pod szyją. Starsi pośród szlachty przypinali łańcuchy i medale, przypominające o dawnych zasługach. Inni mieli na sobie orientalne stroje, które weszły w modę po zwycięstwie Jana Sobieskiego pod Wiedniem. Dało się jednak zauważyć, iż mimo przywiązania Polaków do tradycji coraz więcej zwolenników zyskuje sobie strój w stylu francuskim - buty zapinane na sprzączki, pończochy i bryczesy, krezy oraz koronki przy koszulach. Część szlachty uważała go jednak za zbyt kobiecy.

Obiad został zapowiedziany na trzecią. Zofia wyjaśniła Annie, że to dlatego, by więcej czasu pozostało na wieczorne rozrywki. Dziś miał się odbyć koncert. Karzeł wprowadził kobiety do znajdującego się za Wielką Salą Marmurowego Gabinetu, gdzie zasiadły przy jednym z okrągłych stołów, przykrytych białym jedwabiem.

- Mamy szczęście - szepnęła księżna. - To pokój, w którym król wydaje czasami słynne obiady czwartkowe, na które zaprasza artystów, literatów i innych przedstawicieli inteligencji. Okrągłe stoły mają oznaczać, że wszyscy goście są sobie równi.

- Jak u króla Artura - zauważyła Anna.

- Równi czy nie, nie mamy aż tak znów wiele szczęścia, Charlotte - poprawiła księżną Zofia. - Ktoś zdążył mi już powiedzieć, że król będzie dziś jadł w Wielkiej Sali.

- Ach! - wykrzyknęła księżna, umiarkowanie rozczarowana. - Będiesz zatem musiała trochę poczekać, Anno, zanim nadarzy się okazja, byś mogła rzucić na króla przelotne spojrzenie.

Nowina nie bardzo Annę obeszła. Nadal z zachwytem rozglądała się po marmurowej sali z podłogą w czarno-białą szachownicę, szaro-brązowo-zielonymi ścianami, ozdobnymi framugami drzwi i sięgającymi sufitu pilastrami. Pomiędzy nimi umieszczono portrety około dwudziestu monarchów, byłych władców Polski.

Puste miejsce po prawej ręce Anny zarezerwowane było dla Antoniego. Anna przyłapała się na tym, że wołałaby, by mąż nie przyszedł. Tak dobrze się dziś bawiła.

Jedzenie było wyborne i pachniało niezwykle apetycznie. Nawet w najskromniejszym polskim domostwie oznaką gościnności była dbałość o to, co podaje się na stół, a król najwidoczniej zażyczył sobie, by jego kuchmistrze pokazali dziś, na co ich stać. Królewski kucharz, Paweł Tremo, uważany był za najlepszego w Europie. Umiejętnie łączył wykwintną kuchnię francuską z tradycyjnymi polskimi specjałami, które tak smakowały królowi.

Zofia ostrzegła Annę, by jadła z umiarem, i wkrótce okazało się dlaczego. Przez blisko trzy godziny nieustająca procesja lokai wносиła coraz to nowe dania: barszcz, przekąski z zimnego mięsiwa, pikantne marynaty, ryby, jarzyny, a także pieczenie, w tym ulubioną przez króla pieczeń baranią. Annie najbardziej smakowała aromatyczna specjalność szefa kuchni - kuropatwa w sosie z orzechów laskowych.

Także wybór win pozostawał bez zarzutu - podawano napitki francuskie i hiszpańskie, odpowiednie do każdego dania. Źródlaną wodę, którą król wolał od wina, nalewano do kryształowych kielichów.

- Wszystko tutaj jest takie wystawne - szepnęła Anna do Charlotte, jednak francuska księżna tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to jeszcze nic.

Jeśli o Polaku mawiano, że jest sknerowaty, oznaczało to jedynie, że skąpi sobie, by móc zaoferować więcej gościom. Anna doświadczała oto królewskiej gościnności - nie sądziła jednak, by odbywało się to kosztem króla.

Z ulgą przekonała się, że przy królewskim stole panują inne obyczaje niż na większości europejskich dworów: konwersacja odbywała się tutaj po polsku, nie po francusku. Była za to wdzięczna królowi. I dumna.

Podczas kolacji rozmawiano o szalonych dniach na wsi, polowaniach, przejażdżkach łodziami udekorowanymi kwiatami, kosztownych miniaturowych portretach i porcelanowych figurynkach z Saksonii. Opowiadano historyjki pełne pikantnych kalamburów i dwuznaczności. Z upływem wieczoru stało się jasne, że rozmowa traktowana jest tu jak sztuka. Ci ludzie nie mówili co prawda niczego ważnego, lecz przemawiali z wdziękiem, dowcipem i swadą.

Na deser podano owoce z królewskiej oranżerii. Gdy Anna zachwycała się wybornymi morelami, pomarańczami i brzoskwiniami, Zofia zapewniła ją, że niektórzy spośród magnatów prześcigają króla, podając figi i ananasy z własnych cieplarni.

Po lewej stronie Anny siedział starszawy baron, który nie odzywał się przez cały posiłek. Dopiero potem przemówił, zwracając się do wszystkich przy stole.

- Czy słyszeliście, co przydarzyło się hrabinie Kossakowskiej? - zapytał.

Ci, których uwagę udało mu się zwrócić, roześmiali się i przytaknęli. Baron wydawał się rozczarowany, lecz potem jego wzrok padł na Annę.

- Nie słyszała pani o tym, prawda, pani Grawlińska?

- Nie - odparła grzecznie Anna.

- Więc musi pani posłuchać. To bardzo zabawna historia!

Anna zauważyła, że Zofia przewraca oczami, mimo to skinęła głową, dając mężczyźnie przyzwolenie, by zaczął opowiadać.

- Cóż, jak pani zapewne wie, hrabina Kossakowska jest bardzo bogata. Jest żoną magnata. Och, to naprawdę pyszna historia.

Anna skinęła ponownie.

- Cóż, ekscentryczna hrabina jechała pewnego razu powozem, gdy jej uwagę przyciągnęły nawoływania ulicznego sprzedawcy pomarańczy. Nabrała ochoty na owoce, lecz okazało się, że nie ma przy sobie ani grosza. Może to sobie pani wyobrazić?

- I co zrobiła? - spytała Anna, gdyż starszy człowiek zawiesił głos niczym aktor, oczekujący, że jego sceniczny partner podejmie dialog.

- Powiem pani, co dokładnie zrobiła. To doprawdy nadzwyczajne! Otóż wręczyła osłupiałemu handlarzowi perłowy naszyjnik, licząc sobie po perle za owoc.

- Coś takiego! - zawołała Anna.

Baron śmiał się tak szczerze, że nie zauważył, iż nie uważa ona opowieści za szczególnie zabawną.

Przypomniała sobie, jak swego czasu ojciec powiedział, że niektórzy spośród szlachty jedynie próżniacze życie uważają za godne szlachcica. Kiedy obserwowała otaczający ją przepych i ostentacyjne bogactwo, pomyślała, że zaczyna rozumieć, co stało się we Francji.

Po kolacji karzeł zaprowadził je do pokoju wypoczynkowego dla pań, a potem do Wielkiej Sali, największego i najwspanialszego pomieszczenia w całym Zamku. Stoły zdążono już usunąć, a pośrodku sali ustawiono podium, otoczone przez co najmniej dwie setki krzesel. Jedną ze ścian zajmowały okna wychodzące na Wisłę i właśnie w ich pobliżu Zofia dostrzegła kilka ostatnich wolnych miejsc.

- Spójrz! - zawołała Anna, zerkając na ciemniejące niebo. - Widać twój dom, Zofio, tam, na drugim brzegu, dokładnie naprzeciw Zaniku!

Na Zofii ani na księżnej nie zrobiło to jednak wrażenia. Anna usiadła na miękko wyściełanym krześle, stojącym nieco z tyłu i na prawo w stosunku do zajmowanych przez Zofię i Charlotte. Choć większość świec wygaszono, Anna rozglądała się z zainteresowaniem po wielkiej sali z intarsjowaną drewnianą podłogą, biało-złotymi ścianami i co najmniej dwoma tuzinami marmurowych kolumn.

Jej uwagę przyciągnęły stojące po obu stronach głównego wejścia posągi. Poklepała dyskretnie Zofię po ramieniu, szepcząc:

- Czy to wizerunki Apolla i Minerwy, Zofio?

- To jest Apollo, Anno - odparła Zofia, nie starając się ściszyć głosu - lecz jeśli podejdziesz bliżej, przekonasz się, że ma on twarz Stanisława Augusta.

Charlotte odwróciła się, chichocząc.

- A gdybyś już tam była, zobaczyłabyś, że Minerwa zdradza dziwne podobieństwo do Katarzyny.

Anna cofnęła się, nie wiedząc, co o tym sądzić. Z pewnością nadanie Apollinowi rysów Stanisława Augusta nie było dla bóstwa zbyt pochlebne, poza tym świadczyło o próżności króla. Twarz Katarzyny, wieńcząca posąg Minerwy, zdawała się dość ładna, lecz aluzja do Rosji była co najmniej niestosowna.

Naczelnym motywem dekoracji sali było przedstawienie boskiego porządku. Anna nie mogła jednak przyjrzeć się dokładniej sufitowi, na którym namalowano wizję Chaosu, ponieważ światło zostało przyćmione i w sali pojawił się sam król.

Setki przedstawicieli szlachty wstało, a potem uklękło, gdzie kto mógł.

Król powitał tłum uśmiechem, szczerym i zwyczajnym, a potem machnięciem prawej dłoni dał obecnym znak, by powstali, i skierował się do tronu, umieszczonego w rogu sali. Skinął głową francuskiemu skrzypkowi, który zajął miejsce na podium. Teraz jedynie światła otaczające podwyższenie rozjaśniały mrok.

Po chwili Anna poczuła, że jest obserwowana. Czyżby karzeł? Dokąd poszedł? Gorąco uderzyło jej do głowy, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Obecność karła i uwaga, jaką jej poświęcał, sprawiały, że czuła się niepewnie. Zaczerpnęła tchu i odwróciła się gwałtownie, lecz z tyłu nie było nikogo. Nic, tylko okna, a za nimi rzeka.

Uznała, że skrzypek jest znakomity, dlatego dziwiło ją, iż większość gości nadal rozmawia, ledwie ścisząc głos. Niektórzy wędrowali nawet w półmroku sali, odnajdując znajomych. Także Zofia i Charlotte gawędziły wesoło, rozglądając się dookoła.

W pewnej chwili Zofia odwróciła głowę w prawo, najdalej jak tylko mogła, i zaczęła bez skrepowania przyglądać się uderzająco przystojnemu, czarnowłosemu oficerowi, który nie mógł nie zauważyć, że wzbudził jej zainteresowanie. Oficerowi towarzyszył olbrzymi, mocno zbudowany mężczyzna o nordyckim typie urody, ubrany nie w mundur, lecz oficjalny zielony surdut ze srebrnymi guzikami. Anna zauważyła, że kreza przy mankietach i pod szyją tak postawnego mężczyzny wygląda po prostu śmiesznie.

- Och, Charlotte, spójrz na tego boskiego Rosjanina w czerwonym mundurze - powiedziała Zofia, nie spuszczać z mężczyzny wzroku.

- Podejrzewam, że nie jest zbyt wysoki - zauważyła Charlotte.

- Cóż, mnie się podoba - stwierdziła Zofia, skinąwszy mężczyźnie głową.

Odwróciła się, by sprawdzić, czy kuzynka na nią patrzy. Anna zdążyła już jednak odwrócić wzrok i teraz ze skupioną miną przyglądała się skrzypkowi, udając, że zupełnie zatraciła się w muzyce.

- Mówię ci, kiedy wstanie, przekonasz się, że jest niski - upierała się Charlotte.

- Dlaczego miałyby ci to przeszkadzać, Charlotte? - spytała Zofia. - W końcu trzymasz w domu Karła i masz go na każde zawołanie.

Zaśmiały się figlarnie.

Co też Zofia mogła sugerować? Anna wołała o tym nie myśleć.

Kuzynka tymczasem przyglądała się zmrużonymi oczami Rosjaninowi. Widać było, że jest nią oczarowany.

- Poza tym - dodała Zofia przez zaciśnięte zęby - wielu małych mężczyzn jest w rzeczywistości całkiem okazałych rozmiarów, i na odwrót.

Przyjaciółki zaczęły gwałtownie się wachlować, by ukryć rozbawienie.

Anna udawała, że nie rozumie, o czym rozmawiają, lecz twarz jej płonęła. Po raz kolejny utwierdzała się w przekonaniu, że to, co Zofia napisała w pamiętniku, było prawdą. Epizod z baronem Driedruskim nie został wymyślony. Zwabiła go w sieć, wykorzystywała dla własnej przyjemności, a potem, zmontowawszy intrygę, w wyniku której zapewniała sobie comiesięczny dochód na utrzymanie wyimaginowanego dziecka, porzuciła. Ilu ich jeszcze było?

Przystojny Rosjanin wpatrywał się w Zofię, jakby sądził, że tylko on jeden zasługuje na to, by się do niego uśmiechnęła. Zakochani mężczyźni są ślepi, uświadomiła sobie Anna. Rosjanin pośpiesznie coś pisał, najwidoczniej z własnej woli zmierzając prosto w sieć utkaną przez Zofię.

Znowu poczuła, że jest obserwowana. Przyjrzała się ukradkiem zebranym, sprawdzając jeden rząd krzeseł po drugim, ale niczego nie odkryła. A potem spostrzegła mężczyznę, stojącego w drzwiach prowadzących na balkon. Ledwie majaczył w cieniu, mimo to wiedziała, że się jej przygląda. I chyba go rozpoznała.

Pochyliła się i trąciła kuzynkę.

- Zofio, wydaje mi się, że jest tu Walter.

Lecz kiedy odwróciła się, by wskazać go kuzynce, w drzwiach nie było już nikogo. Zofia wydawała się zirytowana:

- To niemądre, Anno. Co miałby tu robić? Albo w ogóle w Warszawie, jeśli już o tym mowa?

- Naprawdę stał tam mężczyzna, który przyglądał się nam i wyglądał jak Walter.

- Cóż, gdyby to był on, z pewnością podszedłby, żeby się przywitać. - Zofia odwróciła się, gotowa do flirtu.

Po chwili posłaniec doręczył jej liścik. Zofia zerknęła na niego, po czym wstała, szepnęła coś do Charlotte i zwróciła się do Anny:

- Kochanie, zaraz wracam. Muszę przywitać się ze starym przyjacielem. Siedzi tam, po drugiej stronie sali.

Gdyby nie fakt, że Anna z każdym dniem dowiadywała się o kuzynce czegoś nowego, z pewnością zdumiałby ją bezczelny charakter tego kłamstwa.

Gdy Zofia odeszła, Charlotte poklepała jej krzesło, gestem i mimiką zachęcając Annę, by się przesiadła. Anna posłuchała mimo obaw, że księżna zamierza gawędzić podczas koncertu nieszczęsnego skrzypka, którego chyba nikt nie słuchał.

Tymczasem księżna wyjęła z torebki srebrną flaszkę.

- Najwyższa pora na małą kropelkę - powiedziała, wręczając swojej towarzyszce srebrną zakrętkę. - Musisz napić się ze mną.

- Co to takiego? - szepnęła Anna.

- Po prostu porządnie sobie łyknij, dziecko.

Anna trzymała w dłoni srebrny kubek bez uszka. Jej uwagę przyciągnął widok Zofii, siadającej obok Rosjanina, który wyglądał, jakby wpadł w trans.

- No już, wypij! - nalegała księżna.

Nie namyślając się dłużej, opróżniła naczynko. Trunek popłynął do żołądka, paląc niczym trucizna. Żadne lekarstwo nie było aż tak mocne. Zaczęła krztusić się i kaszleć.

Charlotte parsknęła śmiechem.

- Przepraszam, kochanie. Na początek wystarczyłby raczej łycalek.

Ogień palący wnętrze Anny z wolna przygasł.

- Czy jestem czerwona na twarzy?

- Nie bardziej niż większość obecnych tu dam - odpowiedziała ze śmiechem Charlotte. - Poza tym jest tak ciemno, że trudno to ocenić.

- Co to takiego?

- Wódka, ma chere.

- Smakuje jak ogień.

- Sądziłam, że jesteś przyzwyczajona do tego rodzaju trunków, Anno.

- Dlaczegoż to?

Księżna opróżniła naczynko i otarła chusteczką czerwone wargi.

- Zofia powiedziała mi, że twój mąż posiada w swoim majątku gorzelnię. To koło Opola, tak?

- Tak, koło Opola.

Anna ledwie mogła uwierzyć własnym uszom. Nikt nigdy nie wspomniał jej o gorzelni.

- I - mówiła dalej księżna - planuje otworzyć kolejną, bardzo dużą, gdzieś blisko Warszawy. Chyba w Sochaczewie.

Serce Anny przestało na chwilę bić. Czy dobrze usłyszała? Przyglądała się, jak Charlotte nalewa sobie kolejną porcję alkoholu.

Czy to możliwe? Czy to właśnie planował Antoni? Postawić gorzelnię w majątku jej rodziców? Och, wielu spośród szlachty posiadało niewielkie prywatne wytwórnie alkoholu, produkujące na własny użytek. Ale robić z tego interes? Na ziemi jej przodków? Tej, którą tak kochał jej ojciec? Poświęcił niemało potu i krwi, by ją utrzymać. Twarz Anny płonęła mocniej niż po wypiciu wódki. Co stanie się z ogrodem? I kwiatami, które stanowiły - w pewnym sensie - spadek po matce?

Zaszokowana, nie odzywała się przez długi czas. Dźwięk skrzypiec dobiegał teraz jakby z oddali, z innego świata. Oczywiście, to musi być prawda. Przypomniała sobie, co powiedział Jakub. Antoni i jego doradcy interesowali się zbiorami zbóż. Wszystko doskonale do siebie pasowało.

Jak mało wiem o swym mężu, pomyślała. Produkcja mocnych trunków nie była zajęciem odpowiednim dla szlachty. Anna wiedziała, że sprzedawanie alkoholu chłopom, którzy ledwie mogli sobie na niego pozwolić, przyczyni się do pogorszenia ich i tak nędznej egzystencji.

Ulżyło jej, gdy Zofia wróciła na miejsce obok księżnej. Szybko przesiadła się na swoje krzesło.

- Spodoba ci się August, Charlotte - powiedziała kuzynka.

- August? - zdziwiła się księżna. - Kim jest August?

- To ten duży facet towarzyszący mojemu Rosjaninowi. Charlotte poruszyła się na krześle, by lepiej widzieć.

- Zbyt potężny. Wygląda jak niedźwiedź odziany w wytworny strój, do tego z szopą blond włosów. Jest groteskowy!

- Nie zgadzam się z tobą, Charlotte. To najwyższy i najlepiej zbudowany mężczyzna ze wszystkich tu obecnych.

- Zatem dlaczego wybrałaś dla siebie jego towarzysza?

- Kaprys. A może przyciągnął mnie nieodparty zapach prawdziwego bogactwa.

Księżna chrząknęła.

- Ten August to pewnie tylko adiutant twojego Rosjanina - powiedziała nadaśana. - Poza tym wygląda jak Szwed.

- Bo on jest Szwedem! I co z tego? Czy kiedykolwiek sprawiało ci to różnicę? - powiedziała Zofia, uśmiechając się ironicznie. - Szwed czy nie, to łakomy kąsek.

Księżna jeszcze przez jakiś czas udawała, że się dąsa, ale po chwili chichotała już wesoło z przyjaciółką.

Nim Anna zdążyła wypytać Zofię o gorzelnię, w koncercie nastąpiła przerwa, a kuzynka i jej towarzyszka skorzystały z okazji, by się wymówić. Wybierały się na spotkanie Rosjanina i Szweda.

Anna siedziała jak odrętwiała. Skrzypek podjął grę.

Znowu poczuła na sobie czyjś wzrok. Jednakże miejsce, gdzie rzekomo dostrzegła przedtem Waltera, było puste. Przebiegła spojrzeniem po twarzach gości. Mężczyzna, siedzący z tyłu, na lewo od tronu, wpatrywał się w nią, wiedziała jednak instynktownie, że nie jest podobny do Waltera.

Zanim zdążyła mu się przyjrzeć, jej uwagę zwróciło drobne zamieszanie w szeregu krzeseł przed nią. Jakiś człowiek zajmował miejsce Zofii. Już miała powiedzieć mu, że krzesło jest zajęte, kiedy odwrócił się i zobaczyła jego twarz. Serce w niej zamarło. To był Antoni, jej mąż.

Rozdział dwudziesty czwarty.

Jan zjawił się w Zamku powodowany kaprysem.

Pod koniec rozmowy król zaproponował, by młodzieniec wziął udział w obiedzie zamiast Kołłątaja i usiadł blisko tronu. Jan nie miał na to ochoty. Nie uśmiechało mu się wysłuchiwanie przez cały wieczór czezej paplaniny, właściwej tego rodzaju okazjom. Mimo to dyplomacja wymagała, by się pojawił. Nie mógł przecież odmówić królowi.

Kolacja była nudna, lecz występ skrzypka bardzo mu się podobał. Artysta uchodził za jednego z najzdolniejszych muzyków w Europie. Jan był już na jego koncercie w Paryżu i uważał skrzypka za geniusza. Słuchał chciwie, pozwalając, by muzyka oplotła go i wypełniła dźwiękiem.

Jednakże nie dane mu było słuchać w skupieniu, gdyż, jak się wkrótce przekonał, wokół panował nieznośny szum. Ludzie wstawali ze swoich miejsc, chodzili i rozmawiali, nie zważając na to, że przeszkadzają innym. Jan zaczął już żałować, że w ogóle tu przyszedł. Nawet bywalcy gospody Pod Głową Królowej zachowywaliby się bardziej stosownie.

Przesuwał bezmyślnie wzrokiem po rzędach krzeseł, ustawionych pod wychodzącymi na rzekę oknami, gdy nagle jego uwagę przyciągnęły kobiety siedzące na skraju rzędu. Ich dłonie, głowy i usta znajdowały się w ciągłym ruchu. Od czasu do czasu dobiegały go też ich głosy.

Uświadomił sobie, że jedna z kobiet to Zofia.

No tak, ta znalazła się w swoim żywiole, pomyślał. Cóż, szkoda, że koncert spotkał się z tak mizernym zainteresowaniem ze strony Zofii oraz jej przesadnie ubranej i wymalowanej towarzyszki. Od czasu do czasu spoglądał na nie, gdy czyjś ruch lub głośniejszy dźwięk odrywał jego uwagę od występu.

Zastanawiał się właśnie, czyby nie wymknąć się podczas pierwszej przerwy, i po raz kolejny zerknął bezwiednie ku oknom. Obie przyjaciółki zniknęły. I właśnie wtedy dostrzegł kobietę, którą dotąd zasłaniała Zofia.

Pochylił się w przód i mrużąc oczy, spoglądał w półmrok po drugiej stronie podium. Czy to możliwe?

W przeciwieństwie do pozostałych dam ta siedziała spokojna i milcząca. Nie odrywał od niej wzroku i w końcu kobieta spojrzała ku miejscu, gdzie siedział, jakby wyczuwając na sobie jego wzrok.

Szybko cofnął głowę i ukrył się w cieniu za tronem. Peruka mogła mylić, lecz pełgające światło rozjaśniło na moment jej twarz i Jan się upewnił.

Pomyśleć, że całymi godzinami, ba, dniami, przesiadywał w gospodzie, czuwając i żywiąc nadzieję, że uda mu się choć z daleka dostrzec Annę. A teraz, przez czysty przypadek, natknął się na nią w Zamku, i to odzianą jak kurtyzana.

Znowu pochylił się na krześle, zastanawiając się, gdzie też może być jej mąż.

RS

Rozdział dwudziesty piąty.

- Kto ci powiedział? - dopytywał się Antoni.

- Co za różnica? Wiem.

Anna zaczekała do antraktu, by stawić czoło mężowi, który odwrócił krzesło Zofii, by usiąść twarzą do niej. Wiedziała, że powinna odczekać, aż wróca do domu, a nawet kilka następnych dni, nie narażając się na konfrontację, dopóki nie ochłonie i nie uspokoi się. Jednak szok był zbyt silny, a poczucie zdrady i gniew zbyt wielkie. Prawdę mówiąc, ledwie zdołała wytrzymać do przerwy.

- A zatem wiesz. I co z tego?

- To się nie stanie.

- Tak sądzisz?

- Tak. Nie pozwolę na to.

- Zaczekaj, aż podam ci szczegóły. Powstrzymaj gniew przynajmniej na chwilę, Anno Mario. Będziemy bogatsi, niż mogłabyś sobie wyobrazić! Twój majątek do doskonałe miejsce, by rozwinąć tego typu interes. Znajduje się tak blisko stolicy! Popyt na dobrą wódkę rośnie, a transport Wisłą z gorzelni w Sochaczewie to marzenie każdego przedsiębiorcy.

- Nie będzie gorzelni na ziemi mego ojca. Prędzej umrę.

- Posłuchaj, Anno Mario, proszę. Połączyliśmy nasze majątki. Mamy teraz więcej środków i możliwości, niż mielibyśmy, gospodarząc w pojedynkę. Jeśli dodamy do tego zyski z przedsięwzięcia, o którym mówię, możemy stać się magnatami, przysięgam!

- Nie interesuje mnie to.

- Zmienisz zdanie, kiedy przekonasz się, jaki prestiż i władza wiążą się z tym, że jest się żoną magnata.

- Powiedziałaś ci już, Antoni, że to mnie nie obchodzi.

- Nie potrzebuję twojej zgody, Anno Mario.

- Potrzebujesz mego podpisu, aby położyć rękę na kapitale, który Lubiccy dla mnie trzymają.

- To prawda, jesteś bystra. Lecz twój sprzeciw tylko odwlecze moje plany. Gdy umrze ojciec, będę miał dość środków, by samodzielnie założyć interes. Będę potrzebował jedynie gruntu. W testamencie twego ojca nie ma natomiast nic, co mogłoby powstrzymać mnie przed wykorzystaniem go, jak zechcę.

- Wszystko jedno, nie dostaniesz tej ziemi! - Anna wstała, choć nie wiedziała, dokąd mogłaby uciec. Drżała na całym ciele.

Antoni także wstał. Chwycił ją za nadgarstek i obrócił ku sobie.

Spojrzała z gniewem na jego dłoń, więc ją puścił.

- Ustąpię, jeśli chodzi o dziecko - szepnął. - Ja... uznam je za swoje, nawet jeśli będzie to chłopiec.

Zaskoczył tym Annę. Spojrzała na męża. Wyraz jego twarzy maskował skutecznie wąż. Zastanawiała się, czy rzeczywiście gotów był ustąpić, czy powiedział tak, by skłonić ją do ustępstw. Zresztą nie obchodziło jej to. Gdyby tylko mogła uwolnić się od niego i żyć własnym życiem.

- Nie rozumiesz, co ta ziemia znaczyła dla mego ojca, co znaczy dla mnie. Nie będzie w moim majątku gorzelnia. Będę walczyła z tobą zębami i pazurami, panie Antoni Grawliński. Nie dopuszczę do tego!

Antoni, wściekły, uniósł dłoń. Coś w oczach Anny sprawiło jednak, że się powstrzymał.

- No, dalej, Antoni. Uderz mnie. Narobię takiego wrzasku, że zadrzą kamienie w Zamku, a król ogłuchnie! Niech wszyscy się dowiedzą, w jaki sposób zwykłeś radzić sobie z kobietami!

Wąż Antoniego opadł, podobnie dłoń.

- Uderzyłeś mnie raz. Nie zrobisz tego więcej.

- A jak ci się wydaje, jaką to masz nade mną władzę? Nim zdążyła odpowiedzieć, pojawiła się Zofia i Charlotte.

Pozdrowiły Antoniego, lecz wyraz ich twarzy świadczył, że coś słyszały.

- Rozmawialiśmy o gorzelnia - powiedziała śmiało Anna.

- Kto jej powiedział? - zapytał Antoni, zwracając się do Zofii.

Zofia otworzyła szerzej oczy.

- Nie ja, przysięgam.

- Cóż, ktoś to jednak zrobił.

Antoni przecisnął się pomiędzy Charlotte a Zofią i wyszedł z Wielkiej Sali.

Zofia już miała zapytać o to Annę, gdy nagle ją olśniło. Prawda była oczywista. Spojrzała na Charlotte.

Księżna skurczyła się pod jej ostrym spojrzeniem.

- Powiedziałam, że nie wolno ci pisnąć nawet słówka!

- Myślałam tylko...

- Ty tłusta idiotko! Problem z tobą polega na tym, że próbujesz myśleć!

Wyciągnęła rękę, zerwała Charlotte perukę z głowy i wyrzuciła ją przez okno, otwarte, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

Dłonie księżny powędrowały ku przerzedzonym, siwiejącym włosom. Zaczęła krzyczeć i nie przestała, dopóki Zofia nie wymierzyła jej silnego

policzka. Po czym odwróciła się i wyszła, nie zważając na zbierający się wokół tłum w najwyższym stopniu zaskoczonych gości.

- Na co się gapisz? - zawołała księżna do Karła, który wyłonił się nie wiadomo skąd i stał teraz, spoglądając z niedowierzaniem na swoją panią. - Idź po moje włosy!

Spojrzała z nienawiścią na Annę, po czym schowała się za najbliższą kotarę, by tam zaczekać, aż wróci jej służący.

Anna stała jak sparaliżowana, nie mogąc dobyć głosu. Obrót spraw zaskoczył ją i przeraził. Nie zrobiłaby niczego, by jeszcze bardziej upokorzyć księżnę, lecz później, kiedy już znalazła się w domu, dojrzała w sytuacji z peruką odrobinę czarnego humoru i nawet się roześmiała.

Siedziała przez jakiś czas sama, zatopiona w myślach i pewna, że Antoni wróci. Jeśliby to zrobił, wyszłaby natychmiast, nawet gdyby to oznaczało, że musi wrócić do domu na piechotę.

Nie zdawała sobie sprawy, że ktoś za nią stoi, dopóki nie przemówił.

- Anna?

Na dźwięk tego melodyjnego głosu aż zjeżyły się jej włoski na karku. Od razu wiedziała, kto to. Zabrakło jej tchu, kiedy podniósłszy wzrok, spojrzała prosto w kobaltowobłękitne oczy Jana.

Wyobrażała sobie tę chwilę wiele razy. Zastanawiała się, co wówczas powie, jak się zachowa. Teraz ledwie mogła myśleć. W miarę zaawansowania ciąży jej serce zaczynało żywiej bić z byle powodu. Teraz uderzało tak mocno, iż wydawało się jej, że zemdleje. Nie drżałaby tak, gdyby stanął przed nią sam król. W jakiejś francuskiej powieści przeczytała, że serce jest źródłem romantycznych uczuć i miłości. Teraz wiedziała, że to prawda.

Jan uśmiechnął się i skłonił.

Nie był to już jednak ów wyrażający niezachwianą pewnością siebie radosny uśmiech, jaki poznała latem, lecz raczej pełen wahania, niepewny uśmieszek, w którym dało się też dostrzec cień smutku.

Ujął jej dłoń i ucałował, mówiąc cicho:

- Anno.

Nie mogła się odezwać. Mogła tylko myśleć: to wszystko, na co mogłabym mieć nadzieję, wszystko, co może się jeszcze pomiędzy nami wydarzyć. Jej serce przepelniał taki bezmiar uczucia, że nawet nie prosiła losu o więcej.

- Jak dobrze cię widzieć, Anno. Mogę usiąść?

- Oczywiście.

Usiadł na krześle Zofii, jak przedtem Antoni. Przez chwilę wymieniali jedynie uprzejmości, których potem w ogóle nie pamiętała. W końcu zdecydowała się poruszyć starannie dotąd omijany temat.

- Wiesz, dlaczego wyszłam za męża, Janie?

- Chyba tak. Wypytałem zarządcę Grońskich...

- Walka?

- Tak, i w ten sposób dowiedziałem się o tym, co... co zaszło tamtej nocy przy stawie. Wałek uważa, że wywarto na ciebie presję.

- To prawda.

Oczy Jana napełniły się łzami.

- Och, Anno, gdybym tylko cię tam nie zostawił! Mogę winić jedynie siebie za to, co cię spotkało.

- Zachowałam się niemądrze.

- Zamierzałem wrócić, naprawdę.

- Czy Zofia dogoniła cię wtedy?

- Tak.

- I powiedziała, że zwichnęłam nogę w kostce i nie mogę dosiąść konia?

- Nie, o tym nawet nie wspomniała.

- Och.

- Nim dotarłem do domu, zdążyłem już ochłonać i zamierzałem wrócić, lecz... nie otrzymałaś listu, który wysłałem następnego dnia?

- Nie otrzymałam żadnego listu, Janie. Jan zbladł.

- To mnie nie dziwi. Zofia ma wiele na sumieniu.

Opowiedział jej o wydarzeniach, które towarzyszyły śmierci ojca, i o tym, jak po powrocie do domu zastał w nim posłańca z wiadomością, że powinien natychmiast udać się do Krakowa.

- Próbowałem wyjaśnić to w liście - zakończył. - Wiedziałem, że kiedy go otrzymasz, zrozumiesz.

Anna starała się powstrzymać łzy cisnące się do oczu na myśl o tym, jaką krzywdę im wyrządzono. Jednak czar tej chwili sprawił, że potrafiła powściągnąć gniew i żal.

- Teraz rozumiem, Janie - powiedziała, wzdychając głęboko. - Nie możesz wiedzieć, że... jestem przy nadziei.

- Ależ wiem.

- Skąd?

- Zofia powiedziała mi o tym pewnego dnia na Rynku. Sprawilo jej to nie lada przyjemność.

- Och. - Zaczepnęła tchu, przygotowując się, by dopowiedzieć resztę. - Janie, dziecko to rezultat tego, co wydarzyło się nad stawem.

- Mój Boże! - zawołał, zdumiony i pełen współczucia.

- Zofia próbowała oskarżyć ciebie.

- Wałek powiedział mi i o tym. - Jan zmrużył oczy. - Zatem ty nie sądziłaś...

- Nie.

Westchnął z ulgą.

- Wiesz, kto to był, Anno?

- Nie.

- Na pewno? Skinęła głową. Jan ujął jej dłoń.

Wiara Anny w to, że ani gwałt, ani dziecko, które miało przyjść na świat w jego efekcie, nie wpłynęły na uczucia Jana do niej, nagle się umocniła. Pragnęła opowiedzieć mu o swym pozbawionym miłości małżeństwie i o planach męża. Chciała powiedzieć to, czego obawiała się wyznać nad stawem. Że go kocha. Lecz nim zdążyła się odezwać, zrzucić ciężar z serca, uświadomiła sobie, że ktoś stoi za krzesłem Jana. Podniosła wzrok i zobaczyła Antoniego.

Tuż za nim stała Zofia, szepcząc mu coś do ucha.

- Och? - zawołał Antoni. - Więc to jest Stelnicki? Śmiałek, który waży się romansować z czyjąś żoną tuż pod nosem jej męża, i to w miejscu tak prominentnym jak Zamek Królewski!

- Nic takiego nie miało tu miejsca! - odparła Anna. Teraz stali już oboje, ona i Jan.

- Co za wzruszająca scenka - mówił dalej Antoni. - Nie sądzisz, Zofio?

Zofia wyglądała na kompletnie zaskoczoną i chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

- Gdy tylko spostrzegłem Annę z drugiej strony sali, panie Grawliński - powiedział Jan - podszedłem spieszenie, by się przywitać.

- Ileż to razy miał miejsce ten tak zwany zbieg okoliczności, Anno? - zapytał kpiąco Antoni. - Ile razy widziałaś się z tym mężczyzną?

- Dobrze wiesz, że nie wychodzę z domu, Antoni.

- Nie wiedziałem o tym, ale w przyszłości z pewnością okażę się bardziej przewidujący - rzekł Antoni, mierząc Jana spojrzeniem. - Miałbym pełne prawo wyzwąć tego człowieka na pojedynek.

Spojrzał teraz na żonę.

- Kim on dla ciebie jest, Anno? Zofia powiedziała mi, że był nad stawem, gdy zdarzył się ten wypadek. Czy to on zrobił ci brzuch?

Anna milczała, niezdolna skryć upokorzenie.

- Nie, proszę pana, to nie ja dopuściłem się tego czynu -odparł Jan, czerwieniejąc z gniewu. - Rzeczywiście, byłem tamtego dnia nad stawem. I winię się za to, że pozostawiłem Annę pod opieką jej beztroskiej kuzynki. Będę winił się do samej śmierci. Lecz jeśli chciałby pan ciągnąć dalej ten drugi wątek, to ja, drogi panie, wyzywam cię, byś wyszedł ze mną na zewnątrz... teraz.

Antoni stał sztywny, milcząc, i po raz pierwszy w jego bezbarwnych oczach Anna dostrzegła lęk. Nikt nie odezwał się przez pełną minutę.

- Pójdę już, Anno - powiedział w końcu Jan - zanim przysporzę ci jeszcze więcej kłopotów.

Skłonił się przed nią i odwrócił tak, że stał teraz plecami do Antoniego.

- Wiadomość, wysłana do gospody Pod Głową Królowej, zawsze do mnie dotrze - wyszeptał.

Skinęła głową, jakby zrozumiała. Nie czas rozwiązywać zagadki. Miała zaledwie kilka sekund, aby utrwalić w pamięci jego obraz. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Jan odwrócił się i zmuszając Zofię i Antoniego, by odsunęli się i przepuścili go, wyszedł z sali. Przez cały czas traktował Zofię tak, jakby jej w ogóle nie było.

- Anno, jak mogłaś - zaczęła kuzynka.

- Nieważne! - zawołał Antoni. - Zostaw nas, Zofio!

Anna zdawała sobie sprawą, że Antoni zechce dać upust gniewowi. Poza tym wstydził się, że został zmuszony, by spuścić z tonu.

Zofia zaczęła coś mówić, lecz rozmyśliła się i odeszła. Antoni odwrócił się do żony.

- Twoja kuzynka skłoniła mnie, bym wrócił, spróbował cię przekonać. I proszę, oto co zastałem!

- Szkoda twoich słów, Antoni.

- Być może to nie był wcale gwałt. Może wszystko odbyło się za obopólną zgodą.

- Jesteś godny pogardy. Zapytaj Lutiszę, która pielęgnowała mnie po tym, co się wtedy wydarzyło.

- Kim jest dla ciebie ten człowiek, Anno Mario?

Anna z trudem oddychała. Gardło miała wyschnięte i ledwie mogła mówić.

- To mężczyzna, na którym kiedyś mi zależało. Wydaje się, że było to wieki temu.

- A teraz?

Zastanawiała się przez chwilę. Oczywiście, kochała Jana, tęskniła za nim. Uczucie to było tak silne, że miała wrażenie, jakby kochali się już w poprzednim życiu. Teraz jednak nie było na to nadziei. Zwilżyła wargi i spojrzała na męża.

- Teraz, Antoni, jestem twoją żoną. Będę honorowała to zobowiązanie. Lecz nie myśl, że możesz postawić gorzelnię na ziemi, gdzie żył i umarł mój ojciec. Nie wyobrażaj sobie też, że możesz mnie uderzyć. Widzę, że masz na to wielką ochotę. Jeśli się ośmielisz, pożałujesz.

- A co zrobisz, Anno Mario? Naślesz na mnie Stelnickiego?

- Nie! Sama rozgrywam własne bitwy.

- Więc będziesz walczyć sama ze sobą! Ja wyjeżdżam dziś wieczorem do Petersburga.

- Wyjeżdżasz?

- Och, nie ciesz się przedwcześnie, Anno. Widzę to w twoich oczach. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Uśmiechnął się.

- Los połączył nasze ścieżki, czyż nie?

Patrzyła w milczeniu, jak mąż opuszcza salę. Po chwili opadła z wolna na krzesło.

Nagle uświadomiła sobie, że publiczność zdążyła już wrócić na miejsca. Od jak dawna siedzący w pobliżu goście tak się jej przyglądali?

Usiadła, oszołomiona, z płonąca twarzą. Dźwięki skrzypiec znów wypełniły salę.

Cóż, wreszcie przemówiłam własnym głosem, pomyślała. Tylko za jaką cenę?

Rozdział dwudziesty szósty.

Powóz zaturkotał na drewnianym moście, łączącym Warszawę z Pragą. Zofia spojrzała na zamyśloną Annę. Zdziwiła ją siła niechęci, jaką odczuwała wobec kuzynki. Zabrała ją do Zamku w nagrodę za to, że ocaliła pamiątnik przed żołnierzami króla. Co za okropny błąd popełniła! Lecz kto mógł przypuścić, że Anna spotka tam Stelnickiego?

Niełatwo było jej przekonać Antoniego, by został w Zamku i wrócił do żony. Zofia pragnęła, aby małżeństwo Anny przetrwało, nawet gdyby ambicje Antoniego miały sprawić, że zostaliby magnatami, stojącymi na drabinie społecznej wyżej niż ona. Nie życzyła kuzynce źle, naprawdę. Przeciwnie, lubiła ją. Niech sobie żyją szczęśliwie!

Sama też miała nie lada ambicje. I dość ufności we własne siły, by je zrealizować. Lecz cała sztywniała na wspomnienie chwili, kiedy natknęła się na Annę i Jana w Zamku. Mdlące, ze wszech miar nieprzyjemne uczucie nadchodziło falami. Było zupełnie tak jak wtedy, gdy zobaczyła ich w lesie. Obraz wywoływał w jej duszy mroczne, nieznane emocje, które sprawiały, że stawała się zdolna do wszystkiego.

Siedziała w powozie, nieświadoma upływu czasu i przebytej drogi. Próbowwała uporządkować kotłujące się w niej uczucia. Choć trudno jej było przyznać się do tego samej przed sobą, z powodu urażonej dumy nadal obwiniała kuzynkę za to, że ośmieliła się pokrzyżować jej plany. Jakiś czas temu doszła do wniosku, że skoro Anna wyszła za Grawlińskiego, ewentualny związek kuzynki ze Stelnickim pozostanie w sferze marzeń. Lecz teraz, gdy zobaczyła ich razem trzymających się za ręce, gwałtowne uczucia znowu odżyły. Czy była to zazdrość? Czyżby kochała Jana?

Pragnęła go, to pewne. Z jakiegoś dziwnego powodu, gdy przekonała się, że jego zainteresowanie Anną wcale nie wygasło, zapagnęła go jeszcze bardziej. A gdy zobaczyła, jak stawia czoło żalonnemu tchórzowi, Grawlińskiemu, rozpałiło to jej pożądanie do białości.

Gdybym mogła go mieć chociaż raz, myślała, sprawić, żeby mi uległ, wystarczyłoby to, by mnie zadowolić. Stałby się wtedy niegodny Anny - zarówno w jej oczach, jak i we własnych. Oboje ulepiani byli z tej samej nudnej gliny honoru i godności.

Dopóki kuzynka pozostawała w pobliżu, nie mogło być mowy o tym, by udało jej się uwieść Jana. Co gorsza, Anna i Jan mogli nawiązać romans. Zofia

uświadomiła sobie, że nie doceniła odwagi Anny ani siły jej uczucia. Musi być jakiś sposób, by się jej pozbyć.

Uważała, że jest dość sprytna. Doskonale poradziła sobie z Walterem. Uśmiechnęła się, bardzo z siebie zadowolona. Była zdumiona, odkrywszy, że Walter jest w Zamku. Obawiała się, że któregoś dnia pojawi się, oburzony tym, że pozbawiła go domu i majątku. Podejrzewała także, iż będzie próbował szantażować ją tym, co zdarzyło się tamtej nocy na moczarach. Lecz czy nie był równie winny jak ona? Nie mógł jej oskarżyć, nie oskarżając jednocześnie siebie. Odparowywała każdy jego cios, gdyż, choć nie łączyły ich więzy krwi, byli ulepieni z tej samej gliny - ani trochę nienudnej.

Uśmiechnęła się szerzej. Oczywiście, okazała się sprytniejsza. Kiedy groźba szantażu obróciła się przeciwko niemu, biedny Walter musiał zadowolić się obietnicą ułamka wartości majątku. Tyle była gotowa zapłacić, by uratować jego dumę i skłonić go, by siedział cicho. I tak wyświadczała mu łaskę. Pomimo sprzeciwu ze strony rodziców postanowił zrealizować swoje ambicje i pójść własną drogą. Dawała mu sposobność, by mógł żyć tak, jak chce.

W końcu dotarli do rezydencji Grońskich.

Obserwowała w milczeniu, jak Anna, która siedziała naprzeciw olbrzymiego Szweda, wysiada, korzystając z pomocy Karła, który odprowadził ją do drzwi. Nie odpowiedziała na pożegnanie ze strony Zofii i obu mężczyzn. Czy nie byłaby zdziwiona, gdyby dowiedziała się, że miała jednak rację i Walter był tego dnia w Zamku? Lecz Zofia wiedziała, że lepiej trzymać ich z daleka od siebie.

Siedziała naprzeciwko Szweda, mając u boku Rosjanina. Z jego drugiej strony siedziała Charlotte. Skinęła głową księżnej, która przesiadła się na miejsce zajmowane przedtem przez Annę.

Powóz zawrócił do miasta.

- Och, zatrzymajmy się na chwilę przy fontannie na Rynku - powiedziała Zofia, gdy powóz zjechał z mostu i skierował się ku murom miejskim.

- Ale jest już tak późno - zaprotestowała Charlotte. Była zmęczona, nieco wstawiona i bardzo chciała dostać się już do gospody, gdzie Rosjanin i jego towarzysze wynajmowali pokoje.

- To nie zajmie dużo czasu, Charlotte - powiedziała Zofia. - Gdyby teraz było lato, mogłybyśmy zanurzyć stopy.

Dlaczego zawierzyła Charlotte w kwestii gorzelni? Nie mogła teraz odegrać się na Annie, lecz nic nie przeszkodzi jej zemścić się na przyjaciółce.

- Przy fontannie zrób tak, jak ci mówiłam! - zawołała do woźnicy.

- Och, zaplanowałaś to? - zdziwiła się księżna.

- Cicho bądź, szykuje się niezła zabawa.

Gdy powóz wjechał na Rynek, zaczęli sposobić się, by wysiąść.

Karzeł pomógł swojej pani zejść po schodkach na ziemię.

I wtedy Zofia, miast wyjść z powozu, wychyliła się, chwyciła drzwiczki i zatrzęsła je.

- Ruszaj! - krzyknęła do woźnicy.

Woźnica popędził konie. Powóz potoczył się przez Rynek, turkocząc po kamieniach i błyskawicznie nabierając szybkości.

- Zatrzymajcie się! - zawołała Charlotte. - Zatrzymajcie! Zofio, to nie jest zabawne!

Zofia wychyliła się przez otwarte okno.

- Zaczekaj tam, skarbie, przyślemy po ciebie twój powóz. Krzyki księżny niosły się echem po pustym placu. Mały człowieczek obok niej wykrzykiwał coś zadziwiająco głębokim głosem. Jednakże Zofia musiała przekupić woźnicę na tyle skutecznie, że ogłuchł na prośby swej pani. Zofia roześmiała się i zawołała:

- Uciszyć się, bo obudzisz całą Warszawę!

Odwróciła się i spojrzała na zaskoczonych towarzyszy. Byli zbyt pijani, żeby się jej przeciwstawić. Zachichotała, widząc ich głupie miny.

- Charlotte ma rzeczywiście donośny głos, prawda? Postukała palcami w parapet.

- Nie rób takiej zmartwionej miny, Auguście. Potrafię zadowolić was obu.

Twarz mężczyzny pojaśniała. Wymienili z oficerem spojrzenia, a potem Rosjanin zapytał:

- A co z pani kuzynką? Być może byłaby w nastroju na zabawę we czworo? Jest bardzo piękna.

Zofia zwróciła się do niego, tym razem nie z obietnicą namiętności, lecz z przekleństwem na ustach.

Anna niewiele spała tej nocy, a następnego dnia snuła się po domu jak cień. Jedynie wspomnienie rozmowy z Janem pozwalało jej jako tako funkcjonować. Nadal go kochała - nie było sensu temu zaprzeczać. Prawdę mówiąc, rozstanie jeszcze pogłębiło jej uczucia. A on kochał ją - wiedziała o tym. Wspomnienia podnosiły ją na duchu i pozwalały przetrwać dzień.

Co jakiś czas napływały jednak myśli, które ścinały lodem jej serce.

Myślała o Zofii. Choć nie zdążyli wczoraj o tym porozmawiać, Anna była przekonana, że kuzynka skłamała przy stawie, oskarżając Jana, że ją napastował. Czy mogła też przejąć list? Jedno było pewne: to Zofia zaaranżowała jej małżeństwo z Antonim.

Los dwukrotnie okazał się łaskawy dla kuzynki, niszcząc zarazem życie innych osób. Gdyby nie śmierć wujka Leo i gwałt, sytuacja Zofii byłaby teraz zupełnie inna. Byłaby żoną Antoniego, pozbawioną niezależności, władzy i prestiżu, którymi tak się rozkoszowała. Choć darzyła chyba Annę siostrzaną miłością i na ogół działała zgodnie z jej interesami, czasami jej postępowaniem zdawały się kierować mroczne, tajemne siły. Anna dokładnie zapamiętała wyraz twarzy Zofii, kiedy patrzyła w Zamku na nią i Jana. Choć raz maska, jaką prezentowała światu - osoby bystrej, zabawnej, pewnej siebie - opadła, odkrywając zazdrość i nienawiść.

Anna zastanawiała się, czy to możliwe, by kuzynka skrycie kochała Jana. Jeśli tak, dlaczego zachęcała ją, by się z nim spotykała? Czy Zofia byłaby w ogóle zdolna pokochać jednego mężczyznę? Przecież, jak się kiedyś wyraziła, tęskniła za tym, by móc zrywać wszystkie kwiaty w ogrodzie. Od tych rozmyślań Annie zakręciło się w głowie. Nie potrafiła doszukać się w tym sensu.

Wiedziała jedno: należało wynieść się z Warszawy, uciec od Zofii.

Dreńczyła ją też myśl o zbliżającej się nieuchronnie konfrontacji z Antonim. Choć wiadomość o wyjeździe męża sprawiła jej ulgę, zdawała sobie sprawę, że walka dopiero się zaczyna. Była też przekonana, że Antoni nie zechce unieważnić małżeństwa. O ile, oczywiście, ona nie zgodzi się oddać mu wszystkiego.

Nie zamierzała tego zrobić. Była, co prawda, szlachcianką, lecz niezbyt zamożną. Choć ojciec dobrze zarządzał majątkiem i mądrze lokował dochód u Lubickich, posiadał tylko ten jeden majątek i żadnego domu w mieście. Dwór i ziemia w Sochaczewie były dla niego wszystkim. Żadna ofiara, którą musiałaby ponieść, by je utrzymać, nie wydawała się Annie zbyt wielka.

Na myśl o tym, iż jej żalosne małżeństwo naraziło na niebezpieczeństwo zarówno rodzinną ziemię, jak i finanse, coś ścisnęło ją w żołądku. Nie dbała ani trochę o to, że dzięki planom Antoniego rodzina mogłaby osiągnąć magnacki status. Prędzej umrze, niż dopuści, by na ziemi jej przodków wybudowano gorzelnię!

Sochaczew! - pomyślała nagle. - Tam powinnam się udać. Do domu!

Antoniego należy zmusić, by zrezygnował z pomysłu produkowania alkoholu. Napisze do księcia Józefa Lubickiego, być może znajdzie się jakiś prawny kruczek. Jeśli nie, będzie na miejscu, by walczyć z nim do końca.

Lecz jaki byłby ten koniec? Zastanawiała się. Jaką miała szansę, by pobić Antoniego na jego własnym polu, w grze dostępnej jedynie dla mężczyzn?

Kobiety też miały do odegrania pewne role: musiały nosić maski i ciężkie suknie, świadczące o ich pozycji społecznej, zupełnie jak aktorzy w greckich dramatach. Mężczyźni, odziani w spodnie i obdarzeni z definicji władzą, zawsze mieli nad nimi przewagę. Po raz pierwszy Anna nie potrafiła winić carycy Katarzyny za to, iż nie waha się wykorzystywać możliwości niedostępnych na ogół jej płci.

Roześmiała się cichutko, uświadamiając sobie gorzki paradoks: w dramatach greckich nawet role kobiet zarezerwowane były dla mężczyzn.

RS

Rozdział dwudziesty siódmy.

- Gorzelnia? - hrabina Grońska spojrzała na siostrzenicę, upuszczając ze zdumienia robótkę. Anna stała przed ciotką.

- Tak, ciociu Stello, gorzelnia. To prawda. I gdyby nie księżna Charlotte, dowiedziałabym się o tym dopiero po fakcie.

Hrabina starała się pozbierać po tym, co usłyszała.

- I ty o tym wiedziałaś, Zofio? - spytała oskarżycielskim tonem, chociaż zdawała sobie sprawę, że córka nie liczy się już z jej zdaniem.

Zofia wzruszyła ramionami. Stała, wyglądając przez francuskie okno.

- Owszem.

- I nic nie powiedziałaś?

- Uważałam, że to nie moja sprawa.

Hrabina wyczuła, że pomiędzy córką a siostrzenicą panuje dziwne napięcie.

- Ale to dotyczy Anny.

- Jeśli to, co zamyśla Antoni, może przynieść im obojgu niewyobrażalne bogactwo, co może być w tym złego?

- Nie wychowałam cię, byś sądziła, że pieniądze czynią człowieka szlachcicem.

- Lecz szlachcic, który ich nie ma, jest po prostu żaloszny - odparła Zofia, odwracając się, by spojrzeć na matkę. - Pieniądze rządzą teraz światem, mammo. Mając takie bogactwo, jakie spodziewa się uzyskać Antoni, Anna nie będzie musiała o nic się martwić. Szkoda, że ja nie mam tyle szczęścia.

- Nie chcę takich pieniędzy - powiedziała Anna tonem niezwykle, jak na siebie, ostrym.

- Tego, czego ty chcesz, Anno - powiedziała Zofia, spoglądając na kuzynkę - i tak nie możesz już dostać.

Napięcie w pokoju jeszcze się wzmogło.

- O co tu chodzi? - spytała hrabina.

- Planuję wrócić do Sochaczewa - powiedziała Anna.

- Nie możesz tego zrobić - odparła natychmiast Zofia.

- Mogę. Tam będę u siebie. I urodzę dziecko na własnej ziemi.

- Anno Mario, jestem zmuszona przeciwstawić się tym planom - powiedziała hrabina. - Twój mąż wróci tutaj i właśnie tu powinien cię znaleźć.

Umilkła na chwilę.

- Poza tym musisz myśleć o dziecku, kochanie. Tu w Warszawie mamy położne i lekarzy. Cóż, nawet ja mogłabym okazać się bardziej pomocna niż ktokolwiek mieszkający w twoim majątku.

Jak zwykle w chwili stresu serce hrabiny zaczęło bić nieregularnie, trzepocząc szybko, by po chwili zwolnić, omijając co drugie uderzenie. Hrabina czuła się naprawdę rozdarta. Mężczyzna, do poślubienia którego nakłoniła siostrzenicę, zamierzał nie tylko zniszczyć majątek Berezowskich, ale zhańbić nazwisko i pamięć rodziców Anny. Co więcej, opuścił ją, by pojechać do matki do Petersburga. A teraz ona doradza Annie, by na niego czekała. To była konwencjonalna rada, taka, jakiej można było spodziewać się po kobiecie z jej pozycją społeczną i wychowaniem. Jednak nie była pewna, czy jest to dobra rada.

- No i jeszcze ten Paduch, Anno - mówiła tymczasem Zofia. - Nie chcę, byś przebywała sama w majątku, kiedy morderca grasuje na wolności. To zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczeństwo - powiedziała Anna - niekoniecznie musi czaić się na zewnątrz domu.

I znowu hrabina poczuła, jak pomiędzy kuzynkami przepływa fala napięcia. Nie rozumiała, co mogło być jej przyczyną.

- Cóż, pojechałabyś tam na próżno - powiedziała Zofia ostro. - I tak musiałabyś zaraz wracać.

- Dlaczego? - spytała Anna.

- Ponieważ twój dom w Sochaczewie już nie istnieje. Został zburzony - odpowiedziała i, nim którakolwiek z kobiet zdążyła zareagować na tę rewelację, otworzyła francuskie okno i wyszła przez nie do ogrodu.

Choć Zofia chętnie pozbyłaby się Anny, nie mogła jednak dopuścić, by kuzynka pojechała sama do Sochaczewa. Na myśl o tym ciarki przebiegły jej po grzbiecie, i wcale nie chodziło tu o Feliksa Paducha.

Nie, raczej o Jana. Sochaczew znajdował się blisko Warszawy, o wiele za blisko dla opuszczonej przez męża Anny i zdeterminowanego Stelnickiego. Nie można było dopuścić, by jeszcze kiedykolwiek się spotkali.

Gdyby Antoni był z Anną w Sochaczewie, sprawy wyglądałyby inaczej. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby to Anna dołączyła do Antoniego w Petersburgu!

Wmawiając Annie, że jej dom został zburzony, działała pod wpływem impulsu, dało jej to jednak nieco czasu. Tylko ile? Była pewna, że Anna pisze właśnie do Jakuba Szrabera, aby dowiedzieć się prawdy.

Zasiadła więc, aby napisać własny list. Miała nadzieję, że nietrudno będzie znaleźć posłańca, który, odpowiednio wynagrodzony, zgodzi się wyruszyć natychmiast do Petersburga. Anna może otrzymać odpowiedź z Sochaczewa mniej więcej za tydzień. Zofia zdawała sobie sprawę, że musi okazać się szybsza, mimo iż jej korespondencja miała do przebycia znacznie dłuższą drogę.

RS

Rozdział dwudziesty ósmy.

Ranek wstał deszczowy i nad wodami Wisły unosiły się ciężkie, szare chmury. Jedyńm klientem w gospodzie Pod Głową Królowej był Jan Stelriicki. Siedział, sącząc kawę i po raz setny wspominając spotkanie z Anną. Obraz jej twarzy, wyrażającej zaskoczenie i radość, nieustannie go nawiedzał.

Nadal go kochała, to było widać na pierwszy rzut oka. Już nigdy nie będzie próbował wyprzeć z pamięci tych szeroko otwartych, głęboko osadzonych zielonych oczu. Wypełniała je miłość, przekraczająca granice miejsca i czasu.

Jan wpatrywał się w dom po drugiej stronie rzeki. Brudne szyby ukazywały odbicie jego twarzy. Włosy miał zmierzwiłone, a pod oczami ciemne kręgi - rezultat braku snu. Był zmęczony. Znużony myśleniem o różnych „gdyby tylko”: gdyby

Anna nie wyszła za mąż; gdyby nie została zgwałcona; gdyby nie spodziewała się dziecka. A przede wszystkim, gdyby był wrócił tamtego dnia nad staw. Musiał przyjąć odpowiedzialność za to, jak się zachował, i żyć z poczuciem winy. Wiedział jednak, że to ona cierpiała najbardziej.

To takie niesprawiedliwe, że jedna pochopna decyzja, podjęta pod wpływem urażonej ambicji i gniewu, może zmienić życie na zawsze. Ale tak właśnie się stało.

W dniach, kiedy poczucie winy stawało się nie do zniesienia, rozmyślał o Feliksie Paduchu. Czy to on zaatakował Annę? I zapłodnił ją? Jak znaleźć człowieka, który uciekał przed prawem? Wyobrażał sobie, że pewnego dnia schwyta Paducha i pomści Annę.

Na razie musiał przyznać, że ją kochał. I że ona kochała jego. Nie śmiał jednak rozbudzać w sobie nadziei na przyszłość. Będzie musiał nauczyć się żyć bez niej.

Nie poślubi nikogo innego. Poświęci się polityce. Zmusił się, by zwrócić myśli ku tamtym sprawom.

Rozstrzygnięcie było już tylko kwestią dni. Konstytucja musiała zostać uznana przez cały naród. Zdawał sobie jednak sprawę, że Katarzyna nie żałuje grosza ani grózb, by przekupić bądź zastraszyć jak najwięcej zwolenników ustawy. Jeśli nawet nie uda jej się doprowadzić do obalenia konstytucji, zasieje w umysłach części Polaków ziarno wątpliwości. Jan wiedział także, iż najważniejszy umysł w królestwie nie odznaczał się stałością. Czy król wytrwa przy Sprawie?

W ostatnich tygodniach Janowi nie brakowało okazji, by nauczyć się publicznie przemawiać. Czynił to codziennie, a nawet po kilka razy jednego dnia. Przemawiał do wszystkich, którzy chcieli go słuchać. Żadna grupka, na którą mógłby wywrzeć polityczny nacisk, nie była zbyt mała, żaden obywatel zbyt niewiele znaczący.

Często przemowa zamieniała się w debatę z ludźmi o przeciwstawnych poglądach, twardo trzymającymi się swego punktu widzenia. Jan bardzo to lubił. Błyskawiczne wynajdywanie odpowiedzi na argumenty i oskarżenia strony przeciwnej wyostrzało umysł i pozwalało bardziej umocnić jego demokratyczne przekonania, niż mogłaby to uczynić retoryka. Bronił zażarcie swoich racji, dając się ponieść emocjom i ciesząc się błyskotliwością swego umysłu.

W takich chwilach myśli o Annie, złamanym sercu i Grawlińskim z jego cienkim wąsikiem pierzchały. Wystarczyło jednak, by został sam, a smutek powracał. Co bardziej dociekliwi spośród jego towarzyszy sądzili, że smutek ów wynika z braku wiary w powodzenie Sprawy.

Zastanawiał się, czy Anna zrozumiała, co chciał powiedzieć, wspominając o gospodzie Pod Głową Królowej. Wątpił, by kiedykolwiek o niej słyszała. Czy odważy się kogoś zapytać? Czy napisze?

Wstał szybko, odsunął krzesło i sięgnął do kieszeni, by zapłacić starej właścicielce o imieniu Hortenspa. Potrząsnął mimo woli głową, rozmyślając o przyszłości i oddając się marzeniom, które nie mają szansy się ziścić.

Anna przemierzała pokój, zastanawiając się, kiedy nadejdzie list od Jakuba. Podejrzewała, że Zofia skłamała, mówiąc o domu. Musiała skłamać! W zimie raczej nie budowano ani też nie burzono niczego, jeśli nie było to konieczne. Jednak dlaczego miałyby powiedzieć coś takiego?

Nie przebaczyłaby Antoniemu, gdyby okazało się, że kazał zburzyć dwór. Na samą myśl o czymś takim kręciło się jej w głowie. Co zrobi, jeśli wiadomość okaże się prawdziwa?

Co do Zofii, jej także nie zamierzała przebaczyć, bez względu na to, czy powiedziała prawdę i trzymała fakt zburzenia domu w sekrecie przed nią, czy też skłamała z sobie tylko wiadomego, niewątpliwie egoistycznego powodu.

Jeśli Jakub potwierdzi, że dom nadal stoi, ona wróci do Sochaczewa i nawet nie spojrzy za siebie. Urodzi tam dziecko. Jakoś poradzi sobie z Antonim, oddając mu to, z czego będzie w stanie zrezygnować - poza, oczywiście, ziemią i domem - by uwolnić się od tego bezsensownego małżeństwa. Co zaś się tyczy Jana...

Z ulicy dobiegł ją dźwięk końskich kopyt. Zdawał się cichnąć, jakby ktoś zatrzymywał się przed domem. Anna podbiegła do okna. Mężczyzna z torbą pocztową na ramieniu właśnie zsiadał z wierzchowca.

Poruszając się najszybciej, jak na to pozwalał jej stan, wybiegła na korytarz i klatkę schodową. W połowie schodów uświadomiła sobie, że Zofia okazała się szybsza. Kuzynka zamykała właśnie drzwi, trzymając w dłoni list.

Anna zeszła ze schodów. Przyszło jej do głowy, że Zofia zamierza ukryć list, jak kiedyś ten od Jana.

- To chyba do mnie - powiedziała. Zofia obróciła list w rękach.

- Rzeczywiście - przyznała, obrzucając Annę szacującym spojrzeniem migdałowych oczu. - Spodziewałaś się listu?

- Tak, od Jakuba Szrabera.

- Och? - uśmiechnęła się, podając jej list. - Ten jest chyba z Sankt Petersburga. Czyżby napisał do ciebie mąż?

Podczas kolacji hrabina przeszła od razu do rzeczy.

- Co pisze Antoni, Anno Mario?

Anna spojrzała na Zofię, która udawała brak zainteresowania. Musiała jednak odpowiedzieć hrabinie.

- Przeprasza za swoje zachowanie.

- Wspomniał coś o domu?

- Nie.

- Czy wkrótce wraca?

- Nie, ciociu. Píše, że jego ojciec nadal jest chory i życzy sobie, bym przyjechała do Petersburga.

- Do Petersburga? - spytała hrabina.

- Jestem pewna, że chce wszystko naprawić - wtrąciła Zofia. - Może powinnaś pojechać.

- Nie chcę jechać - powiedziała Anna. - Poza tym muszę brać pod uwagę dobro dziecka.

- Właśnie, Anno Mario - zgodziła się z nią hrabina. - Jesteś przy nadziei już od prawie pięciu miesięcy, a podróżowanie na pewno okazałoby się męczące. Z drugiej strony, istnieje szansa, że uratujesz w ten sposób swoje małżeństwo. Dlaczego nie chcesz jechać?

- Fizycznie jakoś bym to zniosła. Mam jednak złe przeczucie...

- Wiesz o tym - przerwała jej ciotka - iż zwykłam odnosić się z największą podejrzliwością do wszystkiego, co rosyjskie. Nie potrafię inaczej. Katarzyna i jej poprzednicy nigdy nie traktowali nas uczciwie. Nie podoba mi się, że

Walter służy w carskim wojsku ani że twój mąż posiada rezydencję w Petersburgu zamiast tu czy w Krakowie. Czasy są niepewne, więc niełatwo mi pogodzić się z tym, że miałabym wysłać cię tam samą. Mam jednak na względzie przede wszystkim wasze dobro. Rodzina jest ważniejsza niż kraj.

- Sądysz, że to mój obowiązek? - spytała Anna, zzymając się w duchu.

- Tak.

- Matka ma rację - powiedziała Zofia, gdy hrabina odeszła od stołu. - Antoni potrafi być elastyczny. Jestem pewna, że w końcu się dogadacie. Jesteś kobietą, Anno. Do tego czarującą. Nie bój się posłużyć tym, co dał ci Bóg.

- Wolałabym raczej posłużyć się głową.

- Ach, zrób to! Kobieta, która posługuje się zarówno wdziękami, jak i rozumem, potrafi wiele osiągnąć. Antoni jest w końcu tylko mężczyzną.

- Gdyby to ode mnie zależało, wolałabym nigdy więcej go nie oglądać.

- Nonsens! Czy on spodziewa się odpowiedzi?

- Nie. Wynajął już nawet powóz - odparła Anna z gniewem. - Ma przybyć po mnie za trzy dni.

- Zatem postanowione. Jeśli potrzebna ci pomoc przy pakowaniu, możesz wziąć Clarice albo Babette.

- Rozumiem więc, że gdybym została, nie byłabym tu mile widziana.

Zofia uśmiechnęła się i spojrzała na kuzynkę ciemnymi, roziskrzonymi oczami.

- Och, Aniu, kochanie, to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Anna postanowiła, że jednak pojedzie. Nie dlatego, że czuła się w obowiązku to zrobić, ale w nadziei, że losy jej małżeństwa wreszcie się rozstrzygną. Zamierzała doprowadzić do ostatecznej konfrontacji z Antonim. Chciała odzyskać ziemię i dom, pragnęła dziecka, a także - kiedy dziecko się urodzi i otrzyma nazwisko - anulowania małżeństwa, jeśli pozwoli na to Kościół. W innym przypadku zostanie jej separacja. Nie była w stanie wyobrazić sobie, że mogłaby żyć z Antonim, być zmuszoną mu ulegać... pod jakimkolwiek względem. Na samą myśl o tym, że miałyby dzielić z nim łóżę, ogarniał ją wstręt. Nie zrobi tego!

Przypomniała sobie jedną ze swych ulubionych opowieści. Otóż pewna żona bywała regularnie bita za to, że nie przygotowywała na czas posiłku. Pewnego dnia przywołała na pomoc ducha opiekuńczego, zwanego Bukwiczynką, od zioła znanego jako leśna bukwica. Rada, jaką od niego uzyskała, była prosta:

Nie płacz, nie przeklinaj Ponieważ to twoja wina.

Gdy inne przygotowują śniadanie, ty także je przygotowuj. Gdy inne gotują obiad, ty także obiad gotuj. Kolacja musi zostać podana w porze kolacji, i Twój mąż nie będzie cię więcej bił.

Jaki stąd morał? Dla Anny rada Bukwiczynki nie była wiele warta. W opowieści, którą przerobiła na własną modłę, wrzeszczący i pijany mąż wyganiał żonę z kuchni, wymachując ciężką chochlą. Płacząca kobieta przebiegała ciemne podwórko, by ukryć się za studnią. Mężczyzna rzucał się na nią, lecz wpadał do studni, a jego pijackie krzyki szybko cichły. Zdaniem Anny tak właśnie zrodziło się powiedzenie: „Milczący jak studnia”.

Zaśmiała się sama do siebie. Nie, nie wrzuci Antoniego do studni, choć miała na to wielką ochotę. Zamiast tego poświęci część swego majątku, by się od niego uwolnić. Zrezygnuje z funduszu powierniczego. Był całkiem spory, a Antoni to człowiek chciwy. Być może zadowolili się tym, co ona zechce mu oddać.

Jednak martwiło ją, że dochody z gorzelni mogą zostać oszacowane wyżej, niż wynosiła wartość funduszu. Antoni chciał zostać magnatem, a nic, co mogła zaoferować - poza ziemią w Sochaczewie - nie mogło mu tego zapewnić.

Usiadła przy biurku i napisała dwa listy.

Pierwszy, zaadresowany do barona Michała Kolbiego, informował, że nie będzie mogła uczestniczyć w przyjęciu z okazji głosowania, ponieważ wyjeżdża na jakiś czas do Petersburga. Zwierzyła się też przyjacielowi ze swoich obaw, dotyczących tej podróży.

Słowa ciotki dotyczące się Katarzyny wróciły do niej jak echo. Poczuli się jak zdrajczyń. Jej ojciec też nie mówił nigdy o carycy nic dobrego. Na myśl o tym, że dziecko mogłoby urodzić się na obcej ziemi, zrobiło jej się zimno. Przysięgła sobie, że nie pozostanie w Rosji długo.

Drugi list zaadresowała do hrabiego Jana Stelnickiego. Dłonie drżały jej, gdy go pisała. Czy starczy jej odwagi, aby go wysłać?

Zapytawszy Michała, dowiedziała się, że gospoda znajduje się po drugiej stronie rzeki, naprzeciw domu Grońskich. Odwiedzało ją zazwyczaj pospólstwo oraz kilku politycznych dysydentów. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że Jan nieraz musiał być tak blisko, oddzielony od niej zaledwie nurtem rzeki.

Westchnęła. Nawet gdyby o tym wiedziała, rzeka - zważywszy na okoliczności - znaczyła tyle co ocean.

Poprzedniego dnia wynajęła powóz i kazała powieźć się wzdłuż rzeki. Wyrzała przez okno i zobaczyła obskurną gospodę. Znajdowała się na parterze dwukondygnacyjnego budynku z czerwonej cegły. Bez wątpienia w lecie klientela wylęgała z hałasem na wąską ulicę. Na wyblakłym zielonym szyldzie napisano czerwonymi literami nazwę przybytku. Pod tworzącym łuk napisem widniał niezdarnie namalowany czarny profil kobiecej głowy.

Serce Anny zaczęło mocniej bić na samą myśl o tym, że Jan siedzi, być może, za tymi brudnymi oknami. Przez drugie okno dorożki widziała dom Grońskich, wzniesiony na skarpie po przeciwnej stronie rzeki. Czy Jan wybrał to miejsce ze względu na jego położenie? Ośmielała się sądzić, że tak właśnie było.

Żałowała teraz, iż nie kazała woźnicy się zatrzymać i nie wysłała go, by zapytał, czy Jan znajduje się w gospodzie. Lecz ostrożność nie pozwoliła jej wykorzystać szansy.

Skończyła list i przeczytała go. Zmarszczyła brwi. Oczywiście nie może napisać o tym, co do niego czuje. Pisała więc o swoim zdrowiu i pytała o jego. Wspomniała głosowanie, które miało odbyć się już następnego dnia, i jego znaczenie dla Sprawy. W końcu dodała także, iż za trzy dni wybiera się do Petersburga, i opisała, czym będzie się do tego czasu zajmowała, dając tym samym Janowi wskazówkę, że gdyby chciał ją odwiedzić, może to uczynić następnego ranka po głosowaniu, między dziesiątą a dwunastą. Skończyła czytać, lecz jej czoło pozostało zmarszczone. List był nieco mdły, wątpiła jednak, czy zdobyłaby się na to, aby wyrazić w nim więcej emocji. Poza tym nie miała już czasu, by próbować.

Co pomyśli sobie ciotka, kiedy Jan je odwiedzi, zastanawiała się. A Zofia?

Jednakże, zważywszy, iż opuszczała dom Grońskich, postanowiła dać sobie spokój z ostrożnością i poleciła Babette, by list wysłano w ciągu godziny.

Nie mogę spędzić życia, wybierając zawsze najbezpieczniejszą ścieżkę, pomyślała, przyglądając się jednocześnie, jak Babette oddała się pośpiesznie chodnikiem. Wspomniała, co powiedział jej kiedyś ojciec: „Czasami trzeba po prostu zdać się na los”.

Część trzecia

Korzenie wiedzy są gorzkie, za to owoc słodki.
Przysłowie polskie

Rozdział dwudziesty dziewiąty.

Powóz, który miał zabrać Annę do Petersburga, przyjechał rankiem, w dniu głosowania. O dwa dni za wcześnie.

Anna nie знаła rosyjskiego zbyt dobrze, była jednak w stanie zrozumieć trochę z tego, co mówili przysłani po nią dwaj mężczyźni. Tak, owszem, jest spakowana, przyznała, wołałaby jednak poczekać jeszcze te dwa dni.

Wyjedzie dopiero po wizycie Jana.

To niemożliwe, powiedzieli, okazując jej zaledwie minimum szacunku. Zapłacono im, by zabrali ją i zaraz wracali, bez zatrzymywania się w Warszawie czy gdziekolwiek indziej. Byli to gburowaci prostacy, niemający pojęcia, jak się zachować.

Zofia i hrabina nie okazały się zbyt pomocne. Będzie musiała jechać. Schroniła się w swoim pokoju.

Powstrzymując łzy rozczarowania, spoglądała na kryształową gołębicę i zastanawiała się, czy powinna zabrać ją w długą i trudną podróż. Intuicja podpowiadała jej, by zostawiła ptaka. Włożyła go więc z powrotem do inkrustowanej szkatułki i oddała hrabinie na przechowanie. Postąpiła podobnie jak ze swoimi marzeniami, schowała je i odłożyła na później.

Spotkanie z Janem nie dojdzie zatem do skutku. Była pewna, że Jan przyjdzie - tylko po to, aby dowiedzieć się, że jej już nie ma. A przecież wystarczyłaby dwudziestoczwierogodzinna zwłoka.

Cóż, stało się inaczej. Usiadła, aby napisać do niego drugi list.

Podeszła do bocznego wejścia, gdzie stał zdezelowany powóz. Z ciotką pożegnała się już wcześniej, oddając jej gołębicę.

Nie miała ochoty żegnać się z Zofią. Otrzymała rankiem list od Jakuba, w którym zaprzeczał on, jakoby jej dom został zburzony. Zofia zatem skłamała. Anna czuła zarazem ulgę i pogardę. Nie chciała mieć więcej z kuzynką nic wspólnego. Kiedy załatwi sprawę z Antonim, wróci do Sochaczewa. Najszybciej, jak tylko się da.

Siedziała już w powozie, a Rosjanie mocowali na dachu jej bagaż, kiedy nadbiegła Babette.

- Proszę zaczekać, madame! - zawołała. - Och, bardzo proszę!

Anna wyjrzała przez okno i zobaczyła, że pokojówka biegnie ku niej, ciągnąc za sobą dzieci.

- Och, madame, proszę - powiedziała, zdyszana. - Gdyby była pani tak dobra i zechciała zabrać ze sobą Louisa i małą Babette jako służących. Może pani zatrzymać ich, jak długo zechce, albo do czasu, aż dorosną.

- Co takiego? - spytała Anna, w najwyższym stopniu zdumiona.

- Wiem, że panią lubią, pani Anno. Ma pani na nich taki dobry wpływ! Poza tym uwielbiają pani opowieści. Tu tylko płaczą się pod nogami, a pani Zofia nie ma do nich zbyt wiele cierpliwości. Powiedziała, że muszę je odesłać lub odejść wraz z nimi.

Anna wpatrywała się w młodą matkę z niedowierzaniem. Czy więzy krwi tak mało dla niej znaczą? Lecz widać Babette, podobnie jak Zofia, myślała tylko o sobie.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, jaką odpowiedzialność brała na swoje barki, mimo to zgodziła się bez wahania. Dzieci były zepsute, niewychowane i pozbawione miłości. Miała nadzieję, że zdoła naprawić przynajmniej część wyrządzonej im krzywdy. Biedactwa. Uświadomiła sobie też, iż Babette najwidoczniej była pewna jej zgody, gdyż rzeczy dzieci były już spakowane.

Maluchy wdrapały się do powozu i usiadły naprzeciw Anny. Spojrzała na ich okrągłe twarzyczki. Dopóki nie dorosną? W co ona się znów wpakowała?

Gdy powóz toczył się podjazdem, spojrzała w okna pokoju Zofii. Była pewna, że zasłony poruszyły się. Czy kuzynka stała za nimi, dyskretnie obserwując jej odjazd? Czy uczucia Zofii wobec niej były równie ambiwalentne, jak te, które wypełniały ją samą.

Babette stała w drzwiach, machając do dzieci i wykrzykując słowa pożegnania. Anna odwróciła się i zobaczyła, że Louis i mała Babette siedzą nieruchomo, a w ich oczach nie widać łez.

Zaczął padać śnieg. Powóz wjechał na most, łączący Pragę z miastem, a potem skręcił w lewo, w ulicę biegnącą równoległe do rzeki.

Cóż, pomyślała Anna, te dwa rosyjskie niedźwiedzie mają przynajmniej dość inteligencji, by zrozumieć, że proponuje im się łapówkę.

Powóz zatrzymał się na kamiennym chodniku przed gospodą i jeden z Rosjan niezdarnie pomógł Annie wsiąść.

Dzień głosowania był dla Jana dniem gorączkowej aktywności. Wraz z grupą podobnie myślących entuzjastów jeździł od miasta do miasta, od sejmiku do sejmiku, by przekonywać do Sprawy i skłaniać do udziału w głosowaniu

tych, którzy jeszcze tego nie uczynili. Gdy wrócił wreszcie do Warszawy, było już bardzo późno.

Patrioci byli dobrej myśli. Wierzyli, że konstytucja, zatwierdzona przez sejm w zeszłym roku, zostanie też ratyfikowana przez sejmiki w całej Polsce, zapoczątkowując tym samym proces reform w królestwie.

Mimo entuzjazmu, z jakim podchodził do swej politycznej działalności, ów ważny skądinąd dzień dość mu się dłużył. A to z powodu listu, spoczywającego w kieszeni na piersi. Jutro zobaczy się z Anną. Nieważne, że będzie to ostatni raz przed długą przerwą. Zobaczy ją. Samą, jak miał nadzieję.

Nie sięgał myślami poza dzień jutrzejszy. Jutro było jego przyszłością.

RS

Rozdział trzydziesty.

Niedługo po tym, jak powóz wyjechał z miasta i zaczął toczyć się przez ściętą mrozem wiejską okolicę, Anna poczuła się niedobrze. Złe przecucia dręczyły ją, od kiedy otrzymała list Antoniego. Swe obecne samopoczucie przypisywała jednak raczej ciąży i trudom podróżowania.

Jeśli powóz i ludzie, których po nią wysłał, mają być dowodem na to, że Antoni potrafił oszczędzać grosz, z pewnością uda mu się zostać magnatem, pomyślała. Musiał wynaleźć najtańszy wehikuł w całym Petersburgu. Powóz był zniszczony i najwidoczniej zbudowano go, zanim wynaleziono sprężyny. Odczuwała każdą nierówność i kamień na drodze. W oknach nie było szyb, tylko okiennice. Zamknięto je tak dokładnie, jak tylko się dało, mimo to od okien ciągnęło chłodem. Dwa typy, zmieniające się co jakiś czas na koźle, przypominały natomiast postaci z tragikomedii.

Anna próbowała usadowić się jak najwygodniej. Śnieg nadal padał. Podróż zimą miała swoje dobre strony: spod kół nie unosił się, jak latem, kurz, podróżnym nie groziło też, że utkną w wiosennym błocku. Hrabina postarała się o wypchane gęsim puchem kołdry, które ochraniały pasażerów przed mroźnym powietrzem. Otulili się nimi aż po czubki głów, a stopy wsparli na dwóch krytych pojemnikach z gorącymi węglami.

Lutisza zawiązała Annie wokół pasa garbowaną koźlą skórę, która miała dodatkowo ochronić dziecko przed chłodem. Przyszła matka nie mogła jeszcze wtedy wiedzieć, jak bardzo przydatny okaże się ów kawałek skóry.

Nie zdążyli odjechać daleko, a już zaczęła powątpiewać w to, czy zabieranie w tak długą podróż dzieci to aby na pewno dobry pomysł. Maluchy były niegrzeczne i bez przerwy paplały w gminnej francuszczyźnie. Choć ładnie ubrane, były jednak brudne, gdyż nie nauczono ich regularnie się myć. Louis miał osiem lat, a Babette sześć i Anna martwiła się, że przyuczenie do służby dwójki dzieciaków niewiedzących, co to dyscyplina, może okazać się zadaniem trudnym i mocno niewdzięcznym.

W ciągu dnia zatrzymali się w gospodzie, aby odpocząć i nakarmić konie. Mężczyźni zamówili jedzenie, lecz Anna przedłożyła zawartość swego koszyka z prowiantem nad posiłek w zaszczurzonej, cuchnącej gospodzie, do tego pod obstrzałem wścibskich oczu. Skorzystała jednak z toalety, choć była brudna. Gdyby podróżowała samotnie, chętniej ulżyłaby sobie na śniegu.

Im bliżej nocy, tym było zimniej, toteż, nim wsiedli do powozu, Anna poleciła Louisowi, by poszedł do gospody wymienić węgle w ogrzewaczach do

stóp. Tępi Rosjanie oczywiście o tym nie pomyśleli, a ona wołała ich o nic nie prosić.

Chłopiec potrząsnął jednak głową:

- Nie pójdę, chcę wejść do powozu, gdzie jest ciepło.
- Nie będzie tam ciepło zbyt długo, jeśli nie przyniesiesz węgla.
- Nie pójdę-upierał się malec.

Babette natychmiast zaczęła naśladować brata.

- Nie pójdę! - powiedziała swym cienkim głosikiem.
- Louis! - zawołała Anna ostro.

Chłopiec zatrzymał się i spojrzał na nią spod grzywy brązowych kręconych włosów. Anna po raz pierwszy podniosła dziś na dzieci głos, był więc mocno zaskoczony.

- Chodź tutaj! Zawahał się.
- Natychmiast, Louis!

Chłopiec zbliżył się powoli, a w jego oczach widać było zarówno bunt, jak i strach. Babette o buzi cherubinka, wykrzywionej strachem, przywarła do boku brata.

Anna nie odzywała się przez chwilę, zbierając myśli. Jej milczenie sprawiło, że chłopiec poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

- Jestem waszą opiekunką - powiedziała po francusku. - Zrozumiałeś?
Skinął niepewnie głową.

- Jeśli mamy zostać ze sobą, musimy dobrze się zrozumieć. Dopóki będziecie ze mną, będę pełniła rolę waszej matki. Jeśli zażyczę sobie czegoś, czego ona od was nie wymagała, lub zrobię coś inaczej, niż robiła to ona, nic wam do tego. Macie być posłuszni. Nie będę wymagała zbyt wiele, lecz jeśli o coś poproszę, spodziewam się, że polecenie zostanie wypełnione. Bez zbędnych słów i komentarzy. Czy to jasne?

- Oui - odparł Louis, lecz w jego głosie oraz wyrazie zaciśniętych buntowniczo ust nadal wyczuwała sprzeciw.

- Oui?
- Oui, madame.
- Dobrze. W zamian zaopiekuję się wami. Szybko zostaniemy przyjaciółmi, prawda, Louis?

Uśmiechała się przyjaźnie, by skłonić go do zarzucenia oporu.

- Oui, madame - powtórzył, uśmiechając się nieśmiało.

- A teraz dopilnuj, by do ogrzewaczy włożono świeże węgle. Jestem absolutnie pewna, że nie zamarzniesz na śmierć, wykonując to polecenie.

Chłopiec odszedł, by wyjąć z powozu piecyki. Anna zwróciła się tymczasem do dziewczynki:

- Nigdy więcej nie zwracaj się do mnie w ten sposób, zrozumiałaś, Babette?

Jasnowłosa dziewczynka spojrzała na nią szeroko otwartymi, pełnymi łez niebieskimi oczami. Jej małe usteczka, ledwie widoczne pomiędzy pulchnymi policzkami, wygięły się w podkówkę.

- Oui, madame - powiedziała.

Anna miała wielką ochotę przytulić dzieci. Zamiast tego poleciła:

- A teraz biegnij do gospody za swoim bratem.

Wiedziała, że maluchy sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić. Wiedziała też, że pomyślnie przeszła test i tylko zyskała w ich oczach. Czuła, że dzieci posiadają swego rodzaju szósty zmysł i że dopiero teraz zasady ich wzajemnych stosunków zostały ustalone. Louis i Babette odpowiedzą uczuciem na miłość, jaką zamierzała ich otoczyć. Wpierw jednak musiała nauczyć dzieci szacunku.

Wkrótce byli znów w drodze. Annie nadal dokuczały nudności. Złe przeczucia, dotyczące tej podróży, jeszcze się nasiliły. Wkrótce niebo pociemniało i zaczął padać śnieg. Nieustannie zadawała sobie pytanie, jak to było możliwe, że Rosjanie przyjechali dwa dni wcześniej, niż zapowiadał Antoni? Czy chcieli ją zaskoczyć? Czy jej mąż obawiał się, że ona może opuścić dom Grońskich, nim przybędzie powóz?

Doszła do wniosku, że wszystko to było bardzo dziwne.

Jan i jego patriotycznie nastawieni towarzysze, zarówno spośród szlachty jak i pospólstwa, przybyli do gospody po północy. Mieli za sobą bardzo długi dzień. Stelnicki wynajął karczmę, by mogli spokojnie świętować. Ponieważ było to prywatne przyjęcie, gospoda miała pozostać otwarta dłużej. Zazwyczaj zamykano ją o północy.

Teraz w niewielkiej sali tłoczyła się ponad setka mężczyzn. Jan odczuwał wielką satysfakcję, gdyż udało mu się zebrać w jednym miejscu zarówno ważne postaci - takie jak jego mentor Hugo Kołłątaj, Ignacy Potocki, Stanisław Małachowski i Tadeusz Kościuszko - jak i zwykłych obywateli. Franciszek Karpiński, znany poeta i przyjaciel króla, uraczył ich wierszem, napisanym specjalnie na tę okazję.

Stelnicki był podekscytowany zatwierdzeniem konstytucji, jednak nie przestawał myśleć o jutrzejszym spotkaniu z Anną. Przyrzekł sobie, że nie będzie dziś pił alkoholu, by nazajutrz mieć jasny umysł. Liczył godziny dzielące go od spotkania.

Hortenspa, kobieta o krępej figurze i dzielnym sercu, przedarła się ku niemu przez tłum i zawołała bez tchu:

- Panie Stelnicki! Przez to zamieszanie niemal zapomniałam...

- O co chodzi?

- Dziś rano pewna dama przyszła tu, żeby się z panem zobaczyć.

- Dama? - zapytał Jan. Chociaż zdarzało się, że kobiety odwiedzały gospodę, raczej nie było wśród nich dam. Jego serce zaczęło szybciej bić.

- Tak - potwierdziła Hortenspa - dama o uderzającym wyglądem, z brązowymi włosami i głęboko osadzonymi oczami, bardzo poważna.

Jana ogarnęło złe przecucie. Patrzył, jak kobieta sięga do kieszeni fartucha.

- O zielonych oczach?

- Och, tak, proszę pana. Bardzo piękna, ale z wyrazem takiego smutku na twarzy, że człowiekowi mogłoby pęknąć serce od samego patrzenia na nią. Zostawiła dla pana list.

Wziął list i przez chwilę obracał go w dłoniach.

- Dziękuję, Hortenspa.

- Mam nadzieję, że to nie żadne złe nowiny. Kobieta odwróciła się i znikła w tłumie.

Jan usiadł, czując, że jego puls przyśpiesza. List od Anny! Koperta pasowała do tej, którą skrywał w kieszeni na piersi. Co w nim jest, zastanawiał się. Czy chodzi o zmianę planów? Próbował stłumić narastającą panikę.

Szybko otworzył list. Zawierał jedynie krótką wiadomość, kilka zdań, które przeczytał, rzuciwszy na nie raz okiem.

Anna opuściła już Warszawę! Miała spotkać się z mężem w Sankt Petersburgu. W Rosji! Coś ścisnęło go w żołądku. Wyjechała. Nie będzie spotkania. Czuł się tak, jakby wyrwano mu z piersi serce.

Przeczytał wiadomość ponownie, lecz nie zmieniło to jej sensu. Tekst tchnął smutkiem, choć zawierał zaledwie trzy zdania. Musiała wyjeżdżać w pośpiechu, domyślił się.

Kiedy znów ją zobaczę? - zastanawiał się w rozpaczy.

Zamówił alkohol. Próbował skryć smutek, by nie zwracać na siebie uwagi i nie psuć radosnego nastroju.

Po kilku szklaneczkach, kiedy oswoił się już z myślą, że ich spotkanie nie dojdzie do skutku, pomyślał o tym, ile odwagi wykazała Anna, przychodząc osobiście do gospody. Łatwo mógł wyobrazić sobie w tej sytuacji Zofię, lecz Anna? Uśmiechnął się bezwiednie. Anna Maria powoli stawała się kobietą:

świadomą, zrównoważoną i pewną siebie. Był z niej bardzo dumny, wzruszyło go też, iż posunęła się tak daleko, by zawiadomić go, że wyjeżdża.

Szczęśliwej podróży, Aniu, pomodlił się w duchu. Niech Bóg cię prowadzi i ustrzeże od wszelkiego zła.

Nie posługiwał się dotąd zdrobnieniem jej imienia, nawet w myślach. Teraz przyszło mu to nader łatwo, gdyż nigdy nie była mu aż tak bliska - mimo iż rozdzieliła ich olbrzymia przestrzeń, i to Bóg wie, na jak długo.

RS

Rozdział trzydziesty pierwszy.

Nieustępliwa śnieżycą, której towarzyszył lodowaty wiatr, atakowała powóz kilka dni z rzędu. Czwartego dnia siedzieli zobojętniali w rozkołysanym pojeździe, wsłuchując się w przenikliwe poświstywanie wichru.

Poruszali się w iście żółtym tempie i Anna miała nadzieję, że natrafią wkrótce na jakąś gospodę. Jeśli Rosjanie mają do spółki choćby połowę mózgu - a wydawało się to wątpliwe -poszukają schronienia najszybciej, jak tylko się da.

Louis był tego dnia dziwnie spokojny, lecz Anna przypisywała to lękowi przed burzą i nudzie. Zaczął mamrotać coś pod nosem, przerzucając francuską książeczkę, ale w jego głosie nie było, jak zwykle, życia. Anna wątpiła też, by chłopiec mógł rozróżnić litery w półmroku, rozjaśnionym tylko nikłym blaskiem pojedynczej lampy. Mała Babette leżała obok brata, ledwie widoczna spod kołdry. Nie poruszyła się od wielu godzin, od postoju rankiem w gospodzie.

Anna pomyślała, jak wyczerpująca musi być dla nich ta podróż. Dziękowała w duchu Bogu, że dzieci nie boją się zawieruchy, tak jak ona. Prawdę mówiąc, zazdrościła im tego.

O zmierzchu powóz zatrzymał się gwałtownie.

Co też mogło się stać, zaniepokoiła się. Serce podskoczyło jej w piersi na myśl o ciepłej gospodzie. Nie skarżyłaby się, nawet gdyby lokal był brudny, cuchnący i pełen gryzoni - zresztą z pewnością taki właśnie się okaże.

Nikt nie podszedł, aby otworzyć drzwi.

Spróbowała uchylić okiennicę, lecz ta przymarzła na dobre. Pchnęła więc drzwi, lecz one także nie ustąpiły. Wyglądało na to, że zostali uwięzieni w środku powozu pod grubą pokrywą śniegu i lodu. Ogarnęło ją uczucie klaustrofobii. Starła się usłyszeć coś poprzez wycie wichru. Co tam się działo?

- Czego chcecie? - stłumiony głos z zewnątrz musiał należeć do któregoś z Rosjan.

Oczywiście sądziła, że zwracają się z tym pytaniem do niej. Już miała krzyknąć coś w odpowiedzi, lecz dźwięk innych głosów, słów wypowiedzianych po polsku, sprawił, że się rozmyśliła. Kim mogli być Polacy, zatrzymujący ich na odludnej drodze?

Wyteżyła słuch, lecz poprzez wycie wiatru i odgłos końskich kopyt niewiele mogła usłyszeć. Wyjęła z koszyka łyżkę, którą zapakowała tam

Lutisza, i podważyła okiennicę, ta zaś uniosła się nieco i Anna mogła zobaczyć fragment rozgrywającej się na zewnątrz sceny.

Było jasne, że Polacy i Rosjanie nie bardzo mogą się porozumieć. Polaków było trzech, wszyscy na koniach. Za oszronionymi wąsami kryły się zacięte, gniewne twarze.

Ogarnął ją lęk. Przypomniała sobie, że ciotka przestrzegała ją, co powinna zrobić, gdyby napadli ich rabusie. W tych czasach wcale nie zdarzało się to tak rzadko. Ciotka radziła, by nie próbowała stawiać oporu, lecz trzymała w jednej dłoni kosztowności, a w drugiej mały krucyfiks, który jej podarowała. Powinna ukryć jedynie żywność, gdyż może to ocalić im życie, jeśli zostaną ograbieni z powozu.

Anna dała sobie jednak spokój z szukaniem krucyfiks. Zamiast tego spojrzała na dzieci. Babette pozostawała nieruchoma, mimo hałasu na zewnątrz. Louis siedział z otwartą na kolanach książką, ale nie czytał. Jego oczy, ciemne i puste, zdawały się należeć do starca, nie do dziecka.

- Boisz się, Louis?

Chłopiec z wolna potrząsnął głową. Coś złego dzieje się z dziećmi, uświadomiła sobie. Coś bardzo złego.

Jeden z Polaków domagał się od Rosjan, by powiedzieli, dokąd jadą. Słyszała, jak Rosjanie naradzają się pomiędzy sobą. Już miała zawołać, że udają się do Sankt Petersburga, gdy jeden z Rosjan powiedział:

- Do Opoła.

Pomyślała, że musiała się przesłyszeć. Pytanie powtórzono.

- Do Opoła! - odparł ponownie Rosjanin.

Annie ścisnęło się serce. Nie jechali więc na wschód do Petersburga, ale na południowy zachód, do Opoła, gdzie znajdowała się wiejska posiadłość Grawlińskich.

Ale dlaczego? I po co te podstępny?

Jeszcze raz spróbowała otworzyć drzwi. Zażąda od Rosjan wyjaśnień. Jednakże drzwi nie ustąpiły. Była zamknięta we wnętrzu powozu niczym w grobowcu.

- Kogo wieziecie? - dobiegł ją głos Polaka.

Po kilku chwilach, gdy sens pytania wreszcie dotarł do Rosjan, usłyszała swoje nazwisko.

- Zsiadajcie. Otwórzcie drzwi. Porozmawiamy z nią. Anna stłumiła okrzyk strachu. Louis także wydawał się przerażony.

- Czy mógłbyś usiąść koło mnie? - spytała, starając się, by zabrzmiało to możliwie zwyczajnie.

Chłopiec zignorował ją.

- Proszę, Louis!

Wstał i opadł na siedzenie obok Anny. Jej cierpliwość została wystawiona na próbę i przez chwilę odczuwała pokusę, aby uderzyć dziecko.

- Źle się czuję - powiedział chłopiec.

- No już, po prostu się przestraszyłeś - powiedziała, otulając go kołdrą. - Wszystko będzie dobrze.

Wcale nie była jednak tego pewna. Modliła się, by Bóg zechciał ocalić dwoje powierzonych jej malców, a także jej własne, nienarodzone jeszcze dziecko.

Mijały minuty. Wyglądało na to, że Rosjanie nie kwapią się, aby otworzyć powóz. Crescendo gniewnych głosów wyrwało Annę z zamyślenia, przerywając cichą modlitwę. Rozległ się wystrzał z pistoletu, a zaraz potem krzyk.

Louis wygramolił się z kołdry i osunął na podłogę w pobliżu drzwi.

Anna wyjrzała przez szparę w oknie i zobaczyła konia bez jeźdźca. Nie miała pojęcia, co tam się dzieje. Dlaczego Rosjanie woleli kogoś zabić, ryzykując głową, niż otworzyć powóz?

Jeszcze jeden wystrzał, a po nim brzęk białej broni i odgłosy towarzyszące walce.

- Boże, dopomóż! - zawołała.

Kolejny strzał. Kula wpadła do powozu i utkwiała w ścianie tuż nad głową śpiącej Babette.

Anna poczuła dym. Spojrzała na podłogę. Louis przewrócił jeden z ogrzewaczy i węgle wysypały się, a podłoga zajęła ogniem. Na razie drewno tylko się żarzyło, miała więc nadzieję, że zdoła je ugasić. Jednak Louis nie pozwalał jej się skupić. Bez przerwy trącał siostrę, powtarzając:

- Babette, Babette.

Jak to możliwe, że dziewczynka nie słyszała zgiełku ani odgłosu wystrzałów?

Na zewnątrz zapanował chaos.

Anna straciła nad sobą kontrolę. Krzyczała i płakała jednocześnie, nie wiedząc, co powinna uczynić. Nagle ktoś pociągnął za drzwi. Natychmiast otrzeźwiała. Powóz zatrzęsł się, lecz drzwi nie ustąpiły.

- Proszę popchnąć z drugiej strony! - zawołał ktoś po polsku.

Siedziała przerażona, wpatrując się w drzwi. Nie wiedziała, komu zaufać - Polakom czy Rosjanom.

Powóz przestał się trząść. Najwidoczniej Polacy odstąpili.

Postanowiła, że musi się pozbierać. Jeśli chce ocalić siebie i dzieci, trzeba działać. Sięgnęła ku nieruchomej postaci owiniętej w kołdrę. Przeczucie podpowiedziało jej, że dziewczynka nie żyje, jeszcze zanim dotknęła małej jak u lalki dłoni i przekonała się, że jest lodowata.

Zaszokowana i niezdolna rozumować jasno pomyślała, że jeśli podniesie Babette i przytuli ją do siebie, dziewczynka rozgrzeje się i powróci do życia.

- Louis, pomóż mi podnieść siostrę.

Chłopiec miał wzrok utkwiony w Annie, lecz nie poruszył się. Nawet w gasnącym świetle latarni dostrzegła, że pod oczami ma ciemnoniebieskie kręgi. Malec był chory.

Tego dnia Rosjanie przynieśli z gospody potrawkę z grzybów i jajek. Dzieci zjadły ją, lecz Anna wolała kiełbasę, jogurt i ciemny chleb z koszyka. Zrozumiała nagle, że dzieci zostały otrute przez Rosjan, ci zaś bez wątpienia sądzili, że ona także zjadła truciznę.

Antoni wynajął ich, by mnie zabili! Uświadomiła to sobie z przerażającą jasnością.

Uniosła Babette, spojrzała jej w twarz i westchnęła, przerażona. Nieruchome oczy dziecka otaczały granatowoczarne kręgi, otwarte usta z fioletowymi wargami wyglądały jak czarna dziura. Babette nie wróci już do życia.

Przyciągnęła do siebie Louisa i tuliła go z całych sił. Wiedziała jednak, że to się na nic nie zda. On także umierał. Przywarł mocno do Anny, spoglądając na nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Wiedział.

Powóz zatrząsł się gwałtownie i zakołysał. Anna słyszała rżenie koni, stających dęba ze strachu.

Muszą się stąd wydostać, myślała gorączkowo. Nawet jeśli powóz się nie przewróci, zginą od dymu i ognia. Było już za późno, by ugasić pożar, który rozprzestrzeniał się nieubłaganie. Pozostawała jedynie ucieczka.

Zostawiła Louisa i spróbowała otworzyć drzwi po stronie przeciwnej do tej, gdzie toczyła się walka. Nie wiedziała, czy ktokolwiek pozostał jeszcze przy życiu. Oboje zaczęli kaszleć. Czują, jak żar przenika podeszwy jej butów.

Rzuciła się na drzwi. Ustąpiły dopiero za trzecim razem i Anna w ostatniej chwili uchroniła się przed upadkiem do przydrożnego rowu. Tylne koło

powozu zaczęło się już osuwać i powóz przechylił się niebezpiecznie, jakby miał za chwilę stoczyć się z drogi.

Nagle pojazd podskoczył, a Anna opadła bezwolnie na siedzenie. Napływające powietrze podsyciło widać ogień, gdyż płomienie rozgorzały z nową siłą.

Louis przestał kaszleć.

- Louis! Louis!

Chwyciła rękę chłopca i poszukała pulsu. Nie znalazła.

Nie było czasu, by opłakiwać dzieci, czy choćby o nich myśleć. Anna podeszła do drzwi i zsunęła się najniżej, jak tylko się dało, a potem skoczyła, opadając niczym bezskrzydły ptak prosto do zimnego, wilgotnego, lecz wysłanego miękkim śniegiem rowu.

RS

Rozdział trzydziesty drugi.

Hrabina Stella Grońska czuła się tak, jakby przewleczono ją przez ucho igielne, w wyniku czego znalazła się w jakimś obcym miejscu, z którego jednak udało jej się wydostać. Powoli zaczynała znów czuć się jak kobieta, którą była, nim umarł jej mąż.

Och, zdawała sobie sprawę, że Anna i Zofia uważają ją za dziwaczkę. Jej samej wydawało się, że otaczają coś w rodzaju chmury. Czasami czuła się tak, jakby była więźniem we własnym ciele, przyglądającym się bezwolnie, jak mówi i robi rzeczy niezwykle i dziwaczne. Mówiła sama do siebie, dziergała na drutach bezkształtne formy, pruć ją i zaczynała od nowa. Pokrzykiwała też na służbę, i to z byle powodu.

Mimo to próba, jaką musiała przejść, pozwoliła jej lepiej poznać samą siebie. Z urodzenia i wychowania była szlachcianką. Była też żoną szlachcica. Jej stosunki z Leo, a przedtem z ojcem, oparte były na tej samej zasadzie, jak matki z mężem: obie słuchały mężczyzn, nie podając w wątpliwość słuszności ich decyzji. Nie miała okazji, aby nauczyć się myśleć samodzielnie.

Wpojono jej, aby we wszystkim zdawała się na mężczyznę. Zamiana ojca na męża, poślubionego zgodnie z wolą rodziców, którzy zaaranżowali to małżeństwo, została starannie przygotowana i przeprowadzona. Nie do niej należało kwestionować swe miejsce w rodzinie, a także w świecie.

Na szczęście Leo okazał się dobrym mężem. Nigdy jej źle nie traktował i z czasem połączyło ich uczucie. Oczywiście zdarzały mu się okresy nadmiernego picia alkoholu lub też incydenty, podczas których zbyt brutalnie obchodził się z ich przybranym synem, lecz nauczyła się wywierać na niego wpływ, neutralizując tego rodzaju zachowania.

Stella nie wiedziała, jak żyć bez mężczyzny. Nie była przygotowana na nagłą śmierć męża, na konieczność podejmowania decyzji w sprawach dotyczących się Anny albo reagowania na zachowanie dwójki swoich dzieci. Wszystko to sprawiło, że czuła się jak na opadającej w dół spirali. Co spowodowało, że w końcu otrząsnęła się i zawróciła? Częściowo była to troska o Annę. Żałowała teraz, że pozwoliła jej pojechać do Rosji, do Antoniego Grawlińskiego. Wreszcie zaczęło do niej docierać, jak kiepskim był mężem. Już epizod z Minką wystarczyłby za dowód. W jakie niebezpieczeństwo wpakowała swoją siostrzenicę tym razem? Powracająca wciąż myśl, że

Annie naprawdę coś zagraża, sprawiała, że ramiona hrabiny pokrywały się gęsią skórą.

Swoje ozdrowienie przypisywała także modlitwie. Podczas miesięcy próby nie wyrzekła się wiary. Modlitwa pomagała jej znosić cierpienie i trwać. Modlitwa - najlepszy przyjaciel każdego Polaka.

Siedziała teraz w szwalni, pogrążona w czytaniu specjalnego wydania swego ulubionego czasopisma. Wiadomości były dobre. Okazało się, iż konstytucja zostanie utrzymana. Głosowanie, choć wyników nie potwierdzono dotąd oficjalnie, wykazało jednoznaczne poparcie dla reform.

Czytając, nuciła pod nosem, przysłuchując się odgłosom świętowania i wesołego zgiełku, dobiegającego z ulic Warszawy i Pragi. Co za szczęśliwy dzień! Polska była pierwszym krajem w Europie, który przyjął tak postępową ustawę. Pomimo sprzeciwu niektórych spośród magnatów konstytucja została obroniona. Hrabina czuła się dumna z postawy swego narodu.

Była także dumna z siebie. Przed śmiercią Leo przyjmowała jego poglądy jako własne. Jednakże w ciągu ostatnich tygodni stała się politycznie rozbudzona i dociekliwa. Godziny, poświęcane dotąd na bezużyteczne robótki, spędzała teraz, czytając o Kościuszcze i o Sprawie. Zaczęła dostrzegać, jak niesłuszne i potencjalnie groźne były działania, mające na celu niedopuszczenie do tego, by wszystkie klasy społeczne mogły żyć na przyzwoitym poziomie. Ludzie powinni mieć możliwość pełnego rozwinięcia swoich możliwości i talentów. Pisał o tym Thomas Paine w dziele Prawa człowieka. Ta świeżo odkryta, prosta filozofia bardzo się jej spodobała. Myślała teraz samodzielnie i czuła się z tym o wiele lepiej. Zyskała też spokój i pewność siebie.

Podczas uroczystości nad Wisłą słyhać było strzały na wiwat, co sprowadziło myśli hrabiny na mniej radosne tory. Przypomniała sobie rozbiór w roku 1772. Miała wtedy trzydzieści dziewięć lat. Długotrwały marsz Polski ku demokracji właśnie się rozpoczął. Młody król Stanisław popierał ruch reformatorski, podobnie jak dzisiaj. Niestety, w trzech sąsiadujących z Polską mocarstwach autokratyzm święcił akurat największe triumfy w całym tysiącleciu. Habsburgowie w Austrii, Hohenzollernowie w Prusach i Romanowowie w Rosji tworzyli swoje imperia kosztem prostych obywateli i chłopów. Powiadano, że dziewięćdziesiąt pięć procent Rosjan to chłopci pańszczyźniani, żyjący w skrajnej nędzy. W miastach polskich rozpowszechniło się wówczas powiedzonko, unaoczniające różnice w traktowaniu obywateli w obu krajach. Brzmiało ono: „Musi to na Rusi, w Polsce jak kto chce”.

Wspomniała, jak władcy Austrii, Rosji i Prus, obawiając się, iż demokratyczne przemiany w Polsce mogą zachęcić ich obywateli, by także zaczęli domagać się reform, postanowili rozdzielić pomiędzy siebie część kraju. Polskie ziemie i zamieszkujący je ludzie zostali sprzedani jak bydło, bez prawa powrotu do macierzy.

Na Boga, pomyślała, konstytucja musi się ostać! Dopiero teraz, po tym, jak odzyskała siły i chęć do życia, była w stanie zrozumieć w pełni znaczenie i historyczną wagę tego głosowania. Lecz dostrzegała też niebezpieczeństwo. Trzy zdradzieckie imperia były dziś silniejsze niż dwadzieścia lat wcześniej. Czy pozostaną bezczynne, przyglądając się, jak w graniczącym z nimi kraju rozkwita demokracja? Na pewno potrafią dostrzec tylko jej ciernie.

Wzdrygnęła się, jakby od chłodu. Wiedziała, że mocarstwa nie pozostaną bezczynne. Będą działały.

Jak Polska może odpowiedzieć na ich agresję?

Nastawiona pokojowo Rzeczpospolita nie posiadała stałej armii. Skarb państwa płacił za utrzymanie oddziałów, liczących około osiemnastu tysięcy żołnierzy - co stanowiło niewielką siłę. Poza tym krążyły plotki, jakoby skorumpowane władze polityczne i wojskowe zmniejszyły tę liczbę dla własnych korzyści i teraz liczebność armii nie przekraczała jedenastu tysięcy.

Za oknem świętowano hałaśliwie, ale hrabina pograżyła się w niewesołych rozmyślaniach. Cóż znaczyło jednaście tysięcy żołnierzy wobec armii, jaką mogły wystawić trzy potężne mocarstwa?

Modliła się, aby nie dane jej było usłyszeć, jak na ulicach Warszawy rozbrzmiewają wystrzały z wrażej broni.

Rozdział trzydziesty trzeci.

Anna leżała oszołomiona przez co najmniej kilka minut. Śnieg pokrywał jej twarz i ręce, z wolna przywracając ją do świadomości. Wpadła do głębokiego, naturalnego rowu obok drogi. Spojrzała w górę. Ponad nią powóz, wyraźnie widoczny na tle ciemniejącego nieba, przechylał się niebezpiecznie. Spód budy płonął, a przerażone konie tłukły kopytami i rżały rozpaczliwie. Niebezpieczeństwo przewrócenia się powozu sprawiło, że do reszty odzyskała przytomność.

Poczołgała się z trudem wzdłuż rowu, zapadając w kopnym śniegu.

Śnieżycą z każdą chwilą przybierała na sile. Deszcz ze śniegiem, niesiony silnym wiatrem, chłostał twarz Anny i jej gołe dłonie.

Ledwo zdążyła oddalić się dwadzieścia kroków od powozu, gdy usłyszała trzask, a potem huk. Obejrzała się i zobaczyła, że konie zostały odcięte: znaczyło to, że co najmniej jeden z mężczyzn przeżył!

Powóz leżał w rowie, obrócony kołami do góry, a płomienie owijały się wokół niego niczym ogniste węże. Anna patrzyła na to przez dłuższą chwilę, a potem przyszło jej do głowy, że powinna wrócić po dzieci. Lecz Louis i Babette nie żyli. Nic już nie można było dla nich zrobić. Niech Bóg zabierze do siebie ich niewinne duszyczki!

Instynktownie dotknęła brzucha. Musi chronić własne dziecko, za wszelką cenę. Rozejrzała się dookoła. Tutaj zbyt łatwo można ją było dojrzeć. Potrzebowała bezpieczniejszego schronienia.

Wyjący nieustannie wiatr zagłuszał wszelkie odgłosy. Kto z dwójki Rosjan i trójki Polaków przeżył? Modląc się gorąco, by nie została dostrzeżona, ruszyła, czołgając się, w górę zbocza wznoszącego się przy drodze, gdzie świerki stanowiły pewną osłonę.

Ukrywszy się, przyklekła i schowała twarz i ręce w pelerynie, jak żółw chowający się w swojej skorupie. Straciła poczucie czasu.

W końcu odważyła się zerknąć spomiędzy gałęzi. Było już całkiem ciemno i tylko dopalający się powóz dawał trochę światła. Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, lecz nie dostrzegła nikogo - ani koni, ani ludzi. Poprzez białą zasłonę śniegu widziała spoczywające na ziemi ciała. Komukolwiek udało się przeżyć, najwidoczniej dawno uciekł.

Powoli zsunęła się do rowu i wyczołgała na drogę. Wstała ostrożnie i poszła przyjrzeć się ciałom zabitych. Było ich cztery i jedno konia.

Wspomniała dzień, kiedy do domu przyniesiono zwłoki ojca. Dlaczego takie rzeczy muszą się wydarzać, zastanawiała się, drżąc na zimnie. Otuliła się wełnianą peleryną, jedną ręką przyciskając do twarzy kołnierz, drugą obejmując brzuch.

Ogień zapewniał wystarczająco dużo światła, by dało się zidentyfikować mężczyzn. Byli zakrwawieni i mieli surowe, ponure twarze, jakby świat, w którym się znaleźli, nie był im przyjazny. Najpierw natknęła się na ciało Polaka, potem Rosjanina, a potem jeszcze jednego Polaka. Ostatni spoczywał twarzą w dół obok martwego konia.

Zaczęła się zastanawiać. Przez szczelinę w okiennicach dostrzegła trzech Polaków, choć mogło być ich więcej. Czy to był właśnie ten trzeci? A może drugi Rosjanin? Zaczepnęła głęboko oddechu, po czym schyliła się i pociągnęła za powalany krwią płaszcz. Choć kosztowało ją to wiele wysiłku, w końcu udało jej się odwrócić ciało.

Krzyknęła, zaszokowana. Mężczyzna, do którego strzelono zapewne z bliska, został prawie całkowicie pozbawiony twarzy. Dolnej szczęki w ogóle nie miał. Mimo to poznała po ubraniu, że nie był Rosjaninem. A zatem drugi Rosjanin uciekł. Na chwilę jej serce przestało bić. Gdzie może być teraz?

Rozejrzała się po ciemniejącej z każdą chwilą okolicy. Czy Rosjanin wróci? A może już tu jest i obserwuje ją z ukrycia? Zapłacono mu, by ją zabił. Czy zechce dokończyć zadanie? Doszła do wniosku, że jednak tego nie zrobi. Bez wątplenia uznał, że zmarła w powozie, jeśli nie od trucizny, to w wyniku pożaru. Poza tym zabrał ocalałe konie. Sprzedaje i zarobi dodatkowo.

Świadomość tego, co się stało, omal nie doprowadziła jej do szaleństwa. Lodowaty nocny wiatr przenikał przez pelerynę jak przez cienką suknię. Anna była wyczerpana.

Ściągnęła z zabitego konia derkę i rozpostarła ją na jego boku i grzbiecie tak, aby utworzyło się coś w rodzaju prymitywnego namiotu. Zdjąwszy jednemu z martwych Polaków rękawice, wczółgała się pod derkę. Drżąc z zimna i z powodu niedawnych przeżyć, przywarła do ciepłego jeszcze końskiego boku. Leżała tak, drżąc, modląc się i wychwalając w duchu Lutiszę za to, iż wykazała dość przezorności, by owinąć jej brzuch ciepłą koźlą skórą. Gdybyż tylko ochrona okazała się wystarczająca, pomyślała, zmartwiona.

Po jakimś czasie poczuła się tak, jakby wciągano ją w niebieską, lodowatą pustkę - jakby była małym stateczkiem, porwanym przez bystre nurty rzeki zapomnienia, Lete.

Gdy się ocknęła, końskie truchło zeszywniało już i przypominało lodową rzeźbę, pozbawioną odrobiny ciepła. Wyczołgała się spod derki. Pozostawanie dłużej w tym prymitywnym schronieniu oznaczało poddanie się śmierci.

Dokoła była już noc. Anna przeklęła własną głupotę. Czy nie zdawała sobie sprawy, że martwy koń nie będzie ogrzewał jej w nieskończoność? Zamiast spać powinna była podsycać ogień resztkami powozu. Zerknęła do rowu. Ogień najwidoczniej dawno już zgasł.

Była głodna. Zapomniała o krucyfiksie i o koszyku z jedzeniem. Nie uratowała ani jednego, ani drugiego. Rady ciotki Stelli nie przydały się zatem na nic.

Doszła do wniosku, że musiała spać godzinę lub dwie. Śnieżyca tymczasem ucichła i krajobraz wokół niej wydawał się zadziwiająco spokojny. Nic się nie poruszało. Anna zaczęła chodzić tam i z powrotem, aby się rozgrzać. Jak przetrwać? I gdzie się w ogóle znajduje? Jak daleko stąd do ludzkich siedzib? Czy światło dnia pomoże jej w obraniu właściwego kierunku? I czy dożyje świtu? Po chwili, zmęczona, przystanąła i wsłuchiwała się w lodowatą ciszę.

Już miała się poruszyć, gdy usłyszała coś jakby trzask. Nie wiedziała, co by to mogło być, lecz z pewnością coś słyszała. Zdrętwiałe z zimna stopy poniosły ją znów w stronę rowu. Spojrzała na zwęglone szczątki powozu. Znowu usłyszała jakiś odgłos. Uświadomiła sobie, że był to trzask palącego się drewna. Mały ogienek wybuchnął z nową siłą, pożerając niespalony dotąd fragment powozu.

Poczuła przyływ nadziei. Wskoczyła do rowu. Wiedziała, co musi zrobić, nim zajmie się rozniecaniem na nowo ognia. Ciało było siedliskiem nieśmiertelnej duszy i choćby dlatego zasługiwało na godny pochówek. Oczywiście, nie będzie w stanie pochować dzieci sama, lecz - jeśli Bóg zechce - ktoś dopilnuje, by spoczęły na poświęconej ziemi.

Sięgnęła w głąb zwęglonego powozu i z trudem wyciągnęła Babette, a potem powlokła zwłoki rowem.

Wróciła po Louisa. Ciało chłopca było okropnie nadpalone; pozbawione gałek oczodoły świeciły pustką w niemożliwej do rozpoznania twarzy. Anna przeciągnęła ciało o trzydzieści kroków, do miejsca, gdzie leżała jego siostra.

Wróciła w pobliże powozu i opadła na klęczki. Zaczęła wymiotować, pozbywając się nędznych resztek tego, co zjadła wcześniej.

Dlaczego musiało zginąć dwoje niewinnych dzieci? Życie ledwie się dla nich zaczęło. Nie potrafiła odsunąć od siebie myśli, że dzieci zginęły, ponieważ jej mąż postanowił pozbyć się żony.

Zdając sobie sprawę, że zimno zabije ją nawet bez dalszej pomocy Antoniego, skupiła się na tym, co było teraz najważniejsze. Musi przeżyć. Podbiegła do powozu, modląc się, by płomień całkiem nie wygasł. Znalazła go i podsyciła kawałkami drewna oraz innymi palnymi rzeczami, które dotąd nie spłonęły. Ogień rozgorzał z umiarkowanym wigorem, posyłając w niebo słup ciemnego dymu. Rzuciła się zbierać w śniegu gałęzie i chrust. Po chwili od ognia zaczęło płynąć błogosławione ciepło.

Rozpuściła długie włosy, pozwalając, by powiewały swobodnie nad ogniskiem. Nie martwiła się tym, że ich końcówki mogą się przypalić, byle tylko włosy były znów suche. Było jej zimno, przemokła też tu i ówdzie, lecz ten niewielki ogień, być może, pozwoli jej dotrzeć do świtu.

Mijały godziny. Ciemność nocy nabrała niebieskawego odcienia. Niedługo wstanie dzień, pomyślała.

Poruszała się, by się rozgrzać i utrzymać ogień. Szukając drewna, za każdym razem musiała zapuszczać się coraz dalej rowem albo w głąb świerkowego lasu. Przychodziło jej to z coraz większym trudem. Słabła z każdą chwilą, podobnie jak ogień. Na dodatek przemarznięty organizm coraz trudniej radził sobie z chłodem.

Gdy niebo na wschodzie przybrało barwę zimnej czerwieni, Anna przekonała się, że droga naprawdę prowadzi na południowy zachód. Wschodzące słońce zdawało się podkreślać nieskażoną biel śniegu. Z tyłu był las świerkowy, przed nią zaś rozpościerała się rozległa połać płaskich, ośnieżonych pól. Dalej na południe, w odległości kilku kilometrów, widać było zagajnik dorodnych brzoź. Wysokie i smukłe drzewa, pokryte częściowo śniegiem, wyglądały jak oddział żołnierzy.

Anna zadrżała od chłodu, który opanował ją od wewnątrz. Jak daleko stąd do ludzkich osiedli? - zapytywała się w duchu, próbując opanować rodzącą się panikę. Czy powinna zostać tutaj w nadziei, że natknie się na nią jakiś podróżny, czy lepiej pójść drogą? Tam, skąd przyjechali, nie było nic -ostatnią gospodę minęli na wiele godzin przedtem, nim zostali zatrzymani. A może tylko tak się jej wydawało? Czy wyruszyć przed siebie? Odrzuciła tę myśl, gdyż przyszło jej do głowy, że mogłaby znaleźć się w Opolu, na łasce Antoniego.

Modliła się, aby Bóg pomógł jej podjąć właściwą decyzję, doznając jednocześnie tego samego uczucia, co wtedy przy stawie: jej duch zdawał się unosić nad ciałem. Spoglądała z góry na drzewa, śnieg i na siebie. Była jednym z niewielu ciemnych punkcików w olbrzymiej misie bielusińskiego jogurtu.

Wraz z tą świadomością nadeszło uczucie znikomości i bezradności. Ogarnęła ją głęboka rozpacz. Wydawało się, że przez całe minuty spogląda z góry na swoją postać, poruszającą się bez celu w otulonym bielą bezkresnym krajobrazie.

Nagle duch Anny znowu połączył się z ciałem, gdyż usłyszała jakiś odgłos! Wysłuchała się w śmiertelną ciszę. To coś brzmiało jak szczekanie psa.

Znowu! A potem jeszcze raz, i jeszcze. Odległe szczekanie dobiegało od strony brzozowego lasu, daleko na południe. Rozpoznała ujadanie psów myśliwskich, trzymany na smyczy. Ludzie musieli być zatem niedaleko! Jakby na potwierdzenie tej myśli w powietrzu rozbrzmiał myśliwski okrzyk. To muszą być chłopci, pomyślała, modląc się, by okazali się bogobojni.

Czekała, lecz nikt się nie ukazywał. Choć bardzo chciała zawołać, wpojone jej przez lata zasady szlacheckiego wychowania nie pozwalały na to.

Minuty biegły nieubłaganie. Uklękała, ponieważ nie mogła już stać. Minęło około pół godziny; nadal było cicho jak w grobowcu. Zrobiło się tak zimno, że musiała oddychać ustami. Gardło miała ściśnięte i obolałe, bolały ją też płuca.

W lesie ani w jego pobliżu nie dało się zauważyć śladu życia. Pomoc była blisko, lecz ominęła ją. Z zimna nie była w stanie nawet się rozplakać. Jak mogła być tak głupia i nawet nie zawołać? Postanowiła, że nigdy już nie przedłoży pięknoduchowskich zasad swej klasy nad własne życie. Ale czy nie jest za późno?

Hrabina Anna Maria Grawlińska wstała. A potem wrzasnęła bez namysłu:

- Jezu Chryste, dopomóż!

Jej zachrypnięty głos wydawał się bardzo cichy w porównaniu ze świstem wiatru. Nie dobiegnie daleko. Panika, tak długo trzymana na wodzy, ogarnęła ją z całą mocą. Ona i jej dziecko byli już właściwie martwi. Zawołała jeszcze raz, a potem kolejny.

Marzła tak strasznie, że przyszło jej do głowy, by wskoczyć w ogień, lecz kiedy spojrzała w kierunku ogniska, przekonała się, że wygasło.

- Na pomoc! - zawołała. - Pomocy! Niech ktoś mnie usłyszy!

Krażyła w kółko, czując, jak z każdą chwilą coraz bardziej drętwieje. Zaczęła klaskać w okryte rękawicami dłonie, by pobudzić krążenie.

- Na miłość boską, niech ktoś mi pomoże!

Potknęła się i upadła. Jeśli nie było jej dane przeżyć, modliła się choć o to, by śmierć nadeszła możliwie szybko. Psy rozszczękały się na nowo.

Anna uniosła głowę i odgarnęła z twarzy włosy. Spojrzała w kierunku zagajnika. Szczekanie rozbrzmiewało teraz bliżej. A potem spomiędzy drzew

wyłoniło się pół tuzina psów, posuwających się skokami wprost ku niej. Za nimi podążało około dziesięciu ludzi, zapewne mężczyzn, z czego trzech na koniach. Oni także zaczęli się zbliżać.

Nie mogła nawet cieszyć się z tego, że jej modlitwa została wysłuchana. Bała się, że mężczyźni nie okażą jej szacunku, ponieważ wydzierała się jak prostaczka.

Wstała i nim zdążyli do niej dotrzeć, ogarnęła się na tyle, na ile było to możliwe.

- Jestem szlachcianką - powiedziała, kiedy w końcu stanęli przed nią, zdumieni widokiem kobiety i leżących wokół ciał. Stała przed nimi wyprostowana i przemawiała głosem, któremu starała się nadać pewności:

- Potrzebuję waszej pomocy.

Nerwowo przyjrzała się grupie gapiących się na nią, skromnie odzianych mężczyzn. Ich milczenie budziło niepokój.

- Mój powóz został napadnięty i dwoje dzieci zginęło - powiedziała, upokorzona tym, że nie potrafi powstrzymać się od szczekania zębami. - Ja... potrzebuję suchych ubrań i jedzenia. Potem chciałabym... wrócić do Warszawy.

Jeden z jeźdźców musiał być przywódcą. Zeskoczył z konia z niezwykłą jak na tak potężnego mężczyznę zwinnością i podszedł do Anny. Jego małe niebieskie oczy ponad czarną brodą wydawały się dziwnie mętne i nieprzejrzyste.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Jestem Anna Maria Berezowska, hrabina z majątku koło Sochaczewa.

Nie ośmieliła się użyć nazwiska Grawlińska z obawy, że jeśli znajdują się w pobliżu Opola, chłopcy mogą je znać.

- I dokąd to pani podróżowała?

- To teraz bez znaczenia. - Pytanie zaskoczyło ją. - Chcę tylko wrócić do Warszawy.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym odszedł.

Stała spokojna i wyprostowana, starając się ukryć drżenie. Mężczyźni tymczasem przyglądali się ciałom.

Przywódcą wykrzyczał szybko rozkazy w dialekcie, którego nie rozumiała. Gdy do niej wrócił, miał w dłoni nóż myśliwski z nagim ostrzem. Pozostali mężczyźni odwrócili się do nich plecami, tworząc krąg osłaniający Annę i przywódcę. Zadrżała, zarówno z zimna, jak i ze strachu. Nie odezwała się, błagając w duchu Boga, by mężczyźni nie odważyli się tknąć szlachcianki.

Wiedziała jednak, że czasy się zmieniły. Chłopi byli teraz znacznie śmielsi. Przykładem było choćby to, jak zginął jej ojciec.

Serce podeszło jej do gardła, gdy zobaczyła, że mężczyzna zbliża się i wyciąga ręce. Zmusił ją, by zdjęła przemoczoną pelerynę. Suknia pod spodem była również mokra. Chwycił Annę wielkimi dłońmi za ramiona i odwrócił tak, że teraz stała zwrócona do niego plecami.

Zacząła protestować, lecz ją uciszył. Przez cały czas coś mówił, lecz rozgorączkowany umysł Anny nie był w stanie tego pojąć. Co on zamierza?

Poczuła, że ujął w dłonie fałd jej sukni w okolicy talii, a potem rozciął materiał aż po szyję jednym długim ruchem.

Krzyknęła i odwróciła się gwałtownie.

- Przestań, co robisz? Jestem szlachcianką, słyszałeś? Nie waż się dotykać mnie swymi brudnymi łapami!

Mężczyzna chwycił ją za ramiona i trzymał, dopóki nie minął atak hysterii.

- Nie zrobimy pani krzywdy - przemawiał spokojnie, niespiesznie, po chłopsku rozsądnie. - Usłyszeliśmy, jak wołała pani o pomoc i nie zamierzamy odmawiać. Jest pani chora i przemarznięta. Może pani umrzeć, jeśli mnie pani teraz nie posłucha. Pomożemy pani.

Anna i tak nie miała sił się opierać. Mężczyzna mówił prawdę: była bardzo chora.

Zdjął z niej wszystko, nawet koźlą skórę, chroniącą brzuch. Stała z opuszczoną głową, a wilgotne, splątane włosy litościwie skrywały upokorzenie, przy którym zimno zdawało się niewiele znaczące.

Mężczyźni w milczeniu owijali ją w ciepłe niedźwiedzie skóry.

- Zabierzemy panią do naszego domu - rzekł przywódca.

- Nie mogę jechać konno.

- Wiem, jest pani przy nadziei. Dwaj moi ludzie przygotowali dla pani nosze.

Po chwili byli już gotowi do drogi.

Anna leżała na noszach, sporządzonych ze świerkowych gałęzi i skór. Twarz zakryto jej płatem niedźwiedziej skóry, aby uchronić przed odmrożeniem.

Wyznaczono mężczyzn, którzy mieli nieść nosze jako pierwsi, i rozpoczęła się wyprawa. Anna zastanawiała się, jaką odległość będą musieli przebyć.

Czas mijał powoli i w końcu zapadła w sen. Śniło jej się, że jest w Warszawie i stoi na Rynku, pełnym rozkrzyczanych, śmiejących się ludzi.

Tłum popychał ją i omal nie pośliznęła się na wilgotnych kamieniach. Spojrzała w dół i zobaczyła, że są wilgotne od krwi.

Ludzie tłoczyli się wokół olbrzymiej platformy, na której ustawiono replikę francuskiej gilotyny. Cała szlachta królestwa miała zostać tu dziś stracona. Wstępowali kolejno na podwyższenie i podchodzili do gilotyny, która obcinała im głowy. Nie było koszyka, do którego mogłyby wpadać, toczyły się więc przez plac, poszturchiwane przez wiwatujący i rozstępujący się przed nimi motłoch. Gdy mijały miejsce, gdzie stała, wydawało się jej, że ich oczy i usta nadal się poruszają. Toczyły się krętą uliczką, biegnącą ku skarpie nad Wisłą. Opadały w dół, niczym odłupane bryły kamienia, dopóki z pluskiem nie wpadły, jedna po drugiej, do wody.

Na schodach wiodących do gilotyny zobaczyła znajomych swoich rodziców i kilkoro przyjaciół z dzieciństwa, barona Michała Kolbiego, a za nim swoją ciotkę.

- Ciociu Stello! - zawołała, lecz ciotka zdawała się jej nie słyszeć.

Tuż za ciotką stała Zofia.

- Zofio! - krzyknęła Anna. - Zofio!

Zofia odwróciła swą władczą głowę. Jej ciemne źrenice rozszerzyły się. Uśmiechnęła się, poznając kuzynkę, a potem uniosła ramię. Nie po to, by ją pozdrowić, ale by wskazać tłumowi. Egzekucje zostały natychmiast wstrzymane. Tłum ucichł, kiedy ostatnia głowa przetoczyła się obok Anny. Wszyscy patrzyli teraz tylko na nią. Mężczyźni w dziwacznych, niekompletnych mundurach ruszyli ku swej ofierze. Chwycili ją brutalnie i przy akompaniamencie wiwatującego tłumu ponieśli wysoko nad głowami, ku podwyższeniu. Chciała zawołać: Nie! Z obolałego, wyschniętego gardła nie dobył się jednak żaden dźwięk.

Rozdział trzydziesty czwarty.

Ocknęła się, kiedy chłopci postawili nosze w pobliżu paleniska, w wielkiej, zbudowanej z kamienia i belek izbie. Przywódca spojrział na nią niebieskimi oczami, które nie wydawały się już takie mętne.

- Jest pani teraz bezpieczna. Zostawiam panią z naszymi kobietami.

Anna próbowała się odezwać, ale nie była w stanie tego uczynić.

Mężczyzna przytknął palec do warg.

- Proszę nic nie mówić, tylko odpoczywać.

Zamknęła oczy. Zdawała sobie sprawę, że mnóstwo ludzi przyszło, by ją zobaczyć. Pochylali się nad nią, mówiąc coś przyciszonymi głosami. Nawet nie próbowała zrozumieć, o czym tak szepczą.

Wkrótce zapadła w głęboki sen. W pewnej chwili poczuła, że jest przenoszona, mimo to nie pozwoliła sobie w pełni się rozbudzić.

Kiedy wreszcie się obudziła, poza nią w izbie była jeszcze tylko jedna osoba, kobieta. Stała niedaleko, zajęta czymś przy palenisku. Gdy tylko Anna otworzyła oczy, tamta natychmiast do niej podeszła. Miała jasne włosy i chyba nie skończyła jeszcze czterdziestu lat. Anna pomyślała, że jest nawet atrakcyjna. Przemówiła w tym samym dziwnym dialekcie, jakim posługiwali się mężczyźni.

- Jestem Lucyna... czy pani hrabina zechciałaby może skorzystać z nocnika?

Gdyby Anna była choć trochę silniejsza, z pewnością rozbawiłoby ją to powitanie. Na razie jednak mogła tylko potrząsnąć głową. Jej gardło, podobnie jak głowa, płonęło żywym ogniem. Kiedy podniosła dłoń, by poprzeć odmowę gestem, spostrzegła, że została ubrana w chłopską koszulę nocną.

Lucyna zdawała się czytać w jej myślach.

- Ubrałyśmy panią, hrabino.

Wkrótce do wysokiego pomieszczenia weszły inne kobiety, odziane w bezbarwne, workowate suknie, i zaczęły przygotowywać posiłek, krzątając się wokół wielkiego paleniska. Były w różnym wieku. Rzadko odzywały się do siebie, a kiedy już to robiły, mówiły spokojnie, tonem pełnym szacunku. Zauważyła, że od czasu do czasu zerkają na nią spod oka.

Kiedy posiłek był już gotowy, wszyscy zebrali się w izbie, która służyła jednocześnie za kuchnię i jadalnię. Najwidoczniej kilka rodzin mieszkało i pracowało razem w dużym budynku, tworząc rodzinny klan. Raczej zgodny,

jak szybko zdążyła się przekonać. Sądziła, że takie klany należą już do przeszłości, lecz widać się myliła.

- Czy hrabina chciałaby może trochę zupy?
- Czy hrabina będzie jadła?
- Trochę mleka, proszę pani?

Anna była zbyt chora, by odpowiedzieć. Przyłożyła głowę do poduszki i zapadła z powrotem w pełen majaków sen.

Po jakimś czasie poczuła, że ktoś delikatnie nią potrząsa. Członkowie klanu zjedli już posiłek.

- Otwórz usta, dziecko. Otwórz usta.

Spojrzała w górę i zobaczyła chudego staruszka, którego pozostali nazywali Sowie Oczy. Szczypał ją w policzki, zmuszając, by go słuchała. Zajrzał Annie do ust, a potem znów ścisnął jej policzki.

- Szerzej, dziecko.

Przekląła go po cichu, pragnąc, by sobie poszedł.

Starzec podsunął jej pod nos paskudnie woniejące ziele i natychmiast kichnęła. Kichnięcie wstrząsnęło całym jej ciałem. Jakaś kobieta zakryła nos i usta Anny płótnem, a potem wytarła to, co wydobyło się z jej gardła i nosa. Kichnęła ponownie i poczuła w gardle krew.

Staruszek mamrotał coś pod nosem, bardzo z siebie zadowolony.

- Posłuchaj, dziecko - powiedział. - Łzy niemowlęcia przyniosą ulgę twemu obolałemu i krwawiącemu gardłu.

Nie była w stanie wyobrazić sobie, co też może mieć na myśli. Chciała jedynie, aby pozostawił ją w spokoju.

Tymczasem Sowie Oczy zawołał cienkim, a mimo to władczym głosem:

- Sylwio, przynieś tu swoje dziecko.

Anna otwarła oczy i zaskoczona ujrzała, że Sowie Oczy trzyma ponad nią nagie dziecko. Klepnął je mocno w pośladek. Czerwona, napięta twarzyczka dziecka znajdowała się tuż nad jej twarzą. Jedna z kobiet przytrzymała ją, nie pozwalając zamknąć ust.

Po chwili poczuła, jak ciepłe, słonawe łzy spływają jej po języku do gardła. Próbowwała przeciwstawić się tej starej ludowej praktyce medycznej, lecz dłonie przytrzymujące jej usta i głowę były silne.

Sowie Oczy uderzał dziecko tak długo, iż Annie wydawało się, że zwariuje, jeśli żaloszny, piskliwy płacz zaraz nie ucichnie. Potem przyniesiono następne dziecko i potraktowano je w ten sam sposób.

Kiedy zabieg dobiegł końca, leżała wyczerpana zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, a krzyki dzieci nadal dźwięczały jej w uszach. Wkrótce przekonała się jednak, że krople słonawych łez przyniosły błogosławioną ulgę jej ustom i gardłu. Zasnęła po raz kolejny.

Odgłosy głośnego stukania, nieustającego walenia metalem o drewno rozbrzmiewały echem w przepastnym domu.

Anna skuliła się na swoim miejscu przy palenisku, zdjeta natychmiastową obawą, że poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewniał klan, może zostać jej odebrane. Stał przed nią olbrzymi mężczyzna o kamiennej twarzy, a za nim tłoczyli się w chłodnej izbie podekscytowani wieśniacy. Mężczyzna był Rosjaninem.

- Przyjechałem po panią, pani Grawlińska - powiedział kiepską polszczyzną.

- Kim pan jest?

- Przysłał mnie pani mąż, bym zabrał panią do Opoła.

- Jak tamci?

- Niestety, zostali napadnięci przez rabusiów.

- To nie rabusie otruli Louisa i Babette!

- Musi pani jechać. Rodzina Grawlińskich oczekuje pani.

- Nie pojedę. Zamierzacie mnie zabić.

- Pójdzie pani ze mną po dobroci, prawda?

- Z pewnością nie pójdę po dobroci! - Anna zerwała się z łóżka i podbiegła do przywódcy klanu. - Nie możecie pozwolić, by ten człowiek mnie zabrał. Został wynajęty przez mego męża, aby mnie zabić.

Przywódca wydawał się nie rozumieć, co do niego mówiła.

Przebiegała spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej, lecz chłopcy spoglądali na nią obojętnie. Zaczęła więc biegać od jednego do drugiego, błagając o pomoc.

Stali nieporuszeni. Nie rozumieli. Nagle przyszło jej do głowy, iż być może rozumieli bardzo dobrze. Może po prostu rozkoszowali się tym, że hrabina, przedstawicielka znienawidzonej powszechnie szlachty, otrzyma zasłużoną karę. Ogarnęła ją rozpacz.

Paskudny Rosjanin ruszył ku niej. Jego masywne ramiona opadły w dół niczym skrzydła sępa i zgarnęły ją.

Obudziła się zlnana potem. Kobiety zaczynały schodzić się do izby, by przygotować śniadanie.

Fizycznie Anna czuła się nieco lepiej. Mogła przełykać. I po raz pierwszy od dłuższego czasu była też w stanie myśleć.

Rozpacz, jaka ogarnęła ją we śnie, nie ustąpiła jednak. Nie mogła zapomnieć, że mąż kazał ją zabić i był odpowiedzialny za śmierć dwojga niewinnych dzieci. Przypomniła sobie, co kiedyś powiedział. Ostrzegł, że jeśli ośmieli się stanąć mu na drodze, zabije ją. A może tylko włożyła mu te słowa w usta? Nieważne, jak było, teraz wiedziała, że to prawda.

Antoni był wystarczająco zdeterminowany, by to zrobić. Pragnął wyłącznie jej majątku i ziemi. Nie chciał Anny, a już na pewno nie chciał dziecka obcego mężczyzny. Jej śmierć byłaby dla niego nie lada gratką. Mógłby zrobić, co tylko by zechciał z jej dziedzictwem, być może nawet zrealizować swe marzenie i zostać magnatem.

Kim byli zabici Polacy? Wiedziała, że to nie rabusie. Pytali o nią. Ktoś wysłał ich, by ją uratowali, ale kto to mógł być? Jak daleko stąd do Opola i majątku Grawlińskich? Na myśl o tym, że jeden z Rosjan przeżył, ciarki przebiegły jej po kręgosłupie. Antoni prawdopodobnie szybko dowie się, że jego żona ocalała. A wtedy zacznie jej szukać.

Dopóki tu zostanie, jej tożsamość musi pozostać tajemnicą. Żałowała teraz, że lekkomyślnie zdradziła swe panińskie nazwisko.

Musi jak najszybciej wrócić do Warszawy. Z obawy, że Antoni odkryje miejsce jej pobytu, nie ośmieliła się napisać do ciotki ani do Zofii z prośbą, aby przysłały po nią powóz. Wiedziała także, że w liście nie może otwarcie oskarżyć męża. Krewne z pewnością okazałyby się wobec tego rodzaju rewelacji nader sceptyczne.

Zatem musi dostać się do Warszawy na własną rękę. Ale co wtedy? Czy zdoła przekonać ciotkę i kuzynkę? Władze? Czy dysponuje jakimkolwiek dowodem na udział Antoniego w spisku? Kto jej uwierzy? Serce zamarło w niej na myśl o tym, że mąż może po prostu na nią czekać.

Być może należałoby udać się do Lubickich. Bankierzy byli zaprzyjaźnieni z jej rodzicami. Ale czy jej uwierzą? Czy Antoni i o tym pomyślał? Mógł przygotować sobie wiarygodną historyjkę.

W Sochaczewie również nie czułaby się bezpiecznie. W majątku byłaby samotna i stałaby się łatwym celem.

A co z Janem? Można byłoby wysłać wiadomość do gospody Pod Głową Królowej. Lecz skąd pewność, że Jan będzie akurat w Warszawie? Nie mogła siedzieć tu w nieskończoność, licząc, że wiadomość w końcu do niego dotrze.

Od tych rozmyślań kręciło jej się w głowie. Rozważała wszelkie możliwości, by po chwili każdą odrzucić. Nie, sama dostanie się do Warszawy. Wiedziała, że gdy już się tam znajdzie, nie pozostanie jej nic innego, jak zwrócić się do Jana.

On będzie wiedział, co robić. Na samą myśl o nim zrobiło jej się ciepło na sercu.

Nagle uświadomiła sobie, że dziecko kopie. Po raz pierwszy poczuła w sobie rodzące się życie. Uznała, że to dobry znak. Całe jej ciało zdawało się pulsować ciepłym życiem. Uśmiechnęła się do siebie. Wyzdrowieję. Zjadła śniadanie, złożone z mleka i posmarowanego masłem chleba, po czym znowu zapadła w sen.

Obudziła się późnym rankiem i zaskoczona spostrzegła, że w izbie znajduje się jedynie młody mężczyzna w wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat. Siedział, trzymając w dłoni parujący kubek, i przyglądał się jej.

Usiadła powoli, ostrożnie, wdychając ożywczy zapach zbożowej kawy.

Mężczyzna odstawił kubek, wstał i zbliżył się do Anny.

- Kim jesteś? - spytała. Był ogolony i dobrze ubrany. Z pewnością nie wyglądał na chłopca.

Ze strachu ścisnęło ją w żołądku. Bała się, że jej sen właśnie się ziścił i mężczyzna zaraz odezwie się po rosyjsku, żądając, by z nim pojechała.

Młodzieniec uśmiechnął się, lecz nie zatrzymał. W końcu stanął tuż przy niej.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem - powiedział. Mówił po polsku, i to jak ktoś pochodzący z wyższej sfery.

- Tylko na chwilę - odpowiedziała Anna z ulgą.

- Przykro mi. Mam na imię Antek.

- Jestem hrabina Anna Maria Berezowska - przedstawiła się.

- Witam panią - skłonił się i zapytał: - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście.

Patrzyła, jak przysuwa sobie stołek. Był przystojnym młodzieńcem o umięśnionym ciele, brązowych włosach, regularnych rysach.

- Przybywa pani z Warszawy?

- Tak.

- I dokąd się pani udaje?

- Teraz chciałabym już tylko wrócić do stolicy.

- Rozumiem - powiedział. - Ja nigdy nie byłem w Warszawie. Przypuszczam, iż życie wygląda tam zupełnie inaczej. Bardzo chciałbym to zobaczyć.

- Któregoś dnia na pewno zobaczysz. Powiedz mi, jak daleko stąd do Warszawy?

- Przy tej pogodzie będzie z pięć, sześć dni jazdy.

Westchnęła, zaskoczona. Musieli zjechać dalej, niż sądziła. Gdyby podróżowali na wschód, byłiby już w Rosji. Jak zdoła wrócić?

- Wydaje się pani nieco oszołomiona.

- Co takiego? Och, przepraszam. Po prostu się zamyśliłam. Powiedz mi, Antku, skąd pochodzisz?

- Cóż, to mój dom.

- Co takiego?

- Poznała pani naszego patriarchę, Witka?

- Tak, choć nie wiedziałam, że ma na imię Witek.

- To mój ojciec.

- Twój ojciec? Ależ ty z pewnością nie jesteś... - zabrakło jej słów.

- Taki jak pozostali? - Uśmiechnął się po chłopięcemu. - Och, ależ jestem. Zmyliły panią mój strój i mowa.

Skinęła głową.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Matka zmarła, wydając na świat mnie i mojego brata. Och, mam brata bliźniaka, Stefana. Witek bardzo przeżył śmierć żony i chyba przerażała go perspektywa wychowywania dwójki niemowląt. Zdarzyło się tak, że pan Gaiki, właściciel starego, zrujnowanego zamku i wszystkich ziem, które widać z jego wieży, zawarł z Witkiem ugodę. On i baronowa, jego żona, byli bezdzietni. Stefan i ja zostaliśmy im przekazani w zamian za to, że członkowie klanu będą mogli osiedlić się tutaj i żyć jako ludzie wolni.

Anna nie słyszała dotąd o czymś podobnym. Lecz młodzieniec wydawał się absolutnie szczerzy.

- Zatem nie mieszkasz tu na stałe?

- Nie, mieszkam w rodzinnym dworze Galkich, położonym nieco na południe stąd.

- Przyjechałeś odwiedzić Witka?

- Posłał po nas, abyśmy mogli porozmawiać o tym, co zrobić z panią, kiedy już stanie pani na nogi.

- Rozumiem, że Stefan też tu jest?

- Przybędzie dziś wieczorem.

Westchnęła cicho. Zatem sytuacja nie była aż tak beznadziejna, jak sądziła.

- Jak daleko stąd do Opola? - spytała, starając się, by zabrzmiało to możliwie obojętnie.

- To najbliższe miasto. Oddalone o dzień drogi na zachód. Annie ulżyło. Wolałaby oczywiście, by Opole znajdowało się o sto dni od nich, lecz jeden dzień wystarczy - przynajmniej taką miała nadzieję.

- Czy w pobliżu jest jakieś inne miasto lub miejscowość? - spytała.

- Na południe od nas. To Częstochowa.

- Och, Antku, widziałeś ją? Czarną Madonnę? - spytała zaskoczona.

- Oczywiście. Wiele razy.

- Powiadają, że obraz ma cudowną moc.

- Rzeczywiście, słyszałem o tym... proszę mi powiedzieć, pani Berezowska, czy potrzebuje pani cudu?

- Co takiego? Cóż, być może - odpowiedziała po chwili, uśmiechając się.

- Proszę się nie martwić. Stefan i ja znajdziemy sposób, by mogła pani wrócić do Warszawy. Czy tego właśnie cudu pani potrzebuje?

Gdyby to było takie proste, pomyślała.

- Być może - powtórzyła. - To zabawne, Antku. Ty widziałeś Czarną Madonnę i chciałbyś pojechać do Warszawy, a ja byłam w Warszawie i chciałabym zobaczyć Czarną Madonnę.

Roześmieli się swobodnie niczym para przyjaciół. Anna uświadomiła sobie, że Antek stanowi zdrobnienie od Antoniego. Jakie to dziwne, pomyślała, że nigdy nie zwracałam się w ten sposób do męża. I już raczej nie będę.

Gdy chłopak wyszedł, zaczęła rozmyślać o Czarnej Madonnie. Obraz fascynował ją bardziej niż legendy czy ulubione mity. Malowidło, będące bizantyjską ikoną, przywędrowało do klasztoru ojców paulinów w czternastym wieku. W następnym stuleciu zniszczyli go husyci. Obraz został odrestaurowany, ale na twarzy Madonny pozostały ślady po dwóch cięciach ostrzem, a samo malowidło mocno ściemniało. W 1655 roku klasztor odegrał kluczową rolę podczas wojny ze Szwedami. Od tego czasu Czarna Madonna postrzegana była jako Królowa Polski i święta patronka Polaków. Anna zapomniała na chwilę o swoich troskach i oddała się marzeniom o tym, by zobaczyć Ciemną Panią.

Później w izbie zaroilo się od pracujących kobiet. Jedne przygotowywały kielbasy, inne czyściły dopiero co upolowaną zwierzynę. Trzy czy cztery starsze niewiasty zasiadły przy ogniu, szyjąc i rozmawiając. Podczas gdy

Lucyna i inne kobiety przygotowywały południowy posiłek, Sowie Oczy stał pochylony nad stołem, przycinając skóry.

Tylko jedna osoba przyglądała się Annie: stara kobieta, siedząca samotnie i zajęta pracą nad kawałkiem skóry. Anna zauważyła ją już wcześniej. W przeciwieństwie do innych niewiast starucha nie okazała jej nawet śladu poważania czy uprzejmości. Liczne zmarszczki, żłobiące jej zniszczoną twarz, zdawały się zbiegać u wąskich warg, zaciśniętych w grymasie wiecznego niezadowolenia. Kiedy już raczyła odezwać się do pozostałych, mówiła szybko, urywanie, tonem ostrym i nieprzyjemnym.

Anna odwzajemniła spojrzenie. Nawet uśmiech nie przełamał lodów. Po chwili starucha odwróciła wzrok. Mimo to co jakiś czas Anna czuła, że kobieta spogląda na nią spod rzadkich, prostych jak druty kosmyków. Jest niczym stary kot, pomyślała, przestraszony, a jednak gotów zaatakować.

Obiad i kolacja okazały się bardzo pożywne. Chora zjadła, ile tylko mogła. Stan jej zdrowia z wolna się poprawiał. Wieczorem przyjechał Stefan.

Anna siedziała przy palenisku. Gdy Antek go wprowadził, spojrzała na nich, zdumiona. Stefan stanowił lustrzane odbicie brata: te same brązowe, falujące włosy, rzeźbione rysy, muskularna sylwetka.

- Jeden z was powinien natychmiast zapuścić brodę - powiedziała. - Inaczej za nic nie zdołam was odróżnić.

Bracia roześmieli się. Stefan ucałował dłoń Anny.

- Nie widzi pani pomiędzy nami żadnej różnicy? - zapytał.

- Niech no się przyjrzę - odparła, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

- Oczywiście! Ty, Antku, masz na policzku małe znamię. A gdzie jest twoje, Stefanie?

- Zostałem oszukany przez los, jeśli już musi pani wiedzieć - odparł Stefan. Objął brata i dodał: - Widzi pani, dziewczęta uwielbiają to znamię, prawda, braciszku?

Antek zarumienił się z zażenowania.

W milczeniu przyznała, że znamię może i zapewniało Antkowi przewagę na starcie, jednak Stefan odznaczał się niezwykle przyjacielskim usposobieniem i emanował nieskrywaną zmysłowością, co równoważyło tę przewagę. Obaj byli uderzająco przystojni. Wzrost, siłę i posturę odziedziczyli najwidoczniej po Witku, lecz urodę mieli chyba po matce.

- Z przykrością usłyszałem o tym, co się pani przydarzyło - powiedział Stefan.

Antek spojrzał na brata z naganą, co zauważyła tylko Anna.

- Tragiczna sprawa - mówił tymczasem Stefan. - Jak rozumiem, zginęła dwójka dzieci. Nie były pani, prawda?

- Nie, ale znajdowały się pod moją opieką. To niewinne ofiary.

- To wszystko jest bardzo smutne, ale należy już do przeszłości - wtrącił Antek, próbując zmienić temat. - Hrabina oczekuje swego pierwszego dziecka i powinna spoglądać jedynie w przyszłość.

- Oczywiście - powiedział Stefan. - Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, iż czuje się pani lepiej.

- Z każdym dniem - odparła. - Choć na to nie wyglądam.

- Nonsens - oburzył się Stefan. - Jest pani bardzo piękna. Prawda, Antku?

- Rzeczywiście.

- Dziękuję. - Anna poczuła się niezręcznie. Nie zamierzała wymuszać komplementów. - Jeśli natychmiast nie usiądziecie, od spoglądania na was zeszywnieje mi kark.

Bracia przyciągnęli sobie stołki. Gdy to robili, Anna uświadomiła sobie, że nie byli w izbie sami. Ruch w zacienionej części pomieszczenia, w pobliżu odległych drzwi, przyciągnął jej spojrzenie. Dostrzegła skuloną postać i nie wiadomo dlaczego od razu nabrała pewności, że była to staruszka, która okazywała jej taką niechęć.

Chociaż obecność staruchy sprawiała, że ciarki przechodziły jej po kręgosłupie, zignorowała lęk i przybrawszy poważny ton, zwróciła się do braci:

- Co zrobiono z ciałami tych, którzy zginęli przy powozie?

- Już się nimi zajęto - odpowiedział Antek. - Zostały pogrzebane. Nie musi pani się martwić.

- Jedno zmartwienie mniej - odparła. - Podziękujcie, proszę, tym, którzy ich pogrzebali.

- Jak rozumiem, chce pani wrócić do Warszawy? - zapytał Stefan.

- Tak, najszybciej jak to możliwe.

- Czy jest tam mąż pani?

Mąż. Anna poczuła, że się czerwieni.

- Nie, nie ma go teraz w mieście.

- A czy ktoś stamtąd mógłby przysłać po panią powóz? - zapytał Antek.

- Nie.

- Zawieźlibyśmy panią osobiście - powiedział młodzieniec - lecz ojciec nigdy się na to nie zgodzi. Obawiałby się, że miasto mogłoby okazać się zbyt atrakcyjne dla dwóch wiejskich chłopców.

- Mężczyzn! - poprawił go Stefan. - Mamy po osiemnaście lat.

- Chętnie zapłacę za wypożyczenie powozu wraz z woźnicą - zapewniła, próbując zapanować nad ogarniającą ją rozpaczą. Im dłużej tu zostanie, tym większe prawdopodobieństwo, że mężowi uda się ją odnaleźć.

Antek zdawał sobie sprawę, jak bardzo była zmartwiona.

- W Częstochowie jest przecież klasztor. Mają tam powozy, a opat wyjeżdża od czasu do czasu do Warszawy.

Anna poczuła przyływ nadziei.

- Ojciec Florian, ksiądz z klasztoru, będzie tutaj w następną niedzielę — powiedział Stefan. - Przyjeżdża co drugi tydzień, by odprawić mszę w starej kaplicy i zapewnić religijną posługę klanowi.

- Opowiemy mu, w jakiej znalazła się pani sytuacji - wyjaśnił Antek. - Na pewno pomoże pani dostać się do Warszawy.

Podziękowała w duchu Bogu.

Stara kobieta wyłoniła się z cienia. Wykrzykując coś niezrozumiale pod adresem Anny, zdawała się strofować braci. Oстрым głosem zadała im pytanie, wysłuchała odpowiedzi, skrzywiła się i znów o coś spytała.

Bliźniacy odpowiadali jej z szacunkiem w miejscowym dialekcie, zerkając nerwowo na Annę. Zdawali się bardzo zażenowani.

W końcu bełkot staruszki eksplodował stekiem wyzwisk, skierowanych na braci.

Antek widocznie się zdenerwował. Przemówił ostro do staruszki, a ta skuliła się nieco, oceniając kocimi oczami sytuację. Odwróciła się ku Annie, wskazała ją oskarżycielsko palcem, po czym wyrzuciła z siebie kolejny potok niezrozumiałych sylab. Następnie obróciła się na pięcie i wypadła z izby.

Anna patrzyła w ślad za nią, zdumiona.

- Przepraszam za Nelkę - powiedział Antek. Wydawał się zdenerwowany i upokorzony.

- Kim ona jest? - spytała.

- To matka Witka - wyjaśnił, spuszcżając wzrok. - Nasza babka.

- Wygląda na to, że bardzo mnie nie lubi.

- Proszę się nią nie przejmować - powiedział Stefan. - Ona nie lubi nikogo, kto nie należy do rodziny.

- Mój brat pomniejsza problem - wtrącił Antek. - Prawdę mówiąc, Nelka nie pozostaje też w dobrych stosunkach z wieloma spośród nas.

- I tylko to ma mi za złe? Że nie jestem jedną z was?

- Chodzi o to, że jest pani tu obca - powiedział Stefan. Anna nie bardzo mu wierzyła.

- A może raczej o to, że jestem szlachcianką? - spytała. Bracia wydawali się zawstyżeni.

- Owszem - przyznał w końcu Antek. - Jej jedyne doświadczenie z przedstawicielką wyższej klasy... cóż, nie ma potrzeby teraz w to wnikać. Miało tragiczne konsekwencje.

- Poza tym - dodał Stefan - nigdy nie pogodziła się z tym, że Witek oddał nas baronowi.

- Rozumiem. Jestem jednak pewna, że jej niechęć ma bardziej osobiste podłoże.

Bracia najwidoczniej wahali się, czy mówić. Patrzyła na nich uparcie, wzrokiem domagając się wyjaśnień.

- Przysłuchiwała się naszej rozmowie - powiedział w końcu Antek. - Gdy dowiedziała się, że nie przyjedzie po panią mąż, i że nie przebywa obecnie w Warszawie... cóż, ona ma nie lada wyobraźnię.

- I cóż takiego sobie wyobraziła? - spytała Anna.

- Podejrzewa, że nie jest pani mężatką - powiedział z zakłopotaniem Stefan - i że uciekła pani od rodziny, ponieważ dziecko nie ma ojca.

- Och! - Anna była zdumiona. - Możecie być pewni, że mam męża.

To dziwne, pomyślała, zapewniać ich o tym, że jest mężatką, choć wolałaby, by było inaczej. Czowała też, że w zachowaniu staruszki kryje się coś więcej.

- Kiedy wasza babka wskazała na mnie palcem, co wtedy mówiła?

Bliźniacy milczeli. Twarz Stefana wyglądała niczym maska, lecz drugi z braci spoglądał na nią ze szczerą troską w piwnych oczach.

- Pani Berezowska - powiedział w końcu - błagam, by pominęła pani milczeniem dziwactwa Nelki. Klan nadal trzyma się starych, bezzasadnych przesądów. Jej słowa mogłyby jedynie panią zranić. Lepiej...

- Chcę wiedzieć - nalegała.

Antoni czuł się pokonany. Westchnąwszy, powtórzył słowa babki:

- Powiedziała, że dziecko zostało poczęte przez diabła i...

- Mów dalej.

- ...że ktoś taki jak pani powinien zostać potraktowany tak, jak nasi przodkowie traktowali wiedźmy - wygnany za pomocą palących się świec i pogrzebacza.

Rozdział trzydziesty piąty.

Zofia była śmiertelnie znudzona. Krążyła po pokojach, czekając na hrabiego Henryka Literskiego. Co też mogło go zatrzymać?

Podeszła do okna w salonie i odsunęła koronkowe zasłony. Nad Wisłą zapadał fiołkowy zmierzch. Ani śladu Henryka. Odwróciła się na pięcie, mocno zirytowana. W domu panował spokój nie do zniesienia.

Brakowało jej Anny. Zdumiało ją to odkrycie. Bez niej i francuskich dzieciaków dom był jak krypta. Nie odezwała się dotąd. Zofia uśmiechnęła się na myśl o swej biednej kuzynce, obciążonej dwójką nieznośnych maluchów. Była bardzo zadowolona ze swojego pomysłu.

Wyjazd Anny do Sankt Petersburga stanowił najlepsze wyjście. W końcu jakoś dogada się z mężem. Będzie musiała. Tak to już jest, pomyślała, że kobiety, które zbyt długo wahają się, nim dokonają wyboru, potem muszą godzić się na to, co dla nich wybiorą inni.

Usłyszała, że gdzieś w pobliżu zamykają się drzwi. To na pewno matka, krążąca po domu jak nieme widmo. Ku zaskoczeniu córki hrabina Stella zdawała się wracać do normalnego stanu, lecz odzywała się wyłącznie do służby. Nie mogła pogodzić się z tym, jak żyła Zofia. Teraz bez wątpienia zamknęła się znów w szwalni. Nabrała ostatnio zwyczaju przesiadywania tam po kolacji. Rzadko jednak szyła. Interesowała się polityką. Zofia nieraz słyszała, jak matka mówiła do siebie, czy też, jak się jej wydawało, do swego rozmówcy, rozważając polityczne kwestie. Co robi Katarzyna? Czego spróbują teraz Austria i Prusy? Jak Polska może się przed nimi uchronić? Czy król Stanisław nadal będzie wspierał konstytucję? Kiedy widziała matkę zagłębiającą w lekturze politycznego czasopisma i zajętą rozważaniem tego czy tamtego posunięcia, miała ochotę krzyknąć. I nie tylko matka tak się zachowywała. Cała Warszawa politykowała z zapalem, i to właśnie polityka stała się głównym tematem rozmów, a nawet plotek. Zofia nienawidziła tego.

Baron Michał Kolbi, który odwiedził ją któregoś dnia, pytając o Annę, też mówił o polityce. Poza tym zadawał jedno pytanie za drugim, wypytując o kuzynkę. Wydawał się szczerze zatroskany tym, że nie otrzymali od niej żadnej wiadomości. Ale dlaczego on miałby się tym martwić? Zofia nie mogła tego zrozumieć. Czy to możliwe, by Anna miała na mężczyzn aż taki wpływ? Zofia nie wybaczyła Kolbiemu, że nie zareagował na jej awanse podczas przyjęcia, odpowiadała więc na pytania w sposób rozmyślnie niedbały i

powierzchny, żałując, że nie ma wieści, które mogłaby ukryć przed tym nadętym osłem.

Jednak każdemu niepowodzeniu, takiemu jak z Kolbim, mogła przeciwstawić rejestr sukcesów. Potrafiła flirtować z trzema mężczyznami jednego wieczoru, wzbudzając w każdym z nich przekonanie, że pozwoli się uwieść. I czasami rzeczywiście tak było. Wybierała przy tym zwierzynę, którą najtrudniej było upolować. Jeśli mężczyzna był żonaty, doskonale. Jeśli był żonaty i miał stałą kochankę, jeszcze lepiej. Zdarzyło się nawet tak, że któryś z nich miał żonę, kochankę i kochanka. Och, jaką czuła rozkosz, wprowadzając nieco zamętu w taką małą menażerię! Przekonała się, że stosując właściwe środki zapobiegające poczęciu, nie musi odmawiać sobie nikogo, kto jej się podobał. Tylko że ostatnio mało kto wydawał się dostatecznie atrakcyjny. Seksualny aspekt tych przygód zaczynał ją nudzić i żaden mężczyzna nie potrafił zainteresować jej na dłużej.

Było jednak wyzwanie, któremu nie potrafiła dotąd sprostać: Jan Stelnicki. Dlaczego nie mogła wybić go sobie z głowy? Żaden inny mężczyzna nie potrafił aż tak zająć jej myśli. Uśmiechnęła się. Być może chodziło po prostu o to, że się oparł jej wdziękowi.

Jan mieszkał teraz w mieście. A skoro Anna wyjechała, musiał być jakiś sposób, by go zwabić. Stał się dla niej tym, czym było złote runo dla Argonautów.

Odpowiedź na to, jak mogłaby sprostać owemu wyzwaniu, pojawiła się pod postacią hrabiego Henryka Literskiego. Zofia uważała, że jest odrażający: brzydki, pozbawiony klasy, beznadziejnie naiwny i niewykształcony. Lecz był w niej zadurzony, czcił ziemię, po której stapała. Wręcz prosił się, by go wykorzystać.

Henryk, szlachcic bez ziemi, nieposiadający żadnego zajęcia ani zainteresowań, żył z niewielkiego funduszu powierniczego. Chętnie szpiegował dla Zofii, donosząc jej o posunięciach Jana Stelnickiego. Zapisywał wszystko w małym żółtym dzienniczku i regularnie zdawał jej sprawozdania. Jeśli nawet przypuszczał, że to skrywana namiętność skłania Zofię, by uciekała się do takich posunięć, nie okazywał tego. Od czasu do czasu wspominała niejasno, że szpieguje Jana z pobudek politycznych, a on nie zadawał pytań. Gdy wydawała się zainteresowana tym, co jej przynosił, jego chuda, naznaczona śladami po ospie twarz promieniała. Jej zadowolenie w zupełności mu wystarczało. To oraz niewypowiedziana, mglista obietnica, że pewnego

razu będzie mógł spodziewać się czegoś więcej niż tylko delikatnego dotyku jej ust na dziobatym policzku.

Od Henryka dowiedziała się, że świątek, w którym obraca się Jan, jest stosunkowo mały. Stelnickiego pasjonowała jedynie polityka, co dla Zofii było czymś niepojętym. Wszyscy jego przyjaciele byli jakoś powiązani z rządem i królem. Wielu wydawało się na tyle starych, że mogli być w wieku jego ojca. I nie było wśród nich kobiet. Jan albo wygłaszał polityczne przemówienia, albo też pisał je w niewielkiej kamienicy, którą wynajął. Usługiwała mu tam niewiasta w średnim wieku o imieniu Wanda.

Często zachodził na nabrzeże i przesiadywał w gospodzie zwanej Pod Głową Królowej, miejscu, które Henryk nazywał piekielną dziurą. Domyślała się, że obserwuje stamtąd biały dom Grońskich po drugiej stronie rzeki.

Odwróciła się od okna, zaciągając na powrót zasłony. Bez trudu potrafiła wyobrazić sobie, jak przed wyjazdem Anny Jan przesiadywał tygodniami w gospodzie, wpatrując się w dom na przeciwległym brzegu z nadzieją, że uda mu się dojrzeć ukochaną.

Zofia poczuła, że czerwienieje z zazdrości. W jaki sposób Annie udało się wzbudzić gorące uczucie mężczyzny takiego jak Stelnicki? I jak to się stało, że ona je straciła? Gdzie popełniła błąd?

Jak miała odczytać jego obecne spartańskie życie? Czy oswajał się z myślą o życiu bez Anny? Bez nadziei na to, że kiedykolwiek mogą być razem? Czy postanowił pogodzić się z rzeczywistością?

Jeśli tak, właśnie w tym upatrywała swej szansy. Serce zabiło jej mocniej na myśl o takim wyzwaniu. Wyobrażała sobie, że go uwodzi, a nawet poślubia. Tęsknota za Anną ustąpiła zadawnionej urazie wobec kuzynki, która ośmieliła się pokrzyżować jej plany. Rozkoszowała się myślą o tym, jak powie jej, że zdobyła Jana. W końcu i tak to ona zatriumfuje.

Napisała do niego, wyrażając umiarkowane przeprosiny i zawołowane zainteresowanie. Jednakże nie chwycił przynęty. Henryk znalazł nadpalone resztki listu w popielniczce w gospodzie.

Nie zaskoczyło to Zofii. Uznała, że duma powstrzymuje go przed tym, by odpowiedział na list. Lecz ona nie da się zniechęcić. Jego opór jedynie podsycił to, co powoli stawało się obsesją.

Ucieknie się do bardziej bezpośrednich środków. Okazja prędzej czy później się nadarzy, i nawet jeśli nie uda jej się zdobyć Jana, przynajmniej zemści się na nim i na kuzynce, która zniweczyłaby wszystkie jej plany, gdyby ona, Zofia, nie okazała się tak sprytna. Zapłacą za to oboje.

W końcu pojawił się Henryk. Gdyby wiedział, że wiadomości, które przyniósł, warte były spędzenia z nim popołudnia w sypialni, zastanawiała się później Zofia, pewnie starałby się lepiej je wykorzystać. Jednak, olśniony jej urodą, nie potrafił myśleć jasno.

Informacja ujawniła się, kiedy Henryk przedstawiał najnowszą litanie zajęć hrabiego Stelnickiego. Wyrzucił z siebie nowinę ot tak, bez zastanowienia i choćby błysku w oku:

- Och, i jeszcze coś. Za dwa tygodnie pan Stelnicki pojawi się na balu u hrabiny Lubomirskiej.

- Co takiego? - zawołała Zofia. To takie niepodobne do Jana, który unikał imprez czysto towarzyskich. - Skąd o tym wiesz?

- Siedziałem przy sąsiednim stoliku i wszystko słyszałem. Nie chciał tam iść, lecz przyjaciele namówili go, twierdząc, że to ostatnie wielkie przyjęcie i nie wiadomo, kiedy odbędzie się następne. Wiesz może, dlaczego miałyby tak być, Zofio? - spytał, zaintrygowany.

- Nie, i nie obchodzi mnie to. Opowiedz mi o lepiej balu, Henryku, zanim odwrócę cię do góry nogami i wytrzęsę z ciebie wszystkie informacje. Nie śpieszyłeś się, by mi je przekazać.

Henryk wydawał się zaskoczony i skonsternowany nagłym przejawem entuzjazmu Zofii.

- Odbędzie się za dwa tygodnie.

- Tak, tak, już to mówiłeś.

- To będzie bal maskowy.

- Co takiego?

- Bal maskowy - powtórzył. - No wiesz, Zofio, wszyscy przychodzą wtedy w...

- Wiem, co to bal maskowy, durniu! Dowiedziałeś się jeszcze czegoś?

Henryk wydawał się urażony.

- Tylko tego, że hrabia zamierza przebrać się za cesarza Justyniana - dorzucił.

To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, pomyślała. Oto szansa. Nawet jeśli nie uda jej się zdobyć zaproszenia, i tak pójdzie. Na bal maskowy nietrudno było się dostać. Robiła to co najmniej pół tuzina razy. I zawsze doskonale się przy tym bawiła.

Podczas gdy Henryk marudził coś o jakimś głupim balu kostiumowym, w którym kiedyś uczestniczył, Zofia zaczęła już obmyślać plan: zaproszenie, suknia, rozkoszna pułapka, która na zawsze rozdzieli Jana i Annę.

- Ale kim był Justynian, Zofio? - zapytał Henryk. - Władcą jakiegoś europejskiego państewka?

- Boże, Henryku, ależ z ciebie nieuk - zaśmiała się Zofia. - Justynian rządził w szóstym wieku imperium bizantyjskim!

- Och.

Biedny osioł, pomyślała, nie jest nawet w stanie uświadomić sobie, że z niego kpi.

RS

Rozdział trzydziesty szósty.

Anna spała niespokojnie, a kiedy się przebudziła, odkryła, że jest w izbie sama. Ogień na palenisku ledwie się tlił. Musi być bardzo późno, pomyślała. Przez chwilę była niemal pewna, że coś porusza się w ciemnościach. Przypomniła sobie o staruszce i serce ścisnęło się jej ze strachu. Minuty mijały w ciszy, przerywane jedynie cichym trzaskaniem dREW na palenisku. Wpatrywała się w niewyraźne, rozkołysane cienie na suficie, aż myśli zaczęły mącić się jej w głowie. Z wolna odpływała w sen.

Nagle poczuła dziwne gorąco u podstawy kręgosłupa. Z każdą chwilą żar rozprzestrzeniał się wzdłuż jej ud i łydek, sięgając kości stóp i placów u nóg, przemieszczając się wzdłuż kręgosłupa aż do głowy. Uczuciu gorąca towarzyszył przyływ dziwnej energii, która zupełnie nią zawładnęła. Leżała bezradna, niezdolna poruszyć się ani przemówić.

Siła, która zapanowała nad jej ciałem, spowodowała, że zaczęła drżeć nieopanowanie, jakby dotknięta paraliżem. W jej głowie eksplodowało białe światło. Serce przyspieszyło bieg. Oddychała szybko, urywanie. Wydawało się jej, że doświadcza naraz setek emocji. Niektóre były przyjemne, inne przerażające. Zanurzyła się w wirującym labiryncie miłości i nienawiści, strachu i pożądania, siły i słabości.

A potem pojawiły się wizje. Tłum ludzi. Twarze: kochające, gniewne, obojętne. Obce i znajome oblicza wirowały, opadając ku niej, znikając i przemieniając się w inne. Anna wpatrywała się w nie, jakby szukała tego jednego jedynego. A może wszystkich, które były jej bliskie, i życia, które minęło. Zobaczyła ukochaną babcię. Przyjaciół z dzieciństwa. Chłopów z majątku w Sochaczewie. A potem rodziców - twarz ojca jaśniała niczym oblicze Boga, a matka wyginała wargi w uśmiechu, który tylko na pozór był uśmiechem. Czy przyszli, by się z nią połączyć? Czy znów będzie miała rodzinę?

Twarze rodziców zaczęły nagle rozplýwać się i blaknąć, zlewając się w jedno nierozpoznawalne, mroczne i groźne oblicze. Oczy tej postaci nie były ani niebieskie jak u ojca, ani fiołkowszare, jak u matki. Nie, opuszczone brwi skrywały płomienie. A jednak były to oczy kogoś, kogo znała. Kogoś, kogo się bała i kogo nienawidziła. Serce ścisnęło się jej boleśnie. Kto to był? Czerwone oczy żarzyły się i choć rozum podpowiadał, że oczy nie mogą się śmiać, wiedziała, iż owe źrenice zła naśmiewają się z niej. Mierzyły Annę, jakby chciały objąć ją w posiadanie. Nie! - krzyknęła, a może tylko próbowała krzyknąć.

Z wolna odnalazła w sobie siłę, która rosła i rosła, dopóki nie wypchnęła z jej ciała obcej energii, sprowadzającej okropne wizje. Ciało Anny przestało drżeć, a oddech uspokoił się. Fakt, że zdołała własnymi siłami odzyskać kontrolę nad ciałem i umysłem, zadziwił ją.

Przez dłuższy czas odpoczywała wyczerpana, niezdolna się poruszyć. Była pewna, że to, co się jej przydarzyło, nie było snem. Leżała bezradnie, ulegając na jawie siłom, których istnienie przekraczało jej wyobraźnię. Dopiero gdy przypomniawszy sobie żarzące się oczy, pamięć nasunęła kolejne wspomnienie. Tak, jarzyły się czerwonym blaskiem, lecz były brązowe. I nagle wiedziała już, do kogo należały. Choć nie tak dawno jej ciało trawiła gorączka, teraz ogarnął ją lodowaty chłód. Słyszała, jak szczękały jej zęby. Oczy wyglądały doprawdy diabolicznie. Zastanawiała się, czy to Nelka naprowadziła ją na tę myśl swoją gadaniną o diable. Anna wiedziała o istnieniu zakazanych ksiązek, które opisywały niesamowite przypadki zawładnięcia przez diabła ciałami dziewic i zapłodnienia ich nasieniem zepsucia. I czyż nie uważano powszechnie, że oczy diabła są czerwone? Wzdrygnęła się.

Czy coś takiego było w ogóle możliwe? Próbowała nie myśleć o Nelce. Nie, te oczy nie należały do diabła, ale do kogoś z krwi i kości. I były bardziej brązowe niż czerwone. To były oczy napastnika, który zaatakował ją przy stawie.

Bezwiednie przycisnęła dłoń do spierzchniętych ust. Oczy w tym śnie, który nie był snem, stanowiły klucz do ustalenia tożsamości gwałciciela - i ojca jej dziecka.

Tylko czyje to były oczy?

Nie spotkała nigdy Feliksa Paducha, chłopca, który poprzysiągł, że zemści się na rodzinie ojca. Jakiego koloru miał oczy? Czy to mógł być on?

Znowu ogarnął ją chłód. Podciągnęła futra prawie pod brodę. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała zobaczyć tych oczu ponownie. Nawet gdyby oznaczało to, że nigdy nie dowie się, do kogo należą.

Pogładziła poruszające się łono. Jednego była pewna: dziecko, które nosi, nie jest pomiotem szatana.

Odzyskiwała siły, czekając na przyjazd ojca Floriana i powrót do Warszawy. Żyła po to, by znów zobaczyć Jana. Tęskniła za nim nieustannie, nawet jeśli tęsknota zabarwiona była poczuciem winy, które nie pozwalało jej w pełni rozkoszować się wspomnieniami. Pożywne jedzenie, zioła i wywary sporządzone przez Sowie Oczy - wszystko to sprawiało, że powracała do zdrowia. Ból gardła, uczucie ciężaru w piersi, kaszel i katar stopniowo słabły.

Przyglądała się codziennemu życiu klanu. Podczas gdy Sowie Oczy, kobiety i młodzież zajmowali się domem, mężczyźni polowali. Kolacja stanowiła towarzyską kulminację dnia, czas poświęcany rodzinie. Klan utrzymywał kilka koni, niezliczoną liczbę psów myśliwskich i kilka sokołów. Przetwory owocowe i warzywne pochodziły z własnego ogrodu, ten zaś był pokaźnej wielkości. Rodziny oddawały baronowi część plonów i upolowanej zwierzyny. Anna była zdumiona, że tak feudalne stosunki mogły utrzymać się i funkcjonować aż do tych czasów. Jednak pomimo zacofania i niewyszukanego stylu życia ludzie ci wydawali się jej szczęśliwsi niż ktokolwiek, kogo знаła, i to zarówno pośród szlachty, jak i pospólstwa.

Nelka była wymownie nieobecna, choć Anna czuła, że przebywała gdzieś w pobliżu. Antek i Stefan mieli pozostać z klanem do przyjazdu ojca Floriana. Zostali chętnie, jak zapewnili Annę, gdyż dawało im to okazję, by mogli spędzić nieco czasu z ojcem i polować z mężczyznami. Dzień po dniu dotrzymywali jej kolejno towarzystwa i Anna dobrze ich poznała. Choć byli tak do siebie podobni fizycznie, różnili się charakterem i usposobieniem.

Antek był gadatliwy. Kiedy przebywał w jej towarzystwie, rozmawiali bez ustanku. Zafascynowany życiem w stolicy i tamtejszą szlachtą, wypytywał ją o wszystko. Wydawał się zainteresowany nawet tym, jak wyglądało życie Anny w Sochaczewie, nim zmarli jej rodzice. Odkryła, że nieźle orientuje się w polityce i, podobnie jak ona, jest zwolennikiem konstytucji.

Stopniowo zbliżyła się do niego na tyle, że zaczęła opowiadać mu o tym, co przydarzyło jej się po śmierci rodziców. Opowiadała o nieszczęśliwym małżeństwie, miłości do innego mężczyzny, trosce o los dziecka. Nie mogła jednak zmusić się, by opowiedzieć o gwałcie i o tym, iż mąż zlecił zamordowanie jej. Choć nie powiedziała wszystkiego i tak poczuła się lepiej. Antek okazywał jej serdeczność i zrozumienie. Był jak brat, którego nigdy nie miała.

Stefan to zupełnie inna historia. Nie minęło wiele czasu, a przestała czuć się w jego obecności swobodnie. Był czarujący i troskliwy, ale musieli bardzo się starać, by znaleźć temat do rozmowy. Uświadomiła sobie jednak, że było coś jeszcze. Ilekroć zdarzyło jej się spojrzeć głębiej w jego poważne oczy, na nowo uderzało ją, jak bardzo jest pociągający.

A to wyprowadzało Annę z równowagi.

Co dziwne, Stefan zdawał się postrzegać ją tak, jakby nie była mężatką, do tego w piątym miesiącu ciąży. Zdarzało mu się czynić uwagi - niestosowne i nie na czasie - które nie mogły być niczym innym jak próbą flirtu. Złożyła to

na karb zmysłowości, którą wyczuła w nim już pierwszego wieczoru. Był mężczyzną, którego bardzo interesowały kobiety.

Tłumaczyła sobie jednak, że jego zachowanie, choć nie na miejscu, jest zupełnie nieszkodliwe.

Przygotowania do przyjazdu ojca Floriana zaczęły się na długo przed niedzielnym porankiem.

Podczas gdy kobiety skubały dzikie ptactwo i doprawiały zupy oraz gulasze, perkoczające potem godzinami nad paleniskiem, mężczyźni, którzy akurat nie polowali, wykonywali lżejsze prace domowe. Było w nich jakieś spokojne podekscytowanie, które udzielało się dzieciom, zawsze chętnym, by wyrazić głośno swą radość. Przyjazd księdza stanowił nie lada atrakcję, wyczekiwaną niecierpliwie, gdyż pozwalała oderwać się od codzienności.

Magda, starsza córka Lucyny, zaplotła Annie włosy, a potem wraz z matką zaprowadziła ją do drewnianej wanny. Mężczyźni przynieśli gorącą wodę i Anna miała jako pierwsza skorzystać z kąpieli. Oddała się tej niemal zapomnianej przyjemności w błogim przekonaniu, że już niedługo znajdzie się znowu w Warszawie.

Rankiem członkowie klanu zebrali się w nieogrzewanej kaplicy, odziani starannie w skromne, lecz nieskazitelnie czyste niedzielne ubrania. Tylko strój bliźniaków był o wiele bardziej wyrafinowany. Zwłaszcza ich pasy, ten symbol polskości, z daleka rzucały się w oczy.

Annę mierzył własny wygląd. Kobiety zrobiły, co mogły, by oczyścić i pozszywać jej suknię, mimo to przedstawiała żaloszny widok. Narzuciła więc na nią utkany w domu szal, a głowę zakryła koronkowym czepkiem.

To ci dopiero wrażenie wywrę na ojcu Florianie, pomyślała. Z pewnością weźmie mnie za posługaczkę.

Bliźniacy uklękli po obu stronach Anny na wyszczerbionej kamiennej podłodze.

Godzina, kiedy ksiądz zwykle zjawiał się w kaplicy, nadeszła, a potem minęła.

- Jak się czujesz? - spytał Antek.

- Dobrze - odparła. Prawdę mówiąc, umierała z głodu. Wszyscy pościli od poprzedniego dnia, by móc przyjąć komunię.

W końcu wierni podnieśli się z klęczek i usiedli na twardych ławkach bez oparcia.

Antek przeprosił Annę i wyszedł rozejrzeć się za księdzem.

Martwiła się, że ojciec Florian nie przybędzie. Jeśli tak się stanie, jak długo potrwa, nim uda im się stworzyć nowy plan?

By zająć czymś myśli, przyglądała się zniszczonej kaplicy. Wysoki sufit zawalił się miejscami, a że go nie naprawiono, na dłoniach i uniesionej twarzy czuła pojedyncze płatki śniegu. W pozłacanych niszach wzdłuż bocznych ścian stały naturalnej wielkości posągi świętych i apostołów, tak stare, że nie sposób było rozróżnić rysów twarzy. Marmurowy ołtarz był mocno zniszczony, lecz tabernakulum połyskiwało złotem.

W ścianie powyżej ołtarza znajdował się okrągły otwór, w którym było kiedyś witrażowe okno. Anna mogła spoglądać przez nie ku miejscu, gdzie opustoszałe, pokryte bielą wzgórza zlewały się z nieskończoną płaszczyzną szarego zimowego nieba.

Zadrzała i otuliła się ciasniej płaszczem.

Nagle jej uwagę przyciągnął dobiegający spod sklepienia odgłos. Jakiś ptak - gołąb grzywacz - trzepotał rozpaczliwie skrzydłami, starając się znaleźć drogę na wolność. Zabłąkane ptaki musiały często trafiać do kaplicy, gdyż nikt poza Anną nie zwrócił uwagi na to, co dzieje się pod sklepieniem. Piękny ptak, schwytny w pułapkę, z każdą chwilą stawał się bardziej przerażony. Przyglądała się bezradnie, jak fruwa od jednej belki do drugiej, a potem zatacza koła, starając się wydostać. Kiedy na ziemię opadło bezgłośnie kilka piór, niektórzy spośród wiernych spojrzeli wreszcie w górę.

Lęk ścisnął serce Anny. Obawiała się, że ptak, ogarnięty paniką, zginie, nim zdoła odnaleźć drogę na wolność. Lecz nagle gołąb sfrunął w dół, poszybował wzdłuż nawy i zniknął w otworze okiennym za ołtarzem.

Przez chwilę czuła, że jej serce także szybuje, unoszone nadzieją.

- Stefanie, czy zdarzało się już, by ksiądz... - umilkła, nim zdążyła zapytać o możliwą przyczynę nieobecności księdza. Nelka odwróciła się bowiem i obrzuciła ją spojrzeniem tak nienawistnym, że dalsze słowa uwięzły Annie w gardle.

Mimo to nie spuściła wzroku.

Nagle ciszę przerwało skrzypienie ciężkich drzwi. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli Antka z księdzem. Wysoki mężczyzna ruszył wprost ku ołtarzowi, nie spojrzawszy nawet na wiernych.

Antek powrócił na swoje miejsce u boku Anny.

Wszyscy wstali. Ksiądz, odwrócony plecami do wiernych, natychmiast zaczął przygotowywać ołtarz. Wygoloną tonsurę otaczał wianuszek siwiejących włosów, a naga czaszka na czubku głowy błyszczała niczym

lustro. Potężną sylwetkę mnicha skrywał ciemnobrązowy habit, sięgający przemoczonych butów.

Anna miała nadzieję, że Antek zdążył już wspomnieć księdzu o kłopotliwym położeniu, w jakim się znalazła. Sądziła, że ksiądz zechce poznać ją, nim zacznie odprawiać mszę. Nie zrobił tego jednak. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać gromadki chłopów, która tak długo na niego czekała.

Serce Anny przestało na moment bić. I ten człowiek miałby pomóc jej wrócić do domu?

Ksiądz odwrócił się, by spojrzeć na wiernych. Msza zaraz miała się rozpocząć. Zapewne dobiega pięćdziesiątki, oceniła. Twarz miał rumianą i pospolitą. Małe oczy były tak głęboko osadzone, że nie dało się określić ich koloru ani wyrazu. Anna pomyślała, że księdzu nie dopisuje dziś humor. Swoje obowiązki wykonywał dość niedbale, a na jego twarzy malował się grymas uporu.

Nagle uświadomiła sobie, że kapłan wpatruje się w nią. W pierwszej chwili miała ochotę odwrócić wzrok, lecz zapanowała nad sobą i odwzajemniła spojrzenie. Twarz księdza poczerwieniała jeszcze mocniej. Odwrócił się, aby dokończyć przygotowań.

Uznał mnie za zuchwałą, pomyślała. Konflikt wisiał w powietrzu. A jeśli plan, który wspólnie wymyślili, nie powiedzie się? Martwiła się, gdyż każdy dzień zwłoki mógł sprawić, że Antoni w końcu ją odnajdzie. Zaczęła się modlić.

Ksiądz zszedł po trzech stopniach, wiodących do ołtarza, i postąpił w jej kierunku.

Antek pociągnął ją ku nawie i przedstawił kapłanowi.

- Niech Jezus okaże się dla ciebie łaskawy, pani - powiedział ksiądz - i dla tych, co z tobą podróżowali.

Wyciągnął dłoń, by mogła ucałować pierścień.

- Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy, by mogła pani wrócić do Warszawy.

Anna osłabła z powodu postu i długiego czekania, nie uklękła więc, lecz nadal stała. Pomyślała, że chłopci z pewnością uznają jej zachowanie za szokujące, lecz nic nie mogła na to poradzić.

- Czy chciałaby pani wyspowiadać się przed mszą?

- Tak, ojcze.

Być może oceniła księdza zbyt surowo. W końcu ten człowiek przybywa z kaplicy Czarnej Madonny. Może to właśnie cud, na który czekała?

Konfesjonał, ustawiony z przodu świątyni, składał się z krzesła dla księdza i klęcznika dla spowiadającego się. Anna opowiedziała szeptem o tym, co wydarzyło się podczas podróży i, na wyraźne życzenie księdza, nie szczędziła szczegółów. Starła się mówić krótko, wiedziała bowiem, że wieśniacy są równie głodni i zmęczeni jak ona.

Powiedziała księdzu o Louisie i Babette i o tym, że czuje się winna, gdyż nie okazała im dość cierpliwości. Ojciec Florian zapewnił ją, że nie ma powodu tym się martwić.

- Czasami zdarza się tak, że jednej osobie udaje się przeżyć, a innym nie - tłumaczył. - Wtedy często ten, kto przeżył, czuje się winny. Nie obarczaj się winą, dziecko.

Anna nie odważyła się opowiedzieć o strasznych podejrzeniach wobec Antoniego. Wydawały się zbyt nierealne, by ubrać je w słowa. Poza tym czuła, że ksiądz i tak by jej nie uwierzył.

- Czy wyszłaś za mąż z miłości, córko? - zapytał.

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Anna zamilkła i przez chwilę jedynie wpatrywała się w zakonnika. Co, u licha, skłoniło go, by o to zapytać?

- Nie - powiedziała w końcu. - Małżeństwo z Antonim zostało zaaranżowane.

- Czy on cię bije?

- Uderzył mnie... raz.

- Rozumiem - odparł ksiądz, przyglądając się jej badawczo. - Jesteś młoda - westchnął w końcu. - Małżeństwo nie wygląda tak, jak w dziewczęcych snach czy romantycznych powieściach. Małżeństwo staje się nim naprawdę, kiedy oboje partnerzy w pełni z sobą współpracują. To wspólnota dusz. Żona powinna bardziej troszczyć się o dobro męża niż o własne i czerpać z tego radość oraz szczęście.

- A czy mąż nie powinien troszczyć się o to, by jego żona była szczęśliwa?

- Tak, oczywiście - odparł ksiądz, spoglądając Annie prosto w oczy. - Jednak czasami to kobieta musi bardziej się poświęcić.

Odczuwała pokusę, by zapytać, dlaczego tak ma być, ale nie ośmieliła się tego zrobić. Nie śmiała też wspomnieć o tym, jak pozbawiony wszelkiej nadziei był jej związek z Antonim, i że kocha innego.

- Jestem pewien, że nie ma pani powodu się skarżyć, pani Berezowska. Powinna pani być lojalna wobec męża duszą i ciałem.

Anna drgnęła na dźwięk panińskiego nazwiska, lecz nim zdołała powiedzieć mu, jak się naprawdę nazywa, on już udzielał jej rozgrzeszenia.

Kłamstwo na temat tego, kim jest, będzie jedynym grzechem, który splami jej duszę.

- Odprawię teraz mszę, a potem pójdę z mężczyznami do miejsca, gdzie zginęły dzieci i reszta. Trzeba wyprawić im chrześcijański pochówek.

Wstał i natychmiast oznajmił, że nie będzie już mógł wysłuchać dziś ani jednej spowiedzi.

Gdy ojciec Florian odprawiał pośpiesznie mszę, Anna zastanawiała się, czy wieśniacy nie obarczą jej winą za to, że ksiądz nie miał czasu wysłuchać nikogo spośród nich. Rozgrzeszenie miała otrzymać dziś jedynie przedstawicielka uprzywilejowanej klasy.

Gdy ceremonia dobiegła końca, zagadkowy ojciec Florian opuścił wraz z mężczyznami kaplicę.

- Hrabina nie czuje się dobrze? Słowa docierały do świadomości Anny, jakby płynęły z drugiej strony długiego tunelu. Poczowała, że ktoś dotyka dłonią jej czoła.

- Proszę pani?

- Co? Tak?

Leżała w pobliżu paleniska.

- Jest pani chora?

Uniosła powieki i zobaczyła, że Sowie Oczy właśnie cofa kościstą dłoń.

- Nie... tylko trochę kręci mi się w głowie.

- Z głodu?

Nie mogła zaprzeczyć. Była głodna jak wilk. Staruszek odwrócił się i zawołał do Lucyny:

- Przynieś talerz gulaszu z jelenia.

Kobieta oderwała się od tego, co robiła przy palenisku, i wymamrotała coś, czego Anna nie zrozumiała, lecz z jej tonu przebijało niezadowolenie.

Sowie Oczy stracił cierpliwość:

- To dla hrabiny, kobieto. Pośpiesz się.

Lucyna spojrzała na Annę i jej spojrzenie złagodniało. Nie zwlekając, nałożyła gulaszu do drewnianej miski i przyniosła gościowi. Lecz nim Sowie Oczy zdążył podsunąć jej do ust pierwszą łyżkę, pojawiła się Nelka.

- Ona zaczeka! - zaskrzeczała. - Będzie musiała jeszcze zaczekać!

Anna rozumiała początkową niechęć Lucyny. Nikt nie powinien był przerwać postu, dopóki ksiądz i mężczyźni nie wrócą, odprawivszy ceremonię w miejscu pochówku zabitych.

- Ona musi poczekać! - wysyczała kobieta. - Nie będzie tu żadnych przywilejów!

- Hrabina musi jeść! - powiedział Sowie Oczy. Anna oswoiła się już z miejscowym dialektem i sporo rozumiała. -Hrabina Berezowska jest przy nadziei. Oboje jesteśmy już starzy, Nelka, lecz ty jesteś kobietą i chyba pamiętasz jeszcze, jak to jest, gdy nosi się dziecko. Ona będzie jadła - nie dlatego, że jest ze szlachty, ale dlatego, że musi karmić bezradną istotę, którą nosi pod sercem. Czy zostałem zrozumiany?

Starucha wykrzywiła pomarszczoną twarz i wydeła z pogardą usta.

- Ma w brzuchu diabelski pomiot, ot co! - wysyczała i znikła z izby.

- Jedz, dziecko - powiedział Sowie Oczy łagodnie.

Anna leżała na boku, spoglądając na miskę pełną sosu, warzyw i jeleniego mięsa. Aromat gulaszu wypełniał jej nozdrza. Ślina napływała do ust. Lecz potem spojrzała na obserwujące ją twarze i kilka innych, udających obojętność. Mała córeczka Lucyny, Wera, wpatrywała się głodnym wzrokiem w miskę.

- Nie - powiedziała, odsuwając naczynie. - Zaczekam na mężczyzn.

Sowie Oczy protestował, lecz Anna pozostała nieugięta.

Po chwili uniósł jej głowę i skłonił, aby wypić dziwny, ciemny napar. Choć dość szczególny w smaku, nie był jednak niesmaczny. Nie minęło wiele czasu, a zaciążyły jej powieki. Wyobraźnia, pobudzona widać przez tajemniczy napój, podsunęła jej obraz pięknego, zaśnieżonego krajobrazu, niezwykle realistyczny. Czowała chłód, uderzenia mroźnego powietrza na twarzy i rześki zapach świeżego śniegu.

A potem coś się w nim poruszyło. Pojawiły się postacie ludzi, zajętych jakąś pracą. Stopniowo sylwetki i twarze stały się bardziej wyraźne i oto wiedziała już, kim są i co robią.

W ściętej mrozem ziemi znajdowały się groby, wykopane przez chłopów kilka tygodni temu. Wizja pozostała niema i bezdźwięczna, widziała jednak, że usta księdza poruszają się w modlitwie, a jego prawa dłoń wykonuje znak krzyża nad każdym z grobów. Uświadomiła sobie, że to ojciec Florian. Potem dostrzegła dwa małe pagórki, kryjące mogiły Louisa i Babette. Małe, zamarznęte groby bez żadnych oznaczeń.

Zmagła się z sobą, by nie zasnąć. Ksiądz - jej połączenie ze światem zewnętrznym, ogniwo łączące ją z domem - miał wkrótce wrócić. Muszę zachować świadomość, myślała, osuwając się w głąboki, wywołany narkotykiem sen. Muszę zachować świadomość...

W kilka godzin później Stefan poinformował Annę, że ksiądz odjechał do Częstochowy bez niej.

Usiadła i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ale... dlaczego?

- Uznano, że jest pani zbyt słaba, by podróżować.

- Byłam po prostu głodna... a potem podano mi ten napar... Och, Stefanie, kiedy on znów tu zawita?

- Przyjeżdża co drugą niedzielę.

- Dwa tygodnie.

Poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Nie mogła pozwolić sobie na stratę kolejnych dwóch tygodni. Antoni pewnie i tak już jej szuka. Co robić?

- Nie musi pani stąd wyjeżdżać, pani Berezowska - powiedział Stefan. - Nie musi pani wyjeżdżać w ogóle.

- Ależ muszę, i to wkrótce.

Nagle uświadomiła sobie, że na twarzy Stefana maluje się napięcie. Wyglądał, jakby zbierał się na odwagę.

- Ja... nie ma dla mnie znaczenia, czy w ogóle miała pani męża albo czy małżeństwo pani nie jest szczęśliwe.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, ani razu nie wspomniała pani o miłości do męża lub o tym, że chce pani do niego wrócić - do Warszawy, tak, lecz nie do męża.

Anna zjeżyła się, nie wiedząc, do czego miałyby prowadzić ta rozmowa.

- To nie twoja sprawa, Stefanie.

- Chciałbym, aby stała się moja.

Spojrzała na niego pytająco.

- Chcą, by pani z nami została. Oczywiście, nie w tym zrujnowanym, lecz w naszym domu. Proszę pozwolić, bym został ojcem dla pani dziecka... i mężem dla pani.

- Nie mówisz poważnie!

- Owszem, mówię. Tak, teraz to widziała.

- To niemożliwe, Stefanie - odparła, nie mogąc zdobyć się na uśmiech.

- Ponieważ nie należę do szlachty?

- Nie, nie o to chodzi...

- Właśnie, że o to! Być może nie urodziłem się szlachcicem, lecz zostałem tak wychowany przez barona Galkiego, posiadam też lepsze wykształcenie niż niejeden spośród szlachty...

- Nie w tym problem. Nie mogę nawet się nad tym zastanawiać.

- Zakochałem się w pani.

- Lecz ja nie mogę odwzajemnić twojej miłości. Musisz uwierzyć, że naprawdę mam męża.

- Czy może mi pani powiedzieć z ręką na sercu, że to szczęśliwy związek? Może pani?

Chwilę potrwało, nim mogła mu odpowiedzieć. Pomyślała o swoich nadziejach i o tym, jak obróciły się wniwecz. Seria zazębiających się zdarzeń, składających się od jakiegoś czasu na życie Anny, przesunęła się przed jej oczami jak fabuła greckiej sztuki o skomplikowanej intrydze. Mogła interpretować ją jako tragedię lub komedię, więc by się nie rozplakać, wybrała śmiech.

- Och, Stefanie, nie mogłabym nawet zastanawiać się...

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nic... tego po prostu nie da się wytłumaczyć. Teraz śmiała się już otwarcie.

Twarz Stefana czerwieniała z każdą chwilą.

- Przypuszczam, że to bardzo zabawne, kiedy cymbał taki jak ja robi z siebie głupca?

- Och, nic podobnego, Stefanie. Nie o to chodzi.

Nagle uświadomiła sobie, że nie ma do czynienia z Antkiem, który potrafił odczytać subtelności wyrazu twarzy czy słów. On dostrzegłby w jej słowach ironię, zorientowałby się, że Anna śmiechem pokrywa ból. Lecz jego brat, powodowany emocjami, których nie potrafił opanować, nie był w stanie dostrzec niczego, poza brutalnie wyrażoną odmową, która zraniła jego uczucia. Wisielczy humor opuścił Annę równie nagle, jak się pojawił. Wiedziała, że musi złagodzić ból, jaki zadała Stefanowi.

Tylko że już go nie było.

Rozdział trzydziesty siódmy.

Dwa tygodnie później siedziała znowu w kaplicy, oczekując przyjazdu księdza. Czas mijał nieznośnie powoli. Stefan trzymał się z dala od klanu. Anna zwierzyła się Antkowi z tego, co zaszło podczas ostatniego, niefortunnego spotkania, i ten próbował porozmawiać ze Stefanem, ułagodzić go, lecz na próżno. Podczas gdy Antek potrafił mówić o uczuciach, jego brat bliźniak - którego uczucia z pewnością były równie żywe i głębokie - nie był do tego zdolny. Jak miała zadośćuczynić jego zranionej dumie?

Siedziała w zimnej kaplicy od rana, a było już wczesne popołudnie. Jej najgorsze obawy się sprawdziły - ksiądz nie przyjechał.

- Nie będziemy dłużej czekać - zdecydował w końcu Witek. - Coś powstrzymało księdza i nie przyjedzie.

- To ona go powstrzymała - syknęła Nelka na tyle głośno, że wszyscy ją usłyszeli.

Anna nie odwróciła się, by spojrzeć na staruchę. Siedziała sztywno, czując, jak jej twarz oblewa się rumieńcem. Zdawała sobie jednak sprawę, że inni z uwagą słuchają Nelki.

- Ta kobieta to zło - syczała dalej starucha. - To ona trzyma księdza z dala od nas! Nie wróci, dopóki ona tu będzie. Musimy się jej pozbyć!

- Dość, Nelka! - powiedział Witek nie tyle głośno, ile stanowczo.

- Niemożliwe, byś tego nie widział, Witek. Ona jest narzędziem szatana.

- Idź z innymi kobietami, Nelko, pomóż przy posiłku. I przestań mamrotać.

Kobieta skrzywiła się paskudnie, lecz posłuchała.

Anna leżała bezsennie, choć dawno minęła północ. Była sama. To prawda, zastanawiała się ponuro. Ksiądz nie przyjechał z jej powodu. Nie wiedziała jedynie, dlaczego tak się stało. To była zagadka. I jak teraz dostanie się do Warszawy? Pomyślała o Janie i jej serce natychmiast zaczęło szybciej bić. Gdyby tylko wiedział, w jakim położeniu się znalazła... Lecz nie ma co o tym myśleć.

Antek zapewnił ją jeszcze tego wieczoru, że wymyśli nowy plan. Modliła się, by był w stanie jej pomóc, lecz przez cały czas w podświadomości czaiło się pytanie: Czy Antoni ją odnajdzie?

Jej myśli zakłócił jakiś hałas. Natychmiast usiadła na łóżku. Nerwy miała napięte do ostatnich granic. Wbiła wzrok w mroczną przestrzeń przed sobą, czując, jak serce tłucze się jej w piersi. To nic takiego, wmawiała sobie, po prostu Lucyna przyszła sprawdzić, jak się czuję, albo mysz buszuje pod stołem

w poszukiwaniu okruchów. Nagle zobaczyła płomień świecy, który zdawał się płynąć od strony odległych drzwi. Za nim pojawił się następny, i jeszcze jeden. Wpatrywała się w pełgające światła, niezdolna przemówić.

Zakapturzone postacie niosły ogarki. Ustawiały się z wolna w szeregu niczym druidyjscy kapłani.

Przerażona, nie mogła wykrztusić słowa i odezwała się dopiero, kiedy stanęły przed nią.

- Kim jesteście? - spytała. - Po co przyszliście?

- Przyszliśmy po ciebie, hrabino.

Anna natychmiast rozpoznała ten głos.

- O co ci chodzi?

- Pora, żebyś nas opuściła - powiedziała Nelka, zsuwając z twarzy kaptur i uwalniając skołtunione włosy. Jej oczy, w których odbijał się blask ognia, były niczym dwa emanujące groźbą dyski.

Anna przyglądała się, osłupiała, jak starucha podchodzi do paleniska i wtyka w nie pogrzebacz. Spojrzała na inne postaci. Same staruchy, przyjaciółki Nelki. Ich twarze wyglądały jak maski o nieubłaganim wyrazie.

- Dlaczego tak mnie nienawidzicie? - spytała, starając się ukryć ogarniającą ją panikę.

- Jesteś złem! - plunęła Nelka. Ponieważ stała tuż przy niej, Anna poczuła na twarzy ślinę.

- Chodzi o to, że jestem szlachcianką, tak? Kobieta roześmiała się.

- Twoje żyły będą krwawiły równie łatwo, jak czyjekolwiek, a krew będzie równie czerwona.

- Dlaczego, Nelka? Powiedz, dlaczego aż tak mnie nienawidzisz?

- Tacy jak ty deptali biednych, odkąd tylko pamiętam.

Jej oczy przybrały dziwnie nieobecny wyraz, a głos stał się monotony:

- Postąpimy słusznie, powstając i wyrzynając was wszystkich!

- Czy baron Gałki aż tak źle cię traktował? Kobieta drgnęła, jakby otrząsając się z transu.

- Wstań i otul się szalem. Na dworze jest zimno.

- Oni nigdy się na to nie zgodzą, Nelka. Ani Witek, ani twoi wnukowie.

- Oni są ślepi. Dostyc gadania! Wstawaj!

Nelka skinęła na kobiety i dwie z nich zmusiły Annę, by się podniosła. Spróbowała krzyknąć, lecz czyjaś dłoń zakryła jej usta. I kiedy szamotała się z nimi, próbując się uwolnić, uświadomiła sobie, że w izbie jest jeszcze ktoś, piąta osoba, która wyłoniła się z cienia i podeszła do paleniska.

Rozpoznała Stefana.

Dzięki ci, Boże, pomyślała. On poradzi sobie z tą szaloną staruchą, swoją babką. Niezdolna się odezwać, gdyż czyjaś dłoń nadal przesłaniała jej usta, wzrokiem błagała młodzieńca o pomoc.

Stefan zbliżył się do kobiet z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Dlaczego zwleka? - zastanawiała się Anna. Czemu nic nie mówi?

Nelka odwróciła się i spostrzegła wnuka. Jednak nie wydawała się zdziwiona.

- Koń gotowy? - spytała. Skinął głową.

Anna zrozumiała. Jej nadzieja trwała krócej niż błysk komety. Stefan jej nie pomoże. Zjawił się tutaj, by pomóc babce ją wygnąć.

Nelka podeszła bliżej paleniska i Anna skorzystała z okazji, by raz jeszcze wzrokiem poprosić Stefana o pomoc. Jego zimne, kamienne spojrzenie jakby na chwilę złagodniało, lecz kiedy babka wróciła, niosąc pogrzebacz, i dołączyła do tworzących półokrąg postaci, twarz młodzieńca znowu przybrała zacięty wyraz.

Koniec rozpalonego pogrzebacza gorzał czerwienią. Nelka trzymała go tuż przy czole Anny, która czuła, jak żar opala jej brew.

- Jeśli będziesz się szarpać lub krzykniesz - ostrzegła ją - nikt więcej nie spojrzy na ciebie z przyjemnością. Ucisz ją, Stefan.

Kobieta, która trzymała dotąd dłoń na ustach Anny, cofnęła rękę, a chłopak wepchnął Annie knebel w usta. Ależ musiałam go zranić, pomyślała.

Poszturchiwana kościstymi palcami Nelki, wyszła z izby i ruszyła wzdłuż opustoszałych pomieszczeń, a potem po kamiennych stopniach, prowadzących do stajen. Tam Stefan związał jej rękę.

- Wsadź ją na konia - rozkazała Nelka. - Wyprowadź głęboko w las i zostaw.

- A koń? - zapytał Stefan.

- Przeprowadź go z powrotem. Ona zna diabelskie sztuczki, a las jest domem diabła, wszyscy o tym wiedzą. Niech on jej pomoże.

Anna chciała krzyknąć. Nie mogła jechać teraz konno. Wiedziała, że to zabije dziecko. A i ona, pozostawiona sama zimą w lesie, także nie zdoła przetrwać.

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Przesunęła spojrzeniem po twarzach kobiet. Wiedziały, że ogarnięta szaleństwem Nelka wysyła ją na pewną śmierć, mimo to stały nieruchomo niczym posągi. Wydawało się jej, że w twarzy jednej z kobiet dostrzega cień żalu i współczucia. Tą kobietą była

Janka, która okazała jej sympatię w pierwszych dniach pobytu wśród ludzi z klanu. Jednak Anna zdawała sobie sprawę, że wahanie Janki spotkałoby się z natychmiastową reakcją ze strony zgorzkniałej Nelki, której udało się przekonać i zastraszyć resztę kobiet.

Wiedziała też, że nie może spodziewać się pomocy ze strony Stefana. Chłopak nie zmieni zdania. Nieświadome okrucieństwo i bezmyślny śmiech przypieczętowały jej los. Mimo to, kiedy wsadzał ją na konia, spojrzała mu w oczy, szukając w nich choć śladu współczucia. Lecz jego oczy były zimne i bez wyrazu. Nienawidziła go teraz i wiedziała - niech Bóg jej wybaczy - że pójdzie na śmierć, nienawidząc go.

Gdy Stefan dosiadł swego konia, kobiety zebrały się wokół Anny i uniosły wyżej świece. Nelka trzymała uniesiony pogrzebacz, jakby miała uderzyć nim konia.

Jakichże to starych przesądów stałam się ofiarą, pomyślała.

- Otwórz drzwi, Janka! - rozkazała Nelka.

Kobieta posłuchała. Do stajni wdarł się podmuch zimnego powietrza. Janka ruszyła ku pozostałym, gdy nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Zatrzymała się w pół kroku i zawahała. Kobiety podążyły wzrokiem za jej spojrzeniem. Na drewnianym progu majaczyła czyjaś postać. Jedna z kobiet westchnęła cicho.

Antek.

Rozdział trzydziesty ósmy.

Wynajęty powóz zajechał na podjazd pałacu w Wilanowie, niegdysiejszej letniej rezydencji króla Jana Sobieskiego. Zofia odsunęła okiennicę. Na chwilę jej pewność siebie osłabła. Stała oto u wrót rezydencji dorównującej wspaniałością samemu Zamkowi. Położona wśród ogrodów w stylu włoskim żółta budowla, chociaż zdobiona na sposób francuski, odzwierciedlała w pewien sposób prostotę polskiego dworu. Woźnica dołączył do szeregu wolno posuwających się ku głównemu wejściu pojazdów, gdzie wysiadali uczestnicy balu. Czy zostanie wpuszczona? Po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości.

Ostatnie dwa tygodnie spędziła, zdobywając informacje, a potem pilnując krawcowej, której powierzono zadanie uszycia czerwonej sukni oraz bogato zdobionej klejnotami tuniki. Opatrzona kapturem szata miała barwę szkarłatu. Teodora, która zaczynała jako aktorka - co wówczas było synonimem prostytutki - awansowała do godności władczyni, noszącej królewską purpurę, toteż Zofia znajdowała wielką przyjemność w odgrywaniu tej roli. Toaleta, uszyta z mięsistego aksamitu, opadała ku ziemi szeregiem majestatycznych fałd.

Wiedziała, iż niektórzy goście będą mieli maski zakrywające całą twarz, inni takie, które zasłaniają tylko oczy, a część nie założy masek w ogóle. Długo zastanawiała się, nim podjęła decyzję. Wolała, by Jan nie rozpoznał jej aż do chwili, gdy sama tego zechce. Dlatego wybrała maskę zakrywającą całą twarz, z wyjątkiem ust i brody. Wyraziście zarysowane usta stanowiły mocny atut jej urody, będzie więc mogła wykorzystać go, by czarować mężczyzn. Maseczka, zrobiona ze szkarłatnego filcu, była zdobiona wzdłuż górnej krawędzi klejnotami i białymi piórami.

Zaledwie dzień wcześniej, po tym jak przywieziono jej suknię, wybrała się do księżnej Charlotte, aby pożyczyć od niej biżuterię. Przyjaciółka chętnie pożyczyłaby jej swój trzyczęściowy naszyjnik z brylantów i Zofia odczuwała pokusę, by skorzystać z oferty. Doszła jednak do wniosku, że naszyjnik składający się z dwudziestu sześciu rubinów i pasujące do niego kolczyki będą wyglądały bardziej bizantyjsko.

- Nie sądzę, byś przejmowała się tym, że twój głęboki dekolt nie wygląda szczególnie bizantyjsko - strofowała ją Charlotte.

Zofia roześmiała się.

- Masz rację. Być może obawiam się, że powódź diamentów odwróciłaby uwagę od moich walorów.

W końcu wysiadła z powozu i zmieszała się z tłumem innych gości. Po chwili stała już w kolejce, czekając, aż zapowiedzą ją przy wejściu do sali balowej, i zastanawiała się, jakby tu uniknąć spotkania z hrabiną Lubomirską. Kolejka posuwała się jednak zadziwiająco szybko i nim się zorientowała, stała już przed hrabiną.

Gospodyni miała na sobie wyszukaną białą toaletę, która sprawiała, że wydawała się wręcz kwadratowa. Wieniec z liści mirtu wieńczył wysoką, pudrowaną perukę, wznoszącą się ponad okrągłą, pyzată twarzą. Zofia oceniła, że hrabina wygląda po prostu śmiesznie.

- Jest pani bez wątpienia wielką boginią Herą! - zawołała z entuzjazmem.

Pełne czerwone usta hrabiny rozciągnęły się w uśmiechu zadowolenia.

- Jak pani to odgadła?

- Z zapalem studiuje mitologie - odpowiedziała, zapominając dodać, iż podsłuchala, jak hrabina zdradza swoja tozsamosc parze, która stała przed nią.

- A kim pani jest? Och, wygląda pani prześlicznie.

- Cesarzowa Teodora.

- Rozumiem. Cudownie! Hrabina zmrużyła małe oczka. -Ale kim pani naprawdę jest? Przysięgam, że nie potrafię pani rozpoznać.

Wyciągnęła pulchną dłoń, by zdjąć Zofii maskę. Ta jednak odsunęła się z uśmiechem.

- Ależ, pani hrabino, czyż nie o to właśnie chodzi w tej zabawie?

Kobieta spojrzała na nią, zdumiona. Otworzyła usta, by przemówić, lecz zaraz roześmiała się i powiedziała tylko:

- Och, oczywiście, ma pani rację. Lecz muszę się dowiedzieć przed końcem balu, słyszała pani?

Zofia została więc zaanonsowana jako Teodora, cesarzowa Bizancjum, i natychmiast tysiąc par oczu zwróciło się w jej stronę.

Nawet z zakrytą twarzą stała się postacią, o której najczęściej mówiono tego wieczoru. Zdawała sobie sprawę, że wzbudza ciekawość zebranych. Nie było jej zatem trudno wykorzystać dla własnych celów starego barona, siedzącego przy stole Jana. Udając francuski akcent, oczarowała go i skłoniła, by poprosił ją o przyłączenie się do ich grupki. Przyniesiono dodatkowe krzesło, a goście uznali nagłe pojawienie się żony cesarza Justyniana za tak zabawne i niespodziewane, iż posadzono ją obok niezamaskowanego Jana. Z początku siedział sztywno i ledwie się odzywał, lecz z czasem, za sprawą serwowanego obficie francuskiego wina, nieco się rozluźnił.

Siedzący przy stole mężczyźni, a także niektóre kobiety, żywo interesowali się polityką i rozmowa często wracała do tematu konstytucji. Zofia nie znosiła takich rozmów i robiła, co tylko było w jej mocy, by sprowadzić konwersację na lżejsze tory. Już samo udawanie, że źle mówi po polsku, sprawiało jej wiele radości.

Tańczyła z Janem kilkakrotnie. Stanowili piękną parę i była pewna, że goście o nich plotkują. Przemawiała do niego czarującym, acz nieco przesadnym szeptem, pilnując się, by nie rozpoznał jej głosu.

- Jest pani pewna, że już się gdzieś nie spotkaliśmy? - zapytał raz, kiedy wracali na swoje miejsca, ledwie mogąc zaczerpnąć tchu po szczególnie żwawym tańcu.

- Jestem pańską żoną.

- Nie, doprawdy. Czy my...?

- Kiedyś musi się pan ożenić.

- Skąd pani wie, że już nie jestem żonaty?

Zofia zaplątała się we własną sieć, lecz zamiast strachu odczuwała jedynie podniecenie.

- Ktoś mi powiedział - odparła, uśmiechając się z niezachwianą pewnością siebie.

- Kim pani jest?

Podeszli już do stolika i dalsze pytania zostały jej oszczędzone. Czyżby Jan coś podejrzewał?

Był wobec niej uprzejmy i serdeczny, mimo to czuła się rozczarowana. W miarę jak mijał wieczór, stało się oczywiste, iż może mieć każdego obecnego tu mężczyznę poza Janem Stelnickim. Postanowiła uciec się do podstępu, choć miała wcześniej nadzieję, że nie okaże się to konieczne.

Obowiązek skłonił Jana, by zatańczył ze starą baronową o twarzy pokrytej śladami po ospie, zajmującą miejsce po jego drugiej stronie. Gdy odszedł, Zofia wyjęła z fałdów szaty kobaltowoniebieski flakonik. Nie kryjąc się, wzięła do ręki na wpół opróżniony kieliszek Jana, po czym opuściła go na kolana i przekonawszy się, że nikt na nią nie patrzy, wsypała do wina zawartość buteleczki.

Nocą na ulicach Warszawy panowały spokój i cisza, przerywana tylko od czasu do czasu turkotaniem powozów, rozwożących do domów zmęczonych zabawą uczestników balu maskowego w Wilanowie. Zofia obawiała się, że rodzinny powóz Grońskich, opatrzony herbem, mógłby zostać rozpoznany,

zatem nie szczczędając kosztów, wypożyczyła pojazd o wiele bardziej wytworny i wspaniały.

Jan spoczywał, półprzytomny, na siedzeniu obok. To było takie łatwe, pomyślała, tak niewiarygodnie łatwe. W końcu, dlaczego nie miałyby tak być? Teodora była przecież aktorką, czyż nie?

Kiedy Jan źle się poczuł, zaproponowała, że go odwiezie. Skłamała, że i tak miała zamiar wyjść, nie będzie to więc dla niej żadną niedogodnością. Dwaj spośród siedzących z nimi przy stole mężczyzn pomogli jej zaprowadzić Stelnickiego do powozu.

Zapytała go, gdzie mieszka, choć знаła adres. Henryk był bardzo dokładny w swoich raportach. Wiedziała także, iż stara służąca mieszka na tyłach kamienicy i jest przygłucha.

Gdy powóz dojechał na miejsce, Jan nadal był półprzytomny. Woźnica, który najwidoczniej sądził, że jego pasażer jest po prostu pijany, nie powiedział nic, tylko pomógł Zofii zaprowadzić go do drzwi. Jan manipulował chwilę przy zamku, lecz wreszcie drzwi stanęły otworem. Zofia wraz z woźnicą zataszczyli go po schodach do sypialni.

Odprawiła woźnicę, dając mu suty napiwek, i wróciła do sypialni. Jan leżał na łóżku i zdawał się spać. Ależ wąskie to łóżko, pomyślała, stając w nogach mebla. Typowe łóżko samotnego mężczyzny. Nieprzytomny, wydał jej się jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Wyglądał jak śpiący cherubin.

Zdjęła purpurową suknię. Oczywiście, teraz nie będzie z niego pożytku. Lecz rankiem, kiedy obudzi się i znajdzie ją nagą w tym wąskim łóżku... Cóż, jest przecież tylko mężczyzną, czyż nie? Pokaże mu przyjemności, jakich nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Będzie mój, pomyślała. Nawet gdyby jakimś cudem oparł się pokusie, i tak szkoda już się stanie. Spędzą razem noc. Jan będzie o tym wiedział, a Anna dowie się w swoim czasie i przewycięży wreszcie uczucie, jakim go darzyła. A ona, Zofia, być może, przy okazji pozbedzie się swojej obsesji.

Zdjęła maskę i rzuciła ją na podłogę. Podniosła wzrok i zaskoczona spostrzegła, że Jan, zamroczony narkotykiem, wpatruje się w nią.

- Zofia? - szepnął.

Uśmiechnęła się. Czekala, by powiedział coś jeszcze; przeniknął ją dreszcz rozbudzonego nagle pożądania. Z rozkoszą rozbierze się dla niego. Lecz Jan rozczarował ją, zapadając na powrót w sen.

Podeszła do serwantki i spojrzała na swe odbicie w wiszącym ponad nią lustrze. Nadal się uśmiechała. To było takie łatwe. Zbyt łatwe, pomyślała, czując, jak rodzi się w niej złe przecucie. Odegnęła je natychmiast.

Sięgnęła do karku, by odpiąć rubinowy naszyjnik. Zdjęła go i położyła na serwantce. Sięgnęła po kolczyki... i przekonała się, że nie ma ich w uszach.

Serce Zofii zamarło. Zakręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się blatu mebla. Dobry Boże, pomyślała, gdzie też mogą być kolczyki? Pokój zawirował jej przed oczami.

A potem sobie przypomniała.

Nim opuścili przyjęcie, udała się do pokoju dla pań, gdzie zdjęła maskę i kolczyki, aby odświeżyć twarz. Co prawda nie miała zwyczaju zdejmować przy tym kolczyków, lecz ich zapięcie było zbyt ciasne i uszy bolały ją tak bardzo, że chwilowa ulga okazała się zbyt wielką pokusą. Słodki Jezu! Zostawiła bezcenne rubiny w toalecie dla pań! Nie myślała logicznie, zajęta roztrząsaniem problemu, jakby tu możliwie najszybciej wyprowadzić Stelnickiego z pałacu.

Zaczerpnęła głęboko oddechu. Co powinna zrobić? Czy inny gość mógł je zabrać? Modliła się, by tak się nie stało. Była jeszcze nadzieja: do pomocy paniom przydzielono służącą, a służba Lubomirskich słynęła z uczciwości - hrabia nie tolerowałby żadnych niedociągnięć w tej dziedzinie. Jeśli dopisze jej szczęście, wystarczy, iż wróci do pałacu i powie, że klejnoty należą do niej.

Spojrzała na Jana, czując, jak znów budzi się w niej pożądanie. Czy rubiny będą tam jeszcze rano? A jeśli zaczeka, czy będzie w stanie spać - i kochać się swobodnie - martwiąc się o klejnoty?

Założyła z powrotem naszyjnik. Przyda się jako dowód, że miała na sobie także kolczyki. Pomknie do pałacu Lubomirskich i wróci tu jak na skrzydłach, postanowiła. Podniosła z podłogi maseczkę i spojrzała jeszcze raz na Jana. Tak, śpi jak anioł.

Na dole złożyła maskę na pół i wepchnęła pomiędzy drzwi a framugę, by móc swobodnie dostać się do środka, gdy wróci.

Rozdział trzydziesty dziewiąty.

Twarz Antka, kiedy tak stał, przyglądając się zebranej w stajni gromadce, wyrażała oburzenie pomieszane ze zdziwieniem, lecz jego spojrzenie wydało się Annie nieco mętne. Zerknął przelotnie na nią, a potem spojrzął na babkę.

Nelka nie spuściła wzroku, lecz przez dłuższą chwilę mierzyła się z nim spojrzeniem. Potem jej głos przerwał pełną napięcia ciszę.

- Nadszedł czas, by pozbyć się zła, które zagnieździło się pośród nas - powiedziała, wykrzywiając lekko usta. Natychmiast zorientowała się, że starannie obmyślony plan może się nie powieść.

Anna spojrzała na Antka, zastanawiając się, czy starczy mu odwagi, by sprzeciwić się rodzinie. Zdawała sobie sprawę, że chłopak nie odczuwa wobec niej fizycznego pociągu, nie wiedziała natomiast, czy więź, jaka zdążyła się między nimi wytworzyć, jest na tyle silna, by chciał jej pomóc.

- Jesteś gotów to zrobić? - zapytał brata.

- Tak - odparł Stefan, siedzący na swym ogierze.

- Dlaczego?

- Ona jest zła. Nelka mówi...

- Od kiedy to wierzysz w przesady?

- Może jest w nich coś z prawdy. Nie wyzbyłem się do końca starej wiary jak ty.

- Wiesz, że Nelka nienawidzi arystokracji i ta nienawiść ją zaślepia.

- A ty nie powinieneś zapominać o swoim... naszym pochodzeniu, Antku. Arystokracja nigdy nas nie zaakceptuje. Baron może zapewnić nam byt, lecz nie możemy dziedziczyć po nim tytułu. Jego ród wygaśnie wraz z nim.

- Nie potrzebujemy tytułów, Stefanie. Rzeczpospolita jest republiką! Nie dlatego to robisz i dobrze o tym wiesz!

Stefan siedział w siodle wyprostowany i milczący.

- Czy nie jest aby prawdą - kontynuował Antek - że kierują tobą powody bardziej osobistej natury?

Anna niemal czuła, jak Stefan sztywnieje z napięcia u jej boku.

Brat był nieubłagany.

- Na miłość boską, Stefanie, hrabina jest zameżna i przy nadziei. Czego mogłeś się spodziewać? A teraz chcesz poświęcić jej życie, by ratować swoją dumę? Odpowiedz mi!

- Do diabła z nią! - wrzasnęła nagle Nelka. Dziewczyna odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, że stara unosi pogrzebacz, jakby zamierzała uderzyć nim konia.

- Przestań! - zawołał Antek.

Nelka uniosła wyżej pogrzebacz, robiąc zamach. Dla Anny czas się zatrzymał... zebrała siły, przygotowując się na to, że koń skoczy nagle przed siebie. Jednakże Antek rzucił się na babkę i wyrwawszy z jej szponiastej dłoni pogrzebacz, odrzucił go w drugi koniec stajni.

Stefan zeskoczył z konia i rzucił się na brata. Upadli obaj na podłogę. Przez chwilę Antek leżał oszołomiony, twarzą w dół, na pokrytym słomą klepisku. Napstnik siedział na nim, przytrzymując jego dłonie z tyłu na plecach.

- Znajdź jakiś sznur, Nelka! - zawołał.

Lecz nim zdążył dokończyć polecenie, Antek oswobodził dłonie. Podciągnął kolana, uniósł się i zrzucił z siebie brata.

Zaczęli krążyć z wolna wokół siebie, przyglądając się w napięciu jeden drugiemu. Nagle zwarli się ze sobą, wymierzając szybkie ciosy. Każdy z nich próbował uzyskać przewagę już w tym pierwszym natarciu. Anna podejrzewała, że siłowali się tak już nieraz i że był to rodzaj rytualnej zabawy pomiędzy dwójką dorastających razem chłopców. Jednak zawzięty wyraz ich twarzy zaprzeczał, że chodzi tu o zabawę.

Jakby na dany znak chwycili się za nadgarstki, po czym, wygiąwszy plecy w łuk, zaczęli obracać się coraz szybciej niczym w jakimś dziwnym rosyjskim tańcu.

Nelka i pozostałe kobiety cofnęły się, by zrobić im miejsce. Tylko Janka przemknęła ku otwartym drzwiom i, niezauważona przez nikogo z wyjątkiem Anny, wysliznęła się na zewnątrz, znikając w ciemności.

Bliźniacy obracali się dookoła, wciąż szybciej i szybciej, aż wreszcie pod jednym z nich zaczęły uginać się nogi. Co zadziwiające, drugi z braci - tylko który? - miał jeszcze dość sił, by wykorzystać chwilową przewagę. Zaczął przyśpieszać, by potem, w odpowiednio wybranym momencie, puścić brata, który zatoczył się do tyłu, uderzając plecami o drewnianą przegrodę. Rozległ się głośny trzask i pokonany osunął się na ziemię. Choć głowa spoczywała mu bezwładnie na piersi, Anna dostrzegła znamię na policzku.

- Wstawaj! - powiedział Stefan rozkazująco. - Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Podszedł do miejsca, gdzie leżał Antek, oszołomiony, lecz przytomny, i kopnął go w żebra.

- Powiedziałem, wstawaj!

Podniósł nogę, by kopnąć go po raz kolejny, lecz Antek chwycił ją i zaczął się podnosić. Stefan zamachał rozpaczliwie ramionami, próbując uderzyć brata i nie stracić przy tym równowagi. Tymczasem Antek wstał i jednym szarpnięciem posłał go na ziemię. Stefan upadł z głuchym stęknieniem. Antek natychmiast rzucił się na niego i potoczyli się razem po słomie.

Stefanowi udało się przycisnąć brata kolanami do podłogi. Natychmiast zdzielił go pięścią w twarz. Raz, potem drugi. Polała się krew.

Anna zaczęła poruszać dłońmi, by poluzować więzy. Udało jej się to tylko częściowo, mogła więc jedynie przyglądać się walce, niezdolna zrobić cokolwiek, czy choćby oderwać wzrok od walczących.

Walka wciąż trwała. W końcu Antkowi udało się jakoś zepchnąć brata na bok. Po chwili stali już obaj na nogach, znów okrążając się powoli, czujnie. W stajni panowała grobowa cisza. Antek krwawił mocno.

Tymczasem Annie udało się jeszcze bardziej poluzować więzy. Przypuszczała, że do tej pory Antek unikał mocnych ciosów pięściami, woląc siłować się tylko z bratem i jakoś przywołać go do rozsądku. Teraz jednak wyprostował się, a jego twarz zdradzała determinację. Tak jakby wiedział, że jeśli nie będzie walczył w sposób narzucony przez Stefana, zostanie pokonany.

Stefan po raz kolejny wymierzył mu cios w twarz. Jego pięść trafiła jednak w powietrze, gdyż Antek zgrabnie się uchylił, zyskując w ten sposób czas, by wymierzyć bratu mocny cios w żołądek. Stefan zgiął się wpół. Antek natychmiast wykorzystał okazję i walnął go z całej siły pięścią w wykrzywioną bólem twarz, sprawiając, że brat wyprostował się mimo woli. Kolejny cios posłał go o siedem czy osiem kroków w tył.

Stefan wstał, trzymając w dłoni pogrzebacz. Jego oczy płonęły żądzą mordy.

Anna zdążyła już niemal oswobodzić dłonie i teraz gorączkowo szarpała więzy. Nie dopuści do tego, by z jej powodu brat zabił brata.

Nelka i pozostałe kobiety nawet się nie poruszyły - gapiły się na walczących jak zahipnotyzowane sceną przemocy. Nie zauważyły, że Anna zdołała oswobodzić dłonie.

Stefan zatoczył się w kierunku Antka, który czekał, zachowując czujność, by stawić mu czoło. Przeciwnik zbliżył się i zamachnął z całej siły pogrzebaczem.

Dziewczyna wyjęła z ust knebel i głośno krzyknęła.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Antek uskoczył i pogrzebacz uderzył w skraj koryta do pojenia koni, rozłupując drewno. Usłyszawszy towarzyszący temu łoskot, Anna zamilkła.

Nim Stefan zdążył ponownie się zamachnąć, Antek zadał cios stopą, wytrącając mu z rąk pogrzebacz, a potem chwycił brata za kark i wepchnął mu głowę głęboko do pełnego wody koryta.

Po kilku sekundach twarz Stefana ukazała się nad powierzchnią. Zaczerpnął gorączkowo powietrza, lecz Antek znów wepchnął mu głowę pod wodę. Czując, że się topi, chłopak walczył rozpaczliwie, próbując się uwolnić, lecz brat stał poza zasięgiem jego uderzających na oślep rąk i nóg, coraz mocniej wpychając mu głowę pod wodę.

Wkrótce Stefan nie miał już sił, by walczyć.

Anna uświadomiła sobie nagle, że nie powinna milczeć.

- Przestań, Antek - zawołała. - Przestań natychmiast! Zabijesz go!

Nie przestawała krzyczeć, nie przebierając w słowach. Nie była w stanie samodzielnie zsiąść z konia, inaczej podbiegłaby do chłopca, by go powstrzymać.

W końcu Antek otrząsnął się z amoku i spojrzał na nią.

- Proszę, Antek - powiedziała spokojniej, lecz nie mniej nagłaco. - Proszę!

Jego oczy rozszerzyły się i widać było, że wraca mu świadomość i rozsądek. Wyciągnął brata z wody i położył go na ziemi twarzą w dół. Stefan nie poruszył się i Anna była pewna, że nie żyje. Jednak po chwili charkot, któremu towarzyszyło słabe westchnienie, upewnił ją, że się myli. Podziękowała w duchu Bogu.

Kiedy do stajni wszedł Witek, Stefan oddychał już prawie normalnie.

- Co tu się dzieje?! - huknął.

Janka kręciła się nerwowo w cieniu za nim. Anna pobłogosławiła w duchu kobietę za to, że przeciwstawiła się Nelce i sprowadziła przywódcę klanu.

Cisza.

- Czy żaden z mych synów nie przemówi? Stefan zbierał się z podłogi, unikając wzroku ojca.

- Chcieli wygnać hrabinę Berezowską - powiedział Antek. Kobiety cofnęły się. Wszystkie, poza Nelką.

Gdy Witek wszedł głębiej do stajni, starucha wyszła mu na spotkanie.

- Sprowadziła na nas nieszczęście. Trzeba ją wygnać. Widzisz, jak nastawiła brata przeciwko bratu? Posłużyła się diabelskimi sztuczkami, by otumanić Antka...

Witek podniósł dłoń, uciszając matkę.

- Nie rozumiesz, kobieto? To ty nastawiłaś brata przeciwko bratu. Nie hrabina. Czy byłabyś zadowolona, gdyby jeden z nich zabił drugiego? Zejdź mi z oczu, nim zapomnę, że masz w tej rodzinie miejsce, i nim przyniesiesz mi jeszcze więcej wstydu!

Nelka otworzyła pomarszczone niczym suszona śliwka usta, lecz rozmyśliła się i, rzuciwszy Annie ostatnie nienawistne spojrzenie, wysliznęła się ze stajni, a pozostałe kobiety -z wyjątkiem Janki - ruszyły potulnie za nią.

Antek pomógł Annie zsiść z konia.

- Pomagałeś babce? - spytał Witek Stefana. Chłopak nie odpowiedział.

- Przygotuj się, by natychmiast wrócić do pana Galkiego, Stefanie. Jak widzę, jesteś bardziej jego synem niż moim. Lecz zanim wyjedziesz, porozmawiamy.

Stefan wykuśtykał ze stajni ze spuszczoną głową.

- Jest mi wstyd i bardzo panią przepraszam - powiedział Witek. - Nie uratowałem pani z zimowego pustkowiec tylko po to, by potem narazić na coś takiego. Proszę mi wybaczyć.

- Z pewnością nie ponosisz winy za to, co się stało, Witku. Nic mi nie będzie. Jestem ci wdzięczna za interwencję... i Antkowi także.

Witek odwrócił się do syna.

- Nic ci nie jest?

- Nic.

- Stałeś się mężczyzną.

Prostota i szczerść tego stwierdzenia czyniły je tym bardziej znaczącym.

- A pani dowiodła swej wartości jako hrabina i jako kobieta - dodał, zwracając się do Anny. - Jutro mój syn Antek odwiezie panią do Częstochowy, skąd będzie pani mogła wrócić do Warszawy.

Serce Anny zabiło mocniej, gdy to usłyszała.

- Och, dziękuję-powiedziała.

Potem będzie żałować, że nie powiedziała o wiele więcej, by wyrazić, jak bardzo doceniała to, co dla niej zrobiono. Witek i jego klan uratowali ją od pewnej śmierci wśród zaśnieżonych bezkresnych pól.

- Gdyby była pani zdrowa, postąpiłbym tak od razu. Wygląda też na to, że pokładałem zbyt wiele wiary w księdzu. Zobaczymy się zatem jutro rano.

- Witku - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Tak, pani Berezowska?

- Nie oceniaj Stefana zbyt surowo.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Kiedy nas pani opuści, będzie to dla nas wielka strata. Odwrócił się, by odejść, a Janka podreptała nieśmiało za nim.

- Janka! - zawołała Anna cicho.

Staruszka odwróciła się i spojrzała na nią z mieszaniną ciekawości i strachu.

- Dziękuję - szepnęła Anna. Wiedziała, że Nelka nieprędko zapomni przyjaciółce zdradę.

Kobieta rozciągnęła usta w bezzębnym, bladym uśmiechu. Dygnęła niezdarnie i odeszła, niemal następując Witkowi na pięty.

RS

Rozdział czterdziesty.

Zofia siedziała bardzo z siebie zadowolona w powozie, który udało jej się wynająć na wyprawę do Wilanowa i z powrotem. Spojrzała w dół i uśmiechnęła się. W zagłębieniu dłoni trzymała kolczyki. Pokojówka, która miała troszczyć się o wygodę pań, poszła jej szukać, gdy tylko zauważyła zgubę - a przynajmniej tak twierdziła. I nawet mogła to być prawda, pomyślała Zofia, bo przecież wyszła z balu zaraz po wizycie w pokoju dla pań.

To tylko drobne opóźnienie, pocieszała się, wracając myślami do Jana. Czyż to nie zabawne, że ta niewielka zwłoka sprawi, iż oprzytomnieje i będzie w stanie reagować na jej zaloty? Jakim kochankiem się okaże? Zimne powietrze i podniecenie, towarzyszące uświadomieniu sobie zguby, a potem odnalezieniu jej tylko wzmogły pożądanie.

Po raz drugi tego wieczoru odprawiła woźnicę pod drzwiami domu Jana. Już miała sięgnąć do klamki, kiedy uświadomiła sobie, że nie widzi maski, którą zabezpieczyła wejście przed zamknięciem. Z bijącym mocno sercem pchnęła ciężkie drzwi.

Zamknięte!

Odsunęła się i spojrzała w okna. W ani jednym nie paliło się światło. Niedowierzając swemu pechowi, wróciła do drzwi i ponownie spróbowała je otworzyć. Na próżno. Zaczęła ogarniać ją złość. Co się stało? Czyżby staruszka zerwała się z łóżka w środku nocy i zastała drzwi uchylone? A może Jan odzyskał świadomość na tyle, że zszedł po schodach?

Zastukała kilka razy kołatką i czekała. Żadnej reakcji. Spróbowała jeszcze raz. Doszła do wniosku, że to jednak służąca musiała zamknąć drzwi. Jan był zbyt oszołomiony. A teraz stara kobieta wróciła zapewne do swego pokoju na tyłach domu i poszła spać. Nawet, gdyby nie zdążyła jeszcze usnąć, i tak nic nie usłyszy - Henryk powiedział przecież, że jest przygłucha. Do licha z nią!

Na ziemi coś zabłysło w blasku księżyca. Schyliła się i podniosła zgniecioną maskę.

Wróciła do drzwi i zapukała jeszcze raz, chociaż wiedziała już, że jej mała intryga skończyła się niepowodzeniem. W końcu uniosła gniewnie spódnicę i pomaszerowała krętą brukowaną uliczką ku mostowi łączącemu Warszawę z Pragą. Skronie pulsowały jej bólem na myśl o tym, że obiecujący wieczór zakończył się taką klęską. Mogła tylko mieć nadzieję, że nikt znajomy nie zobaczy jej wracającej na piechotę do domu. Byłoby to ostateczne upokorzenie.

Dwa dni później, kiedy odniosła księżnej biżuterię, Charlotte wyznała jej pomiędzy wybuchami śmiechu, iż rzekome klejnoty to tylko szkiełka, pięknie barwione i oszlifowane, niemniej jednak szkiełka.

RS

Rozdział czterdziesty pierwszy.

Anna i Antek zmierzali tymczasem bez przeszkód ku Częstochowie, położonej wśród wapiennych wzgórz, rozciągających się od Krakowa do Wielunia nad rzeką Wartą. Antek opowiedział jej wiele ciekawych rzeczy o klasztorze jasnogórskim, położonym na ziemi darowanej ojcom paulinom w roku 1382. Czarna Madonna, ikona, którą Anna tak bardzo chciała zobaczyć, znalazła się tam już w trzy lata później, a klasztor stał się miejscem, do którego pielgrzymowały pokolenia Polaków.

- A oto i dzwonnica! - zawołał, gdy sanie pokonały zakręt na drodze.

Patrzyła zdumiona i zachwycona. Byli jeszcze dość daleko od klasztoru, mimo to majestatyczna wieża wznosiła się ponad okrytą śniegiem okolicą niczym rzeźbiona skała.

- Jeśli chce pani zobaczyć dzwon, to wiedzie do niego pięćset stopni.

- Nie mamy na to czasu. To Czarną Madonnę chciałabym zobaczyć.

- Powiadają, że ikona wskazuje drogę tym, którzy ją zgubili.

- Tym chętniej zobaczę obraz.

Wróciła myślami do momentu, kiedy rano zegnała się z klanem. Rozstanie miało słodko-gorzki smak i zostało oblane obficie łzami.

W pasie zawiązaną miała kozłą skórę, tę samą, którą dała jej Lutisza - jak się wydawało, wieki temu. Stara kobieta okazała się równie bystra i przewidująca jak Sowie Oczy, gdyż skóra ocaliła Annie życie, gdy musiała samotnie stawić czoło szalejącym żywiołom wichru i śnieżycy. Na podróż ubrała się w brązową suknię, którą kobiety wyczyściły i pozszywały. Przysięgła sobie jednak, że zniszczy ją, gdy tylko znajdzie się w domu. Nie życzyła sobie, by cokolwiek przypominało jej tę wyprawę. Magda i Wera zaplotły włosy Anny tak, jak poleciła im matka, owijając zaplecione warkocze wokół uszu, aby ochronić je przed mrozem.

Gdy ją czesano, do Anny zbliżyła się z ponurą miną Lucyna.

- O co chodzi? - spytała Anna. - Powiedz!

- Och, proszę pani - jęknęła kobieta. - Proszę spojrzeć, co stało się z pani pięknymi bucikami.

Przyciskała je do obfitego biustu. Buty były odbarwione, skurczone i bezkształtne - zdecydowanie do niczego.

- Tak mi przykro - ubolewała dalej Lucyna, jakby to, co stało się z butami, było jej winą - próbowałyśmy je oczyścić i natłuścić skórę, lecz... sama pani widzi.

Co powiedziawszy, rozplakała się.

- Ha! - zawołała Anna ze śmiechem. - To ci dopiero widok! Nie martw się, Lucyno. Nie zamierzam nosić tych butów. Nigdy ich nie lubiłam - zaśmiała się konspiracyjnie. - Cisnęły mnie w palce! Jeśli można, zatrzymam te wspaniałe futrzane trzewiki, które dla mnie uszyłyście.

Lucyna zamrugnęła, by pozbyć się łez, a potem skinęła głową i uśmiechnęła się leciutko.

Hrabina wzięła jeden but i pokazała go córkom Lucyny, śmiejąc się.

- Spójrzcie tylko, dziewczynki, jaka dziwaczna musiałyby być stopa, na którą teraz by pasowały!

Roześmiały się wesoło, a po chwili Lucyna odprężyła się i przyłączyła do ogólnej wesołości.

Anna żałowała, że nie jest w stanie z równą łatwością przełamać niechęci i uporu Nelki, jednak staruszki nigdzie nie było widać. Podobnie jak Stefana. Oczywiście, po części nienawidziła Nelki za to, co próbowała zrobić zeszłej nocy, lecz nie chciała opuścić klanu, który uratował jej życie, z sercem pełnym wrogich uczuć. Działania staruszki wynikały z ignorancji, Stefan zaś kierował się emocjami. Uważała, że nie ma prawa ich osądzać.

Po obfitym śniadaniu cały klan zebrał się przed stajnią, by pożegnać Annę. Antek doglądał sań i koni.

Rozerwała złoty łańcuch, na którym wisiała kamea jej matki, dzieląc go na sześć kawałków, które zamierzała rozdać.

Postanowiła jednak nie naruszać skromnego zasobu monet, gdyż mogły okazać się niezbędne podczas podróży do Warszawy. Zdecydowała, że najlepiej będzie obdarować seniorkę każdej rodziny.

Kobiety były zaskoczone i odmówiły przyjęcia złota. Musiała chwytać ich ukryte dłonie i wciskać im podarki w garść. Janka także odmówiła przyjęcia prezentu, lecz Annie udało się jakoś rozprostować jej palce. Kiedy kobieta spojrzała w dół, zobaczyła zaskoczona, że na jej dłoni spoczywają dwa kawałki złota. Spojrzała na Annę, która wzrokiem nakazywała jej milczenie.

- Weź ten drugi - szepnęła - i kiedy wyjadę, daj go Nelce. Janka skinęła głową, spoglądając na nią oczami wielkimi jak dwa księżycy.

Stare umysły i serca trudno jest odmienić, pomyślała Anna, mimo to trzeba próbować.

Kiedy podarki zostały rozdane, podeszła do Sowich Oczu.

- Żadna ilość złota nie byłaby dostateczna, by ci odplacić, przyjacielu. Uratowałeś mnie od śmierci.

Starzec uniósł krzaczaste brwi.

- Jedź z Bogiem, pani. Oby twoje życie upływało w zdrowiu i szczęściu. Przede wszystkim zaś zawierz swemu sercu.

Objęła go.

- Tobie zawdzięczam nie mniej - powiedziała, zwracając się do Witka i obejmując go na oczach całego klanu.

Twarz mężczyzny poczerwieniała. Przeształ z nogi na nogę niczym nerwowy koń.

- Co prawda to prawda - mówiła dalej. - Na pewno pamiętasz, że omal nie umarłam z zażenowania, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

- Do widzenia, pani Berezowska.

To było wszystko, co zdołał powiedzieć.

Za chwilę to Anna miała przeżyć moment zaskoczenia. Gdy weszła do sań, Lucyna, Janka, Magda, mała Wera i dwie inne kobiety wcisnęły się na siedzenie obok niej. Nie wiedząc, co zamierzają, przyglądała się im, oniemiała.

Widząc jej zdumienie, kobiety zachichotały. Wreszcie Lucyna wyjaśniła:

- Tłoczenie się z podróżującym w saniach czy powozie zapewnia pomyślność, poza tym ciepło naszych ciał ogrzeje sanie, a czeka cię długa podróż w zimnie.

Anna zaśmiała się z uznaniem, podczas gdy rozgadane kobiety utykały wokół niej pledy i futra. Przez chwilę wydawało się, że wszystkie tworzą jedność, jakby podziały społeczne nie istniały.

- Pora wyruszać - powiedział Antek, ukończywszy przygotowania.

Hrabina dała sobie spokój z przesadami klasowymi i serdecznie ucałowała kobiety w oba policzki. Gdy Antek pomagał krewniaczkom wysiąść, po ich twarzach płynęły łzy.

Wdrapał się na kozioł.

Mała Wera spojrzała na Annę smutnymi, szeroko otwartymi oczami.

- Czy wróci pani tu kiedyś? - spytała głosem drżącym ze wzruszenia.

- Nie wiem, malutka - odparła.

Nagle otwarto wielkie wrota i mężczyźni wypchnęli sanie na śnieg, gdzie zaczęły sunąć gładko, ciągnięte ochoczo przez wypoczęte konie. Anna odwróciła się, by pomachać.

Lata później nadal pamiętała widok, jaki ukazał się wówczas jej oczom: członkowie klanu, tulący się do siebie dla ochrony przed zimnem, mężczyźni machający na pożegnanie, kobiety przyciskające do oczu chusteczki.

- Z Bogiem! - wołali. - Niech Bóg panią prowadzi, hrabino!

- Nie zapomnę was! - zawołała Anna. - Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w Warszawie, przyjdźcie mnie odwiedzić!

Odwróciła się na siedzeniu. Antek zajęty był końmi i wyszukiwaniem dla nich drogi. W duchu zganiła się za to, że powiedziała coś tak głupiego. Wiedziała, że to wątpliwe, by ktokolwiek z nich odwiedził kiedyś stolicę. Zwłaszcza dotyczyło to kobiet, które prawdopodobnie rzadko zapuszczały się dalej niż granica ogrodów otaczających zamek. Jakże mały jest ich świat, pomyślała. Żyją na ziemi, którą uprawiają, dopóki w końcu nie stanie się ich grobem. Zazdrościła im - choć z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że pragnie od życia czegoś więcej - dla siebie i swego dziecka.

Teraz, kiedy zbliżali się do Częstochowy, zadała wreszcie pytanie, które tak ją dręczyło.

- Powiedz mi, Antku, dlaczego Nelka aż tak mnie nienawidzi?

Chłopak westchnął.

- Tu nie chodzi o panią, proszę mi wierzyć. Naprawdę nie.

- Tak sądzisz?

- Ona nienawidzi arystokracji w ogóle. Nienawiść odbiera jej rozum. Widzi pani, gdy była młodą kobietą, księżnej z sąsiedniej parafii wpadł w oko mąż Nelki - mój dziadek. Księżna zmówiła się ze szlachecką rodziną, od której zależał byt moich dziadków, i ci zmusili dziadka, by został jej lokajem.

Spojrzał znacząco na Annę.

- Choć, oczywiście, nie o to jej chodziło.

- I co się stało?

- Pod nieobecność męża Nelka urodziła Witka. Dziadek pragnął wrócić do swej rodziny, lecz księżna nie chciała o tym słyszeć. Kiedy próbował uciec, przydarzył mu się wypadek. Dziadek zmarł. Babka nigdy nie uwierzyła, że to naprawdę był wypadek.

Anna pomyślała, że usłyszała właśnie wyjątkowo paskudną historię, jakby żywcem przeniesioną z mroków średniowiecza.

- Życie Nelki legło w gruzach - powiedziała. - To wszystko wyjaśnia.

- Spotkała ją okropna rzecz, proszę pani. Lecz Nelka była wówczas młodą kobietą i mogła stworzyć sobie nowe życie. Zamiast tego zgorzkniała i dopuściła, by ta tragedia zmieniła jej serce w kamień. To, co się wydarzyło, tłumaczy jej zachowanie, ale go nie usprawiedliwia.

- Pierwsza miłość może być zarazem najsilniejsza, Antku. Nie sposób o niej zapomnieć ani jej zastąpić.

Milczenie chłopca jasno świadczyło, że dziwi go usprawiedliwianie babki przez Annę.

Przez chwilę podróżowali w ciszy. Pomyślała, że historia księżny, Nelki i jej męża mogłaby stać się kanwą wspaniałego mitu. Lecz jakie szczęśliwe zakończenie dałoby się mu przypisać?

Antek przerwał ciszę.

- Babka, co prawda, nie potrafi zapomnieć o swoich krzywdach, lecz Stefan bardzo żałuje, że jej posłuchał.

- Naprawdę?

- Bardzo się wstydzi, proszę pani. Czuł się zbyt upokorzony, by przyjść się pożegnać. Uważa, że nie jest wart, by mu pani wybaczyła.

- Rozumiem.

- Wiem, że to wygląda na tchórzostwo. Lecz Stefan nie jest tchórzem. Obaj zamierzamy przyłączyć się do patriotów i walczyć.

Anna otwarła ze zdumienia usta.

- Och, niech Bóg ma cię w opiece, Antku. Niech ma w opiece was obu! I możesz powiedzieć bratu, że mu wybaczam, słyszysz?

Uśmiechnął się z prawdziwą ulgą i Anna pomyślała, że musi bardzo kochać brata.

Rozmowa o Sprawie nieuchronnie doprowadziła do tego, że zaczęła myśleć o Janie. Zastanawiała się, czy z czasem stanie się kobietą taką jak Nelka - zgorzkniałą i nieszczęśliwą, ponieważ jej miłość nie miała szansy się spełnić.

Sanie minęły bramę prowadzącą na dziedziniec przed kaplicą. Podróż nie trwała nawet jednego dnia.

Nazajutrz po balu Jan Stelnicki został oficerem - porucznikiem lekkiej kawalerii. Mianował go sam Tadeusz Kościuszko. Jan był z tego dumny i czuł się wielce zaszczycony, lecz nie świętował zbyt intensywnie, ponieważ skutki zażycia narkotyku nadal dawały o sobie znać - odczuwał nudności i przenikliwy ból głowy.

Zastanawiał się, co też dosypano mu do wina podczas balu. Sam alkohol nie mógłby mu aż tak zaszkodzić. Nie wiedział, jak dostał się do domu.

Oczywiście pamiętał Teodorę, tajemniczą Francuzkę, która siedziała obok niego. Przyjaciele powiedzieli mu później, że zajęła się nim, kiedy poczuł się źle przy stole. Kobieta zapewniła wszystkich, że dopilnuje, aby bezpiecznie dotarł do domu. Nikt nie wiedział, kim była.

Widać jakoś udało się jej dowieźć mnie na miejsce, zastanawiał się teraz Jan, a także wprowadzić na górę i położyć. A potem tajemnicza dama zniknęła. To było najbardziej zagadkowe ze wszystkiego.

Co dziwniejsze, przez cały dzień - nawet podczas ceremonii - prześladowało go wspomnienie kobiety w stroju Teodory, stojącej w nogach łóżka. Największy niepokój Jana budził fakt, że nie miała na sobie maski, a jej twarz była twarzą Zofii. Te roześmiane czarne oczy nie mogły należeć do nikogo innego. Lecz jak to możliwe? Nie, to nie mogła być ona. Widocznie narkotyk spowodował, że rysy tajemniczej kobiety zmieniły się w twarz Zofii.

Jednakże to, że w narkotycznej wizji pojawiła się akurat ona, mocno go niepokoiło.

- Witajcie, pielgrzymi!

U wejścia do kaplicy powitał ich bardzo wysoki i szczupły zakonnik.

- Przykro mi, lecz spóźniliście się na mszę.

- Nic nie szkodzi, ojciec - powiedział Antek. - Hrabina chciałaby zobaczyć obraz Czarnej Madonny.

Ksiądz wydawał się zdumiony, kiedy usłyszał, że Anna jest hrabiną. Przyjrzał jej się z miną wyrażającą jawny sceptycyzm, a potem podobnym spojrzeniem obdarzył konia i proste chłopskie sanie.

- Dopiero co zamknąłem. Następna msza będzie o szóstej.

- Och, ale ja tak bardzo chciałabym zobaczyć ikonę już teraz - poprosiła. - Nie mógłby ojciec otworzyć choć na kilka minut?

- Widzi ojciec - powiedział Antek. - Hrabina jest... nieco słabowita. Spodziewa się dziecka.

- Rozumiem - powiedział ksiądz, spoglądając na Annę. - A jak brzmi nazwisko hrabiny?

- Anna Maria Berezowska z Sochaczewa - odparła formalnie. Podejrzewała, że zakonnik próbuje doszukać się w jej mowie i sposobie zachowania dowodu na to, iż rzeczywiście jest szlachcianką. Starła się wyglądać na zdecydowaną i pewną siebie. Miała też nadzieję, że ksiądz nie uzna faktu, iż nie przedstawiła się nazwiskiem męża, za brak szczerości.

- Sochaczew leży w pobliżu Warszawy, prawda, pani Berezowska?

Uśmiechnęła się. Naprawdę ją sprawdzał.

- Kilka godzin jazdy przy dobrej pogodzie. Spędzałam zimę w Warszawie.

Wydawało się, że podejrzenia zakonnika zostały rozwiane i Antek postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Czy hrabina mogłaby pomodlić się kilka minut przed obrazem i zapalić świecę?

Ksiądz przyglądał się Annie jeszcze przez chwilę, a potem skinął głową.

- Tak, oczywiście. Odwrócił się i otworzył drzwi.

- Proszę wejść, pani Berezowska, i proszę się nie śpieszyć. Nigdzie się nie wybieram. W kaplicy jest pięć ołtarzy. Proszę iść główną nawą, a znajdzie się pani przed obrazem.

Podziękowała i weszła do zimnego, mrocznego wnętrza. Stąpała cicho w swych futrzanych trzewikach. Minęła kruchtę i weszła do nawy głównej, zatrzymując się na chwilę, aby jej oczy przywykły do mroku. Opalizujące światło, przenikające przez witraże, w połączeniu z pełgającymi płomykami wielu świec wotywnych tworzyły magiczny nastrój.

Słyszała, jak Antek rozmawiał z księdzem. Padło imię ojca

Floriana. Wiedziała, że chłopak pytał o niego, a także o to, jak Anna mogłaby dostać się do Warszawy. Mimo że rozmowa dotyczyła tak ważnych dla niej kwestii, nie próbowała dłużej się jej przysłuchiwać. Poddała się nastrojowi kaplicy. Ruszyła do przodu, pchana nieuchwytną, tajemną siłą.

Szła z wolna wzdłuż nawy. Nie widziała dotąd niczego podobnego. Oczywiście, w Warszawie była katedra, lecz tak olbrzymia i wspaniała, że w jej wnętrzu człowiek czuł się zagubiony i nic nieznaczący. Nie emanowała ciepłem, tak jak to miejsce. Nie wyczuwało się tam bezpośredniości bliskości bóstwa. Ściany kaplicy pokrywały wota - ornaty, gobeliny, haftowane materie, broń, korony i cenne kamienie, złożone w podzięcie za łaskę i cuda. Było to miejsce, gdzie wyczuwało się mistyczną obecność nadprzyrodzonej mocy.

Podeszła do wielkiego miecza, spoczywającego w specjalnej niszy. Przeczytawszy podpis, dowiedziała się, że jest to miecz, którym walczył król Jan Sobieski, przepędzając Turków spod Wiednia. Serce mocniej zabiło jej w piersi. Przodek Anny - dziadek ojca - był wtedy pod Wiedniem. Walczył ramie w ramie z królem Sobieskim i w nagrodę za męstwo oraz poświęcenie hrabia Waldstein, ambasador Austrii przy polskim dworze, zarekomendował go swemu władcy. W ten oto sposób przodek Anny zdobył szlachectwo. Na myśl o tym zrobiło jej się słabo. Jest tym, kim jest tylko dlatego, że wiele lat temu ktoś zachował się tak, a nie inaczej. Mimo że pradziad żył w tak odległych czasach, czuła, że łączy ich więź. Rozpierała ją duma. Jaki on był? Czy przypominał mitycznego herosa? A może był po prostu jednym z milionów Polaków, którzy na przestrzeni wieków ryzykowali wszystkim, co mieli, i

często oddawali życie za ojczyznę? Oni też byli bohaterami. Tak czy inaczej pomodliła się za swego przodka, błagając, by nad nią czuwał.

Ruszyła powoli w kierunku obrazu i zbliżyła się do wysokiej kraty, oddzielającej wiernych od sanktuarium. Zobaczyła ikonę - proste malowidło na drewnie, zawieszzone ponad ołtarzem z hebanu i srebra. Jej spojrzenie przyciągnęły oczy

Maryi. Wydawały się absolutnie realne, jakby obserwowały Annę, odczytywały jej myśli. W obrazie było coś tak dziwnego i nieziemskiego, że aż zabrakło jej tchu.

Po chwili była już jednak w stanie dostrzec inne szczegóły. Na obrazie przedstawiono popiersie Madonny, odzianej w ciemną szatę i opończę z materiału w deseń z lilii. Okrycie głowy ozdabiała pojedyncza sześcioramienna gwiazda, umieszczona dokładnie pośrodku czoła. Na rękach trzymała Dzieciątka; wokół głów obu postaci widać było złote aureole, kontrastujące z ciemną karnacją twarzy. Jak też mogło wyglądać malowidło, zanim zniszczyli je husyci, a późniejsza rekonstrukcja spowodowała ściemnienie barw? I czy ma to znaczenie, skoro dziś obraz jest tak piękny? Nie sposób było oderwać wzroku od oczu Dziewicy. Zdawały się znać i opowiadać historię świata - nie tę, opartą na ideach czy słowach, lecz na potędze emocji.

Anna przypomniała sobie, że Czarna Madonna wskazuje ponoć drogę błędzającym. Uklękła, modląc się o przewodnictwo. Mijały minuty. Usłyszała szelest i przypomniała sobie, że Antek i ksiądz nadal czekają. Zatopiona w kontemplacji i modlitwie, straciła poczucie czasu. Podeszła do płonącej już świecy i zapaliła od niej swoją. Spojrzała po raz ostatni na Czarną Madonnę, ośmielając się mieć nadzieję, że jej modlitwy zostały wysłuchane, a potem odwróciła się i ruszyła z powrotem ku kruchcie.

Zamiast wysokiego chudego księdza dostrzegła imponującą sylwetkę ojca Floriana. Był to dla niej nie lada szok. Nie ufała zakonnikowi od początku, a potem, kiedy nie pojawił się, by odprawić mszę, stała się wobec niego podwójnie nieufna. Natychmiast ogarnęło ją przeczucie, że to spotkanie nie wróży niczego dobrego.

- Jak miło znów panią widzieć! - zawołał tymczasem ksiądz. - Proszę pozwolić, bym najpierw wyraził żal, że nie mogłem odprawić mszy w niedzielę. Błagam o wybaczenie!

Anna uśmiechnęła się.

- Nie ma potrzeby...

- Widzi pani, byłem chory. Przykuty do łóżka. Nie mogłem pojechać.

- Mam nadzieję, że teraz czuje się ojciec lepiej - powiedział Antek.

- O tak.

- To dobrze. Ojczy, zaistniały pewne okoliczności i postanowiliśmy przywieźć tu hrabinę, by mogła jak najszybciej dostać się do Warszawy. Pomoże nam ojciec?

- Mogę zrobić coś znacznie lepszego!

- Co masz na myśli, ojczy? Ojciec Florian spojrzął na Annę.

- Moja choroba przyczyniła się do tego, że pani Grawlińska sama do nas przyjechała. Ludzie ciemni i przesądni mogliby powiedzieć, że przywiodło ją tu Przeznaczenie. Ja uważam, że takie przypadki to dzieło Boga.

Zamarła ze strachu. Ojciec Florian użył jej małżeńskiego nazwiska! Natychmiast domyśliła się, że musiał kontaktować się z Antonim. Kiedy? W jaki sposób? Usiłowała przebić spojrzeniem mrok kaplicy, zastanawiając się gorączkowo, czy Antoni już tu jest.

- Hrabina tak się nie nazywa, ojczy - powiedział Antek.

- Och, ależ tak, nazywa się, czyż nie, pani Grawlińska? Skinęła głową. Czowała, że robi jej się niedobrze.

- To moje nazwisko po mężu.

- Po co ta szarada, pani Grawlińska? - zapytał ojciec Florian.

Anna zacisnęła wargi. Było tak, jakby zakonnik zrzucił jedną maskę po drugiej, przeistaczając się z osoby zatroskanej o jej dobro we wroga.

- Nie chcę mieć z moim mężem więcej do czynienia.

- Lecz jest pani zamężna, moja droga - powiedział ksiądz - do tego przy nadziei. Mąż bardzo się o panią martwi.

- O tak, z pewnością - powiedziała, skrywając gorycz. - Gdzie... gdzie jest Antoni?

- Och, tu znowu zadziałał przypadek. Gdybym się nie rozchorował, nie byłoby mnie tutaj, kiedy przyjechał, szukając żony. Z początku nie mogliśmy się porozumieć, gdyż powstało pewne zamieszanie z powodu nazwiska, lecz w końcu ta mała tajemnica została rozwikłana. Zbiegła żona posłużyła się panińskim nazwiskiem.

- Zbiegła żona? - Antek spojrzął pytająco na Annę. Uśmiechnęła się słabo. Jak miała wyjaśnić mu to w kilku słowach - do tego w obecności księdza?

Tymczasem ojciec Florian zaczął wymieniać litanie żoninych powinności, kończąc na tym, że Anna ma również obowiązki wobec swego dziecka.

Gdy zamilkł, Antek zadał wreszcie to najważniejsze w tej chwili pytanie:

- Lecz gdzie jest pan Grawliński, proszę ojca? Twarz księdza spochmurniała.

- Niestety, wysłałem go dziś rano do majątku Galkich, gdzie, oczywiście, powiedzą mu, że udała się pani tutaj. Wtedy pan Grawliński albo zostanie tam na noc, albo natychmiast wyruszy z powrotem. Podejrzewam, że zostanie, i szczęśliwe połączenie małżonków nastąpi dopiero jutro rano.

Z ulgi Annie aż zakręciło się w głowie. Była bezpieczna, choć tylko na chwilę.

- Cóż, Antku - powiedział ksiądz - zaprowadź konie do szopy i przekaz je stajennemu. A potem przyłącz się do nas. Zjemy gorący posiłek w klasztorze. Chodźmy, pani Grawlińska.

Anna wymieniła spojrzenia z Antkiem. Nie mógł wiedzieć, jak bardzo jest zdenerwowana, lecz jej brak entuzjazmu wobec perspektywy połączenia się z mężem nie uszedł jego uwagi. Spojrzał na nią pytająco, jakby oczekiwał wskazówek.

Skinęła głową, dając mu do zrozumienia, by wykonał polecenia księdza.

Gdy doszli do zewnętrznej bramy klasztoru, wiedziała już, co robi. Antoni nie zostanie na noc w majątku Galkich, lecz wróci natychmiast do Częstochowy, była o tym przekonana. Jej wewnętrzny zegar tykał nagłaco, ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

- Przepraszam, ojcze! - zawołała na pozór spontanicznie - lecz przypomniałam sobie, że zostawiłam w saniach kameę mojej matki, a nigdzie się bez niej nie ruszam. To zajmie tylko chwilę.

- Nonsens! Poślemy po nią Antka, gdy do nas dołączy.

- Och, on nie ma pojęcia, gdzie szukać! Zaraz będę z powrotem!

Pobiegła ku kaplicy, nim zakonnik zdążył jej to uniemożliwić.

Antek wychodził właśnie ze stajni.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie powinna pani biec.

- Musiałam! Zrozumiał.

- A więc pani naprawdę ucieka.

- Dopiero od tej chwili, Antku. Czy zaufasz mi, jeśli przyrzeknę, że opowiem ci o wszystkim, gdy oddalimy się od tego miejsca? Musimy natychmiast stąd wyjechać!

- Lecz konie potrzebują odpoczynku, a nam przydałby się posiłek.

- Zwłoka może mnie kosztować życie. Wiem, że to brzmi absurdalnie. I wiem, że proszę o wiele, gdyż oczekują cię w domu... ale czy pomożesz mi dostać się do Warszawy?

Antek nie wahał się ani chwili.

- Oczywiście, proszę pani.

- Będziemy musieli jechać bocznymi drogami, omijając główne trakty.

Skinął głową.

- Niech Bóg ci pobłogosławi, Antku. I, proszę, mów mi Anno.

Znacznie później, na opustoszałej, zdradliwej i wyboistej bocznej drodze, gdy miała już pewność, że ucieczka się powiodła, pomyślała, że Czarna Madonna widać uczyniła dla niej cud.

RS

Część czwarta

Nie ponaglaj rzeki, i tak popłynie.
Przysłowie polskie.

Rozdział czterdziesty drugi.

Pewnego chłodnego dnia w połowie marca Anna znowu ujrzała Pragę. Przyjechali wraz z Antkiem powozem, który wypożyczyli poprzedniego dnia, gdy topniejący śnieg uniemożliwił poruszanie się saniami.

Podróż, trwająca kilka dni, była długa i nużąca, a drogi ledwie zasługiwały na tę nazwę. Nocą zatrzymywali się głównie w prywatnych domach z obawy, że Antoni może szukać ich po gospodarach. Zarówno w zwyczajnych chłopskich zagrodach, jak w nieco bogatszych dworzech przyjmowano ich z typowo polską gościnnością.

Drzwi otworzyła im Lutisza. Gdy zobaczyła Annę, jej twarz pojaśniała z radości.

- Och, pani Anna! - wykrzyknęła zdumiona, unosząc ku twarzy wielkie dłonie. A potem, zapominając o tym, czego ją nauczono, zawołała głośno po polsku: - Hrabina wróciła! Dzięki Bogu, hrabina wróciła!

Przysadzista służąca bez namysłu objęła Annę i przytuliła, a potem odsunęła się, zażenowana własnym, nazbyt poufałym zachowaniem.

- Proszę mi wybaczyć, madame - powiedziała, wracając do wyuczonej francuszczyzny - to z radości.

- Nikt nie cieszy się bardziej ode mnie - powiedziała Anna. Odwzajemniła uścisk na dowód tego, iż mówi prawdę, a potem przedstawiła Antka.

- Wejdźcie, wejdźcie, na dworze jest zimno. Bociany dopiero dzisiaj wróciły na dach. Marta powiedziała, że to dobry znak - i rzeczywiście! Och, proszę wybaczyć mi tę paplaninę... Dobrze się pani czuje? Co z dzieckiem?

- Wszystko w porządku, Lutiszo, oboje czujemy się dobrze. Podróż sprawiła, że dziecko stało się bardzo ruchliwe, możesz mi wierzyć.

Anna była więcej niż zadowolona, że znów widzi bezzębny uśmiech starej służącej.

- Słyszeliśmy... to znaczy, pan Grawliński powiedział, że pani nie żyje, że powóz został napadnięty przez rozbójników.

- Uciekłam, Lutiszo - powiedziała, a potem zapytała szeptem: - Gdzie jest mój mąż?

Serce biło jej jak oszalałe.

- Nie wiem, madame. Wyjechał kilka tygodni temu.

- Rozumiem.

Nadal stali w holu przy drzwiach. Anna opanowała się i zapytała:

- Jak ciotka?

- Dobrze.

- A Zofia? Jest w domu?

- Nie ma jej!

Odpowiedź padła z ust ciotki Stelli, która zbiegała właśnie po schodach z werwą młodej dziewczyny.

- Jest na jakiejś przekłętej wycieczce statkiem! - dodała. - Słodki Jezu, Aniu, twój widok to prawdziwa rozkosz dla moich starych oczu!

Anna leżała, nie śpiąc, a życie i energia z wolna wracały do przemarzniętego i znużonego podróżą ciała. W pokoju było ciemno. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Wiedziała, że spała wiele godzin, budząc się od czasu do czasu, kiedy Lutisza przynosiła jej coś do zjedzenia.

Próbowała nie myśleć o Antonim ani o tym, ile czasu minie, nim jej mąż się pokaże, co z pewnością nieuchronnie nastąpi.

Modliła się, by Antek dotarł bezpiecznie do domu. Rozstanie z nim było trudne, gdyż zżyli się ze sobą podczas jej pobytu w osadzie, a zwłaszcza podczas podróży. Rozmowa przychodziła im niezwykle łatwo. Opowiedziała mu o wszystkim: o napaści przy stawie, o dziecku, próbie zamachu na jej życie, miłości do innego mężczyzny, podejrzeniach odnośnie Zofii. On zaś słuchał i widać było, że jej wierzy. Chciał nawet zostać i pomóc jej podczas konfrontacji z Antonim, lecz Anna nie mogła na to pozwolić. Oczekiwała go rodzina, poza tym miał przeciw wstąpić do armii patriotów. Z uporem powtarzała, że będzie jej miał kto pomóc, prezentując pewność siebie, której wcale nie czuła.

Łączyło ich pokrewieństwo dusz - był jak brat, którego mogłaby mieć. Antek zaś, jeśli nawet uważał ją za pociągającą, nigdy się z tym nie zdradził. Zachowywał się ze wszech miar stosownie. Gdy pożegnawszy się, wracał do powozu, stała w drzwiach. Odwrócił się tylko raz, by uśmiechnąć się smutno i pomachać. Pomachała mu także, zastanawiając się, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy.

Sięgnęła po szklankę z wodą, którą Lutisza postawiła na stoliku obok łóżka. Jakie to dziwne, pomyślała. Antek odegrał tak ważną rolę w jej życiu. Chociaż pochodził z plebsu, okazał się człowiekiem niesłychanie szlachetnym. Nawet

rycerz nie zrobiłby dla niej więcej. Uratował ją, i to dwukrotnie. Oto lekcja, którą po raz kolejny dało jej życie: siła charakteru nie przejawia się w samym tylko urodzeniu, ale wykuwa w ogniu życiowych doświadczeń.

A teraz znikł z jej życia, niczym aktor opuszczający scenę po odegraniu roli w sztuce. Oto następna lekcja, rozmyślała. Tak to już jest, że ludzie pojawiają się w twoim życiu - a ty w ich - a potem znikają. Scena zapisana i odegrana. Uważała, że jest w tym coś nieskończenie smutnego.

Czy tak też będzie z Janem? Zniknie z jej życia?

Zastanawiała się, czy dostał wiadomość, którą Antek obiecał zostawić w gospodzie, zanim opuści Warszawę. Próbowowała ocenić, ile też mogło minąć godzin, ale nie była w stanie myśleć jasno. Zresztą, co za różnica? Była pewna, że przyjdzie.

Dopiła wodę i opadła z powrotem na poduszki. Wyglądało na to, że nadal potrzeba jej snu, choć od chwili, gdy ciotka zapakowała ją do łóżka, minęło wiele godzin.

- Co to za wycieczka, na którą wybrała się Zofia? - spytała wcześniej.

- Rejs po Wiśle - odparła ciotka. - Na jakimś wielkim i wymyślnym statku. Wyobrażasz sobie? Łód jeszcze do końca nie stopniał. Przypuszczam, że właścicielem statku jest jakiś magnat czy inny osobnik z nadmiarem gotówki w sakiewce. Pomyśl, jak te pieniądze przydałyby się Kościszce! Na samą myśl o tym krew gotuje mi się w żyłach!

- Ciotko Stello, gdzie jest Babette?

- Jest tam, niech Bóg ma ją w swej opiece, na tym statku grzeszników. Usługuje twojej kuzynce i jest świadkiem nie wiadomo jakich rozrywek!

- Och.

Wyraz zgorzknienia na twarzy ciotki ustąpił miejsca współczuciu.

- Ach, moja droga... dzieci. Czy one naprawdę...? Anna skinęła głową.

- Niestety. Nie przeżyły.

- Jakie to smutne. Tego się obawialiśmy. Słyszeliśmy, że znaleziono tam dwa małe groby. Co to za świat! Cóż, musisz się wyspać. Opowiesz nam o wszystkim, kiedy wypoczniesz.

Hrabina wstała, szykując się do wyjścia.

- Być może nie znaczy to teraz zbyt wiele, ale Babette nie była dobrą matką - powiedziała.

- Ani ja dobrą opiekunką.

- Och, jestem pewna, że zrobiłaś, co było w twojej mocy. Dzieci sprawiają kłopoty. Spójrz tylko na moje, Anno Mario. Może to nasza wina, moja i Leo. Być może rodzice najmniej ze wszystkich nadają się do wychowywania dzieci.

Wyszła z pokoju.

Anna położyła dłoń na brzuchu. Co za dziwne rzeczy opowiada hrabina, pomyślała. Długo potrwało, nim wreszcie udało jej się zasnąć.

Usłyszała, że ktoś ją woła. Mężczyzna. Wydawało jej się, że dopiero co zasnęła.

Był to gniewny głos, przemawiający z dobrze znaną niecierpliwością:

- Anno Mario! Anno Mario!

Usiadła na łóżku, wyprostowana jak świeca, z czołem zroszonym potem i sercem tłukącym się w piersi. Dopiero co nastał świt i w sypialni cienie nocy mieszały się z bladym światłem poranka. Czuła ulotną ciszę budzącego się dnia. I namacalną obecność zagrożenia.

Nagle jej uszu dobiegł słaby metaliczny dźwięk. Odwróciła się, by spojrzeć ze strachem na drzwi. Klamka opuszczała się z wolna, niemal niedostrzegalnie! Serce zamarło jej w piersi. Usłyszała kliknięcie, oznaczające, że zamek ustąpił i drzwi powoli zaczęły się otwierać.

W cieniu pokoju zobaczyła wysoką postać. Nie słyszała kroków, które sygnalizowałyby jej zbliżanie się.

- Kto... kto tam jest? - ledwie mogła rozpoznać swój głos, tak był piskliwy.

Postać drgnęła i zaczęła bezszelestnie zbliżać się do łóżka. W mgnieniu oka mężczyzna stał już nad nią, uśmiechając się podstępnie. Anna podniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz Antoniego. Zaczerpnęła gwałtownie oddechu.

A potem spostrzegła w jego dłoniach sznur. Wiedziała, do czego jest mu potrzebny.

Spróbowała wstać.

- Nie, Antoni! - zawołała.

Natychmiast skoczył ku niej, zaciskając jej sznur na gardle.

Walczyła, by oswobodzić się i krzyknąć, lecz on już zdążył zatkać jej usta dłonią. Wymachiwała bezradnie ramionami, a sznur coraz mocniej zaciskał się jej na gardle. Mijały sekundy. Świat wokół pociemniał. Czuła, że spada w czarną otchłań. Nagle jego dłoń zniknęła, a strach Anny eksplodował krzykiem, jaki mogłaby wydać z siebie wiedzioną na zatracenie dusza.

Powoli uświadomiła sobie, że ktoś poklepuje ją lekko po policzkach.

- Obudź się - usłyszała. - Obudź się, moje dziecko. Uchyliła powieki i zobaczyła Lutiszę, przyglądającą się jej z troską w oczach.

- Miała pani zły sen - powiedziała służąca. - Nie słyszałam dotąd, by ktoś tak krzyczał. Zapomniała pani, że jest już z nami, bezpieczna w domu?

Anna spróbowała się uśmiechnąć. W domu, tak, ale czy bezpieczna?

- Niedługo południe, pani Anno - mówiła tymczasem Lutisza - trzeba wstać i się ruszyć. Ma pani gościa!

Nowina sprawiła, że Anna natychmiast oprzytomniała, otrząsając się z resztek snu.

- Kto taki? - spytała bez tchu.

RS

RS

Rozdział czterdziesty trzeci.

Weszła do salonu i zastała tam Jana, rozmawiającego przyciszonym głosem z ciotką. Oboje wstali.

- Jan mówi - odezwała się hrabina - że do niego pisałaś. Serce Anny podskoczyło z radości na widok ukochanego, mimo iż wiedziała, że musi uzbroić się wewnętrznie, by stawić czoło ciotce.

- Rzeczywiście - odparła.

Oto nadeszła chwila konfrontacji. Czy zakończy się okropną sceną?

- Rozumiem. - Hrabina spojrzała uważnie na siostrzenicę. - Nie martw się, dziecko. Nie zamierzam cię łąać. W końcu ten oto mężczyzna zaciągnął się pod sztandar Kościuszki.

Anna nie miała czasu zareagować na tę zadziwiającą zmianę poglądów ciotki. Jan, odziany w mundur składający się z czarnych wysokich butów, białych spodni i ciemnoniebieskiej bluzy, podkreślającej błękit jego oczu, szedł już przez pokój. Ucałował jej dłoń z niesłychanie poważnym wyrazem twarzy.

- Wiele przeszłaś.

Uśmiechnęła się do tych oczu. Wątpiła, czy kiedykolwiek go zobaczy, czy spojrzy jeszcze choć raz w te oczy. I oto stał przed nią.

- W tej historii kryje się o wiele więcej, niż powiedziała ci hrabina.

- Czy mam zostawić was na chwilę? - zapytała ciotka.

- Nie, ciociu. Ty także powinnaś usłyszeć, co mam do powiedzenia. Chodzi o Antoniego.

Usiadła naprzeciw Jana i ciotki. Ciekawe, czy mi uwierzą, pomyślała. Nie była pewna, czy sama tak do końca wierzy w to, iż mąż próbował ją zabić, i zabił, choć pośrednio, dwójkę niewinnych dzieci. Może było jakieś wytłumaczenie, może znajdzie się dowód na to, że źle zinterpretowała fakty lub wyciągnęła z nich mylne wnioski.

Opowieść zajęła jej nieco ponad pół godziny. Zamilkła i spojrzała na zaskoczone twarze hrabiny i Jana. Opowiadając i przywołując z pamięci okropne doświadczenia, jakie stały się jej udziałem, na nowo przeżywała miniony koszmar.

Kiedy skończyła, na chwilę zapanowała cisza. Wspominanie i relacjonowanie umocniło podejrzenia Anny. Ale co z Janem i ciotką Stellą? Wpatrywała się w zwrócone ku niej twarze. Czy uwierzyli?

- Zatem - westchnął Stelnicki - Rosjanin, który zbiegł, bez wątpienia opowiedział o wszystkim Antoniemu. Twój mąż miał pewnie nadzieję, że

zginęłaś, lecz kiedy wrócił na miejsce, gdzie zaatakowano powóz, nie znalazł potwierdzenia dla swoich przypuszczeń. Przeprowadził więc małe śledztwo i natknął się na księdza.

- Boże w niebiesiech - westchnęła ciotka. - Czy to możliwe, Anno? Twój mąż?

- A czy jest inne wytłumaczenie?

Hrabina tylko potrząsnęła głową.

- Kto mógł wysłać Polaków? - zapytał Jan.

- Właśnie - wtrąciła ciotka. Anna potrząsnęła z wolna głową.

- Nie wiem. Jestem pewna, że przybyli, by mnie ratować. Sądziłam, że to ty ich wysłałeś... lub może Zofia?

- Gdybym wiedział, że jesteś w tarapatkach - rzekł Jan -nie wysyłałbym nikogo, lecz sam wyruszyłbym ci na ratunek, Anno. Mam nadzieję, że pewnego dnia dane mi będzie uścisnąć rękę tego Antka.

- Ja też nie mam pojęcia, kto by to mógł być, kochanie. I chyba mogę powiedzieć to samo o Zofii.

- Zatem to tajemnica - powiedziała Anna.

- I co my zrobimy? - zawołała hrabina. - Co będzie, jeśli Antoni się tu pokaże?

- Och, z pewnością się pokaże - odpowiedziała. - I sądzę, że nie będziemy czekały zbyt długo.

- Jeśli to prawda, musimy go oskarżyć - powiedziała hrabina. - Należy trzymać go od ciebie z daleka, Anno. Powinien też zapłacić za to, że odebrał życie dwójce dzieci. Czyż nie tak, Janie?

- W doskonałym świecie, owszem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że mamy tylko zbiegi okoliczności, przypuszczenia, nic poza tym. Anna jest jedynym żyjącym świadkiem. A nie widziała niczego, co bezpośrednio wskazywałoby na Antoniego.

Poczuła, że krew ścina się jej w żyłach. Było tak, jak się obawiała. Jan miał rację. Nie istniał żaden dowód, świadczący przeciwko jej mężowi. Nic namacalnego. A teraz Antoni poruszał się swobodnie, gotów uderzyć, gdy będzie mu to na rękę.

Hrabina, podekscytowana nowinami, poczerwieniała na twarzy i siostrzenica zaczęła ją uspokajać.

- To nic takiego - upierała się ciotka - tylko moje palpacje. Zaraz mi przejdzie.

Mimo to wezwano Lutiszę. We trójkę odprowadzili hrabinę do drzwi jej sypialni.

- Lepiej już pójdę - powiedział Stelnicki, gdy Anna wyszła z pokoju ciotki.

Odprowadzając go do drzwi, poczuła znajomą pustkę w sercu. Jakże gorąco pragnęła, aby odwrócił się i ją przytulił! Być może lepiej byłoby nigdy go nie zobaczyć niż widzieć przez krótką chwilę, a potem się rozstawać. Nic, tylko rozstania.

Odwrócił się i ujął jej dłoń.

- Wiedziałaś, że gdy tylko się dowiem, przyjdę?

- Oczywiście.

- Musisz zrobić to, o co cię poproszę, Anno. Bez względu na wszystko pozostanę w mieście, dopóki Antoni się nie pokaże. Musisz mieć przygotowany list. I gdy tylko go zobaczysz, natychmiast pošlij kogoś z wiadomością do gospody Pod Głową Królowej, słyszysz?

- Tak.

- Nie przesiaduję tam bez przerwy, lecz będą wiedzieli, gdzie mnie szukać. Jeśli gospoda będzie zamknięta, niech twój posłaniec obudzi właścicielkę. Mieszka na piętrze i ma młodego syna, który szybko dostarczy mi wiadomość.

Skinęła głową.

- Zapytasz Zofię o Polaków, którzy przybyli, by ci pomóc?

- Zapytam.

- Bądź dzielna. - Ucałował jej dłoń. - Powiniennem iść.

- Lecz...

Zatrzymał się w otwartych drzwiach, odwrócił i spojrzał na nią.

- O co chodzi, Anno?

- Ale co będziesz mógł zrobić... to znaczy, kiedy Antoni się pokaże?

Jan uśmiechnął się tajemniczo.

- Stawię mu czoło - powiedział, a potem odwrócił się i zaczął schodzić po stopniach, prowadzących na ulicę.

- Ale co to właściwie znaczy? - zawołała. Udał, że nie dosłyszał pytania.

Zofia wróciła po południu i zaraz wpadła do pokoju Anny, okazując zaskoczenie i radość.

- Och, Anno, moja droga, myśleliśmy, że nie żyjesz! - zawołała, wypuszczając wreszcie kuzynką z objęć. - To naprawdę ty?

Anna uśmiechnęła się.

- Tak, to ja.

- A dziecko?

- Ma się dobrze.

- Co za cudowne nowiny! Wróciłam właśnie ze wspaniałego rejsu, choć statek nawet nie opuścił doku. Na rzece jest jeszcze zbyt dużo lodu. Ale i tak było cudownie. Och, Anno, tak bardzo się cieszę, że zastałam cię w domu, bezpieczną. Antoni nie miał zbyt wiele nadziei, jeśli o to chodzi. Lecz jednak cię odnalazł! Jak cudownie! Czy on tu jest?

- Usiądź, Zofio. Muszę opowiedzieć ci... o Antonim.

- O co chodzi? - spytała Zofia, sadowiac się naprzeciw kuzynki.

Anna opowiedziała całą historię, po raz drugi tego dnia. Mówiąc, przyglądała się Zofii, lecz jej twarz nie zdradzała, co sądzi o tym, że kuzynka o włos uniknęła nieszczęścia, a także o śmierci dzieci. Jednakże nie kryła niedowierzania, jeśli chodzi o rolę, jaką miałby odegrać w tych szokujących wydarzeniach Antoni.

- Uważam to za nieprawdopodobne, Anno, wysoce nieprawdopodobne - oznajmiła, gdy dziewczyna umilkła.

- Zatem to nie ty wysłałaś Polaków, by odbili mnie Rosjanom?

- Ja? Oczywiście, że nie. To mogli być rozbójnicy. Być może wyciągnęłaś fałszywe wnioski. Z pewnością twój mąż potrafi wszystko wyjaśnić, gdy tylko się tu zjawi.

- Zofio, jeśli Antoni zyska wstęp do tego domu, moje życie nie będzie warte funta kłaków. Być może nie zrobi nic od razu, lecz w końcu jednak znajdzie sposób, by się mnie pozbyć.

- Nie uważasz, że gdybyś bardziej zaangażowała się w to małżeństwo i...

- Nie! Nawet gdybym przekazała mu majątek w Sochaczewie, karty zostały już odkryte. Antoni zdecydował, że jestem dla niego ciężarem. Musisz to zrozumieć, Zofio. Muszę cię przekonać. Twoja matka dostrzega niebezpieczeństwo, i Jan także.

- Jan? - Zofia gwałtownie pobladła.

- Tak.

- Był tutaj?

Anna skinęła głową.

- Na czyje zaproszenie?

- Moje.

Zofia zaczerpnęła oddechu.

- Ty mała spryckiarko! Nic dziwnego, że chcesz pozbyć się małżonka! Być może to ty próbujesz go zabić. Jesteś w domu dopiero jeden dzień, a Jan już tu

węszy. Kiedy wreszcie wy-zbędziesz się próżnego marzenia o tym, by dostać Stelnickiego?

- Nie żywię nadziei, by...

- Nawet nie próbuj zaprzeczać - twarz Zofii poczerwieniała z gniewu. - I co hrabia Stelnicki może zrobić, by poprawić sytuację?

- Nie wiem, co on planuje.

- Przypuszczam, że byłabyś zadowolona, gdyby wyzwał Antoniego na pojedynek i go zabił. Czy to rozwiązałoby twoje problemy, kuzynko?

- Nie życzę...

- Nie pozwalam ci więcej go tu zapraszać, pamiętaj o tym.

Ruszyła do drzwi, mówiąc:

- Och, wieczorem będzie u mnie kilka osób. Gdyby przyjęcie okazało się zbyt hałaśliwe, pošlij mi słówko.

Przy drzwiach odwróciła się i jakby nieco złagodniała.

- A co się tyczy Antoniego, przeprowadzę małe dochodzenie. Jeśli okaże się winny, zostaw to mnie.

- Zofio? - zawołała Anna.

- Tak?

- Przyślesz na górę Babette?

- Przyślę - powiedziała i wyszła.

Annę czekało mało przyjemne zadanie powiadomienia Babette o śmierci jej dzieci. Jak to możliwe, zastanawiała się, że Zofia nie zareagowała na tragiczną historię francuskich malców? Czy ona nie ma serca? Jeśli pokojówka mówiła prawdę, gdy powierzała Annie swe dzieci, to znaczy, że kuzynka pod groźbą utraty posady zmusiła ją, by odesłała maluchy. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, iż to właśnie doprowadziło do ich śmierci?

Wróciła myślami do tego, jak Zofia zareagowała na wzmiankę o Janie. Nie brakowało w tym emocji! Dlaczego ona aż tak pogardza Janem? Anna celowo wspomniała o jego wizycie, gdyż chciała przekonać się, jaka będzie jej reakcja. Czy kuzynka naprawdę uważa, że to Jan zaatakował Annę przy stawie? A może sama się w nim podkochuje? Ale jak to możliwe? Zaprzeczyła przecież, że Stelnicki ją pociąga, i nawet zachęcała Annę, by z nim flirtowała.

Dostrzegała ironię losu w tym, że stara hrabina nie była już przeciwna jej kontaktom z Janem, a przynajmniej na to wyglądało. Teraz to Zofia zabroniła mu wstępu do swego domu. Anna zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jakimi motywami kieruje się kuzynka, pewnego dnia dojdzie pomiędzy nimi do konfrontacji, choć wolałaby tego uniknąć.

Babette nie pokazała się od razu. Minęło sporo czasu, nim wreszcie otworzyła drzwi i niepewnie wsunęła się do pokoju.

- Jak miło panią widzieć, madame.

- Och, Babette, ja też cieszę się, że cię widzę. - Anna podeszła do pokojówki i ucałowała ją lekko w oba policzki. Nie dbała o to, że przekracza granice stosunków pomiędzy państwem a służbą. Nauczyła się już, że Marzanna nie uznaje klas.

- Dobrze być znów w domu.

Śliczna francuska pokojówka stała przed nią. Jej błyszczące ciemne włosy opadały na drobną twarz w kształcie serca. Anna uświadomiła sobie, że nie może wiedzieć, co dziewczyna naprawdę czuje.

- Och, Babette, żałuję tylko, że nie ma tu z nami Louisa ani twojej córki. Tak mi przykro...

Służąca uśmiechnęła się lekko.

- Pogodziłam się z losem. Już kilka tygodni temu usłyszeliśmy, że pan Grawliński znalazł dwa małe groby. Madame nie może się obwiniać. W końcu to ja oddałam je pani na służbę. To, co się stało, to była wola boska.

- Być może. Chciałabyś poznać okoliczności?

- A co by to dało, madame?

- Uważam, że powinnaś wiedzieć - oznajmiła z uporem Anna, skłaniając Babette, by usiadła.

Pokojówka zawahała się, lecz posłuchała.

Anna spokojnie opowiedziała o tym, że dogadała się z dziećmi, i o nadziejach, związanych z ich przyszłością. To były dobre dzieci, potrzebowały jedynie stanowczości i uczucia. Gdyby tylko oczy rodziców błyszczały za każdym razem, kiedy spoglądają na swoje dzieci, wszystkie rodziny byłyby szczęśliwe, pomyślała.

Pragnęła uświadomić Babette głębię straty, poza tym byłoby jej lżej, gdyby służąca dzieliła jej ból i poczucie winy. Opowiedziała więc o intrydze, truciznie, walce, pożarze powozu. Kiedy skończyła, dziewczyna siedziała nieruchomo, oniemiała.

Natychmiast pożałowała, że opowiedziała pokojówce wszystko ze szczegółami. Co dobrego mogło wyniknąć z tego, że na powrót złamie jej serce? Opowiadanie o szczegółach było przejawem egoizmu i bezmyślności. W końcu ona i jej dziecko przeżyli.

Wstała i weszła do alkowy, gdzie stało jej biurko. Wyjęła z szuflady przygotowane na tę okazję banknoty, całkiem sporą sumkę, i wręczyła je Babette. Pokojówka chętnie przyjęła pieniądze.

- Chciałabym, żebyś to wzięła, Babette - powiedziała. Służąca skinęła spokojnie głową i wstała, by odejść.

- Jest pani bardzo szczodra, pani Grawlińska.

Anna uśmiechnęła się, pewna, że jej słowa poruszyły serce Babette.

- Nie powinna się pani tak tym przejmować - powiedziała tymczasem dziewczyna, podchodząc do drzwi i odwracając się. - To nie były dobre dzieci. Nie miały ojca. A ja nie jestem chyba dobrą matką. One nie były ze mną szczęśliwe. Chyba wiedziały, że nie zostały... zaplanowane. Być może, madame, stało się najlepiej, jak mogło się stać.

Anna z niedowierzaniem wpatrywała się w zamknięte teraz drzwi. Słowa ciotki Stelli wróciły do niej, przejmując chłodem: „Być może rodzice najmniej ze wszystkich nadają się do tego, by wychowywać dzieci”.

RS

Rozdział czterdziesty czwarty.

Wiadomość nadeszła o zmierzchu.

Jan siodłał pośpiesznie konia, bijąc się z myślami. To, że wiadomość nadeszła od hrabiny Stelli, a nie od Anny, było niepokojące. Hrabina pisała: „Antoni jest w domu, przyjdź natychmiast”. Dlaczego to Anna nie napisała osobiście? Czy coś już się stało?

Poprawił ukryty pod kamizelką pistolet i wyprowadził konia ze stajni.

Anna powiedziała, że Antoni wkrótce się pokaże, i miała rację. Czy nie myliła się też w innych sprawach? Uwierzył jej, kiedy opowiadała o swoich podejrzeniach, lecz teraz wszystko to wydawało się nierealne. Co za człowiek knuje, by zabić własną żonę, narażając życie niewinnych dzieci? Oczywiście, tacy ludzie stawiający siebie ponad wszystkich, istnieli.

Dosiadł konia, spiął go ostrogami i ruszył przez pełne błota ulice.

Na samą myśl o tym, że ktoś mógłby skrzywdzić Annę, ogarniał go gniew. Od kiedy ponownie ją spotkał, mógł myśleć tylko o niej. Gdyby to, co mówiła, okazało się prawdą, byłby zdolny zabić Grawlińskiego. Na co komu formalny pojedynek? Albo powolne i niepewne w skutkach działanie prawa? Gdyby tylko miał pewność, że Antoni żywi wobec żony złe zamiary, zrobiłby to. Bez wahania. Lecz jeśli Anna pozwoliła, by na jej osąd wpłynęła niechęć do tego mężczyzny i zaaranżowanego małżeństwa lub miłość do niego, Jana?

W doskonałym świecie, powiedział pani Grońskiej, Antoniemu dowiedziono by winy. Lecz świat nie jest doskonały, dobrze o tym wiedział. „Jeśli chcesz spotkać anioła, musisz iść do nieba”, mawiała jego matka. Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Iluż to winnych unika w dzisiejszych czasach kary? Czy z Antonim też by tak było?

Ściągnął wodze, gdyż dotarł do zatłoczonych ulic w pobliżu mostu prowadzącego na Pragę. Uświadomił sobie, że ma spocone dłonie. Denerwował się.

Miał dwie możliwości, obie nadzwyczaj proste. Mógł zabić Antoniego albo pozwolić mu żyć. Jakie konsekwencje pociągnęłyby za sobą każda z tych opcji? Zabicie go rozwiązałoby problem. Mąż kobiety, którą kocha, zostałby usunięty z drogi. Po jakimś czasie mogłaby poślubić innego mężczyznę - jego. Lecz jak wyglądałoby to w świetle prawa? A jeśli Antoni jest jednak niewinny? Lub jego winy nie da się udowodnić? Czy mógłby żyć dalej ze świadomością, że odebrał innemu człowiekowi życie - i żonę? Nie, wyrzuty sumienia nie dałyby mu spokoju.

A jeśli pozwoli mu żyć, czy istnieje sposób nakłonienia go, żeby wycofał się z tego pseudomałżeństwa? Czy dałoby się zastraszyć go na tyle, by zgodził się zwrócić Annie wolność? Albo go przekupić? Należy też wziąć pod uwagę religijne zasady Anny. Dopóki Grawliński żyje, zarówno ona, jak i jej Kościół będą uważali ich związek za małżeństwo. Jan wiedział, że Kościół katolicki nie uznaje rozwodów, lecz jeśli małżeństwo nie jest tak naprawdę małżeństwem, czy nie dałoby się go anulować? Zasady, jakimi kierował się taki czy inny Kościół, często bywały dlań nie do pojęcia.

Dudnienie kopyt na drewnianym moście zdawało się jeszcze powiększać zamęt panujący w myślach Stelnickiego. Miał tylko kilka minut, by zdecydować, jak postąpi.

W końcu dotarł do domu Grońskich. Hrabina Stella przywitała go u progu, trzymając lampę. Najwidoczniej wyczekiwała jego przybycia, ponieważ nie zdążył nawet unieść kołatki, a już otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka.

Ruszyli bezszelestnie ku otwartym drzwiom salonu. Słyszał dobiegające stamtąd ściszone głosy.

Najpierw zobaczył Annę. Siedziała na krześle i nie wydawała się ani przestraszona, ani rozgniewana, ale po prostu przygaszona i jakby obojętna. Nakrapiane bursztynem zielone oczy były niczym pozbawione życia stawy. Antoni przemierzał pokój szybkimi krokami, krążąc wokół żony. Wydawał się wzburzony, choć widać było, że stara się przemawiać spokojnie.

Wyraz zaskoczenia i przestachu na twarzy żony powiedział mu, że nie są już sami. Odwrócił się, zaskoczony widokiem obcego mężczyzny, a potem świadomością, kogo ma przed sobą. Lecz szybko ukrył niezadowolenie.

- Stelnicki, czyż nie? - zapytał, uśmiechając się z przymusem.

- Tak jest, proszę pana - odparł Jan, strzelając obcasami i kłaniając się z lekka.

- Cóż, Anno Mario - zawołał Antoni - mamy gościa! Skinęła w milczeniu głową.

Hrabina nie weszła za Janem do pokoju, lecz pozostała w progu. Stelnicki spodziewał się, że zastanie Annę we łzach bądź miotającą oskarżenia. Cóż miała znaczyć ta obojętność? Czy sprawy miały się tak, jak przypuszczała, czy coś sprawiło, że zmieniła zdanie?

Antoni powiódł spojrzeniem od gościa do żony i z powrotem.

- Ach, z pewnością nie zachowujecie się tak, jakbyście ostatni raz widzieli się na Zaniku. Jeśli o mnie chodzi, mógłbym przysiąc, że spotkaliście się niedawno.

Zachowywał się tak, jakby Anna i Jan byli dwójką dzieci, przyłapaną na tym, że planowali zabroniony figiel.

- Mam rację? Czy to prawda?

Jan spróbował grzecznie się uśmiechnąć. Nie można odmówić Grawlińskiemu bystrości, pomyślał.

- Złożyłem wczoraj wizytę, aby powitać Annę, i dopiero wtedy dowiedziałem się, przez co przeszła.

- Zwykłą wizytę towarzyską? - zapytał Antoni. Kąciki jego ciemnych wąsów uniosły się w ironicznym uśmiechu. - W kilka godzin po tym, jak pojawiła się w Warszawie? Cóż za zbieg okoliczności!

- Prawda? - zauważył Jan, nie tracąc pewności siebie.

- Tymczasem stał się pan żołnierzem.

- Owszem.

- Piechota?

Stelnicki zdawał sobie sprawę, że Antoni doskonale wie, do jakiej formacji wstąpił, lecz postanowił, że nie da się sprowokować.

- Lekka kawaleria - powiedział z uśmiechem.

- Wiesz, mój drogi Stelnicki, naprawdę powinienem się na ciebie pogniewać. Kiedy ostatni raz cię widziałem, byłeś z moją żoną. Ją także widziałem wówczas po raz ostami. Przemówiliśmy się wtedy, ty i ja. A teraz, kiedy szczęśliwie znów się połączyliśmy - po przewyciężeniu tylu niebezpieczeństw - znowu tu jesteś. Czy to nie dziwne? Gdybym nie był w tak podniosłym nastroju z racji tego, że odnalazłem Annę Marię, chociaż nie spodziewałem się już jej zobaczyć, mógłbym nie znaleźć w sercu dość uprzejmości dla takiego szelmy jak ty. Lecz z drugiej strony, moją żonę nietrudno polubić, prawda?

Anna wpatrywała się w męża, jakby właśnie zacytował Pismo Święte, i nie zaprotestowała. Po chwili zwróciła wzrok na Jana, lecz nie odezwała się.

- Tak - odparł. - Z pewnością nietrudno ją polubić.

- I pokochać?

Jan poczuł, że ogarnia go gniew. Później uświadomił sobie, że to prawda tak go rozgniewała. Oczywiście, już dawno otworzył serce dla Anny, lecz fakt, że Grawliński o tym mówił, jakoś umniejszał to uczucie. Zmusił się, by zachować spokój.

- Nie mógłby pan mieć lepszej żony, Grawliński.

- Tak, zgadzam się. Anna Maria ma jednak skłonność do fantazjowania. To jej główna wada. Przypuszczam, że w dzieciństwie zbyt dużo czytała.

Żadne z nich się nie odezwało.

- To zadziwiające. Żona ubzdurzyła sobie, że to ja stoję za tymi strasznymi wydarzeniami, które ją spotkały. Cóż, mogę tylko zgadywać, że to jej brak wiary we mnie odciąga cię w tej chwili od bohaterskich wyczynów, jakimi zapewne ostatnio się parasz.

Anna poruszyła się na krześle. Jan nie wiedział, co sądzić o jej przedłużającym się milczeniu.

- A pan zapewnił ją...

- Że jestem niewinny? Przysiągłem na grób mego ojca! Choć zabołało mnie do żywego, że mogła pomyśleć coś takiego, a co dopiero o tym mówić. Lecz posłuchała głosu rozsądku i na powrót jesteście rodziną.

- Rozumiem.

- Nie dopuszczę, by znów zagroziło jej niebezpieczeństwo. Pozostanie pod moją opieką. Widzisz, Stelnicki, będziemy szczęśliwi.

Po tych słowach Anna wstała i obaj mężczyźni natychmiast na nią spojrzeli.

- To niemożliwe, Antoni - powiedziała cicho, lecz stanowczo.

- Anno, najdroższa, odzyskałaś mowę jedynie po to, by powiedzieć coś takiego! Wypowiadasz te słowa pod wpływem chwili i nikt obcy nie powinien tego słuchać.

- Nie dopuszczę, byś został w tym domu.

- Jestem twoim mężem, a dom należy do Zofii.

- Więc ja tu nie zostanę!

- I co zrobisz? - zapytał Antoni, tracąc cierpliwość. - Uciekniesz z nim? Z żołnierzem? Zhańbisz nazwisko ciotki? I pamięć ojca?

Wzmianka o ojcu zaskoczyła i zdenerwowała Annę. Spojrzała na męża, a w jej zielonych oczach płonął ogień. Najwidoczniej jednak zabrakło jej słów.

- Powiedziałem ci! - mówił dalej Antoni. - Wyjaśniłem!

- Co takiego? - dopytywał się Jan. - Co ci wyjaśnił, Anno? Antoni odwrócił się do Jana.

- Nie jesteś tu już mile widziany, Stelnicki. No dalej, Anno, powiedz mu. A kiedy ci powie, spodziewam się, że znikniesz wreszcie z naszego życia. Idź sobie bawić się w żołnierza.

Wpatrywała się w męża z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jakie uczucia skrywała pod pozorami obojętności, zastanawiał się Jan. Gniew? A potem odwróciła się plecami do obu mężczyzn.

- Anno Mario? - nalegał Antoni, starając się, by jego głos brzmiał czule. - Powiedz Stelnickiemu.

Odwrócona do nich plecami powiedziała tonem pozbawionym emocji:

- Antoni twierdzi, że to on wysłał Polaków.

Jan pozwolił sobie na chwilę zastanowienia. Jeśli Grawliński mówi prawdę, oznacza to, że naprawdę ocalił żonie życie. Niepokojące przypuszczenie. Nic dziwnego, że Anna czuje się rozdarta. Ona także, podobnie jak on, nie marzyła o niczym innym jak tylko, by skończyć z Antonim raz na zawsze.

- Oczywiście, że to ja wysłałem Polaków - mówił tymczasem Antoni. - Rosjanie z pewnością porwali Annę dla okupu.

- Dla okupu? - zapytał Jan. - Czy jest na to jakiś dowód?

- Dowód? Komu potrzebny dowód, Stelnicki? Najwidoczniej ja zostałem osądzony bez żadnego dowodu.

- Wierzysz mu, Anno? - zapytał Jan.

Nie odwróciła się. Po dłuższej chwili szepnęła jednak:

- Być może... nie wiem...

- Posłuchaj, Anno Mario - powiedział Antoni. Ruszył ku żonie i chwycił ją za ramię.

Później Jan uznał, że widać dopatrywał się w tym ruchu zapowiedzi przemocy i to skłoniło go do działania. W tym momencie nie tracił jednak czasu na zastanawianie się. Nadeszła pora czynów.

Postąpił w przód trzy starannie odmierzone kroki i wymierzył Antoniemu cios pięścią w twarz.

Rozdział czterdziesty piąty.

Anna leżała, nie mogąc zasnąć. Pod oknami jej sypialni panował gwar, jakby tłoczyła się tam setka służących. W domu goście Zofii tańczyli i weselili się. Orkiestra zarzuciła powolne, stateczne polonezy i menuety na rzecz skocznych mazurów i polek. Żywiołowy śmiech przechodził w nieskładny harmider, przerywany wysokimi piskami i brzękiem tłukącego się szkła. Przypuszczała, że to kryształowe kieliszki jej ciotki odchodzą właśnie w niebyt.

Hałasy dobiegające z parteru nie były jedyną przyczyną bezsenności Anny. Za trzydzieści sześć godzin jej mąż miał się pojedynkować z Janem. Któryś z nich może wkrótce umrzeć i nie widziała sposobu, by temu zapobiec. Zdawała sobie sprawę, że kiedy mężczyźni raz zdecydują się na pojedynek, ani Bóg, ani nikt inny nie jest w stanie ich od tego odwieść. Antoni został zmuszony, by wyzwać Jana. Nie miał innego wyjścia. Odzyskawszy świadomość, ujrzał nad sobą twarz Anny, Jana, hrabiny Stelli i kilkorga spośród służby. Objął spojrzeniem ich wszystkich, a potem zwrócił wzrok na Stelnickiego i zapytał chrapliwie:

- Kiedy?

Ustalono, że strony spotkają się rankiem we wtorek, w lasku tuż za Pragą. Pojedynek odbędzie się na pistolety. Jan i Antoni mogą przyprowadzić po dwóch sekundantów. Nikt więcej nie mógł być obecny, ponieważ pojedynkowanie się było zabronione, i to już od dziesięcioleci. Jeden lub drugi z nich może zginąć. A nawet obaj.

Co skłoniło Jana, by uderzył Antoniego? Przypomniała sobie, że hrabia Stelnicki potrafi działać pochopnie. Wtedy przy stawie pozwolił, by powodował nim gniew, ponieważ przypuszczał, że Anna uwierzyła oskarżeniom Zofii. O tak, rozgniewał się na tyle, by zostawić ją samą.

Gdzie też przebywa teraz jej mąż? Nie nalegał, by pozwolono mu pozostać u Grońskich, nie po takiej scenie. Zastanawiała się, czy Antoni nie zdecyduje się uciec. Doszła jednak do wniosku, że chęć zostania magnatem zatrzyma go w stolicy nawet, jeśli nie dokona tego poczucie honoru.

O północy wstała z łóżka i otuliła się niebieskim szlafrokiem. Lutisza ostrzegła ją co prawda, by pozostała w sypialni, lecz ponure myśli i odgłosy zabawy sprawiły, że stała się niespokojna. Cały dom zdawał się wibrować muzyką i śmiechem. Chciała tylko zerknąć na to z balkonu.

Po tym, jak ustalono warunki pojedynku, widziała się z Zofią jedynie bardzo krótko. Jej reakcji nie sposób było odczytać. Anna przypuszczała, że kuzynka odwoła przyjęcie, gdyż zabawa w tych okolicznościach wydawała się czymś zdecydowanie niestosownym. Najwidoczniej jednak Zofia tak nie uważała. Nie przyszło jej też do głowy, aby zaprosić kuzynkę. Anna złożyła to na karb faktu, że była w szóstym miesiącu ciąży, a kobiety w odmiennym stanie nie pokazywały się publicznie. Z drugiej strony Zofia nie przejmowała się przecież konwenansami.

Otworzyła drzwi na korytarz i natychmiast stało się dla niej jasne, dlaczego nie została zaproszona. Zdążyła postąpić zaledwie pół kroku, gdy tuż obok przebiegła młoda kobieta, a za nią starszy mężczyzna o bujnych siwych bokobrodach i włosach czarnych jak heban. Biegająca zatrzymała się na balkonie, pozwalając, by mężczyzna ją dogonił. Wtedy odskoczyła z wdziękiem, nie dając się pochwycić. Odwróciła się i pobiegła z powrotem, lecz zatrzymała się jak wryta, kiedy spostrzegła Annę.

- Och! - zawołała. - Przepraszam, mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy pani spokoju.

Mocno upudrowana peruka przekrzywiła się jej na głowie, a loki zwisały swobodnie, nieupięte. Spod rozchełstanej pomarańczowej sukni balowej, przybranej obficie bladozielonymi falbankami, wyłaniała się obnażona pierś.

- Mam cię, psotnico! - zawołał zalotnik, obejmując od tyłu jej talię.

- Przestań, głupcze! - zawołała. - Czy jesteś równie ślepy jak stary?

Mężczyzna dostrzegł Annę i uśmiechnął się niemądrze.

- Jest pani kuzynką Zofii, prawda? - spytała kobieta, bez skrepowania poprawiając stanik sukni.

Anna wpatrywała się w nią bez słowa, a ona nadal paplała bez sensu. Muszka, zbyt duża, by dodawać uroku, chwiała się niepewnie na białym policzku nieznajomej jak dorodna brodawka. Szminka na wargach rozmazała się i usta kobiety wyglądały, jakby za chwilę miały zsunąć się jej z twarzy.

Starzec oprzytomniał, starając się przywołać tyle pewności siebie i czaru, ile tylko mógł.

- Dobry wieczór pani - powiedział, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, jak komicznie wygląda. - Co za udane przyjęcie! Przyłączy się pani do nas?

Nim Anna zdążyła wymyślić jakąś wymówkę, kobieta wbiła z rozmachem łokieć w pokaźny brzuch mężczyzny. Ten zaś, zaskoczony, puścił ją i zaniósł się kaszlem.

Wykorzystała okazję, by uciec i zbiegła po schodach, nucąc głupiutką francuską piosenkę.

Pozostawiony zalotnik opanował kaszel i wyprostował się, spoglądając niepewnie na Annę. Przekrzywiony tupecik na jego głowie wyglądał jak martwy kruk. Uśmiechał się dziwnie i hrabina z przerażeniem uświadomiła sobie, że zamierza przenieść na nią swe zainteresowanie.

Natychmiast owinęła się ciasniej szlafrokiem, by mógł dostrzec, że jest w odmiennym stanie. Podziałało, pomimo że mężczyzna musiał być nieźle pijany.

Jego oczy rozszerzyły się i nagle jakby zeszywniał.

- Madame - wybełkotał, jak mu się zapewne zdawało, z godnością - czy będzie pani tak miła i wybaczy mi, że się oddalę? Chciałbym wrócić do gości.

Po kilku sekundach czarna peruczka sunęła już, podskakując z lekka, po schodach.

Anna postanowiła zobaczyć, co też dzieje się na dole. Weszła na balkon wychodzący na hol, trzymając się z dala od balustrady, by nie zostać rozpoznaną. W olbrzymim żyrandolu zapalono tylko połowę świec, więc hol domu Grońskich tonął w półmroku. Ośmielona tym podeszła bliżej. To, co zobaczyła, przypominało powrót na ziemię Szatana. Zdawało się, że wszelkie męty Warszawy zgromadziły się tej nocy w domu Zofii, zalegając schody, dywany i marmurowe posadzki. Ci, którzy nadal tańczyli, potykali się o leżących. Anna zorientowała się, że kilkoro spośród na wpół rozebranych biesiadników z pewnością należy do szlachty. Cóż za paradoks.

Ciekawe, gdzie też podziewa się ciotka, pomyślała. Jak może dopuścić, by tuż pod jej bokiem działo się coś tak obrzydliwego?

A potem spostrzegła pulchną Charlotte Sic. Gdy pierwszy raz ją spotkała, księżna była przystrojona brylantami: wysoką złotą perukę zdobiła diamentowa tiara, w uszach miała długie, pasujące do tiary kolczyki, a na piersi bajeczny, trzyczęściowy naszyjnik. Teraz powyżej pasa nie miała na sobie nic.

Anna zamrugła z niedowierzaniem. Musiała przy tym cicho krzyknąć albo też księżna poczuła utkwiony w niej wzrok, gdyż uniosła głowę i spojrzała na nią zdziwiona.

Los zrządził, że orkiestra skończyła grać mazura i kiedy Charlotte zawołała, by wszyscy spojrzeli w górę, doskonale ją usłyszano.

- Zofio! - zawołała, modulując głos niczym doświadczona aktorka. - Nie powiedziałaś mi, że zainwestowałeś w posąg! - mówiąc to, wskazywała na Annę.

Instynkt nakazywał Annie natychmiastową ucieczkę, mimo to nie mogła oderwać stóp od podłogi.

- Ależ to nie jest posąg! - zawołała śpiewnie jakaś kobieta, która widać potraktowała słowa Charlotte dosłownie.

- Cóż zatem - powiedziała księżna - jeśli to nie posąg, zapewne mamy do czynienia z objawieniem, do tego całym w błękicie. Zofio, chodź szybko! Do licha, gdzie ona jest? Objawiła się nam Dziewica Maryja, i to przed porodem!

Anna nie czekała, by się przekonać, czy Zofia znajduje się wśród osób, które zaczęły wychodzić, zaciekawione, z sąsiednich pokojów. Krew uderzyła jej do głowy, zabarwiając różem policzki. Nagle szatański śmiech zerwał zaklęcie, które zatrzymywało ją w miejscu. Odwróciła się i umknęła do swojej sypialni.

Co też napadło księżnę, że odezwała się do Anny w ten sposób? Przedtem była dla niej całkiem miła. Być może Zofia znalazła sposób, aby odpłacić przyjaciółce za to, że powiedziała Annie o zamiarze Antoniego dotyczącym założenia w Sochaczewie gorzelni.

Przyjęcie trwało do samego świtu.

Następnego ranka do saloniku na piętrze wprowadzono nieznanego Annie dotąd hrabiego.

- Pani Grawlińska, jestem Paweł Potecki - przedstawił się. Skinęła głową, zastanawiając się, co też go sprowadza.

Hrabia miał mocną sylwetkę, a twarz o szlachetnych rysach okoloną czarnymi, wijącymi się włosami.

- Zofia tak często o pani wspomina. Cieszę się zatem, że wreszcie mogę panią poznać - powiedział.

- Dziękuję. - Nie wiedziała, co więcej mogłaby powiedzieć. Nigdy nie słyszała, by Zofia wspominała o nim. O co też może mu chodzić?

Mężczyzna spojrzał na Lutiszę, która wprowadziła go do saloniku, a teraz udawała zajęta odkurzaniem mebli. Anna uświadomiła sobie, że hrabia waha się, czy może mówić w obecności służącej.

- Mogłabyś zostawić nas na chwilę, Lutiszo? - poprosiła. - Zadzwoń, gdy będę cię potrzebowała.

Potężna kobieta zjeżyła się na tę prośbę i spojrzała pytająco na Annę. Ta jednak odpowiedziała śmiałym spojrzeniem i w końcu służąca wyszła, zostawiając jednak drzwi szeroko otwarte. Nie ulegało wątpliwości, że słyszała wiele z tego, co wydarzyło się ostatnio w domu. Anna podejrzewała, że nie odejdzie, lecz będzie czaiła się w pobliżu, gotowa pośpieszyć jej z pomocą.

Spojrzeni na siebie z hrabią i roześmieli się.

- To prawdziwy skarb - zauważył pan Potecki.

- Bez wątpienia sądzi, że powinnam pozostać w bezpiecznym zamknięciu, dopóki nie nadejdzie mój czas. Lecz nie wiem, jak moglibyśmy się bez niej obejść. Jest nieoceniona.

Hrabia spoważniał.

- Pani Grawlińska, ja...

- Pani Berezowska, jeśli łaska - poprawiła go Anna. - Proszę nazywać mnie panięmskim nazwiskiem, nie tym po mężu. Nie uważam się już za mężatkę.

Hrabia wytrzeszczył oczy, lecz skinął głową na znak zgody.

- Jak sobie pani życzy. Pani Berezowska, Zofia prosiła mnie, bym porozmawiał z panią o ostatniej nocy.

- Ach tak?

- Jest zrozpaczona tym, że sprawy wymknęły się jej spod kontroli.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, czy i pan był tu wówczas obecny?

- Nie, dopiero co przyjechałem do miasta.

- Och!

Jakoś nie wydawało jej się, by hrabia mógł uczestniczyć w tego rodzaju zabawie. Postrzegała go jako mężczyznę obdarzonego charakterem.

- Lecz, jak rozumiem, zabawa stała się nieco zbyt ożywiona.

- Zofia tak to określiła? Cóż, te słowa nie oddają w pełni tego, co się tu działo.

- Jest mocno zawstydzona. Przybyłem, aby przeprosić w jej imieniu. Jak rozumiem, poczyniono pewne komentarze, dotyczące się pani.

- Och, to tylko głupstwa, wygadywane przez głupią, pijaną kobietę.

- Zatem wybaczy pani kuzynce?

Anna zastanawiała się przez chwilę, a hrabia cierpliwie czekał.

- Panie Potecki - powiedziała w końcu tonem pełnym rezygnacji - nie mnie sądzić kuzynkę. Zofia nie musi się przede mną tłumaczyć. Jestem w tym domu tylko gościem.

- Zatem nie gniewa się pani na nią?

- Jak mogłabym? Zofia i jej rodzice tyle dla mnie zrobili. Poza tym... być może jej ojciec nadal by żył i mógłby przywołać ją do porządku, gdybym pewnego dnia nie postąpiła wbrew życzeniom jego i ciotki. Nie, nie mam prawa jej oceniać. Żałuję tylko...

- Wiem - przerwał jej hrabia. - Zofia to nieposkromione stworzenie o słabym charakterze. Jest jak nieoswojony tropikalny ptak o barwnym

upierzeniu. Lecz jej intencje są dobre, pani Anno, i mocno panią kocha. Zrobiłaby dla pani wszystko. Czasami musimy przyjmować tych, których kochamy, takimi, jacy są, zamiast próbować ich zmienić.

- Chciał pan powiedzieć: poskromić?

- Tak.

- Być może ma pan rację.

Instynktownie wiedziała, że hrabia kocha się w Zofii, ta zaś nie szczędzi mu okazji, by mógł jej wybaczać. Miłość, pomyślała, ma w sobie niezwykłą moc.

Hrabia wstał, sposobiąc się do odejścia.

- Zatem mogę powiedzieć Zofii, że między paniami nic się nie zmieniło?

Anna uśmiechnęła się.

- Tak.

Nie wiedziała, dlaczego ufa jednemu ze znajomych kuzynki, ale tak właśnie było. Ufała mu.

Hrabia ucałował jej dłoń.

- Życzę pani silnego dziecka, pani Anno. Silnego i zdrowego.

- A jeśli urodzi się dziewczynka? Roześmiał się.

- Czasami wydaje mi się, że dziewczęta potrzebują w życiu więcej siły niż chłopcy.

Gdy wyszedł, Anna pograżyła się w rozmyślaniach. Hrabia zamierzał powiedzieć Zofii, że między nimi nic się nie zmieniło. Miała ochotę się roześmiać. Nawet gdyby Bóg pozwolił im dożyć późnego wieku, zawsze będą obracały się w dwóch różnych światach. Ponieważ z pewnością zmieniło się wszystko.

Rozdział czterdziesty szósty.

Jan wstał na długo przed świtem. Był ociężały i nie potrafił myśleć jasno. Prawie nie spał tej nocy. A powinien wypocząć, aby być szybkim. Tymczasem, pomimo iż poprzedniego wieczoru zrezygnował z trunków, brak snu spowodował, że czuł się znużony. Czy Grawlińskiemu udało się lepiej wypocząć?

Goląc się, spoglądał na swe odbicie w lustrze. Naszła go myśl, iż być może goli się po raz ostatni. Natychmiast odsunął ją od siebie.

Był pewny swoich umiejętności strzeleckich. Na wsi regularnie ćwiczył, a podczas studiów doskonalił strzelanie z pistoletu oraz szermierkę. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś z jego stanu zostanie powołany, aby przewodzić w bitwie. Lecz co z Antonim? Czyjego przeciwnik potrafi dobrze strzelać?

Hrabia Stelnicki nie uczestniczył dotąd w pojedynku. Czy Grawliński miał w tych sprawach więcej doświadczenia? Jak to jest kogoś zabić? Czy będzie w stanie to zrobić? Od dłuższego czasu zanosilo się na to, że Polska będzie musiała walczyć, aby utrzymać niepodległość. Postęp demokracji nie podobał się sąsiadom: Prusom, Austrii i Rosji, które już raz podniosły przeciwko Polsce zbrojne ramię. Następnym razem on sam znajdzie się w ogniu walki i będzie musiał zabijać. Nie wiedział, dlaczego jest tego taki pewien, lecz oczami wyobraźni widział już siebie w bitwie, walczącego za swój kraj, swoje dziedzictwo.

Lecz zabić kogoś w pojedynku? Zabić Grawlińskiego? To coś zupełnie innego. A jednak, czy może pozwolić mu żyć? Czy Antoni rzeczywiście stanowił aż takie zagrożenie, jak sądziła Anna? Pamiętał chwilę, gdy go uderzył, i musiał przyznać przed sobą, że nie uczynił tego w jej obronie. Postąpił tak powodowany rozczarowaniem, że Antoni może być jednak niewinny.

I proszę, do czego doszło. A jeśli Antoni odda lepszy strzał? Gospodyni zapukała do drzwi i powiedziała, że przybyli jego przyjaciele: Artur i Józef. Wybrał ich na sekundantów.

- Chleb i kawa dla wszystkich? - spytała gospodyni.

- Nie, Wando, podaj coś bardziej treściwego. Może omlet, tak, omlet z kielbasą lub szynką - albo z jednym i drugim!

Kobieta pośpieszyła do kuchni, zadowolona z odmiany. Nie wiedziała o pojedynku.

Hrabina Stella Grońska zasiadła w salonie na parterze. Towarzyszyła jej córka oraz siostrzenica. Miały oczekiwać tu na wiadomość, jak zakończył się pojedynek pomiędzy Antonim a Janem. Zarówno Anna, jak i Zofia unikały wzroku hrabiny. Napięcie wydawało się niemal namacalne. Co też zaszło pomiędzy kuzynkami, zastanawiała się pani Grońska. Oczywiście, było przyjęcie. Skrzywiła się na samo wspomnienie. W domu nadal panował nieład. No i tyle kryształowych kieliszków zostało rozbitych!

Nie czuła się dobrze tamtego wieczoru i wcześniej udała się na spoczynek. Rankiem powiedziano jej, że wszystko przespała. Lecz gdy zobaczyła, w jakim stanie był dom, nie mogła w to uwierzyć. Nie, nie przespała przyjęcia tak po prostu. Podejrzewała, że została uśpiona. Nie było sensu poruszać tego tematu teraz, kiedy w lesie rozgrywał się pojedynek, lecz obiecała sobie, że w przyszłości okaże się bardziej czujna. Pomyśleć tylko, musiała mieć się na baczności przed własną córką!

Nagle wróciło do niej mgliste wspomnienie. Śniła, że obudziwszy się z głębokiego snu, ujrzała mężczyznę, zaglądnącego do jej sypialni. Mężczyzna mógłby być sobowtórem Waltera. Czy aby na pewno był to sen?

- Zofio - spytała - czy Walter był na twoim przyjęciu?

- Walter? - powtórzyła Zofia z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem, spojrzawszy wpierw na matkę, a potem na Annę, uśmiechnęła się szelmowsko i powiedziała:

- Och, mamó, to było przyjęcie, na miłość boską! Nikt nie zaprasza na przyjęcie brata takiego jak Walter.

Nim Jan i jego towarzysze dotarli do lasu, nastał ranek, chłodny i rześki. Gęste poranne mgły unosiły się nad ziemią. Jan obserwował dobywające się z ust obłoczki pary, zadowolony, że chłód go rozbudził. Jakoś nie miał nastroju do rozmowy.

Józef prowadził. Wykonywał już kiedyś podobną misję. Stelnicki nie zapytał, jak się skończyła.

Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie zarośla i nisko zwieszające się gałęzie uniemożliwiały dalszą jazdę.

- Tu zostawimy konie - powiedział Józef. - Polanka jest o trzysta kroków stąd. Wygląda na to, że jesteśmy pierwsi.

Zsiedli i przywiązali wierzchowce, a potem zaczęli przedzierać się przez gęstwinę: najpierw Józef, potem Jan, a na końcu Artur, niosący kasetkę z pistoletami.

W lesie panował spokój, a unoszące się tu i ówdzie gęste mgły sprawiały, że krajobraz był jak malarska kompozycja. Przyjaciele umilkli. Jan rozmyślał o tym, do czego Grawliński posunął się, próbując pozbyć się Anny i przejąć jej ziemię. Jeśli to prawda, do czego jeszcze jest zdolny? Czy pokaże się dzisiaj na umówionym miejscu? A jeśli tak, czy będzie walczył honorowo? I czy honorowa walka oznacza, że trzeba strzelać tak, by zabić?

Gdzieś w oddali kukułka zaintonowała swój ptasi lament. Jan wspomniał wycieczkę po lesie, kiedy słuchali jej oboje, on i Anna. Zapytał ją wtedy, czy ma drobne monety, by nimi zabrzączyć i tym samym odwrócić zły omen. Żadne z nich nie miało wtedy monet. Jan nie był przesądny, lecz musiał przyznać, że ich życie zmieniło się od tego dnia. Teraz zorientował się, że mimo woli sięga do kieszeni. Była równie pusta jak tamtego dnia. Oparł się pokusie, by zapytać przyjaciół, czy któryś z nich ma przy sobie drobne pieniądze.

Antoni i jego sekundanci powinni być już na miejscu. Gdzie też mogli się podziewać?

Po chwili wydało mu się, że słyszy jakiś hałas, coś jakby trzask gałązki, nadepniętej końskim kopytem. Inni także to usłyszeli. Zatrzymali się, nasłuchując.

Dokoła panował spokój.

Józef zapewnił Jana, że do polanki nie prowadzi ścieżka, którą mógłby pokonać jeździec. Artur zasugerował, że to jakieś leśne stworzonko buszuje w poszukiwaniu śniadania.

Ruszyli dalej. Lecz zmysły Jana, i tak pobudzone, wyostrzyły się. A jeśli Antoni wolał nie ryzykować i przygotował zasadzkę? Mógł wynająć ludzi, by go zabili, tak jak planował uczynić to z Anną. Serce ścisnęło mu się na myśl, że oznaczałoby to, iż przyprowadził przyjaciół na pewną śmierć. Nikt nie wyjdzie z lasu żywy, by nie mógł opowiedzieć, co się stało.

Kukułka zakukała znowu, tym razem bliżej.

Jan wiedział, że jego towarzysze wzmogli czujność. Cała trójka zamilkła. A kiedy ruszyli dalej, usłyszał, że idący za nim Artur po cichu, prawie niesłyszalnie, pobrzękuje monetami.

Zofia siedziała na krześle, postukując wypielegnowanymi paznokciami o poręcz i przyglądając się, jak matka robi na drutach, a Anna udaje, że czyta. Próbowaly ukryć zdenerwowanie. Czym ona mogłaby się denerwować? A jednak czuła się nieswojo. Wstała i zaczęła przemierzać pokój.

Wiedziała, że matka spogląda na nią od czasu do czasu z dezaprobatą. Hrabina nadal złościła się z powodu przyjęcia i tego, jak wyglądał potem dom.

Cóż, pomyślała Zofia, matka będzie musiała przywyknąć do zmian wokół siebie. Jest teraz tylko wdową. Dom z pewnością nie zostanie na wieki okryty krepą. A jeśli to dla niej zbyt wiele, może wrócić do Halicza. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak dobrze laudanum przysłużyło się jej planom. Charlotte miała rację: parę kropli dodanych do wieczornej sherry matki i hrabina szybciotko udała się na swoje prywatne przyjęcie do sypialni!

Anna nie wspomniała o minionym wieczorze nawet słowem. Zofia złąjała Charlotte, lecz szkoda już się stała. Nie chciała, by kuzynka cierpiała niepotrzebnie. Prawdę mówiąc, życzyła jej wszystkiego co najlepsze, z wyjątkiem jednego. Wydelegowanie Pawła, by ją ułagodził, okazało się słusznym posunięciem. Zawsze można znaleźć kogoś, kto uporządkuje za nas sprawy. Dzisiejsze zdarzenie stanowiło najlepszy tego przykład.

Do pokoju wtoczyła się Lutisza, niosąc tacę z kawą.

- Kawa? - zawołała Zofia. - Myślę, że potrzebujemy czegoś mocniejszego!

- Zofio! - krzyknęła hrabina karcąco. - Jak możesz pić i okazywać taką beztroskę, kiedy w tej chwili ktoś tam może umiera!

Zofia spojrzała na Annę, która wyglądała tak, jakby miała za chwilę się uśmiechnąć, a zarazem rozplakać.

- Przepraszam - powiedziała. - Chodziło mi tylko o to, że kawa działa pobudzająco, a wy jesteście już wystarczająco zdenerwowane.

- Ty zaś, jak przypuszczam, nie? - spytała gniewnie matka.

- Nie - skłamała Zofia.

Anna podniosła wzrok znad książki.

- Czy sądzisz, że pojedynek cokolwiek rozstrzygnie? Zofia usiadła. Dobre pytanie, pomyślała. Obiektywne i szczerze. Gdyby jeszcze tylko znała odpowiedź.

- Nie, Anno, przypuszczam, że nie.

- Wszystko w rękach Boga - powiedziała hrabina.

- Bez względu na to, jaki będzie rezultat - westchnęła Anna - nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Z pewnością masz rację, Anno - odparła Zofia.

Spojrzała w jej zielone oczy i pomyślała coś zupełnie innego: „Ach, kuzynko, mąż albo ukochany, o to ci chodzi? I wiem, kogo byś wybrała!”.

Wątpliwości Jana co do Grawlińskiego nie sprawdziły się. Antoni przybył wraz z sekundantami zaledwie w kilka minut po tym, jak odnaleźli polankę. Najpierw odbyły się wstępne uprzejmości: przedstawianie sekundantów, uściski rąk, krótka, lecz uprzejma rozmowa.

Jan nie potrafił odgadnąć, o czym myśli Antoni. Szare oczy Grawlińskiego wydawały się obojętne, lecz gdzieś pod powłoką obojętności kryło się coś jakby utajony ogień. Rozpalony determinacją czy raczej strachem?

Józef przypomniał wszystkim zasady: sygnał do rozpoczęcia, piętnaście kroków, obrót i strzał.

Drugi z sekundantów sprawdził broń przeciwnika.

Zaproponowano, aby z powodu mgły skrócić odległość do dziesięciu kroków, ale nie osiągnięto ugody. Dystans nie został zatem zmieniony.

Stelnicki chciał powiedzieć przeciwnikowi, że wolałby strzelać tylko do pierwszej krwi. Nie dalej jak przed półgodziną doszedł do wniosku, iż potrzebuje więcej dowodów na to, że ten człowiek próbował zabić Annę. I nie dlatego, że jej nie wierzył. Po prostu potrzebował dowodów, zanim odbierze komuś życie. Uderzyło go, że w pewnych okolicznościach człowiek może zwątpić w ukochaną osobę, tak jak Anna zwątpiła w niego nad stawem. A on wtedy nie rozumiał.

Nie potrafił jednak zmusić się, by powiedzieć cokolwiek. Byłoby to sprzeczne z tradycją. Dziś przemówią jedynie pistolety, a podejrzewał, że Antoni będzie strzelał tak, żeby zabić. Ale przede wszystkim to duma nie pozwalała mu się odezwać. Nie potrafiłby pogodzić się z czymś przypuszczeniem, iż stara się ocalić skórę.

Przeciwników poproszono, aby zajęli pozycje. Uczynili to, wybrawszy uprzednio broń. Żaden nie spojrział drugiemu w oczy. Zbliżyli się i stanęli do siebie plecami, gotowi rozejść się w przeciwnych kierunkach.

Będą od siebie oddaleni o trzydzieści kroków, rozmyślał Jan. Czy mgła nie utrudni dostrzeżenia przeciwnika? I czy w takich warunkach będzie miało znaczenie, który z nich lepiej strzela? Jeśli jeden strzał nie załatwi sprawy, pojedynek zostanie uznany za nierozstrzygnięty. Przeciwnicy sięgną wówczas po zapasowe pistolety i będą strzelać z odległości dwudziestu kroków. A wtedy trudno nie trafić.

Najlżejszy hałas - szelest mysich łap na suchych liściach czy uderzenia skrzydeł nietoperza - rozchodził się echem po lesie. Jan słyszał słabe rytmiczne uderzenia, dobiegające, zdawałoby się, z odległości mil, i wprawiające w wibrację poszycie pod stopami i jego samego. Nim dano sygnał, zorientował się, że słyszy bicie swego serca.

„Nie może być odważnym ten - mawiał jego ojciec - kto nie zaznał strachu”.

Sekundanci obu stron skinęli głowami i przeciwnicy zaczęli oddalać się od siebie. Sekundant Antoniego liczył kroki.

- Raz... dwa...

Jan starał się skoncentrować. Jeśli mu się nie uda, czeka go śmierć. Nie będzie już pracował na rzecz demokracji...

- Pięć... sześć...

...i żył w pobliżu Anny, wszystko jedno w jakim charakterze.

- Osiem... dziewięć...

Próbował się skoncentrować. Zrani Antoniego i zmusi, by zrezygnował z Anny. Tylko jak?

- Dwanaście... trzynaście...

Usłyszał jakiś odgłos. Trzask gałązki? Gdzie? W pobliżu? Co to takiego?

- Czternaście...

Nie miało już znaczenia, co usłyszał. Cokolwiek to było, wystarczyło, by go zdekoncentrować.

- Piętnaście. Obrót i strzał!

Jan obrócił się zaledwie o ułamek sekundy wolniej od przeciwnika. Lecz to przesądziło. Grawliński strzelił pierwszy.

Rozdział czterdziesty siódmy.

Kobiety tymczasem czekały. Żadna nie odezwała się chyba przez godzinę. Anna pomyślała, że zaraz zacznie krzyczeć. Czemu nie sprzeciwiła się tradycji i nie pojechała do lasu? Dlaczego kobiety mogły jedynie siedzieć w salonie i czekać, podczas gdy mężczyźni zajmowali się czymś tak śmiertelnie niebezpiecznym?

Wpatrywała się jak zaczarowana w malowany porcelanowy zegar, stojący na kominku. Do ustalonej godziny - dziesiątej - brakowało trzydziestu minut. Wskazówki posuwały się tak wolno, iż Anna pomyślała, że zegar z pewnością się późni.

Nagle uświadomiła sobie, że nie ona jedna z napięciem wpatruje się w minutową wskazówkę. Oczy ciotki wędrowały do kominka w regularnych odstępach niczym światła sygnalizacyjne.

Co będzie, jeśli Jan zabije Antoniego? Czy śmierć męża nie stanie pomiędzy nią a ukochanym? A jeśli Antoni przeżyje? Co załatwi ten prymitywny rytuał obrony honoru?

A jeśli to Jan zginie? Nie mogła dopuścić do siebie takiej ewentualności. Życie bez niego było nie do pomyślenia. Nawet jeśli się nie pobiorą, życie bez Jana nie było życiem w ogóle. Uświadomiła sobie, że mimo woli wstrzymuje oddech. Powinnam była tam pójść, powtarzała sobie w duchu, powinnam była.

Za dziesięć dziesiąta ktoś zapukał do frontowych drzwi. Kobiety spojrzały na siebie, zdziwione. Jakich nowin można było się spodziewać o tej porze? Pojedynek miał odbyć się za kilka minut, a potem miną pewnie ze dwie godziny, nim czegoś się dowiedzą.

Po chwili Lutisza wprowadziła do salonu gościa.

Anna podniosła wzrok i zobaczyła, że zbliża się do niej baron Kolbi. Próbowwała pokryć zaskoczenie uśmiechem. Od powrotu do Warszawy nie poświęciła baronowi ani jego kręgowi patriotów nawet jednej myśli. Nie było na to czasu.

Wstała, by go powitać i przedstawić ciotce. Zofii, oczywiście, nie trzeba było Michała przedstawiać, a milczące skinienie głową w kierunku gościa jasno świadczyło, że nie zapomniała chłodu, jakim odpowiedział na jej zaloty podczas pamiętnego przyjęcia.

Michał, rozpromieniony, zwrócił się do Anny:

- Obawiałem się, że już nie żyjesz, i to pomimo moich wysiłków. Chwała Bogu! Tak się cieszę, że widzę cię całą i zdrową!

Uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że mam twardszy żywot niż kot. Usiądziesz?

Baron przysunął sobie krzesło i usiadł obok kobiet. Anna zerknęła na zegar. Wizyta barona cieszyła ją, lecz pozbawiała możliwości nieustannego sprawdzania czasu. Do chwili rozpoczęcia pojedynku pozostały już tylko minuty.

- Jakich wysiłków? - spytała Zofia.

Dopiero teraz słowa barona w pełni do Anny dotarły: „Pomimo moich wysiłków...”

- Anna nie myliła się co do Antoniego - powiedział Michał. - Kiedy wyruszyła do Petersburga, przeprowadziłem małe śledztwo i szybko odkryłem całą intrygę.

- Intrygę? - spytała hrabina. Baron spojrzał na hrabinę.

- Wypytałem o ludzi, którzy mieli odwieźć pani siostrzenicę do Petersburga. To, co napisała w liście, obudziło moje podejrzenia. Znalazłem człowieka, Rosjanina, który zrezygnował ze zleconego zajęcia, ponieważ...

Anna podejrzewała, że nowiny, jakie zamierza im przekazać Michał, są na tyle szokujące, że waha się to zrobić w obecności schorowanej ciotki.

- Tak - powiedziała hrabina - proszę mówić dalej. Michał skinął głową i zaczerpnął oddechu.

- ...ponieważ Grawliński nie zamierzał sprowadzić żony do Petersburga. Powóz miał dotrzeć do Opoła, do rodzinnego majątku Grawlińskich, lecz Anna nie przybyłaby tam... żywa.

Hrabina westchnęła, przerażona.

- A więc to prawda. Na Boga, to prawda!

- Zatem Antoni - powiedziała Zofia dziwnie obojętnym tonem - naprawdę planował ją zabić.

Spojrzały obie na Annę, która nie wydawała się zbyt przejęta tym, co usłyszała.

- To twoi ludzie próbowali odbić mnie Rosjanom - powiedziała.

Baron przytaknął.

- Niech Bóg weźmie do siebie ich dzielne i dobre dusze.

- Uganiałem się za Antonim od tygodni, ale to sprytny diabeł. Dotarłem aż do Opoła i Częstochowy, lecz zawsze wyprzedzał mnie o krok. Wiem, że jest teraz w Warszawie. Zamierzam wyzwać go na pojedynek. Jak się domyślam, jeszcze się tu nie pokazał?

Kobiety wymieniły spojrzenia i opowiedziały, gdzie właśnie przebywa Antoni i co się tam dzieje. Nim Anna zdążyła spojrzeć na zegar, ten wybił dziesiątą.

Kula przemknęła obok lewego ucha Jana. Antoni naprawdę strzelał tak, żeby zabić, przemknęło mu przez myśl. Celował w głowę, lecz chybił.

Jan zaczerpnął głęboko oddechu i wycelował. Był pewny, że mógłby zabić Antoniego - serce stanowiło zdecydowanie lepszy cel niż głowa - jednak, bez solidnego dowodu na to, że Antoni był winien próby zabójstwa...

Wycelował ponownie, tym razem nie w serce, i strzelił.

Trafił w prawe ramię. Antoni nawet nie upadł. Osłonił lewą dłonią ranę, która nie krwawiła zbyt mocno. Spojrzał na Jana i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: Byłeś dziś lepszy, lecz niewiele.

Miałem swoją szansę, pomyślał Jan, i być może pożałuję, że jej nie wykorzystałem. Antoni, żywy, nadal stanowił dla Anny zagrożenie.

Nagle rozległ się strzał z innego pistoletu! Jan, zaskoczony, spostrzegł, że pierś Antoniego eksploduje fontanną krwi. Spojrzał na Jana rozszerzonymi z szoku i bólu oczami, a potem runął na ziemię.

- Tam! Tam! - zawołał Józef, wskazując chmurkę dymu obok wielkiego dębu. - Stamtąd strzelano!

Jeden z przyjaciół Antoniego pobiegł mu na pomoc. Stelnicki i pozostali ruszyli ku miejscu, gdzie ukrywał się strzelec. Jan przypomniał sobie, że właśnie stamtąd dobiegł trzask, który wytrącił go ze stanu koncentracji. Biegając, wziął od Artura dodatkowy pistolet. Lecz nim zdążyli cokolwiek dostrzec, usłyszeli tętent kopyt. Najwidoczniej musiała tam być ścieżka, a ponieważ ich konie zostały o kilkaset metrów z tyłu, nie mieli cienia szansy, aby dogonić strzelca.

Mimo to Jan wycelował i nacisnął spust. Strzał rozległ się echem w cichym lesie. Cel jednak zdążył już oddalić się poza zasięg kul i bezpiecznie zbiec.

Wrócili do miejsca, gdzie leżał bez życia Grawliński.

Rozdział czterdziesty ósmy.

- On nie żyje i już! - powiedziała Zofia. - Kogo obchodzi, kto go zabił, Anno!

- Tego rodzaju człowiek - pośpieszył jej z pomocą Michał - musiał mieć wielu wrogów.

Baron został u Grońskich, gdzie czekał na wynik pojedynku. Jan przybył z nowinami po niecałych dwóch godzinach.

Anna spojrzała na drzwi, gdy się w nich pojawił. Jej dusza otwarła się na ten widok, wypełniając ciepłem i światłem. Zdążyła już przygotować się na najgorsze. W końcu jeśli ojciec mógł opuścić ją i umrzeć...

Jan był mocno przygnębiony. Nie zdziwiło to Anny. Zetknął się przecież ze śmiercią, i to w bardzo niepokojących okolicznościach. Poznawszy barona, wysłuchał oskarżeń pod adresem Antoniego bez większego zainteresowania. Podzielał zdanie Zofii: liczyło się tylko to, że Anna będzie mogła żyć spokojnie, wolna od strachu przed mężem. Nie było okazji, by mogli porozmawiać na osobności.

W następnych dniach Anna dużo rozmyślała o tym, jak Jan zareagował na śmierć Antoniego. Starła się też rozeznac we własnych uczuciach i uczucie je ocenić. Nie życzyła nikomu śmierci, miała jednak świadomość, że teraz ona i dziecko będą bezpieczni, a to dzięki tajemniczemu zabójcy. Kto mógł nim być? Feliks Paduch? Michał rozwiązał jedną zagadkę, lecz zaraz pojawiła się następna, nie mniej dręcząca.

Nie zorganizowała pochówku męża, choć czuła się w obowiązku przywdziać żałobę. Odesłała ciało Antoniego matce wraz z formalnym listem, w którym zrzekła się wszelkich pretensji do majątku i tytułu Grawlińskich. Niech jego rodzice zatrzymają wszystko, pomyślała. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Choć baron był stary i prawdopodobnie nieszkodliwy, Michał wydawał się przekonany, że baronowa Grawlińska doskonale wiedziała, co zamierza Antoni. Kto wie, do czego może być zdolna matka, która wychowała takiego syna? Anna wołała, by wszelkie więzy, łączące ją z tą rodziną, zostały raz na zawsze zerwane.

W trzecim tygodniu kwietnia zima była już tylko wspomnieniem. Pierwsze mgły i deszcze, zwiastujące wiosnę, zmyły resztki ciężkiej zimy.

Przez kilka dni Anna nie miała od Jana żadnych wieści. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy to nie sprzeciw Zofii stanął na przeszkodzie ich kontaktom. Kilkoro spośród zaprzyjaźnionych patriotów odwiedziło ją, przynosząc ulgę w

trudnych chwilach spowodowanych zaawansowaną ciążą. Ponieważ wielu z nich było ludźmi z gminu, strzegła się, aby utrzymać te wizyty w tajemnicy przed Zofią i ciotką.

W Haliczu, pozostającym od rozbioru w 1772 roku pod jurysdykcją Austrii, a także w całej Polsce oplakiwano śmierć Leopolda II, cesarza Austrii i brata Marii Antoniny. Sprzyjał on bowiem konstytucji w przekonaniu, iż wprowadzone przez nią reformy mogą zapobiec rewolucji w Europie Środkowej. Przyjaciele Anny łudzili się nadzieją - choć była ona nader wątpliwa - że jego następca, Franciszek II, będzie honorował sojusz z Polską zawarty przez ojca.

Ciotka Stella czuła się lepiej i, podobnie jak Zofia, była dla Anny miłą w tygodniach, które nastąpiły po śmierci Antoniego. Kuzynka nie zaprzestała jednak mało wyszukanych rozrywek we własnym domu i Anna postanowiła, że wyjedzie z miasta, gdy tylko dziecko się urodzi.

Pewnego popołudnia drzemała właśnie w swoim pokoju, kiedy Lutisza powiadomiła ją, że w salonie na dole czeka hrabia Stelnicki.

- Czy mam powiedzieć, że jest pani niedysponowana, madame?

- Niedysponowana? Oczywiście, że nie. Podaj mi lusterko.

- Ale, proszę pani...

- Co takiego?

- Za sześć czy siedem tygodni urodzi pani dziecko - powiedziała służąca, podając jej lusterko. - A pani mąż dopiero co umarł. To niestosowne, by widywała się pani z panem Stelnickim.

Pokojówka umilkła i poczerwieniała, zawstydzona własną śmiałością.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Lutiszo. Wiem, co mówi się pomiędzy służbą o panu Stelnickim. Posłuchaj mnie: to nie jest prawda. Wuj Leo się pomylił; Jan nie ponosi odpowiedzialności za to, co zdarzyło się we wrześniu nad stawem. Rozumiesz?

- Tak, madame.

Jan wstał i skomplementował Annę, gdy się do niego zbliżyła.

- Ależ z ciebie kłamca, panie Stelnicki - odparła.

- Panie Stelnicki? Tak formalnie?

Żartobliwa odpowiedź zamarła Annie na ustach, gdy zobaczyła Zofię siedzącą w fotelu hrabiny, ustawionym przy kominku. Kuzynka zajęta była robótką. Robótką! Anna nie mogła się powstrzymać, by nie westchnąć z cicha. Nie widziała dotąd, by kuzynka kiedykolwiek robiła na drutach. Zrozumiała,

że to tylko przedstawienie i że Zofia zamierza pozostać w salonie podczas wizyty Jana. Poczwała, że budzi się w niej gniew.

Jan wypytał Annę o zdrowie, okazując szczerą troskę w związku ze zbliżającym się terminem porodu.

- Co takiego? Tak, czuję się dobrze - odparła nieprzytomnie, odrywając wzrok od kuzynki, udającej brak zainteresowania rozmową.

- Nie potrwa to długo, Anno, kochanie - powiedziała Zofia, wpatrzona w robótkę - jeśli nie będziesz o siebie dbała. Powinnaś być w łóżku.

- Nic mi nie jest, Zofio - odparła. - A czy ty nie powinnaś przygotowywać się do wieczornego przyjęcia? - spytała na pozór lekko, wiedząc jednak, że kuzynka pojmie aluzję. O czym ci dwoje mogli rozmawiać, nim zeszła do salonu?

- Och, jest jeszcze mnóstwo czasu - odparła Zofia tym samym fałszywie lekkim tonem. - Mam na to całe popołudnie.

Jan i Anna usiedli obok siebie na sofie. Gość wyjaśnił, że jeździł do Krakowa z polityczną misją i że za dzień czy dwa będzie musiał tam wrócić. Czwała, że tylko obecność Zofii powstrzymuje go od ucałowania jej dłoni, a nawet przytrzymania jej w uścisku. Spotkali się oto po raz pierwszy po śmierci Antoniego i wiedziała, iż żadne z nich nie ośmieli się głośno powiedzieć tego, co mówiły ich spojrzenia.

Przez pół godziny prowadzili grzeczną i dość sztywną konwersację. Gniew Anny rósł z każdą straconą minutą. W końcu miała dość. Nie pozwoli, by Zofia swoim wtrącaniem się popsuła jej szyki. Przemówiła bezpośrednio do Jana, ignorując jej obecność.

- Janie, poród zawsze niesie ze sobą ryzyko. Gdyby mi się coś stało...

- Ależ Anno, wyglądasz wspaniale! Nic ci się nie stanie.

- Mimo to chciałabym, abyś to wziął. - Wyjęła spod spódnicy zapieczętowany dokument. - To mój testament i ostatnia wola. Spisałam je na wypadek, gdyby dziecko mnie przeżyło.

Twarz Jana pociemniała. Sięgnął po dokument.

Anna poczuła, że Zofia się jej przygląda. Zignorowała to.

- Zanim go weźmiesz, muszę poprosić cię, byś, jeśli umrę, został opiekunem mego dziecka.

Zofia zaczerpnęła głośno oddechu i poruszyła się na fotelu, lecz Anna nadal nie zwracała na nią uwagi.

- Oczywiście, Aniu - szepnął Jan. Podała mu dokument.

- Los mego dziecka i jego byt będzie zależał tylko od ciebie. Dopilnuj jego edukacji. Chcę, aby poznało cztery czy pięć języków. Znajomość języków to klucz do przyszłości. Dopilnujesz tego? Wiem, że proszę o wiele.

- Skądże znowu, lecz nie musimy martwić się o takie rzeczy. Sama nauczysz je polskiego, rosyjskiego i francuskiego!

- Nie martwię się o siebie, Janie. Chcę, by mój syn wyrósł na mężczyznę o silnym charakterze.

- Skąd wiesz, że to będzie chłopiec? Wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy, że mam przecucie. Zdziwiłabym się, gdyby urodziła się dziewczynka.

Nagle poczuła, że robi jej się słabo.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jan. - Pobladłaś.

- To nic, zakręciło mi się w głowie. Zaraz przejdzie.

- Jest zbyt słaba, by nie leżeć w łóżku - powiedziała Zofia. - Wiedziałam, że ta wizyta okaże się dla ciebie zbyt męcząca, Anno Mario. Boże, jesteś blada jak Marzanna!

Jan zignorował Zofię, jak przedtem Anna.

- Zostanę w Warszawie, dopóki nie urodzi się dziecko - powiedział.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła. - To jeszcze kilka tygodni, a masz na głowie ważne sprawy.

Skinął z ociąganiem głową.

- Pewnie i tak na nic bym się nie przydał. Lecz zadbam o to, byś wiedziała, gdzie jestem, i mogła w każdej chwili zawiadomić mnie o porodzie lub o tym, że jestem ci potrzebny.

- Dziękuję, Janie.

Uśmiechnął się i przez chwilę Anna, otulona ciepłem tego uśmiechu, czuła się absolutnie szczęśliwa.

- Anno, kochanie - powiedziała Zofia z naciskiem - pora, byś wróciła do swego pokoju.

- Zofia ma rację - przytaknął Jan, nim Anna zdążyła zaprotestować. - Powiniennem już iść.

Wstał i skłonił się.

Zofia zadzwoniła po Lutiszę. A kiedy służąca weszła do salonu, wstała nagle i powiedziała:

- Odprowadzę pana Stelnickiego do drzwi, Lutiszo, a ty pomóż Annie dostać się do sypialni.

Anna zawrzała z gniewu. Kuzynka znów się wtrącała. Ciekawe, co powiedziała by Jan, gdyby mogli choć na chwilę zostać sami, pomyślała.

Wychodząc, spojrzął na nią po raz ostatni kobaltowoniebieskimi oczami, jakby chciał dodać jej otuchy. Zapamięta to spojrzenie i będzie czerpała z niego siłę w trudnych chwilach porodu.

RS

Rozdział czterdziesty dziewiąty.

Choć Konstytucja 3 maja podzieliła szlachtę, pierwszą rocznicę jej uchwalenia obchodzono w stolicy hucznie i ze szczerą radością.

Tego dnia Anna przyjmowała w salonie na parterze szwaczki i handlarki. Pomimo iż stosunki pomiędzy Zofią a matką pozostawały chłodne, ku zdumieniu Anny kuzynka uczestniczyła w spotkaniu i wyglądało na to, że z przyjemnością pomaga jej i hrabinie wybierać dziecięce ubranka.

Hrabina Grońska wydziergała kilka ubranek, lecz trzeba było jeszcze sporo dokupić. Anna wolała czytać niż szyć, więc tym bardziej doceniała mistrzostwo, jakiego wymagało uszycie jedwabnych czapeczek, koronkowych i płóciennych koszulek, malutkich, dzierganych buciczków i, oczywiście, pieluch. Każda rzecz miała wpleciony we wzór ozdobny zakrętas, stanowiący podpis szwaczki, i Anna kupiła od każdej po kilka sztuk.

- Och, Anno - zawołała Zofia z zachwytem - pozwól, że kupię dla twego dziecka tę białą jedwabną koszulkę. Doprawdy, godna jest samego księcia!

Anna nie odpowiedziała, gdyż trzymała się za brzuch, dysząc z bólu. Przeszywający skurcz pojawił się nieoczekiwanie. Krew napłynęła jej do twarzy, zalewając nieprzyjemnym żarem, a potem odpłynęła.

Po chwili paroksyzm ustąpił, lecz zaraz pojawił się następny. Anna krzyknęła z bólu. Kobiety zakrzętały się wokół niej niczym pszczoły wokół swej królowej. Nakłoniono ją, by odchyliła się na krześle. Oddychała z trudem, podczas gdy ciotka i kuzynka, stojące po obu stronach krzesła, wypytywały ją i dodawały otuchy. Lutisza i Marta krzętały się w pobliżu z wielce poważnymi minami. Annie brakowało powietrza. Zrobiło jej się słabo.

Ból zaatakował po raz trzeci i ogarnęła ją panika. Czy to normalne? Czyżby dotrwała do tego momentu, by teraz poronić, jak jej matka?

Wskazała na leżące na stole ubranka, które wybrała. Po chwili miała je już na kolanach i przyciskała do piersi. Zamknawszy oczy, poczuła przyływ gorąca i dziwne, obce ruchy wewnątrz swojego ciała.

- Proszę pochylić się do przodu i oddychać - powiedziała Lutisza, naciskając ręką na jej głowę. Drugą rękę - jakaż ona wielka, pomyślała Anna - położyła jej na brzuchu. Podczas następnych kilku minut ból to pojawiał się, to znikał.

- Pani Anna - oznajmiła w końcu Lutisza - wkrótce urodzi.

- To niemożliwe! - powiedziała hrabina. - Termin przypada dopiero w przyszłym miesiącu.

- Musiałaś się pomylić, Lutiszo - poparła matkę Zofia.
- Niedługo powie to pani dziecku sama, pani Zofio - odparła Lutisza śmiało.
- Jest gotowe, by przyjść na świat.

Szmer rozmów i odgłosy gorączkowej krzątaniny dobiegały jakby z oddali. W pewnej chwili Anna poczuła, że po jej nogach rozlewa się dziwne ciepło. Otworzyła oczy i przekonała się, że dół ciała ma cały mokry. Lutisza miała rację: zaczynał się poród!

Chociaż dziwiło ją, że dziecko tak śpieszy się na świat, przede wszystkim odczuwała strach. Bała się nie tyle bólu, który, jak wiedziała, musi przyjść, lecz tego, czy maleństwo okaże się dość silne. Wiedziała, że dzieci, które rodzą się przedwcześnie, rzadko przeżywają.

Handlarki odprawiono. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi na ulicę, uszu Anny dobiegały dźwięki muzyki i odgłosy zabawy. Pomyślała, że to dobry omen. Jej dziecko urodzi się w rocznicę uchwalenia konstytucji. Ojciec powiedział kiedyś, by doszukiwała się znaczenia w małych sprawach.

- Hrabina musi się położyć - powiedziała Lutisza.
- Nie zaryzykujemy wspinania się po schodach - odparła ciotka Stella, która w godzinie próby zachowała zdumiewająco jasny umysł. - Zabierzcie ją do mojej sypialni.

Ruszyła wraz z Martą przodem, by przygotować łóżko, podczas gdy Zofia i Lutisza podtrzymywały Annę, prowadząc ją do pokoju ciotki.

Mijały godziny. Kiedy przy łóżku pojawił się ksiądz, Anna była na wpół przytomna. Powiedział, jakie modlitwy powinna odmówić, lecz ból nie pozwalał jej się skupić. Przed odejściem ksiądz włożył w dłonie położnicy różaniec, lecz wkrótce go wypuściła.

- Słyszysz mnie, Anno Mario? - spytała ciotka.
- Tak.
- Posłaliśmy po lekarza, lecz może nie zdążyć na czas. W razie konieczności poród odbierze Lutisza. Ma w tym doświadczenie. Zrozumiałaś?

Anna skinęła głową.

Wydawało jej się, że w pokoju jest nieprawdopodobnie gorąco. Twarz miała zlaną potem. Wyjęto jej z włosów grzebyki i teraz wilgotne pasma opadały bez przeszkód na ramiona. Posłusznie robiła to, co jej kazano.

Lutisza przygotowywała się, aby odegrać rolę położnej. Hrabina i Marta miały jej pomagać. Zofia wymówiła się i wyszła, szepnąwszy wpierw kuzynce do ucha słowa otuchy i zachęty.

Ból jeszcze się wzmógł.

Na zewnątrz świętowano coraz gorliwiej, a skoczne tony polki i mazura tworzyły niesamowite tło dla tego, co działo się w pokoju. Anna zaczęła poruszać się w takt muzyki, nie dbając, co pomyślą sobie opiekujące się nią kobiety. Potem wydawało się jej, że to było we śnie.

Krzyczała z bólu, lecz nikt nie mógł mieć jej tego za złe. Nie zaznała dotąd takiego cierpienia. Przez jakiś czas była nawet pewna, że nadeszła jej ostatnia chwila. Wiedziała, że wiele kobiet umiera podczas porodu. Modliła się jednak przede wszystkim o to, by dziecko urodziło się zdrowe. Podczas najsilniejszego skurczu usłyszała, jak ciotka szepcze jej do ucha:

- Bóg nie daje niczego za darmo, lecz otwiera wszystko, by każdy mógł czerpać tyle, ile potrzebuje.

Czuła, że kobiety dotykają jej, pouczają, nalegają. Złożyła ufność w Bogu i w Lutiszy. Żadne z nich dotąd jej nie zawiodło.

- Przyj, Anno, przyj! Jeszcze. Mocniej, Anno! Wychodzi, Anno. Przyj! Dziecko wychodzi!

Jeszcze jeden wysiłek, tak niewyobrażalny, że z wielkim trudem była w stanie go podjąć, a potem ulga. Powiedziano jej, że ta faza porodu przebiegła szybko, lecz Annie każda chwila zdawała się wiecznością. Nagle jej uszu dobiegł piskliwy krzyk. Natychmiast uniosła powieki. Płacz dziecka! Lutisza trzymała noworodka wysoko w powietrzu. Przecięto pępowinę.

Ciałko krzyczącego maleństwa pokrywała krew i w pierwszej chwili Anna pomyślała, że dziecko umiera. Uniosła głowę i próbowała zawołać na alarm.

- Piękny chłopaczek - oznajmiła ciotka.

- On krwawi...

- Nic podobnego, po prostu trzeba go umyć - uspokoiła ją Lutisza. - Cudowny dzieciak!

Anna opadła na poduszki, próbując się uśmiechnąć. Mam syna!

Kobiety krzętały się wokół niej w nieskończoność, ona zaś pragnęła tylko zawołać, by dano jej dziecko. Nie mogła jednak tego uczynić, gdyż była zbyt słaba i za bardzo kręciło jej się w głowie.

W końcu trzymała maleństwo w ramionach. Przez chwilę wydawało się jej, że kobiety musiały się pomylić. Noworodek był tak maleńki i drobniutki, że musiał być chyba dziewczynką. Choć córka byłaby równie mile widziana, pragnęła się przekonać, czy naprawdę urodziła syna.

- Wybrałaś już dla niego imiona, kochanie? - spytała ciotka Stella.

- Tak. Przedstawiam wam Jana Michała.

Przytuliła wierzące się niemowlę do nagiej piersi, delikatnie gładząc palcami główkę, pokrytą pasmami pięknych jasnych włosów. Po jakimś czasie dziecko usnęło. Anna, wyczerpana porodem, wkrótce poszła w jego ślady. Zapadła w mocny, spokojny sen, z dzieckiem wtulonym w zagłębienie ramienia.

Później zauważyła, że Lutisza zawiązała maleństwu na rączce czerwoną wstążkę, która, według ludowych wierzeń, miała chronić przed urokiem.

RS

Rozdział pięćdziesiąty.

Opieka nad dzieckiem stanowiła dla Anny źródło nieustającego szczęścia. Z każdym tygodniem Jan Michał wydawał się jej piękniejszy i bardziej kochany. Zapewne tak wydaje się każdej matce, myślała.

- Niech no popatrzę na twoje niebieskie oczka - zawodziła śpiewnie, robiąc miny. Ma oczy szeroko otwarte, patrzące bystro i szybkie niczym u sokoła, myślała. Wpatrywał się w twarz matki, jakby próbował zrozumieć, co mówi. Miał zaledwie kilka tygodni, kiedy zareagował na jej błazeństwa bezzębnym uśmiechem, a potem zaczął chichotać, przyglądając się, jak stroi miny.

Anna uświadomiła sobie, że macierzyństwo ją zmieniło. Nieokreślone lęki, ogarniające ją czasami niczym powiew pustynnego wiatru, ustąpiły. Oczywiście dręczył ją niepokój, mający swe źródło w mrocznych wydarzeniach, które rozpoczęły się w dniu śmierci ojca i położyły cieniem na nieszczęśliwym małżeństwie, lecz teraz ośmielała się żywić nadzieję, że los wreszcie się odmieni.

Macierzyństwo zdawało się sprawiać, że czuła nieustające zadowolenie. Spłynął też na nią szczególny spokój, nieznanym, była tego pewna, oddanym wiecznej wojaczce mężczyznom. Homer z gruntu się mylił. Tak, Odyseusz stał u steru majestatycznego statku i przedzierał się przez fale, gnając od jednej przygody do drugiej, a po drodze wpadając w rozkoszną pułapkę ramion Kirke i Kalipso. I to jego historia nazwała dzielnym. Lecz Anna wiedziała, że Penelopa, która musiała znieść ból narodzin ich syna, była z nich dwojga dzielniejsza. To ona musiała czerpać z wewnętrznych zasobów odwagi i mądrości, by przez dwadzieścia lat zwodzić zalotników i samotnie wychowywać dziecko. I to jej przyszło czekać. Homer nie wysławia Penelopy w wystarczającym stopniu za to, że zajmowała się domem i dochowała wierności mężowi. Była prawdziwą bohaterką, rozmyślała teraz Anna, taką jak każda kobieta, która ryzykuje życie, by urodzić dziecko.

Często zabierała małego do kuchni - łona domu, jak ją nazywała - i spędzała tam dzień z Lutisza, Martą oraz jej córkami, Katarzyną i Marceliną. Olbrzymie pomieszczenie miało szerokie okna, dostarczające światła i ciepła ziołom w doniczkach, rozstawionych na parapetach. Anna uwielbiała kuszące aromaty piekącego się chleba i puddingów, perkoczących na wolnym ogniu zup, piekącego się na rożnie mięsa, z którego tłuszcz skapywał wprost do ognia, sprawiając, że trzeszczał i rzucał iskrami. Tu zawsze wrzało życie, panowała ciepła i zdrowa atmosfera, która przywracała jej chęć do życia.

Czasami, kiedy kobiety bawiły się z Janem Michałem, uczestniczyła w prostych pracach i przygotowywaniu posiłków. W domu pomagała Luizie przyrządzać niektóre dania, lecz dopiero tutaj, pod fachowym przewodnictwem Lutiszy i Marty, jej kulinarne umiejętności mogły w pełni się rozwinąć. Choć bardzo lubiła spędzać czas ze służbą, starała się, by ciotka ani Zofia nie zorientowały się, jak bardzo jest z nią zaprzyjaźniona.

Pewnego dnia Anna zagniała ciasto na ciemny chleb, a Katarzyna trzymała na ręku Jana Michała, podśpiewując mu cichutko. Młodszy brat Katarzyny, Tomasz, podszedł i zaczął przekomarzać się z dzieckiem. Patrząc na nich, Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wyglądali razem jak grupka dzieci odgrywających scenę w szopce, z Janem Michałem w roli Dzieciątka.

- Czy mógłbym też go potrzymać? - zapytał Tomasz, który nie był ani trochę nieśmiały.

- Teraz ja go trzymam - powiedziała Katarzyna.

- Ale nie będziesz tego robiła przez cały dzień, prawda? Daj mi na niego popatrzeć... Jakiego koloru ma oczy, pani Grawlińska?

- Niebieskie - odparła Anna. Nie widziała powodu, aby odmawiać chłopcu.

- Za chwilę będziesz mógł go potrzymać... Pamiętaj jednak, aby od teraz zwracać się do mnie: pani Berezowska.

- Tak, pani... Berezowska.

- Odejdź, Tomaszu - poprosiła Katarzyna. - Widzisz, mały krzywi się na twój widok.

- Nieprawda! Poza tym myślę, że jego oczy są brązowe.

- Są niebieskie. Nie słyszałeś, co powiedziała hrabina?

Anna spojrzała na chłopca. Wyglądało na to, że mały waha się, czy powiedzieć coś jeszcze, a kiedy podchwycił jej spojrzenie, zacisnął wargi. Wiedział, że nie powinien sprzeciwiać się dorosłym. Hrabina pomyślała, że całkiem słusznie ochrzczono go imieniem apostoła, który był niedowiarkiem.

Marta podeszła do syna, jakby zamierzała przegonić go z kuchni, lecz zatrzymała się na chwilę zaskoczona, spojrzawszy na dziecko.

- Cóż, proszę pani, Tomasz może mieć rację. Oczy małego chyba rzeczywiście stały się bardziej brązowe... naprawdę! Czasami tak się dzieje, że dziecko rodzi się z niebieskimi oczami, które potem zmieniają kolor.

Brązowe. Anna poczuła, że coś ściska ją za serce. Słowo to było niczym nóż i wbiło się boleśnie w jej pierś, zanim zdążyła podejść do dziecka. Brązowe oczy. Zakręciło jej się w głowie. Ma oczy po ojcu! Wiedziała o tym. Widziała, jak się zmieniają, lecz udawała, że tego nie dostrzega, modląc się,

aby nie była to prawda. Lecz teraz, kiedy ktoś inny potwierdził jej spostrzeżenie, nie mogła już dłużej się oszukiwać.

Zdjęta paniką, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do dziecka, odsunęła się od stołu tak gwałtownie, że misa z ciastem spadła na podłogę i się rozbiła.

Anna spojrzała na Babette, która weszła do jej pokoju. Wyglądało na to, że służąca co dzień ma na sobie nowe ubranie bądź biżuterię, co nasuwało podejrzenie, że pokojówka właśnie na to wydaje otrzymane od hrabiny pieniądze. Jeśli odczuwała smutek po śmierci dzieci, nie było tego po niej widać. Anna zamierzała dać jej kolejną sumkę, wystarczającą, by mogła spokojnie żyć na starość, lecz rozmyśliła się. Babette była kobietą wolną, służyła nie tylko u Zofii, lecz pomagała też od czasu do czasu innym damom, a że doskonale radziła sobie z makijażem i czesaniem, z pewnością byłaby w stanie zgromadzić fundusze, które zapewniłyby jej bezpieczną starość. Nic jednak nie wskazywało na to, że tak właśnie postępowała.

Babette trzymała w dłoniach paczkę starannie zapakowaną w biały papier i obwiązaną czerwoną wstążką.

- Prezent dla pani - powiedziała - od pana hrabiego Stelnickiego.

Serce Anny natychmiast zaczęło szybciej bić.

- Od Jana? - zawołała, odruchowo posługując się imieniem ukochanego. - Czy pan Stelnicki tu jest? Na dole?

- Nie, proszę pani. Paczkę przyniósł posłaniec.

- Ach tak. - Uśmiechnęła się, by ukryć rozczarowanie.

Zaczekała z otwarciem przesyłki, aż zostanie sama. W środku znalazła przepiękną jedwabną sukienkę do chrztu i pasującą do niej czapeczkę. Od paru już dni zwodziła ciotkę, odkładając uroczystość do czasu, aż Jan odpowie na list, w którym prosiła go, by został ojcem chrzestnym jej syna.

Odpowiedź nadeszła wraz z sukienką. Otworzyła ją i przez chwilę przyglądała się szerokim, starannym pociągnięciom pióra. Wspomniała list, który Zofia musiała przechwycić tak dawno temu, list, który sprawiłby, że z pewnością czekałaby na Jana, miast wyjść za Antoniego. Wspomnienie to nadal ją nawiedzało.

Wiadomość była krótka. Sukienka stanowiła rodzinny strój do chrztu Stelnickich i Jan wyrażał nadzieję, że Anna ubierze w nią małego Jana Michała. Wzruszyło ją to. Podniosła sukieneczkę i przez chwilę podziwiała umiejętności niezbędne, aby powstało - ileż to lat temu? - coś tak pięknego. Oczywiście biały jedwab zdążył już nieco zżółknąć, ale to tylko podnosiło wartość ubranka. Przytuliła je na chwilę do policzka.

Lecz kiedy spojrzała znowu na list, jej serce ścisnęło się z żalu i rozczarowania. Jan nadal był potrzebny w Krakowie. Zatrzymało go coś związanego ze Sprawą. Byłby zaszczycony, mogąc zostać ojcem chrzestnym małego, pisał, lecz nie jest przecież katolikiem. Anna musiała o tym zapomnieć.

Zamyśliła się. Nie, nie zapomniała, po prostu nie dostrzegła związku. Jedyne, co się liczyło, wtedy i teraz, to fakt, że gdyby jej się coś stało, synem zaopiekowałby się Jan. Westchnęła. Oczywiście miał rację. Kościół nie pozwoli mu trzymać dziecka do chrztu, a nawet uczestniczyć w uroczystości! Poczula się głęboko rozczarowana. Z ulicy dobiegał turkot kół, w pokoju obok jej syn gaworzył i śmiał się, w kuchni tryskające radością służące przygotowywały kolację. Ta chwila była niezwykła tylko dla niej. Wszędzie dookoła życie toczyło się swoim trybem.

Przycisnęła do ust miękki materiał ubranka.

Anna wybrała drugie imię dla syna, aby uhonorować barona Michała Kolbiego, i to on został w końcu ojcem chrzestnym małego. Przyjaciółka Anny, Helena Lubicka, została matką chrzestną. Była córką księcia Lubickiego, który zarządzał rodzinnym majątkiem Berezowskich.

Zanim udali się do katedry, Zofia wymówiła się od pójścia, przekonując Annę ze śmiechem:

- Katedra zawali się, jeśli tam wejść - powiedziała. - Po prostu to wiem. I kto zapłaci za te piękne witraże?

Anna podejrzewała jednak, że kuzynka dąsa się o to, iż nie poproszono jej, aby została matką chrzestną. Choć Zofia zdawała się szczerze przywiązana do dziecka, Anna od początku nie brała jej pod uwagę. I nie żałowała tej decyzji.

Jan Michał Grawliński został ochrzczony i ogłoszony wyzwolonym spod władzy szatana. Nawet nie zakwilił, gdy woda spłynęła mu po główce i twarzy.

Pomimo iż był koniec maja, w katedrze panował dokuczliwy chłód. Jednak migoczące światło, wpadające przez witraże i ozłacające postaci świętych, oraz wielki krzyż nad ołtarzem miało w sobie dziwne ciepło. Ciepło, które sprawiało, że Anna przestała odczuwać chłód. Tak oto dała o sobie znać, pomyślała później, obecność Boga.

Podczas chrztu poczuła, że coś budzi się w jej duszy. Przypomniała sobie, jak ojciec wziął ją pewnego razu na stronę i powiedział, że przodek, który zbudował ich dom - mężczyzna uszlachcony przez Jana Sobieskiego - miał w sobie krew żydowską. Było to coś, o czym jej matka, uosobienie oddanej Kościołowi katoliczki, nigdy nie wspominała. Świadomość mieszanego

pochodzenia niepokoiła Annę, zatruwając jej serce wątpliwościami odnośnie wiary. Jak mogła nosić w sobie historię i dogmaty dwóch religii? Czasami wołałaby, by ojciec nigdy jej o tym nie powiedział.

Jednak szczególny spokój, jaki spłynął na nią wraz z macierzyństwem, zdawał się koić także i te niepokoje. Wiara w istnienie Boga płynęła z elizejskiego źródła w jej duszy z taką siłą, iż zdawało się jej, że mogłaby stawić czoło armii szatana w pojedynkę i bez strachu. Jan miał rację. Czuła to podczas wesela Szraberów, i teraz także. Boga można znaleźć w każdym kościele. Członkowie innych religii wierzyli w to tak samo, jak żydzi i katolicy. A kimkolwiek jest Bóg, istnieje, ponieważ w niego wierzymy.

Wróciła myślami do chwil spędzonych na tętniącym życiem polu w Haliczu, gdzie Jan powiedział, że jego Bóg jest tam: na łące, w polu i na niebie. Teraz rozumiała.

RS

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.

Anna doszła do wniosku, że pora zastanowić się nad przyszłością. Zachowanie Zofii nie zmieniło się ani na jotę. Często pozostawała poza domem przez cały wieczór, od czasu do czasu urządziła też szalone przyjęcia. Ciotka Stella, ograniczona rolą hrabiny wdowy, nie miała nad córką władzy, a jej obiekcje bywały kwitowane jedynie obrażonym milczeniem. Przeniosła się więc na piętro, do dawnego pokoju Antoniego, jak najdalej od córki i jej wybryków.

Choć Anna starała się nie oceniać postępowania kuzynki, zdawała sobie sprawę, że będzie musiała wkrótce opuścić jej dom. Ojciec powiedział kiedyś, że zwierzę, które urodziło się w lesie i nie zostało na czas poskromione, może zabić. I kto mógłby je za to winić?

Tak samo było z Zofią. Gdyby ktoś w porę ją poskromił, nie byłaby dziś taka, jaka jest - ani ona, ani jej przyjaciele. Rozbójnik nie napadałby i nie kradł, a zabójca zabijał. Lecz z jakiegoś powodu rodzice nie mogli dać sobie z nią rady.

Kiedy wiosenne deszcze i następujące po nich powodzie wreszcie ustąpią, a letnie słońce osuszy drogi, Anna zabierze Jana Michała do domu w Sochaczewie, by dorastał z dala od miejskiego życia.

Zastanawiała się też, czy ciotka Stella nie zechce towarzyszyć jej do Sochaczewa.

Tymczasem nadeszło zaproszenie od księcia Józefa Lubickiego, przyjaciela rodziny, zawiadującego finansami Berezowskich. Zbliżały się osiemdziesiąte urodziny matki księcia i z tej okazji miała odbyć się msza, a po niej przyjęcie.

W dniu uroczystości Anna wcisnęła się w dopasowaną żałobną suknię z czarnej tafty i koronki, myśląc o tym, że suknia sama w sobie mogłaby służyć za trumnę każdej żywej istocie. Clarice zebrała jej włosy i upięła wysoko za pomocą bursztynowych spinek, lecz Anna zakryła głowę czarnym welonem i dzieło pokojówki pozostało nieujawnione.

Do drzwi zapukała Lutisza z wiadomością, że przybyła pani Helena Lubicka.

- Wprowadź ją, Lutiszo - rzekła Anna. - Jan Michał gotowy?

- Tak.

Helena z radością zgodziła się zająć po przyjaciółkę z dzieciństwa. Anna nie chciała prosić Zofii o powóz, gdyż zaproszenie objęłoby wówczas także kuzynkę, a tego Anna pragnęła za wszelką cenę uniknąć.

Prawdopodobnie Zofia odmówiłaby pójścia na mszę, jednak czasami zachowywała się w sposób absolutnie nieprzewidywalny i tym razem mogłaby przyjąć zaproszenie.

Helena weszła energicznie do pokoju.

Podczas chrztu syna Annę zaskoczyła zmiana w wyglądzie przyjaciółki. Nie widziała jej od Bożego Narodzenia przed dwoma laty i różnica okazała się uderzająca. Choć Helena była zbyt grubokoścista, by można było uznać ją za klasycznie piękną, to błyszczące czarne loki wokół porcelanowobiałej twarzy o różanych policzkach oraz rzeźbione rysy sprawiały, że wydawała się bardzo atrakcyjna. Za Heleną postępowała służka, podtrzymując tren z koronki o barwie kości słoniowej.

- Wyglądasz ślicznie, Anno, nawet w czerni. Nieoczekiwany komplement sprawił, że Anna zeszytniała lekko.

- Dziękuję, ale Heleno, jakaż ty jesteś piękna!

Na dole inna pokojówka Lubickich trzymała już na rękach Jana Michała, odzianego w błękitne ubranko. Postawna niewiasta ruszyła ku drugiemu powozowi, który miał zabrać ją i dziecko prosto do rezydencji Lubickich, nie do katedry, gdzie udawały się obie panie.

Anna i Helena zasiadły w dwuosobowym powoziku i skierowały się do kościoła.

- Twoje dziecko jest piękne, Anno - powiedziała Helena. - I takie żwawe.

- Dziękuję.

- Musiało być ci ostatnio ciężko. Tyle rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie.

Helena zaczęła wypytywać o nieoczekiwane małżeństwo przyjaciółki i przedwczesną śmierć jej męża.

Anna odpowiadała monosylabami, a wreszcie udało jej się skierować rozmowę na temat dwóch adoratorów Heleny, których trzymała w niepewności.

Nagle powóz zatrzymał się pośród tłumu i zgiełku.

- Pomocy! - dobiegł ich zduszony głos. - Pomóżcie mi! Przyjaciółki otworzyły okno i wyjrzały na ulicę. Mały mostek przed nimi pełen był podekscytowanych ludzi.

- Co się stało? - zawołała Helena do woźnicy.

- Ktoś wpadł do ścieku i właśnie próbują go wyłowić.

Wypełniony wodą z ostatnich powodzi oraz nieczystościami rów niemal występował z brzegów, a nieszczęsny pechowiec wpadł do niego w

najgłębszym miejscu. Czarna od brudu twarz mężczyzny była już ledwie widoczna ponad płynącą szybko ohydłą cieczą, i tylko pełen przerażenia głos wskazywał miejsce, gdzie nieszczęśnik się znajduje.

Tonącemu rzucono linę, przytrzymywaną teraz przez kilku mężczyzn. Powoli przyciągnęli go do siebie, a potem pochwycili, unieśli i wywlekli na most.

Stał na trzęsących się nogach, z głową pokrytą czarnymi kędziorami, wyglądającym jak owcza wełna, i próbował otrzeć pięściami oczy z brudu.

Napięcie w tłumie zelżało. Jakaś kobieta krzyknęła piskliwie:

- Głupiec tańczył na moście! Aż wtańcował się prosto do ścieku!

Tłum ryknął śmiechem.

- Teraz, żeby się oczyścić - zawołał ktoś - powinien chyba wtańcować się do Wisły!

Mężczyzna uśmiechnął się. Białe zęby zabłysły na tle pociemniałej od brudu twarzy.

Rozochocony tłum zaczął rozchodzić się z wolna, jakby ludzie nie mieli ochoty powracać do codziennej harówki. Kiedy na moście nie było już nikogo, Anna pomyślała, że miło było doświadczyć przejawów pogodnego usposobienia Polaków. Czy te proste duszyczki mogłyby zaangażować się w coś tak krwawego, jak rewolucja we Francji? Nie. Ten drobny epizod przekonał ją, że ludzie zamieszkujący Pragę są tacy sami jak ci w Sochaczewie czy w Haliczu. Nastawienie chłopów, nawet w trudnych czasach, było niezwykle pokojowe.

Już miały zamknąć okno, kiedy tuż obok przemknął powóz, którego woźnica za wszelką cenę próbował wjechać na most jako pierwszy. W środku, pośród barwnie zapakowanych paczuszek, siedziała odziana w pomarańczową suknię Zofia. Była z gołą głową, a miejsce obok zajmował przystojny młody dżentelmen, ani chybi najnowszy adorator i darczyńca.

Jego towarzyszka trzymała głowę wysoko i patrzyła prosto przed siebie, mówiąc z ożywieniem.

- Ciekawe, kim jest ta wulgarna kobieta - szepnęła Helena. Anna czym prędzej odsunęła się od okna.

- Co za różnica? - spytała. - Mam nadzieję, że przez to zamieszanie nie spóźnimy się na mszę.

Usiadła prosto, dotykając plecami poduszek oparcia, które łagodziły wstrząsy, gdy powóz z turkotem wtoczył się na drewniany most.

Przybyły na mszę jako ostatnie. Dzwony, wzywające na Anioł Pański, wybijały ostatnią nutę, gdy przyjaciółki wspinały się na stopnie katedry pod wezwaniem Świętego Jana. Helena poprowadziła Annę do przedniej części nawy, gdzie siedziała jej rodzina.

W katedrze było gorąco i duszno, a msza ciągnęła się w nieskończoność. To, co zaszło przy moście, tym dobitniej uzmysłowiło Annie, że musi opuścić Warszawę. Wygląd i zachowanie kuzynki sprawiły, że Anna wstydziła się za nią. Jeszcze większym wstydem napawał ją fakt, że nie przyznała się Helenie, iż zna Zofię. Ale co niby miała powiedzieć? Heleno, ta wulgarna kobieta to moja kuzynka?

Zostawi Zofię jej losowi. Pewnego dnia, była tego pewna, jej uroda przeminie, a wtedy mężczyźni i ich pieniądze ulecą niczym jesienne liście. Będzie potrzebowała wówczas pomocy Anny. Tylko czy ona potrafi okazać się na tyle wielkoduszna, by tej pomocy udzielić? Miała taką nadzieję.

Monotonny głos księdza przetaczał się nad nią niczym fala uderzająca o odległy brzeg, dopóki nie usłyszała swego panieńskiego nazwiska, a zaraz potem nazwiska męża. Wyglądało na to, że Lubiccy poprosili księdza, aby pomodlił się także za Antoniego.

Ukłęka wyprostowana jak świeca, doskonale świadoma, że wszyscy na nią patrzą. Wolałaby być w każdym innym miejscu, byle nie tutaj.

Gdy wyszły z katedry, z rozkoszą wciągnęła do płuc chłodniejsze powietrze. Dzień był słoneczny i wiał rześki wiosenny wiatr. Helena poprowadziła Annę do swoich rodziców, stojących na stopniach kościoła. Stara dama, matka księcia, nie była obecna, gdyż rzadko opuszczała domowe zacisze.

Matka Heleny, księżna Ada Lubicka, w wieku lat pięćdziesięciu nadal cieszyła się urodą, a wysoka brązowa peruka jeszcze ją odmładzała. Kiedy się uśmiechnęła, wiek przestał mieć znaczenie. Zawsze bardzo uczuciowa, teraz omal się nie rozplakała:

- Och, Anno Mario - szepnęła, obejmując podopieczną. -Drogie, drogie dziecko.

Książę Lubicki wydawał się o wiele starszy od żony. Być może sprawiały to białe jak mleko włosy i pobrużdżona twarz. Ojciec Anny zwykł napominać go, że za bardzo przejmuje się interesami. Anna pomyślała, iż książę rzeczywiście postarzał się pod brzemieniem trosk. Złożył jej kondolencje, a ona podziękowała, próbując się uśmiechnąć. Nie znosiła tego, że musi udawać, iż opłakuje Antoniego. Podobnie jak wyparcie się pokrewieństwa z Zofią była

to kolejna maska, którą zmuszona była nosić, jeszcze bardziej niewygodna niż obcisła czarna suknia.

- Gdy nasze rodziny ostatni raz spędzały razem Boże Narodzenie - mówiła tymczasem księżna - któż mógł przewidzieć, że sprawy tak się potoczą?

Współczucie księżnej zirytowało Annę. Choć uwielbiała Lubickich, udawanie żałoby i okropne uczucie dwulicowości sprawiło, iż zapytała, czy nie mogłaby wymówić się od uczestnictwa w przyjęciu i wrócić z małym Janem do domu. Jednak Lubiccy nie chcieli o tym słyszeć.

Zaczęli więc schodzić po stopniach katedry. Anna przyglądała się potokowi ubranych na czerwono, zielono, żółto i niebiesko ludzi, zdążających do swych powozów, przy których czuwali woźnice. Nie widziała tak dużego zgromadzenia od czasu kolacji na Zamku.

Nowa rezydencja Lubickich wydała się Annie pałacem. U bramy jej spojrzenie przyciągnął geometryczny deseń na wykładanej ceglą ścieżce. Na gęstej murawie trawnika baraszkowały rude wiewiórki, ganiając się od drzewa do drzewa. Po obu stronach domu znajdowały się cieniste ogrody z wielobarwnymi dywanami bujnych, wiosennych kwiatów, pełne gawędzących wesoło gości.

Helena zaprowadziła Annę na piętro, gdzie wyjęła z szafy wspaniałą suknię z gazy w kolorze królewskiego błękitu.

- Jaka piękna! - zawołała Anna.

- Cieszę się, że ci się podoba. Załóż ją.

- Co takiego?

- Załóż. Już od samego patrzenia na tę czarną krepę robi mi się gorąco i niewygodnie.

Anna uśmiechnęła się. Skąd Helena wiedziała? Odrzucenie czerni może być odpowiedzią na parę pytań dotyczących jej straty. Poza tym błękitna suknia była naprawdę piękna. Zgodziła się więc ją założyć.

Kiedy stanęła potem przed lustrem, przyjaciółka spojrzała na jej odbicie i zawołała, promieniejąc z zadowolenia:

- Wyglądasz cudownie, Anno!

- Merci - odparła Anna, obracając się i zginając kolana w parodii ukłonu.

Panna Lubicka roześmiała się, lecz szybko spoważniała.

- Anno, twoi rodzice nie żyją od ponad roku i choć pewnie zaprzeczysz temu, co powiem, lub nawet przestaniesz mnie lubić, to wydaje mi się, że strata męża szczególnie cię dotknęła. Oczywiście nie powinnam w ogóle o tym wspominać...

- Rzeczywiście, Heleno - odparła Anna. - Cóż, powiedziałaś, co myślisz, a ja obiecuję, że będę się dziś dobrze bawiła!

Przyjaciółki zeszły krętymi schodami, a potem ruszyły przez wielki salon, zamiatając spódnicami hebanową podłogę, gładką jak szkło. Uwagę Anny przyciągnął relief na lazurowym suficie, przedstawiający cherubiny.

Odwiedziła syna w kwaterach dla służby i nakarmiła go, nim podano do stołu.

Obiad mógłby śmiało rywalizować z królewskim przyjęciem. Anna zajęła honorowe miejsce przy stole Lubickich, ustawionym przed rzędami wytwornie nakrytych stolików, przy których miały zasiąść co najmniej dwie setki gości. Przez otwarte wysokie, eleganckie francuskie okna do pokoju wlewały się potoki światła oraz zapach kwiatów i ziemi z ogrodu.

Stara księżna Lubicka uśmiechała się radośnie bezzębnymi ustami, ciesząc się jak dziecko z niekończącej się parady talerzy i półmisek.

Później staruszka przywołała do siebie Annę i powiedziała konfidencyjnym tonem:

- Wszyscy myślą, że to już moje ostatnie urodziny, lecz ja ich zaskoczę i dożyję osiemdziesiątych piątych!

Anna roześmiała się.

- Nie wątpię, że będzie pani świętować i dziewięćdziesiąte. Proszę mi powiedzieć, na czym polega sekret pani długiego życia?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Poblążaj sobie.

- Poblążyć sobie?

- Tak, Anno. Idź za głosem serca. Poblążaj swoim zachciankom. To zwykle słuszna droga. A nawet jeśli nie, nie przejmuj się zbyt opinia świata.

- To dobra filozofia - powiedziała Anna, patrząc, jak staruszka osusza kieliszeczek wódki. Lecz Zofia doprowadziła ją do skrajności, pomyślała.

Po posiłku, gdy większość gości udała się do innych pokojów lub do ogrodu, książę Lubicki pokazał Annie drewniane puzderko z herbem Berezowskich na wieczku: półksiężycem wschodzącym ponad łabędziem. Patrzyła zdumiona. Widziała puzderko po raz pierwszy w życiu.

- Należało do twego ojca - wyjaśnił książę - a teraz należy do ciebie.

Otworzyła szkatułkę i zobaczyła plik dokumentów, opatrzonych podpisem jej ojca.

- Oto kompletny spis lokat twego ojca.

- Wydaje się, że jest ich tak dużo...

- I są sporo warte... jesteś bogatą młodą kobietą, Anno Mario.

- Cieszy mnie to. Ale dlaczego daje mi je pan akurat teraz?

- Do podpisu. Wiem, że ty i twój zmarły mąż mieliście pewne plany odnośnie zysków, jakie mogłoby przynieść zainwestowanie tych pieniędzy. Wnoszę, że nadal chciałabyś pozbyć się...

- Nie - zaprzeczyła Anna. - Nie ma żadnych planów. Już nie. Chciałabym, by nadal zajmował się pan moimi finansami. Może pan sobie potrącić taki procent, jakiego pan sobie zażyczy...

- Nie biorę za to pieniędzy. Przyjaźń twego ojca stanowiła wystarczającą zapłatę.

Książę uśmiechnął się.

- A zatem, jeśli takie jest twoje życzenie, będę robił to dalej.

- Dziękuję.

- Ty i twój syn będziecie mogli żyć wygodnie z samych odsetek.

Nadeszła Helena i zabrała Annę do ogrodu.

Na zewnątrz grupki rozmawiających z ożywieniem gości gromadziły się na parkiecie z kwadratowych kamiennych płyt, polakierowanych na czerwono. Rosnące po obu stronach wdzięczne brzozy tworzyły nad nimi żywe sklepienie z liści. Goście zaczęli ustawiać się do niemieckiego kotyliona. Chłodny wiaterek poruszał od czasu do czasu listowiem, sprawiając, że biżuteria i bogato zdobione stroje tancerzy połyskiwały w promieniach słońca.

Gdyby tylko przyjęcia Zofii wyglądały tak, jak ta uroczystość, pomyślała Anna.

Kotyliona prowadziła dama o uderzającej powierzchowności, odziana w biały jedwab i koronki, a partnerował jej cudzoziemsko wyglądający mężczyzna, poruszający się z wdziękiem, acz nieco wyniośle. Kobieta ubrana była bardzo stylowo, począwszy od malutkich, wyszywanych klejnotami pantofelków po koronę wieńczącą wysoką, białą perukę. Anna zauważyła, że tancerka musiała dawno przekroczyć trzydziestkę, mimo to nadal przyciągała spojrzenia mężczyzn. Jej uśmiech, choć pogodny niczym u Madonny, świadczył, że zdaje sobie sprawę z zainteresowania, jakie wzbudza.

Gdy taniec się skończył, kobieta pośpieszyła ku dziewczętom, a partner podążył jej śladem. Helena przedstawiła ją jako markizę Wielopolską. Jej partnerem był Guy Mornay, francuski hrabia.

- Cieszę się, że panią poznałam - powiedziała Anna. - Jest pani dobrze znana w warszawskim towarzystwie.

Uśmiech Madonny stał się nieco szerszy.

- A ja słyszałam wiele o pani, pani Grawlińska.

Z drobnych kocich rysów trudno było odczytać, co markiza naprawdę myśli. Anna była jednak pewna, że w jej tonie kryje się pewna dwuznaczność.

Helena przedstawiła przyjaciółkę, używając nazwiska jej męża. Anna nie zamierzała tego prostować. W końcu nadal je nosiła, i jej syn także.

Hrabia zbliżył się do niej.

- Czy pani Grawlińska zechciałaby zatańczyć? - spytał. Spojrzała na ściągniętą w lekkim grymasie twarz hrabiego.

Tak ubrana nie mogła wymówić się żałobą.

- Ja... nie wiem, jak się tańczy te niemieckie tańce. Hrabia odwrócił się do markizy.

- Dobra hrabina mówi, że nie potrafi tańczyć tych „niemieckich tańców"! - powiedział jakby przez nos. Anna zauważyła, że jego głos brzmi afektownie.

Ktoś w pobliżu prychnął rozbawiony. Zacerwieniła się z zażenowania.

- Nonsens, moja droga - powiedziała markiza protekcyjnie. - To jeden z najłatwiejszych tańców. Aby się nauczyć, trzeba spróbować.

Ujęła dłoń Anny i podała Francuzowi, ten zaś poprowadził ją na parkiet, nim zdążyła zaprotestować.

Z początku czuła się niepewnie. Wydawało się jej, że wszyscy tylko czekają, aż pomyli kroki. Żałowała nawet, że zdjęła żałobny strój i że została na przyjęciu. Wkrótce jednak złapała rytm i od tej chwili sunęła już po parkiecie gładko, jakby tańczyła z hrabią setki razy.

- Wspaniale sobie pani radzi - powiedział. - Już prawie pora na zmianę partnerów.

- Co takiego? - Lecz nim zdążyła na dobre się przestraszyć, tańczyła już z następnym partnerem. A potem z kolejnym. Ku swemu zdziwieniu nie zmyliła kroku i nagle taniec zaczął sprawiać jej przyjemność.

Przepełnęła obok miejsca, gdzie stały Helena z markizą. Helena pomachała jej. Uśmiech markizy wydawał się niezmienny, lecz w oczach widać było zaskoczenie.

Nim taniec się skończył, znalazła się znów w ramionach hrabiego. Objął ją w tali i sprowadził z parkietu.

- Jest pani bardzo piękna. Czy mogę zwracać się do pani: Anno?

- Proszę mnie puścić - szepnęła. Hrabia nie cofnął ramienia.

- Zofia nie jest tak śliczna jak pani. Dlaczego tak długo trzymała się pani z dala od towarzystwa?

- Zna pan moją kuzynkę? - spytała Anna, odwracając się do hrabiego.

- Oczywiście - odparł, uśmiechając się dwuznacznie. Odepchnęła go i podeszła szybko do Heleny.

- Muszę zaraz wyjść - oznajmiła. - Dziękuję ci za uprzejmość. Pozdrów ode mnie rodziców i babkę.

- Co się stało, Anno?

- Nic takiego. Przepraszam, nie czuję się dobrze.

- To fatalnie - zmartwiła się Helena. - Nie chciałybyś osobiście pożegnać się z moim ojcem? Może mieć jeszcze jakieś pytania...

- Tak, powinnam mu podziękować. Gdzie on jest?

- Pan Lubicki - powiedziała markiza Wielopolska - już jakiś czas temu schronił się w bibliotece z moim mężem i kilkoma innymi panami.

Anna poczuła, że nie znosi tej aroganckiej kobiety. Spostrzegła hrabiego. Właśnie się do nich zbliżał, niosąc dwa kieliszki z winem. Zignorowała go i ruszyła ku domowi.

Gdy już znalazła się w środku, usłyszała za sobą szybkie, lekkie kroki.

- Anno - powiedziała nadchodząca Helena - chora czy nie, zachowałeś się bardzo nieuprzejmie, opuszczając tak nagle markizę i hrabiego.

- Przepraszam - odparła, nie zwalniając - lecz nie dbam zbytnio o markizę ani o francuskiego hrabiego bez manier.

- Co się stało? Powiedział coś, a może zrobił?

- Nieważne. - Anna westchnęła i zatrzymała się przed wielkimi podwójnymi drzwiami. - Wybacz, Heleno. Może jestem dziś przewrażliwiona, lecz muszę wracać do domu. Czy to biblioteka?

- Tak.

Zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła, a za nią Helena.

Dziesięciu czy dwunastu znajdujących się w bibliotece mężczyzn umilkło nagle w samym środku gorącej dyskusji. Anna zdążyła jeszcze usłyszeć, jak powtarzają z pogardą kilka nazwisk. Zaciekawiona, w sekundę zapomniała o hrabim i markizie.

Kobiety zbliżyły się powoli, niepewnie, i mężczyźni ucichli. Spoglądali na nie z jawnym zniecierpliwieniem i Anna poczuła się jak intruz.

Książę Lubicki, zasiadający za wielkim biurkiem, spostrzegł je dopiero teraz.

- O co chodzi, Heleno? - zapytał niecierpliwie.

- Przepraszam, ojczy. Nie wiedziałyśmy...

- To moja wina, wasza wysokość - wtrąciła Anna. - Chciałam po prostu się pożegnać.

Książę uśmiechnął się.

- W takim razie nie przeszkodziłaś nam.

Anna pragnęła już tylko wydostać się z pokoju, lecz książę uparł się, by przedstawić obecnym zarówno ją, jak i córkę.

Ostatni z mężczyzn, którym ją przedstawiono, był kruchym starcem, siedzącym w pobliżu biurka. Anna z trudem ukryła zdziwienie, gdy okazało się, że jest to markiz Wielopolski, mąż kobiety o uśmiechu Madonny, starszy od niej o parę dziesiątków lat. Jeśli Anna w jakikolwiek sposób zdradziła się ze swym zdumieniem, markiz nie okazał, że to dostrzega. Zachował powagę i widać było, że myśli o czymś innym.

Zwróciła się do księcia:

- Adieu - powiedziała, odwracając się, by wyjść. Nagle, pod wpływem impulsu, zawróciła. - Proszę mi wybaczyć, panie Lubicki, lecz kiedy weszliśmy, usłyszałam, że wymieniają panowie nazwiska kilku magnatów. Czy coś się stało?

Stary markiz nagle się ożywił.

- Nazwiska, które pani słyszała, to: Feliks Potocki, Seweryn Rzewuski i Ksawery Branicki. Jeszcze pani o nich usłyszysz.

- Rozumiem - skinęła głową. Starzec przemawia z powagą starożytnego greckiego wieszca Tiresiasa, pomyślała, i nagle przeszył ją dreszcz.

- Należą do szlachty - mówił dalej markiz - lecz brakuje im nawet szczypty zwykłego chłopskiego rozsądku.

Anna zapamiętała sobie wymienione nazwiska. Coś ważnego dzieje się w Rzeczypospolitej, pomyślała, a ci ludzie są w to wplątani. Bez wątpienia jej przyjaciele z kręgu patriotów będą wiedzieli, o co chodzi.

- Jak myślisz, co mogło się stać? - spytała Heleny, gdy wyszły z biblioteki.

- Nie mam pojęcia - odparła przyjaciółka - ale na pewno nic dobrego. Zamierzam szybko się tego dowiedzieć. Nie zostaniesz, aż skończy się narada?

Anna odmówiła.

- Przyjaźń jest jak wino - zawołała Helena, gdy powóz, uwożący Annę i Jana Michała, toczył się podjazdem - im starsza, tym lepsza!

Anna pomachała na pożegnanie. W słowach panny Lubickiej dźwięczała ironia. Spojrzała na małego Jana Michała, zasypiającego w jej ramionach. Nie zdradziła Helenie, w jakich okolicznościach został poczęty, ani że zna Zofię. Nie czuła się już w obecności przyjaciółki na tyle swobodnie, by bez namysłu zdradzać jej sekrety. Czas i okoliczności stanęły pomiędzy nimi.

Uświadomiła sobie nagle, że muzyka umilkła, a w głosach dobiegających z ogrodów wyczuwa się podniecenie i jakby przestrasz. Goście zaczęli napływać na podjazd, kierując się ku swym powozom. Rozpoznała wśród nich kilku mężczyzn obecnych na spotkaniu.

Co za tajemnice ujawniono dziś w bibliotece Lubickich?

RS

Rozdział pięćdziesiąty drugi.

Powiedziano jej, że znajdzie Zofię w salonie.

Kuzynka leżała na sofie, przykrytej futrem i ustawionej naprzeciw francuskiego okna tak, by słońce mogło bez przeszkód ogrzewać jej ciało i różowić skórę. Była naga.

- Wejdz, Anno! No, wejdz, nie wstydz się, skoro ja się nie wstydzę.

Anna odwróciła wzrok i spojrzała na stół. Zobaczyła talerz z rostbefem i lustro. Znow przeniosła wzrok na kuzynkę i podeszła z wolna do sofy. Opadła na poduszki, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Ooch! - zawołała śpiewnie Zofia. - Czy to nie cudowne, że mamy wreszcie ciepłe popołudnie? Opowiedz mi o uroczystości, kochanie. Kto tam był? Czy było bardzo nudno?

- Nie, całkiem miło.

Ciało Zofii było doprawdy doskonałe. Ale cóż za kobieta wylegiwałaby się bezwstydnie naga w słońcu, jedząc w południe mięso i gapiąc się na swe odbicie w lustrze?

- Też coś, wyprawiać imieniny kobiecie, która skończyła osiemdziesiąt lat. To jak pożegnalne przyjęcie!

- Zofio!

- Wiesz, jest takie powiedzenie: Młody może umrzeć, stary musi.

Ponieważ Zofia nalegała, Anna opisała jej mszę i przyjęcie, a także dom Lubickich i przybyłych gości. Wspomniała o francuskim hrabim, pilnie śledząc wyraz twarzy Zofii, lecz ta niczym nie zdradziła, że go zna.

- Mnie to wszystko wydaje się dość nużące, Anno. Wielu spośród gości, których wymieniłaś, to nudziarze i sztywniacy, kurczowo trzymający się minionej ery. Lecz cieszę się, że ty dobrze się bawiłaś.

- Było bardzo miło, Zofio, ale skończyło się dziwnie.

- Co masz na myśli?

Anna zrelacjonowała szczegółowo spotkanie w bibliotece i to, co zostało tam powiedziane.

Kuzynka słuchała jej z rosnącym zainteresowaniem.

- Nazwiska, Anno, te trzy nazwiska. Pamiętasz je? Musisz pamiętać!

- Tak, pamiętam.

- Nie znoszę polityki i dlatego obie z matką uważacie mnie za idiotkę. Lecz ja wiem swoje... A teraz zdradź mi te nazwiska.

- Potocki, Branicki i Rzewuski.

- Ach, zatem czas nadszedł - wymamrotała cicho.

- Czas? Na co? Co się dzieje?

- Och, Anno - powiedziała Zofia, wzdychając. - Zachowujesz się tak, jakbyś nie miała pojęcia, o czym mi właśnie powiedziałaś. - Wstała i zaczęła przemierzać pokój, stawiając szybkie, krótkie kroki.

Anna nie była pewna, czy kuzynka jest zadowolona, czy tylko podekscytowana.

- Ja naprawdę nie rozumiem!

- Ha! - Zofia roześmiała się, szacując ją spojrzeniem czarnych oczu. - To takie podobne do ciebie, kuzynko, zdać dokładne sprawozdanie z wydarzeń, których byłaś świadkiem, i nie zorientować się, o co chodzi. Byłabyś bezcenną współpracownicą króla!

Anna wzruszyła ramionami.

- Z tych niewielu faktów trudno byłoby doprawdy... Lecz Zofia nie słuchała.

- Lutisza! - wrzasnęła. - Lutisza!

Służąca zjawiała się niemal natychmiast. Otworzyła podwójne drzwi. Na widok nagiej pani oczy omal nie wyszły jej z orbit.

- List, Lutiszo, ten, który przyszedł dziś rano. Gdzie on jest?

- Zostawiłam w pani pokoju, mademoiselle.

- Przynieś go natychmiast! Służąca wycofała się ku schodom.

Anna pomyślała, że Zofia wydaje się dziwnie rozradowana i podniesiona na duchu.

Dobry nastrój kuzynki nie trwał jednak długo. Przez wejście do głównego holu Anna dostrzegła Marcelinę otwierającą drzwi frontowe, by wpuścić sześć czy siedem kobiet, przybyłych, by pomóc w przygotowaniach do kolacji, którą Zofia wydawała tego wieczoru.

- Boże święty! - wrzasnęła Zofia, ruszając biegiem przez hol. - Czy żadna z was nie ma odrobiny rozumu w tych nocnikach, które nosicie na ramionach zamiast głów?

Kobiety ścisnęły się w gromadkę niczym stado saren, przestraszone głosem i widokiem nagiej hrabiny.

- Nie stójcie tak, wijąc się niczym robactwo! Jeśli nie potraficie wejść do domu drzwiami dla służby, możecie wrócić do swoich pań!

Wyszły pośpiesznie, tłocząc się i przepychając.

- Przynajmniej ty powinnaś wiedzieć - złajęła Zofia Marcelinę. - Nigdy więcej nie wpuszczaj służby frontowymi drzwiami!

Przerażona dziewczyna skinęła głową i uciekła do kuchni, zasłaniając twarz czerwonym fartuchem.

Gdy Zofia wróciła do salonu, spojrzała na Annę, potem na siebie, a potem znowu na Annę. Uśmiechnęła się, gdyż nagle uświadomiła sobie, że zachowała się jak postać z farsy, wybiegając nago i wrzaskiem domagając się, by służące zachowywały się zgodnie z zasadami. Parsknęła głośnym śmiechem.

Anna nie mogła się powstrzymać, by jej nie zawtórować.

Kuzynka chwyciła futro leżące na sofie i okryła się nim, jak się okazało, w samą porę, gdyż do salonu weszła hrabina.

- O co to zamieszanie? - spytała, spoglądając na córkę.

- Nic takiego, mamó. Po prostu głupie służące nie zachowały się jak należy.

- Czy to jakaś nowa moda? - zapytała hrabina, zajmując swe zwykłe miejsce.

Zofia pozostawiła pytanie bez odpowiedzi. Anna spostrzegła, że ukradkiem wzięła coś ze stołu. Nie zauważyła tego wcześniej - był to kawałek niebieskiego aksamitu, spowijający jakiś drobny przedmiot. Odwrócona plecami do matki, podeszła do Anny, wcisnęła jej pakunczek w dłonie, szepcząc coś o przechowaniu w bezpiecznym miejscu.

Po chwili zjawiała się Lutisza z listem, zawstydzona tym, że wnuczka popełniła taką gafę. Już miała przeprosić, gdy Zofia rzuciła się na list i zaczęła pośpiesznie go otwierać. Anna mrugnęła porozumiewawczo do Lutiszy i odesłała ją gestem. Jeśli chodziło o niedociągnięcia ze strony służby, Zofia była prędką w gniewie, lecz nie pamiętliwa.

Przeczytała chciwie list i zniecierpliwienie ustąpiło miejsca zadowoleniu i satysfakcji.

- Cóż! Zrobione!

- Co takiego? - spytała Anna.

- Potocki i pozostali, których wymieniłaś, zawiązali w Targowicy konfederację - z carycą Katarzyną!

- Nie! - krzyknęła hrabina. - To nie może być prawda!

- Ale jest, mamó.

- Jaki jest cel tej konfederacji? - spytała Anna.

Zofia zadarła arogancko brodę.

- Ujarmienie mieszczaństwa, obalenie konstytucji i przywrócenie królestwa takim, jakie było niegdyś. Właśnie tego nie potrafiłaś rozszyfrować, kuzynko. I nad tym tak deliberowali ci słabeusze u Lubickich!

- Lecz my wspieramy konstytucję - powiedziała hrabina - tak jak czynił to twój ojciec.

- Ojciec się mylił, mamó. W tej sprawie rację miał Walter. Konstytucja nie sprzyja interesom szlachty. Dopuszcza, by ludzie z gminu posiadali na własność ziemię!

- Czy to takie okropne?

- Tak, mamó. Gdybyśmy im nie przeszkodzili, gromadziliby bogactwo i w końcu nas zniszczyli. A tak majątek królestwa pozostanie we właściwych rękach. W naszych rękach.

- I wszystko to stanie się z jej pomocą, jak sadzę?

- Katarzyny? Rzeczywiście. Niech żyje imperatorowa Rosji!

- Imperatorowa dziwka! - prychnęła hrabina z pogardą. - Czy to zbyt wiele, dać pospólstwu ziemię, coś, co pozwoliłoby im się utrzymać, jakiś powód do dumy?

- Tak, matko, zbyt wiele. Powiedz, z jaką częścią naszych posiadłości byłabyś gotowa się rozstać?

- Jeśli zaszłaby taka potrzeba, poradzilibyśmy sobie z mniejszą ilością ziemi. Reformy konstytucyjne osłabiłyby napięcia społeczne, prowadzące do takich wybuchów gniewu, jakie miały miejsce we Francji.

- Cóż, w takim razie cieszę się, że to ja dzierżę pieczę nad majątkiem Grońskich. Konstytucja wywołała niepokoje, mamó, nie uśmierzyła je.

Hrabina skrzywiła się z dezaprobatą, gdy córka wspomniała o tym, kto zawiaduje teraz majątkiem rodziny. Mimo to zaczerpnęła głęboko oddechu i powiedziała:

- Niepokoje są rozbudzane przez część szlachty, niezadowoloną z tego, że miałyby oddać cokolwiek niższym klasom. Poza tym, nawet jeśli reforma okazałaby się dla nas niekorzystna, jak zdajesz się sądzić, nie usprawiedliwia to zwracania się o pomoc do Katarzyny. To tak, jakby schwytna w pułapkę mysz prosiła o pomoc wielką, głodną kotkę. Być może kocica jej udzieli... lecz co potem?

- Potem - zawołała Zofia radośnie - nie będzie już konstytucji ani obchodów 3 Maja, które ośmielają motłoch. Tylko święta i świętowanie dla prawdziwych synów i córek królestwa!

- Staniemy się kolacją dla kotki - powiedziała hrabina - a ona wy chłepce nas jak śmietankę.

- Zapytaj Annę - Zofia odwróciła się do kuzynki. - Jakie jest twoje zdanie, Aniu?

- Zgadzam się z twoją matką, Zofio. Źle jest obalać konstytucję siłą, a jeszcze gorzej angażować w to Katarzynę.

- Cicha woda z ciebie, do tego niezbyt mądra, wiesz, Anno? Cóż, widzę, że zostałam przegłosowana we własnym domu.

- Gdyby twój ojciec tu był - powiedziała hrabina - poparlibyśmy konstytucję uchwaloną przez sejm i podpisaną przez króla Stanisława.

- Ach, lecz go tu nie ma, prawda, mamó? A ja udzielę poparcia temu, kto może zapewnić mi korzyść.

Hrabina wyglądała, jakby ktoś ją uderzył. Twarz Zofii zastygła w masce uporu.

- Wybacz mi, mamó, lecz ja nie jestem zwierzęciem politycznym jak ty, z twoimi pamfletami, i ty, Anno, z twoją grupką patriotów. Jestem za to realistką, a realista popiera silniejszego... Cóż, powinnam już chyba odpocząć, nim zacznę przygotowywać się do przyjęcia. Dziękuję, kuzynko, za informacje, choć nie były kompletne. Gdyby nie ty, nie otworzyłabym listu od Pawła i przy kolacji byłabym jedyną osobą, która nie wie o zawiązaniu się konfederacji. Dopiero bym się czuła!

Ucałowała matkę, a potem Annę, po czym ruszyła do drzwi, rzuciwszy nonszalancko:

- Myślałam, że wiadomość od Pawła to nic innego jak kolejne oświadczyni.

Anna i hrabina siedziały przez jakiś czas w milczeniu. W końcu siostrzenica wymówiła się, pocałowała ciotkę w oba policzki i poszła do siebie. W sypialni rozwinęła niebieski aksamit i przez chwilę ze zdumieniem wpatrywała się w złotą szpilkę ze szmaragdową główką.

Jan Michał chichotał radośnie, gdy matka zwijała w pierścionki jego złote włoski. Dopiero co ubrała go w dziergane śpiochy i koszulkę, lamowane niebieską wstążką.

Usłyszała pukanie i do pokoju zajrzała Zofia.

- Mogę wejść?

- Tak, oczywiście.

- Ach, niech no się przyjrzę temu małemu człowieczkowi! - Podeszła do łóżka, na którym oboje leżeli. - Och, czy nie jest kochany w tych malutkich ubrankach? Jak mały książę. A te jego rozkoszne loki!

Anna usiadła na skraju łóżka.

- Dlaczego dałaś mi tę szpilkę, Zofio?

- Och, to drobnostka.

- Zatem nie jest prawdziwa?

- Ależ jest. Po prostu chciałabym, byś przechowała ją dla mnie... Obawiam się, że mogłabym ją zgubić.

- Zgubić?

- Albo przegrać, kto wie? Musisz zadawać tyle pytań? Czy to zbyt wiele, prosić cię, byś ją przechowała?

- Nie, chyba nie.

Zofia połaskotała Jana Michała palcem, a kiedy już miał schwytać palec z wypolerowanym starannie paznokciem, cofnęła dłoń i roześmiała się tak zaraźliwie, że mały natychmiast zaczął chichotać.

- Dlaczego nie wynajmiesz mamki i nie odeślesz ich oboje na wieś? Jesteś teraz kobietą wolną i tu w mieście mogłabyś prowadzić o wiele bardziej swobodne życie. Mam co do ciebie plany.

Propozycja odesłania dziecka podziałała na Annę niczym policzek.

- Zofio, dziecko w niczym mnie nie ogranicza.

- Nie chciałam cię urazić. Chodzi po prostu o to, że wcześniej czy później będziesz musiała pomyśleć o kolejnym małżeństwie.

- W moich stronach tradycja każe, by odczekać rok.

- Tradycja! Zwykle sprowadza się do tego, że parę starych osób mówi ci, co masz robić. Tradycja jest po to, by ją łamać.

- Nie zamierzam szukać męża.

- Anno?

- Tak?

Zofia spojrzała jej w oczy.

- Dlaczego dałaś małemu na imię Jan? Anna zmusiła się, by odwzajemnić spojrzenie.

- Sądzę, że to tradycyjne imię w naszej rodzinie.

- Nie nabierzesz mnie. Nikt w twojej rodzinie ani ze strony matki, ani ojca nie nosi tego imienia.

- Och, mylisz się. Twoja matka twierdzi, że wśród protoplastów rodziny Grońskich jest sam król Jan Sobieski.

- Ach tak, Jan Sobieski. Wielki patriota.

Zofia na powrót zajęła się zabawą z Janem Michałem. Anna czuła, że krew pulsuje jej w skroniach. Wiedziała, że kuzynka nie odstąpi tak łatwo od tematu.

- Anno, kiedy przestaniesz durzyć się w Stelnickim?

- Nie jestem zadurzona.

- Och, doskonale. Zatem wydaje ci się, że go kochasz, czyż nie? - spytała Zofia, nadal wpatrując się w dziecko. - I sądzisz, że Jan kocha ciebie? Mężczyzna taki jak on? Naprawdę myślisz, że będzie czekał aż rok?

Anna nie odezwała się.

- Ciekawi mnie, dlaczego nazwałaś tak dziecko. Czasami o tym myślę. Nie sądzisz chyba, że to Stelnicki jest ojcem? Twierdziłaś przecież, że kto inny zaatakował cię nad stawem.

- Twierdziłam?

- Tak, a my przyjęliśmy tę historyjkę.

- To nie była historyjka, Zofio.

- Cóż, dlaczego miałybyś nazwać dziecko akurat tak, chyba że...

- Chyba że co?

Zofia podniosła wzrok i spojrzała kuzynce w oczy.

- Chyba że poczęłaś je przed nocą przy stawie! Te wszystkie spotkania na łące... z pewnością nie brakowało wam okazji. A mały Jan urodził się przedwcześnie. Przynajmniej tak sądziliśmy.

Anna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- I - mówiła dalej Zofia - dlaczego ubrałaś dziecko do chrztu w rodzinny strój Stelnickich?

- Jan nie jest jego ojcem - powiedziała Anna z naciskiem, starając się opanować gniew.

- Och, rzeczywiście, chyba jednak nie. To było głupie z mojej strony, przyznaję. Byłaś wtedy zbyt niewinna, prawda, Anno? Posłuchaj mnie. Wiem, że cierpiałaś, lecz każda dziewczyna przeżywa choć jeden romans, który źle się kończy. W twoim przypadku chodziło właśnie o Jana... Musisz o nim zapomnieć. Dopilnuję, by twoje następne małżeństwo zakończyło się sukcesem.

- Takim jak małżeństwo z Antonim?

- Touche! Nie, tym razem pójdzie nam lepiej.

- Zofio, zamierzam wyjechać do Sochaczewa.

- Tak? Kiedy?

- W końcu przyszłego tygodnia.

- Rozumiem. - Zofia wstała. - To kończy sprawę, czyż nie? Podeszła do drzwi, lecz zatrzymała się.

- Ale przyjedziesz do nas znowu na zimę, prawda?

- Nie wiem.

- Musisz. - Odwróciła się, by spojrzeć na kuzynkę. - Wiesz, że cię kocham, prawda, Aniu?

Anna zmusiła się do uśmiechu.

- Być może Sochaczew okazałby się też miłym schronieniem dla mojej matki. Jak sądzisz?

Nie odpowiedziała i Zofia wróciła do swego pokoju, by przygotować się do późnowieczornej kolacji.

Hrabina Grońska i Anna zasiadły razem do śniadania.

- Anno Mario, Zofia powiada, że zamierzasz wyjechać do Sochaczewa.

- Tak planowałam, i nawet chciałam ciocię zaprosić do siebie, jednakże...

- Tak?

- Cóż, pomyślałam, że jeśli ty, ciociu, wybierzesz się na lato do Halicza, być może to ja mogłabym przyłączyć się do ciebie.

- Och, z pewnością. Będzie mi bardzo miło cię gościć. - Hrabina uśmiechnęła się. - Powiedz mi, kochanie, czy list, który otrzymałaś dziś rano, wpłynął na twoją decyzję?

Anna poczuła, że robi jej się zimno.

- Skąd wiesz, ciociu?

- Przeczucie. List był od niego, prawda? Od Jana? Skinęła głową.

- Zamierza spędzić lato w rodzinnym majątku pod Haliczem?

- Nie, ciociu. W polityce zbyt wiele się dzieje, a on nierozzerwalnie związał się ze Sprawą. Będzie w Haliczu tylko przez krótki okres, zanim przyłączy się do Kościuszki. Gdybyśmy wyjechały w końcu tygodnia, nasz pobyt i jego zająłby się przez dzień czy dwa...

- Pokonać tak wielką odległość dla jednego czy dwóch dni... Swego czasu udzieliłam ci bardzo złej rady, moje dziecko. Nie powinnam była zmuszać cię, byś wyszła za Grawlińskiego. Hrabina omal się nie rozplakała. - Anno Mario, czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

- To ja podjęłam wtedy decyzję.

- Lecz ja i Zofia nakłoniłyśmy cię do tego.

- Nie ma potrzeby się obwiniać. Antoni nie był taki, jakim się wydawał.

- Powinnam była wiedzieć. Dostrzec to! Były pewne oznaki... Tyje dostrzegłaś, prawda?

Anna wyciągnęła nad stołem dłonie.

- Wszyscy mieliśmy nadzieję, że sprawy się ułożą.

- Modłę się tylko o to, bym pożyła wystarczająco długo, żeby zobaczyć cię szczęśliwą, Aniu.

Hrabina uścisnęła dłoń siostrzenicy, a ta zatrzepotała rzęsami, by pozbyć się łez.

- Mam Jana Michała. Na razie nie proszę losu o więcej.

- Pojedziemy do domu Pod Głogami razem - rzekła hrabina, rozpogodziwszy się. - Zapomnimy o tym, co dzieje się tu, na Pradze, i będziemy miały cudowne lato.

Umilkła, po czym zerwała się z krzesła.

- Och, Anno, po co czekać do końca tygodnia? Możemy spakować się dzisiaj i wyruszyć już rankiem!

Po południu, gdy Zofia wyszła, Anna wśliznęła się do jej pokoju. Pamiętnik nadal spoczywał w ukrytej szufladce. Nie mogła się powstrzymać, by nie przeczytać, jakie też plany ma względem niej Zofia.

Choć nie natknęła się na swoje nazwisko, udało jej się odkryć, w jaki sposób szmaragdowa szpilka znalazła się w posiadaniu kuzynki i dlaczego uważała ona, że u Anny klejnot będzie bardziej bezpieczny.

A oto co zdarzyło się podczas spotkania z potworem z Hagi: barona Vahnika przyprowadził na moje przyjęcie chudy Garbozki, a kiedy go przedstawił, ten natychmiast zaczął wpatrywać się we mnie śmiało małymi, ciemnymi oczkami. Baron ma wielki nos i grube wargi, które jednak wydają się zmysłowe. Odwzajemniłam spojrzenie, nie z podziwu dla jego umiejętności jako skrzyпка, ale z respektu dla wielkiego bogactwa oraz krągłych i zachęcających do tego, by je uszczypnąć, pośladków, pod dosyć zgarbionym grzbietem.

Wodził za mną oczami, gdy przechadzałam się pomiędzy gośćmi. A ilekroć na niego spjrzałam, gapił się na mnie niczym głodne ciele na swoją matkę. Gdy weszłam do słabo oświetlonego pokoju muzycznego, by przynieść stamtąd czerwone wino specjalnego gatunku, podążył za mną niczym tłusta ćma za tańczącym płomieniem. Zaszedł mnie z tyłu i gwałtownie objął.

Z miejsca, gdzie staliśmy, mogliśmy być widziani przez gości w salonie, odepchnęłam więc barona i podeszłam do podwójnych drzwi, pytając głośno: „Proszę mi powiedzieć, panie Vahnik, co też sprawia, że Haga jest tak ważnym miastem?”.

Klik! Drzwi zostały zamknięte, a on natychmiast rzucił się na mnie. Ściskając w dłoniach karafkę z winem, umknęłam mu z wdziękiem, okrążając pianino i półki z książkami. Oczywiście, w końcu złapał mnie i przytrzymał tak mocno, że z najwyższym trudem powstrzymałam okrzyk bólu, choć cała sprawa wielce mnie bawiła.

„Muszę zanieść gościom wino”, powiedziałam.

„Ja jestem gościem”, odparł, przyciskając mnie do ściany pomiędzy półkami.

„Więc proszę spróbować wina”.

„Wolę spróbować twoich ust”.

„To będzie pana kosztowało”.

„Zbyt lubisz się bawić!” Chwycił mnie tak mocno, że puściłam karafkę, która rozbiła się na podłodze.

„Proszę spojrzeć, co pan narobił!”, zawołałam. „Karafka była kryształowa i miała ponad sto lat, a wino to resztkę ulubionego trunku z zapasów mego ojca!”.

„Musisz spotkać się ze mną później”, powiedział.

„Być może, jeśli przyniesie pan coś, co zrekompensuje mi stratę”.

„Dobrze”.

„Wierzę panu, lecz by się upewnić, zatrzymam na razie to”, powiedziałam, wyciągając z krawatki pod szyją barona szmaragdową szpilkę.

„Ale... ta szpilka należała do mego ojca”.

Wpięłam klejnot ostrożnie w stanik sukni. „Zatem stanowi doskonałą rekompensatę za starą karafkę mego ojca i bezcenne wino, że nie wspomnę o przyjemnościach, jakie mam dla pana w zanadrzu”.

W ten sposób otrzymałam wspaniałą szmaragdową szpilkę za wino co najwyżej średniej jakości i karafkę z rżniętego szkła. Kiedy rozstawaliśmy się następnego dnia, poprosił o zwrot szpilki, lecz powiedziałam, że ją zgubiłam. Muszę się upewnić, że na jakiś czas zniknie z widoku.

W domu panowała gorączkowa krzątanina, związana z wyjazdem obu pań do Halicza.

Po południu Anna nie mogła znaleźć nigdzie hrabiny, zeszła więc do kuchni. Pomimo panującego tam zamieszania Jan Michał, zmęczony kąpielą, spał słodko w kolebce zawieszanej na belce w pobliżu otwartych drzwi.

- Gdzie pani Stella, Lutiszo?

Lutisza wyjmowała właśnie z pieca dwa olbrzymie bochenki słodko pachnącego żytniego chleba.

- Pojechała do apteki, proszę pani.

- Och.

Widać było, że Lutisza płakała. Serce Anny ścisnęło się współczuciem dla służącej, która miała zostać w Warszawie, by szkolić nową służbę dla Zofii, podczas gdy jej córka Marta i wnuki: Marcelina, Katarzyna i Tomasz udawali

się z paniami do Halicza. Mąż Marty, Wałek, wyjechał już przed kilkoma miesiącami, by dopatrzeć upraw.

- Chciałaby pani piętke?

- Wiesz, że nie potrafię odmówić sobie twojego chleba... Będzie nam ciebie brakowało, Lutiszo.

- Pory roku następują jedna po drugiej i jesień szybko nadejdzie - odparła służąca, uśmiechając się dzielnie.

- Zapewne - zgodziła się z nią Anna, żując chleb. Nie wspomniała, że nie zamierza wracać do domu Zofii. - A czego może potrzebować hrabina z apteki?

- Musi zapewnić sobie zapas lekarstwa na całe lato.

- Jakiego lekarstwa?

- Nie wiem, proszę pani.

- Długo już je przyjmuje?

- Zaczęła dopiero ostatnio. Proszę, jeszcze jedna piętka.

Moje wnuki zawsze proszą o miękką ośródkę. Nie wiedzą, co dobre.

Anna sięgnęła po chleb. Spostrzegła, że szare oczy Lutiszy pełne są łez. Nim wyszła z kuchni, ucałowała wielce tym zaskoczoną Lutiszę najpierw w jeden policzek, a potem w drugi.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci.

Anna udała się do sypialni, by zapakować swoje skarby. Do wykładanego aksamitem pudełka, w którym spoczywała kryształowa gołębicą, włożyła mieniący się barwami pierścień - dziś opał wydawał się rubinowo czerwony - i szmaragdową szpilkę, zawijając oba przedmioty w miękkie szmatki.

- Pani Zofia prosi, by zeszła pani do jadalni - powiedziała Marcelina, stając w otwartych drzwiach.

- Zofia? Chcesz powiedzieć, że o tej porze jest już na nogach?

- Tak, proszę pani. Życzy sobie pani, bym zniosła to pudło do powozu? - spytała dziewczyna, w widoczny sposób podekscytowana podróżą.

- Nie, Marcelino, sama je zaniosę. Powiedz hrabinie, że zaraz zejść.

Wyszła najpierw z domu, aby bezpiecznie umieścić puzdro w powozie. Na dworze dopiero zaczynało się rozwidniać. Katarzyna pomachała do niej z powozu wynajętego dla służby. Wszyscy zdawali się być gotowi do podróży.

Wróciła do domu. W jadalni ciotka, ubrana w ciemny podróżny strój, siedziała sztywno za stołem, z którego uprzątnięto już po śniadaniu. Siostrzenica usiadła po jej lewej stronie.

Naprzeciw, oddzielona od nich szerokością stołu, stała Zofia. Miała na sobie poranny szlafrok, włosy w nieładzie, a pod oczami ciemne kręgi. Anna zastanawiała się, czy kuzynka kładła się tej nocy choć na chwilę.

- Przepraszam, że trwało to tak długo - powiedziała.

- O co chodzi, Zofio? - spytała hrabina. - Chciałybyśmy dojechać jak najdalej, nim zrobi się gorąco.

- I dojedziecie, nie martw się, mamó - wymuszony uśmiech na twarzy Zofii, podkreślający jej mroczną urodę, sprawił, że wydawała się niezwykle podobna do matki Anny. - Modłę się, byście obie, a także małństwo, miały bezpieczną podróż i spędziły w Haliczu wspaniałe lato. Jeśli tylko będziecie czegoś potrzebowały, dajcie mi znać, a natychmiast wszystkim się zajmę. Zamierzam opiekować się wami do czasu, aż znajdzie się jakiś dobry mężczyzna, który by mnie zastąpił i zajął się nami wszystkimi.

Anna przyglądała się kuzynce z zainteresowaniem. Zofia zaciskała dłonie na oparciu krzesła, aż pobieleły jej knykcie. Była zdenerwowana. Ta mała przemowa z pewnością miała do czegoś prowadzić, ale do czego? Anna nie widziała dotąd, by kuzynka zachowywała się tak formalnie.

- Wierzę - mówiła dalej Zofia - że zrobię, co tylko się da w najlepiej pojętym interesie osób, które tak kocham, to znaczy: was obu.

Umilkła. Anna i hrabina czekały.

- I właśnie dlatego, że was kocham, umieściłam wasze podpisy obok podpisów innych przedstawicieli szlachty, popierających konfederację z Targowicy.

Hrabina zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- Co takiego zrobiłaś? Jak śmiałaś przypuszczać, że...

- Nalegam, byś pozwoliła mi skończyć, matko - mówiła z naciskiem Zofia.

- Gdybyśmy nie podpisały, jak uczynili to wszyscy co bardziej rozsądni przedstawiciele szlachty z Warszawy i całej Polski, caryca nie zagwarantowałaby nam nietykalności ani osobistej, ani majątkowej.

- W imię Jezusa Chrystusa, nie zgadzam się! - zawołała ciotka Stella, wyprostowawszy się na krześle. Jej twarz płonęła oburzeniem.

- Jeśli zależy ci na życiu, własnym i członków twojej rodziny, a także na tym, by zachować nazwisko oraz tytuł, musisz pogodzić się z tym, co uczyniłam. Jeśli nasze nazwiska nie znajdą się obok innych, caryca uzna nas za wywrotowców. Możemy zostać wygnane lub stracić życie. Chyba że uciekniemy do innego państwa. A tego raczej byś nie chciała, prawda, matko?

- Nie ulegnę kaprysom rosyjskiej carycy. Jestem bogobojną poddaną polskiego króla!

- Tyle że ten król to obawiający się Katarzyny poddany Rosji! - zawołała Zofia z pełną gniewu pogardą. - Jest jak dojrziała jagoda pod zdobionym klejnotami pantoflem carycy.

Hrabina także wpadła w gniew i zaczęła krzyczeć:

- Rosjanie to zwierzęta, na wpół ludzie, na wpół wilki! Nawet Litwini czcili drzewa i węże, nim przynieśliśmy im Boga i cywilizację. Rosjanie nie mieszkają już, być może, w jaskiniach czy wilczych jamach - och, mogą sobie nawet mieszkać w pałacach i chodzić odziani w jedwabie - lecz nie wyzbyli się wrodzonych skłonności! Teraz toczą wojny, Zofio. Nauczyli się, że kordy i pistolety są skuteczniejsze od dzid. A także tego, jak maszerować, toczą więc wojny.

- Tak - odparła szybko Zofia - teraz toczą wojny. I jest bardziej niż prawdopodobne, że u ich boku pomaszerują armie Prus i Austrii! Jeśli oni toczą wojnę, a my nie, musimy zdać się na ich opiekę. Kiedy konstytucja zostanie obalona, a chłopci i pospólstwo przywołani do porządku, wojna się skończy. Jesteśmy szlachtą i przetrwamy. Tylko zbuntowane bydło będzie ginąć, matko. Tylko ci, którzy stawiają opór, zostaną ukarani. Szlachta musi zapanować nad chłopstwem i tymi, którzy uzurpują sobie prawo do naszych

ziem i majątku. Gdy konstytucja upadnie, zostaniemy pozostawieni w spokoju, byśmy mogli cieszyć się naszym dziedzictwem.

- Wcale sobie tego nie życzę! - wysyczała hrabina. - Nie stanę przeciw konstytucji. Leo też by tak nie postąpił. I nie pozwolę, by ci, którzy dzielnie jej bronią, umierali zamiast mnie! - Hrabina wstała. - Zaczekam na ciebie w powozie, Anno Mario - powiedziała, wychodząc pośpiesznie z pokoju.

- Więc umrzesz! - krzyknęła za nią Zofia, a potem dodała ciszej, by matka jej nie usłyszała. - Chyba że okażę się wystarczająco sprytna, by cię przed tym uchronić.

- Milczałam dotąd, Zofio - powiedziała Anna - lecz teraz mówię do ciebie tak, jak przedtem matka. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, bez względu na stan i urodzenie. Nasi obywatele nie powinni umierać w obronie praw, ustanowionych przez Konstytucję 3 maja. Nikt też nie powinien umierać za nas.

- Anno, nasze nazwiska zostały już umieszczone pośród nazwisk ludzi popierających targowicę.

- Uczyniłaś źle, Zofio. Wiem, że wielu ludzi nie zgadza się z postanowieniami konfederacji, wielu też nie podpisze się pod nią, a wśród nich Lubiccy.

- I, jak przypuszczam, Stelnicki, w tym swoim ślicznym mundurze! Wszyscy oni to głupcy, prowokujący własną zgubę.

Zofia okrążyła stół i podeszła do kuzynki, przemawiając tonem jednocześnie błagalnym i władcym.

- Jeśli uważasz, że nie mam racji, powiedz mi, Anno Mario Berezowska-Grawlińska, co należało uczynić!

- Mogę ci tylko powiedzieć, że nie powinniśmy brać w tym udziału. Muszę cię prosić, by nazwisko twojej matki, moje i Jana Michała zostało usunięte z dokumentów popierających konfederację.

- Czy dla ciebie wszystko musi być tak proste i czarno-białe, Anno? Nie potrafisz zachować się rozsądnie?

- Twoja matka i ja musimy kierować się tym, co nakazuje nam sumienie. Nie będziemy szukały opieki Katarzyny:

- Lecz Polacy nie będą w stanie się jej przeciwstawić! - Zofia pochyliła się nad Anną i ujęła jej dłoń. - Być może ty i matka macie rację. Być może Polacy są zbyt blisko Boga, by walczyć i wojować. A może polska szlachta zbyt długo siedziała na jedwabiach i zapomniała już, jak się walczy.

- Czy to, że naród nie jest w stanie walczyć, świadczy o jego upadku?

Zofia wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć. Wspomniałam kiedyś tobie i baronowi Kolbiemu, że moim zdaniem kobiety nie nadają się do polityki. Nadal tak twierdzę. Ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie wpłynąć na poczynania mężczyzn w tej materii, ani tym bardziej ich kontrolować... Lecz większa część Polski przypadnie, Anno. Nie wiem, jak duża, lecz tak się stanie, a ja nie dopuszczę, byśmy zginęły wraz z nią.

Uklękła przed kuzynką, spoglądając na nią błagalnie czarnymi oczami.

- Ty i matka musicie pogodzić się z tym, co zrobiłam, inaczej będziecie musiały stawić czoło siłom konfederacji. A wtedy możesz zginąć, moja matka również. Z powodu waszego uporu oraz ignorancji możemy zginąć wszyscy. Poza tym masz teraz dziecko. Musisz myśleć także o nim.

Uścisnęła krótko dłoń Anny i wstała.

- Dobrze się składa, że wyjeżdżacie na lato na wieś. Mam tylko nadzieję, że będziecie tam bezpieczne, gdy zaczną się niepokoje, co niechybnie nastąpi.

- Nie powinnam kazać im dłużej na siebie czekać - powiedziała Anna. Czowała się rozdarta. Nie było sensu nadal się kłócić. Kompromis i tak nie był możliwy. Choć nie zgadzała się z Zofią, czuła, że kuzynka szczerze troszczy się o matkę, a także o nią i o małego Jana Michała.

- Cóż, zatem w drogę! - Zofia uścisnęła Annę i dodała: - Lecz jeśli pojawię się w Haliczu, a wściekli Rosjanie, Polacy lub jedni i drudzy będą deptali mi po piętach, zatapiając zęby w pośladkach, proszę, nie zamknij przed kuzynką drzwi jej własnego domu!

Anna wyobraziła sobie tę scenę i mimo woli parsknęła śmiechem.

- Poważnie, Anno, jeśli będziesz musiała stawić czoło Rosjanom, powiedz im, że chroni cię konfederacja. Jeśli pojawią się polscy patrioci, powiedz, że ponad wszystko przedkładasz dobro Polski. Lecz sprzyjaj raczej Rosjanom, kochanie, bo na koniec i tak dziwka zwycięży.

Ucałowała kuzynkę w policzek.

- Z Bogiem, Aniu.

Anna wstała.

- Do widzenia.

- Jeszcze jedno.

- Tak? - spytała Anna, odwracając się.

- Zapomnisz o nim, prawda?

- Nie spodziewam się zbyt wiele, jeśli chodzi o Jana Stelnickiego. Lecz, Zofio, dlaczego aż tak cię to interesuje?

- Interesuje?

- Dlaczego tak ci na tym zależy? Powiedz mi: kochasz go? Jak długo czekała, by zadać to pytanie!

Zofia przez długą chwilę wpatrywała się w nią, a potem wzruszyła ramionami.

- Może i tak.

Oto najgorszy koszmar właśnie się ziścił, pomyślała Anna. To dlatego tak długo zwlekała. Bała się tego, co może usłyszeć w odpowiedzi. Nagle zrobiło jej się słabo.

- A kiedy przyjechałam do Halicza...?

- Dlaczego zachęcałam cię, byś z nim flirtowała? Anna skinęła głową.

- To było głupie z mojej strony, przyznaję. Pokłóciliśmy się i nie sądziłam, że twoje zainteresowanie nim mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Po raz pierwszy posmakowałaś wtedy romansu i...

- ...i sądziłaś, że naiwna kuzyneczka z Sochaczewa wyda się w porównaniu z tobą nijaka i mało atrakcyjna, tak?

- Nie bądź wobec siebie niesprawiedliwa, Anno.

- Masz tylu mężczyzn.

- Jan jest wyjątkowo atrakcyjny.

- Zatem... nadal masz nadzieję go zdobyć?

Zofia rozciągnęła wargi w rozmyślnie złośliwym uśmiechu.

- A ty nie?

Annie zabrakło słów. Na zewnątrz konie przestępowały niespokojnie z nogi na nogę, a powóz, który miał zabrać ją daleko od Zofii, czekał. Kusiło ją, by wybiec bez słowa. Opanowała się jednak, zaczerpnęła tchu i stawiała czoło kuzynce:

- Nie myśl, że cię nie doceniam, Zofio. Jesteś piękna i pełna powabu. Jeśli zdołasz zdobyć Jana, niech i tak będzie. Lecz już raz mnie nie doceniłaś. Sugeruję, byś nie popełniła tego błędu ponownie.

To powiedziawszy, odwróciła się i wyszła z pokoju, a potem z domu, pozostawiając w jadalni osłupiałą Zofię.

Był pierwszy czerwca. Mały orszak złożony z dwóch powozów wyruszył na południe Polski, uwożąc Annę, jej syna i ciotkę Stelle.

Część piąta

Gdy wiatr nie służy, do wiosel trzeba.
Przysłowie polskie.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty.

Niebo pozostawało błękitne, a drogi szczęśliwie suche, powozy mogły więc toczyć się szybko, bez przeszkód zdążając ku odległym południowym krańcom Rzeczypospolitej.

Anna zastanawiała się, o czym też może rozmyślać jej milcząca stoicko ciotka. Musiała wiedzieć, tak jak wiedziała to ona sama, że Zofia nie usunie ich nazwisk z dokumentu. Jej arogancja w sprawie, która właśnie wyszła na jaw, jeszcze pogłębiła przepaść pomiędzy matką a córką.

Hrabina Berezowska odcięła się od kuzynki zarówno pod względem politycznym, jak i osobistym. Jakim prawem Zofia umieściła nazwisko Anny i Jana Michała na dokumencie popierającym konfederację? I czy naprawdę wierzyła, że jest w stanie zdobyć Jana? Czy była to tylko niemądra fantazja, czy przypuszczenie oparte na faktach? Jan nigdy nie wspomniał, że coś łączyło go z Zofią. Dlaczego? Czy był jej kolejną zdobyczą? A jeśli zależało mu na niej kiedyś, czy mogłoby tak być znowu?

Teraz zachowanie Zofii przy stawie nabrało sensu. Anna opowiedziała kuzynce o oświadczeniach, a ona udawała przekonaną, iż Anna nie życzy sobie tak intensywnych zalotów. Podczas gdy naprawdę sama myśli o tym, że Jan mógłby potraktować Annę poważnie, napawała ją przerażeniem. Kiedy zostali sami, musieli się pokłócić - być może Zofia próbowała uwieść Jana, a kiedy nie zareagował, wściekła się i porwała na sobie bluzkę, oskarżając go o napaść. I ta szarada stała się początkiem szeregu zdarzeń, które doprowadziły w efekcie do gwałtu, poczęcia dziecka i skazanego na niepowodzenie małżeństwa z Antonim. Oczywiście był jeszcze list od Jana, który Zofia przechwyciła i bez cienia wyrzutów sumienia zniszczyła. Teraz Anna wiedziała już, do czego kuzynka jest w stanie się posunąć, aby postawić na swoim.

W kilka dni później widok dworu z białego wapienia z kolumnowym portykiem ucieszył oczy Anny i jej ciotki.

Pierwszego ranka po powrocie Marta przyszła do pokoju Anny z wiadomością, że na dole w salonie czeka na nią gość. Hrabina odgadła, kim może być ów gość, lecz nie zapytała o to służącej.

Spojrzała tęsknie na jedną z ulubionych letnich sukienek, niebieską, zdobioną koronką przy dekolcie oraz rękawach, po czym przywdziała czarną żałobną szatę. Ależ się ucieszy, gdy wreszcie będzie mogła odrzucić niechcianą żałobę!

Przystanąła na chwilę na górnym podejściu, gdzie na wysokim postumencie stał wielki kamienny orzeł, symbol Polski. Zeszłego lata mijała rzeźbę wiele razy, nie poświęcając jej nawet chwili uwagi. Teraz przystanąła, myśląc o zagrożeniu czyhającym na ojczyznę. Dotknęła szorstkiej powierzchni i w myślach poprosiła orła, by pozostał czujny.

Wydawało jej się, że ptak mruga do niej szklanym okiem, potwierdzając, kim jest przybyły. Uśmiechnęła się leciutko na tę niemądrą myśl i szybko zeszła po schodach.

Na dole zatrzymała się gwałtownie, stając twarzą w twarz z Janem. Ciemnoniebieskie oczy zdawały się śmiać z jej zaskoczenia.

Natychmiast pochylił się i ucałował dłoń Anny. Unosząc jasną głowę, powiedział:

- Kiedy ostatnio cię widziałem, nie poruszałaś się tak szybko.

Roześmiała się.

- Nosилам wtedy pod sercem dziecko!

- Z dzieckiem czy nie i tak wyglądałaś pięknie. Poczuła, że się rumieni. Zacerpnęła oddechu. Słodki ton jego głosu sprawił jej większą przyjemność niż komplement.

- Och, Janie, jak dobrze znowu cię widzieć!

Przez chwilę milczeli. Nie puszczał jej dłoni. Wreszcie wprowadził ją do salonu, gdzie czekała hrabina Grońska.

Anna poczuła się rozczarowana. Nic nie mogła na to poradzić. Tak bardzo tęskniła za tym, by porozmawiać z nim na osobności! Chciała rozkoszować się jego obecnością. Poza tym o tyle rzeczy musiała go zapytać.

- Przyszedłem się pożegnać, Anno - powiedział tymczasem Jan.

Nie zdążyła zareagować, gdyż do salonu weszła Marta, niosąc tacę z trzema kieliszkami wina.

Żadne z nich nie przemówiło, dopóki służąca nie wyszła. Zwłoka zdawała się trwać bez końca. Serce tłukło się jej w piersi. Co on chciał przez to powiedzieć? Czyżby czekała tak długo i przebyła taką odległość jedynie po to, aby usłyszeć kolejne „do widzenia”? Czy życie ma im do zaoferowania jedynie to? Serię pożegnań i spędzanie większej części życia osobno?

Gdy wszyscy trzymali już kieliszki w dłoni, a służąca wyszła, Anna powiedziała:

- Wino rankiem - chyba zakręci mi się w głowie! Ciotka Stella uśmiechnęła się, lecz zaraz spoważniała.

- Jan musi pójść walczyć z Rosjanami, Anno.

Jan spojrzał na Annę, jakby chciał potwierdzić to, co powiedziała hrabina. Uniósł kieliszek:

- Za Polskę!

Hrabina Grońska powtórzyła toast.

Anna ledwie go wyszeptowała. Podniosła kieliszek i sącząc wino, wpatrywała się w Jana. Odchodził, by walczyć z Rosjanami. Wiedziała, że powinna martwić się o kraj, lecz mogła myśleć jedynie o tym, że Jan może zostać ranny lub nawet zabity. Tylko Jan Michał mógł rywalizować z nim o miejsce w jej sercu, lecz miłość do syna była uczuciem macierzyńskim, różniącym się od namiętności, jaką odczuwała wobec ukochanego mężczyzny. Świadomość tego, że Jan wkrótce znajdzie się w niebezpieczeństwie, sprawiła, że uczucia Anny wybuchły ze zdwojoną siłą. Wszystko inne niewiele się teraz liczyło. Wiedziała, że nie potrafi pokochać tak nikogo innego. Z ochotą umarłaby, aby zapewnić mu bezpieczeństwo. Jan także patrzył na Annę.

- Caryca Katarzyna wysłała przeciwko nam wojska, by poprzeć targowicę i obalić konstytucję. Muszę dołączyć do oddziałów Kościuszki szybciej, niż się spodziewałem.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro w południe. Nie! Tak mało czasu...

- O dziesiątej, nim wyjedziemy, odbędzie się msza - mówił dalej Jan.

- Msza? - spytała hrabina, niezdolna ukryć zdziwienie.

- Nie, proszę pani - roześmiał się - nie nawróciłem się z dnia na dzień. Może kiedyś tak się zdarzy, lecz jeszcze nie teraz. Większość mężczyzn z majątku zamierza przyłączyć się do oddziałów Kościuszki, poprosiłem więc księdza, by przyjechał do nas i odprawił mszę w intencji ich szczęśliwego powrotu.

- Rozumiem - powiedziała hrabina Grońska.

- Lecz będę w niej uczestniczył i mam nadzieję, że obie panie także.

Anny i jej ciotki nie trzeba było zachęcać. Zgodziły się natychmiast.

- Wiem, że dopiero co przyjechałyście, lecz muszę poradzić wam, byście jak najszybciej wróciły do Warszawy. Tu szybko może zrobić się niebezpiecznie.

- Słodki Jezu! - zawołała ciotka Stella. Jej twarz, podobnie jak twarz Anny, wyrażała lęk i rozczarowanie.

- Jak tam Jan Michał? - zapytał Jan, najwidoczniej próbując zmienić temat na weselszy.

- Dobrze - odparła Anna. - Chciałbyś go zobaczyć? Twarz Jana pojaśniała.

- Oczywiście.

- Zawołam Martę.

- Nie, Anno - powiedziała hrabina. - Pozwól, że ja przyniosę małego.

Anna pobłogosławiła w duszy ciotkę, podejrzewając, że rozmyślnie wychodzi, by zapewnić jej trochę czasu sam na sam z Janem.

Usiedli razem na sofie. Jej serce natychmiast zaczęło mocniej bić. Nie była już pewna, czy zdoła opanować emocje.

Jan wziął na siebie ciężar prowadzenia rozmowy, a mówił głównie o rosyjskiej inwazji. Ta niewielka ilość czasu, którą mogli spędzić sam na sam, upływała im na omawianiu spraw ważnych co prawda, lecz publicznych. Jak miała zmienić temat na bardziej odpowiadający potrzebom jej serca?

W końcu Jan zorientował się, że Anna słucha go niezbyt uważnie.

- O co chodzi? - zapytał, biorąc jej dłoń w swoją.

- Czy wiesz, co zamierza Zofia? - spytała Anna, zdumiona tym, że porusza dręczącą ją kwestię tak szybko i bez wahania.

- Zofia?

Anna skinęła głową.

- Co ci takiego powiedziała?

- Że cię kocha.

Jan roześmiał się nienaturalnie.

- Tak powiedziała? To nieprawda. Ona mnie nie kocha, jej duma została zraniona, to wszystko.

- Zatem był czas, kiedy... Położył palec na jej ustach.

- Kochasz mnie, Anno?

- Dopiero niedawno zostałam wdową. Musi minąć rok, nim będę mogła kogoś poślubić.

- Niektóre konwenanse należy po prostu zignorować. Czy myślał tak samo jak Zofia? Że Anna powinna odrzucić tradycję i wyjść za mąż, kiedy zechce?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mogłabyś przyjechać do Krakowa. Byłabyś tam bezpieczna, gdyż miasto jest w rękach patriotów.

- Do Krakowa?

Annie zakręciło się w głowie. O co mu chodzi? Prosi ją o rękę czy o to, by po prostu z nim żyła?

- Pytam cię jeszcze raz, Anno: kochasz mnie?

W tej chwili do salonu weszła hrabina, niosąc w ramionach małego Jana Michała. Anna nie odpowiedziała na zadane przez Jana pytanie.

Wstali i Jan zajął się zabawianiem dziecka, w czym towarzyszyła mu ciotka. Wziął małego na ręce i robił do niego śmieszne miny, jak czasem jego matka. Gdyby tylko dziecko było jego, pomyślała.

- Muszę już wracać - powiedział po jakimś czasie, oddając malca Annie. - Zatem mogę spodziewać się pań jutro o dziesiątej?

Anna skinęła głową. Sposobność, by powiedzieć Janowi, że go kocha, pojawiła się i odeszła. Lecz jutro pojawi się następna.

- Och, poleciłam przygotować taki dobry posiłek - zauważyła z żalem ciotka.

- Proszę mi wybaczyć, pani Grońska, lecz tyle jest do zrobienia. Skoro inni mężczyźni jadą wraz ze mną, będę musiał zamknąć dom.

- Rozumiem - odparła hrabina, przyjmując pocałunek w policzek jako zadośćuczynienie. - Do zobaczenia jutro rano, panie Stelnicki.

- Dobrze. A jeśli szczęście dopisze, nigdy nie będzie pani musiała mówić do mnie: obywatelu Stelnicki.

Jan odwrócił się do Anny. Ucałował wpierw dziecko, a potem ją - w oba policzki.

- Zatem do zobaczenia rano.

Gdy wyszedł, Anna zwróciła się do ciotki.

- Co Jan miał na myśli, mówiąc, że jeśli szczęście dopisze, nigdy nie stanie się obywatelem Stelnickim?

- Nie przyłączył się do konfederacji, Anno. Jeśli oddziały

Kościuszki zostaną pokonane, Jan straci szlachectwo i majątek. Stanie się po prostu obywatelem Stelnickim.

- Tylko Bóg może odebrać mu tytuł! - powiedziała Anna, płonąć gniewem.

- Być może, kochanie. Lecz zbierająca się od dawna burza wreszcie nadeszła i obawiam się, że od tej pory nic już nie będzie dla nas takie samo.

Rozdział pięćdziesiąty piąty.

Anna niewiele spała tej nocy. Wciąż na nowo analizowała spotkanie z Janem. Nie odpowiedział, gdy zapytała o jego uczucia wobec Zofii. Lecz z drugiej strony - nie zdążyła zapytać o to, co ich łączyło, gdyż położył jej palec na wargach, pytając, czy go kocha.

A ona nie odpowiedziała. Oczywiście, kocha go ponad życie. Lecz co, jeśli on i Zofia też kiedyś się kochali? I jeśli to ona zerwała? Co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? A jeśli kuzynka nigdy nie wyznała Janowi miłości? Czy to, że teraz się o tym dowiedział, czyni jakąś różnicę?

Do świtu mogła już skupić się wyłącznie na jednym: musi powiedzieć mu, że go kocha. A jeśli Zofia też darzy go uczuciem, cóż, będzie musiał wybrać.

Śniadanie podano tego dnia wcześniej. Nim Marta zabrała się do uprzątnięcia stołu, zwróciła się do hrabiny. Widać było, że jest bardzo przejęta.

- Och, madame, Walek upiera się, żeby pójść walczyć, a Bóg jeden wie, że potrzebuję go tutaj, i pani także! Nie jest żołnierzem i nie jest już młody.

- Wiem, Marto. Rozmawiał ze mną wcześniej, on i kilku innych mężczyzn. Chętnie zatrzymałabym go, lecz zbyt wiele mamy do stracenia, gdyby rosyjska wilczyca zwyciężyła.

- Tak, madame - powiedziała Marta, nie kryjąc łez, które spływały jej po policzkach. - Wiem.

- Nie trać ducha, Marto. Powiadają, że pokój nie może trwać bez konfliktu. Chciałabyś wybrać się z nami na mszę?

- Och, tak! Dziękuję, pani Grońska.

- Doskonale. Dopilnuj, by Stanisław przygotował wozy. Wszystkie kobiety, które zechcą pojechać, mogą to uczynić.

Marta skinęła głową, ocierając łzy.

- Ciesz się - mówiła dalej hrabina - że twój syn Tomasz jest zbyt młody, by walczyć.

Marta skinęła głową.

- Mimo to nie przestaje błagać, bym pozwoliła mu przyłączyć się do ojca.

Anna stała w holu na parterze, niecierpliwie wyglądając ciotki, która zbyt długo się zbierała. Opanowała pokusę, by posłać po nią służącą, gdyż przyszło jej do głowy, że hrabina, być może, nie czuje się dobrze. Walek i pozostali mężczyźni odjechali już do majątku Stelnickich. Obok domu czekała na nie gromadka kobiet.

W końcu hrabina Grońska wyłoniła się z pokoju, odziana w czarną suknię z połyskującej satyny. Wyszły z domu. Anna niosła na rękach Jana Michała, którego twarzyczkę osłaniał przed porannym słońcem lekki kocyk. Kryty dwukonny powóz czekał już na podjeździe, a stary Stanisław przytrzymał otwarte drzwi. Za powozem stały dwie furmanki, każda ciągnięta przez jednego konia. Na nich zaś ulokowało się kilka kobiet z majątku. Poszeptywały między sobą poważnie, ale umilkły na widok zbliżających się ku powozowi. Anna usłyszała jeszcze, jak jedna z kobiet oplakuje utratę swego mężczyzny.

Dwór Stelnickich w miejscowości Uście Zielone nie leżał zbyt daleko od dworu Pod Głogami, lecz prowadząca do niego droga była kręta. Stanisław nie pośpieszał koni, gdyż kobiety, powożące furmankami, nie miały doświadczenia z końmi. Anna niecierpliwiła się, żałując, że nie dosiadła wierzchowca i nie pojechała na skróty przez las, odgraniczający posiadłości. Jakże pragnęła zaznać znów wolności, jaką dawała jazda, poczuć we włosach i na twarzy wiatr, zobaczyć migające pod kopytami bruzdy! Lecz rankiem oddała Pegaz Wałkowi, by miał dobrego konia, kiedy przyłączy się do Kościuszki. Nagle uświadomiła sobie, że nie jeździła konno od pamiętnego dnia nad stawem.

W powozie było duszno i gorąco. Anna rozebrała dziecko i zaczęła wachlować niespokojne, zaczerwienione z gorąca niemowlę, w czym pomagała jej ciotka.

Nie minęło nawet pół godziny, a podążający krętą drogą powóz nagle się zatrzymał.

Okna pojazdu zamknięto dla ochrony przed kurzem i skwarem. Anna otwarła je i, rozczarowana, przekonała się, że nie dojechali jeszcze na miejsce.

Stanisław natychmiast otworzył drzwi.

- Ojciec Janewicki pobłogosławi nas tutaj, pani Grońska. Serce Anny ścisnęło się przecuciem. Domyśliła się, że zaszło coś nieprzewidzianego.

Wysiadła z powozu. Ciotka została wewnątrz, trzymając na rękach Jana Michała. Stary ksiądz, który wieki temu udzielił ślubu Annie i Antoniemu, przywitał je serdecznie, choć minę miał poważną.

- Wysłano mnie, bym z paniami pomówił - oznajmił. - Przykro mi, że nie zdążyłem, nim opuściły panie majątek - dodał ze smutkiem. - Msza została już odprawiona. Widzi pani, Rosjanie wkroczyli na polską ziemię.

- A mężczyźni? Pan Stelnicki?

- Odjechali. Wszyscy odjechali. Jeśli pani pozwoli, pomodlimy się za ich bezpieczny powrót tu, na poboczu drogi.

Odmówiły z księdzem cały różaniec. Hrabina pozostała z dzieckiem w powozie, podczas gdy Anna, Stanisław i krzepkie chłopskie niewiasty wyśpiewywały odpowiedzi pośród polskiego krajobrazu, który zdawał się obiecywać lato jak każde inne. Lecz to lato nie będzie takie jak inne, pomyślała Anna. Poruszała ustami, mechanicznie wypowiadając słowa modlitwy, ale myślała tylko: Nie powiedziałam mu... Nie powiedziałam mu... Nie powiedziałam...

- Jedźcie dalej prosto - rzekł ksiądz po skończonej modlitwie - a potem skręćcie w lewo, na podjazd Stelnickich. Służące czekają na was z posiłkiem. Musicie odpocząć, nim wyruszyście w drogę powrotną. Poza tym jest tu zbyt wąsko, by pojazdy mogły zawrócić. Dzień teraz długi, zdążycie wrócić do domu przed zmrokiem. Pokój z wami.

Hrabina przywołała go do powozu.

- Pokój niech będzie z nami wszystkimi - powiedziała, wsuwając mu w dłoń kilka monet.

Pojazdy skręciły na podjazd majątku Stelnickich, mijając bramę w wysokim drewnianym płocie. Wyglądający gościnnie dwupiętrowy dom, zbudowany z niemalowanego drewna, miał stromy, pokryty zielonkawym gontem dach, z którego wystawały podobne do oczu, ukryte pod występami dachu okna mansardy.

Wszyscy członkowie męskiej służby Stelnickiego przyłączyli się do Sprawy. Pokojówki, czekające na obie hrabiny, zachowywały się grzecznie, lecz milczały ponuro. Anna czuła się tak, jakby dom, a właściwie całą Polskę spowił niewidzialny całun, wprawiając mieszkańców w odrętwienie i smutek, spowodowane wojną. Ileż to kobiet, dumiała, szlachetnie urodzonych i pochodzących z ludu, cierpiało na przestrzeni wieków ten sam los, patrząc, jak ich mężczyźni odchodzą na wojnę, a potem trzymając nieustanną wartę w nadziei, że kiedyś powrócą? I ilu z nich nie wróciło?

Panie zaprowadzono do sypialni na piętrze, by mogły odświeżyć się przed posiłkiem. Pokój, tak jak reszta domu, był czysty, lecz brakowało mu kobiecej ręki. Anna przypisała to faktowi, że matka Jana umarła wiele lat temu.

Hrabina Grońska przysiadła na łóżku.

- Och, chyba zaraz zemdleję, Anno Mario.

- Strasznie dziś gorąco. Może położysz się na chwilę, ciociu?

Nie sposób było nie zauważyć, że twarz hrabiny jest biała jak stojący na toalecie porcelanowy dzban na wodę.

- Nie, to przejdzie. Czasami ogarnia mnie słabość, lecz zawsze mija. Nie pomyślałam, by zabrać ze sobą lekarstwo.

Hrabina z trudem podniosła się z łóżka.

- Myślę, że pomogłoby mi, gdybym coś zjadła.

Marcie pozwolono usiąść z paniami przy stole w jadalni, by mogła trzymać dziecko, podczas gdy one się posilały. Pozostałe kobiety miały zjeść w kuchni.

Przed Anną i hrabiną ustawiono talerze esencjonalnej, bogato zaprawionej śmietaną kartoflanki. Główne danie składało się z grubo pokrojonego ciemnego chleba, pierogów z grzybami i duszonej dziczyzny. Już sam zapach jedzenia zdawał się przywracać hrabinie siły.

Anna rozglądała się po pokoju, ze szczególną uwagą przypatrując się półce, biegnącej wzdłuż wszystkich ścian, ponad drzwiami i oknami. Stały na niej przeróżne naczynia, garnki, ozdobne talerze i tace na chleb, ustawione bez ładu i składu, lecz stwarzające przytulną atmosferę.

Jedna myśl napawała ją radością: to był dom Jana. Ośmielała się mieć nadzieję, że ona i jej syn zjedzą w tej jadalni jeszcze wiele posiłków.

Jednak zanim skończyły, hrabinę znowu dopadła słabość.

- Wracajcie - powiedziała. - Ja chyba powinnam zostać tu na noc. Możesz przysłać po mnie rano Stanisława.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć. - Anna nie zamierzała spuszczać ciotki z oczu. - Ja też jestem zmęczona, choć podróż nie trwała długo. Zostaniemy wszyscy.

Po kilku godzinach hrabina Grońska i Jan Michał, zjadłszy lekki posiłek, udali się do osobnych sypialni, a Anna ruszyła zwiedzać dwór. Choć dom Stelnickich był duży, zdecydowanie nie była to wytworna rezydencja. Kryte tynkiem ściany, niegdyś białe, pociemniały z upływem lat. Prawie w każdym pokoju wisiały gobeliny, lecz umeblowanie było skromne i wyłącznie użyteczne. Dawało się odczuć, że od dłuższego czasu mieszka tu samotny mężczyzna.

Po zmierzchu schroniła się w małej sypialni, gdzie był już jej syn. Jedna ze służących przyniosła prostą kołyskę, w której można było go położyć. Spał teraz zdrowym, mocnym snem.

Wieczór nie przyniósł ochłody, co było dziwne jak na czerwiec. Anna nie miała nocnego stroju, położyła się więc w ubraniu na nierozścielonym łóżku. Lutisza złajałaby ją, gdyby wiedziała, że zostawiła otwarte okna, umożliwiając tym samym przedostanie się do pokoju kto wie jakim nocnym duchom. Lecz Anna nie duchów się bała.

W końcu zapadła w niespokojny ni to sen, ni drzemkę.

Nad ranem musiała zasnąć głębiej, gdyż obudziły ją dopiero hałasy, dobiegające z boku domu. Słysząc było rżenie koni i stłumione głosy.

Jan Michał obudził się i zaczął płakać. Anna wzięła go do łóżka i zaczęła karmić, zastanawiając się, co też oznacza ten harmider. Mimo iż zdawała sobie sprawę, że nie ma na to nadziei, modliła się, aby to Jan wrócił niespodziewanie do domu.

Nie musiała długo dociekać, co też dzieje się na dole. Drzwi otworzyły się raptownie i do pokoju wmaszerował mężczyzna w czerwonym rosyjskim mundurze. Nie zmieszał się ani nie odwrócił wzroku, kiedy zobaczył karmiącą.

Gniew przewyciężył zażenowanie i Anna zapytała ostrym tonem:

- Kim jesteś, by zachowywać się w ten sposób?

- Z rozkazu carycy Katarzyny - burknął mężczyzna kiepską polszczyzną - pójdzie pani natychmiast ze mną.

- Proszę się odwrócić! - zażądała po rosyjsku. Żołnierz, zaskoczony, zaczął się jej przyglądać. Anna nie spuściła oczu i wreszcie intruz odwrócił wzrok.

Zapięła suknię, a potem wstała, i, tuląc do siebie Jana Michała, ruszyła za wysoką postacią w długim płaszczu i wysokich czarnych butach. Mężczyzna nie wypuszczał z dłoni pistoletu.

Weszli do pokoju hrabiny. Ciotka stała odwrócona do nich twarzą, trzymając w dłoni Biblię. Marta i jej córki kulily się za hrabiną, wyraźnie przerażone.

- Która z was jest hrabiną Grońską? - zapytał Rosjanin. Ciotka Stella z wolna uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Z kim rozmawiam?

- Kapitan armii carycy Katarzyny, cesarzowej Rosji - odpowiedział mężczyzna butnie.

- Ja jestem hrabina Stella Grońska - odparła z godnością. - Sąsiedni majątek należy do mnie.

- A pani? - zwrócił się do Anny.

- Hrabina Anna Maria Berezowska-Grawlińska - wyrecytowała, mając nadzieję, że jej głos brzmi równie spokojnie jak głos ciotki.

- Czy nazwiska waszych mężów znalazły się na dokumencie popierającym konfederację z Targowicy?

- Jesteśmy wdowami - odparła starsza hrabina.

Anna zdawała sobie sprawę, że taka odpowiedź nie wystarczy. Wiedziała też, że, by oszczędzić ciotkę, musi powiedzieć to, co należało:

- Nasze nazwiska znajdują się na dokumencie popierającym konfederację. Słowa zdrady raniły jej serce, lecz cóż innego mogła uczynić?

- Ach, zatem wielce szanowne damy mogą opuścić ten dom. I muszę poprosić was, byście uczyniły to jak najszybciej, ponieważ należy on do zdrajcy i jako taki zostanie zniszczony.

Anna poczuła, że gniew barwi szkarłatem jej policzki. Nie była to jednak odpowiednia chwila, by bronić Jana i jego domu. Inni znajdowali się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Należało ich ratować.

- To nasze służące. Pozostałe są na dole. Wrócą wraz z nami do domu.

Rosjanin przyjrzał się bacznie Marcie, Marcelinie i Katarzynie, a potem wzruszył obojętnie ramionami.

Nagle od strony podwórka dobiegły ich hałasy, świadczące o nie lada zamieszaniu. Wkrótce na progu stanął drugi Rosjanin. Powiedział kapitanowi, że przybył inny oddział.

- Cóż, doskonale - odparł mężczyzna. - Zatem, miłe panie, pozostaniecie przez jakiś czas w tym pokoju.

Kapitan wyszedł, lecz nim to uczynił, odwrócił się i otaksował Annę spojrzeniem, od którego zjeżyły jej się włosy na karku.

Kobiety zostały same, tylko z modlitwą i ponurymi domysłami.

Tymczasem upał narastał. Odgłosy strzałów, pijackie pokrzykiwania i wrzaski kobiet sprawiały, że omal nie oszalały z niepokoju. Jan Michał płakał. Reszta była zbyt przerażona, by robić choć to.

Co działo się na dole? Na zewnątrz domu? Dlaczego ich nie wypuszczono? Skąd ta zwłoka? Annie przychodziły na myśl najgorsze przypuszczenia.

- Ciotko Stello - szepnęła - jeśli coś mi się stanie, ufam, że dopilnujesz, by Jan Michał był bezpieczny.

- Dziecku nic się nie stanie. Gwarantuję ci to, Anno. Ani nam. Ci barbarzyńcy nie ośmielią się tknąć nikogo z tytułem.

Anna nie była tego ani trochę pewna. Martwiła się zwłaszcza o dwie młode służące. Co przydarzyło się służącym Stelnickiego? Mężczyźni na wojnie zdolni są do wszystkiego. Martwiła się także o siebie. Gdyby któryś z Rosjan zgwałcił szlachciankę, niechybnie zamordowałby ją, by ukryć swą zbrodnię. Nawet gdyby tego nie zrobił, ona i tak nie chciałaby dłużej żyć.

Na kilka godzin zapadła cisza, dokuczliwa niczym lejący się z nieba żar. Dziecko, wyczerpane płaczem, zasnęło.

Wreszcie z korytarza dobiegł ich uszu odgłos ciężkich męskich kroków. Otwarto drzwi i do pokoju wszedł młody oficer.

- Pani Grońska - powiedział, najwidoczniej orientując się, która to z nich - pani i pani służące pójdą ze mną. Możecie wrócić do majątku.

Mówił doskonałą polszczyzną.

- A moja siostrzenica, hrabina Grawlińska?

- Nie mam co do niej rozkazów.

- Zatem ja także zostanę.

- Musisz jechać, ciociu. Nie martw się o mnie. Szybko, zabierz stąd Martę i jej córki. To jedyna szansa, by uniknąć nieszczęścia.

- Porozmawiam z tym, kto tu dowodzi. Nie martw się, Anno, pojedziesz z nami.

Została sama. Czas płynął powoli. Kiedy minęło pół godziny i nadal nic się nie działo, przyłożyła ucho do drzwi. Ciotka kłóciła się z kimś na dole.

- Ale dlaczego to robisz? - dopytywała się. Brzmiało to dziwnie, jakby znała swego rozmówcę. Ale jak to możliwe?

Na chwilę wszystko ucichło, a potem na bocznym podwórku zaczął się ruch. Anna podeszła do okna. Przygotowywano powóz Grońskich i furmanki.

Na pewno zaraz po mnie przyjdą, pomyślała, spokojnie ubierając synka.

Znów usłyszała kroki na schodach. Otwarto drzwi i do pokoju weszła Katarzyna, zapłakana i drżąca. Wartownik pozostał za drzwiami. Dziewczyna niosła dużą płócienną torbę w kształcie worka. Ciotka trzymała w niej robótkę. Teraz worek był pusty.

- O co chodzi, Katarzyno? - szepnęła Anna. - Powiedz mi!

- Przyszłam po dziecko. - Dziewczyna mówiła jak w transie. - Pani Grońska powiedziała, że oni nie wiedzą, iż mały Jan Michał tu jest.

Nagle służąca, nie mogąc już dłużej znieść napięcia, zaczęła szlochać.

- Tak bardzo się boję. Och, nie sądzę, bym była w stanie to zrobić, madame, naprawdę nie sądzę!

- Dlaczego przyszłaś po dziecko, Katarzyno? Dokąd je zabierzesz? Co stanie się ze mną?

- Tak się boję, madame. Tak bardzo się boję.

Anna uświadomiła sobie, że niczego więcej się nie dowie. Podeszła do okna. Zobaczyła Martę i Marcelinę. A potem w polu widzenia ukazała się hrabina. Wróciła do Katarzyny.

- Masz wynieść dziecko w torbie, tak, Katarzyno?

Dziewczyna skinęła głową.

- Życie mojego syna zależy od tego, jak się zachowasz, rozumiesz? - Potrząsnęła dziewczyną. - Rozumiesz?

- Tak, madame - odparła Katarzyna, pociągając nosem. Wyglądało na to, że zdołała się już nieco opanować.

Dziecko nadal spało. Anna ułożyła je ostrożnie w worku, musnąwszy wpieryw czoło syna pocałunkiem.

- Doskonale, Katarzyno, bierz go i idź. Bóg da ci odwagę. Uważaj tylko, by nie obudzić małego.

Dziewczyna wyszła.

Anna usłyszała szcęk zamka. Wstrzymując oddech, przysłuchiwała się odgłosom kroków u stóp schodów. Czy dziewczynę przepytowano? Czy dziecko obudzi się i, przestraszone, zapłacze?

Odruchowo uniosła rękę, by przeczesać nimi nerwowo włosy, jak czyniła to w dzieciństwie. Odgłosy umilkły, opuściła więc dłonie.

Podbiegła do okna i wychyliła się mocno, starając się dostrzec powóz. Na furmankach siedziały kobiety z majątku Grońskich. Wyglądało na to, że hrabina zdążyła wsiąść już do powozu.

Patrzyła, bojąc się nawet mrugnąć, jak Katarzyna toruje sobie ostrożnie drogę. Stanisław wychylił się z kozła i wziął od dziewczyny worek. Śpij, malutki, śpij, błagała w myślach synka. Jeszcze trochę. Marta wyciągnęła silne dłonie i przejęła torbę. Drzwi powozu zamknęły się i Katarzyna ruszyła ku pierwszej furmance.

Powóz potoczył się pylistym podjazdem, zrazu powoli, potem coraz szybciej. Anna patrzyła, dopóki pojazd nie zniknął jej z oczu... i dopóki dało się go słyszeć. A wtedy, do cna wyczerpana, osunęła się na podłogę przy oknie.

Dopiero teraz, pewna bezpieczeństwa innych, zaczęła obawiać się o siebie. Dlaczego oddzielono ją od pozostałych i pozostawiono w majątku Stelnickich? Rosyjski kapitan powiedział, że dom ma zostać zniszczony. Co się z nią wtedy stanie?

Mijały godziny. Nim zapadła noc, Anna była już głodna i bardzo potrzebowała skorzystać z nocnika. W pokoju niczego takiego nie było. Zapukała zatem w drzwi.

- Potrzebuję, by mi usłużono! - zawołała.

Usłyszała odgłos ciężkich kroków, stąpających w tę i z powrotem, a potem odległe głosy. Zawołała ponownie.

W końcu drzwi otworzyły się. Za nimi stał nieznany jej wartownik, a za jego plecami kuliła się jedna ze służących Jana Stelnickiego.

- Gdy pani skończy, pójdzie pani za mną - powiedział wartownik.

Kiedy znalazły się w pokoju, który zajmowała w nocy, próbowała wypytać dziewczynę, lecz ta stanęła twarzą do ściany i nie odpowiadała. Z początku Anna sądziła, że służąca musi być niespełna rozumu, lecz szybko uświadomiła sobie, że jest po prostu śmiertelnie przerażona. Gdy wyszły z pokoju, dziewczynę odprawiono, a ona ruszyła za wartownikiem do salonu na parterze.

- Jestem bardzo głodna - powiedziała. Rosjanin zignorował ją.

Sześcioramenny kandelabr oświetlał jedynie część pokoju. Grupa mężczyzn otaczała sofę ze spoczywającym na niej mężczyzną, który wyglądał, jakby był ciężko ranny. Zajmował się nim wojskowy chirurg.

Wartownik, który przyprowadził Annę, popchnął ją ku grupce mężczyzn. Postąpiła w przód, unikając skupiania wzroku na kimkolwiek i czymkolwiek.

Kilku mężczyzn odstąpiło na bok, odsłaniając leżącego na sofie brodatego mężczyznę z okropną czerwoną dziurą w piersi.

Popchnięto ją do samego skraju sofy, lecz nadal nie spojrzała na pacjenta.

- Ona tu jest - powiedział ktoś do rannego spoczywającego na sofie. Mężczyzna odwrócił głowę i Anna poczuła na sobie jego wzrok.

Nadal patrzyła w podłogę.

- Potrzymasz mnie za rękę, kiedy chirurg będzie opatrywał ranę - powiedział mężczyzna rozkazująco. Wyciągnął szybko rękę, pochwycił dłoń Anny i o mało nie zmiażdżył jej w uścisku. Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć. Dlaczego to ją spotyka?

W miarę jak chirurg zajmował się pacjentem, ten coraz mocniej ścisnął dłoń Anny. A gdy do rany przyłożono gorące żelazo, by ją odkazić, ranny wrzasnął z bólu i uniósł się na pościeli.

Powodowana litością i współczuciem, jakie żywiłaby wobec każdego cierpiącego stworzenia, spojrzała wreszcie na rannego mężczyznę.

To, co zobaczyła, sprawiło, że zapomniała o żelaznym uścisku i paznokciu, wbijającym się jej boleśnie w kciuk. Nie czuła też smrodu przypalanego ciała. Powieki mężczyzny rozwarły się na moment z bólu oraz pod wpływem szoku i Anna zobaczyła ukryte dotąd pod nimi czerwone obrzęte oczy.

Nie był kimś obcym. To on był tym, który... który zaatakował ją we wrześnie... nad stawem. Zabrakło jej tchu. Zobaczyła, jak mężczyzna uśmiecha się mimo bólu, świadom, że został rozpoznany.

Straciła przytomność, ujrawszy swego kuzyna Waltera.

Rozdział pięćdziesiąty szósty.

Powoli wracała jej świadomość. Słyszała skrzypienie drzwi i przybliżające się, a potem oddalające kroki. Kiedy usłyszała, że drzwi znowu się zamykają, odważyła się uchylić powieki.

Znajdowała się w tym samym, co przedtem, pokoju. Rzucono ją niedbale na łóżko, tak że głowa zwisała jej nad podłogą. Uniosła się nieco i zobaczyła, że na stoliku obok łóżka ktoś postawił tacę z jedzeniem.

Choć była rozpaczliwie głodna, nie mogła zmusić się, by usiąść i zacząć jeść. Mogła jedynie myśleć o Walterze. Zgwałcił ją własny kuzyn. Co prawda wiedziała już, że nie jest on rodzonym synem Grońskich, lecz co za różnica?

Jak to możliwe, że nie domyśliła się, kto jej to zrobił? Nie odgadła? Wspomnienie wpatrzonych w nią uparcie oczu powinno było uświadomić jej, że te same oczy przyglądały się jej bezczelnie ponad stołem w domu wujostwa. Najwidoczniej coś, jakaś część jej umysłu powstrzymywała ją przed tym skojarzeniem.

Cóż, teraz prawda wyszła na jaw. I żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawy, ojciec jej dziecka nadal służył Katarzynie, która próbowała zagarnąć Polskę. Hrabina Grońska rzeczywiście знаła mężczyznę, z którym się kłóciła. Był jej synem! Nic dziwnego, że wpadła w gniew. Walter musiał wyznać, że to on jest ojcem dziecka i że zamierza zatrzymać przy sobie Annę. Przekonawszy się, że nie zdoła go od tego odwieść, hrabina postarała się przynajmniej zabrać dziecko, wykazując przy tym nie byle jaką przytomność umysłu. Nigdy nie będzie w stanie odwdzińczyć się ciotce za ten przejaw sprytu i rozsądku.

Usiadła z wysiłkiem na skraju łóżka, obok stolika z tacą. Bała się, że zwróci przyniesiony jej pasztet, lecz jakoś udało jej się tego uniknąć. Popiła jedzenie wodą, a potem kwaśnym mlekiem. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy musiała znów wezwać pomoc. Jedzenie nie posłużyło jej i rozchorowała się.

Rankiem obudził ją głos Lilki, gospodyni Jana.

- Przyniosłam coś na śniadanie, pani Grawlińska.

- Dziękuję - wyszeptała z trudem Anna, zanim służąca wymknęła się z pokoju. Staruszka przypominała jej Lutiszę, tyle że była od niej znacznie szczuplejsza.

Uświadomiła sobie, że czuje się lepiej.

Po jakimś czasie zjawił się oficer, który przyszedł poprzedniego dnia po hrabinę Grońską. Mówił po polsku zbyt dobrze, jak na Rosjanina. Anna podejrzewała, że musi być, jak Walter, polskim najemnikiem.

- Polecono mi zebrać razem wszystkie kobiety. Wyszła za nim z pokoju.

Na dole rozkazano jej, by ustawiła się razem ze służącymi, a potem poprowadzono je do salonu, gdzie, wsparty na poduszkach, spoczywał na sofie Walter.

Anna nie mogła znieść myśli, że musi stać przed nim jak żebraczka. Kusiło ją, by splunąć mu w twarz. Trzymała jednak gniew na wodzy.

Osiem czy dziewięć kobiet stało sztywno w szeregu, popłakując ze strachu przed mężczyzną leżącym na sofie z rozpiętą koszulą, odsłaniającą porośniętą ciemnymi włosami pierś i splamione krwią bandażę.

Walter natychmiast zauważył Annę.

- Podejdź tutaj!

Kobiety wydawały się zdziwione, że traktuje ją w ten sposób.

Postąpiła dwa kroki do przodu. Za wszelką cenę starała się stać prosto, z uniesioną głową.

- Powiedziałem, chodź tutaj! - Spróbował pochwycić jej dłoń, lecz skrzywił się z bólu i cofnął rękę.

Anna nie poruszyła się.

Wściekły, wyciągnął znów dłoń, chwycił ją i pociągnął ku sobie.

Spróbowała się uwolnić. Zaparła się nogami, a wtedy on nagle ją puścił. Upadła ciężko na podłogę. Pomimo bólu Walter roześmiał się i znów złapał Annę za ramię. Pociągnął ją ku sobie, trącając jednocześnie butem w bok.

- Zdepczę ją - oznajmił - tak jak zdepczę każdego, kto okaże się dość głupi, by mi się sprzeciwić.

W pokoju zapadła cisza. Kobiety zamarły ze strachu. Wszystkie, poza Lilką, która spoglądała na grożącego im oficera z ledwie maskowaną pogardą w niebieskich oczach. Anna uświadomiła sobie, że służąca musiała znać Waltera, który dorastał przecież w sąsiednim majątku.

Powstrzymała łzy i stłumiła cisnący się na usta krzyk.

- Jestem kapitan Groński - powiedział. - Będziecie usługiwać mi i wykonywać moje polecenia! Ten dom zostaje zajęty w imieniu Katarzyny, carycy Rosji.

Kobiety wpatrywały się w niego, ich twarze były niczym chór z greckiej tragedii.

- Ty, stara... - warknął.

- Lilka - ośmieliła się powiedzieć służąca, występując przed szereg.

- Dopilnujesz, by moi ludzie mieli co jeść i wszystko, czego im trzeba. Jest nas dwudziestu. Macie pracować od świtu do zmierzchu, słyszysz? A w nocy

nie wolno wam marnować świec ani latarni. Za każdą, która zbiegnie, pozostałe stracą po palcu. Zrozumiano? Nie będziecie przyjmować poleceń od tej tu hrabiny; ona jest w tym domu tylko więźniem. Jeśli ucieknie, wszystkie umrzecie. A teraz do roboty! No już, ruszać się!

Kiedy kobiety pośpieszyły do kuchni, Walter puścił Annę. Odczołgała się o kilka kroków i wstała.

- Jestem stronniczką Katarzyny! - zawołała. - Moje nazwisko widnieje na dokumentach konfederacji. Nie masz prawa mnie tu więzić!

- Ty stronniczką Katarzyny? - zapytał szyderczo. - To pomysł Zofii, bez wątpienia. A jak myślisz, kto jej go podsunął?

- Ty?

- Tak.

- W Zamku, tamtej nocy. Naprawdę cię wtedy widziałam! Roześmiał się.

- Zapomniałaś o naszym związku?

- To ty byłeś...

- Tak, Aniu, to byłem ja, na miłość boską. A teraz, gdzie jest mój syn? Idź na górę i przynieś go.

- Dziecka tu nie ma.

- Jak to nie ma? Łżesz. Natychmiast go przynieś!

- Mój syn jest w Warszawie.

- W Warszawie? Traktujesz go jak bękarta?

- A czy nie tym właśnie by był, gdybym nie wyszła za Antoniego? Twoim bękartem.

Walter wbił w nią gniewny wzrok, a potem nagle się roześmiał.

- Masz więcej hartu i odwagi, niż podejrzewałem, kuzynko.

- Mój syn nie jest traktowany jak bękart. Wszyscy troskliwie się nim opiekujemy.

- Zatem dlaczego nie zabrałaś go ze sobą na wieś? - zapytał, mrużąc oczy.

- Chciałam, lecz Zofia i ciotka uparły się, że powinnam pojechać sama i odzyskać tu siły. Dziecko jest chorowite i zbyt małe na taką podróż. Zostało w mieście z mamką.

Czy jej uwierzy? I do czego byłby zdolny, gdyby dowiedział się, że dziecko zostało wykradzione z majątku, i to przez jego własną matkę? Anna modliła się w duchu, by hrabina zabrała małego do Warszawy. W Haliczu nikt nie mógł już czuć się bezpiecznie.

Wypytał ją nieco dokładniej, Walter niechętnie porzucił temat. Przyniesiono krzesło i polecił jej, by usiadła u jego boku, po czym zaczął

rozwódzić się o tym, jak został awansowany na kapitana. Przechwalał się swoją władzą i tym, co robi dla carycy. Od czasu do czasu pytał o coś Annę, a ona odpowiadała najbardziej powściągliwie, jak umiała. Nie czuła się już fizycznie zagrożona. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że Walter próbuje zbudować pomiędzy nimi swego rodzaju więź. O co mu chodzi? Bała się nawet o tym myśleć.

Co jakiś czas wydawał podwładnym rozkazy. Anna dowiedziała się, że pierwszy kapitan wyjechał wraz ze swymi ludźmi, zostawiając Waltera i jego oddziałek, w tym kilku rannych. Na wieść o tym, że rosyjskiego kapitana nie ma już w majątku, odetchnęła z ulgą, nie tylko dlatego, iż pożądlawie się jej przyglądał, ale że widział dziecko.

W pewnej chwili do pokoju wszedł mówiący doskonale po polsku oficer. Serce w niej zamarło. Czy oficer zauważył śpiące niemowlę, gdy przyszedł po ciotkę i pozostałe kobiety? Błagała Boga, by tak się nie stało. A jeśli już zauważył małego, jaka mogła być szansa na to, że wspomni o nim Walterowi? I co ze służbą Jana? Wszystkie kobiety widziały dziecko, zachwyciły się nim.

Na razie Walter zdawał się zbyt owładnięty bólem. Być może zmęczyła go rozmowa; tak czy inaczej Anna została odprawiona.

Przy pierwszej okazji poprosiła Lilkę, by nie wspominała o Janie Michale i nakłoniła do milczenia pozostałe kobiety. Służąca skinęła ze zrozumieniem głową.

- Pani ciotka już nam o tym mówiła. Pozostałe przysięgły, że nie pisną ani słówka.

- Rozpoznałaś go? - spytała Anna. - Waltera?

- Tak, proszę pani. Już kiedy był chłopcem, wiedziałam, że nie wyrośnie z niego nic dobrego. Proszę mi wybaczyć, ale to diabelskie nasienie.

Jakże prawdziwe jest powiedzenie, pomyślała Anna, mówiące, że nikt lepiej nie orientuje się w tym, co dzieje się w domu, niż służba.

Dnie mijały i oficer nie wspomniał Walterowi o dziecku. Zaczęła wierzyć, że go nie zauważył.

Hrabina Berezowska pozostała uwięziona w pokoju na piętrze. Lilka ukradkiem poinformowała ją, że ciotka Stella wyjechała z dzieckiem do Warszawy. Anna odetchnęła z ulgą.

Z okna obserwowała, jak krajobraz wybucha feerią kolorów, nim zamrze na zimę. Kolejne tygodnie spadały z kalendarza niczym liście z drzew, a koło pór roku nieustannie się obracało.

Tylko Rosjanom wolno było jeść mięso. Anna podejrzewała, że był to rodzaj tortury, który Walter wymyślił, by jej dokuczyć, lecz nie zaprotestowała. Nie chciała dawać mu satysfakcji. Zresztą po jakimś czasie nie było już o czym mówić, ponieważ zwierzęta, których nie zarżnięto, zdechły z braku opieki.

Lilka robiła, co w jej mocy, by hrabina nie głodowała, lecz postne jedzenie było bardzo monotonne. Śniadanie składało się z kaszy na mleku i czasami owocu, świeżego lub suszonego. Obiadu nie było w ogóle, na kolację zaś dostawała nieodmiennie czarny chleb, jarzyny i żur, zazwyczaj podawany w poście. W Sochaczewie Anna nieraz pomagała nastawiać żur, przygotowywany ze sfermentowanej żytniej mąki i podawany z gotowanymi ziemniakami. Tradycyjnie pod koniec postu wielki garniec, używany do przygotowywania żuru, zostawał uroczyście rozbity - tak bardzo wszyscy mieli już dość tej potrawy. W ciągu tych wielu miesięcy spędzonych w majątku Stelnickich nawet tłuczenie garnka nie przerwało monotonii codziennego bytowania.

Od czasu do czasu pozwalano Annie czytać książki z biblioteki na dole. Była to prawdziwa uczta, choć jedynie dla ducha. Przeczytała wszystkie zgromadzone tam dzieła francuskiego pisarza Woltera. Podobało się jej, że historie, które opisywał, stanowiły mądre wymyślone przypowieści, ujawniające słabości i niedostatki ludzkiego charakteru. Pisząc o nietolerancji, Wolter sugerował, że niewiele da się zrobić, by osłabić odwieczną moc jej działania. „Jeśli tylko możesz, uciekaj”, radził.

Ucieczka.

Codziennie musiała siadywać u boku Waltera. Stan jego zdrowia powoli się poprawiał. Anna przekonała się, że przepęlnia go duma i ambicja. Bez przerwy rozprawiał o swojej roli jako ważnego łącznika pomiędzy carycą a królem Stanisławem. Podejrzewała, że jest po prostu tłumaczem, lecz sądząc z tego, co mówił, miał posłuch u samej Katarzyny i pewnego dnia zostanie liczącą się postacią w polsko-rosyjskiej polityce.

Anna prawie się nie odzywała, co nieodmiennie doprowadzało go do wściekłości.

Pewnego dnia dał jej do zrozumienia, że zna jakiś sekret. Udawała, że nic ją to nie obchodzi, choć była ciekawa.

- Być może zainteresują cię ostatnie nowiny, Anno - powiedział w końcu. - Siły Kościuszki zostały odparte przez armię carycy.

Nie uwierzyła mu. Nie chciała uwierzyć. Czy bojowy duch patriotów mógł zostać złamany przez ludzi pokroju Waltera? Gdzie jest Jan? Czy nic mu nie grozi?

- Spodziewam się, że niedługo będę musiał wrócić do Rosji - dodał Walter, gdy nie zareagowała na wcześniejsze rewelacje.

Wiedziała, że się z nią drażni. Starła się ukryć rosnącą nadzieję. Czy pozwolą jej wrócić do Warszawy?

- Musisz posłać po dziecko - powiedział.

- Co takiego? - spytała bez tchu.

- Trzeba go tu natychmiast sprowadzić.

- Walterze, dziecko jest zbyt małe... i chorowite.

- Moje dziecko nie może być chorowite. Spójrz tylko na nas, Anno. Jego rodzice zostali stworzeni, by przetrwać. On też taki będzie.

Potem wyjawiał jej swoje plany. Ona i Jan Michał mieli zamieszkać w Petersburgu. Walter zamierzał dać dziecku swoje nazwisko, lecz nie planował żenić się z Anną. Zagroziłoby to jego pozycji na dworze. Syn miałby pozostać bękartem.

Annie kręciło się w głowie od tego, co powiedział, a zwłaszcza, co pominął. Dziękowała w duszy Bogu, że Walter nie zamierza się z nią żenić. Lecz kim miała dla niego być? Oficjalną kochanką? Czy sądził, że ona się na to zgodzi?

- Wolę, by mój syn był bękartem - dowodził tymczasem. - Historia pełna jest przykładów na to, że bękarty zdobywały wpływy i olbrzymią władzę.

- Spodziewasz się, że pojedę do Rosji i będę go dla ciebie wychowywała?

- Rozczarowujesz mnie, Anno. Oczywiście, to będzie wyłącznie twój wybór. Uznałem za pewnik, że nie pozwoliłabyś, by kto inny wychowywał twego syna. Lecz, sądząc po tym, że zostawiłaś go w Warszawie, być może nie jesteś typem macierzyńskim?

To dla niego tylko gra, uświadomiła sobie. Zaszachował ją, a teraz bawi się, zaganiając z jednego pola na inne. Rozgniewana, zerwała się na równe nogi.

- Prędzej zabiję siebie i syna, niż pozwolę, byś zabrał nas do Petersburga!

- Ty, Anno? - roześmiał się Walter. - W roli Medei? Nie wyglądasz mi na to.

Umknęła do swego przypominającego celę pokoiku, rozmyślając o tym, że brawura nic jej nie dała, a jemu dostarczyła kolejnej porcji rozrywki.

Zrozpaczona i wściekła, rzuciła się na łóżko.

„Jeśli tylko możesz, uciekaj”.

Po południu, gdy odmówiła zejścia na dół, sprowadzono ją tam siłą. Na stole leżał już papier i pióro. Miała napisać do ciotki i Zofii, żądając, by natychmiast przysłały dziecko.

Kiedy ostrzeżenia ani miotane pod jej adresem groźby nie poskutkowały, Walter kazał sprowadzić Lilkę. A potem spokojnym, konwersacyjnym tonem zagroził, że za każdy dzień zwłoki utnie Lilce jeden palec. Dopilnował też, by wojskowy chirurg znajdował się w pobliżu.

- Proszę się mną nie przejmować - powiedziała Lilka z zawziętą miną.

Jednak, pomimo jej brawury, Anna sięgnęła po pióro.

Z każdym mijającym dniem coraz bardziej obawiała się chwili, gdy Jan Michał dostanie się w ręce Waltera.

Tymczasem jego nastrój pogarszał się, a cierpliwość była na wyczerpaniu. Podwładni, podobnie jak służebne, stąpali na palcach, obawiając się gniewu dowódcy. Rana bardzo mu dokuczwała i zaczął nawet przebąkiwać, że chyba powinien wybrać się do Warszawy, zasięgnąć rady innego lekarza.

W trzy tygodnie po tym, jak wysłano list, Annę obudził chrzęst żwiru na podjeździe. Czy właśnie tej chwili tak się obawiała? Czy Jan Michał znajduje się w powozie?

Gdy zawołała, wartownik otworzył drzwi.

Zbiegła po schodach, nie bacząc na rozwianą fryzurę i to, że ma na sobie jedynie szlafrok.

Przed Walterem stał samotny posłaniec.

Ani śladu Jana Michała.

- Mam list dla hrabiny Grawlińskiej-Berezowskiej - powiedział młodzieniec, wyjmując kopertę ze skórzanej torby na dokumenty.

- Gdzie dziecko? - dopytywał się Walter.

- Mam tylko list - odparł mężczyzna, zaciekawiony.

- Ja jestem hrabina Grawlińska-Berezowska - powiedziała Anna, wyciągając drżącą rękę, by wziąć list. Miast spodziewanej ulgi targnęło ją przecucie czegoś strasznego i nieodwracalnego.

Walter wyrwał posłańcowi list i wszedł do salonu. Ruszyła pośpiesznie za nim. Otworzył list i przeczytał go, a potem spojrzął na Annę. Jego twarz ponad czarną brodą przybrała barwę popiołu.

Posłaniec wszedł za nimi do salonu.

- Zaczekaj w holu! I zamknij za sobą drzwi! - warknął na niego Walter.

Mężczyzna wycofał się niezwłocznie.

- Co się stało? - spytała Anna, czując, jak serce tłucze się jej w piersi.

Spojrzał na nią z twarzą wykrzywioną wściekłością. Zgniół pergamin i rzucił go jej.

Szybko rozwinęła list i wygładziła go.

Najdroższa kuzynko Anno,

Dobry Bóg zabrał do siebie twoje dziecko, Jana Michała. Malec połknął przypadkiem moją szmaragdową szpilką. Pochowano go w zeszłą niedzielą z pełnym błogosławieństwem Boga i Jego Kościoła.

Wysłałam wiadomość powozem, byś mogła wrócić do tych, którzy dzielą z tobą ból straty.

Z wyrazami miłości i nadziei

Zofia

Jan Michał nie żyje... Annie zaschło w gardle. Bezmyślnie wpatrywała się w list, nie widząc słów. Jej syn nie żyje. Jak to możliwe? Bóg nie dopuściłby, by stała się taka tragedia.

- Jan Michał! - krzyknęła, odzyskując głos. - Moje dziecko! To nie może być prawda!

Zesztywniała z bólu patrzyła, jak jej dłonie drą pergamin, jakby zniszczenie listu mogło unieważnić to, co było w nim napisane.

- Nie! Nie Jan Michał!

Krzyk umilkł nagle, kiedy coś uderzyło ją mocno w ramię. Przeleciała przez pokój i uderzyła plecami o ścianę. Spojrzała w górę i zobaczyła stojącego nad nią Waltera. W dłoni trzymał bagnet. Twarz ponad brodą nie była już biała, lecz czerwona z gniewu.

Annę nie obchodziło, czy bagnet przeszyje za chwilę jej serce. Walter tylko ulżyłby jej w ten sposób w bólu.

- Nie pozwoliłeś mi pojechać do syna! - wrzeszczała. - A teraz on nie żyje! Zabiła go twoja siostra!

Łzy, powstrzymywane od tak dawna, zakłuły ją pod powiekami, lecz nie pozwoliła im popłynąć.

Walter podniósł strzępy listu, ścisnął je w dłoni i odrzucił, wbijając wzrok w Annę.

- Do diabła z tobą! Z tobą i twoim synem, skoro okazał się tak głupi! Urodzisz mi innego.

- Nigdy! - krzyknęła, spluwając.

Spojrzał na plwocinę na rękawie swojej koszuli, a potem na Annę.

- Kiedy nadejdzie czas, będziesz inaczej śpiewać. Odrzucił bagnet i wyszedł do holu porozmawiać z posłańcem.

Próbując zapanować nad rozpaczą, ukłękła. Spojrzała na bagnet, żałując, że nie ma dość sił, by użyć go przeciwko Walterowi - lub sobie.

Błysk ostrza sprawił, że pomyślała o szpilce. Jak bardzo musiał cierpieć jej syn, nim śmierć zabrała jego duszyczkę! Jak Zofia mogła być tak nieuważna? I jakie to do niej podobne, by w tak dosadny sposób opisać, co się zdarzyło.

Szmaragdowa szpilka. Anna zamarła. Kuzynka nie miała szmaragdowej szpilki. Klejnot spoczywał w szkatułce z gołębicą. Szkatułka zaś znajdowała się w jej małym pokoiku, ukryta na dnie szafy.

Szpilka była na górze, a Jan Michał żył. Już samo to słowo pulsowało radością istnienia. List miał jedynie oszukać Waltera, przekonać go, że syn nie żyje. Sprytna Zofia nie zabiła Jana Michała. Ona go uratowała!

Anna zalała się łzami, lecz były to łzy radości i ulgi, poza tym nikt ich nie widział. Jej syn żył, a niczego nie podejrzewający Walter został wyprowadzony w pole.

Powoli do jej świadomości zaczęły docierać stłumione głosy. W holu Walter odprawiał posłańca.

- Lecz powiedziano mi - nalegał młodzieniec - że hrabina Berezowska będzie chciała wrócić do Warszawy. Dlatego wysłano powóz.

- Hrabina nie wróci do Warszawy! - ryknął Walter. - A teraz odejdz. Jeśli zostaniesz na ziemi tego zdrajcy jeszcze choć dwie minuty, każę cię rozstrzelać!

Anna uświadomiła sobie, że perspektywa wolności oddala się nieubłaganie. Wpadła do holu, ocierając łzy.

- Walterze! Pozwól mi wrócić do Warszawy. Błagam, pozwól mi jechać!

Walter odwrócił się i spojrzał na nią.

- Popatrz tylko na siebie, kuzynko. Nie jesteś w stanie podróżować.

Błagała go nadal, lecz bezskutecznie, a po chwili usłyszała turkot kół oddalającego się powozu. Ruszyła ku drzwiom, lecz Walter podstawił jej nogę, sprawiając, że padła jak długa na podłogę.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy.

Plany wyjazdu do Petersburga i zabrania tam Anny trzeba było odłożyć. Walter został wezwany do Warszawy, gdzie miał służyć pomocą podczas formułowania warunków traktatu pokojowego pomiędzy Polską a Rosją. Zabrał jedynie połowę swych ludzi. Reszta miała pozostać w majątku Stelnickich.

Anna błagała, by wziął ją ze sobą, lecz odmówił. Pomimo przekonania, że jego syn nie żyje, nadal upierał się, by zabrać Annę do Petersburga i tam uczynić z niej swoją kochankę. Gdy nalegała, spoliczkował ją, a potem bił niemal do utraty przytomności.

Siniaki zniknęły dopiero po kilku tygodniach. Tymczasem nadeszła zima i zarówno dla ciemężycieli, jak i więzionych nadszedł rok 1793.

W pokoju było bardzo zimno. Drewno racjonowali żołnierze, którzy najwidoczniej nie mieli pojęcia o rąbaniu szczap. Rano zjawiała się służąca z naręczem drew, które miały wystarczyć na cały dzień. Utrzymanie ciepła za pomocą tak mizernej ilości opału było niewykonalne. Nawet mityczny Syzyf nie mógłby otrzymać bardziej niemożliwego do wypełnienia zadania, rozmyślała, próbując podsycić ogień. Zresztą nawet gdy płonął, w pokoju i tak panował dokuczliwy ziąb.

Nie zezwolono jej na utrzymywanie korespondencji. Wiedziała, że listy przychodzą lecz przejmowano je, nim do niej dotarły.

Czy Walter skontaktuje się z matką podczas pobytu w Warszawie? Czy ciotce i kuzynce uda się zachować w tajemnicy fakt, że Jan Michał żyje? Jak miewa się jej syn?

I Jan. Czy jest bezpieczny? Jeśli żyje, nie może wiedzieć, że Anna jest więziona w jego domu. Czy ironia tej sytuacji nie świadczy o tym, że bogowie z nich zadrwili?

Porucznik Szymon Borawiecki, młody polski najemnik, którego Walter mianował swoim zastępcą i dowódcą pozostałych ośmiu czy dziesięciu żołnierzy, stał się dla niej źródłem informacji o tym, co działo się w Polsce i Europie.

Dwudziestego pierwszego stycznia król Ludwik XVI wspiał się na stopnie gilotyny. Choć dla wielu nie było to zbyt dużym zaskoczeniem, wiadomość zaszokowała Annę. Porucznik Borawiecki przepowiadał, że królowa Maria Antonina wkrótce podąży na szafot za mężem.

Oczy wszystkich monarchów w Europie musiały być w tym czasie zwrócone na Paryż. Nie rokowało to dobrze polskiemu ruchowi patriotycznemu. Anna zdawała sobie sprawę, iż stracenie francuskiego króla sprawi, że koronowane głowy Europy poczują się mniej pewnie, a ich obawa przed Polską i wprowadzanymi w niej demokratycznymi reformami wzrośnie. Z pewnością monarchowie nie będą chcieli dopuścić, by także ich lud zaczął siłą domagać się praw i ziemi. A niepewni swej przyszłości władcy użyją wszelkich dostępnych im środków i wpływów, by nowy porządek w Polsce został zgnieciony, jak kwiat pod żołnierskim butem.

Polacy nie radzili sobie zbyt dobrze, lecz Walter przedwcześnie ogłosił zwycięstwo Rosji. Pod przywództwem księcia Józefa Poniatowskiego oraz Tadeusza Kościuszki bohaterskie oddziały, odnoszące przez krótki czas sukcesy, teraz dzielnie się broniły. Lecz dwaj sojusznicy Polski, Austria i Prusy, które w 1791 roku obiecały jej bronić przed atakiem z zewnątrz, zdradzili. Nowy cesarz Austrii, Franciszek II, zarzucił politykę ojca, zakładającą wspieranie Polski. Fryderyk Wilhelm z Prus, jawnie pogwałcając poczynione przez siebie obietnice, odmówił zaangażowania się w obronę konstytucji, której rzekomo nigdy nie popierał.

Anna wspomniała ostrzeżenia Jana, wygłaszane rok wcześniej. Przypominając, że Austria i Prusy skorzystały na pierwszym rozbiórce Polski w roku 1772, kiedy to Halicz przeszedł we władanie Austrii, wskazywał, że chciwość rzadko maleje, przeciwnie, z czasem zwykle rośnie.

Opór Polski, dysponującej dzielnymi, lecz niewielkimi i naprędce skleconymi oddziałami, został w końcu stłumiony przez armię carycy. Jaką karę - egzekwowaną przy pomocy Waltera - nałoży ona na sejm i króla, miało się dopiero okazać.

Kościuszko i jego niewielkie, zdziesiątkowane oddziały, składające się ze szlachty i chłopów, wycofali się do Lipska, aby wyleczyć rany i dokonać przegrupowania. Anna modliła się, by mężczyźni z obu majątków przeżyli i wrócili bezpiecznie do domów. No i, oczywiście, Jan, o powrót którego nieustannie zanosila do Boga błagania i prośby.

Annie zezwolono, aby pod strażą korzystała przez godzinę dziennie z biblioteki. Często siadywał z nią tam porucznik Borawiecki. Była mu wdzięczna za towarzystwo i za to, że mogła z nim rozmawiać, przedstawiając swój punkt widzenia.

Pewnego dnia w połowie grudnia dyskutowali właśnie o przyszłości Polski. Porucznik argumentował, że zmiany nie będą znowu aż tak wielkie.

- Dobra strona sytuacji polega na tym - tłumaczył - że interwencja Katarzyny powstrzyma chłopstwo, jeśli miałyby ochotę się zbuntować. Nie wolno dopuścić, by i u nas zdarzyło się to, co we Francji.

- Zatem sądzi pan, że nasi chłopci też by powstałi?

- Dlaczego nie, skoro przekonali się, że lud może zgładzić króla Francji?

- Stało się tak z powodu ekscesów francuskiej arystokracji, poruczniku. Choć miałam okazję na własne oczy zobaczyć, co potrafią nasi arystokraci. Gdzie im tam do Francuzów. A demokratyczna reforma uspokoiłaby nastroje wśród pospólstwa.

- Kości dla psów?

- Z całą pewnością nie tylko. Prawdziwa reforma. Od dawna należne im prawa, własność ziemi, szacunek dla samych siebie.

- Niełatwo byłoby to przeprowadzić.

- Och nie, wcale nie! Ironia polega jednak na tym, że najbardziej chciwi spośród szlachty próbują ocalić dla siebie każdy skrawek, przekazując Polskę Katarzynie, która przyłączy ją całą do Rosji, jak zdziecinniała ze starości kobieta, doszywająca kolejny skrawek materiału do kołdry, która i tak jest już zbyt nieporęczna.

Porucznik skinął głową.

- Sądzę, że będzie oczekiwała czegoś w zamian.

- Będzie chciała Polski. Nie obchodzi to pana?

Porucznik wzruszył ramionami.

Anna przyglądała się przez chwilę jego zgrabnej chłopięcej sylwetce, brązowym falującym włosom, starannie ogolonej twarzy o nieco kanciastych rysach.

- Nie interesuje się pan polityką, poruczniku? Czy wyrzekł się pan polskiego obywatelstwa, by służyć Katarzynie?

- Nie, jestem Polakiem. Moi rodzice mają ziemię.

- A czy nietrudno pogodzić jedno z drugim? Być Polakiem, a zarazem rosyjskim żołnierzem? Nie czuje pan, że winien pozostać wierny ojczyźnie?

- Interesy obu krajów nie muszą stać ze sobą w sprzeczności.

- Och, ale tak właśnie jest! To Sprawa, której przewodzi Kościuszko, służy interesom prawdziwej Polski: dumnej, walecznej i niechętnej obcym rządóm. Kilka tygodni temu powiedział mi pan, że to żądza przygód sprawiła, iż został pan najemnikiem. Poruczniku, Kościuszko stoi na czele przygody bliskiej sercu każdego Polaka: walki o wolność.

Wstała, podeszła do półki i zdjęła z niej książkę.

- Czytał pan to?

- Republikę Platona? Tak, czytałem.

- Napisano w niej, że człowiek, który odmawia rządzenia, skazuje się tym samym na to, że będzie rządzony przez kogoś gorszego od siebie.

- Ach, to niezwykle mądra myśl.

- Zatem zgadza się pan...?

- Pani Grawlińska - westchnął porucznik. - Jest pani kobietą, podejrzewam, o zbyt idealistycznym nastawieniu.

- Sugeruje pan, że czegoś nie ogarniam.

- Można to wyjaśnić w prosty sposób.

- Więc proszę mi powiedzieć, poruczniku. Niech pan nie traktuje mnie protekcjonalnie.

- Jestem realistą. I jako taki zdaję sobie sprawę, że Kościuszko i ci, co za nim pójdą, choćby nie wiem jak szlachetni i patriotycznie nastawieni, będą skazani na porażkę. Gdyby tylko wiedziała pani, jakimi siłami dysponuje Katarzyna...

- Ale to sprowadza dyskusję do spraw podstawowych, czyż nie, poruczniku? Pan opowiedział się po stronie tych, którzy zwyciężają. Prawda? Powinien pan poprosić mego kuzyna Waltera, by poznał pana ze swoją siostrą. Z pewnością macie ze sobą wiele wspólnego.

- Ach, czyż nie powiadają, że to przeciwieństwa przyciągają się najmocniej?

Anna spojrzała na porucznika. Nietrudno było się domyślić, o co mu chodzi. Och, nie powinna czuć się zaskoczona. Zwłaszcza że starała się podtrzymać jego zainteresowanie na wiele subtelnych sposobów. A teraz on wyłożył karty.

Roześmiał się na wpół świadomie.

- Nie sądziła pani chyba, że zdoła zrobić ze mnie patriotę?

- Nie. Chciałabym prosić o coś innego. Uświadomiła sobie, że pod wpływem impulsu zaczęła rozgrywać własne karty.

- O co chodzi? Jeśli tylko nie wykroczy to poza zasięg mojej władzy...

- Władza. Znowu do tego wracamy.

- Rozmawia pani z człowiekiem, który nie ma jej zbyt wiele.

- Ma pan jej dość, by pozwolić mi odejść. Powiedziała to. Tak po prostu. Zaczerpnęła głęboko oddechu.

- Pani Grawlińska - powiedział porucznik, przeciągając głoski w jej nazwisku, jakby wypowiedzenie następnych słów miało sprawić mu ból - to po prostu niemożliwe.

- Musiałby pan tylko na chwilę odwrócić wzrok. Ja zajęłabym się resztą. Poruczniku, chcę odzyskać wolność.

- Nie mogę, proszę pani.

- Zabawiałam pana miesiącami, opowiadając historyjki i mity. Teraz chciałabym opowiedzieć panu prawdziwą historię... dotyczy ona Waltera.

Nie czekając, czy się zgodzi, zaczęła opowiadać, jak przyjechała do Halicza, o gwałcie nad stawem i o tym, jak to wydarzenie wpłynęło na jej życie.

Porucznik siedział spokojnie, oszołomiony.

- Teraz rozumiem, dlaczego aż tak go pani nienawidzi.

- Tak, a po tym wszystkim on teraz knuje, by zabrać mnie do Petersburga i tam zrobić ze mnie swoją kochankę.

- Lecz jeśli pani się nie zgodzi?

- A kto w tym zapomnianym przez Boga miejscu przyjdzie mi z pomocą? Kobiety, poza Katarzyną, nie mają tu władzy. Szymonie - powiedziała, po raz pierwszy posługując się jego imieniem i patrząc mu w oczy - proszę... proszę, pomóż mi.

- Pani Grawlińska, już pani pomogłem.

- Jak?

- Nie wspominając Walterowi, że dziecko tu było i że jakoś udało się pani przekazać je ciotce i wywieźć.

Westchnęła, zaskoczona.

- Pan wiedział? I milczał? Porucznik skinął głową.

- Pani Anno, myślę, że nie muszę pani tego mówić... sama pani wie, że zależy mi na pani. I gdybym mógł spełnić pani prośbę, zrobiłbym to. - Westchnął. - Lecz jestem bezsilny.

Anna wstała.

- Dziękuję, że nie powiedział pan Walterowi o moim synu, ale nie ryzykował pan niczego, zachowując milczenie.

Gra dobiegła końca.

- A teraz, gdyby mógł pan odprowadzić mnie do mego pokoju...

- Musi pani zrozumieć...

- Och, rozumiem. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Poruczniku Borowiecki, jeśli znajdzie się pan kiedyś w Warszawie, proponuję, by trzymał się pan z dala

od stołów do gry w faraona. W tej grze, czego by pan nie zrobił, i tak zwykle wygrywa bankier.

Później, kiedy znalazła się już w swym pokoju, pożałowała, że była wobec niego tak uszczypliwa. Nie miała racji. Prosiła o zbyt wiele. Wykorzystała fakt, że był nią zainteresowany, posłużyła się tym. Wiedziała, że gdyby pomógł jej uciec, Walter odebrałby mu patent oficerski, jeśli nie życie.

RS

Rozdział pięćdziesiąty ósmy.

Walter pozostał w Warszawie dłużej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Lato roku 1793 było suche i gorące. Nawet z okien małego, dusznego pokoiku na piętrze dało się zauważyć, jak bardzo spękana jest ziemia. Czasami o dom uderzały chmury pyłu, jakby Polska stała się pustynią. Krzewy i drzewa szybko zżółkły, a wiosenne trawy uschły. Wydawało się, że kraj, a wraz z nim cała przyroda smuci się z powodu rosyjskiej inwazji.

Od czasu, kiedy Anna przybyła do Uścia, by znaleźć tu więzienie, minął ponad rok.

Serce Anny zadrżało, kiedy dwudziestego sierpnia nadeszła wiadomość, że siedemnastego został podpisany traktat pokojowy. Dokument, opracowany w roku 1792, zyskał moc prawną: rosyjskie bagnety obaliły Konstytucję 3 maja i przywróciły przywileje szlachcie. Pod pretekstem obaw o to, iż Polska może stać się zarzewiem rewolucji, Katarzyna zażądała nowego rozbioru, tak znacząco pomniejszającego obszar kraju, że Polacy z nostalgią mogli myśleć o poprzednim.

Bezsilny i godny pożałowania król Stanisław podpisał traktat i poradził sejmowi, aby uczynił podobnie, gdyż opór nie ma sensu. Krążyły pogłoski, że król chciał abdykować, lecz Katarzyna, jego niegdysiejsza kochanka, nalegała, aby zatrzymał tytuł, nawet jeśli nie wiązała się już z nim żadna władza.

Zmuszony do tego sejm przyjął traktat, który oddawał we władanie Rosji olbrzymią część polskich ziem: całe wschodnie dzielnice od Inflant po Mołdawię. A kiedy sejm wielogodzinnym milczeniem zaprotestował przeciwko temu, by Prusy zagarnęły Wielkopolskę, Kujawy, Toruń i Gdańsk, zaprzędany zaborcom marszałek Stanisław Bieliński, nakłoniony do tego przez rosyjskiego ambasadora, oświadczył, że milczenie oznacza zgodę.

Anna mogła się jedynie domyślać, iż jako tłumacz rosyjskiego ambasadora Walter także odegrał rolę, jakkolwiek minimalną, w rozbiórce swojej ojczyzny. Była to gorzka myśl.

Polsce pozostawiono zaledwie jedną trzecią zajmowanych przez nią kiedyś ziem. Warszawa i to, co jeszcze nazywano Polską miało być okupowane. W małych miastach rozmieszczono garnizony, wiele wsi zostało złupionych. Najlżejszy opór oznaczał zesłanie na Syberię, zapomnianą przez Boga i ludzi, skutą wiecznym mrozem część Rosji, rządzoną przez wojsko.

Porucznik Borawiecki wyznał Annie, że kiedy Walter wróci do Uścia, oddział wyruszy do Petersburga.

Była bardziej niż pewna, że tak niegdyś gościnny dom Stelnickich zostanie zniszczony. Co stanie się ze służebnymi, które przetrwały wraz z nią? Anna nie miała wiadomości od nikogo z Warszawy, a zdawała sobie sprawę, że jeśli Walterowi uda się postawić na swoim, wkrótce znajdzie się w Petersburgu bez nadziei na to, że kiedykolwiek zobaczy swój dom, dziecko czy tych, których kochała.

„Uciekaj”, rada Woltera dźwięczała wciąż echem w jej głowie.

Żołnierze, a wraz z nimi Walter, przybyli w tydzień później.

Stało się to podczas codziennej wizyty Anny w bibliotece. Potem nieraz zastanawiała się, jak drobne sprawy mogą odmienić bieg czyjegoś życia. Gdyby mężczyźni wrócili godzinę wcześniej lub dziesięć minut później, byłaby zamknięta w swoim pokoju.

Tymczasem porucznik Borawiecki przebywał z nią akurat w bibliotece. W ciągu miesięcy, jakie minęły od pamiętnej rozmowy, mieli sobie coraz mniej do powiedzenia, toteż siedzieli w milczeniu, czytając.

W pierwszej chwili Anna pomyślała, iż dobiegł ją odgłos dalekiego gromu, i ucieszyła się, że burza zaspokoi wreszcie pragnienie wysuszonej ziemi. Lecz choć dźwięk się przybliżał, słońce nadal świeciło. Wreszcie domyśliła się, że słyszy tętent wielu końskich kopyt na stwardniałej od suszy ziemi.

Nie minęło wiele czasu, a w domu zapanowało poruszenie. Potem dało się słyszeć krzyki i przekleństwa. Oddział Waltera, znacznie powiększony, powrócił. Żołnierze byli pijani i samowolni.

- Proszę się nie obawiać - uspokajał Annę porucznik. - Bez wątpienia świętowali podpisanie traktatu i rychły powrót do Rosji.

Wstał i podszedł do drzwi.

- Proszę tu pozostać. Zatrzymam ich z dala od domu.

Nie będzie w stanie tego dokonać, pomyślała Anna, odrzucając książkę, gdy tylko za porucznikiem zamknęły się drzwi. Nic nie utrzyma Waltera z dala od niej.

Podbiegła do drzwi, odczekała, aż porucznik się oddali, i sięgnęła do klamki. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je i zerknęła do pokoju muzycznego. Wymknęła się z biblioteki i pobiegła niczym strzała przez kolejne pokoje, kierując się ku tylnej części domu i kuchni. Dwie podkuchenne wstrzymały oddech, widząc ją.

Sekundy później do kuchni wbiegła poprzez wahadłowe drzwi, dzielące ją od jadalni, inna służąca. Tuż za nią biegł rosyjski żołnierz. Chwycił dziewczynę w pasie i zarzuciwszy ją sobie na ramię, ruszył ku

pomieszczeniom dla służby. Anna wymieniła pełne strachu spojrzenia z dwiema służącymi. Wszystkie trzy zdawały sobie sprawę, co im grozi.

Do kuchni weszła Lilka i zaczęła uspokajać służące. Nie chciały jednak jej słuchać i wybiegły przez tylne drzwi.

- Wpadną im prosto w łapy - powiedziała Lilka. - Głuptasy.

- To szansa także dla mnie - powiedziała Anna. - Muszę ją wykorzystać.

- Proszę się zatrzymać! - zawołała staruszka.

Coś w jej głosie zaalarmowało Annę. Odwróciła się i zobaczyła, że Lilka śpieszy ku niej.

- Nie ma po co wychodzić z domu. Jest tam z setka mężczyzn. Wszyscy pijani i ogarnięci szaleństwem.

- Ale ja muszę się wydostać!

Od strony jadalni dobiegł je tupot ciężkich kroków. Służąca wepchnęła Annę do spiżarni w rogu kuchni.

- Proszę się tam ukryć - szepnęła, wskazując stos worków z ziarnem, zgromadzonych pod ścianą. - Dopóki nie odjadą!

Anna nadal się wahała, lecz kobieta wepchnęła ją stwardniałymi od pracy dłońmi za worki, zmuszając, by przykucnęła. Niemal w tej samej chwili drzwi zostały otwarte na oścież i do kuchni wtoczył się żołnierz, odpychając Lilkę.

- Z drogi, starucho!

- Nic ci się nie stało? - spytała Anna, gdy żołdak wyszedł tylnymi drzwiami.

- Proszę tam zostać - szepnęła służąca, poruszając głową z lewa na prawo niczym stary orzeł. Przekonawszy się, że są chwilowo bezpieczne, podeszła bliżej.

- Dziewczęta mnie nie posłuchały. Wybiegły, a tam nie ma się gdzie schować. Pani musi mnie wysłuchać. Jest tu kryjówka. Proszę pomóc mi przesunąć worek.

Anna pomogła i spod ciężkiego worka wyłoniła się kłapa, prowadząca do piwnicy.

- To piwnica na wędzonki - powiedziała Lilka, podnosząc klapę. - Proszę usiąść na skraju i zeskoczyć. Szybko!

Była to ostatnia rzecz, jaką miałyby ochotę zrobić. Bała się, że kiedy już znajdzie się w piwnicy, będzie bezbronna, pozbawiona możliwości ucieczki. Lecz silne, żyłaste dłonie ponaglały ją.

- Musi pani przeczekać tu, aż będzie bezpiecznie - mówiła staruszka swym piskliwym głosem. - Inaczej panią zabiją. Zgwałcą, a potem zabiją.

I nagle Anna siedziała już w kucki w piwnicy. Spojrzała w górę i zobaczyła, że Lilka podaje jej zapaloną świecę. Potem zaczęła zamykać klapę.

- Nie boisz się o siebie?

Kobieta chrząknęła tylko i spytała:

- A czego oni mogą chcieć ode mnie? - po czym na dobre zamknęła piwnicę.

Anna usłyszała jeszcze, jak służąca szepcze modlitwy, przesuając na miejsce worek.

Piwnica miała niecały metr wysokości. Było to wąskie pomieszczenie, sięgające od jadalni po fundament. W oddali pobłyskiwało światło. Wyjście?

Płomień świecy rozjaśniał ciemność na tyle, że mogła obejrzeć najbliższe otoczenie. Ponad jej głową pajęczyny kołysały się z wolna, unoszone ciepłem i dymem. Kielbasy i szynki, spowite w białe płótno, zwisały z belek sufitu.

Podłoga kuchni zatrzeszczała, a potem jęknęła pod ciężarem wielu mężczyzn. Przysłuchując się krzykom, odgłosom bieganiny, trzaskania drzwiami i tłuczenia szkła, mogła jedynie wyobrazić sobie, jaki chaos panuje w tej chwili na górze. Rosyjskie przekleństwa, które zdołała zrozumieć, były wyjątkowo plugawe i ohydne. Słyszała także krzyk mordowanych, jak jej się zdawało, kobiet.

- Boże, dopomóż! - zawołała. Padła na klepisko, przyciskając dłonie do uszu, by stłumić odgłosy tego, co działo się na górze.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, nim odważyła się je odsłonić. Od strony podwórka dobiegały ostro wykrzykiwane rozkazy i dźwięki trąbki. Konie rżały niespokojnie, uderzając kopytami o ziemię. Rosjanie zbierali się do odejścia.

Gdyby zdołała wytrzymać jeszcze trochę...

- Anno Mario! - dobiegło ją z góry.

Wstrzymała oddech. Walter! Był w jadalni, niemal tuż nad jej głową.

- Anno! - zawołał. A potem kroki oddaliły się, a głos ścielił w oddali. Sprawdzał pokoje na piętrze. I z pewnością szalał z wściekłości.

Anna spojrzała na światełko na końcu piwnicy. Wzięła świecę i poczołgała się w tamtą stronę.

Suknia znacznie spowalniała ruchy, szybko też otarła sobie dłonie i łokcie. A kiedy w końcu przebyła te dwadzieścia czy trzydzieści kroków, spotkało ją rozczarowanie. Światło przedostawało się przez małe okienko. Wybijanie szyby nie miało sensu, gdyż w oknie znajdowały się kraty, uniemożliwiające ucieczkę.

Odwróciła się i poczołgała z powrotem do wejścia.

- Anno! Anno! - gniewne nawoływania Waltera rozbrzmiewały teraz dokładnie nad jej głową.

Zatrzymała się, zmrożona dźwiękiem tego głosu. Musiała zacisnąć zęby na palcach, by stłumić wzbierającą w sercu rozpacz.

W domu uspokoiło się znacznie i nie słyszała już tak wielu hałasów. Za to na podwórku harmider wzrastał się z minuty na minutę. Mężczyźni szykowali się do odjazdu.

On nie zna tej kryjówki, uspokajała samą siebie. Mógł nawet dojść do wniosku, że uciekła już wcześniej, przed jego powrotem. Wyjedzie i zabierze swych żołnierzy. No, dalej, odjeżdżaj! Lecz nim wyjedzie, na pewno przepytta porucznika Borawieckiego i Lilkę...

Coś jeszcze przyciągnęło uwagę Anny. Jej nozdrzy dobiegł silny, gryzący zapach. Uniosła świecę i spojrzała na sufit. Spomiędzy belek sączyły się smużki dymu.

Dom został podpalony!

Wahała się, czy wejść do kryjówki, ponieważ nie chciała zostać w niej uwięziona. Teraz jej obawy się sprawdziły. Spróbowała opanować panikę. Zostawiła świecę i podczołgała się do miejsca tuż pod klapą. Sięgnęła do góry i pchnęła klapę, lecz ta ani drgnęła. Worek, ustawiony przez Lilkę, dobrze ją zabezpieczał. Uniosła się i napała na drzwi barkiem. Klapa poruszyła się nieznacznie. Unosiła ją stopniowo, centymetr po centymetrze, zbierając za każdym razem siły. Wreszcie drzwi otworzyły się mniej więcej w połowie.

Wyciągnęła rękę, by odsunąć worek i w tej samej chwili chwycono ją za nadgarstek. Worek i klapa zostały odsunięte jednym ruchem i Anna poczuła, że ktoś wciąga ją do kuchni, jakby była szmacianą lalką.

- Ach, powiadają, że najlepsze ryby pływają przy samym dnie!

Nie od razu zorientowała się, do kogo należy głos i twarz, którą miała przed sobą. Porucznik Borawiecki.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła, uszczęśliwiona, że została wyciągnięta z pułapki, i że człowiekiem, który pomógł jej się wydostać, nie był Walter.

- Myślę, że on już zrezygnował - powiedział porucznik. - Jest na dworze.

- Czy pan mu mnie przekaże?

- Nie, pani Anno.

- Co mam robić, Szymonie?

- Jeśli uda nam się przedostać na wschodnią stronę domu, będzie pani mogła wymknąć się do ogrodu, a stamtąd dalej, na pola. Będzie pani musiała biec, ile sił w nogach, gdyż wszystko tu spłonie niczym wiązka słomy. Chodźmy. Odprowadzę panią do drzwi.

Odwrócili się i Anna omal nie potknęła się o ciało Lilki. Zatrzymała się nagle i spojrzała na oficera. Skinął głową.

- To sprawka Waltera. Nie chciała powiedzieć, gdzie się pani podziała. Lecz ja wyczułem, że staruszka coś wie. Dlatego wróciłem. Pośpieszmy się!

Lecz kiedy zbliżyli się do tylnego wyjścia, na progu pojawił się Walter.

- Czyż to nie piękny widok? - zapytał.

- Pozwól jej odejść, Walterze.

- Oszalałeś?

- Po prostu ją wypuść. Dość się już nacierpiała. Walter roześmiał się.

- Tak po prostu? Nie sędzę. Ruszył ku nim przez kuchnię. Porucznik wyciągnął pistolet. Jego dowódca stanął, zaskoczony.

- Wystrzelałeś swoje pistolety na zewnątrz, Walterze.

- Prawda, ale mam jeszcze szablę.

- Rzeczywiście. - W niebieskich oczach porucznika widać było determinację. - Wyciągnij ją, a zginiesz. Zrób jeszcze krok w naszą stronę, a zabiję cię.

Walter nie poruszył się. Na jego twarzy widać było niepewność.

- A teraz - powiedział porucznik - odsuń się trzy kroki w lewo, by hrabina mogła przejść.

- Dlaczego to robisz, Borawiecki? - zapytał Walter, niechętnie ustępując. - Czy udało jej się znaleźć drogę do twego serca? Rok w więzieniu z pewnością uczynił ją bardzo pomysłową.

- Szymonie, jesteś gotów poświęcić wszystko? - spytała Anna.

- Jestem, Anno. Zrób tak, jak ci mówiłem. Niech Bóg cię prowadzi. Nie oglądaj się za siebie.

- Ale...

- Zrób to, Anno! Jestem najlepszym strzelcem w całym regimencie, choć w tej sytuacji na niewiele mi się to przyda. Szanse są po mojej stronie. Możesz uznać, że twoje kłopoty z Walterem się skończyły. Szybko!

Anna przeniosła spojrzenie z Szymona na kuzyna, a potem spojrzała znów na Szymona.

- Zobaczymy się przy stoliku do faraona - powiedział porucznik. - No już, biegnij!

- Najpierw muszę zabrać coś z mego pokoju.

- Co takiego? - zawołał Szymon.

- Szkatułkę.

- To ważne?

- Tak.

- Chryste! Szkoda czasu na kłótnie. Użyj tylnych schodów. Frontowe już spłonęły. Pośpiesz się!

Wyminęła ostrożnie Waltera i pobiegła.

Piętro pełne było dymu, mimo to odnalazła pokój, szafę, szkatułkę. Po chwili była już z powrotem w holu. Zbiegła schodami dla służby, przemknęła przez kuchnię i wybiegła na zewnątrz, słysząc, jak Szymon przynaglają do pośpiechu.

Wiedziała, podobnie jak wiedział to Walter, że Szymon zamierza go zabić. Musi go zabić.

Na dworze uderzyła w nią fala gorąca. Wszystkie budynki płonęły. Kilku mężczyzn biegało tam i sam, podczas gdy inni starali się utrzymać przestraszone konie. Zaryzykowała i pognęła ku wschodniej ścianie domu. Z bijącym mocno sercem i dudniącym w głowie pulsem wbiegła do wyschniętego, zapuszczonego ogrodu i pomknęła ku leżącym za nim polom. Biegając, modliła się, by jej nie dostrzeżono. A jeśli już to się stanie, by nikomu nie chciało się jej ścigać.

Zatem na pola. Biegła i biegła, ledwie mogąc oddychać z gorąca i krztusząc się dymem. Raz potknęła się i upadła. A kiedy wstała, zdecydowała się zerknąć za siebie. Dom płonął, jakby ziemia otworzyła się, pozwalając, by ogień Tartaru pochłonęły rodzinną siedzibę Jana.

A potem usłyszała strzał. Przez dobrą minutę wpatrywała się w dom. Nic. Wyzuty z dyscypliny i karności regiment zbierał się do odejścia.

Porucznik zaryzykował dla niej życie. Gdyby tylko mogła wrócić, przekonać się, że jest bezpieczny, a Walter zginął. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego uczynić. Odwróciła się niechętnie i ruszyła w kierunku majątku Grońskich.

Szymon Borawiecki jednak postawił wszystko na jedną kartę.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty.

Gorący wiatr poruszał łany pszenicy. Anna biegła. Z nieba lał się żar. Nim dotarła do zarośli na poboczu drogi, była mokra od potu. Stanik ciemnej sukni ciasno oblepiał jej ciało.

Odstawiła szkatułkę i, wyczerpana, pozwoliła sobie spocząć na splechietku miękkiej, wysokiej trawy, ocienionym drzewami.

Leżała, dysząc ciężko. Nikt jej nie gonił. Nie dobiegał tu żaden ludzki głos, nic tylko stłumiony ryk i trzask ognia, pożerającego majątek Stelnickich, budynki, zbiory. Mężczyźni odjechali.

Anna oparła się zmęczeniu. Nie powinna odpoczywać zbyt długo, gdyż wysuszone zboże mogło w każdej chwili zająć się ogniem, który dotarłby aż do niej. Gdy tylko była w stanie w miarę swobodnie oddychać, wstała i wspięła się na drzewo. Zobaczyła, że dom stoi w ogniu. Płomienie wystrzeliwały z okien pokoju, w którym spędziła piętnaście ostatnich miesięcy. Wyciągające się żarłocznie ku niej jezory ognia zaczynały już lizać pola. Susza sprawiła, że wszystko doskonale się paliło.

Zeskoczyła z drzewa i zaczęła ściągać halki, by móc szybciej się poruszać.

Chwyciła szkatułkę i ruszyła ku majątkowi Grońskich, nie wiedząc, co tam zastanie. Jeśli dom będzie zamknięty, nie miała klucza. A jeśli okaże się zniszczony?

Z początku próbowała iść rowem, lecz było tam tyle chwastów i kolczastych krzewów, że dwa razy upadła. Wspięła się zatem na wysokie pobocze i maszerowała, oglądając się od czasu do czasu z obawy, że Rosjanie mogą wybrać właśnie tę drogę. Nie widziała już ognia, tylko przesłaniające niebo słupy trującego dymu, niektóre czarne, niektóre białe.

Dotarła do mostka nad małym dopływem Dniestru, płytkim strumykiem, odgraniczającym włości Grońskich i Stelnickich. Zeszła ku wodzie, obiecującej chłód i odpoczynek.

Zdjęła buty i zostawiła je wraz ze szkatułką w cieniu wierzby. Weszła do wody i zaczęła brodzić w wąskim strumieniu. Muliste dno było miękkie, woda przyjemnie chłodziła stopy. Pochyliła się, spryskała twarz, a potem zaczęła chciwie pić.

Wyjęła z włosów szpilki, a kiedy opadły, nabrała w dłonie wody i polała nią głowę.

Usiadła na dużym głazie ze stopami zanurzonymi w strumieniu. Na krótką chwilę przeniosła się znów w czasy dzieciństwa, rozkoszując się prostymi

przyjemnościami: słońcem, dotykiem kamienia, wodą. Te rzeczy były prawdziwe, trwałe, dawały życie. Na kilka minut koszmar tego, co przydarzyło się Polsce i jej narodowi, znikł.

Jak to jest, rozmyślała, że ludzie mogą zabijać tak bezlitośnie?

Zanim odeszła, napiła się jeszcze wody ze strumienia.

Nim dotarła do zabudowań majątku Grońskich, minęła godzina. Drzwi opustoszałych stodół i stajen stały otworem. Dwór zdawał się nietknięty i pozamykany. Okna zabezpieczono okiennicami.

Gdy Anna minęła narożnik i znalazła się przed frontem domu, zobaczyła otwarty wóz, zaprzężony w jednego konia. Na nim zaś meble, rzeźby i inne cenne przedmioty.

A potem usłyszała krzyk.

Po drugiej stronie wozu dwie kobiety walczyły ze sobą, kopiąc się i wrzeszcząc. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że jedną z nich jest służąca, drugą zaś - starsza, tęższa, jaskrawo ubrana wieśniaczka o pospolitych rysach. Dziewczyna nie była w stanie dłużej walczyć i upadła. Chłopka zaczęła bezlitośnie kopać japo plecach, brzuchu i podbrzuszu.

- Przestań! - zawołała Anna. - Przestań! Kobieta zdawała się jej nie słyszeć.

Nim Anna zdążyła zadrzeć spódnice i ruszyć na pomoc, z domu wybiegła inna służąca. Niezauważona przez walczące kobiety, podbiegła do wozu i wyciągnęła z niego złoty kandelabr. Uniosła go wysoko i opuszczyła na chłopkę, uderzając ją w tył głowy.

Tęga kobieta padła jak kłoda. Anna podbiegła i zobaczyła, że wokół jej głowy tworzy się ciemna kałuża.

- Co to ma znaczyć? - spytała stanowczo.

- Pani Berezowska!

Anna spojrzała na jasnowłosą, hożą kobietę. W jej orzechowych oczach zdumienie mieszało się z radością. Służącą, która nadal trzymała kandelabr, była Marta.

- Co robisz? - spytała Anna. - I co się tu, na miłość boską, dzieje?

- Próbowaliśmy zabić moją Marcelinę.

Nagle ich uszu dobiegł męski głos, nawołujący z domu. Marta natychmiast spochmurniała. Spojrzała na barwnie odzianą, leżącą niewiastę.

- Kto jest w domu, Marto?

- Jej mąż. To szabrownicy. Pasożyty. Och, madame, co my zrobimy?

- Musimy ją ukryć. Dalej, pośpiesz się!

Postawiła szkatułkę obok wozu. Powlokły ciało kobiety ku oddalonym o trzydzieści kroków zaroślom i ukryły tak, by nie było go widać od strony domu.

- Nie rozumiem ich rosyjskiego, madame - opowiadała tymczasem Marta. - Wiem tylko, że kobieta wściekła się, gdy jej mężczyzna zwrócił uwagę na moją Marcelinę. Kłóciła się z nim w domu, a potem wyszła, by zabić moją córkę. Och, madame, zrobiłam to, co zrobiłaby na moim miejscu każda matka!

Anna nie odezwała się. Wróciły do Marceliny. Dziewczyna była nieprzytomna i tak pokrwawiona, że trudno byłoby ją rozpoznać.

Nagle z domu wyłonił się mężczyzna.

Anna wyprostowała się, oceniając sytuację. Serce tłukło się jej w piersi, podczas gdy nieznajomy szedł ku nim, potykając się od czasu do czasu. Był pijany. Jego posiwiałe włosy i broda były długie i skudlone. Musiał mieć około czterdziestu pięciu lat. Kosztowne ubranie opinało krępa sylwetkę. Anna rozpoznała kamizelkę ze złotymi guzikami, należąca niegdyś do wuja Leo.

- Jestem hrabina Anna Maria Berezowska - powiedziała po rosyjsku, gdy stanął przed nią na tyle blisko, że czuła jego kwaśny oddech. - Podczas nieobecności mojej kuzynki, hrabiny Zofii Grońskiej, majątek pozostaje pod moją opieką.

Mężczyzna gapił się na nią, otumaniony alkoholem.

- A ja jestem carem Rosji - powiedział drwiąco gminnym rosyjskim. Skłonił się. - Caryca, moja żona, też tu gdzieś jest. Czy dobra hrabina może ją widziała?

Uśmiechnął się, odsłaniając szparę pomiędzy zepsutymi zębami.

- Nie widziałam - odparła Anna, z niepokojem spoglądając na widniejącą na ziemi ciemną plamę. - Jestem zmuszona żądać, byście natychmiast opuścili tę ziemię - dodała, zbliżając się nieco do wozu, jakby chciała zbadać jego zawartość. Miała nadzieję, że jej suknia, choć nie tak obfita dołem z powodu braku halek, zdoła zakryć plamę. - Możecie zabrać to, co tu macie, i wynoście się.

- Możemy? - podszedł do Anny i uderzył ją w twarz tak mocno, że niemal upadła. Pierścień, który miał na palcu, przeciął jej policzek. - Och, hrabino, na wozie jest jeszcze mnóstwo miejsca.

Zauważył leżącą Marcelinę.

- Co jest tej małej?

- Zachorowała - odparła Anna, ocierając strumyczek krwi, ciekący jej po policzku.

- Szkoda. Więc ty wykonasz jej pracę. Zostawię dla niej miejsce na wozie.

Uświadomiwszy sobie, że szabrownik zamierza zabrać Marcelinę, powtórzyła, oburzona:

- Jestem hrabina Anna Berezowska... Szabrownik uderzył ją znowu, posyłając na ziemię.

- Może i nie wyglądasz w tych szmatach na hrabinę, lecz muszę przyznać, że jesteś wystarczająco bezczelna, by nią być. Hrabina czy nie, zrobisz, co ci każe!

Marta pomogła Annie wstać.

- Nina! - zawołał mężczyzna, rozglądając się badawczo dookoła. - Nina!

Anna upewniła się, że suknia znowu zakrywa plamę.

- Może jest w domu. Chłop chrząknął.

- Zatem do środka! Nagle zauważył szkatułkę.

- A co to znowu takiego?

- To moje! - powiedziała Anna.

Trzymając ją na odległość wyciągniętego ramienia, otworzył szkatułkę i wyjął kryształową gołębicę.

- Dostanę za to ładną cenę - powiedział.

Puzderko wypadło mu z rąk i Anna schyliła się, by je podnieść.

- Go jeszcze tam jest?

- Nic - odparła, lecz w tej samej chwili pierścionek z opalizującym kamieniem wysunął się z otulającej go aksamitnej szmatki.

- Nic? - Chłop natychmiast go podniósł. - Ładne mi nic. Nie bez trudności wsunął pierścionek na mały palec

i zaczął go podziwiać. Potem odebrał Annie puzderko, schował do niego gołębicę i umieścił wszystko pod siedzeniem wozu, po czym pchnął Annę i Martę ku frontowym drzwiom.

Gdy Marta próbowała się zatrzymać, by zobaczyć, co z Marceliną, kopnął ją.

- Chodź, masz robotę do wykonania.

Choć Marta nie zrozumiała, co powiedział, sens jego słów był jasny. Musiała zostawić córkę.

Kiedy szły, potykając się, ku drzwiom, Anna niepostrzeżenie wsunęła owiniętą w aksamit szmaragdową szpilkę za stanik sukni.

Ogarnęła spojrzeniem parter domu. Był już doszczętnie splądrowany. Kiedy szły, Marta szepnęła:

- Jeśli ten łajdak powie, że daruje nam życie, proszę mu nie wierzyć. Nie będzie chciał zostawić świadków. Pożąda Marceliny, lecz kiedy będzie miał jej

dosyć, ją także zabije. Musi pani uciekać, pani Anno. Jakoś go zatrzymam, a pani musi uciec.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nie z gniewem, jakby rozumiał po polsku.

Anna nie odważyła się odpowiedzieć.

Poszły za nim na piętro, a potem przez puste pokoje, pozbawione większości mebli. Szabrownik pokazywał rzeczy, które chciał zabrać do wozu. Anna za każdym razem potakiwała.

Rozkazał im, by rozłożyły na części mahoniowe łóżko, w którym sypiała, kiedy gościła Pod Głogami. Gdy to robiły, zauważyła, że mężczyzna mija pokój, niosąc naręczkę książek z niewielkiej, znajdującej się na piętrze biblioteki. Po chwili usłyszały głośny łoskot. Szabrownik zrzucił najcenniejsze skarby jej wuja przez balustradę na marmurową posadzkę w holu. Na myśl o tym, że łajdak traktuje ukochane książki Grońskich z taką pogardą, skronie Anny zaczęły pulsować gniewem. Książki stanowiły symbol miejsca rodziny w polskim społeczeństwie i były równie cenne jak stara broń, rozwieszona na ścianach dworów jak Polska długa i szeroka. Na szczęście hrabina Grońska zabrała rodzinny oręż do Warszawy, kiedy dwa lata temu opuszczały majątek, by zamieszkać w domu na Pradze. To zadziwiające, pomyślała, że te dwa symbole szlacheckości - broń i książki - są z sobą tak nierozzerwalnie związane.

- Musi pani uciekać - nalegała Marta. - Ja go zatrzymam. Wyniosły z pokoju puchowy materac, lecz nim zdążyły znieść go po schodach, mężczyzna przeszedł obok nich z kolejnym naręczem książek i zrzucił je do holu. Podniósł materac i pchnął go przez balustradę tak, że upadł na stos książek.

- No i proszę! - Zarechotał, rozbawiony swym błazeństwem, a potem spostrzegł, że kobiety wpatrują się w niego, stojąc beczynn timer.

- Do roboty! - zawołał.

- Czy on jest tu sam? - spytała Anna, kiedy znalazły się na powrót w sypialni.

- Wczoraj było ich więcej, ale odeszli, zabierając, co się da. Zostali tylko on i jego kobieta.

- A co, na miłość boską, wy tu robiłyście?

- Pani Zofia jakoś dowiedziała się, że dom trzeba będzie spisać na straty. Przysłała nas, byśmy zabrali, co tylko da się przewieźć do Warszawy. Dwaj mężczyźni, których wynajęła, by nam pomogli, zostali zabici przez tamtych. Ale to on - syknęła, skinąwszy głową w kierunku holu - zabił bezbronn timer Stanisława.

- Stary Stanisław! Twój teść... mój Boże!

- Musi pani uciekać, madame! Ja nie mogę zostawić Marceliny. Nie dostanie jej, póki żyję. W końcu znajdzie ciało żony, to tylko kwestia czasu.

Zataszczyły do wozu słupki łóżka. Gdyby nie leżąca nadal bez świadomości Marcelina, obie mogłyby śmiało uciec.

- Dalej, do roboty! - burknął mężczyzna, kiedy wróciły do domu. Leżał na zrzuconym z piętra materacu. W jednej ręce trzymał książkę otwartą na stronie, gdzie znajdował się jakiś sztych, w drugiej karafkę, z której co jakiś czas popijał.

- Tylko nie zapomnijcie o orle - ostrzegł je, wykonując zamaszysty gest karafką.

Wchodziły na schody przy akompaniamencie pijackich nawoływań.

- Nina! - wołał mężczyzna. - Ni-na, Ni-na - zawodził, zmieniając ton, jakby oczarowany tym, że imię żony można wypowiedzieć na tyle sposobów.

Na podeście Anna przyjrzała się metrowej wysokości orłu, stojącemu na postumencie. Łajdak na dole z pewnością nie zawahałby się ukraść symbolu.

Kobiety szybko przekonały się, że posąg jest zbyt ciężki, by dały radę go unieść. Anna zastanawiała się nawet, czy szabrownik aby nie żartował, każąc im go zabrać. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, jaki jest ciężki. Zerknęła przez balustradę. Mamrotał coś do siebie, przewracając kartki w poszukiwaniu dalszych sztychów.

I wtedy coś przyszło jej do głowy.

Wzrokiem nakazała Marcie, by pomogła jej przesunąć orła wzdłuż balustrady. Gdy służąca domyśliła się, co Anna zamierza, jej oczy zaokrągliły się jak spodki. Nie marnowała jednak czasu.

Zaczęły popychać orła. Przesuwał się powoli, centymetr po centymetrze. W końcu, podskoczywszy lekko, zsunął się z postumentu na barierkę i zachwiał. Przytrzymały posążek, a kiedy stanął znów pewnie, zaczęły przesunąć go wzdłuż barierki, zważając pilnie, by nie stracił równowagi. Czoła zrosił im pot, otarte do krwi palce szczypały i piekły. Mimo to nie ustawały w wysiłku.

Wreszcie Anna stwierdziła, że posąg stoi we właściwym miejscu. Spojrzała w dół i zobaczyła, że Rosjanin wydziera sztych z książki o połączonych brzegach.

- Teraz! - szepnęła nagłaco.

Zepchnęły orła. Z zadziwiającą szybkością i siłą kamienny ptak runął w dół jakby w poszukiwaniu zdobyczy.

Materac stłumił dźwięk upadku i odgłos pękających kości.

Szabrownik zdążył wydać z siebie tylko krótki okrzyk. Czy zauważył orła? Marta zbiegła na dół.

- I kto powiedział, że kobiety muszą być bezradne? - zawołała śpiewnie, kopiąc zawzięcie leżącą bez życia postać. W jej głosie słychać było histerię. - Kto powiedział?

- Tak - zgodziła się z nią Anna, schodząc na parter. - Kobiety też mogą zabijać. Zostaw go, Marto. Trupowi i tak nie można już nic zrobić.

- A szkoda! - zawołała Marta. - Zabić biednego Stanisława! Ten łotr umarł zbyt szybko!

Rosjanin leżał twarzą do góry, oczy niemal wychodziły mu z orbit, z kącika ust sączyła się krew. Piers i szyja zostały zmiażdżone niczym garść czerwonych jagód.

Anna stanęła nad trupem i zdjęła mu z palca swój pierścionek. Nie było to łatwe zadanie.

Miała nadzieję, że zabitemu starczyło czasu, by pojednać się z Bogiem. Choć kamienny orzeł rozpląszczył ciało na materacu, sam pozostał nietknięty.

Pośpieszyły do Marceliny i wspólnym wysiłkiem jakoś udało im się przywrócić dziewczynę do przytomności. Usunąwszy z wozu kilka większych przedmiotów, położyły na nim młodą służącą, zapewniając, że szabrownicy odeszli.

Zrobiły jeszcze kilka kursów do domu, wynosząc książki Grońskich. Zanim skończyły, pola i budynki gospodarskie stanęły w ogniu.

- Jedźmy - powiedziała Anna, sposobiąc się, by wejść na wóz.

- Proszę zaczekać, madame. - Marta odwróciła się i pobiegła do domu.

Hrabina niecierpliwiła się, czekając, jak jej się wydawało, w nieskończoność.

- Wracaj, Marto, bo upieczemy się jak prosiaki na rożnie! Gorące podmuchy nawiewały ku nim smugi dymu, zmieszanego z popiołem.

W końcu służąca pojawiła się w drzwiach, tocząc przed sobą orła.

- Na miłość boską, Marto, co ty wyprawiasz! - krzyknęła Anna, biegnąc ku niej.

- Tył domu płonie!

- My też spłoniemy, jeśli nie uda nam się w porę ruszyć wozu!

- Musimy zabrać orła. - Marta zatrzymała się u szczytu niewielkich schodów. Spojrzała Annie w oczy. - To symbol Polski i tego wspaniałego domu. Nie możemy go tu zostawić.

- Musi zostać, Marto! Chcesz poświęcić nasze życie dla kamienia?

- Nie możemy, madame. Jeśli go nie zabierzemy, do końca życia będą prześladowały nas nieszczęścia.

Z tyłu domu rozległ się trzask pękających pod wpływem żaru szyb. Anna spojrzała na służącą, ta jednak nie zamierzała ustąpić.

- No dobrze, pomogę ci. Znieśmy go z ganku.

Gdy orzeł znalazł się na ziemi, podtoczyły go jak najbliżej, a potem, wyteżając wszystkie siły, podniosły i ułożyły na wozie.

Dyszząc z wysiłku, wdrapały się na kozioł. Anna ujęła wodze i smagnęła batem starego konia. Wóz zaczął toczyć się długim podjazdem ku rzece.

- Będziemy musiały zeskrobać z orła krew, nim pokażemy go hrabinie - powiedziała Marta.

- Wątpię, czy zejdzie, Marto.

Nim dojechały do drogi, Anna zatrzymała wóz i odwróciła się. Ogień pożerał dom, który wywarł na niej takie wrażenie... zaledwie dwa lata temu?

Dom Grońskich wyglądał przez chwilę jak wielka lampa, kontrastująca z ciemniejącym od zmierzchu niebem. Zabudowania płonęły niczym wiązki słomy, wysuszone przez kilka gorących letnich miesięcy. Anna wspomniała stare przysłowie: „Złodziej, zabrawszy wszystko, kąty zostawi, a ogień wszystko zabierze”.

Kończyła się pewna epoka. Paradoksalnie, choć ogień niósł ze sobą ból utraty i śmierci, była w nim także siła i piękno. Był straszny, a zarazem wspaniały.

Anna znów uderzyła konia i ciężko wyładowany wóz ruszył ku drodze, biegnącej równolegle do rzeki Dniestr.

Po godzinie już tylko słaby pomarańczowy blask rozświetlał bezksiężycową noc. Anna nie widziała drogi, lecz koń zdawał się dobrze sobie radzić. Jechały powoli. Poza dobiegającym znad rzeki żałobnym kumkaniem żab noc była cicha niczym śmierć.

Anna uświadomiła sobie, że chłopki obawiają się nocnych duchów, zaczęła więc z nimi rozmawiać. Marta opowiedziała jej, że Jan Michał jest żywym, radosnym dzieckiem, wnoszącym do domu Grońskich wiele radości i przysparzającym wszystkim zajęcia. Annie trudno było sobie wyobrazić, jak wygląda teraz jej syn. Nie widziała go dobrze ponad rok.

- Masz jakieś wieści od męża, Marto?

- Nie, madame. Walek jest z Kościuszką. Mamy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Oczywiście nie pisał, przecież nie umie pisać.

- A były może... czy były jakieś listy od hrabiego Stelnickiego?

W innych czasach i okolicznościach nie ośmieliłaby się zapytać o to nikogo ze służby.

- Nic o tym nie wiem, pani Anno.

- Nawet jednego słowa?

- Nie, madame.

Marta i Marcelina, zmęczone wydarzeniami dnia, zapadły w sen. W ciemności nocy Anna nie odważyła się pośpieszać konia.

RS

Rozdział sześćdziesiąty.

O świcie podróżniczki natknęły się na kilka chłopskich chat. Mieszkańcy przyjęli je gościnnie, gdyż nazwisko Grońskich było im dobrze znane.

- Weź kandelabr - powiedziała Anna do Marty - i daj go tym ludziom. Będziemy potrzebowały jedzenia i wody na podróż do Warszawy. Spróbuj też wytargować świeżego konia.

Całą trójkę zaprowadzono do małej chaty, gdzie kobiety umyły się i zjadły smakowite śniadanie, składające się z kaszy, placka i zbożowej kawy. Anna i Marta z radością zauważyły, że Marcelina nieco się posiliła. Wyglądało na to, że dojdzie do siebie, i to już za kilka dni.

Kiedy dziękowały gospodarzom, Anna pomyślała o tym, jak bardzo różnią się ci ludzie od chłopów z Francji. Wiedziała, że i w Polsce dałoby się znaleźć ciemniejszych i przez to zgorzkniałych przedstawicieli tej klasy, lecz trudno jej było wyobrazić sobie, by ci ludzie, szczerze dziś zasmuceni zniszczeniem majątków Stelnickich i Grońskich, mogli złapać za widły i kosy, by ruszyć przeciwko polskiej szlachcie. Przeciwnie, to ludzie tacy jak oni chwycili, jak Polska długa i szeroka, za broń i stanęli do walki z obcym najeźdźcą, i to kolejny raz na przestrzeni wieków. Tacy właśnie byli Polacy.

Gdy tylko wsiadły na wóz, Anna zorientowała się, że świecznik wrócił na swoje miejsce za siedzeniem.

- Powiedziałam, byś dała im kandelabr, Marto.

- Nie przyjęliby go, madame.

Nim Anna zdążyła zadać jeszcze jakieś pytanie albo zaczęła nalegać, by chłopci przyjęli zapłatę, na drodze ukazała się karawana złożona z setki rosyjskich kawalerzystów, kilku dobrze wyekwipowanych powozów i podwód z różnego rodzaju zaopatrzeniem.

Słońce tańczyło na złotym szamerunku czerwonego kapitańskiego płaszcza, kiedy dowódca skierował wierzchowca prosto ku wozowi. Ani jego zachowanie, ani zachowanie jego ludzi nie wskazywało na brak karności. Twarz miał starannie ogoloną, o stanowczym wyrazie.

- Kim jesteście? - zapytał. Zdjął trój graniasty kapelusz, lecz nie przedstawił się.

- Jestem hrabina Anna Maria Berezowska-Grawlińska z Sochaczewa - odparła, dbając o to, by przedstawić się pełnym imieniem i nazwiskiem, jakie Zofia umieszczała na adresowanych do niej listach.

- Jest pani szlachcianką?

- Chyba to właśnie powiedziałam, czyż nie, kapitanie? Bo mówię z kapitanem, prawda?

- Tak, jestem kapitan Krestianow - odpowiedział oficer, spoglądając na jej zniszczoną suknię i chłopski wóz.

Anna opowiedziała mu o spaleniu majątków, unikając wzmianki o regimencie Waltera.

- Miała pani szczęście, że udało się pani uciec, hrabino. Skinęła głową. Słowa Rosjanina zabrzmiały dziwnie obco.

Mówienie o szczęściu nie wydawało jej się zbyt stosowne.

- Proszę mi powiedzieć, hrabino, jest pani stronniczką cesarzowej?

Anna z trudem przełknęła ślinę.

- Moje nazwisko zostało umieszczone na dokumencie wspierającym konfederację z Targowicy.

Kapitan demonstracyjnie wezwał do siebie porucznika, każąc mu przynieść listę. Pomyślała, że oficer nadal wątpi, czy ma do czynienia ze szlachcianką.

- Proszę powtórzyć nazwisko - zażądał.

Posłuchała, a wtedy zaczął przeszukiwać liczącą kilka stron listę.

- Jaki jest cel pani podróży? - zapytał, nie odrywając wzroku od listy.

- Warszawa - lub raczej: Praga.

- Ach, jest, hrabina Anna Maria Berezowska-Grawlińska. Słusznie się domyślała. Zofia umieściła na dokumencie oba jej nazwiska.

- Dlaczego nie używa pani wyłącznie nazwiska męża?

- Jestem wdową, kapitanie Krestianow - odparła, starannie wymawiając nazwisko oficera. - Zamierzam powrócić do panińskiego nazwiska.

- To chyba dość niezwykle?

- Moje małżeństwo było niezwykle. Czy będziemy mogły kontynuować podróż, kapitanie?

Kapitan wytrzymał jej spojrzenie.

- Na liście umieszczono także nazwisko pani syna, Jana Michała Grawlińskiego.

- Tak. Jest zbyt mały, by podróżować. Został w stolicy, pod opieką mojej ciotki, hrabiny Stelli Grońskiej. Jej nazwisko także znajduje się na liście, jeśli byłby pan łaskaw sprawdzić.

Anna wiedziała, że choć to słodczy zwykle przyciąga muchy, odrobina protekcjonalności i rozdrażnienia może skuteczniej przekonać oficera, jaki jest jej społeczny status.

- W porządku. - Kapitan nie zamierzał sprawdzać długiej listy po raz kolejny. - Jest pani pod opieką Katarzyny, carycy Rosji. My też udajemy się do Warszawy i będziemy zaszczytzeni, mogąc pani towarzyszyć. Zapewnimy wam ochronę. Dopilnuję też, by hrabina mogła podróżować wygodniejszym pojazdem. Ktoś z moich ludzi zajmie się wozem.

Anna spostrzegła, że Marta zeszywniała. Próbowała odmówić, lecz jej obiekcje zostały odrzucone. Wkrótce też przeniesiono ją do luksusowego powozu.

Właścicielem pojazdu był dobrze prosperujący polski lekarz, pękaty mężczyzna z bujną brodą i rzadziejącymi siwymi włosami. Kiedy burknął coś na powitanie, domyśliła się, że nie pozostawiono mu wyboru co do tego, czy chce dzielić z kimś swój przestronny powóz.

Wkrótce byli znów w drodze.

Gdy przejeżdżali przez małe wioski, towarzyszyło im powolne, żałobne bicie kościelnych dzwonów.

- Czy nasz kraj oplakuje inwazję Rosjan? - szepnęła.

- Bardziej prawdopodobne, że odbywają się pogrzeby - powiedział lekarz. - Polscy patrioci, którzy byli na tyle niemądry, że powstali przeciwko potędze Rosji, zostali wyrżnięci w pień.

Później Anna dostrzegła przez okno pogrzebowy orszak. Patrzyła, jak kobiety i mężczyźni wznoszą żałobną pieśń w intencji tych, którzy zginęli w walce, oraz tych, którzy zostali i zmuszeni byli przyglądać się bezradnie, jak ich kraj obraca się w perzynę. Grupa chłopów szła za wozem, którym zwykle przewozi się gnój. Na wozie spoczywała prosta sosnowa trumna z namalowanym na niej niewprawną dłonią portretem ukazującym, jak młody był zmarły. Ci, którzy przetrwali - prości, lecz obdarzeni wielkim sercem chłopcy - musieli sądzić, że świat ich zdradził. Panowie, szlachta i król zawiedli. Prusacy, Austriacy i Rosjanie będą siedzieli przy polskich stołach, pijąc polską krew.

Anna czuła jedność z tymi ludźmi. A przecież należała do tej części szlachty, którą Katarzyna postanowiła oszczędzić. Tylko za jaką cenę? Czuła się tak, jakby zdradziła bezimienne tłumy, gromadzące się dziś w każdej polskiej wiosce, mieście i miasteczku.

Uświadomiła też sobie, że szlachectwo niewiele dla niej znaczy. Tak naprawdę liczyło się jedynie to, by jej bliscy byli bezpieczni i dobrze im się wiodło, podobnie jak całemu narodowi. Modliła się za ciotkę Stellę i małego Jana Michała. Modliła się za Jana - gdziekolwiek w tym morzu krwi się

znajdował. I, tak, modliła się za Zofię. Jan Michał wpadłby w łapy Waltera, gdyby nie jej ciotka, kuzynka i szmaragdowa szpilka. Co zaś się tyczy jej samej, to, choć niechętnie o tym myślała, gdzie byłaby teraz, gdyby Zofia nie umieściła jej nazwiska na dokumencie wspierającym konfederację?

W pewnej chwili powóz zatrzymano, aby przepuścić kolejny kondukt.

- Dlaczego to nam każe się czekać? - wymamrotał lekarz. - W końcu ci patrioci mają mnóstwo czasu, by pochować swych zmarłych!

- Zatem nie popiera pan Sprawy? - spytała Anna.

- Mam swoją własną sprawę. Nauczyłem się tego od szlachty.

- Zbyttno pan uogólnia, doktorze. To samolubni arystokraci zaprosili tu Katarzynę. Ale wśród szlachty jest wielu innych, godnych szacunku.

Lekarz tylko chrząknął.

- Sprawa zjednoczyła Polaków, zarówno szlachtę i arystokrację, jak i mieszczaństwo czy chłopstwo - argumentowała.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Lecz Sprawa i tak upadła.

- Zamierza pan pozostać w Polsce?

- Och, tak. Zamierzam wykorzystać szansę, pani Berezowska-Grawlińska. Jeśli będzie trzeba, oddam się na usługi Rosjan. Spodziewam się niezłe na tym wzbogacić.

- Jak może pan tak postępować? Nie dba pan o to, że Polska zostanie podarta na pasy niczym prześcieradło?

- Pozbieram te pasy, zrobię z nich bandażę i każę Rosjanom za nie zapłacić!

Gęsta, czarna brew nad lewym okiem mężczyzny uniosła się, a czoło zmarszczyło. Uśmiechnął się, odsłaniając małe, pożółkłe zęby.

- A co z panią, hrabino? Okazała się pani bardzo przezorna, sprzymierzając się ze złą cesarzową. Czy nie dba pani o Polskę?

Ależ tak, dbam! Już miała to powiedzieć, kiedy uświadomiła sobie, że lekarz zniweczył linię jej obrony tak skutecznie, jakby usunął jej serce.

Część szósta

Odwaga wygrywa, odwaga przegrywa.
Przysłowie polskie

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy.

Pierwszym znakiem tego, że zbliżają się do miasta, były głosy bawiących się na ulicach dzieci. Wkrótce miał zapaść zmierzch. Powietrze było duszne. Anna otworzyła okno, gdy tylko powóz zaturkotał na brukowanych kocimi łbami ulicach Pragi.

Poprosiła lekarza, by kazał woźnicy zatrzymać powóz, i przekazał kapitanowi, że chciałyby się pożegnać.

Zanim wysiadła, podziękowała właścicielowi powozu za jego udostępnienie. Ten skinął niedbale głową ze słowami:

- Do widzenia, pani Grawlińska-Berezowska.

Anna miała nadzieję, że nie ujrzy tego człowieka nigdy więcej.

Kapitan osobiście pomógł jej wysiąść.

- Rozkażę dwóm żołnierzom, by eskortowali wóz do domu pani ciotki. Przy jakiej ulicy mieszka hrabina?

- Dom stoi na skarpie, na lewo stąd. Lecz nie potrzebujemy eskorty, kapitanie.

- Nie szkodzi, i tak ją pani dostanie. Na ulicach może być niebezpiecznie.

- Na ulicach Pragi? Od kiedy? - Nagle uświadomiła sobie, że dzieci nie bawią się, lecz żebrzą.

- Chleba! Chleba! - zawodziły. - Jesteśmy głodne!

- Tu, w bogatej dzielnicy miasta?

Maluchy otoczyły Annę, kiedy szła pod eskortą żołnierzy do wozu, na którym czekały już Marta i Marcelina. Najstarszy chłopiec, ciemnowłosy i wychudzony, biegł przed nią.

- Chleba, pani! Jałmużny! - Nie mógł mieć więcej niż siedem lat. Pozostałe szły za nim, powtarzając: - Chleba, pani! - Na końcu wlokła się malutka dziewczynka o skołtunionych jasnych włoskach, ubrana w podartą sukienkę.

Anna zatrzymała się i spojrzała na gromadkę dzieciaków. Czuła, iż żebrzą dopiero od niedawna. To nie byli zwykli ulicznicy.

- Dlaczego żebrzecie? - spytała chłopca.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, zdumiony tym, że się do niego zwróciła. Dziewczynka chwyciła go za rękę.

- To twoja siostra? Chłopiec skinął głową.

- Śliczna z ciebie dziewczuszka - powiedziała Anna, przyklękając. - Spójrzcie tylko na te dołeczki! - Mimo woli pomyślała o Louisie i Babette, lecz szybko się opanowała. Musi zrobić coś dla tych dzieciaków, tłoczących się wokół niej.

- Chciałbyś dostać trochę chleba dla siebie i siostry?

- Tak, pani - szepnął chłopiec grzecznie.

Czuła, że kapitan zaczyna się niecierpliwić, mimo to nie przerwała rozmowy z dziećmi.

- Więc powiedz mi, dlaczego żebrzecie? Chłopiec spojrzał ze strachem na kapitana.

- Możesz mi powiedzieć - ośmielała go Anna. - Jestem pewna, że on niewiele z tego zrozumie.

Wreszcie chłopiec zdobył się na odwagę.

- Odkąd oni się pojawili, nikomu nie wolno pracować w polu. Ojciec nie może nas wyżywić.

- Chodźmy, hrabino - ponaglił ją Rosjanin. - Proszę zignorować tych uliczników. To tylko bezdomne bękarty.

Spojrzał na dzieci.

- Uciekajcie stąd! - zawołał, zaczerwieniony z gniewu. - No już!

Oczy siedmiorga czy ośmiorga maluchów rozszerzyły się ze strachu przed obcym żołnierzem. Pojęły, co chce im powiedzieć, nawet jeśli nie rozumiały słów. Jednak nadzieja i głód nie pozwalały im się poruszyć.

- Kapitanie - powiedziała Anna, zmuszając oficera, by spojrzał jej w oczy - wasza znakomita cesarzowa może pozbawić nas ojczyzny, a rodziców tych uliczników, jak był pan łaskaw się wyrazić, możliwości zarobienia na jedzenie dla nich, ale czy odmówi im także skórki chleba, o którą zmuszeni są żebrać? Czy Katarzyna jest kobietą bez serca?

Śmiałe słowa sprawiły, że mężczyzna zjeżył się i jeszcze bardziej poczerwieniał. Wolał jednak nie prowokować sceny.

Anna rozdała resztki zapasów, wciskając je w małe, wyciągnięte dłonie.

- Zaczekajcie - powiedziała do tych, dla których jedzenia zabrakło. - Nie odchodźcie.

Podeszła do wozu, mimo iż wiedziała, że zmusza wszystkich, by na nią czekali.

- Marto! Daj mi to, czego nie zjadłyście. Szybko! Służąca otworzyła szeroko oczy, lecz posłuchała.

Hrabina wzięła jedzenie i wróciła do dzieci, świadoma setek utkwionych w niej spojrzeń - patrzyli na nią kawalerzyści, woźnice, przedstawiciele polskiej szlachty, a także lekarz. Wyprostowała plecy, zażenowana tym, że przyciąga uwagę, lecz zdecydowana stawić czoło Rosjanom, choćby w tej drobnej sprawie.

Maluchy krzyknęły radośnie, kiedy wręczyła im niedojedzone bochenki chleba, kiełbasę i ciasto z jabłkami. Niektórzy spośród tłumu, który zdążył się już zgromadzić, wołali:

- Niech Bóg panią błogosławi! Niech panią Bóg błogosławi!

- Przepraszam za kłopot, kapitanie - powiedziała, zwracając się do oficera. - Teraz chciałabym pojechać do domu.

Gdy wóz zatrzymał się przed frontem rezydencji Grońskich, na ulicy panowała cisza i ciemność. Anna odprawiła Rosjan, gdy tylko pomogli im zsiąść z wozu.

Odwróciła się, by spojrzeć na drugi brzeg Wisły, ku Warszawie. Wyglądało na to, że jej los był jak przyływ, zawsze w końcu sprowadzał ją do stolicy. Kolumna Zygmunta nadal wznosiła się wysoko nad placem Zamkowym, a Zamek stał na wysokiej wiślanej skarpie tak samo jak od stuleci. Król przemierzał rozległe komnaty, lecz ulicami miasta władała obca siła. Pobiegła spojrzeniem w stronę mostu, gdzie nadal widać było zmierzający ku miejskim murom orszak, wiedziony przez Rosjan.

Usłyszała, że drzwi domu otwierają się. Odwróciła się i zobaczyła potężną, dobrze znajomą postać z głową pochyloną uniesieniem, lecz z wyrazem radości na twarzy. Biały, zdobiony koronką czepek połyskiwał w ciemności jak księżyc.

- Lutiszo! - zawołała.

Przysadzista służąca zbiegła po schodach i po chwili obejmowała już Annę niedźwiedzim uściskiem. Potem przyszła kolej na córkę i wnuczkę.

- Bogu niech będą dzięki! - powtarzała.

Anna poczuła, jak wzbiera w niej fala wzruszenia. Jeśli nawet nie mogła nazwać rezydencji Grońskich domem, było to przynajmniej miejsce, gdzie czuła się bezpiecznie i gdzie zawsze mile ją witano. Z pewnością też powrót tutaj stanowił miłą alternatywę dla tego, co mogłoby spotkać ją w Sankt Petersburgu. W tym domu są ludzie, których kocham i którzy kochają mnie, pomyślała. Serce zaczęło szybciej bić jej w piersi na myśl o tym, że wkrótce zobaczy jedną z dwóch istot, bez których nie wyobrażała sobie życia.

- Moje dziecko? - wykrztusiła, przewyciężając wzruszenie. - Jan Michał?

- Och, wszystko z nim w porządku! - zapewniła ją czym prędzej Lutisza. - Piękne dziecko, i tak bystre, jak tylko można sobie wyobrazić! - dodała, ocierając wielkimi dłońmi mokre od łez policzki.

Anna uśmiechnęła się, wstrzymując łzy. Musi być bystry, jeśli ma przetrwać w czasach takich jak te, pomyślała.

Uniosła fałdy porwanej i osmalonej czarnej sukni, sposobiąc się, by pokonać kilka stopni, dzielących ją od domu.

Nagle spostrzegła Zofię, stojącą w progu niczym szkarłatna zjawa. Suknia kuzynki, toaleta z najczerwieńszego aksamitu, obszyta była setkami kołyszących się srebrnych paciorków, odbijających światło księżyca, gdy Zofia zbiegała szybko po schodach. Wysoką, białą, pudrowaną perukę zdobiła czerwona aksamitna wstążka. Jej policzki i wargi były mocno uróżowane, a oczy błyszczały niczym polerowany heban.

- Anno! - zawołała. - Och, Anno, kochanie! Wydawała się szczerze zadowolona, że ją widzi. Wyciągnięte szeroko ramiona Zofii wyglądały jak skrzydła sokoła.

I jak tu nie cieszyć się z takiego przyjęcia? Mimo to odwzajemniła uścisk swej wyperfumowanej kuzynki z pewną rezerwą.

- Cieszę się, że wróciłam, Zofio.

- Cudownie jest mieć cię tutaj, bezpieczną. Nie waż się więcej wyjeżdżać, zrozumiałaś? To jest twój dom!

Dom. Na chwilę zapomniała, w jakich okolicznościach go opuściła - kiedy to wyszło na jaw, że Zofia umieściła ich nazwiska pod dokumentem konfederacji, a potem zasugerowała, że kocha Jana, ostrzegając Annę, by z niego zrezygnowała. Teraz odsunęła to wszystko od siebie, grzejąc się w ciepłe słowa kuzynki, emanujących miłością i bezpieczeństwem po tylu miesiącach pustki i odosobnienia. Wspomniawszy, że to kuzynka uratowała Jana Michała, chroniąc dziecko przed Walterem, objęła ją, nie starając się powstrzymać gorących łez szczęścia, które napłynęły jej do oczu.

Zofia przybliżyła usta do jej ucha.

- Są tu Rosjanie - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - Albo powitamy ich uroczyście, albo zginiemy. Nie popełnij błędu, Aniu!

Kuzynka nie zdążyła jeszcze umilknąć, a Anna spojrzała na drzwi wejściowe, gdzie w migoczącym żółtym świetle, wylewającym się z domu na ganek, stała wysoka postać w czerwonym mundurze rosyjskiego żołnierza. Z domu dobiegały odgłosy wesołej zabawy. Cała radość z powrotu znikła. Serce

zaciążyło jej w piersi niczym kamień, gdyż uświadomiła sobie, że ten próg oferował jedynie nowy rodzaj rozpacz.

Zofia odsunęła się, trzymając ją na odległość ramienia. Ze stanowczym wyrazem twarzy w milczeniu błagała ją ciemnymi oczami, by dostosowała się do sytuacji. Potem, kiedy spojrzała na drzwi, chwyciła Annę pod ramię i prowadząc ją, przeszła kolejną metamorfozę. Poważna mina została bez wysiłku zastąpiona maską promieniejącej, choć fałszywej wesołości. Paplała podekscytowanym tonem, wydając okrzyki radości, gdy mijały spoglądającego na nie chłodno Rosjanina i wchodziły do domu, kierując się ku schodom.

- Jaka szkoda, że jesteś zmęczona, kuzynko, i nie możesz przyłączyć się do nas dzisiaj - powiedziała głośno, prezentując pewność siebie i zimną krew doświadczonej aktorki. - Cóż, w takim razie zobaczę się z tobą jutro rano. Spij dobrze, kochanie - dodała, całując Annę w oba policzki.

A potem zniknęła niczym zmiennokształtna zjawia, którą przecież była.

Anna zaczęła wspinać się po schodach. Usłyszała, że Lutisza podąża za nią, odwróciła się więc i zapytała szeptem:

- Gdzie jest mój syn?

- Śpi w pokoju na poddaszu, madame, gdzie nie dochodzą hałasy z dołu.

- Na poddaszu?

- Tak. Jest tam też Katarzyna, na wypadek gdyby mały obudził się i przestraszył.

Na podeście pierwszego piętra, gdzie znajdowały się pokoje Anny, Lutisza odwróciła się ku niej, blokując drogę na poddasze.

- Chłopczyk jest całkiem zdrowy - zapewniła - lecz powinniśmy pozwolić mu się wyspać, nim zabawa na dole nie stanie się zbyt hałaśliwa.

Pierwszą reakcją Anny była chęć natychmiastowego złajania służącej i wyminięcia jej, lecz instynkt macierzyński skłonił ją, by uległa perswazji, aczkolwiek niechętnie. Poza tym była roztrzęsiona i obolała po długiej jeździe i przejściach ostatnich dni. Bosko byłoby wyciągnąć się od razu na miękkim, puchowym łożu. Wątpiła, czy nawet krzyki zagubionych dusz w Tartarze mogłyby zakłócić jej sen tej nocy.

- Pani Anno?

- Tak, Lutiszo?

- Jak tam stary Stanisław? Został Pod Głogami?

Anna się odwróciła. Nim będzie mogła odpocząć, musi pocieszyć Lutiszę po tym, jak powie jej o śmierci teścia Marty. Zapewne na dole matka opowiada

właśnie Katarzynie i Tomaszowi, że ich dziadek został zamordowany, pomyślała.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy obudziły ją dobiegające od strony wejścia szepty. Poranek wstał ciepły i jasny. Usiadła raptownie i spojrzała na otwarte drzwi, odgarniając z oczu włosy. A tam, tuż za progiem, stały ciotka Stella i Lutisza. Uśmiechały się leciutko. Anna spojrzała w dół i aż westchnęła z wrażenia.

Pomiędzy kobietami stał, wyciągając ramionka dla zachowania równowagi, jej syn. Pomyślała, że wygląda jak zjawisko w czerwonych spodenkach na szelkach, nieskazitelnie białej koszulce z rękawami do łokci i białych bucikach. Jasne loki otaczały krągłą buzię o doskonałych rysach i aksamitnie gładkich, rumianych policzkach.

- Chodź, mój mały - powiedziała ciotka, podprowadzając dziecko bliżej matki.

Chłopiec, zadowolony, że stał się ośrodkiem uwagi, roześmiał się, chichocząc piskliwie.

Anna wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Oczywiście, spodziewała się, że Jan Michał urośnie, lecz fakt, że z niemowlęcia, które swobodnie mieściło się w torbie na robótki, wyrósł na stawiającego pierwsze kroki chłopczyka o roześmianej, uniesionej ku górze buzi, zadziwił ją. Podczas ich rozłąki zmienił się z berbecia o czerwonej buzi, niedającego się odróżnić od innych dzieci, w stawiającą pierwsze, niepewne kroki ludzką istotę, obdarzoną jedyną w swoim rodzaju żywą osobowością.

I czy naprawdę miało znaczenie, że te rzucające ciepłe błyski brązowe oczy były oczami jego ojca, Waltera? Powróciła myślami do jakże znaczącej chwili, kiedy to w kuchni Grońskich mały Tomasz zauważył, że oczy dziecka z niebieskich stają się brązowe. Wówczas przerażeniem napawała ją nawet myśl o tym, że mógł odziedziczyć coś po swoim ojcu. Lecz Walter oszedł i nie stanowił już zagrożenia ani dla matki, ani dla dziecka. A jeśli może mieć małego Jana tylko za cenę tego, że począł go Walter, trudno. I tak jest wdzięczna Bogu, że jej go dał.

Ześliznęła się z łóżka i przyklękła na podłodze, wyciągając ramiona i przywołując do siebie syna.

- Chodź tutaj - szepnęła. - Chodź do mamy.

Hrabina i służąca puściły chłopca. Stał teraz o własnych siłach. Słowa wypowiedziane przez Annę sprawiły, że zwrócił na nią uwagę. Małe stopki zatrzymały się, a czoło zmarszczyło z zaskoczenia, a potem lęku. Odwrócił się

i spojrzał rozszerzonymi ze strachu oczami na Lutiszę, a potem wyciągnął rączki, chwycił ją za spódnice i uczeplił się ich kurczowo.

Kiedy zmuszono ją, by się z nim rozstała, mały miał niespełna dwa miesiące i w ogóle jej nie pamiętał.

- Chodź, Janie Michale - prosiła miękko, choć serce pękało jej z bólu i tęsknoty. - Chodź do mnie.

Malec zakwilił, wpychając do ust małą piastkę, a jego oczy, wpatrzone w Annę z wyrazem niepewności, wypełniły się łzami.

Powstrzymując łkanie i ze wszystkich sił starając się nie okazać rozczarowania, przemawiała do niego uspokajającym, cichym głosem. Przysuwała się powoli, niemal niezauważalnie, nie wstając z kolan.

Po chwili lęk i nieśmiałość zaczęły ustępować. Powoli, bardzo powoli kąciki ust dziecka uniosły się, aż w końcu spokojny głos Anny i zabawne miny poskutkowały i mały roześmiał się, najpierw cichutko, a potem głośniejsze, z całego serca. Czy ją pamiętał?

- Chodź, Janie Michale - nalegała, przysuwając się coraz bliżej i wyciągając ku niemu ramiona. - Chodź do mamy.

Mały zawahał się w widoczny sposób, lecz trwało to krótko. Niemal natychmiast uśmiechnął się, po czym, szczebiocząc niezrozumiale, acz radośnie, wykonał dzielące go od matki trzy czy cztery kroki i wreszcie znalazł się w jej objęciach.

Przytuliła go delikatnie, jakby był pisklęciem, które łatwo zgnieść.

- Wreszcie trzymam w ramionach mego syna - wymamrotała, spoglądając na ciotkę i Lutiszę. - Biorę was na świadków: przysięgam, że nigdy więcej nie pozwolę, by mnie z nim rozłączono.

Ciotka Stella i Lutisza dały wreszcie upust 'wzruszeniu i rozplakały się. Anna westchnęła. Nie chciała płakać w obecności dziecka. Mogłoby nie zrozumieć, że to z radości.

Po kilku minutach uświadomiła sobie, że nie przywitała się jak należy z ciotką. Wstała z podłogi i ucałowała ocierającą oczy hrabinę.

Dopiero później, kiedy poszła zobaczyć się z ciotką Stellą i zastała ją zajęta szyciem, mogła dobrze się jej przyjrzeć. Hrabina Grońska wyglądała jak krucha dreźnieńska figurynka, z każdą chwilą słabsza. Musiała być chora, bardzo chora.

Paradoksalnie mimo utraty sił fizycznych wróciła jej jasność umysłu. Wszystko to, co mogło wydawać się w niej dziwaczne, znikło. Podobnie jak czarny strój, który nosiła ciągle od śmierci męża. Teraz Anna przyłapała się na

tym, że ze zdumieniem przygląda się ślicznej ciemnozielonej sukni, w której ciotka wygląda niezwykle elegancko. Zdjęła żałobę. Tradycja wymagała, by młode wdowy opłakiwały męża przez rok i jeden dzień, lecz starsze kobiety, które utraciły małżonka, z którym przeżyły niemal całe życie, nosiły czasem żałobę do końca swych dni.

- Wejdz. No, już, wchodź, dziecko! - powiedziała hrabina. - Skąd to wahanie?

- Twoja suknia, ciociu, jest taka piękna!

- Zbyt piękna dla starej wdowy?

- Nie, nie. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

- Uświadomiłam sobie pewne rzeczy, Anno Mario - powiedziała hrabina, odkładając robótkę. - Na przykład to, jak cenne jest życie. I jakie kruche. Pozostała we mnie jeszcze odrobina sił żywotnych i woli walki. Och, tak bardzo skupiałam się na żałobie, że zapomniałam o cudownych dniach i latach naszego małżeństwa. Pamiętałam tylko dzień śmierci Leo, a przecież spędziliśmy ze sobą tyle pełnych szczęścia chwil. Postępowałam niesprawiedliwie wobec niego i wobec siebie. Gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę, odłożyłam czarną suknię. Prawdę mówiąc, spaliłam ją.

- Rozumiem.

- Nie pochwalasz tego?

- Ależ skąd! Och, ciociu, wróciłaś wreszcie do życia! Ciotka Stella uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że to mały Jan Michał mi w tym pomógł. Gdy wróciliśmy do Warszawy bez ciebie, uświadomiłam sobie, że przez jakiś czas będę odpowiedzialna za to młode życie. Musiałam żyć, choćby tylko dla niego.

- Dziękuję ci za to, ciociu.

- No i jest jeszcze Polska, kolejny przedmiot mej troski.

- Czy sytuacja wygląda tak źle, jak się wydaje? To znaczy, Rosjanie w Warszawie, Rosjanie w tym domu?

- Nie, Anno, Polska nie zginęła. Jeszcze nie! Nasz opór nie został poddany najcięższej próbie.

- Zatem nadal żywisz nadzieję?

- Dopóki Kościuszko żyje i oddycha, zawsze jest nadzieja.

- A żyje?

- Na Boga, Anno, to symbol naszej niepodległości. Od kilku miesięcy przebywa na dobrowolnym wygnaniu w Paryżu, lecz nawet tam nie ustaje w działaniu, gromadząc wokół siebie szlachtę, ziemiaństwo oraz chłopów i

wyczekując stosownej chwili. Pewnego dnia udowodni Katarzynie, że Polska nie jest tak łatwą zdobyczą, jak jej się zdawało.

Czy Jan jest z Kościuszką? - zastanawiała się Anna. Z pewnością brał udział we wcześniejszych walkach z Rosjanami. Czy przeżył? Czy ktokolwiek miał od niego wiadomość? Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogło wydarzyć się najgorsze.

- Ciotko Stello, przyszedłam pomówić z tobą o Walterze. Kobieta osunęła się niżej na krześle, a jej spojrzenie spochmurniało.

- Wiesz chyba - powiedziała Anna cicho - że to Walter jest ojcem Jana Michała.

- O tak, wiem - odparła hrabina głosem wypranym z wszelkiej emocji. Spojrzenie, utkwione teraz w siostrzenicy, wyostrzyło się. - Wiem. Niech Bóg mu wybaczy. Powiedział mi to zeszłego lata w domu Stelnickiego. Wyrzucał z siebie szczegóły bez cienia wstydu.

- A ty nie straciłaś przytomności umysłu i dzielnie wytrzymałaś małego spod jego wpływu. Do śmierci będę ci za to wdzięczna, ciociu.

- Och, uwierz mi, kochanie, starałam się przekonać Waltera, by pozwolił ci z nami odjechać, lecz on mnie nie słuchał. Co sprawia, że człowiek zachowuje się jak szaleniec? A to, co ci zrobił... - głos ciotki drżał z emocji. - Och, Anno, ten ostatni rok musiał być dla ciebie torturą. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak udało ci się go przetrwać.

- Nie było tak źle - skłamała. - Tak czy inaczej, co było, minęło i teraz jestem z powrotem w domu.

- Anno, wiesz, że Walter był dzieckiem adoptowanym?

- Tak, Zofia mi powiedziała.

- Ach tak. Nie sądz, że temu przypisuję jego postęпки. Spójrz tylko na Zofię. To moja córka, choć nikt by tego nie powiedział.

Adoptowany czy nie, pomyślała Anna, jak też matka przyjmie wiadomość, że jej jedyny syn nie żyje? Przewyciężając ogarniającą ją słabość, zaczęła mówić:

- Ciociu...

Hrabina umilkła i spojrzała na nią z uwagą.

Anna wróciła wspomnieniami do chwili, kiedy w płonącym domu Stelnickich zostawiła Waltera, który miał do obrony jedynie szablę, z celującym do niego z pistoletu porucznikiem Borawieckim. Po chwili, kiedy znalazła się już na polu, usłyszała strzał, a potem ogień pochłonął dom.

- O co chodzi, Anno? - spytała tymczasem ciotka. - Jesteś blada jak płótno.

- Ciociu - powtórzyła, wracając do rzeczywistości i ujmując wychudzoną, pokrytą błękitnymi żyłkami dłoń ciotki - Walter nie żyje.

Wiadomość okryła cieniem twarz starszej kobiety. Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, zeszywniała, palcami drugiej ręki ściskając poręcz krzesła, aż pobielwały jej knykcie. A potem głowa opadła jej na pierś.

- Ciociu Stello! - zawołała Anna z przestrawieniem. Czyżby hrabina dostała ataku serca? Jeśli tak, Anna nigdy sobie tego nie wybaczy.

Jednak dłoń ciotki pozostawała ciepła, a kiedy podniosła wreszcie głowę, w jej oczach błyszczały łzy, choć żadna nie spłynęła na policzek. Spojrzała na siostrzenicę i powiedziała:

- Nie chcę znać szczegółów. Nie teraz. - Odetchnęła głęboko, a potem przemówiła z gorzką rezygnacją w głosie: - Och, pokazał się tu któregoś dnia, gdy był w Warszawie, wykonując brudną robotę dla dziwki-cesarzowej. Zwrócił się przeciwko rodzinie, przeciwko ojczyźnie. Co mogłam zrobić innego, jak tylko pójść za przykładem Leo i wyprzeć się go? Lecz wierz mi, Anno, fakt, że nie był moim rodzonym synem, nie sprawił, że łatwiej mi było to uczynić. Cóż, teraz nie przyniesie już więcej wstydu temu domowi i dobremu imieniu swego ojca... już nie.

Anna nie miała pojęcia, jak pocieszyć ciotkę. Milczała więc, czując się absolutnie bezradna. Ciotka Stella przemówiła znowu:

- Nie wiem, jak to się stało, ale oboje z Leo nie sprawdziliśmy się jako rodzice. Wychowaliśmy mężczyznę z duszą barbarzyńcy i kobietę o mentalności rozwiązłej suki.

Poszukała spojrzeniem oczu dziewczyny.

- Jakże zazdroścę mej zmarłej siostrze córki takiej jak ty. I pomyśleć, że swego czasu uważaliśmy, iż popełnia megalomanię! Chciałabym myśleć o tobie jako o mojej córce, Anno Mario, ponieważ nie mam już dzieci.

Długo wstrzymywane łzy przerwały wreszcie tamę i popłynęły obficie po przywiedłych policzkach.

- Jesteś teraz moją matką, ciociu - powiedziała Anna, ściskając jej dłoń.

Hrabina uśmiechnęła się, a jej twarz pojaśniała.

- Tylko ty, moja Aniu, odziedziczyłaś wszystkie cechy pięknej wodnej lili i rozkwitłaś.

Otarła łzy.

- Jednak moczary zostały osuszone i hordy chwastów rozrzucają teraz własne, krzepkie nasiona. Ty, kochanie, musisz nauczyć się, jak być lilią, która

potrafi się przystosować, przetrwać wśród chwastów. Choć będą wschodzić wszędzie wokół ciebie, grożąc zaduszeniem, musisz przetrwać.

Anna wpatrywała się w ciotkę, oniemiała.

- Mówię przenośniami, Aniu, lecz ty rozumiesz, prawda?

- Tak... chyba tak.

- Jestem już stara. Wszystko to niewiele dla mnie znaczy. Lecz ty jesteś młoda i masz czas, by się zmienić. Musisz przystosować się do życia w chaosie, jaki zapanował teraz w Polsce.

Wpatrywała się w twarz siostrzenicy, jakby czytała w niej niczym w otwartej księdze.

- Och, nie musisz stać się taka jak Zofia, Anno. Nie sądz, że chodzi mi o coś takiego.

- Zatem jak mam się zmienić, ciociu? I co ważniejsze, jak uchronić Jana Michała, by przetrwał to, co się dzieje, i co jeszcze może nadejść?

- Musisz wyjść za mąż, dziecko. To jedyne wyjście dla ciebie i twego syna. Boże, miej nas w opiece, lecz Zofia mogłaby się tu okazać pomocna. Tylko tym razem upewnij się, że mężczyzna, za którego wyjdiesz, chce cię poślubić dla ciebie samej.

- Pragnę tylko jednego mężczyzny, ciociu.

- Jana?

- Tak.

- Posłuchaj mnie, Anno. Życie często różni się od marzeń. Moje małżeństwo zostało zaaranżowane. To nie był mój wybór... Prawdę mówiąc, byłam wtedy na zabój zakochana w pewnym młodzieńcu. Lecz nie był mi przeznaczony. I nie żałuję, że za niego nie wyszłam. Moje małżeństwo było udane, nawet jeśli dzieci nie spełniły naszych oczekiwań.

- Zamierzam czekać na Jana.

- Nadal jest z Kościuszką?

- Nie wiem. Myślałam, że przysłał wiadomość tutaj.

- O ile wiem, nie. - Hrabina westchnęła. - Zatem nie wiemy nawet, czy przeżył. Zdajesz sobie jednak sprawę, że jeśli Rosjanie się utrzymają, a Jan wróci żywy, będzie człowiekiem biednym i pozbawionym tytułu. Nie zostanie mu zbyt wiele do zaoferowania bogatej arystokratce, jaką jesteś, Anno.

To nie sugestia, że powinna ponownie wyjść za mąż, ani przypomnienie, że Jan zostanie odarty z włości i tytułu wbiły się w serce Anny jak nóż; uczynił to pełen powątpiewania ton głosu ciotki, mówiącej: „Jeśli Jan przeżyje”.

- Małżeństwo z mężczyzną - mówiła dalej hrabina - nie tak otwarcie wspierającym ruch patriotyczny zapewni ci należne miejsce wśród arystokracji.

- Zmieniłaś się w ciągu tego roku, ciociu. Pamiętam twój wybuch gniewu, gdy dowiedziałaś się, że Zofia umieściła nasze nazwiska na liście osób popierających konfederację. A podczas ostatniego spotkania z Janem nie kryłaś, że podziwiasz go za to, iż ma odwagę czynnie bronić swoich przekonań.

- Pozostałam wierna swoim przekonaniom. Nie bądź wobec mnie niesprawiedliwa, Anno Mario. Oczywiście, nadal popieram Kościuszkę i jego oddziały. Bóg wie, że wspomogłam Sprawę nie tylko pieniędzmi, ale i biżuterią. Lecz martwię się o przyszłość twoją i Jana Michała. Nie ośmieliłabym się namawiać cię do małżeństwa...

- Nie, ciociu - przerwała jej Anna - nie namówisz mnie do tego. Nie zapominajmy, do czego doprowadziło moje małżeństwo z Antonim. Jan żyje, wiem, że tak jest. A czy wróci jako szlachcic, czy jako zwykły obywatel, zostaną przy obywatelu Stelnickim, tak jak zostałabym przy hrabim.

Ciotka Stella siedziała oszołomiona. Wyglądała, jakby ktoś wymierzył jej policzek. W oczach starszej damy znowu wezbrały łzy.

Anna natychmiast pożałowała swych słów. Sprawiać przykrość ciotce to jak strzelać z armaty do wróbla.

- Och, ciociu, tak mi przykro. Ja...

- Nie, Anno - powiedziała hrabina, wykonując lekki ruch dłonią pokrytą starczymi plamami - w twoich słowach dźwięczy prawda. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo żałuję, że narzuciłam ci to małżeństwo z Antonim.

- Niczego mi nie narzuciłaś.

- Och, z pewnością to właśnie zrobiłam! Po śmierci Leo miesiącami zachowywałam się jak szalona, lecz to mnie, oczywiście, nie usprawiedliwia. Nie uchylam się od odpowiedzialności.

Anna zapewniła hrabinę, że nie ma do niej pretensji, lecz kiedy to mówiła, uświadomiła sobie, że jednak miała ciotce za złe nakłonienie jej do niechcianego małżeństwa. Ale wrogie uczucia, teraz uwolnione, rozwiały się niczym kwaśne wapory po otwarciu długo zamkniętego słoika.

- Trzeba rozliczyć się z przeszłością i zostawić ją za sobą, ciociu.

Hrabina spojrzała na nią z miłością.

- Sądziłam - rzekła - że to ja powinnam udzielać młodym rad. Chodź, obejmij mnie. Jajko mądrzejsze od kury!

Anna uklękła obok krzesła ciotki, objęła ją i przytuliła.

- Skoro już rozliczamy się z przeszłością, czy mogę zapytać, co stało się z moim domem w Haliczu? Czy dwór Pod Głogami przepadł?

Spojrzała na ciotkę. Słowa uwięzły jej w gardle. Mogła jedynie skinąć głową.

- Rozumiem - powiedziała hrabina z rezygnacją.

- Zbudujemy następny! - zawołała Zofia. Zaskoczona Anna wstała pośpiesznie. Kuzynka nadal lubiła pojawiać się nieoczekiwanie.

- Zbudujemy coś znacznie lepszego niż zwykły dwór - mówiła dalej Zofia. - Zbudujemy pałac! Jestem coraz bogatsza i wkrótce będzie mnie stać, żeby budować zarówno tu, w mieście, jak i na wsi. Gdy tylko rozwieje się groźba wojny.

- Zatem planujesz budować, nawet jeśli Rosjanie zagarną Polskę? - spytała Anna.

- Jeśli Rosjanie zwyciężą, będę budowała. Jeśli Polacy odniosą sukces, także.

- Zofio - powiedziała hrabina, z trudem zachowując spokój - jeśli sądzisz, że wznosząc wspaniałe budowle, tworzysz coś trwałego i wartościowego, mylisz się. Nasze rodziny nie mieszkają we wspaniałych pałacach, jak wielu magnatów. Nasi przodkowie, my, Jan Michał i ci, co przyjdą po nim, mieszkają we własnych domach, nieważne jak skromnych. Liczne portrety, zdobiące ściany jadalni i korytarza prowadzącego do biblioteki pełnej starych książek oddają cześć tym, którzy odeszli. Kordy, szpady, szable i strzelby, zawieszane wokół naszej tarczy herbowej, mówią o ich odwadze. A święte obrazy, które można znaleźć zarówno w pokojach państwa, jak i służby, odzwierciedlają nie tylko wiarę, opartą na wpojonym głęboko przekonaniu, że czeka nas zbawienie, lecz także ufność w to, że Polska wyzwoli się spod władzy zaborców, choćby przyszło nam czekać nie wiem jak długo.

Na chwilę zapadła cisza.

W końcu Zofia zaczęła wygłaszać swoją przemowę.

- Och, wiem, że to milczenie świadczy o krytyce. Nie rozumiecie albo nie chcecie zrozumieć. Mamo, nasz majątek w Haliczu został zniszczony. I pytam was obie, co takiego miałyby zapewnić bezpieczeństwo dachowi, który mamy teraz nad głową? Jesteśmy otoczone przez rosyjskiego niedźwiedzia, który może zaciągnąć kobiety podbitego narodu do swej jaskini, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota. Możemy jedynie tańczyć przed nimi tak, by pluli na nas

złotem, nie jadę. Nie wątpię jednak, iż obie potępiać mnie za to, że tańczę. Wstała i spojrzała uważnie na twarz matki, a potem Anny.

- Lecz jeśli przestanę tańczyć, wszyscy przestaniemy oddychać. Ty, matko, umrzesz pierwsza, gdyż jesteś uparta i nie potrafisz wyrzec się swoich nawyków. Jeśli będę nadal tańczyła, zapewnię nam bezpieczeństwo i będziemy mogły odbudować dom w Haliczu, czyniąc zeń wspaniałe miejsce, w którym będziecie mogły umieścić wszystkie wasze portrety, szable, książki i ikony Dziewicy. Miejsce spokojne i przyjemne, w którym mogłabyś spędzić ostatnie lata życia, mamó.

Hrabina nie odpowiedziała, więc Zofia spojrzała błagalnie na Annę.

- Może przynajmniej ty mnie zrozumiesz, kuzynko.

- Rozumiem, że ten taniec to jedynie eufemizm.

- Och, przypuszczam, że oceniasz mnie niemal jak ładacznicę, lecz ja potrafię dostrzec szansę i wolę dać się porwać trąbie powietrznej, która poniesie mnie prosto w burzę, niż wieść spokojne życie.

Słowa Zofii przypomniały Annie rozmowę z panem Kurowskim, lekarzem, którego zmuszono, by zabrał ją do swego powozu. On także traktował rosyjską inwazję jako szansę na wzbogacenie się.

- Anno - powiedziała Zofia, stając przed kuzynką - nadejdzie czas, że będziesz musiała wspomóc mnie w tańcu.

Anna gapiła się na nią, jakby kuzynka nagle zaczęła mówić po holendersku. Na szczęście nie musiała reagować na tę rewelację, gdyż hrabina, która zdawała się nie słyszeć ostatnich słów córki, powiedziała szorstko:

- Zofio, twój brat nie żyje.

Zofia zamarła. Powoli odwróciła się do matki, a potem do Anny. Twarz jej pobleadła, a spojrzenie stało się dziwnie nieobecne. Widać było, że jest szczerze zaskoczona. Jednak nie trwało to długo. Szybko odzyskała kontenans. Wyprostowała ramiona i wbiła wzrok w Annę.

- Jestem pewna, że po tym, co ci zrobił, nie będziesz go zbyt żałować. Chociaż, być może, jeśli przypomnisz sobie, że dał ci małego Jana Michała, którego tak bardzo kochasz, twoja nienawiść nie pójdzie za nim do grobu.

Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do hrabiny:

- Ty, mamó, będziesz musiała opłakiwać go za nas obie, gdyż nie zamierzam tracić energii na rozpamiętywanie przeszłości i opłakiwanie tych, którzy nie żyją. Muszę zatroszczyć się o naszą przyszłość.

Obróciwszy się na pięcie, wypadła z pokoju, nie zapytawszy o okoliczności śmierci brata.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji Anna zapytała Zofię, czy nie nadeszła wiadomość od Jana. Kuzynka zeszywniała lekko, lecz pozostała spokojna.

- Nie, kochanie, nie napisał ani słowa - odparła z twarzą jak maska.

RS

Rozdział sześćdziesiąty drugi.

W pokoju muzycznym rezydencji Grońskich Anna spotkała się ze swymi patriotycznie nastawionymi przyjaciółmi. Dla pozorów miał to być recital i Anna rzeczywiście odegrała kilka utworów, jednak uwaga wszystkich skupiona była głównie na nowinach, które dotarły ostatnio do Warszawy - zaskakujących, a nawet szokujących.

Królowa Francji została pozbawiona życia i krążyły na jej temat różne opinie. Dla jednych bohaterka i męczenniczka, dla innych megiera, była postrzegana jako kobieta o wielu twarzach. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że stała się ofiarą. Zaledwie przed dziesięcioma dniami, 16 października, wstąpiła w ślad za swym mężem na stopnie gilotyny. Wieść niosła, że szła na śmierć z godnością oraz wysoko podniesioną głową ku wielkiemu rozczarowaniu jej oskarżycieli, którzy mieli nadzieję, że zobaczą, jak kuli się i drży ze strachu na widok okrwawionego szafotu.

To Anna zwołała dzisiejsze zebranie. Kilkoro spośród przyjaciół było nieobecnych, jak baron Michał Kolbi, który wstąpił do oddziałów Kościuszki. Pojawili się jednak nowi goście, dołączając do towarzystwa złożonego z przedstawicieli ziemiaństwa, bankierów, rzemieślników, ludzi interesu, ich żon i zwykłych mieszkańców stolicy. Kiedy zabrakło Michała, Anna była tu jedyną przedstawicielką arystokracji. Swego czasu fakt ten sprawiłby, że czułaby się nieswojo, teraz liczyła się jedynie Sprawa.

Nie tylko losy Francji niepokoiły dziś zebranych. Nie minęło wiele czasu, a tematem konwersacji stały się ostatnie wydarzenia w Polsce. Pozornie władzę nadal dźrzył król, jednak de facto politykę tworzone w rosyjskiej ambasadzie. Rosyjskie garnizony sprawowały kontrolę nad całym krajem, a piątego tego miesiąca, w wyniku nowego traktatu, nawet ta niewielka część kraju, której król Stanisław i sejm nie oddali w sierpniu agresorom, dostała się w ręce Rosji.

- Czy wiecie - spytała Anna gości - że w rezultacie może się to obrócić na naszą korzyść?

- Korzyść, proszę pani? - zapytał jeden z kupców.

- Tak - odparła Anna. - Być może dostarczy motywacji opieszałym rodakom, którzy jeszcze nie przystąpili do Sprawy, i przekona ich, że uległość może prowadzić jedynie do niewolnictwa.

- Sprawi, że poprą masowo Kościuszkę - dodał kupiec.

- Właśnie! - zgodziła się z nim Anna.

- Inna okoliczność, działająca na naszą korzyść, której Katarzyna z pewnością nie wzięła pod uwagę - powiedział drugi mieszczanin - to trzydzieści tysięcy polskich żołnierzy, zwolnionych przez nią ze służby. Te niespokojne dusze ciągną na Kraków i Warszawę, stanowiąc naturalne zarzewie rewolucji. Żaden Rosjanin nie śmie spacerować ulicami Warszawy w pojedynkę z obawy, by nie zostać ciężko pobitym.

- Lecz jeśli magnaci nie podejmą zdecydowanego działania i nie zaryzykują utraty jedwabi, na których siedzą -przepowiadał złowróźnie inny - nasz los będzie przesądzony.

- Ci, którzy zdradzili, podpisując się pod konfederacją targowicką, nie kiwną palcem - powiedział kolejny mieszczanin. - Są straceni dla Sprawy. Żyją sobie, opływając w dostatki, przekupywani przez Rosjan, podczas gdy drobna szlachta i chłopci, pozbawieni możliwości zarobkowania, chodzą głodni po ulicach.

Jakkolwiek goście różnili się w opiniach co do Marii Antoniny, to jeśli chodzi o carycę Katarzynę, przemawiali jednym głosem, pełnym nienawiści. Za jej sprawą Polska została zredukowana do bochenka chleba, o który Rosja, Austria i Prusy były się niczym głodne zwierzęta. Mimo to żywiono nadzieję, że dzięki wysiłkom zjednoczonego polskiego społeczeństwa, zarówno szlachty, jak i mieszczan i pospólstwa, dojdzie do zwycięskiej kampanii w obronie niepodległości.

Przyjaciele Anny zapewnili ją, że ta ich gromadka to zaledwie drobny skrawek wielobarwnej kołdry, pokrywającej oba brzegi Warszawy, i że jest wiele takich grup - zjednoczonych pragnieniem wolności - które spotykają się w sekrecie. Modląc się i nie tracąc nadziei, czekali, baczenie obserwując rozwój sytuacji.

Mijały tygodnie i kiedy nadeszła zima, więź pomiędzy dzieckiem a matką znów była silna. Jan Michał zaakceptował fakt, że matka jest najważniejszą osobą w jego małym światku. Anna często sama pielęgnowała go, co przedtem powierzano służbie, on zaś nabrał zwyczaju nazywania jej matką. Był zdrowym i szczęśliwym dzieckiem, wszystkiego ciekawym, zawsze w ruchu, chętnym do poznawania świata wszystkimi zmysłami.

W Boże Narodzenie 1793 roku Jan Michał poważnie zachorował. Anna poleciła przenieść łóżeczko syna do swej sypialni, tak by mogła czujnie obserwować przebieg choroby. Malec nie jadł od czterdziestu ośmiu godzin, gdyż wszystko, co mu podawano, natychmiast zwracał. Jego pościel była ciągle wilgotna od potu, a czoło rozpalone. Prawie nie płakał, co martwiło

Annę równie mocno, jak gdyby płakał bez przerwy. Walczyła z sennością, nie odstępując go ani na chwilę. Gorączka nieznanego pochodzenia, takie jak ta, nie była rzadkością i często kończyła się źle. Czy dziecko odejdzie w ciszy, gdy zmoże ją zmęczenie? Czy obudzi się i zastanie syna martwego? Czy szczęśliwe połączenie matki i dziecka zakończy się tragedią?

Pierwszego dnia choroby Anna poszła do ciotki, by poprosić o sprowadzenie lekarza. Jednak rodzinnego lekarza Grońskich nie było w Warszawie. Podobnie jak wielu porządnych ludzi tego zawodu przyłączył się do Kościuszki, by służyć wiedzą i talentem rannym patriotom.

Stan dziecka stale się pogarszał i Anna, cała we łzach, znowu zwróciła się do ciotki.

Hrabina przygotowywała się do pójścia na mszę w katedrze.

- Nic mu nie lepiej? Anna potrząsnęła głową.

- Och, ciociu, co możemy zrobić?

- Nie wiem, Anno, choć jedna osoba pewnie znałaby odpowiedź na to pytanie.

- Kto taki?

Ciotka Stella zdawała się wahać.

- Powiedz mi, ciociu! Kto mógłby nam pomóc? Hrabina westchnęła z rezygnacją.

- Zofia.

- Lekarz przyjechał - zaanonsowała Marta szeptem.

- Dzięki Bogu! - zawołała Anna, zrywając się na równe nogi. - Zostań z Janem Michałem, Marto, póki go tu nie przyprowadzę.

Zbiegła ze schodów. Najwidoczniej Zofii udało się jakoś ściągnąć medyka, i to w Boże Narodzenie! Niech Bóg ją pobłogosławi, pomyślała. Ją i lekarza.

Doktor stał w holu, tak iż schodząc, widziała jedynie jego szerokie plecy. Zdejmował właśnie ciężki płaszcz, otrząsając go z płatków śniegu.

- Jak to dobrze, że zgodził się pan przyjechać tu, na Pragę, doktorze - powiedziała, czując, że wraca jej nadzieja. - I to podczas tak okropnej pogody. Od razu zrobiło mi się lżej na sercu...

Przybyły odwrócił się i Anna natychmiast umilkła. Stała, wpatrując się ze zdziwieniem w Kurowskiego, lekarza, który wbrew swej woli dzielił z nią powóz w czasie powrotu do stolicy.

Medyk dostrzegł reakcję Anny i przez chwilę przyglądał się jej uważnie małymi ciemnymi oczami, ledwie widocznymi spod opadających powiek i krzaczastych brwi.

- Ach! - wykrzyknął zdziwiony, poznając ją, a jego oczy zabłyśły. - Hrabina, która troszczy się o dzieci ulicy.

- Teraz martwię się przede wszystkim o swoje dziecko - powiedziała.

Pogarda Anny wobec tego człowieka ani trochę nie zmaląła. Postanowiła jednak, że będzie się zachowywać jak aktorka, która odgrywa powierzona jej rolę, mimo że nie lubi swego partnera.

- Czy pan go zbada? Potężny mężczyzna chrząknął.

- Właśnie w tym celu Zofia - pani Grońska - po mnie posłała - oznajmił, podnosząc brązową lekarską torbę. - Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Wchodząc za Anną po schodach, zapytał jedynie:

- W jakim wieku jest dziecko?

- Ma prawie dwadzieścia miesięcy - odpowiedziała Anna po krótkim namyśle.

Gdy weszli do pokoju, zastali tam Martę i Lutiszę.

Lekarz, zdyszany po wejściu na schody, podszedł do łóżeczka i odsunął przykrycie. Anna stanęła obok, czujnie wpatrując się w twarz doktora. Jednak zakrywająca ją w dużym stopniu posiwiiała broda nie pozwalała niczego z niej odczytać.

- W pokoju nie jest wystarczająco ciepło - oznajmił lekarz szorstko.

Anna wysłała Martę, by przyniosła więcej drewna do kaflowego pieca. W pokoju był także kominek, pozostałość z czasów, kiedy nie stawiano jeszcze pieców, i lekarz nalegał, by w nim także napalono.

Zdjął małemu wilgotne od potu ubranko i zaczął badać go grubymi paluchami, aż dziecko poczerwieniało na buzi i zaniósło się piskliwym krzykiem, młóćąc dokoła rączkami i nóżkami. Matka mogła jedynie bezradnie się temu przyglądać.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli zaczeka pani na dole - powiedział do niej doktor. - Niech pokojówka przyniesie mi trochę płynnego tłuszczu, miodu, gorącej wody i świeżą pościel.

Anna wysłała Lutiszę po rzeczy, których sobie zażyczył, sama jednak nie miała ochoty wychodzić. Spojrzał na nią stanowczo.

- Proszę nie kwestionować poleceń - powiedział. - Zażyczyła sobie pani moich usług, więc proszę robić, co mówię.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko posłuchać. Za drzwiami natknęła się na Martę, wracającą z naręczem drewna.

- Marto, proszę, zróbcie tak, by któraś z was, ty albo twoja matka, była przez cały czas w pokoju, chyba że lekarz was wyprosi. Rozumiesz?

- Tak, madame.

Po jakimś czasie Anna usłyszała, że Lutisza schodzi po coś do kuchni. Natychmiast pośpieszyła ją wypytać.

- Zażyczył sobie gorących węgli do ogrzewacza - powiedziała służąca. - Zamierza upiec to dziecko żywcem. Nie widziałam jeszcze, by jakiś malec tak cierpiał.

Obróciła ku Annie wilgotną od potu twarz.

- Boże, madame - załkała - nie sędzę, by Jan Michał doczekał świtu.

Pozostawiona sama w kuchni, Anna opadła bezwładnie na krzesło. Jakże bezmyślna okazała się służąca, mówiąc coś takiego. Lecz szczery ból Lutiszy świadczył o tym, że dostrzegła prawdę. Wkrótce drzwi do pokoju chorego otwarły się, a potem zamknęły. Krzyk Jana Michała przeszył serce matki niczym nóż. Z trudem powstrzymywała wybuch rozpaczy. Oparła głowę na blacie stołu i zaczęła modlić się do Czarnej Madonny.

W końcu Marta zeszła na dół, by zająć się kuchnią. Nie mówiła wiele, a twarz miała ponurą. Gdy pojawiły się Marcelina i Katarzyna, by pomóc w przygotowaniu świątecznego posiłku, Anna schroniła się w salonie, zajmując postereunek w pobliżu stojącego zegara.

Hrabina Grońska wróciła ze świątecznej mszy, a kiedy okazało się, że siostrzenica nie ma do przekazania żadnych wieści, udała się do swego pokoju.

Anna siedziała sama. Godziny mijały niezwykle powoli i nawet kuranty brzmiały tego dnia dziwnie nieharmonijnie. Od czasu do czasu krzyk dziecka przebijał się przez ściany, lecz podczas drugiej godziny czuwania nie słyszała go już ani razu. Nie ośmielała się domniemywać, co mogła oznaczać ta cisza. Tykanie zegara doprowadzało ją niemal do obłędu. Z trudem powstrzymywała się, by nie wbiec na górę.

W końcu usłyszała, że drzwi na piętrze otwierają się. Dobiegł ją głos lekarza, udzielającego Lutiszy instrukcji.

Czekała na niego u stóp schodów.

Nieodgadniona twarz doktora nie wróżyła nic dobrego.

- Czy on...?

Doktor Kurowski obrzucił Annę zniecierpliwionym spojrzeniem i przeszedł obok, zdążając do wieszaka, na którym wisiał jego płaszcz.

- Gorączka opada - powiedział, przechodząc. - Dziecko wyzdrowieje.

- Dzięki Bogu! - Anna gwałtownie zaczerpnęła powietrza, a potem wypuściła je z ulgą, jakby słowa doktora wróciły jej życie.

- Trzymajcie małego w ciepło, nawet jeśli gorąco wyda się wam nie do wytrzymania. Smarujcie go oliwą cztery razy dziennie i trzymajcie pod przykryciem. Udało mu się zatrzymać w żołądku nieco wody z miodem. Proszę dopilnować, by podawano mu to regularnie, dopóki nie będzie w stanie zjeść czegoś bardziej konkretnego. Możecie spróbować lekkiego rosółu z kroplą absyntu.

Lekarz stał ubrany w futrzaną czapkę i płaszcz, gotów do wyjścia.

- Dobrze, doktorze. - Z ulgi Annie aż zakreśliło się w głowie. - Dziękuję bardzo.

Lutisza zeszła po schodach i ruszyła w kierunku kuchni, ocierając dłońmi spoconą twarz.

- Bogu niech będą dzięki - mamrotała pod nosem. - Bogu i białemu orłowi.

- Tak, tak, orłowi - powtórzył doktor Kurowski. - Proszę mi powiedzieć, czy teraz, kiedy cała Rzeczpospolita znalazła się w obcych rękach, nadal ludzi się pani, że orzeł przegna rosyjskiego niedźwiedzia?

Anna poczuła, że drętwieją jej wargi, mimo to spróbowała się uśmiechnąć.

- Dopóki serca i umysły Polaków przepełnione są marzeniami o niepodległości, będę dzieliła je z innymi.

- Bo to rzeczywiście marzenia, drogie dziecko, i tylko one w końcu pani zostaną.

Podniósł torbę.

- A teraz kwestia mojego honorarium.

- Honorarium? Ach, tak! Ile ono wynosi?

- Pięćdziesiąt dukatów.

Sądziła, że się przesłyszała albo że lekarz z niej żartuje.

- Pięćdziesiąt dukatów - powtórzyła, niczym Echo za Narcyzem.

- Tak właśnie powiedziałem, droga pani. Mój czas jest cenny. Poza tym mamy święto.

- Tak, Boże Narodzenie - przytaknęła, pewna, że lekarz nie zrozumie kryjącej się w tym ironii. - Ale nie trzymam takich sum w domu. Moje pieniądze zostały zainwestowane. Czy nie mogłabym wysłać ich panu w poniedziałek?

- Obawiam się, że muszę nalegać, by dała mi pani jakieś zabezpieczenie...

- Ja się tym zajmę! - dobiegł ich nagle głos Zofii. Nadeszła z tylnej części domu. Przesadnie ozdobna suknia, jaką miała na sobie, była nieco zmięta, co świadczyło, że musiała dopiero co wrócić z bożonarodzeniowej zabawy.

- Ile wynosi pańskie honorarium, doktorze?

- Pięćdziesiąt dukatów.

Zofia zatrzymała się, zdumiona wysokością sumy.

- Dziecko czuje się dobrze?

- Nie mogę tego zagwarantować, lecz sędzę, że wyzdrowieje.

- Dobrze. Proszę chwilę poczekać. Przyniosę pieniądze. Odwróciła się i weszła do biblioteki, gdzie za portretem przodka znajdował się ścienny sejf.

Anna nie odezwała się już nawet słowem, tylko pobiegła do Jana Michała.

Wieczorem zapukała do pokoju Zofii. Kuzynka przespała większą część dnia, nie zeszła nawet na świąteczny obiad. Teraz przygotowywała się, by przyjąć gości.

- Jak chłopiec? - spytała.

- Gorączka spadła i teraz twardo śpi.

- Dobrze! Bardzo się cieszę, Anno. Naprawdę. Nie będzie tu dziś zbyt wielu gości, zaledwie piętnaście czy dwadzieścia osób, więc hałas nie powinien mu przeszkadzać.

- Przeniosę go z powrotem na poddasze.

- Ty też musisz trochę odpocząć, Anno. Wydajesz się bardzo zmęczona.

- Jak poznałaś doktora Kurowskiego, Zofio?

- Och, jest szeroko znany w kręgu moich przyjaciół. Rosyjski porucznik bardzo go polecał.

- Rozumiem.

- Chociaż nie wspomniał ani słowem, że honoraria, jakich żąda, są tak horrendalnie wysokie. Pięćdziesiąt dukatów!

- Myślę, że on uzależnia honorarium od pacjenta.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sędzę, iż pan doktor mnie nie lubi.

- Ciebie, Anno? Bardzo w to wątpię.

- Jutro pojedę do Lubickich.

- Nie zrobisz tego! Pieniądze, które masz u nich, to twoje zabezpieczenie na przyszłość i nie powinno się ich ruszać.

- Nie mogę pozwolić, byś zapłaciła tak wysoki rachunek.

- A co mi za różnica? - Zofia roześmiała się, spoglądając na odbicie Anny w lustrze. - Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby te pieniądze wróciły do mnie za tydzień albo za miesiąc. Naprawdę, nie zaprzataj sobie tym głowy. Najważniejsze, że twoje dziecko otrzymało dobrą opiekę.

Gawędziły jeszcze przez chwilę. Anna siedziała za Zofią, nakładającą przed lustrem makijaż. Po jakimś czasie podziękowała kuzynce po raz kolejny i

wstała, zamierzając wyjść. Zofia jednakże obróciła się na stołku, wstała i chwyciła ją za ramię.

- Anno, kochanie - powiedziała, utkwivszy w kuzynce spojrzenie czarnych oczu - nie mogę się rozdzielić. Teraz masz chore dziecko, którym musisz się zajmować, lecz kiedy mały wyzdrowieje, poproszę cię, byś zaczęła pomagać mi w zabawianiu rosyjskich intruzów. Dzięki temu zachowamy bezpieczny dach nad głową w tym szybko ginącym kraju. Musisz stawić czoło faktom: Rzeczpospolita raczej nie dźwignie się z upadku.

- Co... co miałabym robić?

- Jesteś piękną kobietą, Anno, godną pożądaną. Odwraca się za tobą więcej głów, niż mogłabyś przypuścić. Widziałam to. Znasz rosyjski lepiej ode mnie, a przy twojej inteligencji i uroku wkrótce staniesz się czarująca i błyskotliwie dowcipna. Obie z Charlotte sądzimy, że byłabyś wspaniałą gospodynią.

W pierwszej chwili hrabinie Berezowskiej po prostu odjęło mowę. Spróbowała delikatnie oswobodzić ramię.

- Obawiam się - powiedziała - że nie mam talentu do tego rodzaju zajęcia.

- Nonsens! Pozwól, że to ocenię, gdy przyjdzie czas. - Zofia puściła kuzynkę. - A teraz idź już. Muszę się przygotować.

Anna pobiegła do Jana Michała, wyrzucając z myśli propozycję Zofii.

Następnego ranka wstała wcześniej i od razu udała się do Lubickich po pieniądze.

Nowy Rok 1794 zaczął się szczęśliwie. Mały Jan Michał zdawał się powracać w pełni do zdrowia. Anna nie posiadała się z radości, obserwując, jak na powrót staje się beztruskim i ciekawym świata dzieckiem.

Zastanawiała się, kiedy Zofia znów przyjdzie do niej z propozycją, by pomogła jej zabawiać Rosjan. I co dzień ćwiczyła, w jaki sposób jej odmówi.

Czym kierowała się kuzynka, proponując jej coś tak niesłychanego? Anna nie była w stanie zgłębić motywów Zofii. Czy naprawdę chodziło o to, by zapewnić bezpieczeństwo domowi i rodzinie, czy też raczej o to, jak skłonna była przypuszczać, że takie zachowanie Anny zniweczyłoby jej marzenia o szczęśliwym życiu z Janem? Czy to możliwe, by Zofia nadal żywiła nadzieję, że któregoś dnia Jan poślubi właśnie ją?

Kolejna zagadka.

- Wreszcie nadchodzi! - zawołał żydowski piekarz, wpadając spóźniony do pokoju muzycznego.

Anna właśnie skończyła grać jeden z zapamiętanych z dzieciństwa utworów, lecz przybysz nie był w stanie zaczekać, aż wybrzmi ostatnia nuta, a tym bardziej brawa.

- Nadchodzi! - powtórzył.

- Kiedy? - zapytał chór głosów.

- W następnym miesiącu. W lutym.

- Skąd wiesz? - zapytał sklepikarz. - Ja słyszałem, że w kwietniu.

- Czekać, czekać, nic tylko czekać - poskarżyła się szwaczka. - Dlaczego musimy ciągle czekać?

Piekarz uśmiechnął się:

- Wiatr wieje tak szybko, jak chce.

- To dobra maksyma - odparowała szwaczka - lecz powiadam wam, jeśli Kościuszko szybko czegoś nie zrobi, Katarzyna wbije pazury w Rzeczpospolitą tak mocno, że wszelka walka będzie skazana na niepowodzenie.

Anna pozostała przy pianinie, z zainteresowaniem przysłuchując się rozmowie. Jej patriotycznie nastawieni przyjaciele spotykali się w domu Grońskich co tydzień od czasu pamiętnego wieczorku we wrześniu ubiegłego roku. Anna organizowała spotkania w dniu, który Zofia spędzała zwykle u krawcowej na Rynku, i niezbyt wcześnie rano, kiedy hrabina pozostawała w swoim pokoju, czytając Biblię i publikacje na tematy polityczne. Anna była pewna, że ani ciotka, ani kuzynka nie zaaprobowalyby tych spotkań. Zofia uznałaby je za ryzykowne, gdyż mogły zaszkodzić jej opinii wśród Rosjan, a hrabina za skandaliczne, gdyż żaden z gości nie pochodził ze szlachty. Jako że dom Grońskich znany był z gościnności wobec Rosjan, stanowił najmniej podejrzane, a tym samym bezpieczne miejsce spotkań.

Po jakimś czasie tego rodzaju zebrania stały się wyjątkowo ryzykowne, gdyż Katarzyna rozkazała, by aresztowano wszystkich wywrotowców. Mimo to Anna nie ukrywała niczego przed służbą. Ufała im bez zastrzeżeń. Uświadomiła też sobie, że choć płomień patriotyzmu od czasu do czasu ogarnia również szlachtę, zwłaszcza niektórych spośród magnatów, to w sercach chłopstwa płonie stale, z niezawodnością najlepszej woskowej świecy.

Podczas pierwszych spotkań przekazywano sobie niewiele nowin. Chodziło raczej o to, by spędzać czas pośród ludzi żywiących nadzieję, iż Rzeczpospolita jednak nie upadnie. Ostatnio wszakże młyn pogłosek pracował pełną parą. Wydawało się pewne, że Kościuszko zamierza wkrótce coś przedsięwziąć.

Grupka czterech czy pięciu osób, zgromadzona wokół pianina, zasłaniała Annie widok, toteż gdy nagle otwarły się drzwi, nie mogła dostrzec, kto pojawił się na progu. Sądziła, że to Lutisza lub Marta z przekąskami. Jednak po chwili ożywiona konwersacja przycichła, a normalny ton głosu zastąpiły szepty, które w końcu ustąpiły miejsca pełnej napięcia ciszy. Jeden ze stojących przed pianinem mężczyzn odwrócił się i skłonił.

Anna wstała, czując, jak krew odpływa jej z twarzy.

Nieruchoma sylwetka w zielonej sukni to nie mógł być nikt inny jak tylko hrabina Stella Grońska. Ciotka uśmiechała się, lecz Anna, zdenerwowana, nie potrafiła odczytać, co miał wyrażać ten uśmiech. Jak ciotka zareaguje na to, że siostrzenica urządza w jej domu tajne spotkania, narażając mieszkańców?

Oczy wszystkich obecnych, utkwione w hrabinie, zwróciły się z wolna ku gospodyni, gdy ta ruszyła powoli, by przywitać ciotkę. Miała uczucie, że od drzwi dzieli ją niewyobrażalna odległość. Nie mogła opanować drżenia, a serce tłukło się jej w piersi niczym ptak w klatce.

- Witaj, ciotko Stello - usłyszała własny głos. Powitanie zabrzmiało jednak głucho i bezbarwnie.

- Witaj, Anno Mario - odparła ciotka.

Anna spróbowała ująć jej dłoń i poprowadzić hrabinę w głąb salonu, lecz ta nie zamierzała na to pozwolić.

- Przeszkadzamy ci? Sądziłam, że czytasz lub odpoczywasz.

- Naprawdę?

- Ja... podejmuję właśnie kilkoro przyjaciół. - Anna nadal nie potrafiła odczytać, co oznacza uśmiech ciotki.

- Rozumiem - powiedziała hrabina. A potem uśmiech zniknął. - Anno, gdy weszłam, wszyscy tu rozprawiali z ożywieniem. Co się stało?

- To tylko plotki, ciociu.

- Jakie plotki? - naciskała hrabina.

- Nic określonego, lecz krążą pogłoski, że Kościuszko zamierza rozpocząć wkrótce kampanię.

- Bogu niech będą dzięki!

- Ciotko Stello - szepnęła Anna. - Nie chciałam, byś wiedziała o tych spotkaniach.

Hrabina przyjrzała się jej brązowymi oczami, przeniosła spojrzenie na ucichłe nagle towarzystwo, a potem znów na nią. Nagle parsknęła krótkim śmiechem.

- Moja droga, być może teraz jest to bardziej dom Zofii niż mój, ale nie sądzisz chyba, że nie wiem, co się w nim dzieje?

- Wiedziałaś?

- Oczywiście! Spotkania odbywają się tu co tydzień. W czwartki, gdy Zofia spędza czas na zakupach. Mam rację, czy też zawodzi mnie umysł?

- Masz rację. To niewybaczalne z mojej strony, że nadużywam twojej gościnności. Pozwoliłam sobie na zbyt wiele. W przyszłości...

- Anno Mario!- przerwała jej stanowczo hrabina.

- Tak, ciociu?

- Czy mogę przyłączyć się do grona twoich przyjaciół? Anna zamilkła i przez chwilę wpatrywała się w ciotkę, zaskoczona.

- Och, wiem - powiedziała hrabina, machając lekceważąco dłonią - kiedyś miałam inne poglądy i mocno się ich trzymałam. Lecz czasy są niebezpieczne, a ja nie chcę pozostać w tyle, uczipiona kurczowo przeszłości.

- Ja... z przyjemnością przedstawię ci moich gości, ciociu.

- Spójrzmy na to w ten sposób - mówiła dalej hrabina wystarczająco głośno, by wszyscy mogli ją usłyszeć. - Dlaczego mam ograniczać się do zwietrzałych nowin na temat ruchu patriotycznego, które mogę znaleźć w nieaktualnych publikacjach, skoro mieszkam w stolicy, a ludzie doskonale orientujący się w sytuacji spotykają się w moim domu?

- Powiedziała, że doskonale orientujemy się w sytuacji -wypalił szewc, a potem szybko zasłonił dłonią usta, zażenowany tym, że wypowiedział na głos swe myśli. Pozostali goście roześmiali się i napięcie w pokoju zelzało.

Anna wzięła ciotkę za rękę i poprowadziła przez salon, przedstawiając jej każdego po kolei. Witając się z hrabiną, wszyscy skłaniali grzecznie głowy.

Kiedy formalnościom stało się zadość, ciotka Stella wdała się w ożywioną rozmowę z bankierem, właścicielem jednego z sześciu największych banków w stolicy, z których wszystkie ogłosiły w zeszłym roku niewypłacalność.

Gdy goście wyszli, hrabina wyglądała na wyczerpaną, ale szczęśliwą.

- Anno - powiedziała - nie waż się zapominać, że jesteś dla mnie jak córka, a mój dom jest twoim domem.

- Dziękuję, ciociu, lecz Zofia nie może się o tym dowiedzieć.

- Ach, Zofia! - zawołała hrabina, machając niecierpliwie, acz z wdziękiem, dłonią. - Do licha z Zofią!

Rozdział sześćdziesiąty trzeci.

Rynek w Krakowie był porucznikowi Stelnickiemu dobrze znany. W końcu to właśnie tutaj stała należąca do jego rodziny kamienica. Tu, a także na prowadzących do Rynku uliczkach bawił się, będąc dzieckiem. Jednak dopiero teraz, po tym, jak towarzysząc Kościuszcze, odwiedził tuziny miast i miasteczek, uświadomił sobie, że krakowski Rynek jest wyjątkowo duży. Nawet warszawski nie mógł się z nim równać.

Dobrze się składa, że jest tu aż tyle miejsca, pomyślał z wdzięcznością, patrząc na zgromadzone wokół siebie tłumy. Dwu- i trzypiętrowe kamieniczki, okalające plac, także pełne były ludzi, spoglądających z dachów i okien. Wszędzie dookoła czuło się powiew historii. Dzisiejszy dzień - dwudziesty czwarty marca - przetrwa w pamięci narodu na zawsze. Jeśli Bóg da, będzie bowiem oznaczał początek końca obcych wpływów w Rzeczypospolitej. Tak jak białe bociany powracają po długiej zimie na polskie dachy, tak patrioci, szlachta i lud powrócą wkrótce do domów, rozmyślał z nadzieją Jan.

Podobnie jak reszta zgromadzonych stał w ten chłodny, choć słoneczny poranek, oczekując na pojawienie się Kościuszki. Towarzysząc małemu generałowi, miał okazję zobaczyć coś więcej niż tylko place miast. Widział bitwy i krew, bohaterstwo i śmierć, ale również, dające się wyczuć także dzisiaj, umiłowanie wolności, i to zarówno wśród szlachty, jak i mieszczan, chłopów czy Żydów. Czy Sprawa, którą popiera tak wielu, mogłaby upaść? Czuł, że emocje tłumu przepływają skroś niego niczym rzeka.

Przed rozbiorem w 1793 roku doświadczył smaku zwycięstwa i porażki. Pod Dubienką otrzymał pchnięcie bagnetem w prawe ramię, lecz zwycięstwo było tak słodkie, że prawie nie poczuł bólu. Prawdziwe nieszczęście nadeszło, kiedy Fryderyk Wilhelm z Prus złamał obietnicę daną Polakom i przestał popierać ich dążenia do niepodległości, a księżę Ludwig wycofał podlegające mu litewskie oddziały z pola bitwy.

Jednak prawdziwa klęska nadeszła dopiero, kiedy niektórym spośród magnatów udało się przekonać króla, że nie ma wyboru i musi przyłączyć się do konfederacji targowickiej. Kuzyn króla, generał Józef Poniatowski, zwycięzca spod Zieleniec, złożył w dowód protestu dymisję, podobnie jak generał Kościuszko. Jan był zadowolony, że rana zatrzymała go tego czarnego dnia z dala od stolicy. Kościuszko wrócił pokonany, ale nie załamany. On nigdy się nie podda, rozmyślał Jan.

Większą część roku 1793 spędził z Kościuszką w Paryżu. Generał żywił nadzieję, że uda mu się przekonać Francję, by poparła dążenia niepodległościowe Polaków. Mały generał był człowiekiem wytrwałym i obdarzonym zdolnością przekonywania. Jednak z czasem dotarły do nich pogłoski, że w kraju rodzi się zarzewie buntu. Powrócili więc. Kraków był wolny, ponieważ dwunastego marca generał Madaliński odbił miasto Rosjanom.

Kościuszko wszedł na plac i tłum powitał go okrzykami, pozdrowieniami i pieśnią. Wiwaty trwały i trwały. Madaliński stał obok Kościuszki, i jeśli nawet był zawiedziony, że to Kościuszko odbiera hołdy zamiast niego, choć pojawił się w Krakowie zaledwie wczoraj, nie okazał tego.

Mały generał wyszedł na środek placu i zatrzymał się niedaleko miejsca, gdzie stał ze swym oddziałem Jan Stelnicki. Wódz ubrany był w długi biały płaszcz, obsyty przy kołnierzu czerwoną wstążką, białe spodnie, białą koszulą oraz czerwoną kamizelką. Na szyi miał, zawieszony na wstędze, krzyż *Virtuti Militari*, a na głowie, podobnie jak teraz Jan, chłopską rogatywkę, czerwoną, obszytą u dołu czarnym baranym kozuszką.

Dlaczego nie miałby nosić chłopskiej czapki, pomyślał Jan, rozglądając się po otaczającym go tłumie. Bez chłopów Sprawa po prostu by nie istniała. Tu, na Rynku, znajdowało się ich tysiące. Przybyli z kosami, gotowi ruszyć za swym generałem.

W końcu okrzyki ucichły i Kościuszko wygłosił serdeczną przemowę, przysięgając walczyć o „wolność, całość i niepodległość” swego kraju. Wystosował odezwę do wszystkich stanów - ponieważ ich przedstawiciele znajdowali się tu dzisiaj -by nie kierowali się egoizmem i w pełni oddali sprawie wyswobodzenia Rzeczypospolitej Polski i Litwy. Zamierzał „zjednoczyć serca, dłonie i wysiłki w całym kraju”.

Następnie proklamował akt insurekcji, przyjmując władzę dyktatorską i ustanawiając tymczasową konstytucję, która dawała wolność chłopom, a ziemię każdemu, kto sięgnie po oręż w obronie Rzeczypospolitej.

- Poczujcie w końcu swą moc! - zawołał, jakby słuchał go cały naród. - Wyteżcie siły. Skupcie się na tym, by być wolnymi i niezależnymi. Dzięki jedności i odwadze możecie osiągnąć ten szlachetny cel. Przygotujcie się na zwycięstwa i porażki. Zarówno w jednym, jak i w drugim duch prawdziwego patriotyzmu powinien dodać wam sił i energii. A teraz pozostało mi już tylko słać wasze Powstanie i służyć wam tak długo, jak długo Niebiosa pozwolą mi żyć!

Tu generał podrzucił w powietrze swą chłopską czapkę, a tłum, wrzeszcząc opętańczo, porwał go na ręce i uniósł.

Jan obracał w dłoni własną rogatywkę. Serce omal nie pękło mu z dumy. Gdyby tylko Anna mogła to zobaczyć, pomyślał. Anna o oczach jak szmaragdowe błyskawice. Łzy zakłuły go pod powiekami.

RS

Rozdział sześćdziesiąty czwarty.

Anna weszła do salonu i zdumiała się, ujrawszy w nim Pawła Poteckiego.

- Czekam na Zofię - wyjaśnił hrabia, wstając.

- Z ochotą dotrzymam panu towarzystwa - powiedziała Anna, siadając. Zorientowała się, że Potecki przybył w ściśle określonym celu. Był ubrany dość nietypowo, w ciemny strój, a w jego zachowaniu dawało się wyczuć zdenerwowanie. Mimo to dalej był przystojnym mężczyzną o szlachetnej postawie. Anna nadal była mu wdzięczna, że zatroszczył się o nią po pamiętnym przyjęciu Zofii, kiedy to pijana księżna Sic paskudnie sobie z niej zakpiła.

- Gratulacje, pani Anno. Od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, została pani matką.

- Dziękuję panu.

- To chłopiec?

- Tak, silny i zdrowy.

- Ha! - roześmiał się hrabia. - Pamięta pani naszą rozmowę. Gdyby urodziła się dziewczynka, z pewnością także byłaby silna.

- Bez wątpienia - zawtórowała mu Anna.

Jakby na zamówienie do pokoju wbiegł Jan Michał, ściskając w rączce kawałek żytniego chleba.

- Matko, spójrz! - zawołał. - Chleb!

Zatrzymał się koło krzesła i podniósł rączkę, by pokazać, co w niej ma.

- Ach, skórka! - zawołała śpiewnie Anna. - Smakuje ci, Janie Michale?

- O tak. Lutisza mówi, że to najlepsze!

- Lutisza piecze dziś chleb? - zapytał hrabia chłopca. Malec odwrócił się, spojrzął na obcego i skinął niepewnie głową.

- Ależ z ciebie prawdziwy mały mężczyzna - orzekł Potecki.

- O tak! - potwierdziło dziecko.

Hrabia zaśmiał się i posadził sobie malca na kolanach. W drzwiach pojawiła się zdyszana Marta. Najwidoczniej przybiegła tu za chłopcem.

- Och, przepraszam, madame - wykrztusiła. - Nie wiedziałam, że ma pani gościa.

- Pan Potecki czeka na panią Zofię. Marta pokraśniała.

- Odwróciłam się tylko na chwilę, a mały natychmiast zsunął się z krzeselka i uciekł.

- Jeszcze kilka minut - zażartował hrabia - a chwyciłby za szablę albo porwał ze ściany inną sztukę broni i wyruszyłby do Krakowa!

Marta, przerażona, zasłoniła dłonią usta.

- Wszystko w porządku, Marto - zapewniła Anna ze śmiechem. - Trochę potrwa, nim będzie w stanie unieść którąś z tych rzeczy. A jeśli Bóg da, nie będzie takiej potrzeby.

Malec zsunął się z kolan hrabiego i podbiegł do służącej.

- Marto - powiedziała Anna - dopilnuj, by Jan Michał nie jadł już nic przed obiadem.

- Tak, madame - szepnęła służąca, dygając. Wyszła i zamknęła drzwi za sobą i małym Janem.

- To takie bystre dziecko - powiedział gość, wstając. - Na pewno jest pani z niego dumna.

- Jestem. Musi pan już iść? Kuzynka powinna wrócić lada chwila.

- Obawiam się, że nie mogę dłużej czekać. Zofia jest tak nieprzewidywalna.

- Nieposkromiona, czyż nie tego określenia wolałby pan użyć?

Hrabia roześmiał się.

- Nieoswojony tropikalny ptak, o ile pamiętam. Cóż, nie przeszkadza jej to być także nieprzewidywalną.

Anna nie mogła się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem.

- Pożegnają pani ode mnie?

Zauważyła, że na twarzy hrabiego znowu pojawił się wyraz napięcia.

- Pożegna? - zapytała ze zdziwieniem.

- Tak. Słyszała pani zapewne, że Kościuszko wezwał wszystkich do broni?

- Oczywiście. To dla nas wielka nadzieja. Nagle dotarło do niej znaczenie tego, co usłyszała.

- Jedzie pan do Krakowa?! Potecki przytaknął.

- Niech Bóg będzie z tobą, Pawle! - zawołała Anna. Emocje sprawiły, że zwróciła się doń po imieniu.

- Zbyt wielu spośród szlachty nie zareagowało na wezwanie - powiedział. - Boją się reform, które generał obiecał chłopom. Jednak, na Boga, przede wszystkim powinniśmy się martwić o to, co zagraża nam z zewnątrz!

- Jestem pewna, że bardzo się tam przydasz. - Anna dotknęła łokcia hrabiego. - Jestem z ciebie dumna.

- Pomyślałbym raczej, że nie będziesz chciała nawet słyszeć o wojnie, Anno.

- Bo wolałabym nie słyszeć. Lecz w pełni popieram Sprawę, podobnie jak moja ciotka.

- Czy ktoś ci bliski walczy za ojczyznę, Anno?

- Tak, jest z Kościuszką... porucznik Jan Stelnicki.

- Rozejrzę się za nim. Dziękuję za zaufanie. Wątpię, czy Zofia okaże się tak wyrozumiała. - Uśmiechnął się smutno.

- Tak, ja także w to wątpię.

- Będzie wściekła.

- Kochasz ją, prawda, Pawle?

- Tak - powiedział, oblewając się rumieńcem.

- Wyznała mi, że prosiłeś ją o rękę - mówiła dalej, zaszokowana własną śmiałością.

- Tak. Wiele razy. Nasza znajomość opiera się jednak na tym, co wygodne, nie na tym, co konwencjonalne. Wygodne dla Zofii, rzecz jasna. Jesteś jej kuzynką, Anno. Powiedz, czy ona kocha innego?

Pytanie zaskoczyło Annę.

- Ja... ja nie wiem.

Drzwi do salonu otworzyły się, co uchroniło ją przed dalszą indagacją.

- Boże, co za poważne tête-à-tête! - zawołała śpiewnie Zofia. - Witaj, Pawle. Witaj, Anno.

Anna czym prędzej wymówiła się od towarzystwa, zegnając się z hrabią i życząc mu wszystkiego dobrego.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że Anna wyprawia cię na wojnę, Pawle - powiedziała Zofia.

Wchodząc po schodach, Anna zastanawiała się, dlaczego kuzynka odrzuca tak przystojnego i przyzwoitego adoratora. Czy nie potrafi zadowolić się jednym mężczyzną? A może nadal ma na oku innego?

Przez następne pół godziny z salonu dobiegał podniesiony głos Zofii, bez wątpienia próbującej wyperswadować hrabiemu jego zamiary. Jego także dało się słyszeć, lecz mówił ciszej i tak, jakby przemawiał komuś do rozsądku.

W chwilę po tym, jak głosy ucichły, Anna usłyszała, że zamykają się wejściowe drzwi. Zeszła na dół. Zofia nadal była w salonie.

- Oczywiście - powiedziała, spostrzegłszy kuzynkę - dobrze wiesz, co on planuje.

- Owszem.

- I, jak przypuszczam, popierasz to?

- Tak.

- Paweł jest głupcem - oznajmiła Zofia drwiąco.

- Nie nam aprobować go lub ganić. Jest dorosły i musi postępować tak, jak dyktuje mu sumienie. Wolałabyś, by zachowywał się inaczej?

Zofia spojrzała na nią, jakby rozważała znaczenie tego, co przed chwilą usłyszała. Zaczerpnęła głęboko oddechu, a potem wypuściła z wolna powietrze i powiedziała:

- Sumienie, też mi coś!

- Zofio - rzekła Anna, chwytając ją za ramię. - Paweł cię kocha! Poślij po niego lub pozwól, że ja to uczynię!

- Och, Anno - odparła zniecierpliwiona kuzynka, wyrывая się jej, i ruszyła ku drzwiom.

- Zofio, nie pozwól, by udał się na wojnę przygnębiony, bo może z niej nie wrócić! - nalegała Anna.

Zofia odwróciła się i utkwiała w niej spojrzenie ciemnych, migdałowych oczu.

- Jak też brzmi to powiedzenie? Na miejsce każdego głupca znajdzie się dwóch następnych. Cóż, kuzynko, proszę cię, nie włączaj mnie do tego.

Nowina zastała Annę w domu Lubickich. Kończyła omawiać z księciem sprawy finansowe, gdy Mundek, dwunastoletni brat Heleny, który dopiero co przybiegł z placu przed Zamkiem, zawołał:

- Kościuszko spotkał się z wrogiem - wykrzykiwał piskliwym chłopięcym głosem - i odnieśliśmy zwycięstwo! Niech żyje Republika!

W wielkim domu natychmiast zapanowało ożywienie. Członkowie rodziny, przyjaciele, służba, wszyscy zaczęli wykrzykiwać radośnie:

- Niech żyje Republika! Niech żyje orzeł biały! Niech żyje mały generał!

W ciągu następnych kilku dni poznali więcej szczegółów. Odezwa Kościuszki nie pozostała bez echa. Setki i tysiące chłopów uzbrojonych jedynie w kosy i inne ostre narzędzia ruszyły, podobnie jak armia szlachty i czeladzi, by przyłączyć się do walczących pod sztandarem z białym orłem na czerwonym tle.

Kościuszko nie czekał, aż Rosjanie pomaszerują na Kraków. Ruszył na północ z czterema tysiącami regularnego wojska i dwoma tysiącami kosynierów. Czwartego kwietnia, w pobliżu Raławic, rosyjscy generałowie Tormasow i Pustowałow zaatakowali oddziały Kościuszki z dwu stron naraz. Lecz zanim trzecia armia, dowodzona przez Denisowa, zdążyła włączyć się do walki, polscy żołnierze, wspierani przez walczących z szaleńczą determinacją, nieustraszonych kosynierów, przeprowadzili frontalny atak, zadając Rosjanom druzgocącą klęskę.

Katarzyna straciła tysiąc żołnierzy, a Polska zyskała nadzieję. Hrabina Berezowska zastanawiała się, co też muszą sobie myśleć Rosjanie okupujący Warszawę. Z pewnością mieli powód, by się martwić.

Anna bawiła się z Janem Michałem w pokoiku na poddaszu, kiedy w drzwiach stanęła Lutisza, wołając:

- Madame, hrabina Stella prosi, by zeszła pani do pokoju muzycznego. Są tam pani goście.

- Wielkie nieba, Lutiszo! Straciłam poczucie czasu! Zaraz schodzę. Przyślij, proszę, Marcelinę lub Katarzynę, by zajęły się Janem.

Od zwycięstwa Kościuszki minęło zaledwie kilka dni i Anna spodziewała się zastać na dole radosne twarze. Lecz kiedy otworzyła drzwi, zauważyła, że przyjaciele mają miny powściągliwe, a nawet poważne.

Mężczyźni wstali, gdy weszła.

- Dzień dobry, pani Berezowska - powitał ją niejednolity chór.

- Dzień dobry - odparła, przyglądając się grupie dwudziestu, dwudziestu pięciu osób, zebranych w pokoju muzycznym. - Dlaczego nie świętujemy?

Wkrótce miała się dowiedzieć. Usiadła obok ciotki, która wydawała się równie zaciekawiona. Podczas gdy reszta milczała, obywatel Donakevi, bankier, wziął na siebie obowiązek wyjaśnienia Annie sytuacji, zaczynając od pytania:

- Zna pani szewca Kilińskiego? Anna potrząsnęła głową.

- Słyszałam o nim - wtrąciła hrabina. - Jest dobrym patriotą, prawda?

- Owszem, jest patriotą - odpowiedział bankier - ale być może zbyt radykalnym.

- Czyż patrioci często nie muszą uciekać się do radykalnych środków, jeśli zachodzi taka potrzeba? - spytała Anna.

- Tak, oczywiście, ma pani rację. Lecz proszę pozwolić, że wyjaśnię. Jan Kiliński i inni podżegają mieszkańców Warszawy, i robią to niezwykle skutecznie, by powstali i przejęli kontrolę nad stolicą, nie czekając, aż Kościuszko dotrze tu z południa.

- Lecz jeśli dałoby się to przeprowadzić... - zaczęła hrabina.

- Och, niewykluczone, pani Grońska, ale potrzeba człowieka takiego jak Kościuszko, z jego opanowaniem i przywódczym talentem, by wziąć miasto bez niepotrzebnego rozlewu krwi i strat w ludziach.

- A ta gromada buntowników? - dopytywała się Anna.

- To tylko pstra mieszanina rozgniewanych obywateli, żołnierzy bez przydziału i, co nieuniknione, miejskiej hałasty.

- Jednym słowem, motłoch - odpowiedziała.

- Właśnie. Warszawa może się okazać drugim Paryżem.

- A Katarzyna... - zastanawiała się na głos Anna. Hrabina Grońska westchnęła przeciągle i dokończyła za siostrzenicę:

- Rozwścieczona do białości spadnie na Pragę i stolicę niczym smoczy ogień.

- Boże, czy niczego nie da się zrobić? - Anna przesunęła spojrzeniem po zaniepokojonych twarzach, uświadamiając sobie, że oprócz niepokoju maluje się na nich oczekiwanie. O co im chodzi? Czego ci ludzie ode mnie chcą?

Odwróciła twarz ku bankierowi Donakeviemu.

- Pani Berezowska - zaczął bankier niezdecydowanie - chcieliśmy prosić panią... to znaczy, mamy nadzieję, że pani byłaby w stanie coś zrobić.

- Ja? - spytała z najwyższym zdumieniem. - A cóż ja takiego mogłabym zrobić?

- Mogłaby pani dotrzeć do króla - powiedział bankier, tym razem bez wahania. - Spośród nas jedynie pani miałaby szansę sprawić, by jej wysłuchał. Przemawiałaby pani nie tylko w imieniu tej małej gromadki, zebranej teraz w pani salonie, ale w imieniu tysięcy obywateli, którzy nie życzą sobie anarchii na ulicach. Musimy poczekać, aż mały generał oswojodzi stolicę.

- Król mnie nie zna - powiedziała Anna, potrząsając głową.

Bankier wydawał się zawiedziony. Roześmiała się z przymusem.

- Sądziłicie, że skoro pochodzę ze szlachty, muszę znać króla?

- Nie wiedzieliśmy tego, proszę pani, lecz...

- Tak?

- Pani Grońska go zna.

Anna wstrzymała oddech. Od razu wiedziała, że bankier nie ma na myśli jej ciotki, która siedziała tuż obok, milcząca niczym głaz.

- Moja kuzynka?

Bankier skinął tylko głową, gdyż był człowiekiem dyskretnym. Anna mogła sobie jedynie wyobrazić, jakież to plotki podążają śladem modnych pantofelków Zofii.

- Hrabina Zofia Grońska ma dostęp do króla, a pani, jako jej kuzynka i arystokratka, z pewnością uzyska posłuchanie. Wierzmy, że tak właśnie się stanie.

- To nie do pomyślenia. - Na samą myśl o czymś takim Annę rozboleła głowa. - I co miałabym powiedzieć królowi?

- Mogłaby pani przekazać mu nasze przesłanie - powiedziała błagalnie żona bankiera. - Moja droga, trzeba coś przedsięwziąć, i to natychmiast. Od tego zależy życie wielu ludzi!

Annie zakręciło się w głowie. Spojrzała na swoich gości, zastanawiając się, jak to się stało, że stanęła przed tak poważną próbą. Co sobie myśleli ci ufni ludzie? Jakie pokładali w niej nadzieje? Nigdy dotąd nie czuła się tak niepewna i mało znacząca. A potem przypomniała sobie, co odpowiedział jej dwa lata temu Michał Kolbi, gdy zapytała go, w jaki sposób mogłaby być przydatna grupce patriotów. Zapewnił ją wtedy, że pewnego dnia, być może, będzie mogła oddać im nieocenione usługi. Niechybnie przypomniałby jej o tym teraz, gdyby nie był z Kościuszką, oddając nieocenione usługi generałowi i ojczyźnie.

- Pani Berezowska? - szepnął bankier, przywołując ją do rzeczywistości.

Spojrzała na ciotkę. Hrabina wyglądała tak, jakby miała ochotę skinąć z aprobatą głową. Nie uczyniła tego jednak. Anna czuła, że ciotka chce, by samodzielnie podjęła decyzję. Przełknęła zatem nerwowo i powiedziała:

- Pojadę do Zamku jeszcze dziś po południu.

Zofia wróciła z zakupów o pierwszej. Anna nie traciła czasu, lecz poszła do niej od razu, nim kuzynka zaczęła przygotowywać się do kolejnego wieczornego przyjęcia. Bez tchu wyjaśniła, co grozi miastu ze strony Kilińskiego i gromady jego buntowników.

Zofia była zaskoczona.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Mam przyjaciół, ludzi, którzy wiedzą, co mówią.

- Nadal spotykasz się z tą hołotą? Ufam, że nie odbywa się to w moim domu.

- Musisz mi uwierzyć. Miasto jest zagrożone!

- Och, wierzę ci, moja droga. Chodzi jedynie o to, że te sprawy są tak nużące. Dziwi mnie, że się tym interesujesz. Będzie, co ma być.

- I mówisz tak, jakbyś sądziła, że nie możesz mieć wpływu na swoje życie. Cóż, jest inaczej. Ludzie prowokują wydarzenia, mogą im też zapobiec. Muszę coś zrobić.

- Tylko co? - rzuciła Zofia gniewnie. - Jak ci się wydaje, co mogłabyś zrobić?

Anna zamilkła, a potem zebrała się na odwagę i zaczerpnąwszy oddechu, powiedziała:

- Zabierzesz mnie dziś po południu, bym mogła zobaczyć się z królem? Poinformuję go o spisku. Jeśli ktoś może zrobić cokolwiek, by zapobiec przedwczesnemu powstaniu, to tylko on.

- Król? - Zofia roześmiała się. - Zwariowałaś?

- Zofio, ludzie na mnie liczą.

- Co cię napadło, Anno? Czy kiedykolwiek pozbędziesz się tej wiejskiej naiwności? Nie możesz nic zrobić. Zostaw polityczne intrygi mężczyznom. Jak sobie to wyobrażasz, kim ty jesteś - Joanną d'Arc?

- Nie, chodzi tylko o to, iż sędzę...

- Dość! - przerwała jej Zofia. - Nie mogę pójść tam z tobą dzisiaj. Mam inne plany.

- Zofio, proszę...

- Nie, Anno! Cały ten pomysł to absurd. Nie zamierzam brać udziału w tak bezsensownym przedsięwzięciu i nie chcę więcej o tym słyszeć.

Anna odwróciła się i już miała wyjść, gdy zobaczyła leżący na biurku Zofii list. Był częściowo ukryty wśród innych papierów, lecz wystawał fragment czerwonej pieczęci. Natychmiast pomyślała, iż może to być pieczęć Stelnickich.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Może przynajmniej napisała byś mi list polecający do króla? - spytała, wskazując gestem sekretarzyka.

- Nie, mam zbyt mało czasu, a muszę się przygotować. Zofia podeszła do sekretarzyka i zamknęła go.

- Do widzenia, Anno - powiedziała ze swym wystudiowanym uśmiechem.

Nie pozwalając sobie zbyt długo się namyślać, by nie ogarnął jej strach, Anna ubrała się pośpiesznie. Włożyła popołudniową suknię z indyjskiej bawełny i upięła wysoko włosy, przytrzymując je bursztynowymi spinkami. Nie umalowała się ani nie założyła biżuterii.

Dopiero w wynajętym powozie miała czas się zastanowić. Czy to możliwe, by list, który zauważyła, był od Jana? Czy Zofia próbowała go ukryć? A może ona sobie tylko to wyobraża? Jeśli list był od Jana, czy został zaadresowany do Anny? Czyżby kuzynka powróciła do starych sztuczek z przejmowaniem poczty? I czy to możliwe, by Jan pisywał do niej?

Nie widziała go od tak dawna, że nie miała pewności, czy nadal mu na niej zależy i czy zapomniał o Zofii. Zmusiła się, by o tym nie myśleć.

Dlaczego nie potrafiła w pełni nikomu zaufać? Jan nadal ją kocha, musi. Odegnawszy precz wątpliwości, zaczęła martwić się, czy jest bezpieczny. Boże, chroń go i zachowaj w zdrowiu, modliła się.

Kiedy za oknem spostrzegła kolumnę Zygmunta, zorientowała się, że jest na zewnętrznym dziedzińcu Zamku. Nagle przypomniała sobie pierwszą wyprawę do stolicy w poszukiwaniu lalki. Wówczas, miast kupić zabawkę, zakochała się w kryształowej gołębiczy.

W polu widzenia ukazał się zegar na wieży zamkowej. Czy tam naprawdę mieszka król? - spytała wówczas ojca. Co by pomyślał jej ojciec, gdyby wiedział, że właśnie wybiera się na spotkanie z królem? Do tego w tak ważnej misji. W jakiś sposób wspomnienie ojca dodało jej odwagi. Powóz wjechał na wewnętrzny dziedziniec i Anna wysiadła.

Wszędzie kręcili się rosyjscy gwardziści. Poczowała ucisk w sercu. Czy to możliwe, by udało jej się porozmawiać z monarchą z dala od wścibskich uszu Rosjan?

Apartamenty królewskie znajdowały się na pierwszym piętrze. Annę poprowadzono wielkimi schodami, a potem do białego Pokoju Oficerskiego. Dwaj gwardziści stali przy wejściu, dwaj inni zajmowali posterunek przy drzwiach, znajdujących się w odległym końcu sali. Z ulgą przekonała się, że przynajmniej ci ostatni mieli na sobie czerwono-żółte mundury polskiej Gwardii Królewskiej. Rozległa szachownica zielono-białych marmurowych kwadratów przesuwiała się pod jej stopami, kiedy zbliżała się do bogato zdobionego francuskiego biurka, za którym siedział generał adiutant. Poza nią nikt inny nie oczekiwał tu na audiencję. Wysoki biało-złoty zegar wybijał akurat godzinę trzecią. Prawdopodobnie król nie zacznie przyjmować przed piątą. Mogła się tylko modlić, aby monarcha był w Zamku.

- Jestem hrabina Anna Maria Berezowska - przedstawiła się. - Chciałabym uzyskać audiencję.

Z bijącym mocno sercem przyglądała się adiutantowi. Wszystko w nim było grube: brzuch, rysy twarzy, wąsy. Jednakże gdy się odezwał, przekonała się, że serdeczności ma w sobie tyle, co włosów na głowie. Czyli bardzo niewiele.

- Czy król się pani spodziewa? - zapytał bez uśmiechu.

- Nie - odparła, tracąc pewność siebie.

- Hmm - wymamrotał urzędnik, otwierając skórzaną okładkę. Z oficjalną miną przesuwiał grubym paluchem po stronach, mamrocząc pod nosem.

Po chwili zarówno ruch palca, jak i mamrotanie ustały. Tłuszcioch spojrział na Annę oskarżycielsko mętными oczami.

- Pani nazwisko nie figuruje na liście osób mających stały dostęp do Jego Wysokości. Czy król panią zna?

Urzędnik patrzył na nią, mrużąc z powątpiewaniem oczy, ukryte pod ciężkimi powiekami.

- To nie jest moja pierwsza wizyta w Zamku.

- A ta pierwsza okazja? - zapytał impertynencko, jakby wiedział, że była tu zaledwie raz.

Anna zjeżyła się wewnątrz. To, że gburowaty urzędnik miał rację, dodatkowo ją zirytowało.

- Niedawno zostałam zaproszona na koncert i kolację.

- A jeśli podam pani nazwisko królowi, czy je rozpozna?

- Niekoniecznie - przyznała. - Proszę, panie oficerze, to bardzo ważne, bym mogła niezwłocznie zobaczyć się z Jego Wysokością.

- Obawiam się, że to niemożliwe, moja pani. Aby uzyskać audiencję, trzeba przedstawić swoją sprawę na piśmie. A wtedy prośba zostanie uwzględniona bądź nie. Zwykle trwa to około tygodnia.

- Tydzień! Nie mam tyle czasu. Sprawa jest pilna! Urzędnik splótł pulchne palce i pochylił się nad biurkiem.

- O czym chciała pani rozmawiać z królem?

- Nie będę rozmawiała o tym z nikim poza królem Stanisławem.

- Zatem nie mogę pani pomóc. Do widzenia.

Ten prostak miał czelność ją odprawić. Krew napłynęła

Annie do twarzy. Odwróciła się nie po to, by odejść, lecz by ominąć biurko i wbiec do następnej sali.

Usłyszała, że urzędnik coś krzyczy, ale strażnicy przy drzwiach byli tak zaskoczeni, że nie zareagowali w porę. Minęła ich, lecz niemal natychmiast spotkało ją rozczarowanie. Znalazła się bowiem w wielkiej antykamerze, z wiszącymi na ścianach ciężkimi obrazami, w której na francuskich kanapach, wyglądających na niezbyt wygodne, siedzieli ludzie. Mężczyźni i kobiety czekali, by spotkać się z królem.

Urzędnik i strażnicy rzucili się w pościg. Anna nie miała teraz nic do stracenia, pobiegła więc ku drzwiom, które musiały prowadzić do sali, w której odbywały się audiencje.

- Zatrzymać tę kobietę! - zawołał urzędnik.

Strażnicy, strzegący tych drzwi, okazali się szybsi niż ich koledzy. Błyskawicznie przysunęli się do siebie, skutecznie blokując wejście.

- Muszę zobaczyć się z królem! - krzyknęła Anna. - Muszę!

Pozostali strażnicy zaszli ją od tyłu. Choć nadal płonęła gniewem, wiedziała, że przegrała. Odwróciła się i zobaczyła napierającego na nią urzędnika. Poczerwieniały na twarzy, rozciągał wargi w wymuszonym uśmiechu.

- Wy dwaj - powiedział do strażników, którym nie udało się jej zatrzymać - odprowadzicie natychmiast hrabinę do jej powozu. I postarajcie się przynajmniej to zrobić jak należy! Byłoby najlepiej - dodał, zwracając się do niej - gdyby pani więcej tu nie wracała.

- A pański nos nie byłby taki czerwony, gdyby pańskie upodobanie do wódki nie było równie wielkie jak brak manier. - Po raz pierwszy w życiu Anna odezwała się, nie miarkując słów.

Urzędnik osłupiał. Hrabina Berezowska odwróciła się i wymaszerowała z sali tak szybko, że gwardziści musieli mocno wydłużyć krok, by za nią nadążyć.

W powozie roześmiała się na wspomnienie twarzy urzędnika. Nie wiedziała, co ją napadło.

Radość z tego niewielkiego zwycięstwa szybko jednak stopniała. Co by tu jeszcze zrobić, zastanawiała się, gdy powóz turkotał po moście. Nie mogła zawieść przyjaciół. Modliła się o jakąś wskazówkę, jakiś plan. I nim wysiadła przed domem Grońskich, plan był gotowy. Na jego realizację miała niecałe dwie godziny.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w lustro.

Zofia wyszła, a hrabina zdążyła już się położyć. Najwidoczniej nie czuła się dziś zbyt dobrze - ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Anna mogła zatem spokojnie porozmawiać z Babette i przekupiwszy ją, nakłonić, by jej pomogła.

Pokojówka ubrała ją w zapierającą dech w piersi czerwoną toaletę Zofii, tę z szeroką spódnicą i bufiastymi rękawami, obszytą setkami kołyszających się srebrnych paciorków. Następnie umocowała jej na głowie należącą do kuzynki wysoką perukę, przyozdobioną czerwonymi kokardkami.

Pomalowała twarz Anny tak, jak maluje się obraz: czerwone wargi przybrały kształt serduszka, uróżowane policzki kontrastowały z bielą cery, a wysoko na prawym policzku widniała czarna muszka w kształcie półksiężyca. Renesansowy poeta zapewne dedykowałby mi cykl sonetów, pomyślała, unosząc w uśmiechu kąciki warg.

Zestaw biżuterii też był imponujący. Jednak to dekolt sprawił, że się zawahała. Suknia była wycięta tak skandalicznie głęboko, że stanik ledwie zakrywał piersi. Przemknęło jej przez myśl, by się przebrać, ale nie było już na to czasu.

- Och, madame! - zawołała pokojówka. - Wygląda pani cudownie!

- Naprawdę? Powiedz mi, Babette, jak myślisz, czy przynajmniej dzisiaj mogłabym równać się z Zofią?

- Tak, madame. Dzisiaj przewyższa pani urodą kuzynkę. Anna wiedziała, że odrobina pewności siebie, zyskana dzięki komplementowi, bardzo jej się przyda.

- Czy to duże przyjęcie, pani Anno?

- Raczej bal maskowy, Babette.

- Och, madame! Ale zabawa!

Gdy hrabina Berezowska zjawiała się z powrotem w Pokoju Oficerskim, wskazówki biało-złotego zegara wskazywały godzinę 4.45. Serce podskoczyło jej z radości, gdy przekonała się, że znanego jej oficera zastąpił inny urzędnik! Ledwie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Podeszła do biurka i pochylając się, powiedziała konfidencjonalnie:

- Chciałabym natychmiast zobaczyć się z królem. Czoło starszego człowieka przecięła zmarszczka, gdy spojrzał na stojące przed nim zjawisko w czerwieni.

- Tak, tak, proszę pani - zająknął się, opuszczając krzaczaste siwe brwi, by móc wpatrywać się w biust Anny. - A jest pani...?

Anna zeszywniała z zażenowania, lecz postarała się, by urzędnik przypisał jej zachowanie innym uczuciom, nie wstydomi.

- Nie wie pan? - spytała z zabarwionym kpina zdumieniem w głosie. - Naprawdę?

- Cóż, cóż, nie, proszę pani, ja...

- Jestem - powiedziała, rozciągając wargi w cukierkowym uśmiechu podpatrzonym u swej matki - hrabina Zofia Grońska z Halicza.

W duchu modliła się, by urzędnik nie znał Zofii z widzenia.

- Och, tak, tak, hrabina Grońska, oczywiście! Proszę mi wybaczyć.

Pochylając się tak, że niemal dotykał nosem skórzanej okładki, gorliwy człowieczek szybko zlokalizował nazwisko Zofii. Wstał natychmiast.

- Proszę mi wybaczyć, to zajmie zaledwie minutę. Zobaczę, czy król może panią przyjąć. Zechce pani spocząć?

- Dziękuję.

Anna pozwoliła, by mężczyzna ją posadził, a potem mogła już tylko przyglądać się, jak znika pośpiesznie za drzwiami.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Anna aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że czterej obecni w pokoju żołnierze byli tymi samymi gwardzistami, którzy pomogli wcześniej usunąć ją z zamku. Pokrywając niepokój zniecierpliwieniem, stukwała wypolerowanymi paznokciami w blat biurka.

Wiedziała już, dlaczego Zofia tak stanowczo odmówiła jej pomocy. Obawiała się, że król może powiedzieć coś, co zdradziłoby, jak dobrze się znają. Lecz czy miało to teraz znaczenie? Zwłaszcza w porównaniu z tym, co zamierzała mu przekazać? A jeśli Zofia wiedziała, że Anna przeczytała kiedyś jej pamiętnik? Zachichotała cichutko. Gdyby mogła teraz zobaczyć swą naiwną kuzyneczkę ze wsi!

W końcu staruszek wrócił.

- Król przyjmie panią od razu - oznajmił.

Anna uśmiechnęła się łaskawie. Wstała, lecz nim zdążyła wejść, z przyległego pokoju wyprowadzono grupę mieszczan. Ich ponure twarze pozwalały domniemywać, że wizyta Anny skróciła czas ich audiencji. Niech i tak będzie, pomyślała, w końcu przyszedłam tu w interesie ogółu.

Ruszyła przed siebie z wysoko uniesioną głową, w pełni świadoma narastającego wokół poruszenia oraz utkwionych w sobie spojrzeń. Czekający przyglądali się jej z zaciekawieniem. Wszystko szło, jak zaplanowała.

Weszła do wielkiego przedpokoju, którego ściany zdobił szereg obrazów, przedstawiających panoramę Warszawy. Malowidła sprawiały, że czuła się pomniejszona i nieco onieśmielona. Czy ktoś tak mało znaczący mógłby uratować stolicę i Rzeczpospolitą?

Była już blisko wejścia do sali przyjęć, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich gruby urzędnik, którego miała nadzieję więcej nie spotkać. Odstąpił, by przepuścić Annę i, pochylając w ukłonie głowę - na tyle, na ile pozwalał mu na to brzuch - uśmiechnął się, mierzając ją lubieżnym spojrzeniem.

Annie pulsowało w skroniach - nie tyle z oburzenia, ile ze strachu. Modląc się w duchu, by wykonany przez Babette makijaż zdołał zamaskować jej rysy, zmusiła się do uśmiechu, po czym skinęła głową i wyminęła urzędnika. Natychmiast uświadomiła sobie, że okazanie uprzejmości było błędem. Zofia nawet by na niego nie spojrzała.

Gdy przechodziła, uśmiech urzędnika zgasł. Matowe niebieskie oczy przypatrywały się jej uważnie i Anna niemal widziała, jak mózg oficera wysiła się, by ją sobie przypomnieć.

Znalazła się w Sali Audiencyjnej, zastanawiając się, czy została rozpoznana. Domyślała się, że urzędnik sprawdzi, pod jakim nazwiskiem przedstawiła się staruszkowi przy wejściu. Jeśli grubas zna Zofię z widzenia, Anna zostanie przyłapana.

Drgnęła, zaskoczona, kiedy strażnik, którego właśnie minęła, zaanonsował ją:

- Hrabina Zofia Grońska z Halicza!

Pokój tonął w bieli, czerwieni i złocie. Król siedział na złoconym krześle pod ozdobnym baldachimem. Uniósł lekko dłoń i skinął na nią palcem, nakazując, by podeszła.

Pewność siebie Anny znikła. Zakręciło jej się w głowie. Jeśli pominąć strażnika, była tu sama z królem Rzeczypospolitej Polski i Litwy. Wątpiła, czy zdoła się odezwać. Co za akt szaleńczej brawury skłonił ją, by tu przysła?

Zmusiła się, by podejść.

- Cóż, Zofio - zawołał król - a to niespodzianka, ale ty zawsze jesteś pełna niespodzianek!

Anna zbliżała się powoli. Nie trwało to długo i król zaczął przyglądać się jej spod oka.

- Wyglądasz jakoś inaczej - powiedział.

Choć siedząc w olbrzymim, pozłacanym krześle, wydawał się drobny, pomyślała, że wygląda na młodszego i mniej niedołęznego niż podczas kolacji. Wiedziała, że dźwiga na barkach szósty krzyżyk. Siwe włosy miał ściągnięte do tyłu i związane. Gdyby nie wiedziała, kim jest, pomyślałaby, że to krawiec lub golibroda, nie monarcha.

Podeszła do samego podwyższenia.

- Ależ ty nie jesteś Zofią! - zawołał.

- Nie, nie jestem, Wasza Wysokość.

- Cóż, kim zatem jesteś?

- Kuzynką Zofii. Hrabina Anna Maria Berezowska z Sochaczewa. Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, lecz tylko w ten sposób mogłam się tu dostać.

- Niech no ci się przyjrzę. - Król pochylił się do przodu. - Ha, z pewnością nie jesteś mniej piękna niż moja swawolna Zofia.

Anna się zaczerwieniła.

- Obawiam się, że wymagało to nieco starań - odrzekła. Król roześmiał się głośno.

- Maskarada, co?

- Właśnie tak, panie. - Ledwie mogła uwierzyć, że udało jej się rozbawić króla. - Prawdę mówiąc, uciekłam się do podstępu z bardzo ważnego powodu. Proszę mi wierzyć, to sprawa życia i śmierci.

- Jesteś zbyt młoda, by myśleć o śmierci - zażartował król. - Ja to co innego...

Nagle z tyłu rozległ się donośny głos.

- Wasza Wysokość - krzyczał gruby urzędnik - ta kobieta nie jest hrabiną Grońską. To oszustka!

Wszedł do pokoju i maszerował ku nim, rozwścieczony. Anna zamarła. Potrzebowała jeszcze kilku minut.

- Myślisz, że tego nie wiem, głupcze? - prychnął król, co zatrzymało urzędnika w pół kroku. - Sądzisz, że straciłem wzrok i słuch? Oczywiście, że to nie Zofia.

- Ale, Wasza Wysokość...

- Nie ma żadnego ale! Zamierzam wysłuchać, co ma mi do powiedzenia to śliczne stworzenie.

Anna nie mogła się oprzeć, by nie odwrócić się i nie popatrzeć w ślad za urzędnikiem, który wycofywał się, stąpając ociężale niczym ranny niedźwiedź.

- Absolutnie niemożliwy człowiek - mruknął król.

- Obawiam się, że bardzo go zdenerwowałam.

- A to dlaczego?

Opowiedziała o wcześniejszym spotkaniu z urzędnikiem i o tym, jak skomentowała jego czerwony nos i upodobanie do wódki.

Król roześmiał się jeszcze serdeczniej i tak zaraźliwie, że musiała się do niego przyłączyć.

- A teraz, moja droga, powiedz mi, co też skłoniło cię do tego małego przedsięwzięcia?

- To sprawa dość poufna, Wasza Wysokość - szepnęła, gdyż strażnik znajdował się w zasięgu słuchu.

- Ach, rozumiem. Sekret, tak? Cóż, zabiorę cię do małej Sali Portretowej. Tam będziemy mogli porozmawiać w obecności koronowanych głów całej Europy, a także papieża, lecz żadne z nich nie piśnie nawet słówka, obiecuję!

Król wstał i zszedł z podwyższenia. Nie był wyższy od Anny. Poprowadził ją przez szereg pokoi do małego pomieszczenia za nową Salą Tronową. Złota komnata poświęcona była współczesnym władcom. Anna zauważyła portrety siedmiu monarchów, przy czym portret, przedstawiający Katarzynę, wisiał nad kominkiem, jakby w miejscu honorowym.

W niewielkiej sali panowała atmosfera intymności i Anna domyśliła się, że król zabiera tu wybranych gości, by rozmawiać z nimi poufnie i podejmować decyzje.

Gdy prowadził ją do krzesła, nie mogła nie zauważyć parkietu o skomplikowanym wzorze.

- Trzynaście rodzajów drewna - powiedział król, zauważywszy, czemu się przygląda. -1 spójrz tylko na porcelanowe malowidło na tym blacie - mówił ze wzrastającym entuzjazmem, podprowadzając ją do wspaniałego stołu, ustawionego pośrodku komnaty. - Przedstawia przygody Telemacha. Wiesz, kim był Telemach?

Anna się uśmiechnęła.

- Synem Odyseusza, prawda?

- Och, wspaniale - zawołał śpiewnie król. - Wspaniale, moja droga!

Usiedli naprzeciw siebie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jeśli mu na to pozwoli, król będzie gawędził o Telemachu w nieskończoność. Przeszła więc od razu do rzeczy.

- Czy Wasza Wysokość zna szewca, który nazywa się Jan Kiliński?

- Nie mogę powiedzieć, żebym go znał. Wiesz, wszystkie moje buty zostały zrobione za granicą.

Nie wiedziała, czy król mówi poważnie, czy też nieco sobie z niej żartuje. Zaryzykowała i opowiedziała więc wszystko, co wiedziała o planowanej rebelii. Przyjaciele dostarczyli jej dokładnych informacji. Szczególny nacisk położyła na to, że Katarzyna, rozwścieczona takim obrotem spraw, urządziłaby warszawiakom krwawą łaźnię.

- Och, nie musisz mówić mi, jakie ona ma usposobienie. Dobrze znam jej temperament.

Paciorkowate oczy powędrowały ku portretowi nad kominkiem, a spojrzenie straciło ostrość. Anna podejrzewała, że król rozmyśla o dawno przebrzmiałym związku z kobietą, która knowaniami zapewniła mu tron.

- Lecz pani, hrabino Berezowska - powiedział król, wracając do rzeczywistości - jest kobietą bardzo odważną. I widać, że kocha pani ojczyznę.

- Co można zrobić? - naciskała Anna. Monarcha z wolna potrząsnął głową.

- To doprawdy niefortunna sytuacja. Gdyby tylko zaczekali na Kościuszkę. Och, generał to wielki człowiek. Czy to nie smutne, gdy król nie może zrobić nic dla swego ludu?

- Nic? Ależ, Wasza Wysokość, z pewnością da się coś zrobić, by zażegnać to...

- Droga Anno - przerwał jej. - Czy mogę tak cię nazywać?

- Oczywiście, jesteś królem, Wasza Wysokość!

- Och, a ty sprawiłaś, że się śmiałem. Jeden Bóg wie, jak bardzo mi tego teraz potrzeba. Anno, kogo zobaczyłaś, kiedy wjechałaś na dziedziniec?

- Żołnierzy.

- Rosyjskich żołnierzy. Cóż, nie mam pewności, czy nawet moi gwardziści są wobec mnie lojalni. Rosjanie słyną z umiejętności przekupywania ludzi. Mogę sobie być królem Rzeczypospolitej, lecz jestem tylko pionkiem rosyjskiej cesarzowej. Tu już nie podejmuje się decyzji. Kiedy opuścisz salę przyjęć, napotkasz jedynie ponure twarze. Cała władza jest teraz w rosyjskiej ambasadzie.

- Jeśli Wasz Wysokość przemówi, ludzie cię posłuchają.

- Obywatele tacy jak ty i twoja wspaniała grupka patriotów z pewnością tak, ale ci, którzy stanowią sedno problemu - buntownicy i motłoch, któremu, zważ, pozostały jedynie troski - nie. Dawno straciłem ich szacunek. I zapewne słusznie. Zostałem schwytyany w zaciskające się imadło, uwięziony pomiędzy narodem, który kocham, i Katarzyną, którą niegdyś kochałem.

- Rozumiem - odparła Anna, czując, jak zalewa ją fala rozczarowania.

- Lecz nie sądz, proszę, że kocham Polskę mniej niż ty. Mógłbym powtórzyć Rosjanom, co mi tu powiedziałaś, a oni bez wątpienia zdusiliby powstanie w zarodku. Lecz przelano by wówczas wiele polskiej krwi, a ja straciłbym do siebie szacunek. Niestety, nasza historia obfituje w najazdy. Szwedzi, Turcy, Tatarzy, lista ciągnie się w nieskończoność; cóż, jestem pewien, że znasz historię. Czy na ścianie twojego domu wisi oręż z dawnych czasów?

Anna skinęła głową.

- Oczywiście. To prawo każdego Polaka, a właściwie jego dziedzictwo, walczyć za ojczyznę. Nie znam Jana Kilińskiego, lecz go szanuję. - Król uśmiechnął się smutno. - Rozumiesz?

- Tak - wyszeptała ze łzami w oczach.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Anna odeszła, unosząc w sercu współczucie dla tego człowieka. To smutne, widzieć kogoś tak bezradnego i słabego. Byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby los zaprowadził go dokądkolwiek indziej, nie na tron.

- Poruszyłaś mnie do głębi, Anno Berezowska - powiedział, zanim odeszła.

- Jesteś równie dzielna, jak piękna i nieprędko o tobie zapomnę.

Rozdział sześćdziesiąty piąty.

17 kwietnia Annę obudziły dobiegające zza rzeki zgiełk i zamieszanie. Pośpieszyła do pokoju Jana Michała, skąd roztaczał się najlepszy widok na stolicę. Jej syn widać już się obudził i zabrano go do kuchni, gdyż pokój był pusty.

Spojrzała na Warszawę. Powstanie wybuchło. Szewc Jan Kiliński i reszta rebeliantów nie czekali na Kościuszkę. Ulice i plac przed Zamkiem zdawały się pogrążone w chaosie. Odgłosy wystrzałów mieszały się z wrzaskami bólu i bitewnymi okrzykami. Z okna nie było widać Rynku, lecz dobiegający stamtąd i przybierający z każdą chwilą na sile harmider pozwalał domyślać się, że dzieje się tam coś strasznego.

- Mój Boże! - zawołała hrabina Grońska, podchodząc zdyszana do okna - dlaczego nie mogli zaczekać na Kościuszkę? Dlaczego?

Anna nie miała na to odpowiedzi. Czuła się wewnętrznie rozdarta. Widok polskiej flagi, powiewającej na murach miasta, wprawiał jej serce w radosne drżenie. Była dumna z mieszkańców stolicy, którzy zaryzykowali wszystko i przyłączyli się do powstańców. Byłaby wdzięczna, gdyby ich wysiłek owocował odzyskaniem niepodległości. W głębi duszy wiedziała jednak, że powinni byli zaczekać.

- Ta przemoc jest tak niepotrzebna - powiedziała ciotka.

Rewolta trwała przez cały dzień i noc. Zamknięto okiennice wychodzące na rzekę, lecz od przenikliwych dźwięków i hałasów nie sposób było się odciąć. Pozostawało jedynie czekać. W domu nie było mężczyzn, by posłać ich na drugą stronę do pomocy powstańcom.

Hrabina udała się w końcu na spoczynek. Od tygodni nie czuła się tak źle. Anna przesiedziała przy niej całą noc.

Walki trwały aż do wczesnych godzin rannych, kiedy to Prusacy i Rosjanie - ci, którym udało się przeżyć - zaczęli wycofywać się z miasta. Przez resztę nocy i cały następny dzień na moście słychać było stukot butów i podków: obcy opuszczali Warszawę.

Ciotka Stella leżała zdenerwowana, nasłuchując.

- Spróbuj trochę się zdrzemnąć - nalegała siostrzenica. - Zwyciężyliśmy.

- Bogu niech będą dzięki, Anno. Lecz być może pożałujemy tego dnia, gdy Katarzyna przyśle ich tu z powrotem.

Nazajutrz pod wieczór Anna stała znów przy oknie pokoju syna. Ktoś z grona przyjaciół przyniósł nowiny. Jakies siedem tysięcy Rosjan i Prusaków

wycofało się z miasta. Rozszalały tłum powiesił wielu polskich zdrajców, jednakże król był królem i ludzie przebaczyli mu jego słabość. Stanisław pomógł buntownikom, zapewniając im żywność, opiekę medyczną i schronienie.

Gdy słońce zaczęło opadać pomarańczową kulą ku Wiśle, Anna spojrzała na Zamek, wznoszący się na wysokiej skarpie. Choć rynsztoki stolicy spływały obcą i polską krwią, budowla, która od trzynastego wieku, kiedy to postawili ją mazowieccy książęta, przetrwała już gorsze ataki, stała nietknięta.

Gdzieś tam, za jednym z wielu okien, pomyślała, siedzi smutny człowiek, który nie chciał być królem.

W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu stolicy grupa patriotów spotykała się regularnie. Anna nie starała się więcej tego ukrywać. Jeśli Zofia wiedziała, co się dzieje, nie okazała tego; jej rosyjscy przyjaciele odeszli.

Kiedy hrabina czuła się nieco lepiej, uczestniczyła w spotkaniach i często wyrażała opinie.

- My, szlachta, musimy wskazywać drogę - powiedziała pewnego dnia, gdy goście wyszli. - Lecz gdzie są inni? Nadal jesteśmy jedynymi członkiniami grupy, obdarzonymi tytułem.

- Jest więcej takich grup, ciociu.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że wielu spośród szlachty, nie wspominając o tych, którzy jawnie poparli konfederację, trzyma się z boku, są ostrożni i obawiają się, że mogą stracić swoich chłopów, którzy przyłączyli się do insurekcji, gdyż obiecano im wolność i kawałek ziemi.

Pewnego dnia rządca Jakub Szraber złożył im nieoczekiwaną wizytę. Zapewnił Annę, że w Sochaczewie wszystko toczy się swoim trybem, a potem, przestępując nerwowo z nogi na nogę, poinformował, że zamierza wstąpić do żydowskiego regimentu, utworzonego pod dowództwem pułkownika Berka Joselewicza.

- To pierwszy żydowski oddział od czasów biblijnych - stwierdził z dumą.

Jak miała zareagować? Dała mu swe błogosławieństwo, całując na pożegnanie w oba policzki.

Co za ironia, pomyślała ze smutkiem, gdy Jakub wyszedł. Wielu polskich szlachciców wykazuje przesadną ostrożność, a miłująca pokój żydowska gmina z Pragi i Warszawy powstała, by walczyć za kraj, który ją przygarnął. Niech Bóg ich błogosławi!

Obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja były w tym roku wyjątkowo huczne. Konstytucja nadal obowiązywała. Mieszkańcy zgromadzili

się na placu Zamkowym i Rynku, by świętować i napawać się nadzieją, że za rok o tej porze cała Rzeczpospolita będzie już wolna. Wieść niosła, że powstanie rozprzestrzeniło się na całą Polskę. Wilno pozbyło się rosyjskich okupantów. Gdańsk i Kurlandia próbowały uczynić to samo.

Zofia wynajęła odkryty powóz i zabrała Annę oraz Jana Michała na drugą stronę rzeki, by mogli przyjrzeć się obchodom. Tego dnia przypadały drugie imieniny Jana.

- Nie byłoby bezpiecznie wysiadać z uwagi na to mrowie chłopstwa - powiedziała Zofia, gdy powóz wjechał na plac Zamkowy. - Widok stąd będzie musiał nam wystarczyć.

Anna trzymała syna na kolanach, pokazując mu kolumnę Zygmunta, tak jak uczynił to kiedyś jej ojciec. Modliła się w duchu, by w następnych stuleciach inni rodzice mogli pokazywać ją swoim dzieciom. Na granitowym postumencie stał odlany z brązu posąg króla z mieczem w jednej i wielkim krzyżem w drugiej dłoni. Zestawienie tych symboli unaoczniało oparte na paradoksie przysłowie, które Anna zaczynała dopiero rozumieć: „Kto miecz trzyma, pokój miewa”.

Powóz z wolna torował sobie drogę przez wąskie zatłoczone uliczki, zdążając ku Rynkowi. Jan Michał nie widział dotąd tylu ludzi, takiego zamieszania. Zaczął kołysać się w przód i w tył na kolanach matki, a brązowe oczy błyszczały mu z uciechy.

Zofia się roześmiała.

- Anno, twój syn myśli, że to wszystko z okazji jego święta!

- Bo tak jest, kuzynko!

Zofia spojrzała na nią, zaskoczona, lecz zaraz zrozumiała, o co jej chodziło.

- Masz na myśli przyszłość i takie tam, prawda? Anna się uśmiechnęła.

Powóz wjechał wreszcie na Rynek, lecz tłum był tu tak gęsty, że musieli się zatrzymać.

- Może powinniśmy wysiąść - zaproponowała.

- Za nic w świecie - zaprotestowała Zofia. - Zostaniemy zdeptane na proch. Poza tym niektórzy z tych ludzi nie kapali się od Bożego Narodzenia. Skąd oni wszyscy się tu wzięli? - Udała, że wstrząsa nią dreszcz. - Są niczym świnię w zagonie ziemniaków! Wyglądają, jakby na coś czekali.

- Kościuszek będzie dziś przemawiał.

- Co takiego? - krzyknęła Zofia, czerwieniejąc z niepokoju i podejrzliwości.

- Wiedziałaś o tym!

- Tak - przyznała Anna spokojnie.

- I nic nie powiedziałaś. Wiesz, że ostatnim miejscem, gdzie chciałabym się znaleźć, jest polityczna demonstracja.

- To obchody, Zofio.

- Nie w moim guście. Gdyby tylko dało się stąd wydostać...

Lecz w tej chwili usłyszały wiwaty, dobiegające od strony trybuny, usytuowanej pośrodku placu. Generał Kościuszko wstępował na stopnie.

Niewysoki mężczyzna w długim białym płaszczu próbował uspokoić tłum, kłaniając się na wszystkie strony i wymachując rogatywką. Wydaje się taki skromny i niepozorny, pomyślała Anna. Podobnie jak król.

Kiedy przemówił, nie było w nim jednak śladu słabości. Z wielkim entuzjazmem zwrócił się do mieszkańców Warszawy, gratulując im zwycięstwa. Zaapelował, by wystrzegali się przemocy, gdyż przeciwko niektórym magnatom, podejrzanym o zdradę, zrodziła się nienawiść. I, tak jak wcześniej w Krakowie, proklamował wolność dla chłopów, którzy porzucili swoich panów, by chwycić za broń.

Słyszając to, Zofia prychnęła z dezaprobatą. Jej reakcja nie zdziwiła Anny. Żadnego szlachcica, który z własnej woli przyłączył się do targowicy, nie ucieszyłaby taka nowina.

Kuzynka pozostała milcząca do końca przemówienia, a także potem, kiedy ulice wyludniły się na tyle, że dało się nimi przejechać.

Jan Michał zasnął w ramionach matki, gdyż dawno minęła pora jego codziennej drzemki.

Anna przyglądała się uważnie twarzom polskich żołnierzy. Przybyła tu z nadzieją, że zobaczy Jana i że nadal przebywa on w otoczeniu małego generała. Lecz Jana na Rynku nie było.

Gdy powóz wjechał na most, łączący Pragę ze stolicą, spojrziała na prawo, gdzie stała zrujnowana gospoda, w której hrabia Stelnicki spędzał niegdyś tyle czasu.

Nie, tam też go nie było. Jana nie było w Warszawie, była tego pewna. W przeciwnym razie stałby u boku generała. I na pewno by się z nią skontaktował.

Lecz gdzie w takim razie był?

Zofia siedziała w powozie, płonąć w duchu gniewem. Jej zdaniem kuzynka stawiała się zbyt sprytna. Choć to ona sama zaproponowała, by wynająć powóz i spędzić popołudnie w stolicy, i tak uważała się za oszukaną. Anna wiedziała przez cały czas, że będzie tam Kościuszko. Jakoś udawało jej się trzymać rękę na pulsie polityki. I choć z pewnością chciała posłuchać głupiego małego

generała, lecz tak naprawdę pojechała tam, aby rozejrzeć się za Stelnickim. Zofia mogłaby postawić na to każdy ze swych klejnotów. Kuzynka nie przedstawiała się rozglądać.

Było aż nazbyt jasne, że Stelnickiego tu nie ma. Anna przypuszczała zapewne, że zginął. Tak wielu zginęło. I lepiej niech dalej tak myśli.

Powóz zajechał pod dom. Gdy tylko weszły do salonu, nadbiegła Marta, wołając:

- List!

- I co z tego? - nastrój Zofii nie poprawił się ani na jotę. Marta zatrzymała się gwałtownie.

- List jest od króla! - powiedziała z twarzą płonąącą ciekawością.

- Daj mi go! - zażądała Zofia.

- Och, mademoiselle - powiedziała kobieta cicho. - List jest do pani Anny.

- Co takiego? - Zofia poczuła, że ścisła ją w żołądku.

To była prawda! Marta podała list Annie, która wydawała się zaskoczona nie mniej niż inni.

- Cóż, otwórz go! - westchnęła Zofia. - To wszystko, Marto.

Anna nie mogła uporać się z pieczęcią. Wreszcie otworzyła list. Przeczytała zawartych w nim kilkanaście słów, spojrzała na Zofię, a potem znów opuściła wzrok na list.

- Anno, na miłość boską, powiedz wreszcie, co to takiego! Wygląda jak zaproszenie.

- Bo to jest zaproszenie. Do króla!

Zofia wyrwała jej z ręki list, spoglądając przede wszystkim na adresata. Była pewna, że musiał nastąpić błąd. Bez wątpienia zaproszenie przeznaczone było dla niej. Ale nie. Hrabina Anna Berezowska, Patriotka, przeczytała.

- Ty także zostałeś zaproszona, Zofio.

Zawsze to jakaś pociecha, pomyślała kuzynka, skonfundowana bardziej niż kiedykolwiek.

- I twoja mama.

- Co takiego? - Zofia przeczytała wreszcie cały tekst. Rzeczywiście, wszystkie trzy zostały zaproszone do Zaniku.

- Może królewski sekretarz popełnił błąd - powiedziała - i adresując zaproszenie, zastąpił moje nazwisko twoim.

Była już pewna, że tajemnica została wyjaśniona.

- Przecież - dodała - król nawet cię nie zna.

Nie uszło jej uwagi, że zielone oczy Anny rozszerzyły się leciutko.

- A może jednak zna? Anno?

Hrabina Berezowska zaczerwieniła się mocno.

- Anno!

Z początku Zofia uznała historię, którą w końcu zaczęła opowiadać kuzynka, za niewiarygodną. Bo czyż mogłoby być inaczej? Anna podszyła się pod nią i udało jej się dostać do króla. Musiała mieć nerwy ze stali! Jak śmiała? A kiedy wreszcie doszła do wniosku, że to wszystko prawda, wpadła w gniew na myśl o tym, że posłużono się jej nazwiskiem.

Jednak w miarę jak Anna snuła swoją opowieść, gniew Zofii rozwiął się. Znała grubego urzędnika i zaśmiała się na myśl o tym, że kuzynka pobiła go jego własną bronią. Poza tym z jej relacji wynikało, że jeśli Anna opowiedziała wszystko dokładnie, król nie wydawał się oburzony podstępem. Jeżeli pozostało w niej jeszcze trochę gniewu, wyładowuje go potem na Babette za to, że pomogła Annie w tym oszustwie.

- Muszę przyznać - powiedziała - że nie doceniałam twojej przedsiębiorczości, Anno.

Anna uśmiechnęła się, jakby wiedziała, że kuzynka będzie pod wrażeniem. Jednak fakt, że była tak z siebie zadowolona, zirytował Zofię.

- Zatem wywarłaś na królu wrażenie?

- O tak, jestem tego pewna.

- Cóż, zatem mamy odpowiedź.

- Odpowiedź na co?

- Zaproszenie! Stary król uległ twoim wdziękom. Gratulacje! Dokonałaś podboju. Tym razem to nie jakieś tam zbytki na polu; udało ci się wspiąć na sam szczyt!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć - odparła Zofia głosem tak głębokim, że niemal gwałtownym - że podczas audiencji król Polski bez wątpienia poprosi cię o wyznaczenie czasu i miejsca.

Z rozbawieniem patrzyła, jak Anna otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

- Czasu i miejsca?

- Tak, skarbie - powtórzyła Zofia z kpiącą niecierpliwością w głosie - czasu i miejsca spotkania. Och, cała ta sprawa przypomina mi historię o Zeusie i jakiejś dziewczynie, którą Kupidyn ugodził strzałą, by się w nim zadurzyła. Zeus zamienił się w byka, a potem ją porwał. Jak też miała na imię ta dziewczyna?

- Europa. A ja nie zamierzam dać się porwać żadnemu bykowi.

- Nie, kochanie, twoje spotkanie z nim zostanie ustalone na oczach wszystkich. Jak to sprytnie ze strony Stanisława.

- Myślisz, że król...

- Oczywiście, gąsko! Cóż, to wielki komplement. Powinnam być zazdrosna, lecz miałam już swoją schadzke z Stanisławem. Przypuszczam, że dał ci to jasno do zrozumienia. Och, sądząc po twojej reakcji, widzę, że się nie mylę. To dla ciebie szansa, kochanie. W końcu Europa dała Zeusowi wspaniałych synów i sama zyskała sławę. Mogłabyś wyrobić sobie mocną pozycję na dworze. Cóż, Stanisław nie jest może zbyt gorącym kochankiem, nie tak jak byk, w którego zamienił się Zeus, lecz nie powinnam zdradzać ci wszystkiego. Och, Aniu, chyba trochę zbladłaś.

Wieczorem Zofia siedziała przed toaletką, zmywając makijaż, lecz w lustrze wciąż widziała zaskoczoną twarz kuzynki. Roześmiała się na głos, jednak po chwili, kiedy już usunęła puder i szminkę, z lustra spojrziała na nią jej własna, poważna twarz. Co też król zobaczył w Annie?

Hrabina Berezowska rozważała, czy nie wykręcić się od wizyty na dworze pod pretekstem choroby, lecz Zofia natychmiast poznałaby, że to wymówka. Zastanawiała się też, czy nie powiedzieć ciotce, jakie mogą być prawdziwe intencje króla, i nie poprosić jej o radę. Lecz jakoś nie mogła się na to zdobyć. Poza tym istniała szansa, że Zofia jednak się myli. Być może królowi nie chodziło o wyznaczenie terminu schadzki. Z drugiej strony wiedziała, że kuzynka doskonale orientuje się w dworskich intrygach i dlatego może mieć rację.

W noc przed tym wydarzeniem leżała bezsennie, przekonana, że król Stanisław wybrał ją na swoją następną kochankę. Postanowiła, że pójdzie na kolację ubrana jak najzwyczajniej i zrobi wszystko, by zniechęcić króla do ewentualnych zalotów.

Jednakże nazajutrz Zofia przejęła pałeczkę, dyrygując przygotowaniem jak przesadnie wymagająca matka, przygotowująca córkę do towarzyskiego debiutu. Zdawała się przywiązywać do tego wydarzenia wielką wagę, podczas gdy dla Anny było to jak wyjście na spotkanie czegoś nieznanego i przerażającego. A kiedy nie spodobały jej się pewne szczegóły stroju, została przegłosowana, gdyż nawet ciotka Stella poparła córkę, mówiąc, że prawdopodobnie lepiej zna się na tym, jakie zwyczaje są przyjęte na dworze.

W ten oto sposób Annę przygotowano niczym danie na tacy. Francuskie pokojówki wtoczyły ją w białą jedwabną suknię, którą Zofia kazała pośpiesznie uszyć. Stanik, bufiaste rękawy i rąbek spódnicy obszyte były

srebrnym materiałem, efektownie połyskującym. Suknia doskonale nadawałaby się na ślub, pomyślała Anna, i nagle uświadomiła sobie, że Zofia w swej przewrotności mogła tak to zaplanować. Czy miała zostać podsunęta królowi? Teraz bała się już nie na żarty.

Mimo niechęci Anny Clarice wepchnęła jej stopy w zapinane na sprzączki srebrne pantofelki, a Babette umieściła na głowie wielką białą perukę, zdobioną kryształowymi szpilkami oraz srebrnymi kokardkami. Peruka była jeszcze bardziej wymyślna od tej, którą miała na sobie, kiedy udała się do króla, przebrana za Zofię.

Wpatrywała się w swoje odbicie, podczas gdy kuzynka obwieszała ją diamentami, zapinając na szyi dwurzędowy naszyjnik, który przyciągał spojrzenie, podkreślając linię biustu Anny.

- Cóż, Anno - powiedziała - masz obfitszy biust, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Och, doprawdy, przestań się czerwienić! Miłość kobiecie wchodzi przez uszy, a mężczyźnie przez oczy!

Wsunęła jej na prawą dłoń trzyczędową bransoletkę, w uszy zaś wpięła kolczyki w kształcie łez.

Babette zajęła się jej makijażem, a kuzynka wyszła, by także się przygotować. Choć na wyraźne życzenie Zofii pokojówka uparła się przykleić Annie na policzku muszkę w kształcie Kupidyna, Anna nie pozwoliła, by wymalowano ją w tak krzyżący sposób, jak wtedy, gdy udawała kuzynkę. Czerwień warg, róż policzków i biel twarzy były teraz o wiele bardziej dyskretne.

Ubrana i umalowana stanęła przed lustrem, dziwiąc się dokonanej metamorfozie. Zacerpnęła oddechu. Tak, można by pomyśleć, że wybiera się na własny ślub. Bez względu na to, jak bardzo obawiała się, co też może jej przynieść ten dzień, nie mogła nie zauważyć, że jest piękna. Musiała to przyznać, patrząc się w lustro.

- Anno - wołała Zofia z dołu - Powóz zajechał. Pośpiesz się. Czekamy na ciebie, a jest już prawie druga!

- Chwileczkę! - zawołała Anna w odpowiedzi, nie przestając się sobie przyglądać. Coś tu jej się nie podobało. Zerwała z policzka muszkę i lekko przypudrowała odkryte przez nią miejsce. Dopiero wtedy, usatysfakcjonowana, chwyciła białą jedwabną pelerynę obszytą srebrem i zbiegła po schodach.

- Co cię zatrzymało? - spytała Zofia.

- Och, przepraszam, że kazałam wam czekać, ale ten mały Kupidyn po prostu nie chciał się trzymać.

- I gdzie teraz jest?

- Będę musiała obyć się bez niego.

Wiedziała doskonale, że jest zbyt późno, by coś zmienić. Miały być w Zamku za niecałe pół godziny.

- Jesteś śliczna, Anno - szepnęła ciotka.

- To ptak, który dopiero próbuje skrzydeł - powiedziała Zofia do matki.

Na tę okazję hrabina wybrała dla siebie piękną ciemnoniebieską suknię przybraną paciorkami. Twarz ciotki okalała niebieska mantyla. Zrezygnowała z peruki, lecz Anna, zaskoczona, dostrzegła, że musnęła wargi szminką, a policzki różem. Przyglądając się, z jaką radością i zainteresowaniem ciotka odnosi się do wizyty, poczuła się winna, lękając się bowiem o to, jak może zakończyć się wieczór, miała nadzieję, że hrabina nie będzie czuła się na tyle dobrze, by z nimi pójść. Jednak ciocia Stella miała dziś jeden ze swych lepszych dni i bez względu na wszystko Anna bardzo się z tego cieszyła.

Gdy wsiadły, okazało się, iż z powodu obszernej białej sukni Anna musiała usiąść sama naprzeciw ciotki i Zofii.

- Minęło wiele lat, od kiedy ostatni raz gościłam w Zamku - powiedziała hrabina, gdy były już w drodze. - Cieszę się, że będę miała okazję jeszcze go zobaczyć, nim... - Umilkła, a po chwili jej wargi zaczęły poruszać się w bezgłośnej modlitwie.

Anna zastanawiała się, jak też starsza pani zareagowałaby, gdyby dowiedziała się, że król chce poprosić jej siostrzenicę o schadzki. Oczywiście, nie zgodziłaby się na nic podobnego, choćby miało to wpłynąć na ich pozycję na dworze. A może jednak?

Spojrzała na Zofię, promieniejącą w zielono-białej sukni, szmaragdowym naszyjniku i kolczykach. Była spokojna; zdawała się rozkoszować chwilą niczym wąż zwinięty wygodnie na ciepłym kamieniu. Anna podejrzewała, że postrzega ona dzisiejszy wieczór jako początek nowego życia swej kuzynki, takiego, jakie sama lubiła i w jakim z pewnością nie zostałyby ani trochę miejsca dla Jana Stelnickiego.

Koła zaturkotały w rytm myśli Anny: Gdzie mój ukochany? Gdzie mój ukochany? Gdzie?

Wkrótce powóz zjechał z mostu i potoczył się ku bramom miasta. Teraz nawet Jan nie mógłby mnie ocalić, pomyślała ponuro Anna. Jeśli zostanie zmuszona, by spotkać się z królem sam na sam, jej życie będzie skończone. A jeśli odmówi? Co wtedy? Do czego może skłonić króla urażona ambicja? Czy

nikt, kto mieszka pod dachem domu Grońskich, nie będzie mógł czuć się bezpiecznie?

Zanim wysiadła z powozu na Wielkim Dziedzińcu, była już niemal chora z niepokoju.

Rosjanie odeszli. Dobre przynajmniej za to.

Lokaje pomogli paniom przy wysiadaniu i skierowano je do skrzydła Zamku znajdującego się bliżej wiślanej skarpy. Służba odebrała od nich okrycia, a dworski urzędnik skierował je ku spiralnym marmurowym schodom. Znalazły się w przedpokoju przed Wielką Salą. Jednak najpierw miała odbyć się ceremonia w Sali Tronowej, ruszyły więc całą trójką za innymi gośćmi przez Pokój Marmurowy, gdzie wisały portrety ponad dwudziestu polskich królów. Weszły do Sali Rycerskiej, której ściany obwieszane były olbrzymimi płótnami, przedstawiającymi sceny z historii Polski i Litwy. U szczytu ścian przebiegał wers zapożyczony z Eneidy, a sławiący wybitnych obywateli. Annę uderzyło, że wszystkie te motywy i dekoracje pojawiły się w ostatnich latach za sprawą króla Stanisława. Świadczyły o osobistej kulturze człowieka, który okazał się tak nieudolnym władcą.

Sala Tronowa była mniejsza niż Rycerska, dlatego zaproszeni goście, a było ich około dwustu, musieli stać, czekając na króla. Kobiety zajęły miejsca z tyłu, w pobliżu okien wychodzących na Wisłę.

- Spójrzcie tylko! - szepnęła hrabina. - Gdyby sala była pusta, król mógłby zobaczyć z tronu nasz dom!

- Pusta czy nie - zawołała śpiewnie Zofia - król i tak ma już na niego oko!

Anna, w przeciwieństwie do ciotki, natychmiast pojęła, co kuzynka ma na myśli.

Do komnaty wciąż napływali goście. Z powodu tłoku oraz ciężkiego zapachu pudru i perfum Annie zrobiło się duszno. Pragnęła czym prędzej się stąd wydostać. Lecz nim zdążyła się poskarżyć i ewentualnie wyjść, podeszła do nich francuska księżna Charlotte Sic. Jak zwykle była przesadnie wystrojona, umalowana i uperfumowana. Zofia uścisnęła ją leciutko.

- Pamiętasz moją kuzynkę Annę, Charlotte?

- Oui. O mój Boże! - zapiszczała księżna. - To ta sama kuzynka? Ze wsi? Och, czy wybaczy mi pani, że tak się zachowałam wtedy, gdy stała pani na schodach podczas przyjęcia Zofii? Nie wiem, co mnie wówczas napadło. To było niewybaczalne, jednak wybaczy mi pani, prawda?

- Tak, oczywiście.

- Jakie to miłe z pani strony. Wygląda pani dzisiaj olśniewająco. Najwidoczniej wzrok króla nie jest wcale taki zły...

- Charlotte - przerwała jej Zofia sztucznie serdecznym tonem - chciałabym, byś poznała moją matkę.

Ujęła Charlotte pod ramię i obróciła ją w stronę hrabiny. Anna zdążyła jeszcze zauważyć, jak księżna wykrzywia twarz w grymasie bólu. Domyśliła się, że Zofia musiała uszczypnąć przyjaciółkę, by zamknąć jej usta.

Dla Anny stało się jasne, że obie kobiety omawiały sprawę ewentualnej schadzki. Kto jeszcze o tym wie? Jej niepokój rósł z minuty na minutę.

Spojrzała na ciotkę, która z niedowierzaniem wpatrywała się w stojące przed nią dziwaczne, pulchne stworzenie, obwieszane biżuterią niczym wystawa jubilera.

Gdy Zofia i Charlotte pograżyły się w cichej rozmowie po francusku, ciotka pochyliła się ku Annie i wyszeptwała:

- Jeśli to jest typowa francuska księżna, to nie ubolewam nad losem tamtejszej arystokracji.

Anna musiała zasłonić twarz wachlarzem i odwrócić się do okna, by ukryć rozbawienie. Nie trwało ono jednak długo, gdyż wszyscy zaczęli kłaniać się i dygać - w pomieszczeniu nie było dość miejsca, by klęknąć - reagując na pojawienie się Stanisława Augusta.

Król wszedł wejściem znajdującym się w pobliżu Anny. Spuściła nisko głowę, by nie przyciągać jego uwagi.

- Moi dobrzy i lojalni poddani - zaczął, gdy tylko znalazł się na podwyższeniu - mam dziś przyjemny obowiązek wyróżnić kilku spośród naszych najbardziej zasłużonych obywateli. To dzięki nim biały orzeł nadal unosi się w przestworzach. Ludzie ci...

Jego oschły głos brzmiał monotennie. W sali było tak duszno i tłoczno, iż po godzinie wszystkim wydawało się, jakby minęły co najmniej trzy. Anna pomyślała, że oficjalna część spotkania chyba nigdy się nie skończy, ale ponieważ obawiała się tego, co może nastąpić później, niemal życzyła sobie, by król przemawiał w nieskończoność. Zerknęła na Zofię, zadowoloną i pełną nadziei. Czyżby sądziła, że kariera kuzynki na dworze przyniesie korzyść także jej?

Kiedy król do niej przemówi? - zastanawiała się Anna. Czy uczyni to na osobności? I co powie? A jeśli Zofia ma rację i król zażąda schadzki, co ona mu odpowie? Hrabina ujęła ją pod ramię, wyrywając z zamyślenia.

- Anno - szepnęła - król wymienił twoje nazwisko. Zapytał, czy jesteś obecna.

Annie wydawało się, że jej serce stanęło, a cała krew napłynęła do głowy. W sali panowała absolutna cisza. Z miejsca, gdzie stały, widziała, jak król wodzi spojrzeniem swych ptasich oczu od jednej grupki elegancko ubranych dżentelmenów i dam do drugiej, zatrzymując na krótko wzrok i przenosząc go dalej.

- Odezwij się! - syknęła Zofia. - On cię szuka!

Lecz Anna nie była w stanie się odezwać. Wstrzymała oddech do chwili, aż król ją spostrzeże, a gdy to się stało, zamarła, przerażona. Goście odwracali się, by na nią popatrzeć. Kilkoro ośmieliło się nawet szeptać.

Wolałaby teraz być gdziekolwiek indziej byle nie w tej sali, gdzie stanowiła przedmiot zainteresowania wszystkich obecnych. Przemknęło jej przez myśl, by rzucić się do drzwi i uciec.

- Jest tu dziś z nami kobieta - mówił tymczasem król ze wzrokiem utkwionym w Annę - która poruszyła moje serce. Ta kobieta jest patriotką w stopniu nie mniejszym niż każdy z zasłużonych mężczyzn.

W komnacie było teraz cicho jak w grobie; nikt się nie poruszał, nie słysząc było nawet najcichszego szelestu jedwabnych sukien.

Król skinął na nią, by podeszła, tak jak uczynił to wiele dni temu.

Anna nie mogła się poruszyć. Król skinął głową, ponownie przyzywając ją gestem. Usłyszała, że ciotka i kuzynka szepczą jej coś nagłaco do ucha.

Przełknęła mocno i unosząc spódnice, ruszyła z wolna, jak we śnie, ku tronowi, gdzie czekał na nią niewysoki mężczyzna, a na czerwonym tle baldachimu setki białych orłów wzlatywały w powietrze.

Milczący goście rozstąpili się, robiąc dla niej przejście, jak przedtem dla króla. Choć nie potrafiła skupić na niczym spojrzenia, miała świadomość, że wszyscy na nią patrzą. Szła przed siebie, drżąca i przerażona, a z każdym krokiem zdawało się jej, że pokój się wydłuża, a król oddala.

W końcu przyklękła przed podwyższeniem. Biała suknia rozpostarła się wokół niej niczym kwiat. Wbiła wzrok w podłogę. Głos króla brzmiał teraz donośnie i bardziej stanowczo, niemal młodzieńczo.

- Choć to Katarzynie i sejmowi zawdzięczam, że zostałem wybrany królem, stało się tak również z woli Boga. I właśnie z woli Boga, szafarza wszelkich dóbr, i z woli Katarzyny, cesarzowej Rosji, nadaję ci, Anno Mario Berezowska, tytuł księżnej.

Jeśli nawet Annie udało się powstrzymać westchnienie, usłyszała, że wszyscy dookoła wzdychają, zaskoczeni. Poczuła chłodny dotyk stali na jednym ramieniu, potem na drugim.

- Księżno Anno Mario Berezowska z Sochaczewa - mówił tymczasem król - będziesz nosiła ten tytuł do końca swoich dni, a potem przekażesz go potomnym i tak w nieskończoność... Możesz już wstać.

Ceremonia została zakończona i wszyscy ruszyli z wolna ku Wielkiej Sali, gdzie miał zostać podany obiad.

Król zszedł z podwyższenia i pomógł Annie się podnieść.

- Widzisz, dziecko, powiedziałem ci, że nieprędka zapomnę, co uczyniłaś.

Uśmiechnęła się, doceniając zaszczyt.

- Idź teraz - ponaglił ją. - Jestem pewien, że rodzina niecierpliwi się, by ci pogratulować.

Zbyt zdumiona, aby przemówić, skłoniła jedynie głowę i wtopiła się w tłum. Przez ponad sto lat republikański sejm odmawiał polskim władcom prawa do nadawania tytułów, król Stanisław musiał więc uczynić to pod auspicjami obcego mocarstwa, takiego jak Rosja. To, że chodziło akurat o Katarzynę, zakrawało na ironię. Jednak ludzie, którzy zatrzymywali ją, gratulując i życząc wszystkiego dobrego, zdawali się tego nie dostrzegać. Anna była oszołomiona i szczęśliwa. Zainteresowanie króla miało charakter wyłącznie ojcowski. Nie będzie żadnej schadzki!

Gdy dotarła wreszcie do hrabiny, ciotka płakała.

- Och, Aniu, gdyby tylko twoi rodzice dożyli tego dnia. Dziękuję Bogu, że choć mnie się udało!

Siostrzenica uściskała ją, obejmując drżącą, kruchą postać.

- Patrzcie, patrzcie! - zawołała Charlotte, zdumiona. - Teraz obie jesteśmy księżnymi! Kto by pomyślał!

Anna spojrzała na uśmiechającą się enigmatycznie Zofię.

- Choć gdybym miała postawić monetę na tytuł - paplała dalej księżna - powiedziałabym, że twój ma większą wartość nabywczą. - Podwójny podbródek zatrzęsł się jej od śmiechu. - W końcu, gdybym musiała wrócić teraz do Paryża, prawdopodobnie użyto by mojej głowy jako podpórki pod drzwi!

- Gratulacje, Anno - powiedziała w końcu Zofia. A potem odwróciła się gwałtownie i wtopiła w tłum, zmierzający ku Wielkiej Sali.

Kuzynka spojrzała w ślad za nią.

- Czy Zofia nie cieszy się wraz ze mną?

- Hmm - zanuciła Charlotte, kładąc jej poufałym gestem dłoń na ramieniu. - Zofia miała wobec ciebie wielkie plany, a ty chyba przerosłaś jej oczekiwania. I na tym polega problem.

Och, ale ślicznie dzisiaj wygląda, nie sądzisz? Zielona suknia, zieleń szmaragdów, jakie to stosowne. Wybacz, moja droga - dodała, cofając dłoń i odsuwając się od Anny. - Pójdę zobaczyć, co da się zrobić, by przyglądzić wzburzone piórka.

- Podpórka, też mi coś - wymamrotała hrabina, przyglądając się, jak księżna znika w tłumie. - Z podpórki ma się przynajmniej jakiś pożytek!

Podczas kolacji Zofia zachowywała się z powściągliwą grzecznością, lecz nie brała czynnego udziału w rozmowie, jak było jej zwyczajem. Opuściła Zamek wcześniej, w towarzystwie Charlotte i jej powozem.

- To było jak w bajce, Anno - powiedziała ciotka Stella, gdy przygotowywały się do wyjścia.

Anna nie mogła się nie zgodzić. Całe wydarzenie było niczym sen.

W powozie przyglądała się spokojnej twarzy hrabiny, podejrzewając, że ciotka oswaja się z myślą, iż jej siostrzenica stała się jedną z najbardziej pożądanых partii w Polsce, kobietą, która może poślubić nawet magnata. Status księżnej postawi jej synów niemal na równi z pochodzącym z wyboru monarchą. Jan Michał, uświadomiła sobie nagle, może pewnego dnia zostać wybrany królem.

Lecz czy ciotce przyszło w ogóle na myśl, że ona mogłaby zapomnieć Jana? Uśmiechnęła się na tę myśl.

Nie zdążyły jeszcze wysiąść z powozu, gdy do ich uszu dobiegły dźwięki muzyki i hałas. Przed domem stał długi rząd powozów, lokai i woźniców.

- Obawiam się, że Zofia przyjmuje, ciociu.

- Słodki Jezu! - wykrzyknęła hrabina. - Teraz nie ma już potrzeby zjednywać sobie Rosjan. Uciekli albo nie żyją. Mimo to ona upiera się przy tych hulankach.

Anna pomyślała, że kuzynka wyprawiałaby przyjęcia bez względu na to, kto rządziłby Polską, ale wolała nie mówić tego ciotce.

Weszły do domu tylnymi drzwiami i dostały się, niezauważone, do swoich pokoi, używając klatki schodowej dla służby. Anna ucałowała ciotkę na dobranoc. Nastrój hrabiny wyraźnie się pogorszył.

Po godzinie ktoś zapukał do drzwi sypialni Anny.

Była to Clarice.

- Pani Zofia prosi, by zeszła pani na dół, madame.

- Powiedz kuzynce, że udałam się już na spoczynek.

- Doskonale - powiedziała pokojówka, dygając, a nie zdarzało jej się to często. - Och, madame, podsłuchałam, co się wydarzyło. Gratulacje!

- Dziękuję, Clarice.

Po kilku minutach pokojówka pojawiła się znowu.

- Przepraszam, madame, lecz pani Zofia powiedziała, że jeśli nie zejdzie pani na dół, sprowadzi wszystkich gości tutaj, do pani. Proszę pozwolić, że pomogę pani przygotować się, by ich powitać.

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy, ale wołała nie ryzykować. Clarice pomogła jej ponownie założyć suknię, poprawiła włosy oraz perukę i Anna zeszła na dół.

Stała w progu salonu, gdzie zebrała się większość gości. W pierwszej chwili nikt jej nie zauważył. Około trzydzieścioro gości, przeważnie Polaków, piło, rozmawiało i śmiało się wesoło. Z miejsca, w którym stała, mogła zerknąć do przyległego pokoju muzycznego, gdzie pary tańczyły w rytm bułgarskiej muzyki, granej przez wynajętych muzyków. Nikogo z tych ludzi nie było dzisiaj w Zamku. Oto dwór Zofii, pomyślała Anna. A to jej poddani.

W kącie pokoju, na bielizniarce, stała Zofia, czyniąc gest, jakby wznosiła toast.

Nagle jej szkliste od alkoholu oczy dostrzegły Annę.

- Ach, oto i gość honorowy! - zawołała pijackim głosem. - Chodźcie, wypijmy za moją kuzynkę!

Po czym, uniósłszy wyżej kieliszek, zawołała jeszcze donośniej:

- Chodźcie wnieść toast za księżną Annę Marię Berezowską! Za księżną!

Goście przebywający w salonie zdążyli się już uciszyć, pozostali napływali właśnie z pokoju muzycznego. Większość uniosła kieliszki.

- Za księżną! - zawołali bełkotliwym chórem.

Niemal natychmiast przed Anną pojawił się przystojny mężczyzna i ucałował jej dłoń.

- Lecz księżna nie ma czym wnieść toastu - powiedział, wręczając jej kieliszek.

Przyjęła go i zmusiła się do uśmiechu mimo odrazy z powodu wilgoci, jaką pocałunek pozostawił na grzbiecie jej dłoni. Uświadomiła sobie, że przystojna twarz kryje oblicze diabła. Zadrzała, zdjęta nagłym chłodem.

Przyjrzała się płynowi w kieliszku, zastanawiając się, czy to wódka. Była pewna, że Charlotte gdzieś tu się kręci, i przyszło jej do głowy, że księżna

postanowiła zrobić jej dowcip i sprawić, by zachłysnęła się alkoholem, jak wtedy, w Zamku. Spróbowała napitku i przekonała się, że jest słodki.

- Jestem Albin Brazow, księżno - oświadczył mężczyzna, przysuwając się bliżej i owiewając jej twarz kwaśnym oddechem.

Skinęła niepewnie głową i odsunęła się o krok, korzystając z tego, że Rosjanin odwrócił się, by sięgnąć po następny kieliszek. Był niesłychanie przystojny, niesłychanie próżny i bardzo pijany.

Brazow wznosił następny toast:

- Za piękną księżnę!

Prawie wszyscy przyłączyli się do niego. Wszyscy, poza Zofią.

- Albinie Brazow! - zawołała głośno. - Ty i twój rubinowy pierścień odprowadzicie mnie dziś wieczorem do sypialni, lecz tylko jeden z was ją opuści!

Towarzystwo parsknęło głośnym śmiechem. Albin skłonił się przesadnie.

- Czego pożądasz bardziej, pani? - zawołał. - Mężczyzn czy klejnotów?

- Zależy, jaki to klejnot i jaki mężczyzna!

Zaśmiała się z własnego dowcipu, przywołując gestem Brazowa, by pomógł jej zejść z bieliźniarki.

- Jednak klejnoty są trwalsze, nie uważasz? - dodała, po czym rzuciła mu się w ramiona. Upadli i potoczyli się po podłodze, chichocząc i mocując się.

Anna odstawiła kieliszek i korzystając z zamieszania, spróbowała się ulotnić.

Głos Zofii powstrzymał ją jednak, nim dotarła do schodów.

- Dlaczego wychodzisz, księżno?

Przyśpieszyła kroku, lecz nim zdążyła wspiać się do połowy pierwszej kondygnacji, Zofia stała już u podnóża schodów, wołając:

- Anno!

Odwróciła się, by stawić czoło kuzynce. Tuż za nią stał Albin Brasów.

- Dlaczego wychodzisz? - spytała Zofia. W jej oczach czało się szaleństwo.
- Albin jest tobą zainteresowany.

- Jestem zmęczona i zamierzam położyć się spać.

- Ach, gdyby Albin był Stelnickim, nie uciekałabyś tak szybko! Nie łudź się. Gdyby Stelnicki tu był, nie wybrałby ciebie, i to bez względu na twój nowy tytuł!

Anna wpatrywała się w kuzynkę, oszołomiona.

- Proszę nie odchodzić tak wcześnie, księżno - prosił Albin.

- Albin jest tu dziś najprzystojniejszym mężczyzną, Anno - teraz Zofia już po prostu krzyczała. - Nawet jeśli Stelnicki żyje, jesteś idiotką, jeśli spodziewasz się, że mężczyzna taki jak on zechciałby spędzić resztę swoich nocy z tobą!

Anna odwróciła się i pobiegła do sypialni. Tym razem nikt jej nie ścigał.

RS

Rozdział sześćdziesiąty szósty.

Dzień, który powinien należeć do niezapomnianych w życiu Anny, jakoś stracił blask. Zofia nie przeprosiła i unikała kuzynki przez cały tydzień. Anna starała się nie popaść w przygnębienie, a w miarę upływających dni troski z powodu wydarzeń politycznych i militarnych wyparły z jej pamięci nieprzyjemny incydent.

Katarzyna, rozwścieczona oporem, zapewniła sobie pomoc Austrii i Prus, bez wątpienia obiecując im w zamian część polskich ziem, co czyniła już wcześniej. Anna zastanawiała się, jak długo Rzeczpospolita zdoła opierać się połączonym siłom trzech mocarstw. Zadawała sobie też pytanie, jak król Stanisław mógł powiesić portret carycy na honorowym miejscu nad kominkiem.

Prusacy nie czekali długo, by przyjąć obietnicę Katarzyny. Kościuszko wyruszył na spotkanie pruskiej armii, dowodzonej przez samego króla Wilhelma, który kiedyś przyrzekł bronić niepodległości Polski i którego portret także wisiał w komnacie królewskiego zamku. Polska armia miała wystarczającą liczbę dział i rzesze chłopów, uzbrojonych w kosy, lecz brakowało jej broni palnej. Żadna polska manufaktura nie była bowiem w stanie sprostać zapotrzebowaniu. Tak więc trzynaście tysięcy żołnierzy Kościuszki stanęło naprzeciw dobrze wyposażonej czterdziestotysięcznej armii Prus. Szóstego maja pod Szczekocinami Polacy zostali pobici i zmuszeni do wycofania się. Co gorsza, piętnastego czerwca Prusacy ruszyli, by zająć Kraków.

Kiedy wieści dotarły do stolicy, część Polaków sprowokowała pogrom tych, których podejrzewano o sympatie prorosyjskie. Kilka osób zostało straconych. Anna słyszała, że pomiędzy powieszonymi na Rynku był także doktor Kurowski. Choć Anna nie lubiła tego człowieka, zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie uratował życie jej synowi, odmówiła więc modlitwę za spokój jego duszy. Wichry wojny mogą zmieść każdego.

Kościuszko wrócił do Warszawy i natychmiast ukarał tych, którzy wszczęli pogrom.

W lipcu połączone siły Rosji i Prus ruszyły na Warszawę. Kościuszko okopał się, rozmieszczając szańce i artylerię w taki sposób, by mimo przeważających sił wroga móc bronić miasta.

Pewnego dnia w południe Anna siedziała w pokoju syna na poddaszu, z roztargnieniem przyglądając się, jak mały bawi się drewnianym żołnierzykiem. Rozmyślała o zbliżającym się oblężeniu stolicy. Chętnie chwyciłaby za broń,

by bronić i ocalić Rzeczpospolitą, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że świat byłby lepszy, gdyby zniszczono wszystkie strzelby i działa. Pragnęła tego z pewnością każda matka, Polka czy Rosjanka.

Lutisza wdrapała się na górę, niosąc południowy posiłek. Postawiła przed panią filiżankę kawy i zaczęła karmić Jana Michała.

Anna spróbowała kawy.

- Co to za gatunek, Lutiszo? Ma jakiś dziwny posmak.

- Kawa to teraz rarytas, proszę pani. Dodaliśmy trochę cykorii.

- Wyczuwam cykorię - powiedziała, pociągając następny łyk. - Ale i tak smakuje dziwnie.

Opróżniła filiżankę, mając nadzieję, że zdoła jakoś pozbyć się dręczącego ją niepokoju.

Co się stanie, jeśli miasto zostanie zdobyte? Czy życie mieszkańców będzie zagrożone?

Nie potrafiła jednak skupić myśli. Ogarnęła ją taka senność, że musiała położyć się na kozetce. Nie była w stanie unieść członków. Powieki ciążyły jej, mimo to starała się ich nie zamykać, przekonana, że Lutisza podała jej truciznę. Tak właśnie musi czuć się ktoś, kto zanurzył się w wodach Lete, rzeki zapomnienia, pomyślała.

Choć bardzo się starała, nie zdołała utrzymać otwartych oczu. Poczowała, że uniesiono jej nogi i położono na kozetce. Potem usłyszała szepty, wskazujące, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Ale kto to mógł być? Zofia? Ciotka Stella? Chciała zawołać, spytać, dlaczego ją to spotyka, lecz słowa więzły jej w gardle.

Usłyszała imię syna i z trudem uchyliła powieki. Po chwili zobaczyła zbliżającą się twarz synka. Poczowała na policzku dotyk jego warg. Chciała wyciągnąć po niego ramiona, lecz nie słuchały jej. Wbrew woli znowu zamknęła oczy.

Wkrótce dobiegł ją odgłos oddalających się kroków, a potem głos syna, pytającego;

- Na dwór? Na dwór?

Gdy Anna się obudziła, zobaczyła siedzącą przy łóżku ciotkę.

- Musisz mi wybaczyć, Anno - szepnęła hrabina. - Nie było innego sposobu. Dodaliśmy ci do kawy nieszkodliwego lekarstwa, by zabrać Jana Michała bez zwłoki i bez oporu z twojej strony.

- Zabrać? - spytała Anna słabo.

- Posłuchaj, Aniu. Warszawa to teraz bardzo niebezpieczne miejsce. Być może nikt z nas nie przeżyje. Kto wie?

- Ale dokąd?

- Walek wrócił. Zabiera całą swoją rodzinę do Sochaczewa. Wszystkich poza Lutisza, która upiera się, by zostać z nami. Jan Michał, podróżujący z gromadą chłopów, zostanie wzięty za jedno z ich dzieci i dotrze na miejsce bezpiecznie. Obecność nas wszystkich tylko utrudniłaby sprawę. Sytuacja z godziny na godzinę staje się bardziej niebezpieczna i choć Zofia, niech Bóg jej wybaczy, dopisała nasze nazwiska do aktu konfederacji... cóż, z Rosjanami nigdy nie wiadomo. No i musimy spojrzeć prawdzie w oczy: nie jestem już w stanie podróżować.

- Ciotko Stello, dlaczego po prostu nie powiedziałaś mi, co planujesz?

Hrabina westchnęła, spoglądając na nią smutnymi, brązowymi oczami.

- Nie zrobiłam tego, ponieważ przysięgłaś, że więcej nie rozstaniesz się z synem. Przysięgłaś przede mną i przed Lutisza, pamiętasz?

Annie zabrakło słów. Wiedziała, że ciotka ma rację.

- Nie musisz się martwić, Anno Mario. Dałam im pieniądze, które, jestem tego pewna, mądrze spożytkują.

- Jan Michał - szepnęła Anna. Jej dolna warga zadrżała, a w oczach pojawiły się gorące łzy.

Ciotka ujęła jej dłoń.

- Musisz być silna, Anno. Musisz myśleć o tym, jak go wychować, zapewnić mu przyszłość. Jeśli Polska przetrwa ten napór, pewnego dnia twój syn, jako jeden z jej książąt, może zostać wybrany królem.

Hrabina ucałowała siostrzenicę i wyszła.

Anna leżała długo, wpatrując się w sufit. Postąpili słusznie, powiedziała sobie. Miała nadzieję, że potrafiłaby podjąć taką decyzję sama. Lecz teraz było już po wszystkim. Jan Michał wyjechał.

Ciotka Stella poszła się położyć. Jeśli nawet Zofia nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chora jest jej matka, to Anna była tego w pełni świadoma.

Warszawa została na razie oszczędzona. Fala wojennej pożogi odpłynęła, kiedy gromada dzielnych polskich chłopów pod dowództwem patrioty Minewskiego przejęła płynący w górę Wisły olbrzymi pruski konwój, zawierający sprzęt artyleryjski i zaopatrzenie na długą kampanię wojenną. Fryderyk Wilhelm, pozbawiony wsparcia, stracił tysiące ludzi i po dwóch miesiącach odstąpił, wycofując się do Poznania. Wraz z nim odeszła groźba

bezpośredniego ataku. Jednakże każdą wieść o zwycięstwie równoważyła inna, o porażce.

Kiedy nadeszły dobre nowiny, hrabina odzyskała nieco sił, ale nie na długo. Anna przeniosła się do pokoju ciotki, by móc opiekować się nią przez całą dobę.

W połowie sierpnia Rosjanie zdobyli Wilno. W tydzień później polskie oddziały, dowodzone przez generała Dąbrowskiego, ruszyły do Wielkopolski, by wesprzeć tamtejsze powstanie. Dąbrowski, zachęcony sukcesem, zapuścił się w głąb Prus.

I taki był bieg zdarzeń. Nadzieja upadła ostatecznie dopiero wtedy, gdy Austria przyłączyła się do Rosji i Prus, aby dokonać kolejnego rozbioru Polski.

Anna żałowała, że nie urodziła się mężczyzną. Z jaką ochotą zdjęłaby ze ściany dworu w Sochaczewie rodzinny oręż i ruszyła bronić Rzeczypospolitej! Wspomniała, jak Zofia z sarkazmem w głosie zapytała ją, czy wyobraża sobie, że jest Joanną d'Arc. Ubolewała, że nie ma takiego powołania.

Kiedy do stolicy dotarły wieści, że Katarzyna wysłała swego najbardziej krwiożerczego dowódcę, generała Suworowa, by zaatakował Polskę od południowego wschodu, tak jak wszyscy warszawianie mogła jedynie się modlić. Kościuszko ruszył natychmiast na Rosjan i spotkał się z nimi pod Maciejowicami.

A potem nadeszły wieści najgorsze z możliwych. Rosjanom udało się odseparować Kościuszkę od wspierającej go kolumny. Generał został ciężko ranny i wzięty do niewoli.

Co stanie się z Polską, skoro zabrakło małego generała? Czy Jan nadal jest przy nim? A może jej ukochany także wpadł w ręce nieprzyjaciela?

Teraz już nic nie mogło powstrzymać Rosjan. Suworow ruszył, niczym głodny tygrys, na stolicę. Nadchodził od południowego wschodu, co oznaczało, że Praga pierwsza wpadnie mu w ręce. Anna, jej grupka patriotów i wszyscy obywatele stolicy z przerażeniem czekali, aż dosięgnie ich gniew Katarzyny. Była kochanka króla Stanisława przysięgła, że obróci miasto w perzynę. Nikt nie wątpił, że dotrzyma słowa.

Resztki rozbitych polskich oddziałów gromadziły się w stolicy, lecz stanowili oni jedynie zbiorowisko weteranów kampanii z innych części kraju. Anna czuła w głębi serca, że ci dzielni ludzie, stający bohatercko do bitwy, tak jak czynili to ich przodkowie, są jak postacie z piasku w obliczu armii uzbrojonej w artylerię, która jak niszczący huragan zbliżała się do miasta.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy.

Pierwszego listopada, w dzień Wszystkich Świętych, Anna uświadomiła sobie, że tak jak Rosjanie zbliżają się nieuchronnie do Warszawy, tak śmierć zbliża się do ciotki Stelli. W zapadłej, wymizerowanej twarzy hrabiny oczy zdawały się wielkie jak spodki, a ciało skurczyło się i osłabło.

Anna miała właśnie wyjść z sypialni, by udać się do kuchni. Lutisza nie przyniosła jeszcze porannego posiłku, więc zamierzała sprawdzić, co też mogło ją zatrzymać. Jednak gdy wyszła z pokoju, zobaczyła, że po schodach biegnie ku niej mocno pobladła Zofia.

- Anno! - zawołała - musimy natychmiast opuścić ten dom. Suworow rozbił obóz u stóp praskich pagórków. Musimy przejść na drugą stronę Wisły. Tam będzie bezpieczniej.

Strach ścisnął Annę za serce. Nieludzkie okrucieństwo rosyjskiego generała nie było dla nikogo tajemnicą. Żaden warszawianin, wszystko jedno, szlachcic czy nie, nie będzie tu bezpieczny.

- Na drugą stronę Wisły? Ale dokąd? Gdzie mogłybyśmy się tam zatrzymać?

- W rezydencji Poteckich. Nim Paweł ruszył na tę niemądrą patriotyczną wyprawę, poinstruował służbę, że dom ma być do mojej dyspozycji. Wysłałam już tam Lutiszę z wieloma cennymi rzeczami. Zostałyśmy tu tylko we trzy i nie możemy dłużej zwlekać!

- Ale, Zofio... - odrzekła Anna, przypomniawszy sobie o ciotce.

- Co takiego? O co chodzi?

- Twoja matka... nie przeżyje podróży.

- Jest aż tak chora?

- Zofio, ona umiera.

Migdałowe oczy Zofii zaokrągliły się, a źrenice pociemniały.

- Och, Anno, to okropne! Jeśli nie uciekniemy, czeka nas pewna śmierć. Te drewniane domy będą się paliły jak chrust.

- Hrabiny nie można ruszać - powiedziała Anna. W jej głosie brzmiały stanowczość i determinacja. - Nie chcesz chyba, byśmy ją tu zostawiły?

- Nie, oczywiście, że nie. Jak myślisz, jest szansa, że choć trochę odzyska siły? Może jutro dałoby się ją przewieźć.

Anna nie mogła dać Zofii nadziei, że tak się stanie.

Poszły zajrzeć do hrabiny, która leżała nieruchomo pod kołdrą. Stały po obu stronach wielkiego łoża. Pierś chorej unosiła się lekko, lecz tak nieregularnie, że były chwile, gdy można było sądzić, że hrabina odeszła.

Zofia nie odezwała się. Patrzyła na matkę z twarzą pozbawioną wyrazu. Po jakimś czasie wyciągnęła rękę ku spoczywającej na pościeli dłoni hrabiny, lecz cofnęła ją, zanim ich dłonie się zetknęły.

W nocy czuwały na zmianę przy łożu chorej. Przed świtem dały się słyszeć pierwsze wystrzały.

Kiedy hrabina ocknęła się, była przy niej Anna.

- Anno? To ty?

- Tak, ciociu. Jestem tutaj.

- Co to... za hałasy? - spytała hrabina, drżącym, urywanym szeptem.

Anna wstrzymała się z odpowiedzią, zajęta zapalaniem świecy. Wiedziała, że kłamstwo na nic się nie zda. Ciotka była zbyt bystra.

- Huk dział - odpowiedziała, siadając na krześle przy łóżku.

- To... Rosjanie?

- Tak, ciociu.

- U wrót Pragi?

- Tak, ciociu.

- Dobry Boże - westchnęła hrabina. - Jakie to smutne... zostać pokonanym. Przynajmniej nie dożyję... by zobaczyć... jak Polska korzy się przed Katarzyną.

- Wyzdrowiejesz, ciociu. Musisz! Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

- Nie, Anno. Jestem zbyt stara... i nadto przywiązana do swych nawyków, by znieść nadchodzące zmiany... Nie mogłabym żyć, kiedy nie będzie już Polski... i nawet bym nie chciała. Przeżyłam swoje życie. Lecz ty jesteś młoda... masz w sobie siłę i prężność, jak sama Polska.

- Ciociu, nie wolno ci się męczyć. Musisz odpoczywać.

- Posłuchaj mnie, Aniu. Wyjdź za Stelnickiego, jeśli go kochasz. Jakoś przetrwacie ten kataklizm... Nie pozwól, by cokolwiek stanęło ci na drodze... Cokolwiek!

- Połóż się, ciociu, i prześpij.

- Anno - mówiła dalej ciotka nagłaco, próbując się podnieść. - Dopilnuj, by twoje dzieci, a potem ich dzieci zachowały polskie obyczaje... Spraw, by były dumne ze swego dziedzictwa, a Polska nigdy nie zginie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - W końcu i tak przechytrzymy rosyjską wilczycę.

Anna odwzajemniła uśmiech i ścisnęła dłoń ciotki.

- Polska nie zginie, ciociu. Nigdy. Sama mi to powiedziałaś. Nawet gdyby Rosja zagarnęła ją na sto lat.

Hrabina, najwidoczniej usatysfakcjonowana, opadła na poduszki i pogrążyła się w lekkim śnie.

Nim nadszedł ranek, hrabina nie mogła już podnieść się o własnych siłach ani mówić.

Zofia i Anna, czuwające przy jej łożu, zauważyły, że poruszyła się leciutko i zaczęła stukać palcem w krzyżyk swego różańca.

- O co chodzi, ciociu? Czego sobie życzysz?

- Ona chce księdza - powiedziała Zofia. - Prawda, mamó? Chcesz księdza?

Hrabina nie odpowiedziała.

- Ciociu - powiedziała Anna, pochylając się nad kruchą postacią w łóżku. - Jeśli życzysz sobie, by wezwano księdza, zamrugaj dwa razy powiekami.

Przez chwilę w milczeniu przypatrywały się umierającej. W sypialni słyhać było jedynie dobiegający z oddali huk dział. Anna ujęła dłoń ciotki. Szeroko osadzone brązowe oczy wpatrywały się nieruchomo w przestrzeń i pomyślała, że hrabina straciła już władzę nad umysłem i nie rozumie, co się do niej mówi. Lecz właśnie wtedy delikatne, pomarszczone powieki zadrżały, otwarły się szerzej, a potem zamknęły. Raz. I drugi.

- Posłałam po księdza w nocy, mamó - powiedziała Zofia, ujmując drugą dłoń hrabiny. - Przyszedł, kiedy spałaś, i udzielił ci ostatniego namaszczenia. Rozumiesz?

W oczach hrabiny pojawiły się łzy, łzy wdzięczności. Zamknęła dwa razy powieki i łzy, uwolnione, spłynęły po policzkach. Spojrzała na córkę, potem na siostrzenicę. I nagle jakby ogarnął ją spokój. Mięśnie rozluźniły się. Anna pomyślała, że ciotka wygląda jakoś tak... niezmiernie.

A potem kruche ciało zeszywniało i wygięło się w paroksyzmie, który sprawił, że niegdyś tak ładne oczy hrabiny omal nie wyskoczyły z oczodołów.

Opadła na poduszki i leżała spokojnie, martwa, wpatrując się w przestrzeń.

Przez chwilę stały w milczeniu obok łóżka.

- „Rozbita złota czara” - powiedziała w końcu Zofia, wyciągając dłoń, by zamknąć matce oczy.

Annę zdziwiło, że kuzynka odwołuje się do Biblii.

- „Wrócisz do ziemi - mówiła dalej Zofia - z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz”. - W czarnych oczach zabłyśły ciężkie łzy. - Była dobrą kobietą, Anno. Zasługiwała na lepsze dzieci niż Walter i ja.

- Miała piękną śmierć, Zofio. Jeśli śmierć w ogóle może być piękna. Była taka szczęśliwa, że umiera w stanie łaski. Ale musiałam spać jak zabita, skoro nie usłyszałam księdza.

- Nie było żadnego księdza, Anno.

- Go takiego?

- Nie było księdza. Och, posłałam po niego, lecz żadnego nie udało się znaleźć. Wszyscy są przy rannych i zabitych lub sami walczą i umierają.

- Lecz, Zofio...

- Jesteś zaszokowana tym, że skłamałam? Odeszła w spokoju dzięki temu kłamstwu. Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że matka była w stanie łaski. To wola Boga i jego błogosławieństwo, że zmarła właśnie teraz.

- To także jej wola - powiedziała Anna. - Nie życzyła sobie dożyć chwili, kiedy Rosjanie zagarną Polskę.

Oświadczenie kuzynki i zbliżający się grzmot dział skierowały myśli Zofii w inną stronę.

- Lecz my musimy żyć, Anno - powiedziała nagląco. -

Musimy. A jeśli mamy przeżyć, musisz się pośpieszyć. Sądząc po tych odgłosach, Rosjanie mogą być już na Pradze. Idź i przygotuj się do wyjazdu, natychmiast. Włóż najprostszą suknię i żadnych halek, które mogłyby zdradzić, kim jesteś.

- Lecz twoja matka, Zofio. Trzeba ją pochować.

- Nie ma czasu!

- Nie zostawię jej.

Anna wzięła koc, rozwinęła go i ułożyła równolegle do ciała ciotki.

- Co robisz?

- Zabieram ciało na dół. Sama powiedziałaś, że te domy będą płonęły jak wiązka chrustu. Poza tym z pewnością zjrzą tu Rosjanie i szabrownicy.

- Anno, musimy odejść - błagała Zofia. - To nie jakiś grecki dramat o chowaniu zmarłych, a ty nie jesteś Antygoną. Wejdz na górę i wyrzyj na wschód. Śmierć zbliża się do nas wielkimi krokami. Matka nie chciałaby, żebyś ryzykowała życie...

- Możesz iść, Zofio - odpowiedziała Anna ostro, próbując wcisnąć koc pod ciało. - Lecz ja zostanę!

Ich spojrzenia zwały się w pojedynku woli.

- Słodki Jezu! - powiedziała w końcu Zofia, naśladowując wyraz twarzy matki.

- Ależ jesteś uparta. Wychodzi z ciebie Grońska. Dobrze, zniesiemy ciało do piwnicy, tak by później można było je pochować. Czy to ci wystarczy?

- Tak.

- Dobrze. Ale pamiętaj, jak fatalnie skończyło się to dla Antygony. Bierzmy się do roboty.

Zofia przyciągnęła ku sobie zwłoki matki, podczas gdy Anna wsunęła pod nie koc. Gdy przetaczały ciało, poduszki przemieściły się i coś ciężkiego upadło z metalicznym brzękiem na podłogę.

Anna ze zdumieniem wpatrywała się w leżący obok łóżka przedmiot.

- Co to takiego? - Zofia okrążyła łóżko, nim kuzynka zdążyła odpowiedzieć.

Przez chwilę wpatrywały się tępo w leżący u ich stóp pistolet.

- Chyba nie powinno nas to aż tak dziwić - powiedziała w końcu Anna. - Ciotka nie zamierzała poddać się spokojnie Rosjanom.

- Nawet po śmierci - zaśmiała się Zofia - matka potrafi nas zadziwić. Weź broń, Anno, i ukryj ją przy sobie. Może okazać się potrzebna w powozie.

- Ale ja...

- Do licha, po prostu zrób to! W końcu posłuchała.

Zdjęły ciało z łóżka i uniosły je. Zofia prowadziła w dół po schodach, potem do holu i wreszcie do piwnicy, gdzie złożyły swój ciężar.

- Biegnij teraz na górę i przebierz się tak, jak ci mówiłam. Tylko szybko!

- A co ty będziesz robić? - spytała Anna.

- Zawinę ją w dodatkowy koc lub dwa i nasączę je wodą. Jeśli dom spłonie, ciało ocaleje i będzie je można pochować.

- Chcę odmówić modlitwę.

- Antygona do samego końca! - prychnęła drwiąco Zofia. - Teraz nie ma na to czasu. Idź i szybko się przebierz. Kiedy tu skończę, rozejrzę się za powozem. Biegnij !

Anna wdrapała się na strome schody, prowadzące do kuchni. Szybko minęła wahadłowe drzwi i wbiegła do holu. Niemal wspięła się już na drugie piętro, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe.

Instynkt kazał jej się zatrzymać. Z sercem ściśniętym strachem odwróciła się i zobaczyła, że w progu staje ktoś odziany w wysokie buty i spodnie od munduru. Czerwonego, zatem rosyjskiego munduru.

Zofia miała rację, pomyślała Anna w panice. Czasu było mało, i właśnie się skończył. Zaczerpnęła głęboko oddechu, wyprostowała ramiona i zawróciła. Starła się odzyskać spokój. Stawiła już przeciw czoło szabrownikom. A także Gwardii Królewskiej i samemu królowi. Jakoś poradzi sobie i tym razem.

W miarę jak schodziła, jej oczom ukazywała się cała postać Rosjanina: najpierw pas, potem szabla, złoty szamerunek na płaszczu. Uświadomiła sobie, że ma przed sobą oficera. Czy zwiększało to ich szanse? Być może oficer potraktuje szlachcianki z szacunkiem. A potem przypomniała sobie, co mówiono o generale Suworowie, i nadzieja zniknęła.

Gdy doszła do podestu w połowie schodów, oficer znalazł się całkowicie w polu jej widzenia. Postąpił dwa kroki w głąb holu i zdawał się czekać, aż Anna zejdzie. Miał ciemne włosy i był bez czapki. Uśmiechał się dziwnie pod bujnym wąsem. Oczy miał czerwonawobrazowe.

- Witaj, Anno - powiedział.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, a serce zaraz wyskoczy z piersi. Ściany holu jakby uniosły się i zawirowały. Wyciągnęła bezwiednie dłoń i uchwyciła się balustrady. Czy to naprawdę się dzieje? Czowała się tak, jakby porwał ją wir wody. Czy to możliwe?

Mężczyzna zdawał się czekać w pełnym samozadowolenia milczeniu, aż Anna otrząśnie się z szoku. W końcu wirowanie ustało i znów mogła widzieć wyraźnie. Mężczyzna nadal się uśmiechał.

- Walter? - ośmieliła się powiedzieć głosem tak słabym, jak głos jej ciotki w ostatniej godzinie życia.

- We własnej osobie, kuzynko.

- Wielki Boże - westchnęła. Roześmiał się.

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Anna nie była w stanie się odezwać.

- Sądziłaś, że nie żyję, prawda? A właściwie, że zostawiłaś mnie na pewną śmierć. Pomyślałaś, że jeśli podbijesz serce porucznika Borowieckiego, rozwiążesz w ten sposób swoje problemy. Lecz to nie zadziałało.

- Szymon?

- Nie żyje. Nie to, żeby nie próbował przedtem mnie zastrzelić, zapewniam cię. Spudłował jednak, a nim zdążył wystrzelić drugi raz, ciąłem go szablą, trafiając prosto w serce.

Twarz Anny wykrzywił ból. Ten człowiek zginął, by ratować ją przed Walterem. Ale nie pora myśleć o tym teraz.

- Czego chcesz?

- Ach, zmierzasz prosto do sedna. To mi się podoba! Przyszedłem dopilnować, by nie pozostawiono cię na pewną śmierć w płonącym domu, tak jak pozostawiono mnie.

- Nie sądzisz chyba, że zechcę z tobą pójść?

- Nie masz wyboru. Tylko ja mogę ocalić cię przed rzezią. Ja, rosyjski oficer.

- I polski zdrajca! Twarz Waltera pociemniała.

- Jestem realistą, Anno. Polska nie jest dla Rosji przeciwnikiem, którego musiałaby się obawiać.

- Masz w tym swój udział!

Wzruszył ramionami. Postąpił krok ku Annie.

- Nie przywitasz mnie przynajmniej niewinnym, siostrzanym pocałunkiem?

Cofnęła się na schody z sercem ściśniętym ze strachu. Scena przy stawie rozbłysła w jej pamięci. Bezwiednie przesunęła prawą dłoń ku miejscu, gdzie ukryła pistolet. Zdarzyło jej się raz strzelać z pistoletu ojca. Ojciec uczył ją, jak celować, lecz matka szybko położyła kres nauce. Anna obawiała się, że nie pamięta już nawet, jak prawidłowo chwycić broń. Poza tym zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, co Walter zrobił, nie byłaby w stanie go zastrzelić.

- Nie martw się - powiedział z pogardą. - Nie przyszedłem po ciebie.

- Po co zatem?

- Przyszedłem po mego syna.

Anna nie mogła się poruszyć, nie mogła myśleć. Co on wie?

- Twój syn nie żyje. Nie ma tu żadnego dziecka.

- Sam to sprawdzę. A jeśli nie ma go tutaj, powiesz mi, gdzie jest.

Ruszył przed siebie, a wtedy z mroków salonu wyszła Zofia. Podeszła do brata. Anna podejrzewała, że kuzynka była tam przez cały czas.

- Nie masz tu czego szukać, Walterze. Anna ci powiedziała: twoje dziecko nie żyje. Idź na cmentarz, jeśli chcesz się z nim zobaczyć, lecz zostaw nas w spokoju. Musimy jakoś się stąd wydostać.

- Ach, Zofia. Jestem pewien, że ci się uda. Lecz co do mego syna, mam na ten temat inne wieści. Właśnie zamierzałem powiedzieć tej tu naszej kuzynce, że dwa miesiące temu natknąłem się na rządcę, Walka. Choć się zapierał, wiedziałem, że był jednym z tych głupców, którzy chwycili za kosy i ruszyli na wojnę. Zapewnił mnie, że dziecko nie połknęło szpilki, nie było żadnego smutnego pogrzebu i mój syn nadal żyje! Byłem mu tak wdzięczny, że nie kazałem go rozstrzelać!

- I co z tego? - krzyknęła Zofia. - Nie masz prawa do dziecka!

- Jestem jego ojcem! A jeśli małego tu nie ma, jedna z was powie mi, gdzie go szukać.

- Anno? - spojrzał pytająco na swą kuzynkę.

- On rzeczywiście żyje - odpowiedziała. - Odkąd wróciłam do Warszawy, nie próbowałam go ukrywać. Lecz nie ujawniłam, że to ty jesteś jego ojcem. Dla wszystkich jest nim Antoni. Chłopiec nosi jego nazwisko. Widzisz zatem, że nie masz do niego prawa. Jest tak, jak mówi Zofia.

- Ach, jak mówi Zofia - prychnął z pogardą. - Sprytna Zofia. Co ze mnie za szczęściarz, że mam tak sprytną siostrę, która pozbawiła mnie dziedzictwa. Ty też powinnaś być z niej dumna, Anno. Za to, że wpadła na ten pomysł ze szpilką. Zdziałało niczym czary, prawda? Och, moja siostra jest pełna pomysłów. Czy to nie dziwne, że nasz ojciec wpadł do trzęsawiska akurat w tak dogodnym dla niej momencie? Ocaliło ją to przed zamążpójściem. Przypomina mi się też inna intryga, która czyni cię jej dłużniczką.

- Chcę, żebyś natychmiast opuścił ten dom, Walterze - przerwała mu Zofia.

- Nie wyjdę stąd, zanim nie dowiem się, gdzie jest mój syn i nie poinformuję naszej słodkiej kuzynki, w jaki sposób została wdową.

- O czym wy mówicie? - spytała Anna.

- Walter plecie bzdury, Anno. Zamierzam go wyrzucić. Anna nie mogła sobie wyobrazić, jak ona chce to zrobić, gdyż z pewnością nie dorównywała Walterowi siłą.

Tymczasem Zofia popchnęła brata ku drzwiom. Lecz Walter nie był bezbronną służącą, którą łatwo zastraszyć. Miała do czynienia z żołnierzem, który poznał już, co to wojna. Pchnął ją ramieniem i posłał na podłogę.

- Ty podstępna dziwko!

Anna stała, bezsilna, na schodach.

Zofia uniosła głowę i odrzuciła z twarzy ciemne włosy, które rozsypały się jej na ramiona.

- Jesteś sierotą, którego moi rodzice zabrali z rynsztoka tylko po to, by doprowadził ich do zguby!

- To nie ja doprowadziłem ich do zguby, tylko ty, krew z ich krwi. Kto powstrzymał mnie, gdy chciałem wyciągnąć twego ojca z trzęsawiska? No kto?

Czerwona z gniewu, Zofia jakoś pozbierała się z podłogi i skoczyła ku bratu.

Anna patrzyła, przerażona, jak Walter wyciąga szablę i wbija wzrok w siostrę. W ułamku sekundy dostrzegła żądzę mordy w tych brutalnych oczach, które nawiedzały ją w snach, czerwonych oczach diabła. Zamierzał przeszyć Zofię szablą jak przedtem Borawieckiego.

Niewiele myśląc, dobyła pistolet z ukrycia i wypaliła.

Walter zatoczył się do tyłu, chwytając za pierś, na której wykwitła powiększająca się czerwona plama. Przez chwilę wpatrywał się w Annę, osłupiały, a potem zamknął oczy i runął jak kłoda na marmurową podłogę holu.

- Słodki Jezu! - zawołała Zofia, spoglądając to na niego, to znów na nią. - Zabiłaś go. Anno, ty naprawdę go zabiłaś.

- Myślałam, że on zamierza zabić ciebie - Anna upuściła pistolet. Chwyliła się poręczy, by nie upaść. - Byłam pewna...

- Och, bo zamierzał, bez wątpienia.

Zofia podbiegła do wychodzącego na ulicę okna salonu.

- Modłę się tylko, żeby nie było z nim innych żołnierzy - zawołała.

Anna zaczęła schodzić po schodach, z każdym stopniem zbliżając się do człowieka, którego zabiła.

- Mamy szczęście, chyba był sam - powiedziała Zofia, wracając do holu. - No, no, kuzynko - objęła ją. - Nie miej takiej ponurej miny. Uratowałaś mi życie!

- O co chodziło Walterowi, gdy mówił, że pomogłaś mi zostać wdową?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Ależ masz, widzę to. - Przytrzymała kuzynkę na odległość ramienia. - To Walter zastrzelił Antoniego, prawda? Tylko on mógł wiedzieć o pojedynku, a dowiedział się o nim od ciebie. Zaaranżowałaś śmierć mego męża, prawda? Prawda, Zofio?

Zofia wyrwała się z jej uścisku.

- Zrobiłam to dla ciebie, kochanie. To ja wmanewrowałam cię w to małżeństwo. Nie wiedziałam, jaki naprawdę jest Antoni.

- Wykorzystałaś więc to, że Walter żywił wobec mnie... słabość, aby uwolnić mnie od koszmarne go małżeństwa?

- Tak, dokładnie. Powinnaś mi dziękować.

- Za to, że popełniłaś morderstwo? Czy nie chodziło ci też o to, by przy okazji zapewnić Janowi bezpieczeństwo?

Zofia wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jest takie przysłowie o ustrzeleniu dwóch ptaków jednym strzałem... Lecz Walter nie do końca wywiązał się z zadania. Pozwolił Antoniemu wystrzelić. Jan miał szczęście, że twój mąż był tak marnym strzelcem.

- Zofio - powiedziała Anna, wpatrując się w kuzynkę i nie pozwalając jej odwrócić wzroku - chciałaś zachować Jana przy życiu, ale dla kogo? Dla mnie czy dla siebie?

Zofia uśmiechnęła się.

- Dla tej z nas, która okaże się dość sprytna, by go zdobyć.

W swoim pokoju Anna szybko przebrała się w zwyczajną brązową suknię, bez ozdobnych halek, jak poleciła jej Zofia. Wpięła mocniej grzebyki, upewniając się, że zdołają przytrzymać spięte wysoko włosy.

Nie musiała wypytywać Zofii o śmierć wujka Leo. Walter powiedział dosyć, by potrafiła sama odtworzyć szczegóły. Zofia i Walter znaleźli ojca tego dnia, gdy udał się nad staw szukać śladów napaści na Annę. Gdy się na niego natknęli, walczył o życie, tonąc w bagnie. Zofia, którą właśnie miano wydać za mąż wbrew jej woli, powstrzymała brata przed udzieleniem mu pomocy. Zresztą Walter miał własne powody, by życzyć ojcu śmierci. Patrzyli, jak umiera straszną śmiercią. A przecież mogli go uratować... Na myśl o tym Annie zrobiło się niedobrze.

Nagle uświadomiła sobie, że z ulicy dobiega ogłuszająca kakofonia dźwięków. Nie pora teraz myśleć o wuju i pozwolić Zofii czekać, pomyślała, wbiegając do pokoiku na poddaszu, by wyrzucić stamtąd na ulicę. Gdy tylko pchnęła drzwi, natychmiast wróciło wspomnienie synka.

- Boże, spraw, by Jan Michał był bezpieczny - modliła się głośno. - Ocal, go, błagam.

Nie była przygotowana na widok, jaki ukazał się jej oczom.

Miasto pogrążone było w chaosie. Ulicami przewalały się tłumy ludzi, zarówno pospólstwa, jak i szlachty. Wielu dźwigało cenne meble lub inne wartościowe przedmioty. Kilku bogaczy próbowało przekupić innych, by pomogli im ciągnąć obciążone dobytkiem powozy, lecz tamci nie słuchali. Zbyt byli pochłonięci ucieczką przed zbliżającą się rzezią.

Ulice w polu widzenia Anny pełne były ludzi zmierzających - przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe - w kierunku mostu, łączącego Pragę z centrum stolicy. Wydawało się jej, że patrzy na gigantyczny pochód ludzkich mrówek, uciekających przed jakimś drapieżnikiem do swego mrowiska i podziemnych kryjówek. Nie potrafiła ocenić, czy przejście na drugą stronę Wisły zapewniało jakiegokolwiek bezpieczeństwo. Wiedziała jednak, że obie z Zofią muszą przyłączyć się do uciekającego tłumu, i to natychmiast.

Praga płonąła. Dostrzegła dwa oddzielne słupy czarnego dymu, niesione wiatrem ku rzece. Jak na razie ani śladu Rosjan.

- Anno! - krzyknęła Zofia z dołu. - Co cię zatrzymuje?

- Idę! - Zbiegła po schodach i wpadła raz jeszcze do swego pokoju po ukryte tam skarby. Umieściła szkatułkę z gołębicą w pudle na kapelusze, dorzucając szmaragdową szpilkę i pierścionek z opalem - owinięte w aksamit. Na koniec wsunęła do pudła pamiętnik, zapis tego, co przydarzyło się jej od śmierci rodziców.

- Anno!

Na dole Zofia targowała się z potężnym mężczyzną, usiłując nakłonić go, by poprowadził powóz. Człowiek burknął coś na powitanie, lecz nie zaoferował się Annie z pomocą. Spostrzegła, że ma tylko jedno zdrowe oko.

Wdrapały się do otwartego powozu i woźnica skierował dwa niespokojne konie na ulicę prowadzącą do mostu. Z każdą chwilą przybywało ludzi, poruszających się piechotą bądź wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji. Powietrze wypełniał przesycony popiołem gryzący dym, a odgłos artyleryjskiego ostrzału z każdą sekundą się przybliżał.

- Przeklęte ruskie szumowiny! - zawołał woźnica.

Nie było wątpliwości, co miał znaczyć ten okrzyk. Praga padła. Śmierć może nadejść w każdej chwili. Wszyscy dookoła wiedzieli, że Suworow nie zna litości. Anna zacisnęła lewą dłoń na ściance powozu, by nie wypaść. Zofia uklękła na poduszkach, skąd miała lepszy widok.

- Słodki Jezu! - mamrotała od czasu do czasu, obracając głową i strzelając na boki oczami.

Anna pomyślała o Walterze. Zaciągnęły go do piwnicy i położyły obok matki. Cóż za ironia, nawet nie zdążył się dowiedzieć, że matka zmarła na pół godziny przed tym, nim się pojawił. A teraz leżał martwy obok niej.

Dom Grońskich stał na skarpie, niezbyt daleko od mostu, lecz wyglądało na to, że cała Praga wyległa na ulice, toteż posuwali się w ślimaczym tempie.

Nagle od zachodu dobiegły pełne przerażenia, oszalałe krzyki, niosące się ku wodzie niczym fala.

- Rosjanie! - krzyczeli przerażeni ludzie. - Rosjanie!

A potem żołnierze runęli na tłum. Kuzynki widziały ich początkowo w oddali. Anna patrzyła, osłupiała, jak bagnety, szable i kordy wznoszą się, opadają, a potem znów wznoszą, skąpane we krwi niewinnych polskich obywateli.

Chłodny listopadowy dzień stał się nagle gorący, gdy pomarańczowa ściana ognia ruszyła, w ślad za Rosjanami, ku Wiśle.

Powóz zdołał zbliżyć się do mostu. Dotarł do miejsca, gdzie zbiegały się ulice, po czym, zablokowany przez nacierający zewsząd tłum, niemal stanął. Krzyczące masy kołysały się niczym źdźbła trawy na gęstym trawniku.

- Dalej, idioto! - wrzasnęła Zofia. - Ci ludzie są jak szczury biegnące do młyna! Popędź konie, słyszysz!

Niektórzy chłopci na ulicy odwracali się, by spojrzeć na rozgniewaną, wrzeszczącą Zofię. Gapili się, nie bacząc, że ich życie jest w niebezpieczeństwie.

Powóz przyśpieszył.

Tłum natarł z nową siłą i powóz przetoczył się po nieszczęśnikach, którzy upadli i nie zdołali w porę się podnieść. Anna przycisnęła ręce do uszu, by nie słyszeć jęków umierających i przeraźliwych krzyków tych, którzy ogarnięci paniką, łokciami i pięściami torowali sobie drogę do mostu. Nie zdołała jednak odciąć się od tych odgłosów ani wmówić sobie, że nie widzi krwi na kołach powozu. Po chwili nie była już w stanie tego znieść.

- Zwolnij! - wrzasnęła, próbując wstać. - Zofio, każ mu zwolnić!

- Milcz, głupia! - zawołała Zofia, pociągając ją z powrotem na siedzenie. - Chcesz zginąć?

- Nie, lecz nie chcę też zabijać. Kuzynka wbiła w nią wzrok.

- Za późno na to, Anno!

Dotarły już niemal do mostu, kiedy kilkoro spośród stale powiększającego się tłumu kobiet i mężczyzn uchwyciło się powozu, próbując wsiąść.

- Wynocha, wy brudne świnię! - krzyknęła Zofia.

Brutalny woźnica zaklął i smagnął intruzów batem. Osunęli się z powrotem w napierający tłum z zakrwawionymi twarzami i wściekłością w oczach.

W końcu powóz dotarł do mostu. Ponieważ zewsząd wlewał się nań potok ludzi, ruch całkiem ustał.

- Co teraz, proszę pani? - zapytał woźnica. - Jest tu zbyt wiele pojazdów, żeby wszyscy mogli przejechać, poza tym wydaje mi się, że podpalono przęsła.

To była prawda. Anna zobaczyła języki płomieni liżące spód mostu.

W tej chwili Rosjan jakby przybyło. Runęli na tłum, siekąc, kogo popadnie, niczym pobłyskująca złotem czerwona szarańcza, niszcząca wszystko wokół. Ci, którzy nie zdołali zejść im z drogi, byli bezlitośnie szlachtowani. Anna zobaczyła biegnącą kobietę z dzieckiem przyciśniętym do piersi. Rosjanin runął na nią, wznosząc rzeźbiony ozdobnie kord. Po chwili kobieta nie miała już głowy, a dziecko znikło z widoku.

Anna modliła się, jak nie robiła tego nigdy dotąd. Była przekonana, że za chwilę umrze. Modliła się głównie za syna i za Jana, mając nadzieję, że jakoś uda im się przeżyć.

Spojrzała w lewo i przekonała się, że patrzy prosto w roześmianą twarz Rosjanina. Spostrzegła go w chwili, kiedy wyciągał ramię, by wywlec ją z powozu. Zaczęła się wyrwać, wołając na pomoc Zofię. Im głośniej krzyczała i bardziej zapamiętała okładała żołdaka pięściami, tym głośniej Rosjanin się śmiał.

Zofia zażądała, by woźnica smagnął napastnika batem, lecz chłop nie ośmielił się tego zrobić.

Żołnierz zdołał już niemal wywlec Annę z powozu, gdy kuzynka pociągnęła ją z powrotem na siedzenie.

- Weź mnie, Iwanie! - zawołała do Rosjanina. - Weź mnie!

Mężczyzna puścił Annę, która opadła na siedzenie. Zofia знаła tego człowieka! Anna odwróciła się do niej i zobaczyła, że kuzynka rozdarła suknię, obnażając się do pasa. Żołnierz chwycił przynętę i teraz manewrował koniem, by dostać się na drugą stronę powozu.

- Weź to, Aniu - zawołała Zofia, przekrzykując zgiełk i wciskając jej w dłoń kopertę. - Jedź do domu Pawła na Piwną, obok kościoła Świętego Marcina! I nie oceniaj mnie zbyt surowo, kochanie!

Annie wydawało się, że znalazła się pośrodku jakiegoś koszmaru. Zofia stała na siedzeniu, a jej wspaniałe piersi, doskonale widoczne dla każdego, kołysały się w powietrzu. Czy kuzynka oszalała?

- Iwanie! - krzyczała tymczasem Zofia. - Wiesz, że jesteśmy stronnikami Katarzyny. Musimy przeprowadzić powóz przez most. Musisz nam pomóc!

Rosjanin spojrzał na nią chciwie. Po chwili wyszcze kiwał już rozkazy trzem żołnierzom, którzy podjechali, by stworzyć im eskortę. Powóz zaczął się toczyć. Ilu z tych, którzy znaleźli się na jego drodze, zostało przejechanych lub zaszlachtowanych przez Rosjan? Anna nie była w stanie tego ocenić. Zamknęła oczy na rozgrywające się dookoła sceny, modląc się, by most wytrzymał.

Gdy je otwarła, zobaczyła, że gruby Iwan unosi Zofię i sadza ją przed sobą na koniu. Wielkie niedźwiedziowate łapy Rosjanina natychmiast powędrowały ku nagim piersiom branki. Jej czerwona jak krew suknia rozłożyła się na białej piersi i grzbiecie konia.

- Zofio! - krzyknęła Anna.

Kuzynka odpowiedziała jedynie spojrzeniem ciemnych oczu. Tak musi być, zdawały się mówić te oczy.

Wkrótce koła powozu zaturkotały na deskach mostu. Anna odwróciła się i zobaczyła z przerażeniem, że Zofia i rosyjski żołnierz zostają z tyłu.

- Zofio! - zawołała znowu. Jej głos utonął jednak w ryku tłumu.

Uświadomiła sobie, że kuzynka nie przekroczy Wisły wraz z nią. Miała zostać na Pradze, z Rosjanami.

Zofia krzyknęła coś, czego Anna nie usłyszała, i machnięciem ręki nakazała jej, by jechała dalej.

Na moście znajdowały się setki ludzi, poruszali się więc w ślimaczym tempie. Tłum napierał na powóz, popychając go do przodu, gdyż z tyłu ponaglali ich następni.

Anna spojrzała na list, który wcisnęła jej kuzynka. Był zaadresowany do niej. Odwróciła go i zobaczyła czerwoną pieczęć Stelnickich. Pieczęć była złamana.

Nie zważając na otaczające ją piekło śmierci i zniszczenia, otworzyła kopertę i przeczytała list, napisany przed z górą dwoma tygodniami.

Najdroższa Anno!

Sprawy na Wołyniu nie poszły dobrze. Obawy, o których ci pisałem, okazały się uzasadnione. Jestem teraz niedaleko Warszawy, lecz obowiązek nie pozwala mi zobaczyć się z Tobą, moja ukochana. Tyle jeszcze trzeba zrobić, zanim rosyjskie diabły runą na stolicę.

Zadbaj o to, byś była bezpieczna, Anno. Mam nadzieję, że wyjechałaś z Warszawy, lecz jeśli ten list jeszcze cię tam zastanie, poszukaj schronienia na lewym brzegu Wisły. Praga będzie najbardziej narażona, a rosyjski terror niepokromiony i bezlitosny. Schroń się za miejskimi murami najszybciej, jak to możliwe, najdroższa. I wiedz, że kocham cię ponad życie. Jeśli przeżyję to, co nadchodzi — a, z Bożą pomocą, przeżyję — zostaniesz moją żoną, a Jan Michał moim synem.

Z wyrazami najszczerzej miłości

Jan

Boże, chroń go, modliła się. Boże, chroń nas wszystkich. Zofia uciekła się zatem do starych sztuczek i znowu zaczęła przejmować listy Jana. Jak długo trzymała u siebie akurat ten? I czemu nie posłuchała zawartej w nim rady? Mogły uciec z Pragi dawno temu.

Lecz nie pora teraz na żale czy pogardę dla Zofii. Umysł Anny wypełniało jedno przekonanie, jeden cel: musi przetrwać. Świadomość tego, że Jan ją

kocha, co wyznał w liście, uczyniłaby śmierć łatwiejszą, lecz ona nie zamierzała umierać. Nie teraz. Ojciec zwykł jej powtarzać: „By wierzyć niezłomnie, trzeba wpierw zwątpić”. Dni zwątpienia minęły. W głębi serca czuła, że oboje przetrwają i będą razem.

Spojrzała do tyłu na oddalającą się Pragę. Pochwyciła spojrzeniem czerwoną suknię Zofii, błysk szkarłatu na tle rozległej panoramy, przedstawiającej niewyobrażalny gwałt.

- Pomocy! Och, na miłość boską, niech ktoś mi pomoże! - Krzyk dobywał się z piersi zrozpaczonej matki dwóch posiniaczonych i krwawiących chłopców. Kobieta próbowała nieść jednego na rękach, a drugiego ciągnąć za sobą, lecz cała trójka była nieustannie potrącana i szarpana przez tłum oszalałych, prących przed siebie ludzi.

- Tutaj! - zawołała Anna, gdy powóz zrównał się z kobietą. - Szybko, wsiadajcie! Proszę podać mi małego!

Wzięła z rąk kobiety młodszego chłopca, ta zaś, uwolniona od ciężaru, podsadziła starszego syna, a potem, uchwyciwszy się pomocnej dłoni Anny, wsiadła do powozu.

Woźnica odwrócił się, unosząc bat.

- Oni pojada! - krzyknęła Anna, spoglądając w jego zdrowe oko.

Przez chwilę przyglądał się jej, jakby miał zamiar zaprotestować, w końcu jednak wzruszył ramionami, odwrócił się i pognął konie.

Wdzięczna rodzina usadowiła się naprzeciw Anny.

Pozwoliła wsiąść jeszcze dwóm starym chłopkom. Jedna usiadła obok niej, lecz choć Anna posunęła się, by zrobić miejsce także dla drugiej, kobieta odmówiła, przysiadając na podłodze. Ciekawe, czy zrobiła to z szacunku, czy też by nie widzieć tego, co dzieje się dookoła, pomyślała Anna. Po chwili bezzębne, pomarszczone usta chłopiek zaczęły poruszać się w modlitwie.

Nagle krzyk przybrał na sile i powóz został pchnięty przez napierający z tyłu tłum. Anna odwróciła się i zobaczyła, że most od strony Pragi ogarnia wysoka ściana pomarańczowych płomieni. Część ludzi, zagrożonych ogniem, skakała z mostu wprost w wody Wisły.

Poszukała spojrzeniem czerwonej sukni Zofii, lecz nic takiego nie zobaczyła. Czy rosyjski żołdak zabrał ją w bezpieczne miejsce?

Woźnica smagnął konie batem i powóz potoczył się nieco szybciej. Ludzie przed nimi odsuwali się na boki lub dostawali pod koła. Ci, którzy próbowali ucześcić się powozu, obrywali batem.

Kiedy woźnica ponownie uniósł bat, Anna wstała i wyrwała mu go z ręki.

- Nie zabijesz tych ludzi! - wrzasnęła. A potem, niewiele myśląc, cisnęła bat do rzeki.

Zdrowe oko mężczyzny rozszerzyło się z szoku i gniewu. Spoglądał na nią niezdecydowany. Nie spodziewał się takiej stanowczości. Wreszcie rzucił lejce.

- Dobrze, jaśnie pani! - zawołał, przekrzykując zgiełk. - Skoro tak, niech sobie pani sama powozi. - Po czym odwrócił się, zeskoczył z kozła i zniknął.

Zamarła z przerażenia. Powóz zupełnie się zatrzymał. Ludzie obok przesuwali się powoli, mijając go.

Ryk ogarniętego paniką tłumu zagłuszył nagle trzask pękających desek. Anna uświadomiła sobie, że ogień i ciężar zbyt wielu ludzi oraz pojazdów wkrótce sprawią, że most się załamie. Nigdy nie dotrą na drugi brzeg. Zdolność racjonalnego myślenia zupełnie ją opuściła, pozostawiając na pastwę strachu.

Instynktownie uniosła dłonie ku głowie. Stary dziecinny nawyk przeczesywania wyprostowanymi palcami włosów w momentach stresu powrócił. Przed laty zrozumienie, okazywane przez ojca i jego delikatne napomnienia pomogły dziecku się go pozbyć.

Później byłaby gotowa przysiąc, że usłyszała tam, na moście, głos ojca, mówiącego wyraźnie, tonem ciepłym, a zarazem stanowczym: „Czasami trzeba po prostu zdać się na los”.

Malcy zaczęli histerycznie płakać. Anna opanowała się, wstała i spróbowała uspokoić dzieci, zapewniając ich matkę, że dowiezie wszystkich w bezpieczne miejsce.

Odwróciła się i zmusiła siedzącą na podłodze wieśniaczkę, by zajęła jej miejsce na ławce. Z trudem przedostała się na lewą stronę powozu i trzymając się go kurczowo, by nie zostać strąconą w tłum, powoli ruszyła do przodu. Wreszcie, herkulesowym wysiłkiem, wdrapała się na kozioł. Chwyciła lejce i, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestraszone i bliskie paniki konie zareagowały na sygnał. Powóz ruszył. Anna nie miała jednak czasu, by się tym ucieszyć.

Nagle rozległ się okropny trzask, po czym most pękł i zakołysał się nie dalej niż o kilkadziesiąt kroków za nimi. Anna nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie. Most kołysał się z wolna z boku na bok, niczym leniwy wąż. Właśnie w tej chwili część konstrukcji od strony Pragi zawaliła się, posyłając tych, którzy znajdowali się najbliżej, wprost w otchłań najeżoną sterczącymi, ostrymi fragmentami desek i w mętne nurty Wisły.

Anna odwróciła się. Wbiła wzrok w miejskie mury i ściągnęła lejce, ponaglając konie.

Rozhisteryzowany tłum popchnął powóz ku lewemu brzegowi rzeki. Kilka osób skoczyło z uszkodzonego mostu do wody, lecz większość nadal parła jak oszalała w przód. Most chwiało się niepewnie, grożąc zawaleniem.

Gdy w końcu osłabiona konstrukcja poddała się i most z głośnym trzaskiem pękającego drewna zadrżał, a potem ostatecznie się załamał, powóz znajdował się o włos od upragnionego brzegu.

Tłum wezbrał niczym fala i ruszył oszalała, pracą do przodu falangą, niemal unosząc pojazd i spychając go na stały grunt.

- Jesteśmy bezpieczni! - zawołała Anna radośnie do pasażerów. - Jesteśmy bezpieczni!

Polscy żołnierze i mieszkańcy Warszawy czekali już, by pomóc Annie i pozostałym wydostać się z powozu.

- Proszę, weźcie to - Anna wcisnęła zdumionej kobiecie w dłoń pierścionek z opalizującym kamieniem. - Pomoże tobie i dzieciom zacząć od nowa.

Kobieta już miała odmówić, lecz Anna szybko wyprawiała ją w dalszą drogę. Szmaragdowa szpilka dostała się wieśniaczkom, które także nie chciały przyjąć podarunku i trzeba je było do tego namawiać.

W pudle na kapelusze pozostały już tylko kryształowa gołębnica i pamiętnik.

Rozdzierający uszy wrzask przeszył nagle powietrze, a potem, na oczach przerażonej Anny, most załamał się na całej długości, wpadając z hukiem do Wisły i zabierając ze sobą tych, którzy się na nim znajdowali. Po chwili crescendo rozdzierających serce krzyków ucichło, a setki ludzi odpłynęły, uniesione nurtem rzeki.

Lecz dochodzące od strony Pragi krzyki i nawoływania nie milkły.

Anna patrzyła, niezdolna ogarnąć umysłem okropności, jakie rozgrywały się na jej oczach. Choć mostu już nie było, Rosjanie Suworowa nadal spychali tłum przerażonych mieszkańców Pragi prosto ku jego pozostałościom i zimnej wodzie poniżej. Ludzie spadali z resztek mostu jak strumienie wody z wodospadu.

Żadna opowieść ani historyczne wydarzenie, o którym kiedykolwiek czytała, nie przygotowały jej na ten widok.

I właśnie wtedy w tłumie w pobliżu mostu dostrzegła nagle Zofię. Jej czerwonej sukni na białym koniu nie można było z niczym pomylić. Czy Zofia godziła się zostać z Rosjaninem, który spychał właśnie kobiety i mężczyzn prosto w ramiona śmierci? Czy była aż tak zła?

Nie. Uświadomiła sobie nagle, że Zofia i Iwan utknęli w tłumie i nie są w stanie się wycofać. Biały koń, ogarnięty paniką, stanął na tylnych nogach pośród ludzkiego mrowia, spychanego ku rzece przez napierających z tyłu Rosjan.

- Niech Madonna im pomoże - modliła się głośno Anna. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy zobaczyła, że koń, Rosjanin i Zofia zbliżają się nieuchronnie do brzegu, a potem staczają na łeb na szyję, mieniając się bielą i czerwienią, wprost w nurty Wisły. Niemal natychmiast wody rzeki zamknęły się nad nimi.

- Zofio! - krzyknęła. - Zofio!

Wołała tak, póki nie zbrakło jej głosu. Jej krzyki utonęły jednak w ogólnym pandemonium. Zofia powiedziała kiedyś, że wołałaby dać się porwać huraganowi niż wieść długie życie. Cóż, to właśnie zrobiła. A Anna zdawała sobie sprawę, że zawdzięcza kuzynce życie.

Od czasu dzieciństwa, kiedy to matka zagroziła, że odbierze jej kryształową gołębicę, nie pozwoliła sobie płakać w obecności innych.

Teraz, gdy cała Polska zdawała się rozpadać wprost na jej oczach, łzy popłynęły powoli, jedna za drugą, po policzkach Anny, wsiąkając w brązowy perkal jej sukni.

Epilog.

Księżyc i fortuna nie zawsze są w pełni.
Przysłowie polskie.

25 listopada 1794

W moim pamiętniku zostało już tylko kilka czystych stron. To będzie ostatni wpis.

W dniu, gdy dokonana się masakra Pragi, znalazłam schronienie w domu hrabiego Poteckiego, gdzie powitała mnie ze łzami w oczach Lutisza.

Niewielu polskim obywatelom, którzy pozostali na praskim brzegu Wisły, udało się przeżyć. Spalenie mostu miało też pozytywne skutki, gdyż Rosjanie, nie mogąc przedostać się na drugi brzeg, zdążyli przez noc ochłonać z morderczej furii. Rankiem ambasador Anglii w Polsce oraz nuncjusz papieski przeprawili się przez rzekę i uzyskali od Suworowa zapewnienie, że stolica zostanie wzięta pokojowo.

Zatem stało się tak, że Warszawa skapitulowała bez słowa skargi i zaborcom nie pozostało już nic do dzielenia.

Mieszkańcy nadal rozpaczają otwarcie na ulicach, opłakując bliskich i Polskę, skutecznie wymazaną z mapy Europy. Ja nie zdobyłam się na to, nie z powodu niechęci do publicznego przelewania łez, ale dlatego, iż nie zgadzam się, by moja rozpacz zasilala płynącą już i tak rzekę łez. Nie wierzę, że mój kraj może przestać istnieć ot tak, dlatego że ktoś tego sobie życzy. Ciotka Stella powiedziała kiedyś, że choćby Polska pozostawała we władaniu obcej siły przez sto lat, to naród, język, obyczaje i wiara pozwolą jej przetrwać - i pewnego dnia powróci do życia, jak rozkwita uśpiony długo kwiat.

Nadeszły wieści, że Jan Michał jest bezpieczny w Sochaczewie. Rezydencja Grońskich na Pradze została zniszczona. Wyprawiłam pogrzeb hrabinie i jej synowi, Walterowi. Ciotka nie chciała dożyć chwili, kiedy Warszawa upadnie; jej modlitwy zostały wysłuchane.

Nie mamy wieści na temat Zofii. Mogę tylko przypuszczać, że pochłoneły ją nurty Wisły.

Hrabia Potecki wrócił do domu, przywożąc wiadomość od Jana Stelnickiego. Mój ukochany przeżył! Napisał, że został ranny i że mam się nie martwić. Lecz ja, oczywiście, i tak się martwię. On i mój syn czekają w Sochaczewie. Swój krótki list Jan podpisał: Obywatel Stelnicki. Obywatel Stelnicki? Tak jakby można było odebrać mu tytuł i szlachectwo za to, że jest

patriotą. Szlachectwo, tak jak polskość całego naszego narodu, mieści się w naszych duszach.

Ostatniej nocy przyśniła mi się mityczna Jurata. Pamiętam, jak podziwiałam tę boginię za to, że ośmieliła się przeciwstawić tradycji, poślubiając ziemską istotę - mężczyznę. Być może łączy mnie z Juratą więcej niż tylko zielona barwa oczu. Zamierzam poślubić mężczyznę, któremu odebrano szlachectwo. Lecz tak naprawdę nie uważam siebie za drugą Juratę, gdyż kocham Jana tak bardzo, że pójście za głosem serca wcale nie będzie wymagało ode mnie odwagi.

Kryształowa gołębica spoczęła znowu w swej nieco już podniszczonej, lecz mocnej szkatułce z Tatr. Tak wiele przetrwała. Zabiorę ją do Sochaczewa, gdzie będę cieszyła się życiem u boku mężczyzny, którego pokochałam.

RS